

BIBLIOTEKA

U M ARŁYCH

Glenn Cooper

Książka ta jest fikcją literacką. Nazwiska, postaci, miejsca i zdarzenia są dziełem wyobraźni autora. Użyto ich w sposób fikcyjny i nie powinny być interpretowane jako rzeczywiste. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych zdarzeń, miejsc, organizacji lub osób, żyjących lub nie, jest wyłącznie dziełem przypadku.

21 maja 2009 Nowy Jork

David Swisher kręcił trackballem Blackberry w poszukiwaniu e-maila od głównego księgowego jednego ze swych klientów. Główny księgowy prosił o wyznaczenie spotkania, chciał przylecieć z Hartford na rozmowę o kredycie inwestycyjnym.

Rutyna; tego rodzaju sprawy załatwiał zwykle w samochodzie w drodze do domu.

Wystukał odpowiedź kciukami, a town car przesunął się powolutku Park Avenue, co chwila ruszał po to tylko, by zaraz się zatrzymać.

Melodyjny sygnał oznajmił odebranie nowego e-maila. Od żony. "Mam dla ciebie niespodziankę". Odpisał: "Doskonale! Nie mogę się doczekać".

Za oknami limuzyny na chodnikach tłoczyli się nowojorczyki odurzeni pierwszym dniem wiosny. Bezbarwne wieczorne światło i nijakie ciepłe powietrze przyspieszało ich krok, dodawało im ducha. Mężczyźni z marynarkami zawieszonymi na kciukach i podwiniętymi rękawami koszul czuli podmuch powietrza na ramionach, kobiety w krótkich półprzezroczystych spódniczkach czuły podmuch powietrza na pośladkach.

Soki

zaczynały krążyć, bez najmniejszych wątpliwości, a hormony, dotychczas uwiecznione niczym statki wmarznięte w arktyczny lód, wraz z odwilżą, jak one, odzyskały wolność i swobodę działania. W mieście będzie się dziś działo, oj będzie. Z otwartego okna mieszkania na wysokim piętrze jednego z wieżowców mieszkalnych spływały wzdłuż kolejnych pięter i kolejnych otwartych okien przepełnione energią

tony puszczonego z wieży na pełną moc Święta wiosny Strawiańskiego, by na samym dole wtopić się w hałas ulicy.

David ani tego nie widział, ani nie słyszał; nie odrywał wzroku od małego lśniącego ekraniku. On też pozostawał niewidoczny za woalką przyciemnionych szyb, trzydziesto-sześćoletni bankier inwestycyjny, bez wątplenia zamożny, z gęstymi włosami, w lekkim wełnianym garniturze od Bar-neysa, patrzący na świat wilkiem, bo dzisiejszy dzień nie zrobił nic dla jego kariery, ego i konta w banku.

Taksówka zatrzymała się przed jego domem na rogu Park i Osiemdziesiątej Pierwszej. Miał do przejścia cztery metry dzielące krawężnik od drzwi, dzięki czemu zorientował się wreszcie, że mamy dziś przyjemny dzień. Uczcił ten fakt, biorąc jeden głęboki oddech i zdobywając się na uśmiech, przeznaczony dla portiera.

— Jak leci, Pete?

— Doskonale, panie Swisher, doskonale. A co dziś słychać na rynkach?

— Pieprzona krwawa łaźnia. - Swisher minął portiera, nie zwalniając kroku. - Trzymaj swoje pieniądze pod materacem.

Był to taki ich prywatny żart.

Dziewięciopokojowe mieszkanie spółdzielcze na wysokim piętrze kupował zaraz po jedenastym wrześniu. Kosztowało go wówczas odrobinę ponad cztery miliony siedemset pięćdziesiąt tysięcy. Rozbój na prostej drodze! Rynek zachowywał

8

się nerwowo i sprzedawcy też, choć mieszkanie było prawdziwą perełką w eleganckim przedwojennym bloku: cztery metry Z kawałkiem wysokości, kuchnia spokojnie pełniąca funkcję jadalni i kominek. Na Park Avenue! Lubił kupować na rynku sięgającym dna, każdym rynku sięgającym dna. Miał teraz znacznie więcej miejsca, niż go potrzebuje bezdzietne małżeństwo, ale za to mieszkanie wyrywało rodzinie z gardła okrzyki zachwytu, co za każdą wizytą cholernie poprawiało mu samopoczucie. Poza tym dziś warte było ponad siedem i pół miliona, nawet gdyby trzeba je było sprzedać szybko, Dlatego, jeśli wziąć to wszystko pod uwagę, zrobiłeś

dobry interes, Swish - powtarzał sobie często. Skrzynka na listy była pusta.

— Hej, Pete, moja żona wróciła do domu?! - rzucił przez ramię.

— Jakies dziesięć minut temu.

To już była prawdziwa niespodzianka.

Jej teczka leżała na stoliku w przedpokoju, na stosie korespondencji. Bezgłośnie zamknął drzwi. Próbował poruszać się cicho, iść dosłownie na paluszkach, może uda mu się zakraść za nią, położyć dłonie na jej piersiach, przycisnąć się do tyłeczka. Dla niego to była prawdziwa frajda. Włoski marmur zdradził jednak jego plany, odbił echem lekkie kroki stóp odzianych w giętkie, cienkie półbuty, idealnie pasujące do garnituru. - David? To ty?

- Tak. Wcześniej dziś wróciłaś! - krzyknął David. - Co się stało?

Odpowiedź dobiegła go z kuchni.

- Przesunięto moje przesłuchanie.

Pies usłyszał jego głos i wybiegł pędem z gościnnej sypialni, mieszczącej się w dalekim końcu mieszkania. Jego małe łapki

ślizgały się na marmurze i pudełek wyrzwał na zakręcie w ścianę, jak hokeista w bandę.

- Bloomberg! - krzyknął David. - Jak się ma mój dzidzius? - Odłożył teczkę, podniósł małą futrzaną kulkę.

Lizała mu twarz ruchliwym różowym jęczyzkiem, machała przyciętym ogonkiem. - Tylko nie nasusiaj tatusiowi na krawat. Nawet nie próbuj. Dobry chłopiec, dobry. Kochanie, czy ktoś wyprowadził Bloomberga?

- Pete powiedział, że Ricardo był z nim o czwartej.

Postawił psa na podłodze, wziął pocztę, zaczął ją segregować na swój obsesyjnie systematyczny sposób. Rachunki. Wyciągi bankowe. Śmieci. Korespondencja osobista. Jego katalogi. Jej katalogi. Magazyny. Kartka pocztowa? Tak. Zwykła biała kartka pocztowa z jego nazwiskiem i adresem, wydrukowanym

czarną czcionką. Obrócił ją. Na odwrocie widniała również wydrukowana data: 22 maja 2009. A obok niej ktoś narysował czarnym tuszem małą, nie więcej niż trzycentymetrowej wysokości trumienkę.

- Helen? Widziałaś to?

W holu pojawiła się jego żona, stukając po marmurze szpilkami; doskonała w bladoturkusowym komplecie od Ar-maniego, z podwójnym sznurem hodowlanych pereł spoczywającym tuż nad wycięciem dekoltu i dwoma kolczykami z perłą do kompletu, bawiącymi się w chowanego pod fryzurą wprost z salonu. Piękna kobieta, co do tego wszyscy byli zgodni.

— Widziałam co? - spytała.

— To.

Obróciła pocztówkę w palcach.

— Kto ją wysłał?

— Nie ma adresu zwrotnego - zauważył David.

— Stempel z Las Vegas. Znasz kogoś w Vegas?

10

— Chryste, sam nie wiem. Robiłem tam interesy, ale... no, tak od razu nikt nie przychodzi mi do głowy.

— Może to jakaś promocja? Taka żartobliwa reklama? - zasugerowała żona, oddając mu pocztówkę. - Jutro pewnie przyjdzie pocztą coś, co to wyjaśni.

Zaakceptował to wyjaśnienie. Helen była sprytna i na ogół radziła sobie z takimi sprawami. Mimo wszystko...

— To w bardzo złym guście. Pieprzona trumna. O rany, przepraszam.

— Niech ci to nie psuje humoru. Oboje wróciliśmy do domu o całkiem przyzwoitej godzinie. Wybierzemy się do Tutti's?

Odłożył pocztówkę na stos śmieci i złapał żonę za tyłek.

- Poigramy przed czy po? - spytał z nadzieją na od  
powieź "po".

Pocztówka drażniła Davida cały wieczór; to zapominał o niej, to sobie nagle przypominał, ale nie poruszał już tego tematu. Myślał o niej, kiedy czekali na deser, myślał o niej, kiedy wrócili do domu i właśnie wchodził w żonę, myślał o niej, kiedy wyprowadzał Bloomberga na szybkie siusiu przed dom, tuż przed pójściem spać. I była ostatnią rzeczą, o której pomyślał, zasypiając przy Helen czytającej książkę; niebieskawy blask jej przypinanej do okładki lampki do czytania sięgał, choć słabo, najdalszych krańców wielkiej sypialni. Trumny cholernie go niepokoiły. Kiedy miał dziewięć lat jego pięcioletni brat zmarł na guz Wilmsa; wciąż prześladował go widok małej, lśniącej, mahoniowej trumny Barry'ego, stojącej na podwyższeniu w kapliczce domu pogrzebowego. Ktokolwiek wysłał tę kartkę, był zwykłym gnojkiem.

Wyłączył budzik piętnaście minut przed piątą rano, o której

11

miał zadzwonić. Pudełek natychmiast zeskoczył z łóżka i zaczął swe zwykłe poranne szaleństwa - biegał w kółko.

- W porządku, w porządku - szepnął David. - Już idę.

Helen nadal smacznie spała. Bankierzy wędrowali do biur dobre parę godzin przed prawnikami, obowiązek porannego spaceru spadał więc na niego.

Parę minut później już witał się z nocnym portierem, w przelocie, bo Bloomberg wyprowadzał go na smyczy w chłód wczesnego poranka. David zapiął bluzę od dresu i skręcił na północ. Ich obu czekało teraz dobrze znane kółko: Osiemdziesiąta Druga, gdzie pudel nieodmiennie załatwiał większość swych spraw, na wschód do Lex i wizyta w otwierającym się najwcześniej Starbucksie, potem Osiemdziesiąta Pierwsza i powrót do domu. Park Avenue rzadko bywała pusta, a tego ranka przejeżdżało nią całkiem sporo taksówek i ciężarówek dostawczych.

Umysł Davida pracował nieustannie, "luz" był dla niego czymś śmiechu wartym.

Gdy zbliżał się do Osiemdziesiątej Drugiej, nie zastanawiał się jednak nad niczym szczególnym, przez głowę przelatywały mu tylko oderwane myśli dotyczące różnych

spraw, którymi miał się zająć. O kartce pocztowej na szczęście zupełnie zapomniał. Już miał skręcić w groźnie mroczną uliczkę, ocienioną rosnącymi po obu stronach drzewami, kiedy odezwał się jego wyostrzony instynkt samozachowawczy mieszczucha, który omal nie kazał mu zmienić drogi. Przez krótką chwilę rozważał możliwość pójścia dalej Osiemdziesiątą Trzecią, jednak zmienił zdanie. Nie wymięknie. Nigdy nie wymiękał, więc tylko przeszedł na północną stronę Osiemdziesiątej Drugiej. Dzięki temu miał teraz oko na czarnego gówniarza idącego powoli chodnikiem w jakiejś jednej trzeciej długości przecznicy. Gdyby on też przeszedł przez ulicę, wiedziałby, że wpadł, wziąłby więc Bloomberga na ręce

12

i zaczął uciekać. Trochę biegał, w szkole. Wciąż był szybki, to dzięki atakom z przechwyty w koszykówce. Nike zawiązane miał całkiem przyzwoicie. Pieprzyć najgorszy scenariusz, i tak sobie poradzi.

Gówniarz szedł w jego kierunku po przeciwnej stronie ulicy, patykowaty chłopak z kapturem naciągniętym na głowę, David nie widział więc jego oczu. Mógł tylko mieć nadzieję, że pojawi się jakiś samochód albo inny spacerowicz, ale ulica była i pozostała pusta. Dwóch facetów plus pies; słyszał, jak nowe adidasy chłopaka skrzypią przy każdym kroku. Kamienice były ciemne, ich mieszkańcy spali słodko. Najbliższy budynek z portierem znajdował się bliżej Lexington. Serce biło mu tym szybciej, im bardziej się do siebie zbliżali. Nie nawiązywać kontaktu wzrokowego, pamiętaj, tylko nie nawiąż kontaktu wzrokowego! Minęli się. Szedł, nie zmieniając tempa, gówniarz także. Odległość między nimi zaczęła się zwiększać.

David pozwolił sobie na krótki rzut oka przez ramię. Odetchnął z ulgą, bo chłopak skręcił w Park. Znikł za rogiem. Straszny ze mnie palant, pomyślał. I w dodatku palant z uprzedzeniami rasowymi.

W połowie ulicy Bloomie wyniuchał swoje ulubione miejsca. Przykucnął. David nie potrafił zrozumieć, jak to się stało, że gówniarza usłyszał dopiero wtedy, gdy praktycznie się na niego rzucił. Może uwagę miał rozproszoną, może myślał o pierwszym dzisiejszym spotkaniu z szefem rynków kapitałowych, może obserwował

psa szukającego ulubionego miejsca, może wspominał, jak to Helen zrzucała wczoraj biustonosz, a może po prostu ten czarny w wysokim stopniu posiadał sztukę bezszelestnego poruszania się w mieście. Tak czy inaczej była to kwestia najzupełniej akademicka.

Dostał cios w skroń, gwałtownie opadł na kolana, przez chwilę bardziej zafascynowany niż przerażony tak nieoczeki-

13

wanym wybuchem gwałtu. Od uderzenia zakręciło mu się w głowie. Patrzył, jak Bloomie robi, co miał do zrobienia. Usłyszał coś o pieniądzach, poczuł na ciele dłonie przetrząsające mu kieszenie. Na wysokości jego twarzy pojawiło się ostrze noża. Dłonie zsunęły mu najpierw zegarek, potem sygnet. Nagle przypomniał sobie o kartce pocztowej, cholernej kartce pocztowej i ku swemu zdumieniu usłyszał własny głos pytający: "Ty ją wysłałeś?". Wydało mu się nawet, że otrzymał odpowiedź: "Tak, to ja ją wysłałem, sukinsynu".

Rok wcześniej Cambridge, Massachusetts

Will Piper przyszedł wcześniej, żeby zatankować odrobinę, nim zjawia się inni.

Zatłoczona restauracja przy, ale nie całkiem na Harvard Square nazywała się OM;

Will wzruszył potężnymi ramionami na widok jej modnego, eklektycznego

azjatyckiego wystroju. Nie było to miejsce w jego stylu, ale miało wygodny bar, za

którym stał barman dysponujący kostkami lodu i szkocką, warunki minimum zostały

więc spełnione. Spojrzał podejrzliwie na artystycznie grubo ciętą kamienną ścianę za

barem, rozświetlone płaskie monitory instalacji do pokazów sztuki wideo,

jaskrawoniebieskie neonowe światła i zadał sobie podstawowe pytanie: Co ja tu

właściwie robię?

Zaledwie miesiąc temu prawdopodobieństwo, że weźmie udział w uroczystym,

dwudziestym piątym z rzędu zjeździe studentów wynosiło zero, a jednak był tu, na

Harvardzie, jeden z wielu setek czterdziestosiemio- i czterdziestoośmiolatków

zastanawiających się usilnie, gdzie się podziały najlepsze lata ich życia. Jim

Zeckendorf, naprawdę dobry prawnik, nieubłaganie tropił ich jednak, osaczał i namawiał tak wytrwale, że

15

w końcu wszyscy poddali się i zgodzili przyjechać. Nie, żeby miał zamiar siedzieć tu od początku do końca, nic nie zmusi go do udziału w przemarszu absolwentów rocznika 1983 do Trecentary Theater. Niemniej dał się namówić do przyjazdu z Nowego Jorku, zjedzenia kolacji z kumplami z akademika i przespania się w domu Jima w Weston. Zamierzał wrócić następnego dnia rano. Niech go diabli, jeśli duchom przeszłości poświęci więcej niż dwa dni urlopu.

Szklaneczka Willa okazała się pusta, nim barman zdążył obsłużyć kolejnego klienta. Zadzwoił kostkami lodu, chcąc zwrócić na siebie jego uwagę, lecz zwrócił na siebie uwagę kobiety. Stała za nim, machając dwudziestodolarówką, rewelacyjna, trzydziestoparoletnia brunetka. Poczul jej korzenny zapach, nim zdążyła przechylić się nad jego szerokimi barami.

- Kiedy go dopadniesz, mógłbyś wziąć dla mnie białe wino? - spytała.

Will się obrócił. Na wysokości oczu miał teraz jej biust, opięty kaszmirem, oraz trzymaną niedbale w smukłych palcach dwudziestkę.

- Postawię ci - powiedział do jej piersi i podniósł głowę. Śliczna twarz, bladofioletowy cień do powiek, czerwona lśniąca szminka. Dokładnie tak, jak lubił. Odebrał silny sygnał do stępaności.

Pieniądze znikły przy akompaniamencie śpiewnego "dzięki", po czym kobieta zręcznie wślizgnęła się na tę odrobinę miejsca, które zostawił jej, przesuwając stół o kilkanaście centymetrów.

Kilka minut później ktoś klepnął go po ramieniu.

- A nie mówiłem, że znajdziemy go w barze? - powiedział Zeckendorf z szerokim uśmiechem na swojej gładkiej, niemal kobiecej twarzy. Włosów ciągle miał wystarczająco wiele, by



zrobić sobie coś w rodzaju kędzierzawego "żydafro" i Will

16

na moment wrócił pamięcią do swego pierwszego dnia na Harvardzie, w 1979 roku. Centrum kampusu, Harvard Yard, wielki blondyn z zapadłego kąta Florydy, prawdziwy wsiok, rzucający się jak wyciągnięte na pokład bonito, spotyka chudego, kudłatego dzieciaka poruszającego się z pewnością siebie i swobodą miejscowego typka urodzonego, by wdziąć szkarłat. Zeckendorfowi towarzyszyła żona, a przynajmniej Will założył, że towarzysząca mu matrona o zdumiewająco wielkich pośladkach to ta sama osoba, którą po raz ostatni widział jako zwiewną narzeczoną na ich ślubie w 1988 roku.

Zeckendorfowie przyholowali za sobą Alexa Dinnersteina wraz z przyjaciółką. Alex był szczupły, drobny, wręcz perfekcyjnie opalony, dzięki czemu sprawiał wrażenie młodszego od swych współlokatorów. Swą sprawność i szyk podkreślił drogim garniturem o europejskim kroju i fantazyjną chusteczką w kieszonce marynarki, niepokalanie białą i lśniącą jak jego zęby. Wysmarowane żelam włosy miał tak czarne i gładko przyczesane jak w studenckich czasach, kiedy to Will był pewien, że je farbuję; no, to już jego sprawa. W każdym razie doktor Dinnerstein miał obowiązek zachować młodość, choćby ze względu na ślicznotkę wiszącą mu u boku, modelkę najmarniej dwadzieścia lat od niego młodszą, prawdziwą piękność o figurze tak niezwyklej, że Will omal nie zapomniał, że ma nową przyjaciółkę, która znalazła się w niezręcznej sytuacji i w milczeniu piła wino.

Zeckendorf zauważył jej zażenowanie.

- Nie przedstawisz nas? - spytał.

Will uśmiechnął się zażenowany.

— Do tego jeszcze nie doszliśmy - powiedział i Alex prychnął porozumiewawczo.

— Jestem Gillian - powiedziała kobieta. - Życzę miłej zabawy na zjeździe.

17

Wstała. Nim odeszła Will bez słowa wcisnął jej do ręki wizytówkę. Zerknęła na nią i na moment na jej twarzy zagościło zdumienie. AGENT SPECJALNY WILL PIPER, FEDERALNE BIURO ŚLEDICZE.

Kiedy znikła im z oczu, Alex udał, że obszukuje Willa.

- Pewnie nigdy nie spotkaliście faceta z Harvardu z gna-  
tem - kpił. - Masz w kieszeni berettę czy może jesteś  
szczęśliwy, że mnie widzisz?

- Pieprz się, Alex. Mnie też miło cię spotkać.

Zeckendorf zagonił ich na schody, po których wchodziło  
się do restauracji, i nagle uświadomił sobie, że jednej osoby brakuje.

— Ktoś widział Shackletona? - spytał.

— A jesteś pewien, że żyje? - odpowiedział pytaniem Alex.

— Dowody poszlakowe. E-maile.

— Nie przyjdzie. Przecież on nas nienawidził - rzekł  
z przekonaniem Alex.

— Nienawidził ciebie - powiedział Will. - To przecież  
ty przykleiłeś go taśmą do jego pieprzonego łóżka.

— Byłeś przy tym... o ile pamiętam.

Restauracja rozbrzmiewała gwarem swobodnych rozmów; nastrojowo podświetlone  
pseudomuzeum z wystawą nepalskich figurek i wpuszczonymi w ściany posążkami  
Buddy. Zamówiony stół przy oknie wychodzącym na Withrop Street już na nich  
czekał i to bynajmniej nie pusty. Samotny mężczyzna siedział w kącie, nerwowo  
bawiąc się serwetką.

- Hej, a to kto? - krzyknął Zeckendorf.

Mark Shackleton podniósł głowę. Patrzył na nich, jakby ta chwila go przerażała. Jego  
małe, osadzone blisko siebie oczy, częściowo ukryte pod daszkiem czapeczki  
Lakersów, biegały nerwowo od jednego do drugiego. Will rozpoznał go od razu,  
mimo że minęło dobre dwadzieścia osiem lat od chwili, gdy

stracił z nim kontakt sekundę po tym, kiedy skończyli pierwszy rok. Jego twarz, o wysokim czole i głębokich oczodołach, pozbawiona grama tłuszczu ciągle wyglądała jak naga czaszka. Nie zmieniły się ani zaciśnięte usta, ani ostry nos. Mark w niczym nie przypominał nastolatka nawet wtedy, kiedy był nastolatkiem, a teraz po prostu osiągnął naturalny dla siebie wiek średni.

Czterej współlokatorzy stanowili grupę przedziwną: Will, wyluzowany kawał chłopca z Florydy; Jim, wygadany absolwent prywatnej szkoły przygotowawczej z Brookline, Alex, seks-maniak z Wisconsin po wstępnym kursie medycznym i Mark, samotnik z pobliskiego Lexington, a poza tym maniak komputerowy. Wcisnęto ich do czteroosobowego mieszkania w Holworthy, na północnym biegunie obficie zadrzewionego Harvard Yard: dwie maleńkie sypialnie wyposażone w piętrowe łóżka plus jeden pokój wspólny, ledwie umeblowany, a i to wyłącznie dzięki zamożnym rodzicom Zeckendorfa. Tego roku, w sierpniu, Will przyjechał najpóźniej, wprost z przedsezonowego obozu drużyny futbolowej. Alex i Jim zdążyli już zająć jedną z sypialni i gdy tylko przerzucił swój worek przez próg zachichotali i wskazali mu drugą, w której znalazł Marka, leżącego sztywno na dolnym łóżku, biorącego je w ten sposób w posiadanie i bojącego się poruszyć.

— Cześć, jak leci? - spytał go Will, przywołując na swą przy stoją, męską twarz szeroki uśmiech prawdziwego połu dniowca. - Ile ważysz, Mark?

— Sześćdziesiąt trzy kilo - odparł Mark podejrzliwie, z wysiłkiem nawiązując kontakt wzrokowy z górującym nad nim chłopakiem.

— No a ja zaliczyłem sto dwa w szortach. Jesteś pewien, że chcesz zasypiać na tej ruinie z moją wielką dupą centymetry nad głową?

Mark westchnął głęboko, w milczeniu pożegnał się z przywilejem i w ten sposób ustalony został permanentny porządek rzeczy.

Rozpoczęła się chaotyczna rozmowa, jakże typowa dla koleżeńskich zjazdów: odkopywanie wspomnień, śmiech z tego, co kiedyś zawstydzало, wyciąganie na światło dzienne niedyskrecji i słabostek. Ich widownię stanowiąły dwie kobiety, pretekst improwizowanego przedstawienia, powód jego merytorycznej i aktorskiej doskonałości. Zeckendorf i Alex, którzy pozostali bliskimi przyjaciółmi, robili za mistrzów ceremonii, kierowali rozmową i przerzucali się dowcipami jak para komediantów, na których występie bawi się cały klub. Will nie był tak szybki w puencie, ale jego podawane cichym, spokojnym głosem wspomnienia o wspólnym dysfunkcyjnym pierwszym roku słuchane były z prawdziwym zachwytem. Tylko Mark zachowywał milczenie, uśmiechał się uprzejmie, kiedy inni ryczeli ze śmiechu, popijał piwo i dłubał widelcem w podawanych im azjatyckich daniach. Zeckendorf obciążył żonę obowiązkiem robienia zdjęć; wypełniała go, krążąc wokół stolika, każąc im pozować i błyskając lampą.

Grupy pierwszorocznych współlokatorów są jak nietrwale związki chemiczne. Gdy tylko zmienia się sytuacja zewnętrzna, pękają więzy i cząsteczki rozlatują się na wszystkie strony świata. Na drugim roku Will wyniósł się do Adams House i zamieszkał z innymi graczami. Zeckendorf i Alex, jak zawsze trzymający się razem, przenieśli się do Leverett House, a Mark dostał jedynekę w Currier. Od czasu do czasu Will widywał Zeckendorfa na zajęciach z nauk politycznych, ale, prawdę mówiąc, każdy z nich miał już własny świat. Po studiach Zeckendorf i Alex zostali w Bostonie; obaj od czasu do czasu odzywali się do Willa, na ogół zaraz po tym, jak przeczytali

20

0     nim w gazecie albo zobaczyli go w telewizji, lecz żaden z nich ani przez chwilę nie wspominał Marka. Mark po prostu znikł gdzieś w cieniu i gdyby Zeckendorf miał mniejsze wyczucie okazji, a Mark nie umieścił swego gmailowego adresu

w księdze absolwentów, na zawsze pozostały dla nich nieważnym fragmentem przeszłości.

Alex głośno opowiadał o jakiejś ich wyprawie, w której pewną rolę grały bliźniaczki z Lesley College; podobno ta noc skierowała go na ścieżkę prowadzącą wprost do ginekologii, a jego dziewczyna zaczęła rozmawiać z Willem. Wygłupy coraz bardziej pijanego doktora musiały coraz bardziej jej dokuczać, bo coraz częściej zerknęła na potężnie zbudowanego jasnowłosego mężczyznę, siedzącego naprzeciw niej i pijącego jedną whisky za drugą bez żadnego widocznego skutku.

— Więc jak trafiłeś do FBI? - spytała, nim Alex zdążył rozpocząć kolejną opowieść o sobie.

— Cóż... nie byłem wystarczająco dobry, by zostać zawodowym futbolistą.

— Naprawdę? - zainteresowała się i to chyba szczerze.

— Nie wiem - powiedział cicho Will. - Po studiach nie za bardzo wiedziałem, co robić. Moi kumple wiedzieli: Alex poszedł na medycynę, Zack na prawo, a ty, Mark, na studia podyplomowe na MIT, prawda? - Mark skinął głową. - Ja przez parę lat robiłem to i owo na Florydzie, uczyłem, trenowałem, a potem zrobił się wakat w biurze szeryfa hrabstwa.

— Twój ojciec pracował w policji - przypomniał sobie Zeckendorf.

— Był zastępcą szeryfa w Panama City.

— Żyje? - spytała żona Zeckendorfa.

— Nie. Zmarł dawno temu. - Will pociągnął duży łyk whisky. - Podejrzewam, że miałem to we krwi, a poza tym

21

pojawiła się przede mną najłatwiejsza droga najmniejszego oporu, więc nią poszedłem. Minęło trochę czasu i szefowi zaczęło przeszkadzać, że ma za zastępcę

cwaniaczka z dyplomem z Harvardu, więc zmusił mnie do napisania podania o przyjęcie do Quantico, żeby się mnie pozbyć. Tak to było, a teraz jeszcze chwila i zajrzy mi w oczy emerytura.

— Kiedy wysłużysz dwudziestkę - spytał Zeckendorf.

— Jeszcze trochę ponad dwa lata.

— A potem co?

— Będę chodził na ryby. Poza tym... nie mam pojęcia.

Alex pracowicie rozlewał wino z kolejnej butelki.

— Masz chociaż pojęcie, jaki ten dupek jest sławny? - spytał swą dziewczynę.

— Nie - odgryzła się natychmiast. - Jaki jesteś sławny?

— Nie jestem.

— Gówno prawda! - Alex krzyknął. - W całej historii FBI nie było nikogo, kto jak ty potrafiłby rozpracowywać seryjnych morderców.

— To z całą pewnością przesada - zaprzeczył Will ostro.

— Ilu ich złapałeś? - zainteresował się Zeckendorf.

— Nie wiem. Paru chyba by się znalazło.

— Paru - prychnął Alex. - To jak powiedzieć, że wi działem w życiu parę miednic. Mówią, że z ciebie nieomylny facet.

— Nie chodzi ci przypadkiem o papieża?

— Daj spokój. Czytałem gdzieś, że potrafisz zrobić czło wiekowi psychoanalizę w niespełna pół minuty.

— Nie trzeba mi było pół minuty, żeby rozgryźć ciebie, przyjacielu, ale mówiąc poważnie, to nie powinienes wierzyć we wszystko, co wyczytasz w gazetach.

Alex trącił swą dziewczynę łokciem w bok.

- Uwierz mi na słowo i uważaj na tego faceta - powie  
dział. - Jest geniuszem.

Will marzył wyłącznie o zmianie tematu. Kariera układała mu się w kratkę i raczej nie miał ochoty na dyskusję o minionej chwale.

- Powiedziałbym, że start może i mieliśmy słaby, ale w sumie raczej się nam udało. Zack - jeden z lepszych prawników korporacyjnych, Alex - profesor medycyny... no nie, Boże, porozmawiajmy chwilę o Marku. Gdzieś ty się podziewał przez te wszystkie lata?

Nim Mark zdążył oblizać wargi, szykując się do udzielenia odpowiedzi, Alex dosłownie rzucił się na niego; bezbłędnie wszedł w rolę kata nieszczęsnego przygłupa.

- Jasne, posłuchajmy, co ma do powiedzenia. Shackleton jest już pewnie jakimś internetowymi miliarderem z własną siedemsettrzydziestkąsiódemką i drużyną koszykarską. I co? Wymyśliłeś telefon komórkowy czy coś w tym rodzaju? No bo wtedy ciągle skrobałeś w tym swoim notatniku i zawsze zamykałeś się w pokoju. Co tam robiłeś, człowieku, poza przeglądaniem starych "Playboyów" i używaniem stosów chusteczek higienicznych.

Obaj, Will i Zeckendorf, nie zdołali powstrzymać chichotu, bo rzeczywiście mały kupował kleeneksy w hurcie. Ale Will niemal natychmiast poczuł wstyd, bo Mark przeszył go spojrzeniem typu: "I ty, Brutusie?".

— Zajmuję się komputerowymi systemami zabezpieczeń - wyszeptał w talerz. - Miliarderem, niestety, nie jestem. - Podniósł głowę. - A poza tym trochę piszę, tak dla siebie.

— Pracujesz w firmie? - spytał Will uprzejmie, próbując jakoś się zrehabilitować.

— Byłem w kilku, ale teraz jestem chyba trochę jak ty. To

znaczy, pracuję dla rządu.

23

— Naprawdę? Gdzie?

— W Nevadzie.

— I mieszkasz w Vegas, co? - zainteresował się Zeckendorf.

Mark skinął głową wyraźnie rozczarowany tym, że nikt nie zainteresował się wzmianką o pisaniu.

- Dla kogo właściwie? - Mark spojrzał na Willa tępo. -

No, dla kogo w rządzie?

Kanciaste jabłko Adama podskoczyło w górę chudej szyi i opadło.

— Chodzi o laboratorium. To raczej... tajne.

— Shack ma sekret, ma sekret! - wykrzyknął radośnie

Alex. - Kolejka dla niego, to mu rozwiąże język!

Zeckendorf sprawiał wrażenie zafascynowanego.

— Daj spokój, Mark, przecież coś z pewnością możesz nam powiedzieć.

— Obawiam się, że niestety nie - odparł Mark, wreszcie odrobinę zadowolony z siebie.

Zeckendorf nie zamierzał odpuścić tak łatwo.

- Nevada, Nevada... - myślał głośno - zaraz... jedyne tajne rządowe laboratorium w Nevadzie, o którym kiedykolwiek słyszałem, jest na pustyni... jak to się nazywa? Aha, Strefa Pięćdziesiąt Jeden! - Czekał na zaprzeczenie, Mark umiał jednak utrzymać pokerową twarz. - To teraz powiedz mi, że nie pracujesz w Strefie Pięćdziesiąt Jeden!

Odpowiedzi doczekał się po krótkiej chwili wahania.

— Nie. Nie mogę ci tego powiedzieć.

— Och! - westchnęła modelka, której wyraźnie to za



imponowało. - Czy to tam zajmują się UFO i innymi takimi rzeczami?

Mark uśmiechnął się tajemniczo, niczym prawdziwa Mona Lisa.

24

- Gdyby ci powiedział, musiałby cię zabić - zażartował Will.

Tym razem Mark gwałtownie potrząsnął głową. Opuścił wzrok i wyraźnie stracił humor. Jego głos, piskliwy, ochryply, wydał się Willowi niepokojący.

- To nie tak. Gdybym ci coś powiedział, pewni ludzie by cię zabili.

22 maja 2009

Staten Island, Nowy Jork

Consuela Lopez była wykończona. I obolała. Siedziała na rufie promu linii Staten Island w miejscu, które zwykle zajmowała podczas powrotu do domu, blisko wyjścia, żeby jak najszybciej zejść z pokładu. Gdyby nie zdążyła na autobus numer pięćdziesiąt jeden, odjeżdżający za piętnaście jedenasta wieczorem ze stacji przy St. George Terminal, długo czekałaby na następny. Potężne silniki o mocy dziewięciu tysięcy koni mechanicznych przejmowały jej kruche ciało wywołującą senność wibracją, bała się jednak zamknąć oczy; podejrzewała, że któryś ze współpasażerów mógłby wykorzystać okazję i pozbawić ją torebki.

Oparła spuchniętą w kostce lewą stopę na plastikowej ławeczce, nie zapominając położyć na niej gazety; położenie buta bezpośrednio na siedzeniu byłoby niegrzeczne, nawet obraźliwe. Naciągnęła kostkę, potykając się o sznur odkurzacza. Consuela pracowała jako sprzątaczką biurowa na Dolnym Manhattanie, właśnie skończyła ciężki dzień, ostatni w ciężkim tygodniu. Na szczęście wypadek zdarzył się jej w piątek, toteż przypusz-

26

czalnie zdoła się wyleczyć przez weekend. Nie mogła pozwolić sobie na choćby dzień zwolnienia z pracy, modliła się więc, żeby wydobrzeć do poniedziałku. Jeśli w sobotę wieczorem noga nadal będzie ją bolała, pójdzie na poranną niedzielną mszę i pomodli się do świętej Maryi Dziewicy o szybkie uzdrowienie. Chciała też pokazać ojcu Rochasowi dziwną pocztówkę, którą otrzymała. Ojciec Rochas z pewnością potrafi rozwiązać jej obawy.

Consuela, dziewczyna prawie nieznająca angielskiego i raczej pospolita, była jednak młoda i miała dobrą figurę, musiała więc nauczyć się bronić przed podrywaczami. Siedzący kilka metrów dalej, twarzą do niej, młody Latynos w szarej bluzie cały czas się do niej uśmiechał i choć początkowo mocno ją to peszyło, jego bardzo białe zęby i błyszczące oczy sprawiły, że w końcu odpowiedziała mu uprzejmym uśmiechem i to wystarczyło. Podeszedł, przedstawił się grzecznie. Ostatnie dziesięć minut podróży spędził, siedząc obok niej i wyrażając współczucie z powodu jej cierpień.

Prom zacumował przy nabrzeżu. Consuela nie przyjęła zaoferowanej jej uprzejmie pomocy. Zeszła z nabrzeża sama, kulejąc. Chłopak nie rezygnował, szedł kilka kroków za nią, choć posuwała się w prawdziwie żółtym tempie. Zaproponował, że podrzuci ją do domu, ale odmówiła bez wahania, bo to było przecież nie do przyjęcia. Niestety, prom spóźnił się kilka minut, a ona poruszała się tak powoli, że nie zdążyła na autobus. Wówczas zaczęła się zastanawiać. W końcu ten młody człowiek sprawiał bardzo dobre wrażenie, był wesoły, lecz jednocześnie pełen szacunku. No więc zgodziła się, a gdy poszedł wyprowadzić samochód z podziemnego garażu przeżegnała się, dla pewności.

Kiedy zbliżali się do przecznicy, przy której mieszkała, Fingerboard Road, zaczął zachowywać się odpychająco i Con-

27

suela poważnie się zaniepokoiła. Niepokój zmienił się w strach, bo minęli skręt i jej protesty na nic się zdały. Chłopak w całkowitym milczeniu jechał Bay Street, po czym ostro skręcił w stronę Arthur Von Briesen Park.

Przy końcu ciemnej uliczki ona płakała, a on wrzeszczał i wymachiwał

sprężynowcem. Zmusił ją do wyjścia z samochodu, pociągnął za sobą, mocno trzymając za ramię, zagroził, że potnie ją, jeśli ośmieli się wzywać pomocy. Obolała kostka Consueli nic go już nie obchodziła. Ciągnął ją przez krzaki w stronę brzegu, niemal biegli. Krzywiła się z bólu, ale była zbyt przestraszona, by krzyżeć.

Przed nimi pojawiła się potężna sylwetka mostu Verrazano--Narrows, ciemna i w jakiś sposób groźna. W pobliżu nie było żywej duszy. Na otoczonej drzewami polance chłopak rzucił ją na ziemię, wyrwał torebkę. Consuela zaczęła szlochać. Kazał się jej zamknąć. Szybko przejrzał zawartość torebki, schował do kieszeni znalezione w niej kilka nędznych dolarów. Wyciągnął też zwykłą, białą kartkę pocztową, zaadresowaną do dziewczyny. Kartkę z odręcznym rysunkiem małej trumny i datą: 22 maja 2009. Spojrzał na nią i uśmiechnął się sadystycznie.

— Usted me piensa le envío esto? - spytał. "Myślisz, że ja ci ją przysłałem?"

— No se - chlipnęła Consuela, potrząsając głową.

— Bien, le estoy enviando esto. - Chłopak roześmiał się, rozpiął pasek. "I świetnie, przysyłam ci to".

—  
10 czerwca 2009 Nowy Jork

Will założył, że odeszła na dobre i jego podejrzenia potwierdziły się, gdy tylko otworzył drzwi i rzucił na podłogę torbę na kółkach oraz teczkę.

Mieszkanie pozostało w stanie "sprzed Jennifer". Świece zapachowe, brak. Podkładki na stole w jadalni, brak. Poduszki do rzucania, z falbankami, brak. Jej ubrania, buty, kosmetyki, pasta do zębów, brak. Zakończył błyskawiczną inwentaryzację jedynej sypialni i otworzył drzwi do lodówki. Nawet te głupie butelki witaminizowanej wody mineralnej należało wpisać w rubrykę "brak".

Zakończył dwudniowy wyjazdowy kurs wrażliwości, zalecony w ostatniej ocenie jego skuteczności pracy. Gdyby nieoczekiwanie wróciła, wypróbowałby na niej kilka nowych technik, ale niestety... Jennifer, brak.

Rozluźnił krawat, zrzucił buty, otworzył mały barek pod telewizorem. Koperta znajdowała się tam, gdzie ją znalazł tego dnia, kiedy Jennifer znikła jak sen jaki

złoty, pod butelką Johnnie Walkera z czarną nalepką. Swym wyraźnie kobiecym  
29

charakterem pisma napisała na niej: "Pieprz się". Nalał sobie sporą szklaneczkę, położył nogi na niskim stoliku i przez pamięć dawnych czasów jeszcze raz przeczytał list ujawniający wszystkie te jego cechy, o których i tak doskonale wiedział. Lekturę, mniej więcej w połowie, przerwał mu brzęk; wielkim palcem u nogi przewrócił zdjęcie w ramce. Przysłał mu je Zeckendorf: współlokatorzy z pierwszego roku na zjeździe koleżeńskim. Pamiątka z zeszłego lata. Tak minął kolejny rok.

Godzinę później, już nieco zalany, poddał się całej sile jednej z niezmiennych opinii Jennifer: ty się nigdy nie zmienisz.

Ty się nigdy nie zmienisz - pomyślał. Całkiem interesujący pomysł. Nie do naprawienia. Nie do uratowania. Żadnych szans na rehabilitację, czy choćby nawet znaczącą poprawę.

Wyłączył telewizor w połowie meczu Metsów. Zasnął na kanapie.

Zdolny do zmiany czy do niej niezdolny, następnego ranka o ósmej siedział już za biurkiem, przekopując się przez skrzynkę odbiorczą swojego Outlooka.

Odpowiedział na parę e-maili, a jeden wysłał. Do swojej kierowniczkii, Sue Sanchez. Dziękował jej za zdolności przywódcze i dalekowzroczność. Wykazała się nimi, rekomendując go do udziału w seminarium, które właśnie ukończył. Jego wrażliwość wzrosła, jak mu się wydaje, o czterdzieści siedem procent. Należy się spodziewać, że efekty będą natychmiastowe i wyraźnie widoczne. Podpisał: "Zawsze wrażliwy, Will", po czym kliknął "Wyślij".

Trzydzieści sekund później zadzwonił telefon. Linia Sanchez.

— Witaj w domu, Will - przywitała go głosem słodkim jak miód.

— Nawet nie wiesz, jak miło jest wrócić, Susan. - W głosie

30

Willi niemal nie słyszało się już południowego akcentu, za długo mieszkał z dala od

prawdziwie prowincjonalnej Florydy.

— Mógłbyś wpaść do mnie na chwilę?

— Kiedy tylko zechcesz - obiecał natychmiast Will.

— Już. - Trzask odkładanej słuchawki.

Susan siedziała za jego starym biurkiem w jego starym pokoju, zawdzięczającemu Muhammedowi Atcie piękny widok na Statuę Wolności. Nie irytowało go to aż tak bardzo jak jej oliwkowa, skrzywiona twarz. Była fanatyczką sprawności fizycznej, a podczas ćwiczeń czytała regulaminy służby i poradniki dla menedżerów. Fizycznie zawsze wydawała mu się atrakcyjna, ale ten kwaśny grymas i nosowy, brzęmiący nieodmiennie oficjalnie głos z charakterystycznym latynoskim brzękiem skutecznie gasił jego zainteresowanie.

— Siadaj - powiedziała, gdy tylko wszedł. - Musimy pogadać, Will.

— Susan, jeśli masz zamiar mieszać mnie z błotem, jestem gotów przyjąć to z profesjonalnym spokojem. Zasada numer sześć... a może numer cztery, nie pamiętam... brzmi: "Jeśli czujesz, że jesteś prowokowany, nie reaguj pośpiesznie. Po wstrzymaj się, rozważ konsekwencje swoich działań, a potem ostrożnie dobieraj słowa, z szacunkiem dla osoby lub osób, które rzuciły ci wyzwanie". Dobrze, nie? Mam dyplom. - Will uśmiechnął się i splótł dłonie na swym całkiem świeżym, ale już dobrze widocznym brzuszku.

— Nie jestem dziś w szczególnie dobrym nastroju na twoje wygłupy - oznajmiła Sanchez zmęczonym tonem. - Mam problem. Nie rozwiążę go bez twojej pomocy. - Menedżerska gadka oznaczająca w istocie: "Czeka cię solidny ochrzan".

— Mam ci pomóc? Dla ciebie wszystko. Pod warunkiem że wykluczamy nagość i spieprzenie moich ostatnich czternastu miesięcy.

Sanchez westchnęła. Milczała, świadomie wywierając wrażenie, jakby brała sobie do serca zasadę numer sześć... a może cztery? Will wiedział doskonale, że dla niej jest najważniejszym dzieckiem z problemami. W biurze wszyscy znali tę piosenkę. Will Piper. Lat czterdzieści osiem, dziewięć lat starszy od Sanchez. Niegdyś jej szef, nim dostał kopa w dół, z kierowniczego stanowiska na stanowisko agenta specjalnego. Niegdyś oszałamiająco przystojny: ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, bary atlety, talia sylfidy, lśniące niebieskie oczy, po chłopięcemu zmierzwione włosy, ale było to, zanim alkohol i siedząca praca nadały jego ciału konsystencję i barwę rosnącego ciasta. Niegdyś kolekcjoner sukcesów, teraz stał się dokuczliwą, zapatrzoną w zegar biurwą.

- Johnny Mueller - Susan niemal wypłuła te słowa - dostał udaru. Dwa dni temu. Lekarze twierdzą, że wyjdzie z tego, ale zostanie na zwolnieniu lekarskim. Jego nieobecność, zwłaszcza teraz, jest wielkim problemem dla biura. Przedyskutowałam to już z Benjaminem i Ronaldem.

Will zdumiał się jak nie wiem co.

— Mueller? Przecież on jest młodszy od ciebie! Sukinsyn biega maratony! Jakim cudem mógł dostać udaru!

— Miał dziurę w sercu, której nikt przedtem nie zauważył.

Mały skrzep krwi z nogi przepłynął przez nią i dotarł do mózgu, przynajmniej tak mi powiedzieli. Trochę przerażające, że coś takiego może się zdarzyć.

Will nienawidził Muellera. Cholerny gładki, muskularny sukinsyn. Zawsze postępował zgodnie z regulaminem. A już absolutnie nie do zniesienia było to, że łobuz ciągle robił mu w oczy wkurzające uwagi na temat jego wybuchu; pewnie uważał, że chroni go przypisany Willowi status trędowatego. Pierwsze, co mu przyszło do głowy, to myśl: A niech pierdoła do końca życia chodzi i mówi jak idiota.

— Chryste, szkoda go - powiedział głośno.

— Chcemy, żebyś przejął sprawę Dnia Sądu.

Nadludzkiej siły wymagało powstrzymanie się od powiedzenia jej, żeby się pieprzyła. Bo to od samego początku powinna być jego sprawa. Prawdę mówiąc, to skandal, że nie przydzielili mu jej, gdy tylko trafiła do biura. No bo jak to tak: jeden z najwytrawniej szych współcześnie specjalistów FBI od seryjnych morderców pominięty w wielkiej sprawie, która w dodatku zdarzyła się na jego terenie! Zapewne była to dobra miara jego upadku. Był czas, kiedy ten szczególny afront bolał jak cholera, ale Will prawie natychmiast przekonał sam siebie, że to tylko lepiej i że udało mu się uniknąć kłopotów. Bo przecież wychodził na ostatnią prostą. Emerytura była jak fatamorgana na pustyni, bliska, ale ciągle poza zasięgiem. Mógł wreszcie dać sobie spokój z ambicjami, nie musiał już

0      nic walczyć i do niczego dążyć, nie musiał przejmować się biurową polityką, morderstwami, śmiercią. Był zmęczony, samotny w mieście, którego nigdy nie polubił. Chciał wrócić do domu. Z regularnie wpływającą na konto emeryturą.

Siedział w milczeniu, trawiąc złą wiadomość. Dzień Sądu szybko stał się największą i najgłośniejszą sprawą biura, wymagającą zaangażowania, którego od dawna nie potrafił z siebie wykrzesać. Nie chodziło bynajmniej o pracę w dzień, w noc

1      w weekendy. Dzięki Jennifer miał więcej czasu, niż po trzeba. Problem tkwił w nim; każdemu, kto by go o to zapytał, powiedziałby chętnie, że nic go już nie obchodzi.

Żeby rozwiązać sprawę seryjnych zabójstw, trzeba mieć wściekłą ambicję, a ten płomień dawno wyżarzył się w nim i zgasł.

Szczyście też się liczy, owszem, ale z doświadczenia Willa wynikało, że musisz przede wszystkim zasuwać ze wszystkich sił i stworzyć sytuację, w której szczęście ma szansę wykazać się kaprysem.

A poza tym partnerką Muellera była młoda agentka specjalna, zaledwie trzy lata po Quantico, tak zamarynowana w szalonej ambicji i agencyjnej poprawności, że porównanie do religijnego fanatyka samo się narzucało. Obserwował ją, kiedy miotła się po dwudziestym trzecim piętrze, niemal biegła korytarzami, tak dogłębnie pozbawiona poczucia humoru, taka świętosz-kowata, tak poważnie traktująca samą siebie, że zbierało mu się od tego na mdłości.

Pochylił się. Twarz miał szarą, niemal jak popiół.

- Posłuchaj, Susan - powiedział i mówił dalej coraz głośniej. - To nie jest dobry pomysł. Ten statek dawno znikł za horyzontem. Powinnaś dać mi tę sprawę parę tygodni temu, ale wiesz co? Podjęłaś dobrą decyzję. W tym momencie to nie jest dobre rozwiązanie ani dla mnie, ani dla Nancy, ani dla tego biura, ani dla Biura w ogóle, ani dla podatników, ani dla ofiar, ani dla cholernych przyszłych ofiar! Ty to wiesz i ja to wiem!

Sanchez wstała, zamknęła drzwi, wróciła za biurko, założyła nogę na nogę. Cichy szelest rajstop na moment przerwał Willowi przemowę.

- Dobrze, nie będę krzyczał - obiecał. - Ale... najgorsze to jest dla ciebie. Bo ty jesteś na krzywej wznoszącej. Masz największe rabunki, masz przestępstwa z użyciem siły, drugi z najbardziej znanych oddziałów nowojorskich. Jeśli ten dupek od Dnia Sądu zostanie złapany na twojej zmianie, pójdziesz jeszcze wyżej. Jesteś kobietą, przedstawicielką mniejszości, za parę lat będziesz asystentką dyrektora w Quantico, może specjalnym agentem nadzorującym w DC. Dla ciebie nie ma żadnych granic. Moja przyjacielska rada brzmi: nie spieprz tego, włączając w sprawę mnie.

Obrzuciła go spojrzeniem, od którego błoto zamarzłoby na kamień.



- Dziękuję ci za ten wykład na opak, Will, choć nie sądzę, żeby dobrym pomysłem było wysłuchiwanie zawodowych rad od kogoś, kto pod względem zawodowym szybko zjeżdża w dół. Możesz wierzyć albo nie, ale mnie też nie podoba się ten pomysł. Rozważyliśmy go między sobą. Benjamin i Ronald odmówili przeniesienia kogoś z antyterrorystów, a białe kołnierzyki i prześcieradła zorganizowane nie mają nikogo, kto zajmowałby się kiedyś czymś choćby odrobinę podobnym do Dnia Sądu. Nie chcąc spadochroniarza z DC albo jakiegokolwiek innego biura, kiepsko by z tym wyglądali. Nowy Jork to nie Cleveland, podobno mamy długą ławkę. A ty masz dobrą przeszłość. Osobowość złą, będziesz musiał nad nią popracować, ale przeszłość w sam raz. Dzień Sądu jest twój. Ostatnia duża sprawa, Will. Odejdiesz z hukiem. Pomyśl o tym w ten sposób i rozchmurz się.

Will spróbował innego podejścia.

— Nawet jeśli złapiemy gościa jutro, a nie złapiemy, przejdę do historii, nim jego sprawa trafi do sądu.

— Więc przyjedziesz na proces. Diety z pewnością ci się wtedy przydadzą.

— Bardzo śmieszne. A co z Nancy? Przecież ja ją otruję.

Chcesz z niej zrobić kozła ofiarnego?

— Jest ostra. Poradzi sobie. Z tobą też.

Will siedział nadąsany, ale już nie protestował.

— Co ze sprawami, którymi się teraz zajmuję? - spytał.

— Przekażę je innym. Żaden problem.

I na tym się skończyło. Tu nie było demokracji, a nie wchodziło w grę, by oszczędzić lub dać się wywalić. Zostało czternaście miesięcy. Czternaście pieprzonych miesięcy. Kilka następnych godzin zmieniło jego życie. Administrator biura zjawiał się z pomarańczowymi wózkami na kółkach

i wywiózł z jego pokoiku akta wszystkich spraw w toku. Ich miejsce zajęły akta Dnia Sądu, pudła dokumentów zebranych przez Muellera w ciągu kilku tygodni przedtem, nim lepka grudka płytek krwi zmieniła mu kilka milimetrów mózgu w papkę. Will gapił się na nie jak na cuchnącą kupę. Wypił kolejny kubek parzonej po raz któryś kawy, nim raczył się do nich zabrać. Otworzył jeden z segregatorów, wybrany na chybił trafił.

Usłyszał, jak chrząka przed wejściem do pokoju, nim ją zobaczył.

- Cześć - powiedziała Nancy. - Wygląda na to, że będziemy pracować razem.

Nancy Lipinski wciśnięta była w ciemnoszary kostium o pół numeru za mały, opinający ją w pasie tak ciasno, że nad paskiem pojawił się mały, ale niezbyt atrakcyjny brzuszek. Była malutka, najwyżej metr sześćdziesiąt wzrostu, zdaniem Willa powinna jednak zrzucić parę kilo wszędzie, włączając w to okrągłą, pulchną twarz. Były tam gdzieś jakieś kości policzkowe? Nie należała do typu twardych, umięśnionych absolwentów, których ze swych trzewi seryjnie wydała Quantico. Należało sobie zadać pytania, jakim cudem przeszła reżim tamtejszych zajęć fizycznych. W Quantico dawali popalić i nie mieli żadnej litości dla kobiet. Szczerze mówiąc, Nancy nie była wcale aż tak nieatrakcyjna. Praktycznie przycięte, nie sięgające ramion rdzawe włosy, makijaż i błyszczący wystarczały, by podkreślić delikatny, kształtny nos, ładnie wykrojone usta i błyszczące piwne oczy; u każdej innej kobiety sam zapach jej perfum już załatwiłby sprawę. Ale od niej odpychało Willa to, że wyglądała żałośnie. Czyżby rzeczywiście polubiła takie zero jak Mueller?

— Co masz zamiar robić? - spytał retorycznie.

— To nie jest właściwa chwila?

36

— Posłuchaj, Nancy, nie zdażyłem jeszcze zdjąć sznurka z pudełka. Mogłabyś dać mi te parę godzin? Porozmawiamy

dzisiaj, później, po południu, dobrze?

— W porządku, Will. Ja tylko chciałam, żebyś wiedział, że choć wstrząsnęła mną ta historia z Johnem, będę przy tej sprawie harować równie ciężko jak przedtem. Nigdy nie pracowaliśmy razem, ale przestudiowałam kilka twoich spraw i znam twój wkład w tę dziedzinę. Staram się zawsze iść do przodu, doskonalić, więc twoje opinie mają dla mnie wielką wagę i...

Will uznał, że tego rodzaju obrzydliwą gadkę należy zdusić w zarodku.

- Jesteś wielbicielką Seinfelda? - spytał.

- Tego z telewizji?

Skinął głową potakująco.

— No... wiem, że jest coś takiego... - przyznała Nancy, patrząc na niego podejrzliwie.

— Ludzie, którzy stworzyli ten program, opracowali też zasady dla poszczególnych postaci i właśnie te zasady różnią go od wszystkich innych. Chcesz wiedzieć, co to za zasady? Bo będą obowiązywały także między nami.

— Jasne, Will - przytaknęła rażno, najwyraźniej gotowa do opanowania kolejnej lekcji.

— No więc te zasady brzmią tak: żadnego nauczania i żadnego obściskiwania. Zobaczymy się później, Nancy.

Agentka stała na progu, najwyraźniej niepewna, czy ma odpowiedzieć, czy odejść, nim jednak podjęła decyzję, oboje usłyszeli zbliżające się szybkie lekkie kroki; kobieta próbująca biec w pantoflach na obcasach.

- Uwaga, alarm, Sue nachodzi! - krzyknął melodramatycznie Will. - Brzmi to tak, jakby miała coś, czego my nie mamy.

W ich biznesie informacja dawała jej właścicielowi przewagę,

choć tymczasową. Świadomość, że dowiaduje się czegoś wcześniej od innych, jakby wywoływała u Sue Sanchez gwałtowny przepływ energii.

- Dobrze, że złapałam was oboje - powiedziała, praktycznie wpychając Nancy do pokoiku Willa. - Mamy nowy przypadek! Numer siedem, na Bronksie. - Zachowywała się niepoważnie, niemal dziecinnie. - Jedźcie tam już, zaraz, nim Czterdziesty Piąty spieprzy sprawę.

Will wznosił ręce do nieba w geście rozpaczy.

- Jezu, Susan, przecież ja nic nie wiem o pierwszych sześciu przypadkach. Daj mi trochę czasu.

Oczywiście Nancy miała coś inteligentnego do powiedzenia.

— Hej, po prostu udawaj, że to numer jeden. Nic wielkiego.

Zawsze mogę ci coś opowiedzieć po drodze.

— A nie mówiłam? - Sanchez uśmiechnęła się złowrogo. - Że jest twarda?

Will wziął jeden ze standardowych czarnych fordów ex-plorerów wydziału.

Wyjechał z podziemnego garażu na 26 Liberty Plaża, przepchnął się przez jednokierunkowe uliczki i wreszcie skierował na północ. Pędził w stronę FDR Drive najszybszym pasem. Samochód był po generalnym przeglądzie, prowadził się gładko, ruch nie przeszkadzał, a on lubił od czasu do czasu wyrwać się z biura. Gdyby był sam, nastawiłby radio na WFAN i zaspokoił prawie narkotyczny głód informacji sportowych... ale nie był sam. Obok niego siedziała Nancy Lipinski z notatnikiem w dłoniach, zameczająca go wykładem. Przejechali pod kolejką na Roosevelt Island; jej wagonik przesuwiał się powoli wysoko nad wzburzonymi czarnymi wodami East River.

Nancy była podniecona jak zboczeniec na targach pornografii.

38

To była jej pierwsza sprawa dotycząca seryjnych zabójstw, kluczowy moment jej kariery w stadium dziecięcym. Dostała do niej przydział, bo była ulubienicą Sue i

dlatego, że już wcześniej pracowała z Muellerem. Układało się im fantastycznie, bo podpieraa jego kruche ego: "John, jesteś taki mądry! John, czy ty masz fotograficzną pamięć? John, tak bym chciała umieć prowadzić przesłuchanie jak ty!".

Will bardzo starał się uważać. Przyswojenie trzech tygodni danych, którymi karmiła go jak łyżeczką, było procesem względnie bezbolesnym, ale po nocnej randce z johnny wal-kerem ciągle nie mógł się skupić i nie myślał za szybko. Mimo to wiedział, że wejdzie w koleiny jak w masło. W ciągu dwudziestu lat prowadził osiem dużych spraw seryjnych zabójstw, a kibicował nieskończenie wielu innym.

Pierwsze było Indianapolis, jego pierwszy przydział w terenie; był wówczas niewiele starszy od tej dziewczyny. Sprawcą okazał się porąbany psychopata, lubiący kłaść papierosy na powiekach ofiar, póki nie zdradził go niedopałek. Kiedy druga żona Willa, Evie, dostała się na studia podyplomowe w Duke, on dostał przeniesienie do Raleigh, no i oczywiście w Asheville i okolicy kolejny popapraniec zaczął zabijać kobiety brzytwą. Dziewięć bolesnych miesięcy i pięć pokrojonych na kawałki ofiar. Później udało mu się złapać i jego. I nagle wyszło na to, że cieszy się reputacją. Stał się de facto specjalistą. Po kolejnym nieprzyjemnym rozwodzie dostał kopa do centrali, do pracy w przestępstwach z użyciem siły, w grupie kierowanej przez Hala Sheridana, który całe pokolenie agentów nauczył profilowania seryjnych zabójców. Sheridan był facetem zimnym jak ryba, pozbawionym uczuć i tak spiętym, że stał się w końcu obiektem biurowych żartów. Mówiono, że gdyby seria zabójstw zaczęła się w Wirginii, to jego trzeba by wpisać na listę podejrzanych. Sprawy federalne

39

rozdzielał z głębokim namysłem, dopasowując sposób myślenia morderców do sposobu myślenia swych agentów. Will dostawał od niego te, które cechowały się szczególną brutalnością i torturami, dzieło przestępców wyjątkowo agresywnych. Nienawidzących kobiet. Ciekawe dlaczego?

Recytacja Nancy przedarła się wreszcie w głąb jego umysłu. Musiał przyznać, że fakty okazały się rzeczywiście cholernie interesujące. Najogólniejszą wiedzę o sprawie już miał, dzięki mediom. Bo kto jej nie miał? To była właśnie ta historia. Jak

należało się spodziewać, ksywa sprawcy, "Morderca Dnia Sądu", powstała dzięki prasie. Honor ten przypadł "Post". Jej wróg na śmierć i życie, "Daily News", opierał się przez kilka dni, trwając przy swoich "POCZTÓWKACH Z PIEKŁA", skapitulował jednak szybko i od momentu kapitulacji rozsmarowywał "Dzień Sądu" na całej pierwszej stronie.

Według Nancy na kartce nie było pospolitych odcisków palców; nadawca najprawdopodobniej używał rękawiczek, niepozostawiających śladów materiału, pewnie więc roboczych gumowych. Na kilku znaleziono ślady nienależące do ofiar i niezwiązane z nimi; agenci FBI właśnie badali pracowników poczty, mogących mieć z nimi kontakt na trasie Las Vegas - Nowy Jork. Same kartki, zwykłe, białe, można było dostać dosłownie wszędzie. Sprawca użył atramentowej drukarki HP Photosmart, jednej z dziesiątków tysięcy będących w obrocie, w opcji drukowanie dwustronne ręczne. Typowy font wybrał z opcji Worda. Trumny na kartkach rysowała prawdopodobnie ta sama ręka, czarnym pentelem, supercienkim, jednym z milionów do kupienia wszędzie. Za każdym razem użyto takiego samego znaczka, czterdziestojednocentowego, ze wzorem amerykańskiej flagi, jednego z setek milionów będących w obiegu, z odlepianym paskiem na rewersie, żadnych szans na badanie

40

DNA. Sześć kartek wysłano osiemnastego maja. Przeszły przez centrum segregacji poczty Stanów Zjednoczonych w Las Vegas.

- No więc nasz facet miał mnóstwo czasu, żeby przylecieć z Vegas do Nowego Jorku, ale dojechać samochodem lub pociągiem byłoby mu raczej trudno - przerwał Nancy Will, dziwiąc ją tym niepomernie, bo wcale nie była pewna, czy jej w ogóle słucha. - Macie listy pasażerów wszystkich lotów z Vegas, bezpośrednich i z przesiadką, lądujących na LaGuardii, Kennedy i Newark między osiemnastym a dwudziestym pierwszym?

Nancy podniosła wzrok znad notatnika.

- Spytałam Johna, czy nie powinniśmy tego zrobić, ale powiedział, że nie warto, bo przecież ktoś mógł je wysłać w imieniu mordercy.

Will zatrąbił na camry jadącą wolniej, niż mu się podobało, a kiedy nie zrobiła mu miejsca, wyprzedził ją po prawej, agresywnie. Nie potrafił ukryć sarkazmu.

- Niespodzianka! Mueller popełnił błąd! Seryjni mordercy nie miewają współników. To się niemal nie zdarza. Czasami zabijają w parze, jak snajperzy z DC albo strzelcy z Phoenix, ale jest to niezwykle rzadkie. A już żeby szukać wsparcia logistycznego przy morderstwie? To byłby pierwszy raz. Tacy faceci to samotne wilki.

Dziewczyna pracowicie skrobała w notatniku.

— Co robisz? - spytał Will.

— Zapisuję sobie, co powiedziałaś.

Chryste, przecież to nie szkoła - pomyślał Will.

- Skoro już bawisz się długopisem - rzucił kpiąco - możesz zapisać jeszcze i to, że jeśli zabójca ucieka samo chodem, warto sprawdzić mandaty za przekroczenie prędkości na głównych drogach.

Nancy skinęła głową i spytała cicho, ostrożnie:

41

— Chcesz usłyszeć więcej?

— Cały zmieniam się w słuch.

"Więcej" sprowadzało się do tego: ofiary, czterej mężczyźni i dwie kobiety, miały od osiemnastu do osiemdziesięciu dwóch lat. Trzy mieszkały na Manhattanie, po jednej w Brooklynie, Staten Island i w Queens. Dzisiejsza miała być pierwszą z Bronksu. Za każdym razem sposób działania był ten sam: ofiara otrzymywała kartkę, datowaną na jutro lub pojutrze. Na każdej kartce narysowana była trumna. Ginęła w oznaczonym

dniu. Dwie pchnięto nożem, jedną zastrzelono, w jednym wypadku upozorowano nadużycie heroiny, jedna została przejechana samochodem, którego kierowca zbiegł z miejsca wypadku, jedna wyrzucona z okna.

— I co na to Mueller? - spytał Will.

— Jego zdaniem sprawca próbował nas zmylić, nie stosując jednego wzorca zachowań.

— A ty jak myślisz?

- Że to niezwykle. W podręcznikach się tego nie znajdzie.

Will natychmiast wyobraził sobie jej podręczniki: fragmenty obsesyjnie zamazywane żółtym markerem, notatki na marginesach, małe schludne literki.

- Ofiary? - spytał. - Jakieś związki między ofiarami?

Wydawało się, że nie ma związków między ofiarami. Obliczeniowcy z Waszyngtonu bawili się w analizę kontekstową szeregu baz danych, trochę taką, jak komputerowa wersja Six Degrees of Kevin Bacon\*, ale przynajmniej na razie niczego nie znaleźli.

— Napastowanie seksualne?

Dziewczyna przerzuciła kilka kartek.

— W jednym wypadku. Trzydziestodwuletnia Latynoska,

\* Aluzja do telewizyjnego programu rozrywkowego.

42

Consuela Pilar Lopez. Na Staten Island. Została zgwałcona i zakłuta na śmierć.

Jechali Bruckner Expressway, przebijającą Bronx na wschodzie.

- Wiesz, dokąd jedziemy? - spytał Will.

W notatniku znalazła się oczywiście odpowiednia notatka.

— Sullivan Place osiemset czterdzieści siedem.

— Serdeczne dzięki. Do kurwy nędzy, przecież ja nie mam zielonego pojęcia, gdzie to w ogóle jest. Za to wiem, gdzie jest stadion Jankesów. I na tym kończy się moja znajomość pieprzonego Bronksu.



— Proszę nie kłać - powiedziała Nancy stanowczo, niczym gimnazjalna nauczycielka strofująca ucznia. - Mam mapę - dodała, rozwinęła ją, studiowała przez chwilę, a potem rozearzała się dookoła. - Powinniśmy zjechać teraz w Brucken Boulevard.

Dobre półtora kilometra przejechali w milczeniu. Will spodziewał się, że podejmie przerwany wykład, ale dziewczyna siedziała z kamienną twarzą, patrząc przed siebie na drogę. Kiedy wreszcie przyjrzał się jej uważniej, zobaczył, jak drży jej dolna warga.

— No co? Oburzyło cię, że zakląłem? Kurwa, tylko nie to.

Spojrzała na niego żałośnie.

— Jesteś inny niż John Mueller.

- Jezu! Dużo czasu zajęło ci dojście do tego jakże od krywczego wniosku.

Jadąc na południe East Tremont, minęli czterdziesty piąty posterunek, obrzydliwy przysadzisty budynek z parkingiem za małym dla stojących gdzie popadło radiowozów. Termometr wskazywał ponad dwadzieścia pięć stopni. Na ulicy mnóstwo było Portorykańczyków niosących plastikowe torebki, popychających wózki z dziećmi lub po prostu spacerujących z te-

43

lefonami komórkowymi przytkniętymi do uszu, wchodzących do sklepów spożywczych i rodzinnych sklepików i z nich wychodzących. Kobiety ubierały się wyjątkowo lekko; za dużo tu było dziewczyn z nadwagą, w stanikach, wyciętych szortach i klapkach, żeby mu się to szczególnie spodobało. Czy one naprawdę uważają się za seksowne? Nie mógł opędzić się od myśli, że jego pasażerka wygląda przy nich jak supermodelka. Nancy siedziała z nosem w mapie. Bała się, że coś spieprzy.

- Stąd to będzie trzecia w lewo - powiedziała.

Sullivan Place było ulicą niezbyt nadającą się do popelnienia

jakiegoś poważniejszego morderstwa. Radiowozy, nieoznaczone samochody i furgonetki zespołu lekarskiego stały w podwójnym szeregu przed miejscem zbrodni, blokując ruch. Willy podjechał do młodego gliniarza, starającego się utrzymać przejezdny choćby jeden pas. Machnął mu przed nosem legitymacją.

— Jeeezu! - westchnął gliniarz. - Nie mam pojęcia, co z wami zrobić. Moglibyście objechać kwartał? Może z tyłu znajdzie się dla was jakieś miejsce?

— Z tyłu? - powtórzył Will, naśladowując jego ton.

— No właśnie, objeździe kwartał. No wiecie, parę zakrętów w prawo...

Will wyłączył silnik, wysiadł, rzucił chłopakowi kluczyki. Niemal natychmiast rozległa się kakofonia samochodowych klaksonów. Oblężenie.

- Co wy wyprawiacie! - wrzasnął gliniarz. - Nie możecie zostawić tu wozu.

Nancy siedziała w SUV-ie nieruchomo, straszliwie zażenowana. Will się odwrócił.

- No już, rusz się! - zawołał. - I zapisz numer służbowy funkcjonariusza Cuneo w tym swoim małym notesiku. Na wypadek, gdyby potraktował własność rządową bez należytego szacunku.

44

- A to dupek - burknął gliniarz.

Will szukał akurat okazji, żeby się na kimś wyżyć. Chłopak nadawał się do tego doskonale.

- Słuchaj - powiedział, gotując się z wściekłości - jeśli chcesz utrzymać tę swoją nędzną pracę, nie pogrywaj ze mną.

A jeśli gównem cię ona obchodzi, to proszę, spróbuj. No?

Dwaj wściekli faceci skaczą sobie do oczu. Nabrzmiałe żyły...

- Will, może już pójdziemy? - powiedziała błagalnie

Nancy. - Tylko tracimy czas.

Gliniarz potrząsnął głową, wsiadł do explorera, przejechał kawałek i stanął, blokując wóz któregoś z detektywów. Will, wciąż ciężko oddychając, puścił oko do partnerki.

- Wiedziałem, że znajdzie miejsce.

Był to kieszonkowy blok mieszkalny, dwa piętra, sześć mieszkań, brudnobiała cegła, z której mury zbudowano gdzieś w latach czterdziestych. Korytarz był mroczny, przygnębiający: brązowe i czarne płytki ceramiczne na podłodze, brudne beżowe ściany, nagie żółte żarówki. Całe zamieszanie skupiało się wokół mieszkania 1A, na parterze po lewej. Przy końcu korytarza, koło zsypu na śmiecie, zgromadzili się przedstawiciele rodziny manifestujący międzypokoleniowy żal: kobieta w średnim wieku zawodząca cicho; jej mąż w roboczych butach próbujący ją pocieszyć; młoda dziewczyna w zaawansowanej ciąży siedząca wprost na podłodze, dochodząc do siebie po hiperwentylacji; oszołomiona mała dziewczynka w niedzielnej sukience; paru starych mężczyzn w luźnych koszulach potrząsających głowami i gładzących się po zarośniętych rzadką szczecina policzkach.

Will prześlizgnął się przez na pół otwarte drzwi, Nancy podążała krok za nim.

Skrzywił się przeraźliwie na widok kucharek sześciu, przez które nie będzie co jeść.

Na powierzchni jakichś siedemdziesięciu pięciu metrów kwadratowych kręciło

45

się kilkanaście osób, astronomicznie zwiększając szansę zniszczenia wszelkich możliwych śladów. Przeprowadził szybkie rozpoznanie, nadal z depczącą mu po piętach agentką. Zdumiewające, ale nikt ich nie zatrzymał, nikt nawet nie zakwestionował ich obecności. Pokój frontowy: meble typowe dla staruszki, bibelociki. Dwudziestoletni telewizor. Will wyjął z kieszeni długopis. Rozchylił nim firanki, wyjrzał. Procedurę tę powtarzał we wszystkich pomieszczeniach. Lśniącą czystością kuchnia, żadnych naczyń w zlewie. Łazienka, także bardzo czysta, pachnąca talkiem do stóp. Sypialnia, zbyt zatłoczona rozgadanyimi gliniarzami, żeby zobaczyć w niej coś oprócz grubych nieruchomych nóg, szarych, pokrytych plamami, spoczywających obok nieposłanego łóżka. Jedna stopa wsunięta do połowy w kapeć.

- Kto tu rządzi!?! - wrzasnął Will ile sił w płucach.

Zapadła cisza i trwała chwilę, póki ktoś nie odpowiedział:

"A kto pyta?". Z tłumu wyszedł łysiejący detektyw z potężnym brzuchem opiętym ciasną marynarką.

- FBI. Agent specjalny Piper.

Nancy wyglądała na obrażoną. Jej nie przedstawił.

— Detektyw Chapman, posterunek czterdziesty piąty. -

Gliniarz wyciągnął wielką, ciepłą łapę wagi co najmniej cegły.

Zajeżdżało od niego cebulą.

— Detektywie, co pan powie na opróżnienie lokalu, żebyśmy mogli przeprowadzić badanie miejsca zbrodni spokojnie i kulturalnie?

— Moi ludzie prawie skończyli. Jeszcze chwila i to wszystko będzie wasze.

— Zróbmy to od razu, dobrze? Połowa pańskich ludzi nie ma nawet rękawiczek, żaden nie nosi ochraniaczy na buty.

Robicie tu cholerny bałagan, detektywie.

— Nikt niczego nie dotyka - zaprotestował Chapman.

46

Zauważył, że Nancy robi notatki i spytał nerwowo: - A to kto, pańska sekretarka?

- Agentka specjalna Lipinski - przedstawiła się dziewczyna, słodko machając na niego notesem. - Mogę prosić o imię, detektywie Chapman?

Will z trudem ukrył uśmiech.

Chapman nie miał najmniejszej ochoty walczyć o terytorium z federalnymi. Może się ciskać, wrzeszczeć i argumentować, ale i tak przegra. Życie jest na to zdecydowanie za krótkie.

- Uwaga, chłopaki - powiedział głośno. - Pojawilo się FBI i chce, żebyśmy się stąd wynieśli, więc pakujemy co nasze i w drogę. Oni mają swoje sprawy, my swoje.

- I niech zostawią pocztówkę - powiedział Will.

Detektyw sięgnął do kieszeni na piersiach, wyciągnął z niej plastikową zapinaną torebkę z kartką w środku.

- Proszę bardzo.

Kiedy wreszcie w mieszkaniu zrobiło się pusto, wraz z detektywem dokładnie obejrzelili ciało. W środku było ciepło, w powietrzu unosiła się już słaba woń rozkładu. Jak na śmierć od postrzału z broni palnej krwi było zdumiewająco niewiele: kilka skrzepów w siwych, pozlepianych włosach, zaschnięta strużka na policzku; dopływ rzeki z przerwanej tętnicy, która spłynęła z ucha po karku na dywan w kolorze mchu. Ofiara leżała na wznak, jakieś ćwierć metra od kwiecistej falbany zwisającej z nieposłanego łóżka, ubrana w różową bawełnianą koszulę nocną, którą miała pewnie na sobie tysiące razy. Jej oczy, już suche jak kamień, były otwarte, wpatrzone w pustkę. Will widział mnóstwo trupów, wiele z nich potraktowanych tak brutalnie, że wręcz trudno było rozpoznać ich człowieczeństwo. Ta dama wyglądała całkiem niezłe, miła portorykańska babcia, którą da się obudzić potrząśnięciem za ramię. Zerknął na Nancy, by sprawdzić, jak reaguje na śmierć.

47

Nancy notowała coś pracowicie.

- No więc tak, jak ja to sobie wyobrażam... - zaczął Chapman.

Will podniósł rękę, uciszając go w pół słowa.

- Agentko Lipinski, może pani nam powie, co tu zaszło.

Nancy zarumieniła się i przez to jej policzki zrobiły się jeszcze okrągłejsze. Rumieniec rozszerzył się na szyję, zniknął pod dekoltem białej bluzki. Przełknęła ślinę, oblizwała wargi. Zaczęła powoli, ale potem nabierała tempa, w miarę jak porządkowała myśli.

- Morderca był tu prawdopodobnie przed nią, niekoniecznie w mieszkaniu, raczej blisko budynku. Krata zabezpieczająca okno w kuchni została podważona. Trzeba byłoby bliżej się

jej przyjrzeć, ale założy się, że rama okienna jest przegniła.

Ale nawet gdyby krył się w bocznej alejce, nie zaryzykowałby załatwienia sprawy w ciągu jednej nocy. Nie, jeśli chciał mieć absolutną pewność, że zdąży na dzień zapisany na pocztówce.

Wrócił wczoraj w nocy, wszedł w alejkę, dokończył robotę.

Wyjął kratę. Wyciął otwór w szybie diamentem, otworzył okno od zewnątrz. Na butach wniósł trochę brudu z alejki, jest w kuchni i w -holu, o tu, i tu.

Wskazała dwa ślady na wykładzinie w sypialni, w tym plamę, na której stał Chapman. Detektyw cofnął się, jakby ktoś mu powiedział, że ta plama jest radioaktywna.

- Ofiara musiała coś usłyszeć - kontynuowała Nancy - bo usiadła i zaczęła wkładać kaptcie. Nim je włożyła, wszedł. Oddał jeden strzał z bezpośredniej odległości, w lewe ucho. Wygląda mi to na mały kaliber, zapewne dwudziestkędwójkę. Pocisk nadal tkwi w mózgowicze, rany wylotowej nie ma. Nie sądzę, by doszło do napastowania seksualnego, to jednak trzeba sprawdzić. Musimy także sprawdzić, czy coś nie zginęło. Nie ma śladu przeszukania, ale też nigdzie nie widzę torebki.

48

Sprawca najprawdopodobniej wyszedł tą samą drogą. - Przerwała, zmarszczyła czoło. - To wszystko. Moim zdaniem tak to przebiegało.

Will spojrzał na nią surowo, odczekał kilka sekund, aż się poważnie zdenerwowała, i powiedział:

- Jasne. Moim zdaniem też. - Nancy rozpromieniła się, jakby właśnie wygrała konkurs ortograficzny i dumnie spojrzała na swoje buty na gumowej podeszwie. - A pan? Zgadza się pan z moją partnerką, detektywie?

Chapman wzruszył ramionami.

- Bardzo prawdopodobne. Taaak, dwudziestkadwójka. Jestem pewien, że o nią tu chodzi.

Facet nie ma pojęcia, o co biega - pomyślał Will, a głośno powiedział:

— Nie wie pan, czy coś zostało skradzione?

— Córka twierdzi, że brakuje torebki ofiary. To ona znalazła nieboszczkę dziś rano. Pocztówka leżała na kuchennym stole, razem z resztą poczty.

— Była napastowana? - spytał, wskazując uda ofiary.

— Nie mam pojęcia - uniósł się Chapman. - Może gdyby pan nie wywalił stąd naszego lekarza, tobyśmy wiedzieli!

Will przykucnął. Ostrożnie uniósł koszulę nocną staruszki długopisem, który ciągle trzymał w ręku. Zajrzał pod zaimprovizowany namiot. Bielizna staruszki wyglądała na nienaruszoną.

- Nie wygląda mi na to - powiedział. - Przyjrzyjmy się pocztówce.

Obejrzał ją dokładnie, po czym przekazał Nancy.

— Czcionka na sama? - spytał.

Przytaknęła.

— Courier dwunastka - stwierdził Will.

Spytała, skąd wie. Wyraźnie jej zaimponował.

49

- Jestem geniuszem fontów - zażartował. I przeczytał głośno: - Ida Gabriela Santiago.

Chapman powiedział, że zdaniem córki matka nie używała drugiego imienia.

Will wstał, wyprostował się, przeciągnął.

— No dobra, skończyliśmy - zdecydował. - Nikogo nie wpuszczajcie, póki nie przyjadą nasi kryminaliści. Jeśli będziemy czegoś potrzebować, to się z wami skontaktujemy.

— Macie już coś na tego psychola?

Zadzwoił telefon, który Will nosił w wewnętrznej kieszeni marynarki. Okrutnie rzępolił Odą do radości. Wyjął go, jednocześnie odpowiadając gliniarzowi.

- Jack... cholera!... detektywie Chapman, to mój pierwszy dzień przy tej sprawie. - A do telefonu: - Tak, tu Piper...

Słuchał przez chwilę, kilkakrotnie potrząsnął głową, a potem powiedział:

— Jak nie urok, to sraczka. A Mueller nie doznał przypadkiem cudownego ozdrowienia? Nie? Szkoda. - Zakończył rozmowę, podniósł wzrok.

— Gotowa na długą noc, partnerko?

Nancy skinęła głową jak chińska laleczka. Chyba spodobało się jej to "partnerko". Bardzo spodobało.

- Właśnie rozmawiałam z Sanchez. Mamy kolejną kartkę, ale tym razem jest trochę inaczej. Data dzisiejsza, a facet ciągle żyje.

12 lutego 1947 Londyn

Ernest Bevin był łącznikiem, posłańcem. Jedynym członkiem gabinetu w obu rządach. Z punktu widzenia Clementa Atlee, laburzystowskiego premiera, jego wybór był całkowicie logiczny.

- Ernest - powiedział swojemu ministrowi spraw wewnętrznych, kiedy obaj siedzieli przy kominku na Downing Street - porozmawiaj z Churchillem. Powiedz mu, że osobiście proszę o pomoc. - Łysa czaszka premiera pociła się, Bevin patrzył z zażenowaniem, jak strużka potu spływa mu po wysokim czole na jastrzębi nos. Zadanie przyjęte. Bez żadnych pytań czy wątpliwości. Bevin był żołnierzem, laburzystą starej szkoły, jednym z twórców największego związku zawodowego w Wielkiej Brytanii - TGWU\*. Zawsze pragmatyczny, przed wojną był jednym z niewielu polityków Partii Pracy współpracujących z konserwatywnym rządem Winstona Churchilla; zwrócił się tym samym przeciw pacyfistycznemu skrzydłu własnej formacji politycznej.

Transport and General Workers Union.



W 1940 roku, kiedy Churchill przygotowywał naród do walki i formował ponadpartyjny rząd koalicyjny, Bevin dostał nominację na ministra pracy i służby narodowej z szerokimi uprawnieniami, w skład których wchodziła krajowa gospodarka wojenna. Wypracował zręczny kompromis między potrzebami wojskowymi i cywilnymi, stworzył też własną armię pięćdziesięciu tysięcy mężczyzn, którzy zamiast służyć w wojsku, pracowali w kopalniach; nazywano ich Chłopcami Bevina. Churchill wychwalał go pod niebiosa.

A potem przyszedł szok. Zaledwie kilka tygodni po dniu zwycięstwa w Europie, grzejąc się w promieniach triumfu, człowiek, którego Rosjanie nazywali "Brytyjskim Buldogiem" przegrał wybory powszechne 1945 roku. Partia Pracy Clementa Atlee sprawiła mu potężne lanie, a wyborcy dali do zrozumienia, że nie ufają mu i nie uważają go za zdolnego odbudować naród. Człowiek, który powiedział: "Będziemy bronili naszej wyspy za każdą cenę, będziemy walczyć na plażach, będziemy walczyć na polach i ulicach, nigdy się nie poddamy" zwlókł się ze sceny pokonany, przybity i zniechęcony. Churchill niechętnie przewodził opozycji, lecz radość sprawiał mu wyłącznie ukochany Chartwell House, gdzie pisał wiersze, malował akwarele i karmił czarne łabędzie.

Teraz, półtora roku później Bevin, minister spraw zagranicznych premiera Atlee, siedział głęboko pod ziemią, oczekując swego stanowczego szefa. Z powodu zimna nie rozpiął płaszcza, pod którym miał gruby garnitur z kamizelką. Był mężczyzną solidnie zbudowanym, rzednące włosy zaczesywał do tyłu i smarował pomadą, a jego policzki robiły się coraz bardziej obwisłe. Na tajne spotkanie specjalnie wybrał to miejsce, w ten sposób oddziaływał psychologicznie. Wysyłał sygnał: to spotkanie jest ważne i sekretne. Przybądź natychmiast.

Churchill zrozumiał go właściwie. Wpadł do środka jak burza, rozejrzał się dookoła trzeźwo, bez sentymentów.

- Dlaczego mamy rozmawiać tu, w tym przeklętym miejscu?

Bevin wstał. Gestem kazał wyjść towarzyszącemu byłemu premierowi starszemu oficerowi.

— Byłeś w Kent? - spytał.

— A owszem, byłem w Kent. - Churchill zamyślił się na chwilę. - Nie sądziłem, że moja noga kiedyś tu jeszcze postanie.

— Nie proszę cię o płaszcz. Jest chłodno.

— Zawsze było.

Dwaj mężczyźni wymienili beznamiętny uścisk dłoni. Bevin poprowadził Churchilla do miejsca, przed którym, na stole, leżała czerwona teczka z pieczęcią premiera. Znajdowali się w tej chwili w bunkrze pod George Street, tym samym, w którym Churchill ze swym gabinetem kryli się niemal przez całą wojnę. Umieszczony był pod siedzibą Ministerstwa Pracy, dokładnie pośrodku między parlamentem a Downing Street. Obłożony workami z piaskiem, zbudowany ze wzmocnionego betonu, zakopany głęboko pod ziemią, wytrzymałby prawdopodobnie bezpośrednie trafienie, do którego nigdy nie doszło.

Siedzieli naprzeciw siebie przy dużym prostokątnym stole w Sali Gabinetowej, do której Churchill wzywał swych najbliższych doradców czy to w dzień, czy nocą. Był to pokój pozbawiony ozdób, całkowicie użytkowy, wypełniony nieświeżym powietrzem. Obok znajdowała się Sala Map, w dalszym ciągu obwieszona mapami teatrów walk, oraz prywatna sypialnia wodza, wciąż śmierdząca cygarami, choć ostatnie wypalono tu dawno temu. Gdyby przejść korytarzem nieco dalej, trafiłoby się na schowek na środki czystości, przerobiony na Salę

53

Łączności Transatlantyckiej, w której znajdowało się urządzenie szyfrujące o kodowej nazwie "Sigsaly", służące bezpośrednio łączności Churchilla z Rooseveltem. O ile Bevin wiedział, urządzenie to nadal funkcjonowało. Nic nie

zmieniło się od dnia, gdy Sale Wojenne po cichutko zamknięto, dnia zwycięstwa nad Japonią.

— Może chciałbyś się rozejrzeć? - zaproponował Bevin. -

Jeśli się nie mylę, generał major Stuart ma klucze.

— Nie chciałbym. - Churchill zaczął się niecierpliwić.

W bunkrze nie czuł się komfortowo. - Słuchaj, może przeszlibyśmy wreszcie do rzeczy - warknął. - Czego właściwie chcesz?

Bevin wygłosił przygotowany wcześniej wstęp.

— Pojawił się problem, całkiem niespodziewanie. Niezwykłej, delikatnej natury. Rząd musi poradzić z nim sobie z wielką ostrożnością i wyczuciem. Ponieważ dotyczy także Amerykanów, premier uznał, że skoro zajmujesz tak wyjątkową pozycję, mógłbyś wesprzeć go osobiście.

— Pozostaję w opozycji. - Ton Churchilla był lodowaty. -

Dlaczego miałbym wspierać go w czymkolwiek? Z wyjątkiem wsparcia w opuszczeniu Downing Street i przywrócenia mnie na należne mi miejsce.

— Ponieważ jesteś największym patriotą w historii tego kraju. Ponieważ człowiek siedzący w tej chwili naprzeciw mnie bardziej troszczy się o dobro narodu niż doraźne cele polityczne. Dlatego wierzę, że zechcesz wesprzeć rząd.

Churchill sprawiał wrażenie lekko zakłopotanego. Zdawał sobie sprawę z tego, że jest manipulowany.

— W coście się wpakowali, do cholery, że musicie odwoływać się do mojego patriotyzmu? No dobra, mów.

— Tam znajdziesz dokumenty dające pełny obraz sytuacji. - Bevin skinieniem głowy wskazał leżącą na stole czer-

woną teczkę. - Może zechciałbyś się z nimi zapoznać? Masz przy sobie okulary do czytania?

Churchill sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Owszem. - Założył okulary w drucianej oprawie na swoją wielką głowę. - A ty będziesz tak siedział i kręcił kciukami młynka?

Bevin skinął głową. Rozparł się w prostym drewnianym krześle. Obserwował wielkiego człowieka prychającego i otwierającego teczkę. Obserwował wielkiego człowieka czytającego pierwszy paragraf. Obserwował, jak zdejmuje okulary.

— Czy to jakiś żart? Czy ty się rzeczywiście spodziewasz, że ci uwierzę?

— O żarcie nie ma mowy. Nieprawdopodobne, tak. Wymyślone, nie. Czytaj dalej. Zobaczysz, co wywiad wojskowy zrobił, żeby potwierdzić autentyczność naszych odkryć.

- Nie jest to coś, czego mógłbym się spodziewać.

Bevin skinął głową. Churchill wrócił do lektury, ale najpierw zapalił cygaro. Jego stara popielniczka ciągle stała pod ręką. Od czasu do czasu mruczał do siebie coś niezrozumiale. W pewnym momencie niemal krzyknął: "Wyspa Wight! Nie mieli gdzie?". Nieco później wstał rozprostować zdrtwiałe nogi i zapalić kolejne cygaro. Od czasu do czasu marszczył brwi, obrzucał Bevina pytającym spojrzeniem. Trwało to jakieś dziesięć minut. Potem zdjął i schował okulary, głęboko zaciągnął się swą hawaną.

- Czy ja w tym jestem? - spytał.

— Bez wątplenia, lecz wolę nie znać szczegółów. - Bevin był bardzo poważny.

— A ty?

— O to nie pytałem.

Churchill ożywił się nagle, jak to się często zdarzało w tym pokoju. Zwłaszcza gdy nabierał absolutnego przekonania, że ma rację.

— Te informacje nie mogą przedostać się do opinii publicznej ! Przecież zaledwie obudziliśmy się wszyscy ze straszego koszmaru, a to tylko wpędzi nas w mrok i chaos!

— Jesteśmy dokładnie tego samego zdania.

— Kto o tym wie? Czy tę sprawę da się kontrolować?

— Krąg wtajemniczonych jest bardzo niewielki. Z rządu nikt, poza premierem i mną. Jeśli chodzi o wojsko, zaledwie kilku oficerów mogłoby ewentualnie połączyć oderwane fakty w całość. Pozostaje oczywiście profesor Atwood i jego zespół. Churchill chrząknął.

— No tak... to rzeczywiście problem. Miałeś rację, każąc ich odizolować.

— No i wreszcie - mówił dalej Bovin - Amerykanie.

Uznaliśmy, że biorąc pod uwagę łączące nas z nimi specjalne stosunki, musimy poinformować prezydenta Trumana, otrzymaliśmy jednak zapewnienie, że ze swej strony również informują bardzo ograniczoną grupę ludzi.

- Chodzi o jankesów? Dlatego przyszliście do mnie? Bevinowi zrobiło się tak ciepło, że wreszcie zdjął płaszcz. dyby trzeba

- Będę z tobą całkowicie szczery - powiedział. - Premier chce, żebyś ty rozmawiał z Trumanem. Ich wzajemne stosunki są lodowate. Rząd chciałby powierzyć ci tę sprawę. Od jutra ma przestać dla nas istnieć. Amerykanie zaproponowali nam przejęcie całości materiałów. Po długiej wewnętrznej debacie uznaliśmy, że powinniśmy im na to pozwolić. Nie chcemy mieć z nią nic wspólnego. Domyślamy się, że coś tam już im chodzi po głowie, ale szczerze mówiąc, nie chcemy nawet wiedzieć co. Czeka nas ciężka praca, musimy odbudować

kraj, nie powinniśmy dopuścić, by coś odwróciło od tego naszą uwagę. Nie stać nas na ponoszenie odpowiedzialności, doszło do jakiegoś przecieku. Ani wydatków. Poza tym przecież podjąć jakąś decyzję dotyczącą Atwooda i irnych.

56

Prosimy cię, żebyś przejął kontrolę nad tymi sprawami nie jako lider opozycji, nie jako polityk, lecz osobiście, jako nasz autorytet moralny. Churchill kiwał głową potakująco.

— Sprytnie - przyznał. - Bardzo sprytnie. Prawdopodobnie to twój pomysł. Ja postąpiłbym tak samo. Posłuchaj, przyjacielu, czy możesz mi zagwarantować, że to, co zrobię teraz, nie zostanie użyte przeciw mnie w przyszłości? Mam zamiar wdeptać was w ziemię w kolejnych wyborach powszechnych, byłoby świadectwem bardzo złych obyczajów takie uderzenie poniżej pasa.

— Masz moje słowo - rzekł uroczyście Bevin. - To sprawa ponad politycznymi podziałami.

Churchill wstał, klasnął w dłonie raz, krótko.

- A więc zgadzam się. Zadzwoń do Harry'ego z samego rana, jeśli uda ci się tak to załatwić, a potem zajmę się zagadką Atwooda.

Bevin poczuł, jak w gardle robi mu się nagle sucho. Odchrząknął.

— Spodziewałem się raczej, że sprawy z profesorem załatwisz od razu. On czeka na ciebie w jednym z pokojów.

— Co? - spytał Churchill z niedowierzaniem. - Jest tu?

Mam z nim rozmawiać teraz?

Bevin skinął głową. Wstał odrobinę za szybko, jakby szykował się do ucieczki.

- Zostawiam cię twoim sprawom i jadę zameldować się u premiera - oznajmił, po czym zrobił przerwę, podkreślając

w ten sposób wagę tego, co miał jeszcze do powiedzenia. -  
Jeśli chodzi o logistykę, twoim doradcą zostanie generał Stuart.  
Będzie ci towarzyszył do czasu załatwienia sprawy i usunięcia  
wszystkich materiałów z brytyjskiej ziemi. Czy to ci odpo-  
wiada?

57

- Tak, oczywiście. Zajmę się wszystkim, jak uzgodniliśmy.

- Dziękuję. Rząd wyraża ci wielką wdzięczność.

— Tak, tak, wszyscy mi podziękują z wyjątkiem żony, która  
zamorduje mnie za to, że spóźnię się na obiad. No dobrze -  
powiedział z zastanowieniem. - Każ przyprowadzić Atwooda.

— Chcesz się z nim zobaczyć? Nie sądziłem, by okazało  
się to konieczne.

— Nie chodzi o to, co chcę. Mam wrażenie, że nie zo-  
stawiliście mi wyboru.

• • •

Geoffrey Atwood siedział naprzeciw najślynniejszego człowieka na świecie z miną  
kogoś wręcz ogłupiałego. Był to mężczyzna szczupły, muskularny dzięki długim  
latom pracy w terenie, ale twarz miał ziemistą i w ogóle sprawiał wrażenie chorego.  
Miał pięćdziesiąt dwa lata, okoliczności sprawiły jednak, że wyglądał na dziesięć lat  
starszego. Churchill zauważył, jak drży mu ręka, którą podnosił do ust kubek herbaty  
z mlekiem.

— Od niemal dwóch tygodni jestem przetrzymywany wbrew  
mojej woli - oznajmił profesor, próbując wyładować gniew. -  
Moja żona nie została o niczym poinformowana. Przetrzymy-  
wanych jest także pięcioro moich współpracowników, w tym

kobieta. Panie premierze, z całym szacunkiem muszę stwierdzić, że to oburzające. Jeden z członków naszej grupy, Reginald Saunders, nie żyje. Wszyscy jesteśmy na granicy wyczerpania nerwowego.

— Oczywiście - przytaknął Churchill. - To oburzające.

Wyczerpujące nerwowo. Poinformowano mnie o panu Saundersie. A jednak, i pan z pewnością się z tym zgodzi, profesorze, mamy do czynienia z niezwykle sprawą.

— Tak, oczywiście, niemniej...

58

— Czym zajmował się pan podczas wojny?

— Moje umiejętności i doświadczenie zostały dobrze wykorzystane, panie premierze. Mój pułk zajmował się ochroną i katalogowaniem odzyskanych antyków oraz dzieł sztuki skradzionych przez Niemców na kontynencie.

— Aha. Świetnie, doskonale. Po zwolnieniu ze służby kontynuuje pan karierę akademicką?

— Owszem. Jestem profesorem archeologii i starożytności college'u Butterwortha w Cambridge.

— Wykopaliska na wyspie Wight to pański pierwszy po wojenny projekt?

— Owszem. Odwiedziłem teren wykopalisk przed wojną, ale obecnie pracujemy w innym sektorze.

— Rozumiem. - Churchill sięgnął po pudełko cygar. -

Poczęstuje się pan? - spytał. - Nie? Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzają. - Zapalił cygaro, pociągnął kilkakrotnie tak energicznie, że w sali zrobiło się szaro od dymu. - Pan wie, gdzie się w tej chwili znajdujemy, prawda, profesorze? Atwood tylko skinął głową.



- Niewielu niewtajemniczonych odwiedziło kiedykolwiek to miejsce. Nie przypuszczałem, że je jeszcze kiedyś zobaczę, ale odwołano mnie z czegoś w rodzaju, nie ukrywajmy, emerytury i mam poradzić sobie jakoś z pańskim małym kryzysem. Profesor poczuł się w obowiązku zaprotestować.

— Rozumiem, jakie znaczenie ma moje odkrycie, panie premierze, nie sądzę jednak, by miało ono jakiś wpływ na wolność osobistą zarówno moją, jak i mojego zespołu. Jeśli rzeczywiście mamy do czynienia z kryzysem, jest to kryzys przez kogoś wywołany.

— Oczywiście. - Głos Churchilla był tak lodowaty, że wyraźnie wytrącił profesora z równowagi. - Przyjmuję do wiadomości pański punkt widzenia, ale inni mogą go nie

59

zaakceptować. Ponieważ chodzi tu o sprawy wyjątkowej wagi. Musimy się liczyć z konsekwencjami. Nie możemy dopuścić, by pan tak po prostu opublikował swoje odkrycia w jakimś przeklętym piśmie naukowym, i pan o tym doskonale wie! Dym cygara sprawił, że Atwood zaczął się dusić. Rzęził, odkaslnął kilka razy, próbując odkrztusić flegmę.

— Od czasu, kiedy nas zatrzymano, myślałem o tym dzień i noc - powiedział. - Proszę zwrócić uwagę na fakt, że to ja skontaktowałem się z władzami. Jak pan doskonale wie, nie zadzwoniłem na Fleet Street. Jestem gotów podpisać zobowiązanie do zachowania tajemnicy. Co więcej, nie wątpię, że uda mi się skłonić kolegów, by zrobili to samo.

— To, proszę pana, jest bardzo interesująca sugestia, którą z całą pewnością rozważę. Wie pan, podczas wojny właśnie

tu podejmowałem wiele trudnych decyzji. W sprawach życia i śmierci. - Umilkł, przypominając sobie tę jedną, straszną, kiedy dopuścił do bombardowania Coventry przez Luftwaffe i nie nakazał ewakuacji. Gdyby ją zarządził, naziści dowiedzieliby się, że Brytyjczycy złamali ich szyfr. Zginęły setki cywilów. - Ma pan dzieci, profesorze?

— Dwie córki i syna. Najstarsze ma piętnaście lat.

— Cóż, bez wątpienia chciałyby zobaczyć ojca jak najszybciej.

Atwood poddał się emocjom. W jego oczach zabłyśły łzy.

- Dla nas wszystkich był pan wzorem, panie premierze.

Był pan bohaterem dla nas, ale od dziś jest pan bohaterem dla mnie osobiście. Z całego serca dziękuję za interwencję.

Rozplakał się. Churchill zacisnął zęby, z przykrością patrzył na mężczyznę, do tego stopnia tracącego kontrolę nad sobą.

-i- Nie ma o czym mówić. Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

60

Pozostał sam w sali z na pół wypalonym cygarem w dłoni. Wydawało mu się, że słyszy echa wojny: podniesione głosy, szum odbiorników radiowych, dalekie wycie spadających bomb. Gęste, wirujące chmury dymu z cygara przybierały kształt upiórów z przeszłości, unoszących się wśród podziemnych wyziewów. Generał major Stuart, człowiek, którego Churchill poznał przelotnie podczas wojny, wszedł i stanął wyprostowany niczym na musztrze.

- Spocznijcie, generale. Powiedziano panu, jaki to bałagan mam teraz uporządkować?

- Dostałem odpowiednie instrukcje, panie premierze. Premier odłożył cygaro na swoją starą popielniczkę.

— Atwood wraz ze swym zespołem przetrzymywany jest

w Aldershot, nie mylę się?

— To prawda. Profesor jest przekonany, że właśnie został zwolniony.

— Zwolniony? Ależ skąd. Proszę dopilnować, by dołączył do swoich ludzi. Będę w kontakcie. To bardzo delikatna sprawa. Nie wolno się spieszyć.

Generał zmierzył go spojrzeniem, strzelił obcasami i elegancko zasalutował. Churchill wziął płaszcz, kapelusz i po raz ostatni wyszedł z Sali Wojennej powoli, nie oglądając się za siebie.

10 lipca 1947 Waszyngton, DC

Siedząc za wielkim biurkiem w Gabinetcie Owalnym, Harry Truman wydawał się bardzo mały. Wyglądał nadzwyczaj elegancko, jak spod igły: starannie zawiązany niebiesko-biały krawat w paski, marynarka ciemnoszarego letniego garnituru zapięta na wszystkie guziki, wyczyszczone do połysku półbuty z dziurkowanymi noskami, rzędzące włosy zaczesane tak porządnie, że nie zbuntował się ani jeden.

W połowie pierwszej kadencji pożegnał się z wojną. Od czasów Lincolna żaden z prezydentów nie przeszedł takiego chrztu ognia. Kaprys historii wyniósł go na niewyobrażalną wręcz wysokość. Nikt, nawet on sam, nie postawiłby nawet pięciu centów na to, że ten jakże przeciętny, niczym się niewyróżniający mężczyzna zamieszka kiedyś w Białym Domu. Nie wtedy, kiedy przed dwudziestu pięciu laty sprzedawał jedwabne koszule w Truman & Jacobsen w Kansas City, nie wtedy, gdy był sędzią hrabstwa Jackson i pionkiem maszyny demokratów szefa Pendergasta, nie wtedy, kiedy został senatorem z Missouri, nadal tańczącym tak, jak mu zagrają wszech-

62

mocni protektorzy, nawet nie wtedy, gdy Roosevelt zaproponował mu pozycję wiceprezydenta; szokujący kompromis zawarty za kulisami, w dusznych małym pokoiku, podczas konwencji 1944 roku w Chicago.

Ale... po osiemdziesięciu dwóch dniach wiceprezydentury Trumana wezwano w trybie nagłym do Białego Domu i oznajmiono, że Roosevelt nie żyje. Przyszło mu z dnia na dzień przejąć stery z rąk człowieka, z którym przez trzy pierwsze miesiące urzędowania zamienił zaledwie kilka słów. W wewnętrznym kręgu doradców FDR był persona non grata. Trzymano go z dala od planowania wojennego. Nigdy nie słyszał o Projekcie Manhattan. "Chłopcy, módlcie się za mnie" - powiedział do tłumu czekających na niego dziennikarzy i mówił to najzupełniej serio. I w ciągu czterech miesięcy ten były handlarz galanterią męską podpisał rozkaz zrzucenia bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki.

W 1947 roku siedział już mocno w siodle. Pracę miał ciężką - kierowanie nowym supermocarstwem w chaotycznym świecie - ale przyjęty sposób działania, metodyczny i zdecydowany, służył mu dobrze. Po kolei rozprawiał się ze spadającymi deszczem problemami: przebudowa Europy za pomocą planu Marshalla, stworzenie Organizacji Narodów Zjednoczonych, walka z komunizmem Ustawą o bezpieczeństwie narodowym, uruchomienie, od razu na wielką skalę, programu bezpieczeństwa socjalnego pod nazwą "Sprawiedliwy Ład". A jednak potrafię - upewniał sam siebie. Niech to diabli, jednak dorosłem do tej roli! I nagle na jego biurku wylądowało dalekie podanie z lewego skrzydła. Pocisk leżał na jego czyściutkim, uporządkowanym biurku ze słynną plaketką: "Tu kończą się przechwałki".

Teczka ze sztywnego papieru, z czerwonym napisem: "PROJEKT YECTIS - DOSTĘP ULTRA".

63

Truman doskonale pamiętał telefon z Londynu, sprzed pięciu miesięcy; było to jedno z tych nieoczekiwanych, lecz doniosłych wydarzeń, które miały pozostać w jego pamięci na zawsze. Pamiętał, w co był tego dnia ubrany, pamiętał, że właśnie jadł jabłko, pamiętał, o czym myślał tuż przed tą rozmową i tuż po niej.

— Jakże miło słyszeć pański głos - powiedział do premiera Winstona Churchilla. - Co za niespodzianka!

— Witam, panie prezydencie. Mam nadzieję, że dobrze się pan czuje.

- Lepiej niż kiedykolwiek. Co mogę dla pana zrobić? Mimo trzasków zakłóceń na transatlantyckiej linii w głosie Anglika słycać było napięcie.

— Panie prezydencie, może pan zrobić bardzo wiele. Mamy do czynienia z nadzwyczajną sytuacją.

— Oczywiście. Pomogę z pewnością, jeśli tylko zdołam. Czy to jest oficjalna rozmowa?

— Jak najbardziej. Zostałem włączony w sprawę. Przy naszym południowym wybrzeżu jest niewielka wyspa. Nazywa się Wight.

— Owszem, słyszałem o niej.

— Zespół archeologów znalazł na wyspie Wight coś, co, szczerze mówiąc, jest dla nas niczym gorący kartofel. To odkrycie wielkiej wagi, ale nie poradzimy sobie z nim w naszej powojennej sytuacji. Nie stać nas na podjęcie ryzyka i spapranie sprawy. W najlepszym razie doszłoby do narodowego szaleństwa, w najgorszym - do narodowej katastrofy.

Truman doskonale potrafił wyobrazić sobie Churchilla siedzącego za stołem, pochylonego w stronę telefonu; potężną postać niewyraźną w oparach dymu z cygara.

- Proszę mi powiedzieć, co znaleźli pańscy ludzie.

Niezrażający się niczym prezydent słuchał, trzymając pióro

64

zawieszony nad kartką papieru, gotowy do robienia notatek. Po chwili Truman upuścił je jednak i zaczął nerwowo bębnić palcami po blacie biurka. Nagle kołnierzyk wydał mu się za ciasny, a praca zbyt trudna. Do tej pory uważał, że jego chrztem bojowym była sprawa bomby atomowej, a teraz wydała mu się ona tylko

rozgrzewką przed czymś znacznie większym i ważniejszym.

Poza prezydentem Stanów Zjednoczonych tylko sześciu członków rządu miało dostęp do materiałów oznaczonych kodem "ultra", tak głęboko utajnionych, że pasowało do nich wyłącznie określenie "ściśle tajne". W dniach jego świetności setki, może nawet tysiące wiedziały o Projekcie Manhattan. O Projekcie Vectis zaledwie parę osób. Jedynym członkiem gabinetu Trumana, mającym dostęp do materiałów ultra, był James Forrestal. Prezydent dość go lubił, a ufał mu bezgranicznie. Jak on, przed wstąpieniem do służby publicznej, Forrestal był biznesmenem. Roosevelt mianował go swoim sekretarzem marynarki. Truman zatrzymał go na tym stanowisku. Tego chłodnego, wymagającego człowieka, prawdziwego pracoholika, dzielącego jego fanatycznie antykomunistyczne przekonania, przygotowywał do objęcia ważniejszej funkcji, nowo powstałego w rządzie stanowiska sekretarza obrony. Projekt Vectis miał pochłonąć całą jego energię.

Prezydent złamał szkarłatną pieczęć, stary, lecz ciągle skuteczny sposób zapewnienia prywatności. W teczce znajdowała się notatka kontradmirała Roscoe Hillenkoettera, kolejnego człowieka z dostępem do materiałów ultra, mającego już wkrótce dostać mianowanie na dyrektora nowej agencji, znanej jako CIA. Przeczytał ją, po czym wyjął luźny plik wycinków prasowych.

"Roswell Daily Record": "RAAF PRZECHWYTUJE LATAJĄCY TALERZ NA RANCZU W REGIONIE ROSWELL",

65

a następnego dnia: "GENERAL RAMEY OPRÓŻNIA WNETRZE LATAJĄCEGO TALERZA Z ROSWELL". "Sacramento Bee": "ARMIA PRYZNAJE SIĘ DO POSIADANIA LATAJĄCEGO DYSKU ZNALEZIONEGO NA RANCZU W NOWYM MEKSYKU". W pliku znajdowało się też kilkanaście innych doniesień Associated Press i United Press, zawierających mniej więcej te same wiadomości. Alea iacta est - pomyślał Truman, przypominając sobie szkolną łacinę. Cezar przekroczył Rubikon ze słowami: "Kości zostały rzucone". Zmienił bieg historii, wypowiadając posłuszeństwo senatowi i wkraczając do Rzymu na czele legionów.

Odkręcił nasadkę pióra. Na czystym arkuszu papieru firmowego Białego Domu napisał krótką notatkę do Hil-lenkoetera. Włożył ją do teczki wraz z innymi papierami. Z górnej prawej szuflady biurka wyjął staroświecką mosiężną pieczęć. Pstryknął zapalniczką Zippo, zapalił knot małej lampki naftowej, powoli topił kawałek wosku, kropla po kropli ściekającego na karton i tworzącego na nim szkarłatną kałużę.

Kości zostały rzucone.

Dwudziestego czwartego czerwca 1947 roku pilot prywatnego samolotu, przelatującego w pobliżu Mount Rainier w stanie Waszyngton, poinformował przez radio o latających obiektach w kształcie spodków, poruszających się zygzakowatym, przypadkowym kursem. W ciągu kilku następnych dni dziesiątki ludzi widziały podobne obiekty, a w gazetach zaroilo się od latających talerzy. Zbliżała się wielka chwila Rosewell.

Dziesięć dni później, w Święto Niepodległości, podczas gwałtownej burzy, niebo rozświetlił siny błysk spadającego na północ od miasta pojazdu. Ci, którzy to widzieli, przysięgali,

66

że nie mogła to być błyskawica ani jakiegokolwiek zjawisko naturalne.

Następnego dnia rano Mack Brazel, zarządca J.B. Foster Ranch, wielkiego rancza owczego oddalonego o przeszło sto dwadzieścia kilometrów na północny zachód od Rosewell, prowadził stado do wodopoju. Po drodze natknął się na wielkie pole pokryte kawałkami metalu, folii i gumy. Podobne śmiecie zaścielały ziemię tak gęsto, że owce odmówiły wejścia na pastwisko i trzeba je było prowadzić okrężną drogą. Brazel, poważny mężczyzna o skórze ogorzalej od słońca i wiatru, rozejrzał się szybko po okolicy. Nie potrzebował wiele czasu, by zorientować się, że to nie folia z balonów meteorologicznych, którą zdarzało mu się znajdować w przeszłości, lecz coś znacznie ważniejszego. Jako następny trop znalazł krzyżujące się często ślady opon samochodowych prowadzących zarówno na pastwisko, jak i z pastwiska. Uznał, że zostawiły je jeepy. Musiał zadać sobie pytanie: kto ośmielił się wjechać na jego

ziemię? Zebrał kilka kawałków metalu i wrócił do pracy. Wieczorem zadzwonił do szeryfa hrabstwa Chavez, George'a Wilcoxsa.

- George - powiedział spokojnie, rzeczowo. - Słyszałeś całe to gadanie o latających dyskach? No to jeden z nich rozwalił się na moim ranczu.

Wilcox dobrze znał Brazela i wiedział, że nie ma on skłonności do robienia głupich dowcipów. Skoro Mack tak twierdzi, to, na Boga, sprawa wymaga poważnego potraktowania! Zadzwonił na najbliższe lotnisko armii, do bazy sił lotniczych Stanów Zjednoczonych Roswell, gdzie stacjonował 509. Pułk Bombowców. Dobił się do jego dowódcy. Pułkownik William Blanchard z kolei natychmiast zmobilizował swych dwóch najwyższych rangą oficerów wywiadu, Jesse Marcela i She-ridana Cavitta, którzy mieli wybrać się na rancho z samego

67

rana. Następnie zawiadomił o wszystkim swego bezpośredniego dowódcę z 8. Dywizji Powietrznej w Fort Worth, generała brygady Rogera Ramseya. Generał zażądał dokładnego raportu z pola, a ponieważ święcie wierzył w prawdziwość powiedzenia "gówno płynie pod górę", zadzwonił do Waszyngtonu i zdał wstępną relację doradcy sekretarza armii. Powiedziano mu, że ma czekać na odpowiedź. Po paru minutach adiutant zawiadomił go, że ma na linii rozmowę z Waszyngtonem. — Dzwoni sekretarz Patterson? - spytał. — Nie - odparł adiutant. - To sekretarz marynarki, pan Forrestal.

Marynarki? - zdumiał się i podniósł słuchawkę. Co tu się dzieje, do diabła? Słońce niedzielnego poranka zdążyło już mocno przypiec czerwoną glinę, kiedy Mack Brazel spotkał się przed bramą rancza z dwoma oficerami wywiadu i towarzyszącym im plutonem żołnierzy. Konwój pojechał za jego półciązarówką fordą, wyjeżdżoną w pyle dróżką, na porośnięte niskimi krzaczkami zbocze wzgórza, gdzie leżała większość szczątków. Żołnierze otoczyli teren i zaczęli pełnić służbę wartowniczą, powłócząc nogami w nieznośnym upale, a major Marcel, spokojny, zrównoważony młody mężczyzna palący jednego pall-malla po drugim, badał



pobojowisko. Kiedy Brazel pokazał mu ślady opon i spytał, czy armia była tu wcześniej, zaciągnął się głęboko i odpowiedział: "Nawet gdyby, to ja dowiedziałbym się o tym ostatni, proszę pana".

Przeszukanie terenu zajęło żołnierzom kilka godzin. Na wojskowe ciężarówki, pod brezent bud, załadowali sporo śmieci, zawrócili i odjechali. Brazel odprowadził je wzrokiem, po

68

czym, kiedy znikły mu z oczu, wyjął z kieszeni kawałek czegoś przypominającego metal. Był cienki jak plastikowa folia na paczce papierosów i równie jak ona lekki, miał jednak pewną zdumiewającą własność: nawet mężczyzna tak silny jak on, z dłońmi jak imadła, nie zdołał wygiąć go choćby odrobinę.

Przez następne dwa dni Brazel obserwował żołnierzy kręcących się po jego ranczu. Jemu nakazano trzymać się od nich z daleka. W poniedziałek rano pojawił się jeden z gwiazdką generała brygady, błyskającą w słońcu w rytm podskoków jeepa, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. W sposób oczywisty i nie do uniknięcia w miasteczku szybko się zorientowano, że "na Foster Ranch dzieje się coś dziwnego" i we wtorek wieczorem armia nie mogła już utrzymywać tajemnicy. Pułkownik Blanchard, w imieniu sił powietrznych Stanów Zjednoczonych, wystosował oficjalny komunikat prasowy, w którym przyznawał, że miejscowy ranczer znalazł latający talerz i że został on przejęty przez biuro wywiadu bazy, a następnie odesłany do jej dowództwa. "Roswell Daily Record" wypuścił tego wieczoru wydanie specjalne, a media dostały oczywiście hysterii.

I teraz zdarzyło się coś dziwnego. Niespełna godzinę po komunikacie Blancharda generał Ramsey zadzwonił do United Press. Przekazał informację zupełnie inną: otóż nie było żadnego latającego talerza. Nic podobnego. Nie talerz, tylko zwykły balon meteorologiczny z tarczą radarową, czyli nic, czym warto by się ekscytować. Czy prasa może wykonać zdjęcia? No, wprawdzie Waszyngton utajnił sprawę, ale zobaczymy, co da się zrobić. No i nieco później generał zaprosił fotografów do swego biura w Teksasie, gdzie mogli wykonać zdjęcia zwykłego balonu leżącego na

wykładzinie jego gabinetu.

- No i widzicie, panowie? Po co to zamieszanie?

Minął jeszcze tydzień i świat zapomniał o sprawie. Ale

69

Roswell nie zapomniało. Ludzie gadali, wspominali to, co działo się w godzinach i dniach po wypadku. Powtarzali, że armia rzeczywiście pojawiła się na miejscu przed Brazelem, że odkryła prawie nietknięty dysk i że rankiem znalazła pięć małych, nieludzkich ciał, którym w bazie zrobiono sekcję.

Wojskowa pielęgniarka, która była podczas niej obecna, rozmawiała później z przyjacielem pracującym w miejscowym zakładzie pogrzebowym. Na serwetce naszkicowała chude sylwetki o wydłużonych głowach i ogromnych oczach. Armia na krótko zatrzymała Macka Brazela, a kiedy znów się pojawił, był jakoś dziwnie małomówny. W ciągu kolejnych dni każdy świadek wypadku i tego, co działo się bezpośrednio po nim, albo zmieniał zeznania, albo milkł, albo przenosił się gdzieś daleko. Niektórzy ludzie znikali, by więcej się nie pojawić.

Truman podniósł słuchawkę telefonu linii, która łączyła go z jego sekretarzem.

— Panie prezydencie - usłyszał. - Jest tu sekretarz ma rynarki. Chce się z panem zobaczyć.

— Doskonale. Proszę go wprowadzić.

Forrestal, drobny szykowny mężczyzna, którego wyróżniały przede wszystkim duże uszy, usiadł przed prezydentem sztywno wyprostowany. W garniturze w prążki wyglądał w każdym calu na bankiera, którym rzeczywiście był.

— Jim, chciałbym dowiedzieć się, co nowego z Vectis - powiedział Truman bez wstępów, powitań i grzeczności. Forrestalowi to odpowiadało, zawsze przekazywał informacje przy użyciu minimalnej liczby słów.

— Powiedziałbym, że wszystko idzie zgodnie z planem,

panie prezydencie.

70

— A Roswell... co tam sływać?

— Powiedziałbym, że mieszamy w tym garnku dokładnie tak, jak trzeba.

Truman pokiwał głową energicznie.

— Takie też mam wrażenie po lekturze wycinków. To teraz powiedz mi, jak nasi żołnierze reagują na konieczność przyjmowania rozkazów od faceta z marynarki? - spytał, chichocząc.

— Powiedziałbym, że nie są zachwyceni, panie prezydencie.

— No przecież! Oczywiście! Postawiłem na najlepszego człowieka... na ciebie. Teraz jest to operacja marynarki, więc nie mają wyboru, muszą się do tego przyzwycząić. A teraz opowiedz mi o tym miejscu w Nevadzie. Jak tam sobie radzimy?

— Groom Lake. Odwiedziłem je w zeszłym tygodniu. Nie jest to miejsce szczególnie gościnne. Tak zwane jezioro wyschło, jak mi się zdaje, setki lat temu. Leży na uboczu, graniczy z naszym poligonem w Yucca Flats. Nie będziemy mieli problemów z gośćmi, ale nawet jeśli ktoś zechce odszukać je celowo, geograficznie jest stworzone do obrony, otoczone łańcuchami wzgórz i gór. Korpus inżynieryjny czyni więcej niż zadowalające postępy. Trzyma się planu. Mamy już dobry pas startowy, stoją hangary i prowizoryczne koszary.

Truman założył ręce na kark, przeciągnął się. Dobre wiadomości odprężają.

— Doskonale. Mów dalej.

— Wykopy pod podziemne konstrukcje zostały już ukończone. W tej chwili lejemy cement, wkrótce rozpoczną się prace przy systemach wentylacyjnych i elektrycznych. Nie

wątpię, że obiekt stanie się w pełni gotowy w przyjętym przez nas terminie.

Truman sprawiał wrażenie całkowicie usatysfakcjonowanego. Ten człowiek potrafił wykonać zleconą mu pracę.

71

- A jak się czuje generalny wykonawca najtajniejszego na świecie programu budowlanego? - spytał żartobliwie.

Przez chwilę Forrestal zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Wybudowałem kiedyś dom w hrabstwie Westchester. To zadanie jest zdecydowanie mniej wyczerpujące.

Na twarzy Trumana pojawiły się zmarszczki.

— Bo twoja żona nie zagląda ci teraz przez ramię, prawda?

— Ma pan całkowitą rację, panie prezydencie - odparł Forrestal bez śladu wesołości.

Prezydent pochylił się w jego kierunku, zniżył głos.

— Co z materiałem brytyjskim? Nadal bezpiecznie schnie w Marylandzie?

— Łatwiej byłoby dostać się do Fort Knox.

— Jak mamy zamiar przetransportować towar przez cały kraj do Nevady?

— Admirał Hillenkoetter i ja nadal nie możemy się zgodzić co do środka transportu. Ja jestem za konwojem ciężarówek, on woli transport lotniczy. Każda z tych metod ma swoje wady i zalety.

— A co tam, do diabła! - zażartował Truman. - To już wasza sprawa, chłopcy. Nie mam zamiaru zarządzić was na śmierć. Jeszcze tylko jedno. Jak zamierzamy nazwać tę bazę?

— Jej oficjalny symbol kartograficzny wojska to NTS-51, panie prezydencie. Ale ci z korpusu inżynierskiego nazywają

ją "Strefą Pięćdziesiąt Jeden".

Dwudziestego ósmego marca 1949 roku James Forrestal zrezygnował ze stanowiska sekretarza obrony. Truman dostrzegł problem zaledwie tydzień wcześniej, kiedy jego współpracownik zaczął się po prostu rozsypywać. Zachowywał się dziwnie, wyglądał niechlujnie, nie jadł i nie spał, i niewątpliwie nie mógł pełnić wyznaczonej mu funkcji. Rozeszły się pogłoski, że związany z pracą stres wywołał u niego poważne załamanie

72

nerwowe. Zostały w całej pełni potwierdzone, gdy Forrestal odwieziony został do szpitala marynarki w Bethesda. Nigdy już z niego nie wyszedł. Dwudziestego drugiego maja znaleziono jego ciało, bezwładne, zmiażdżone i zakrwawione, leżące na dachu trzypiętrowego skrzydła szpitala pod oknem należącym do oddziału, na którym przebywał, mieszczącego się na szesnastym piętrze. Forrestal zdołał otworzyć okno kuchni naprzeciw swego pokoju. Popęłnił samobójstwo.

W kieszeni jego piżamy znaleziono dwie kartki. Na jednej wypisany był, jego drżącą ręką, fragment tragedii Sofoklesa Ajas:

A matka zaiste! pędząca dni późne  
W sędziwej starości, gdy wieści ją dojdą  
O synu, że błądzi po duszy manowcach:  
Nie pieśnią zakwili żalostną słowika,  
Lecz jęknie w płaczliwe pieśni pogrzebu,  
W pieśni rozpacz i głucho odstękną  
Piersi tłuczone pięścią skurczoną,  
A z głowy sędziwej włos spadnie siwy,  
Targany ręką rozpacz\*.

Na drugiej jedno zdanie: "Dziś jest dwudziesty drugi maja 1949 roku, dzień, w którym ja, James Yincen Forrestal, umrę".

\* Przekład Antoni Mierzyński.

11 czerwca 2009 Nowy Jork

Will, choć mieszkał w Nowym Jorku, nie był nowojorczykiem. Po prostu tkwił tu jak notatka na żółtej karteczce, przylepiona na drzwiach lodówki; taka, którą można w każdej chwili oderwać i przykleić gdzie indziej. Nie rozumiał miasta, nie był z nim związany, nie wyczuwał jego rytmu, nie miał jego DNA. Brakowało mu pojęcia o

tym, co nowe i modne: restauracjach, galeriach, wystawach, przedstawieniach, klubach. Był outsiderem, niezamierzającym zmienić tego stanu rzeczy. Jeśli istniało coś takiego jak natura miasta, on stanowił jej część nienaturalną. Tu jadł, pił, spał, pracował, od czasu do czasu nawet kopulował, ale poza tym nic go nie obchodziło i nic nie interesowało. Miał swój ulubiony bar przy Drugiej Alei, dobrą tanią grecką restauracyjkę przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy, przyzwoity chiński bar z żarciem na wynos przy Dwudziestej Czwartej, zaprzyjaźniony sklep spożywczy sprzedający także alkohol, przy Trzeciej Alei. To był jego mikrokosmos, byle jaki kawałek asfaltu z własną ścieżką dźwiękową: ciągłym wyciem syren karetek pogotowia, przebijających się przez

74

uliczny ruch, by na czas odwieźć odpady miasta do szpitala Bellevue. Ma czternaście miesięcy, by postanowić, gdzie będzie jego dom, a na razie wie tylko jedno: z pewnością nie w Nowym Jorku.

Nic więc dziwnego, że Hamilton Heights nie była dla niego obiecującą i szybko rozwijającą się dzielnicą.

— Kpisz czy co? - powiedział dość obojętnie. - Harlem?

— Owszem, Harlem - przytaknęła Nancy. - Mnóstwo ludzi na kierowniczych stanowiskach i wolnych zawodów przeniosło się na przedmieścia. Mają tam Starbucksy.

Tkwili w cholernym korku, który od czasu do czasu ledwie raczył drgnąć, a jej gęba się nie zamykała.

- Właśnie tam mieści się nowojorski City College - mówiła, nie kryjąc entuzjazmu. - Mnóstwo uczniów i nauczycieli, kilka doskonałych restauracji, tego rodzaju atrakcje.

No i ceny są o wiele niższe niż na Manhattanie.

— Sprawdziałaś osobiście?

To ją trochę uspokoiło.

— No... nie.

— To skąd ten ogrom wiedzy?

- Czytałam o tym, wiesz? W "New York Magazine",  
w "Timesie".

W odróżnieniu od niego Nancy kochała miasto. Dorastała w podmiejskich White Plains, jej dziadkowie nadal mieszkali w Queens; polscy imigranci ciągle mówiący z akcentem i wyznający zasady rodem ze wsi. White Plains był domem, miastem kojcem; miejscem, gdzie uczyła się sztuki i muzyki, gdzie po raz pierwszy spróbowała alkoholu, gdzie jako studentka prawa kryminalnego w pokoju akademika Jay College straciła dziewictwo, gdzie, po ukończeniu studiów prawniczych w John Fordham jako najlepsza na roku, zdała aplikację, gdzie dostała pierwszą pracę agentki FBI po opuszczeniu Quantico. Nie

75

miała czasu i pieniędzy, by doświadczyć całego bogactwa Nowego Jorku, ale robiła wszystko, by trzymać palec na pulsie miasta.

Przejechali nad mętłą rzeką Harlem, znaleźli drogę, która doprowadziła ich na róg Sto Czterdziestej Ulicy i Nicholas Avenue. Dwunastopiętrowy kompleks apartamentowy, jakby dla ich wygody, oznaczyło kilka radiowozów z trzydziestego pierwszego posterunku na północnym Manhattanie. St. Nicholas Avenue okazała się szeroka i czysta. Od zachodu flankował ją wąski jaskrawozielony pas parku, strefy buforowej między osiedlem a kampusem nowojorskiego college'u miejskiego. Okolica sprawiała wrażenie zdumiewająco zamożnej i prosperującej. Nancy wyglądała na bardzo zadowoloną z siebie, jakby chciała powiedzieć: "A nie mówiłam?".

Lucius Robertson zajmował mieszkanie od strony parku, na najwyższym piętrze. Przez olbrzymie okna widać było St. Nicholas Park, za nim niewielki kampus, a dalej rzekę Hudson i gęsto zalesione New Jersey Palisades. Ceglastoczerwona barka wielkości boiska futbolowego rozcinała toń rzeki, ciągnięta przez holownik. Słońce odbijało się od mosiężnej oprawy stojącego na statywie starego teleskopu, który natychmiast przyciągnął uwagę Willa, budząc chłopięcą potrzebę spojrzenia przez

okular. Udało mu się zwalczyć tę pokusę. Pomachał legitymacją, na co porucznik z posterunku, zwalisty Afroa-merykanin, zareagował donośnym okrzykiem: "Nadjechała kawaleria!". Podobnie jak ich dowódca, mundurowi i detektywi powitali go z wyraźnie widoczną ulgą. Marzyli tylko o tym, by wynieść się stąd jak najszybciej. Ich zmiana skończyła się jakiś czas temu, a każdy z nich miał co robić w tak przyjemny letni wieczór. Zimne piwo przy grillu zajmowało na ich liście miejsce znacznie wyższe niż opiekowanie się dziećmi.

- Gdzie nasz facet? - spytał porucznika Will.

76

— Leży w sypialni. Sprawdziliśmy jego mieszkanie. Nawet sprowadziliśmy psa. Jest czyste.

— Macie pocztówkę?

Pocztówka została zabezpieczona, włożona do torebki i opisana: "Lucius Jefferson Robertson, 384 Zachodnia Sto Czterdziesta Ulica, Nowy Jork, NY 10030". A po drugiej stronie: mała trumna i data: 11 lipca 2009. Will przekazał ją Nancy i rozejrzał się po mieszkaniu. Meble były współczesne, drogie, znajdowało się wśród nich kilka atrakcyjnych, orientalnych, na żółtobiałych ścianach wisiały współczesne obrazy olejne muzealnej klasy. Całą jedną ścianę zajmowały oprawione płyty winylowe i kompaktki. Przy wejściu do kuchni stał koncertowy fortepian Steinwaya z piętrzącymi się wysoko na klapie klawiatury nutami. Duży regał zajmował drogi sprzęt stereo i setki płyt CD.

- Co to za facet, muzyk? - zdziwił się Will.

Porucznik skinął głową.

- Jazzowy. Nigdy o nim nie słyszałem, ale Monroe twierdzi, że sławny.

Chudy biały policjant potwierdził, jakby wyrwano go do tablicy.

- Jasne. Bardzo sławny.

Po krótkiej dyskusji uznano, że od tej chwili sprawa należy do FBI. Nocą mundurowi będą chronili budynek od frontu i od tyłu, ale to FBI obejmie "opieką" pana



Robertsona i poprowadzi obserwację jak długo uzna za stosowne. Pozostało już tylko jedno: agenci musieli poznać swego podopiecznego. Porucznik podszedł do drzwi sypialni.

- Panie Robertson! - zawołał. - Czy mógłby pan wyjść?

FBI chce się z panem zobaczyć.

Robertson wyglądał jak zmęczony wędrowiec, chudy i przygarbiony. Wyszedł z sypialni powoli, pociągając stopami w kap-

77

ciach, ubrany w luźne spodnie, batystową koszulę i cienki, żółty rozpinany sweter. Miał sześćdziesiąt sześć lat, wyglądał na więcej. Zmarszczki na jego twarzy były tak głębokie, że w każdej z nich znikłaby wsunięta tam dziesięciocentówka, skóra czarna bez śladu brązu z wyjątkiem wnętrza dłoni o długich palcach, barwy jasnej kawy z mlekiem. Krótko przycięte włosy i brodę należało nazwać raczej siwymi niż szpakowatymi. Nowe twarze dostrzegł natychmiast.

- Co słyhać? - spytał uprzejmie. - Bardzo mi przykro, że sprawiam państwu kłopot.

Will i Nancy przedstawili mu się formalnie.

- Proszę, nie nazywajcie mnie "panem Robertsonem" - poprosił. - Przyjaciele mówią mi Clive.

Wkrótce potem policja wyniosła się na dobre. Słońce wisiało nisko nad Hudsonem, coraz czerwieńsze i coraz większe, jak krwawa pomarańcza. Will zasunął zasłony w pokoju gościnnym, opuścił też rolety w sypialni Clive'a. Snajper na razie się nie objawił, ale morderca Dnia Sądu zachowywał się nieprzewidywalnie. Wraz z Nancy jeszcze raz sprawdził mieszkanie, centymetr po centymetrze, a potem zostawił dziewczynę w towarzystwie gospodarza, a sam równie dokładnie obejrzał hol i klatkę schodową.

Formalne przesłuchanie okazało się sprawą prostą i łatwą, niewiele było do powiedzenia. Z trasy koncertowej po trzech miastach, którą odbył wraz ze swym kwintetem, Clive wrócił po południu. Nikt oprócz niego nie miał kluczy do jego

mieszkania i, o ile potrafił powiedzieć, pod jego nieobecność nikt tu nie wchodził i niczego nie ruszał. Lot z Chicago był spokojny, taksówka przywiozła go wprost pod dom. Pocztówkę znalazł w stosie tygodniowej poczty. Natychmiast zorientował

78

się, z czym ma do czynienia, zadzwonił pod 911 i to było właściwie wszystko. Nancy zapoznała go z nazwiskami i adresami ofiar Dnia Sądu, ale przy każdym kolejnym Clive tylko z żalem potrząsał głową. Nie rozpoznał żadnego.

- Czego ten gość ode mnie chce - powtarzał ze swym chropawym akcentem. - Jestem tylko zwykłym pianistą.

Nancy zamknęła notes, Will wzruszył ramionami. Zrobili, co mogli. Była już prawie ósma; jeszcze cztery godziny i Dzień Sądu stanie się przeszłością.

— W lodówce puchy, bo nie było mnie w domu. Gdyby nie to, dałbym wam coś do jedzenia.

— Zamówimy kolację - powiedział Will. - Znasz jakąś dobrą knajpkę z jedzeniem na wynos? Rząd stawia - dodał szybko.

Clive zasugerował żeberka z Charley's na Frederick Douglass Boulevard, zadzwonił i bardzo skrupulatnie złożył skomplikowane zamówienie z pięcioma różnymi dodatkami.

- Na moje nazwisko - szepnął Will i podsunął mu je, zapisane drukowanymi literami na kawałku papieru.

Czekając na jedzenie, uzgodnili plan. Aż do północy gospodarzowi nie wolno było zniknąć im z oczu, miał także nie odbierać telefonów. Kiedy zaśnie, oni będą trzymać wartę w pokoju dziennym, a raniem dokonają powtórnej oceny zagrożenia i opracują nowy system ochrony.

Potem już tylko siedzieli w milczeniu, Clive w swym ulubionym fotelu, wyłamując palce, marszcząc czoło i drapiąc się po brodzie. Nie czuł się swobodnie w towarzystwie gości, zwłaszcza sztywnych agentów FBI, którzy równie dobrze mogli przebimować\* się do jego mieszkania z innej planety. Nancy

Nawiązanie do Star Treka.

79

przyglądała się wiszącym na ścianach obrazom i nagle uniosła brwi.

— Czy to de Kooning? - niemal krzyknęła, wskazując spore płótno, pokryte abstrakcyjnymi plamami i smugami kolorów podstawowych.

— Doskonale, młoda damo, rozpoznała go pani bezbłędnie.

Zna się pani na sztuce współczesnej.

— Zdumiewające! - entuzjasmowała się dziewczyna. -

Musi być warte fortunę!

Will przyjrzał się obrazowi, mrużąc oczy. Dla niego wyglądało jak coś, co dziecko przyniosło do domu, a rodzice z dumą powiesili na drzwiach lodówki.

- Rzeczywiście, jest bardzo cenny - przytaknął Clive. -

Willem dał mi go wiele lat temu. Nazwałem jeden z utworów jego nazwiskiem, przysługa za przysługę, ale wygląda na to, że ja zrobiłem jednak lepszy interes.

I tak tych dwoje znalazło wspólny temat. Rozmawiali o sztuce współczesnej, o której Nancy chyba sporo wiedziała. Will rozluźnił krawat, spojrział na zegarek, a potem słuchał, jak burczy mu w żołądku. To już był długi dzień. Gdyby nie dziura w sercu Muellera, siedziałby teraz na kanapie, oglądał telewizję i obracał whisky w szklaneczce. Coraz bardziej nienawidził faceta.

Ktoś głośno zastukał do drzwi. Will wyciągnął glocka.

- Zabierz go do sypialni - szepnął.

Nancy objęła gospodarza w pól i pociągnęła za sobą. Will wyjrzał przez wizjer. Zobaczył mundurowego funkcjonariusza, trzymającego w ręku wielką torbę.

- Mam wasze żeberka! - poinformował go gliniarz pod niesionym głosem. - Jak nie chcecie, fajnie. Zjem je z chłopakami.

Żeberka okazały się dobre... nie, więcej, wyśmienite! Usiedli

we trójkę w cywilizowanym kręgu w jadalni, przy niewielkim stole i jedli łakomie, pozerając wręcz dodatki: ziemniaki puree, makaron z serem, słodką kukurydzą, ryż z fasolą, jarmuż, gryząc i przełykając w milczeniu, nie wymieniając ze sobą choćby jednego słowa, tak wspaniała okazała się ta kolacja. Clive skończył pierwszy, Will zaraz po nim, obaj napchali się do oporu. Ale Nancy dzielnie radziła sobie sama przez kolejne pięć minut, energicznie pracując widelcem. Mężczyźni przyglądali się jej z czymś w rodzaju niechętnego podziwu, zabijając czas rozdzieraniem kolejnych opakowań wilgotnych ściereczek i starannie czyszcząc uwalane sosem barbecue palce.

W szkole średniej Nancy była drobna i wysportowana. Grała na drugiej bazie w softball i na skrzydle w szkolnej reprezentacji piłki nożnej. Podczas pierwszego spędzonego z dala od domu roku przybrała na wadze, klasyczny "syndrom nowicjusza". Dorabiała się kolejnych kilogramów na uniwersytecie i w szkole prawniczej też. Powoli stawała się grubaską. W połowie drugiego roku Fordham zdecydowała, że chce wstąpić do FBI. Szkolny doradca do spraw zatrudnienia powiedział jej wtedy, że najpierw musi doprowadzić się do porządku. Uparła się i dzięki szalonej determinacji, diecie i bieganiu zbiła wagę do pięćdziesięciu pięciu kilogramów.

Przydział do biura nowojorskiego był dla niej jednocześnie dobrą i złą nowiną. Dobra nowina: Nowy Jork to Nowy Jork. Zła nowina: Nowy Jork to Nowy Jork.

Zaszeregowanie GS-10 oznaczało płacę podstawową rzędu trzydziestu ośmiu tysięcy dolarów plus policyjny dodatek służbowy za gotowość dziewięć i pół tysiąca. Gdzie w Nowym Jorku da się żyć za mniej niż pięćdziesiąt tysięcy rocznie? Dla niej odpowiedź była oczywista: w rodzinnym domu w White Plains. Nancy wróciła do swego dziecięcego pokoju, dostając w dodatku mamina opiekę, ma-

miną kuchnię i mamine torebki z lunchem. Pracowała długo i ciężko, wewnątrz siłowni

było dla niej krainą nieznaną, trzy lata tyła i znów zrobiła się malutka i okrągłutka. Will i Clive przyglądali się jej, jakby brała udział w zawodach w jedzeniu hot dogów. Zarumieniła się strasznie zażenowana. Odłożyła sztucce.

Sprzątnęli ze stołu i umyli naczynia jak dobra mała rodzinka. Dochodziła dziesiąta. Will jednym palcem nieznacznie odchylił firankę. Na zewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność. Zbliżył się do okna na paluszkach, spojrział w dół. Przy krawężniku stały dwa radiowozy, dokładnie tam, gdzie powinny stać. Puścił firankę, sprawdził drzwi wejściowe. Zamknięte i zaryglowane. Do jakiego stopnia zdeterminowany jest morderca? Jak zareaguje na policyjny kordon? Wycofa się? Uzna za pokonanego? W końcu niespełna dwadzieścia godzin temu zamordował już starszą panią. Typowi seryjni mordercy nie są szczególnie energiczni, ale ten zabijał hurtowo. Przebije się przez ścianę sąsiedniego mieszkania? Spuści z dachu, wskoczy przez okno? Wysadzi cały cholerny budynek w powietrze, by zabić jednego człowieka? Will nie wyczuwał zabójcy. Dopiero co przejął sprawę i ten brak przewidywalności nie dawał mu spokoju.

Clive znów zasiadł w ulubionym fotelu i próbował przekonać samego siebie, że czas działa na jego korzyść. Coraz lepiej czuł się w towarzystwie Nancy, najwyraźniej zafascynowanej precyzyjnym muzycznym rytmem jego głosu. Rozmawiali o muzyce. Na tym też znała się całkiem nieźle.

— Żartujesz chyba - mówiła właśnie. - Grałeś z Milesem?

— Och tak, grałem z nimi wszystkimi. Grałem z Herbiem, grałem z Dizziem i Sonnym, i Ornettem. Los mnie pobłogosławił.

82

— Który z nich był twoim faworytem?

— No to muszę powiedzieć, że Miles, młoda damo. Nie koniecznie jako człowiek, jeśli rozumiesz, co mam na myśli, ale jako muzyk, o mój Boże! To nie była trąbka, którą trzymał w rękach, o nie, to był róg dany mu wprost od Boga. O nie,

to nie był świat śmiertelnych. On nie tworzył muzyki, lecz magię. Kiedy z nim grałem, czekałem, aż otworzy się niebo i spłyną z niego aniołowie. Chcesz, żebym puścił teraz jakąś płytę Milesa, wytłumaczył ci, o co mi chodzi?

— Wolałabym raczej posłuchać twojej muzyki. - Dziewczyna się uśmiechnęła.

— Próbujesz mnie oczarować, młoda panno FBI! I to skutecznie. - Muzyk obrócił się do Willa. - Czy pan wie, że pańska koleżanka jest czarująca?

— Pierwszy dzień pracujemy razem.

— Ma osobowość. Z osobowością można zajść daleko. -

Wstał z fotela, podszedł do fortepianu, usiadł, kilkakrotnie zacisnął dłonie w pięści, rozluźniając palce. - Nie mogę grać głośno, rozumiecie? Ze względu na sąsiadów.

Zagrał powolną, bardzo spokojną melodię, pozornie czułą, z motywami wydobytych głęboko z otchłani pamięci utworów, którym właśnie teraz zostało dane nowe życie. Grał długo, oczy miał zamknięte, od czasu do czasu głucho nucił parę taktów. Nancy słuchała go jak urzeczona, ale Will pozostawał czujny, popatrywał na zegarek, wśród czarownych dźwięków nasłuchiwał stuków, zgrzytów i drapnięć nocy.

Kiedy Clive skończył, kiedy ostatnia nuta rozplynęła się w ciszy, Nancy powiedziała:

— O mój Boże, to było takie piękne. Strasznie ci dziękuję.

— Nie, to ja dziękuję za to, że zechcieliście mnie wysłuchać i że mnie dziś pilnujecie. - Clive z ulgą zapadł się w fotelu. - Dziękuję wam obojgu. Sprawiacie, że czuję się bez-

83

piecznie. Potrafię to docenić. Szefie - zwrócił się do Willa - czy wolno mi napić się do poduszki?

— A na co masz ochotę? Przyniosę ci.

— W kuchennej szafce, na prawo od zlewu, znajdziesz

przywoitą butelkę jacka. Tylko żadnego lodu, bardzo proszę.

Will bez kłopotu znalazł wypełnioną do połowy butelkę. Odkręcił korek, powąchał zawartość. Czy ktoś mógł zatruć bourbona? Czy tak miało się to skończyć? I nagle do głowy strzeliła mu wspaniała myśl: muszę chronić tego człowieka i mam wielką ochotę na drinka. Nalał sobie na dwa palce, wypił jednym łykiem. Bourbon smakował jak bourbon. W głowie zaszumiało mu miło. Poczekam trochę i jeśli nie umrę, facet dostanie jednego do poduszki - pomyślał, dumny ze swej logiki.

— Znalazłeś ją, szefie? - zawołał Clive.

— Znalazłem, już idę! - odkrzyknął.

Przeżył, przyniósł więc drinka do pokoju. Clive wyczuł zapach jego oddechu.

- Fajnie, że sam spróbowałeś, człowieku - powiedział z aprobatą.

Nancy spojrzała na niego złowrogo.

- Kontrola jakości. Jestem jak u Rzymian ten gość, co to próbował potraw przed cezarem - wyjaśnił, ale Nancy i tak wyglądała na przerażoną.

Clive popijał i mówił.

- Wiesz co, panno FBI? Przyślę ci kilka CD mojej grupy, Kwintetu Clive'a Robertsona. Oczywiście jesteśmy już tylko bandą staruszków, ale nadal możemy, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Robimy, co trzeba jak trzeba, a Harry Smiley, mój perkusista, robi nawet więcej niż trzeba.

Niemal godzinę później nadal gadał: o życiu ciągle w drodze, o stylach gry na instrumentach klawiszowych, o muzycznym

84

biznesie. Skończył drinka, przerwał w pół zdania, zamknął oczy i zaczął cichuteńko pochrapywać.

— I co teraz? - spytała cicho Nancy.

— Jeszcze godzina do północy. Zostawmy go tutaj i prze

czekajmy - powiedział Will, wstając.

— Dokąd idziesz?

- Do łazienki. Mam pozwolenie szanownej pani?

Skinęła głową. Minę miała obrażoną.

— Co? - syknął Will. - Myślałaś, że pójde nalać sobie kolejnego drinka? Na litość boską, przecież musiałem sprawdzić, czy bourbon nie jest zatruty!

— Potrafisz się poświęcić. Godne pochwały.

Will poszedł do toalety i wrócił wściekły. Musiał bardzo uważać, żeby nie podnieść głosu.

— Wiesz, partnerko, jeśli chcesz ze mną pracować, musisz zleźć z tego swojego cholernie wysokiego konia. Ile masz lat?

— Trzydzieści.

— To wiesz, skarbie, że kiedy zaczynałem grać w tę grę, ty chodziłaś jeszcze do gimnazjum.

— Nie mów do mnie "skarbie" - syknęła Nancy.

— Masz rację, zachowałem się niewłaściwie. Moim skarbem nie zostaniesz nigdy, choćbym miał żyć milion pieprzonych lat.

Wybuchła jak granat, choć potrafiła zachować ciszę.

- To bardzo, ale to bardzo dobrze, bo ostatnim razem, kiedy zacząłeś się tak zwracać do kogoś z biura, omal nie wyleciałeś na zbity pisk. Brawo, Will! Tylko tak dalej! Przy pomnij mi, żebym nigdy nie korzystała z twych rad w sprawie kariery zawodowej.

Clive prychnął, poruszył się lekko w fotelu. Oboje umilkli i tylko patrzyli się na siebie wściekli.

Will nie dziwił się, że Nancy wie o jego mniej niż chwalebnej przeszłości, w końcu nie była to tajemnica wagi państwowej.



Zaimponowało mu jednak to, że tak szybko przeszła do rzeczy. Doprowadzanie kobiety do wściekłości zajmowało mu zazwyczaj więcej czasu. Dziewczyna miała jaja, to trzeba jej przyznać.

Przeniesienie do Nowego Jorku dostał sześć lat temu, kiedy Halowi Sheridanowi udało się wreszcie wykopać go z gniazda i przekonać specjalistów od stosunków międzyludzkich w Waszyngtonie, że poradzi sobie na stanowisku kierowniczym. Nowy Jork miał go z kolei za niezłego kandydata na kierownika wydziału poważnych kradzieży i przestępstw z użyciem siły. Najpierw wysłano go z powrotem do Quantico, na kursy zarządzania; wpakowali mu tam do głowy wszystkie wiadomości potrzebne współczesnemu pracownikowi FBI na stanowisku kierowniczym. Oczywiście wiedział, że ma nie pieprzyć się z administracją, nawet administracją innego wydziału... ale, niestety, FBI nie publikowała w podręcznikach zdjęć Rity Mather.

Rita była tak doskonale zmysłowa, wonna, chętna i, jak głosiły wieści, wspaniała w łóżku, że w zasadzie nie miał wyboru. Ich znajomość trwała kilka miesięcy, do chwili, gdy jej szef z oszustw i przestępstw finansowych nie dał jej spodziewanego awansu z podwyżką. Poprosiła kochanka o interwencję. Kochanek zaprotestował, dlatego trafił ją szlag i odstawiła go od piersi. Zrobił się straszny bałagan: przesłuchania dyscyplinarne, przygłupi prawnicy, stosunki międzyludzkie przegrzewające się od nadmiaru roboty. Will o włos uniknął wywalenia z pracy; na szczęście do sprawy włączył się Hal i wytargował kompromis: cicha degradacja i niech dociągnie do dwudziestki. W piątek Sue Sanchez meldowała się mu, a w poniedziałek on meldował się jej.

Jasne, rozważał rezygnację, tylko... och, ta emerytura, tak bliska i słodka. Will zaakceptował więc wyroki losu, odbył

86

wymaganą terapię przeciw napastowaniu, pracował mniej więcej przyzwoicie i trochę za dużo pił.

Nim zdołał odszczeknąć się Nancy, Clive drgnął i z wysiłkiem rozchylił powieki.

Przez chwilę był wyraźnie zagubiony, potem przypomniał sobie, gdzie jest. Mlasnął suchymi wargami, nerwowo zerknął na pięknego starego cartiera na przegubie.

— No, wygląda na to, że jeszcze nie umarłem - stwierdził. - Szefie, mogę wysikać się samodzielnie, bez pomocy

FBI?

— Nie widzę problemu.

Clive zorientował się, że Nancy jest zdenerwowana.

— Wszystko w porządku, panno FBI? - spytał. - Wyglądasz na wściekłą. Mam nadzieję, że nie jesteś wściekła na mnie?

— Ależ skąd!

— A więc na szefa.

Wstał niezdarnie, zachwiał się, powoli wyprostował nogi, pokonując artretyczne kolana. Zrobił dwa kroki i zatrzymał się nagle. Na twarzy miał wyraz zdumienia, pomieszanego z niepokojem.

- O Boże...!

Will rozejrzał się dookoła. Co się dzieje?

W ułamku sekundy wykluczył strzał.

Nie rozprysło się szkło, nie rozległ się głuchy trzask, w powietrzu nie pojawił się czerwony rozprysk.

Nancy krzyknęła; "Will!". Widziała, jak Clive chwieje się, wychyla do przodu, traci równowagę i pada, uderzając twarzą o dywan.

Upadł z impetem miażdżącym nos. Krew rozbryznięła się na dywanie w abstrakcyjny wzór przypominający płótna Jack-sona Pollocka. Gdyby spryskała tak płótno, Clive z pewnością chętnie dołączyłby je do swej kolekcji.

Siedem miesięcy wcześniej Beverly Hills, Kalifornia

Peter Benedict zobaczył swe odbicie i zdumiał się tym, jak pocięła je i zniekształciła optyka szkła. Fasada budynku była głęboko wklęsła; strzelała dziesięć pięter ponad Wilshire Boule-ward, niemal zsysając cię z chodnika w stronę dwukondygnacyjnego

okrągłego holu. Był jeszcze dziedziniec wyłożony płytami, chłodny i pusty, jeśli nie liczyć stojącej nieco z boku rzeźby z brązu Henry'ego Moore'a, złożonej z przecinających się płaszczyzn postaci przypominającej ludzką. Szkło odbijało obrazy bezbłędnie, chwyciło nastrój i barwę otoczenia, a ponieważ otoczeniem tym było Beverly Hills, nastrój był zazwyczaj promienny, a kolor - rozświetlonego nieba. Ze względu na głębokość wklęsłego łuku fasady, każda tafla odbijała też odbicia innych tafli, szatkując je jak sałatę: obłoki, budynki, Moore'a, piersi, samochody... wszystko razem, blisko siebie i na siebie nałożone.

Cudowne to było.

Przyszła jego chwila.

Dotarł na szczyt. Miał umówione i potwierdzone spotkanie z Bernieem Schwartzem, jednym z bogów Artist Talent Inc.

88

Peter nie bardzo wiedział, jak powinien się ubrać. Nigdy nie uczestniczył w takim spotkaniu, a był zbyt potulny, by spytać, czy w tej sprawie obowiązuje jakiś kodeks. Czy w naszych współczesnych czasach agenci noszą garnitury? A pisarze? Czy powinien wyglądać konserwatywnie, czy raczej krzykliwie? Formalnie czy swobodnie? Postanowił zagrać bezpiecznie i ustawił się gdzieś pośrodku: szare spodnie, biała formalna koszula, granatowa sportowa marynarka, czarne mokasyny. Podszedł bliżej tarczy i w jednej szklanej tafli dostrzegł samego siebie bez zniekształceń. Na widok kościstej, chudej sylwetki i powiększającej się łysiny, którą krył zwykle pod czapczką, natychmiast odwrócił wzrok. Jedno wiedział: pisarz im młodszy, tym lepszy; bulwersowała go myśl, że łysy łeb przesadnie go postarza. Czy cały świat musi wiedzieć, że pięćdziesiątka tuż za rogiem?

Obrotowe drzwi wrzuciły go w chłodne powietrze. Stanowisko recepcyjne zrobiono z polerowanego drewna twardych gatunków, kształtem pasowało do krzywizny budynku. Podłoga zrobiona z cienkich, śliskich, bambusowych prętów także. Całość wystroju wnętrza mówiła o świetle, przestrzeni i pieniądzu. Równy rząd telefonistek o urodzie gwiazdek filmowych, uzbrojonych w niewidzialne słuchawki i

mikrofony, powtarzał: "ATI, z kim mam połączyć?"

"ATI. Z kim mam połączyć?"

Raz za razem, raz za razem, aż brzmiało to jak hymn. Zajrzał w głąb atrium i wysoko, na galeriach, zobaczył armię młodych, szykownych kobiet i mężczyzn, chodzących szybko tam i z powrotem. No tak, agenci nosili garnitury. Armia Armaniego.

Podszedł do stanowiska recepcyjnego, chrząknął, zwracając na siebie uwagę. W życiu nie widział kobiety tak pięknej jak ta, która spytała go: "Czym mogę panu służyć"?

89

— Pan Schwartz na mnie czeka. Nazywam się Peter Benedict.

— Który?

Peter zamrugał, zmieszany.

— Ja... ja... - wyjąkał - ja nie rozumiem, o co pani chodzi. Nazywam się Peter Benedict.

— Który pan Schwartz - powiedziała lodowato kobieta. -  
Mamy trzech.

— Och, teraz rozumiem. Bernard Schwartz.

— Proszę usiąść. Powiadomię jego asystentkę.

Gdyby ktoś nie wiedział, że Bernie Schwartz jest jednym z najlepszych agentów w Hollywood, to z widoku jego narożnego biura na ósmym piętrze by się tego nie domyślił. Stawiałby raczej na wyrafinowanego kolekcjonera dzieł sztuki albo antropologa. Brakowało tu zwyczajowych dowodów sukcesu: plakatów filmowych, zdjęć w objęciach gwiazd filmowych i polityków, nagrań, taśm, DVD, ekranów plazmowych, stosów branżowych magazynów. Nic, tylko sztuka afrykańska, wszelkiego rodzaju rzeźbione drewniane posązki, dekoracyjne naczynia, skórzane tarcze, włócznie, malowidła w geometryczne wzory, maski. Jak na podstarzałego Żyda z Pasadeny, gość miał niezłego hysia na punkcie Czarnego Łądu.

— Przypomnij mi, dlaczego mam się spotkać z tym face

tem?! - krzyknął.

— Victor Kemp! - odkrzyknęła mu przez drzwi jedna z jego czterech asystentek.

Bernie machnął lewą ręką w geście "a dajcież wy mi święty spokój!".

- Jasne, jasne, pamiętam! Dajcie mi teczkę z rekomendacją i przerwijcie rozmowę po maksimum dziesięciu minutach. Może pięciu.

90

Peter wszedł do biura i natychmiast poczuł się źle, choć mały człowieczek uśmiechał się szeroko i machał do niego zza wielkiego biurka jak oficer pokładowy lotniskowca.

- No chodźże, chodź! - zapraszał.

Podszedł do niego, udając radość, oszołomiony wyrobami prymitywnej sztuki.

- Napijesz się czegoś? Kawy? Mamy espresso, latte we wszystkich odmianach, czego tylko sobie zażyczysz. Jestem Bernie Schwartz. Miło mi cię poznać, Peter.

Delikatna, krucha dłoń gościa znikła w miazdzącym uścisku małej i grubej, po czym została kilkakrotnie potrząśnięta.

— Woda mineralna...?

— Roz, daj panu Benedictowi wody, dobrze? A ty siadaj, proszę. Ja się ulokuję na sofie.

W ciągu zaledwie kilku sekund w pokoju zmaterializowała się kolejna piękność, Chinka, z butelką evian i szklanką. Wszystko tu działo się strasznie szybko.

— No więc przyleciałeś do nas, tak? - spytał Bernie.

— Nie. Prawdę mówiąc, przyjechałem samochodem.

— Mądrze, bardzo mądrze. Mówię ci, dziś to nigdzie nie polecę, w każdym razie normalnym lotem pasażerskim. Jedenas ty września to dla mnie jak wczoraj. Mogłem lecieć jednym z tych samolotów. Żona ma siostrę w Cape Cod. Roz! Mogę

dostać filiżankę herbaty? A więc jesteś pisarzem, Peter? Od dawna piszesz scenariusze?

— Jakieś pięć lat, panie Schwartz.

— Ależ proszę cię... Bernie. I ile ich już napisałeś?

— Chodzi ci o te całkowicie ukończone?

— Tak, tak, o gotowe projekty - powiedział Bernie zniecierpliwiony.

— Ten, który ci przysłałem, jest pierwszy.

Bernie nie tylko zamknął oczy, ale jeszcze mocno zacisnął

91

powieki, jakby telepatycznie sygnalizował swej dziewczynie: "Pięć minut. Nie dziesięć, pięć".

- I co, dobry jesteś? - spytał.

Peter po prostu musiał zastanowić się nad sensem tego pytania. Swój scenariusz wysłał Schwartzowi dwa tygodnie temu. Czy on go w ogóle przeczytał?

Dla Petera ten scenariusz był jak tekst święty, promieniujący quasi-magiczną aurą.

Tworzył go sercem, a kopię, dziurkowaną w trzech miejscach, spiętą mosiężnymi ćwiekami, trzymał na biurku niczym na wystawie. Pierwsze ukończone dzieło.

Każdego ranka, przed wyjściem, idąc już w stronę drzwi, dotykał okładki tak, jak inni dotykają amuletu albo gładzą brzuch Buddy. To był jego bilet do innego życia, nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie będzie mógł go skasować. Co więcej, sam temat był dla niego ważny, widział go jako pean na cześć życia i losu. Gdy był jeszcze studentem, głęboko poruszył go *The Bridge of San Luis Rey* Thorntona Wildera; powieść o piątce obcych sobie ludzi, ofiar zaważenia się mostu. Kiedy podjął nową pracę w Nevadzie, naturalną kolejną rzeczą zaczął zastanawiać się nad pojęciami losu i przeznaczenia. Postanowił spróbować nowoczesnego podejścia do klasycznego tematu; w jego wersji linie życia nieznajomych krzyżują się w chwili ataku terrorystycznego.

Tymczasem Bernie dostał swą herbatę.

- Dziękuję, skarbie - powiedział. - Pilnuj mojego kolejnego spotkania, dobrze?

Roz usunęła się z pola widzenia Petera i puściła oko do szefa.

- No cóż, sądzę, że scenariusz jest dobry - powiedział Peter powoli. - Znalazłeś chwilę czasu, żeby do niego zajrzeć?

Od czasu, kiedy Bernie zaglądał do scenariuszy, minęło kilka dziesięcioleci.

Scenariusze czytali dla niego inni... i inni wydawali opinie.

92

- Jasne, oczywiście, mam tu gdzieś notatki. - Otworzył teczkę z wypełnionym formularzem oceny, zerknął na dwie spięte kartki.

Nędzna akcja.

Straszne dialogi

Fatalny sposób budowania postaci.

I tak dalej.

Rekomendacja: odrzucić.

Bernie grał swą rolę do końca. Uśmiechnął się szeroko.

- Powiedz mi, Peter, skąd właściwie znasz Yictora Kempa?

Miesiąc wcześniej Peter Benedict wkraczał do Constellation pełen nadziei, energicznym krokiem. Constellation było jego ulubionym kasynem na Stripie, jedynym mającym jakieś intelektualne pretensje, a w dodatku w młodości Peter bardzo interesował się astronomią. Kopuła planetarium wspaniałego kasyna wyposażone była w system stale zmiennego laserowego obrazu nocnego nieba nad Las Vegas, dokładnie takiego, jakie można by obejrzeć, wystawiając głowę przez okno, pod warunkiem że ktoś wyłączyłby setki milionów żarówek i dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów lamp neonowych zaćmiewających blask gwiazd. Jeśli przyglądałeś mu się uważnie, przychodziłeś wystarczająco często i choć trochę znałeś się na rzeczy, w końcu mogłeś zlokalizować każdy z osiemdziesięciu ośmiu gwiazdozbiorów. Wielki Wóz, Orion, Andromeda, to było łatwe. Peter znalazł także

te trudniejsze: Kruka, Delfina, Eridanus, Sekstans. Prawdę mówiąc, brakowało mu tylko jednego, Warkocza Be-reniki, małego skupiska gwiazdowego wciśniętego między Psy Gończe i Pannę. Pewnego dnia zobaczy także i jego.

Grał w blackjacka przy drogim stole: minimalna stawka sto dolców, maksymalna pięć tysięcy, ukrywając łysinę pod cza-

93

peczką Lakersów. Niemal nigdy nie przekraczał minimum, ale lubił takie stoliki, bo przy nich zawsze coś się działo. Był dobrym, zdyscyplinowanym graczem, kończącym wieczór na ogół o parę setek do przodu, ale czasami, wcale nie tak rzadko, bogatszy lub uboższy nawet o tysiąc; zależało to wyłącznie od dynamiki gry. Dreszcz emocji spływał na niego z drugiej ręki, kiedy obserwował prawdziwie wielkich graczy, prowadzących trzy rozdania jednocześnie, robiących split, dublujących stawkę, ryzykujących piętnaście, dwadzieścia tysięcy naraz. Kochałby życie na takiej adrenalinie, ale wiedział, że to się nie zdarzy. Nie przy jego zarobkach.

Krupier, Węgier o imieniu Sam, dostrzegł, że ten wieczór wyglądał nie najlepiej i próbował go pocieszyć.

- Nie martw się, Peter, jeszcze ci się poszczęści. Zobacysz.

Peter nie był tego tak całkiem pewien. Rachunek rozdań wynosił w tej chwili minus piętnaście, co dawało znaczną przewagę kasynu. Wiedza ta nie zmieniała jednak jego sposobu gry, choć każdy rozsądny gracz dysponujący choćby tylko podstawową umiejętnością liczenia wstrzymałby się na jakiś czas, poczekał z obstawianiem, aż rachunek wzrośnie.

Ale jeśli chodzi o liczenie, Peter był zdecydowanie dziwny. Liczył, bo potrafił. Jego umysł pracował tak szybko, przychodziło mu to tak dalece bez wysiłku, że po opanowaniu techniki nie potrafił nie liczyć. Karty wysokie, od dziesiątki do asa, miały wartość minus jeden, niskie, od dwójki do szóstki, plus jeden. Sprawny gracz musiał opanować zaledwie dwie czynności: prawidłowo liczyć wartość rozdanych kart z sześciu będących w grze talii i mieć dobre pojęcie o tym, ile kart nie zostało



jeszcze rozdanych. Kiedy ogólny rachunek był niski, obstawiałeś minimalną stawkę lub nie obstawiałeś w ogóle, kiedy był wysoki, grałeś agresywnie. Jeśli wiedziałeś, co robić, robiłeś to konsekwentnie, naginałeś rachunek prawdopodobień-

94

stwa na swoją korzyść i wygrywałeś seriami, trwającymi do chwili, kiedy albo przyuważył cię krupier, albo szef sali, albo oko podwieszanej pod sufitem kamery, po czym wywalano cię i nigdy już do kasyna nie wpuszczano.

Peter od czasu do czasu podejmował decyzje poparte obliczeniami, ale ponieważ nigdy nie zmieniał wysokości stawki, jego zyski z umiejętności liczenia wynosiły zero. Lubił Con-stellation, dobrze się bawił, spędzając trzy, cztery godziny przy stołach gry, bał się więc panicznie, że straci dostęp do ulubionego żerowiska. W kasynie był czymś w rodzaju mebla.

Tego dnia przy stole siedziało oprócz niego jeszcze dwóch graczy: anesteziolog z Denver, facet o nieprzytomnych oczach, przybyły tu na jakiś medyczny zjazd i sztywnie ubrany dyrektor, jedyny, który wkładał w tę rozrywkę jakieś znaczące pieniądze. Peter był w tej chwili sześćset dolarów do tyłu, grał ostrożnie i powoli popijał darmowe piwo.

Kilka rozdań przed kolejnym przetasowaniem kart jedno z dwóch wolnych miejsc przy stole zajął chudy, długonogi chłopak, mający może dwadzieścia dwa lata, ubrany w podkoszulek i robocze spodnie khaki. Wkupił się tysiącem. Miał włosy do ramion i typowy wdzięk faceta z zachodu.

— Hej, jak leci? - spytał z uśmiechem. - To dobry stół?

— Nie dla mnie - odparł dyrektor. - Nie miałbym nic przeciw temu, żeby udało ci się to zmienić.

— Z przyjemnością zrobię, co w mojej mocy - powiedział chłopak. - Zerknął na plakietkę na piersi krupiera. - Kartę proszę, Sam.

Stawiając minimalną stawkę, szybko rozruszał stół. Oznajmił, że jest studentem uniwersytetu stanowego Nevady w Las Vegas, i zaczynając od doktora, przepytał

wszystkich, skąd pochodzą i jak zarabiają na życie. Opowiedział krótko o problemie, jaki ma z barkiem, a potem zwrócił się do Petera.

95

— Jestem stąd - powiedział Peter. - Pracuję przy komputerach.

— Fajne - skomentował zachęcająco chłopak. - Fajna robota, stary.

— A ja pracuję w ubezpieczeniach - wtrącił dyrektor.

— Sprzedajesz ubezpieczenia, stary?

— Cóż... tak i nie. Kieruję firmą ubezpieczeniową.

— Niesamowite! Oto gra o wysoką stawkę!

Sam przetasował karty i Peter znów zaczął instynktownie liczyć. Po pięciu minutach i kilku rozgrywkach suma zrobiła się całkiem wysoka. Peter grał spokojnie, radząc sobie nieco lepiej niż przedtem. W każdym razie częściej wygrywał, niż przegrywał.

— No i co? Nie mówiłem? - skwitował jego sukcesy Sam po trzeciej wygranej z rzędu. Doktor był dwa tysiące do tyłu, za to facet z ubezpieczeń przeszło trzydzieści... i zaczął się niecierpliwić. Chłopak obstawiał chaotycznie, najwyraźniej nie wyczuwał gry, ale zdążył przegrać zaledwie kilkaset dolarów. Zamówił rum z colą, przesuwał pałeczkę do mieszania koktajli z jednego kącika ust w drugi; w pewnym momencie upadła na podłogę.

— Oops - powiedział cicho.

Do stołu zbliżyła się blondynka pod trzydziestkę w obcisłych dżinsach i zielono-pomarańczowej, obcisłej bluzeczce bez ramiączek. Zajęła ostatnie wolne miejsce, drogą torbę Vuittona wsunęła pod nogi, dla bezpieczeństwa, wyłożyła dziesięć tysięcy dolarów w czterech schludnych stosach.

— Cześć - powiedziała cicho i trochę nieśmiało. Nie była piękną, ale miała wspaniałe ciało i seksowny głos. Rozmowy ustały jak nożem uciął. - Nie przeszkadzam? - spytała,

wyrównując kupki żetonów.

— Ależ skąd - odparł chłopak. - Przyda się róża między nami, cierniami.

96

- Jestem Melinda - przedstawiła się dziewczyna w ten sympatyczny, minimalistyczny, jakże lasvegański sposób. Po chodziła z Wirginii. Zwróciła uwagę na swą obrączkę; mężulek korzystał z basenu.

Peter obserwował ją przez kilka rozgrywek. Grała szybko, ryzykancko, stawiając po pięćset; operowała na granicy ryzyka, co bardzo się jej opłacało. Chłopak przegrał trzy razy z rzędu, odchylił się w krześle i powiedział:

- Ludzie, urok na mnie rzuciła czy co?

Urok?

Peter uświadomił sobie, że rachunek wynosi plus trzynaście, a w podkowie zostało około czterdziestu kart.

Urok.

Blondynka przesunęła przed siebie stos żetonów wartych trzy tysiące pięćset. Na ten widok gość od ubezpieczeń obstawił na maksa.

- Dodaje mi pani odwagi - powiedział.

Peter pozostał przy swojej setce. Doktor i chłopak też nie podbili.

Sam szybko rozdał karty. Peter dostał mocne dziewiętnaście, ubezpieczeniowiec czternaście, doktor siedemnaście, chłopak dwanaście, a blondynka parę waletów, dwadzieścia. Rozdający miał szóstkę. Ma farta - pomyślał Peter. Wysoki rachunek, krupier prawdopodobnie dobierze i fura; z tą dwudziestką już może się uznać za wygraną.

- Robię split, Sam - powiedziała blondynka.

O cholera! Peter zamarł, kompletnie ogłupiał. Kto dzieli dziesiątki?

Chyba że...

Peter i doktor nie dobierali. Chłopak dobrał i został przy osiemnastu. Spec od

ubezpieczeń dostał dziesiątkę. Fura.

- Ożeż ty... - prychnął.

97

Blondynka wstrzymała oddech. Zaciśnęła pięści. Sam dał jej damę na pierwszą rękę i siódemkę na drugą. Odetchnęła i klasnęła w dłonie.

Sam odwrócił swoją kartę. Król. Dobra dziesiątkę.

Fura.

Blondynka piszczała z radości. Sam zapłacił, przesunął w jej stronę siedem patyków.

Peter przeprosił, wstał i poszedł w kierunku toalety. Myśli wirowały mu w głowie. O czym ja myślę? - powtarzał sobie. Przecież to nie mój interes. Daj sobie spokój.

Ale to mu jakoś nie wychodziło. Przepęlniał go moralny gniew -jeśli on nie wykorzystywał swej przewagi, dlaczego im miałoby ujść na sucho?

Zawrócił na pięcie, wrócił do sali ze stolikami do blackjacka. Uchwycił spojrzenie jej szefa, który skinął mu głową na powitanie i uśmiechnął się. Podeszedł do niego powoli, możliwie jak najmniej rzucając się w oczy.

— Co słyszeć? - spytał.

— Wszystko w największym porządku, proszę pana. Czym mogę panu służyć?

— Widzi pan chłopaka o tam, przy tamtym stole? I dziewczynę?

— Tak, widzę.

— Liczą.

Kąciki ust szefa sali drgnęły. W swej karierze widział wiele, ale nigdy gracza, który by donosił na innego gracza. Co tu jest grane?

— Jest pan pewien?

— Całkowicie. Chłopak liczy i sygnalizuje dziewczynie.

— Dziękuję panu. Zaraz się tym zajmę.

Szef sali wezwał przez krótkofalówkę kierownika piętra, a kierownik piętra kazał ochronie przejrzeć taśmy z ostatnich

kilku rozdań. Agresywna gra blondynki w retrospekcji wydała się rzeczywiście podejrzana.

Peter wrócił do stoliku niemal równocześnie z grupą ochroniarzy, którzy w pierwszej kolejności zajęli się chłopakiem.

— Co jest, do cholery?! - wrzasnął, gdy położyli mu dłonie na ramionach. Gracze przy sąsiednich stolikach odwracali się, gapili w ich kierunku.

— Znacie się? - spytał szef sali.

— W życiu jej nie widziałem - krzyczał chłopak. - To prawda, do cholery!

Blondynka milczała. Podniosła torebkę, zgarnęła żetony, jeden, pięćsetdolarowy, rzuciła Samowi jako napiwek.

- Do zobaczenia, panowie - powiedziała, odchodząc w towarzystwie ochrony.

Kierownik sali wykonał krótki gest. Sama zastąpił inny krupier.

Doktor i gość od ubezpieczeń patrzyli na Petera zdumieni, nic niepojmujący.

— Co tu się dzieje, do cholery? - spytał facet od ubezpieczeń.

— Liczyli - wyjaśnił Peter krótko. - Powiedziałem ochronie.

— No, nie!

— Właśnie, że tak. Wkurzyli mnie.

— Skąd wiedziałeś? - zainteresował się lekarz.

— Po prostu wiedziałem. - Peter czuł się niezręcznie, nie lubił być w centrum zainteresowania. Najchętniej by zwiął.

— Niech mnie diabli! - Facet od ubezpieczeń pokręcił głową. - Mam zamiar postawić ci drinka, przyjacielu. Niech mnie diabli. - Jego niebieskie oczy błyszczały, kiedy wyj

mował z portfela wizytówkę. Wręczył ją Peterowi. - Mój

99

biznes jedzie na komputerach - wyjaśnił. - Gdybyś szukał pracy zadzwoń, dobrze?

Peter spojrział na wizytówkę. "NELSON G. ELDER, DYREKTOR I PRZEWODNICZĄCY ZARZĄDU, DESERT LIFE INSURANCE COMPANY".

- To bardzo miłe, ale ja mam pracę - powiedział cicho, głosem niemal niesłyszalnym wśród brzęku sypiących się z automatów pieniędzy.

- Gdyby coś się zmieniło, masz mój numer.

Szef sali podszedł do ich stołu.

— Posłuchajcie panowie - powiedział - przepraszam wszystkich za to, co się zdarzyło. O, pan Elder. Dobry wieczór panu. Wszyscy panowie jecie dziś i pijecie na koszt kasyna. Mam bilety na każde przedstawienie, na jakie mielibyście ochotę. W porządku? Jeszcze raz powtarzam, że bardzo mi przykro.

— Aż tak bardzo, żebyś oddał to, co przegrałem, Frankie? - spytał Elder.

— Bardzo bym chciał, panie Elder, ale wie pan przecież, że to niemożliwe.

— No cóż. - Facet od ubezpieczeń rozejrzał się dookoła. -

Nie poprosisz, nie dostaniesz.

Szef sali delikatnie stuknął Petera w ramię.

- Kierownik chce z panem rozmawiać - powiedział cicho, a widząc, że Peter blednie, dodał: - Proszę się nie obawiać, wszystko w porządku.

Gil Flores, kierownik piętra Constellation, był szczupły, wytworny, elegancki; w jego obecności Peter czuł się zaniedbanym prostakiem. Był bardzo skrepowany, pocił się pod pachami, marzył tylko o tym, żeby wyjść z biura kierownika - prostego,

wyłącznie użytkowego, pełnego płaskoekranowych monitorów, ukazujących stoły do gry i automaty.

100

Flores zadawał pytanie za pytaniem, starając się dojść jak, co i dlaczego. Jak graczowi udało się dostrzec to, czego nie dostrzegli jego pracownicy?

- Co przegapiłem? - spytał stojącego przed nim wystraszonego faceta.

Peter wypił łyk wody.

— Umiem liczyć - przyznał.

— Ty też liczyłeś?

— Tak.

— Liczy pan? - Flores mówił coraz głośniej. - Tu, przede mną, przyznaje pan, że umie liczyć?

— Umiem liczyć. Co nie znaczy, że należę do liczących.

Uprzejmość odpadała z Floresa całymi płatami.

— Co to znaczy, do kurwy nędzy?

- Liczę... to swego rodzaju zwyczaj, ale na tym nie korzystam.

- I ja mam w to uwierzyć?

Peter wzruszył ramionami.

— Przykro mi, ale to prawda. Przychodzę tu od dwóch lat.

Przez cały ten czas nie różnicowałem stawek. Trochę wygrywam, trochę przegrywam... wie pan, jak to jest.

— Nie do wiary. Więc miał pan wszystko policzone, kiedy ten gówniarz... co on właściwie zrobił?

— Powiedział coś o rzucaniu uroku. Rachunek wynosił trzynaście. Rozumie pan, kodowe słowo na trzynaście. Dołączyła do gry przy wysokim rachunku. Moim zdaniem

upuszczenie pałeczki było dla niej sygnałem, że może za  
czynać.

— A więc on liczy, zastawia pułapkę, a ona stawia i wy  
grywa.

— Prawdopodobnie mają hasło na każdą cyfrę i liczbę.

"Krzesło" na cztery, powiedzmy, "słodka" na szesnaście...

101

Zadzwoił telefon. Flores odebrał, słuchał przez chwilę, a potem powiedział tylko:

— Tak, proszę pana.

— Cóż, panie Benedict - oznajmił - to pański szczęśliwy  
dzień. Victor Kemp czeka na pana w swoim penthousie.

Widok z penthouse'u Kempa był olśniewający: Strip na całej swej długości, wijący  
się aż po ciemny horyzont niczym płonący ogon. Gospodarz podszedł do niego,  
podał mu rękę; Peter poczuł na dłoni ucisk jego grubych, złotych sygnetów. Miał  
ciemne, falujące włosy, błyskał zębami w uśmiechu i był bardzo opalony; wzór  
eleganckiej, swobodnej gwiazdy najlepszego klubu w mieście. Jego niebieski,  
błyszczący garnitur przechwytywał blask światła i igrał nim; materiał, z którego  
został uszyty, wydawał się niezmiernie. Usadził Petera w gigantycznym pokoju  
dziennym, poczęstował go piwem. Podczas gdy służąca niosła mu butelkę, Peter  
dostrzegł, że jeden z monitorów na przeciwległej ścianie pokazuje gabinet Gila.  
Wszędzie te kamery.

Peter przyjął piwo. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zdjąć czapeczki, ale w  
końcu zostawił ją, gdzie była, bo co za różnica, w czapeczce czy bez czapeczki?

— Uczciwy człowiek to najszlachetniejsze dzieło boże -

powiedział nagle Kemp. - To słowa Alexandra Pope'a. -

Stuknął kieliszkiem wina w wysoką szklanę piwa. - Podniósł

mnie pan na duchu, panie Benedict, i za to bardzo dziękuję.

— Cała przyjemność po mojej stronie - rzekł Peter  
ostrożnie.



— Wydaje się pan bardzo mądrym człowiekiem. Czy wolno spytać, czym pan się zajmuje? Zawodowo?

— Pracuję z komputerami.

— Dlaczego wcale mnie to nie zaskoczyło? Dostrzegł pan coś, czego nie zauważyła armia profesjonalistów. Z jednej strony

102

cieszy mnie, że jest pan uczciwym człowiekiem, z drugiej irytuje jednak zachowanie moich ludzi. Czy rozważał pan kiedyś możliwość podjęcia pracy w ochronie kasyna, panie Benedict?

— Już po raz drugi tego wieczoru oferuje mi się pracę - powiedział Peter, potrząsając głową.

— Kto jeszcze składał panu taką propozycję.

— Człowiek, który grał przy moim stole, prezes zarządu firmy ubezpieczeniowej.

— Siwe włosy, bardzo szczupły, około pięćdziesiątki?

— Tak.

— Ach, Nelson Elder. Dobry człowiek, bardzo dobry. Przeżywa pan bardzo interesujący wieczór, panie Benedict. Ale... skoro jest pan zadowolony z pracy, muszę znaleźć jakiś inny sposób, żeby wyrazić panu swą wdzięczność.

— Ależ skąd. To nie jest konieczne, proszę pana.

— Skończmy z tymi panami. Mów mi Victor, a ja będę ci mówił Peter. No więc, Peter, jest tak, jakbyś wypuścił dzinna z butelki, ale ponieważ to nie baśń, masz tylko jedno życzenie i musi ono być, rozumiesz, realistyczne. Więc... czego chcesz? Dziewczyny? Linii kredytowej? Może chciałbyś spotkać się z jakąś gwiazdą filmową?

Mózg Petera mógł przetwarzać wielkie ilości informacji w bardzo krótkim czasie. W ciągu zaledwie kilku sekund opracował i ocenił szereg scenariuszy, po czym wybrał

jeden, ten najbardziej obiecujący, najważniejszy.

- Znasz może jakiś hollywoodzkich agentów? - spytał drżącym głosem.

Kemp roześmiał się wesoło.

— Jasne. Oni wszyscy tu przyjeżdżają. Jesteś pisarzem?

— Napisałem scenariusz filmowy - przyznał Peter nieco zmieszany.

103

— No to umówię cię z Berniem Schwartzem, jednym z najważniejszych facetów w ATI. Czy to cię zadowala, Peter?

Podnosi cię na duchu?

— O tak! - krzyknął Peter, uradowany jak dziecko. -

Nie do wiary!

— Więc wszystko w porządku. Nie mogę ci obiecać, że spodoba mu się twój scenariusz, ale obiecuję, że przeczyta go i że się z tobą spotka. Sprawa załatwiona.

Pożegnali się kolejnym uściskiem dłoni. Już przy wyjściu Kemp położył dłoń na ramieniu gościa ojcowskim gestem.

- I nie licz kart w moim kasynie, przyjacielu, zgoda?

Pamiętaj, grasz po stronie dobra.

— Jakież to interesujące - powiedział Bernie. - Victor Kemp i Las Vegas to jedno i to samo. To wspaniały facet, najlepszy z ludzi, prawdziwy książę.

— A mój scenariusz? - spytał Peter i wstrzymał oddech w oczekiwaniu odpowiedzi.

Nadeszła chwila prawdy.

- Szczerze mówiąc, Peter, twój scenariusz, mimo że bardzo

dobry, wymagałby doszlifowania, nim mógłbym posłać go dalej. Jest jednak rzecz znacznie ważniejsza. Otóż mamy tu film wysokobudżetowy. Wylatujący w powietrze pociąg, mnóstwo efektów specjalnych. Tego rodzaju filmy akcji coraz trudniej jest zrobić, chyba że z góry mają określoną widownię albo potencjał franchisingowy. Poza tym u ciebie jest jeszcze terrorizm, a to już brzytwa na gardle. Jedenasty września zmienił wszystko. Muszę ci się przyznać do tego, że bardzo niewiele z moich projektów, zamkniętych w dwa tysiące pierwszym, przywrócono potem do życia. Nikt nie chce już robić filmów o terroryzmie. Czegoś takiego nie sprzedam i kropka. Przykro mi, ale świat się zmienił.

II 104

Odetchnij - powiedział sobie Peter. W głowie mu się kręciło. W pokoju pojawiła się Roz.

— Panie Schwartz - oznajmiła. - Kolejny gość już czeka.

— Ależ ten czas leci! - Bernie poderwał się na równe nogi tak energicznie, że Petera wręcz zmusiło to do lewitacji. - A teraz idź, napisz dla mnie scenariusz o grze o wysokie stawki, liczeniu kart, wsadź w niego dobry seks i kilka scen komicznych na dodatek, a obiecuję, że przeczytam go bardzo uważnie. Tak się cieszę, że mogliśmy się spotkać, Peter. Przekaż panu Kempowi pozdrowienia ode mnie i wiesz... dobrze robisz, że jeździsz samochodem. Osobiście nie latam, a przynajmniej nie samolotami rejsowymi.

Kiedy tego wieczoru Peter wrócił do swego małego domu ranczerskiego w Spring Valley, spod wycieraczki z napisem "Witajcie" wystawała koperta. Otworzył ją niecierpliwie, pisany ręcznie list przeczytał przy lampie oświetlającej ganek. Przaćro mi, że nie w&pacioo ci z De-r-irf&M oahwos-tzem.

a ' Ol

Poza óc. że ci to u/ti,i(a.g>r-oo(zę. DOfitz co koćecu dziś o dziesiąte/  
wieczorem. Pofóf 7834.

l/ictor

Peter był zmęczony i zrezygnowany, ale do diabła, przecież to piątkowy wieczór! Na odpoczynek będzie miał cały weekend.

Kiedy zgłosił się w recepcji Constellation, klucz już na niego czekał i Peter mógł jechać wprost na górę. "Pokój" okazał się dwupokojowym apartamentem ze wspaniałym widokiem. W dużym pokoju, na niskim stoliku, czekał na niego kosz z owocami i zmrożona butelka perrier-jouet oraz kolejna

105

koperta, w której, jak się okazało, były dwie karty: jedna kuponowa wartości tysiąca dolarów, na zakupy w galerii handlowej Constellation i druga, wartości pięciu tysięcy dolarów - kredyt w kasynie.

Usiadł na sofie oszołomiony. Gapił się na neonowy pejzaż za oknem. Przerwało mu pukanie d drzwi.

— Proszę wejść! - zawołał.

— Aleja nie mam klucza - odpowiedział mu kobiecy głos.

— Och, bardzo przepraszam. - Peter popędził do drzwi. -

Byłem pewien, że to obsługa...

Była wspaniała. I bardzo młoda, dziewczęca. Ciemne włosy, otwarta, świeża twarz, sprężyste ciało koloru kości słoniowej, rozpychające obcisłą czarną suknię koktajlową.

- Ty musisz być Peter - powiedziała, zamykając za sobą drzwi. - Pan Kemp prosił mnie, żebym cię od niego pozdrowiła.

Jak większość mieszkańców Vegas i ona nie pochodziła stąd. Mówiła z akcentem ludzi z gór, delikatnym i śpiewnym.

Peter zaczerwienił się tak mocno, że jego skóra wyglądała jak czerwony plastik. Zdołał tylko wykrztusić: "Och!".

Dziewczyna szła ku niemu powoli, zmuszając go do wycofywania się ku kanapie.

— Mam na imię Lydia. Pasuję ci?

— Pasuję... jak to?

— Jeśli wolisz chłopaka, w porządku. Po prostu nie wie działałam.

W jej dziewczęcym roztrzepaniu było coś uroczonego.

— Nie lubię chłopaków! - Z zaciśniętego gardła Petera dobył się trudny do zrozumienia skrzek. - To znaczy... lubię dziewczyny!

— To świetnie, bo jestem dziewczyną - zamruczała Lydia; sztuczka, której skuteczność zawdzięczała niewątpliwie długiej

106

praktyce. Usiądź, Peter, i może otworzyłbyś tego szampana? Będziemy mieli okazję porozmawiać o tym, jakie zabawy lubisz.

Peter dotarł do kanapy i nogi się pod nim ugięły. Usiadł ciężko. Jego umysł pływał w burzliwym oceanie uczuć: strachu, pożądania, zawstydzenia... przecież po raz pierwszy w życiu znalazł się w takiej sytuacji! Wydało mu się to strasznie głupie, a jednak...

— Hej, ja już cię widziałam! - usłyszał nagle. Lydia była teraz autentycznie podniecona. - Ależ oczywiście, widziałam cię przecież mnóstwo razy. Dopiero teraz mi się skojarzyło!

— Gdzie mnie widziałaś? W kasynie?

— Skąd, głuptasku. Nic dziwnego, że mnie nie poznałeś, to przez ten głupi mundur, który każą mi nosić. Wiesz, za dnia pracuję w recepcji lotniska McCarran, no wiesz, terminal E.G. i G.

W jednej chwili Peter z czerwonego jak piwonია zmienił się w bladego jak papier. Tego już było za wiele. Zdecydowanie za wiele.

— I wcale nie masz na imię Peter, tylko Mark. Mark... jakiś

tam... no tak, Mark Shackleton! Mam dobrą pamięć do nazwisk.

— Wiesz, jak jest z tymi nazwiskami - powiedział Peter drżącym głosem.

— Jasne, rozumiem. Posłuchaj, mnie to bez różnicy. Co się dzieje w Vegas, zostaje w Vegas, a jeśli chcesz znać prawdę, wcale nie mam na imię Lydia.

Niezdolny wykrztusić słowa Peter patrzył, jak dziewczyna zdejmuje suknię, pod którą miała oczywiście czarną koronkową bieliznę, wyposażenie zawodowe. A przy tym usta się jej nie zamykały.

- Jakie to fajne, słuchaj, zawsze chciałam poznać jednego z was. No bo to musi być dziwne, tak codziennie latać do

107

pracy do Strefy Pięćdziesiąt Jeden. Jest taka tajna, że wiesz, na samą myśl o niej robię się wilgotna. Szczeka mu opadła. Niewiele, ale jednak.

- Słuchaj, ja rozumiem, wam nie wolno o tym mówić, ale proszę, jeśli badacie tam Obcych, ludzie bez przerwy o tym gadają, to tylko kiwnij głową, dobrze?

Peter bardzo próbował nie kiwnąć głową.

- Kiwnąłeś głową? To było skinienie?

Opanował się wreszcie przynajmniej na tyle, by w miarę zrozumiale powiedzieć:

- Nie wolno mi mówić, co robimy. Proszę.

Lydia najpierw wyraźnie się zmartwiła, ale zaraz uśmiechnęła i wróciła do pracy.

- Fajnie. Jest w porządku. Coś ci powiem, Peter. - Powoli podeszła do kanapy, kołysząc biodrami. - Dzisiaj ja będę twoim UFO. Niezidentyfikowanym Obiektem, ale nie do latania,

tylko do przelecenia. Podoba ci się ten pomysł?

23 czerwca 2009 Nowy Jork

Will miał straszego kaca, tak, jakby w jego czaszce przenocowała łośnica, obudziła się pogodna, wyspana, a potem nagle spanikowała w zamknięciu czaszki i próbowała się wyrwać na wolność przez oczy, gryząc i drapiąc.

Wieczór zaczął się całkiem przyjemnie. Po drodze do domu zatrzymał się w swym lokalnym barze, śmierdzącej drożdżami dziurze o nazwie Dunnigan's, i strzelił sobie kilka głębszych na pusty żołądek. Następnie, już w Pantheon Diner, wyburczał coś do mocno niedogolonego kelnera, który z kolei wyburczał coś do niego; w ten sposób, nie wymieniwszy ani jednego artykułowanego słowa, Will dostał to, co jadał tu dwa, trzy razy w tygodniu: jagnięcy kebab z ryżem i do tego kilka piw. I wreszcie, przed rozbiciem obozu w domu, złożył chwiejną acz uprzejmą wizytę w znajomym sklepie monopolowym, gdzie nabył dużą butelkę dwunastoletniej whisky, w zasadzie jedyny artykuł luksusowy rzeczywiście umilający mu życie.

Mieszkanie miał małe, można powiedzieć spartańskie; pozbawione przez Jennifer śladów kobiecości stało się nierucho-

109

mością prawdziwie przygnębiającą: dwa pokoiki o białych ścianach i lśniących parkietach, kiepski widok na budynki po drugiej stronie ulicy, seryjne meble i seryjne dywany za parę tysięcy dolców. Szczerze mówiąc, wydawało się za małe dla niego samego: większy pokój miał pięć na cztery i pół metra, mniejszy, sypialnia, trzy na trzy i pół, kuchnia i łazienka nie przewyższały rozmiarami przyzwoitej szafy.

Niektórzy z kryminalistów, mający siedzieć z jego łaski do końca życia, przeniesienia tu nie potraktowaliby jako poprawy warunków życiowych. Jakim cudem udało mu się mieszkać w takich warunkach z Jennifer, i to całe cztery miesiące? Czyj to był wspaniały pomysł?

Nie miał zamiaru schlać się do nieprzytomności, ale ciężka, pełna butelka zawierała tyle obietnic... Odkręcił korek, zerwał akcyzę, podniósł butelkę za będące jej częścią ucho i przelał jakieś pół szklanki do swej ulubionej szklaneczki do whisky. Telewizja brzęczała mu gdzieś w tle, a on zapadał się coraz głębiej w czarną jamę beznadziei, wspominając pier... dzień, pier... sprawę, całe swoje pier... życie.

Chociaż sprawę Dnia Sądu brał niechętnie, pierwsze kilka dni jej prowadzenia wyraźnie go odmłodziły. Clive Robertson zginął na ich oczach; zuchwałość i zawiłość tej zbrodni ożywiły go, dodały energii. Will przypomniał sobie, jak czuł się kiedyś, gdy prowadził ważne sprawy, wielki zastrzyk adrenaliny to było coś, co nigdy mu nie przeszkadzało.

Pograżył się więc w mieszaniu faktów i choć wiedział, że słynne momenty olśnienia to łgarstwo, uległ jednak potężnemu pragnieniu przekopania się przez nie z nadzieją odkrycia czegoś, co inni przeoczyli, czegoś, co połączy jedno morderstwo z drugim, potem trzecim i czwartym, aż wreszcie sprawa zostanie rozwiązana.

Szaleństwo ważnej pracy działało na niego jak masło na

110

oparzelinę. Zaczął od wysokiego "C": przerzucał akta, poganiał Nancy, wymęczył ich oboje w maratonie przepracowanych dni przechodzących w przepracowane noce, przechodzące w przepracowane dni. Wziął sobie do serca słowa Sue Sanchez, przynajmniej na jakiś czas. Myślał: W porządku, to będzie moja ostatnia wielka sprawa. Załatwmy sukinsyna i przejdźmy na emeryturę w sławie i chwale.

Crescendo...

Decrescendo...

W ciągu tygodnia wypalił się, wyczerpał zasoby sił witalnych, stracił ducha. Wyniki sekcji Robertsona i badań toksykologicznych nie miały za grosz sensu. Siedem wcześniejszych przypadków nie miało za grosz sensu, przynajmniej dla niego. Nie potrafił wyczuć mordercy, tego, kim jest i jakie potrzeby zaspokaja, zabijając. Żaden z jego dotychczasowych pomysłów nie wypalił. Docierał do niego wyłącznie chaos przypadkowości, a z tym nigdy jeszcze się nie spotkał, nie u seryjnego mordercy.



Pierwsza whisky miała zabić nieprzyjemny smak przeprowadzanego tego wieczoru w Queens przesłuchania rodziny ofiary wypadku samochodowego, którego kierowca uciekł; sympatycznych przyzwoitych, ciągle niepoczyszonych ludzi. Druga miała stępić ostrze frustracji. Trzecia służyła wypełnieniu wewnętrznej pustki rzewnymi wspomnieniami. Czwartą wypił, bo był samotny. Piątą...

Mimo łomotu w głowie i lekkich mdłości Will z uporem godnym lepszej sprawy wywlókł się z domu i pojawił w pracy o ósmej. Był święcie przekonany, że jeśli nie spóźniał się do roboty, w robocie nie pił i nie tykał alkoholu przed szczęśliwą barową godziną, nie miał problemu. Może tak,

111

może nie, ale bólu rozsadzającego mu głowę nie potrafił zignorować i jadąc windą, przyciskał do piersi wielki kubek z czarną kawą, jakby to była kamizelka ratunkowa. Aż skulił się, przypominając sobie chwilę przebudzenia: szósta rano, a on był kompletnie ubrany. W wielkiej butelce pozostało dwie trzecie whisky. W biurze miał advil. Musi dotrzeć do biura.

Akta Dnia Sądu zaścięły jego biurko, stół przy biurku, regał na książki i podłogę; stalagmity notatek, raportów, wyników badań, wydruków komputerowych i fotografii z miejsca zbrodni. Will wyrzeźbił sobie w nich korytarze: od drzwi do krzesła przy biurku, od krzesła do regału i do okna, dzięki czemu mógł zaciągać żaluzje, by popołudniowe słońce nie raziło go w oczy. Pokonał przeszkody na trasie do krzesła, upadł na nie ciężko i wydobył z szuflady środek przeciwbólowy. Połknął go z wysiłkiem, popił łykiem gorącej kawy. Potarł oczy nasadą dłoni, a kiedy znów podniósł powieki, zobaczył stojącą na progu Nancy, która przyglądała mu się wzrokiem lekarki.

— Dobrze się czujesz? - spytała.

— Świetnie.

— Ale nie wyglądasz świetnie. Wyglądasz na chorego.

— Nic mi nie jest. - Will wziął segregator, pierwszy z brzegu. Otworzył go. Nancy ani drgnęła. - Coś jeszcze?

— Jakie mamy plany na dziś?

- Ja planuję wypić kawę, a ty planujesz wrócić za godzinę.

Jak zwykle obowiązkowa Nancy pojawiła się powtórnie dokładnie po godzinie. Ból głowy i mdłości już ustępowały, ale Willowi ciągle się ciężko myślało.

— W porządku - zaczął. - Co mamy dziś do załatwienia?

Nancy otworzyła swój nieodłączny notatnik.

— Dziesiąta: telekonferencja z doktorem Soferem z Johnsa

112

Hopkinsa. Druga: konferencja prasowa naszej specgrupy. Czwarta: jedziemy na przedmieścia spotkać się z Helen Swisher. Lepiej wyglądasz.

— Godzinę temu byłem w porządku i teraz też jestem - warknął. Nie wyglądała na przekonaną, przez chwilę zastana wiał się, czy wie o jego kacu. Nagle uświadomił sobie, że Nancy wygląda lepiej, twarz ma szczuplejszą, ciało smuklejsze, a sukienka nie opina już jej talii tak ściśle. Przez ostatnie dziesięć dni praktycznie się nie rozstawali, a dopiero teraz uświadomił sobie, że dziewczyna je jak wróbelek.

— Czy mogę cię o coś zapytać?

— Jasne.

— Jesteś na diecie czy co?

Nancy natychmiast się zarumieniła.

— Można tak powiedzieć. I znowu biegam.

— No tak... świetnie wyglądasz. Trzymaj tak dalej.

Dziewczyna opuściła wzrok zawstydzona.

— Dzięki.

Will szybko zmienił temat.

- No dobrze, słuchaj, cofnijmy się o krok i spróbujmy

zyskać szersze spojrzenie - powiedział nieco niejasno. - Te szczegóły nas zabijają. Przelećmy jeszcze raz wszystkie sprawy, skupiając się na wzajemnych związkach.

Podeszli do stołu konferencyjnego, Will przełożył stos teczek na inny stos teczek, żeby zrobić trochę miejsca. Wziął czystą kartkę, napisał na niej: "Najważniejsze spostrzeżenia", podkreślił te słowa dwukrotnie. Zmuszał się do myślenia, nawet rozluźnił krawat, by ułatwić dopływ krwi do mózgu.

Trzech morderstw dokonano dwudziestego drugiego maja, trzech dwudziestego piątego maja, dwóch jedenastego czerwca. Od tej pory, nic.

- Co nam to mówi? - spytał. Nancy potrząsnęła głową,

113

i

sam więc odpowiedział sobie na własne pytanie. - To wszystko dni powszednie.

— Może pracuje w weekendy? - zaryzykowała.

— W porządku. Może. - Zapisał pierwsze najważniejsze spostrzeżenie. "Dni powszednie". - Znajdź mi akta Swishera, dobrze? Powinny być na regale.

Sprawa numer jeden: David Paul Swisher, trzydzieści sześć lat, bankier inwestycyjny w HSBC. Apartament na Park Avenue, bogaty, właściwe pochodzenie, wykształcenie z najlepszych uniwersytetów. Żonaty, żadnych widocznych skoków w bok. W jego szafach nie poniewierały się szkielety Enronów, a przynajmniej oni nic o tym nie wiedzieli. Wziął rodzinnego kundla na spacer przed świtem, znalazł go jogger

tuż po piątej rano, leżącego w kałuży krwi, pozbawionego zegarka, pierścieni i portfela, z przeciętą tętnicą szyjną. Ciało było wciąż ciepłe, a teren około pięciu metrów dalej znajdował się już pod obserwacją najbliższej kamery przemysłowej, umieszczonej na dachu apartamentowca spółdzielczego, stojącego po południowej stronie Osiemdziesiątej Drugiej Ulicy. Cholerne pięć, pięć i pół metra, i mieliby morderstwo na taśmie. / ,

Coś na taśmie jednak mieli: przeciętne ujęcie godnej zainteresowania postaci, dziewięciosekundową sekwencję zarejestrowaną między 5.02.23 i 5.02.32 przez kamerę bezpieczeństwa z dachu dziesięciopiętrowego budynku, stojącego po zachodniej stronie Park Avenue, między Osiemdziesiątą Pierwszą a Osiemdziesiątą Drugą. W kadrze, od strony Osiemdziesiątej Drugiej, pojawiał się mężczyzna, skręcał na południe, do Park, a potem zawracał, biegł z powrotem w stronę, z której przyszedł, i znikał za kadrem gdzieś w głębi Osiemdziesiątej Drugiej. Obraz był kiepskiej jakości, ale technicy z FBI powiększyli go i wyostrzyli. Z koloru ręki podejrzanego wnioskowali, że to czarny lub

114

Latynos, z obliczeń proporcji, że ma niespełna metr osiemdziesiąt wzrostu i waży od siedemdziesięciu pięciu do osiemdziesięciu kilogramów. Twarz zasłaniał mu kaptur dresu. Czas nagrania wydawał się obiecujący, jako że pod 911 zadzwoniono o piątej siedem. Brak świadków powodował jednak, że nie mieli śladów mogących prowadzić do ustalenia tożsamości.

Gdyby nie pocztówka, przypadek ten zakwalifikowano by jako uliczny rozbój, zwykły i prosty, lecz David Swisher dostał pocztówkę. Był pierwszą ofiarą Dnia Sądu.

Will podniósł zdjęcie zakapturzonego mężczyzny i pomachał nim w powietrzu.

— Więc to jest nasz morderca? - spytał.

— Zabójca Davida być może, ale to jeszcze nie czyni go Mordercą Dnia Sądu.

— Seryjne zabójstwa przez pełnomocnika? To byłby pierwszy taki przypadek.

Nancy spróbowała od innej strony.

— No dobrze, a może jego śmierć zakontraktowano?

— To nie jest nieprawdopodobne. Bankier inwestycyjny ma wrogów, to więcej niż pewne. W każdej transakcji musi być wygrany i przegrany. Ale David różnił się od reszty ofiar. Tylko on wiązał krawat do pracy. Kto niby miałby płacić za resztę? - Will przerzucał kartki akt Swishera. - Mamy gdzieś listę jego klientów?

— Jego bank wcale nam nie pomaga. Każda prośba o informację musi przechodzić przez ich wydział prawny i zyskać osobisty podpis głównego doradcy. Na razie nic nie dostaliśmy, ale nie odpuszczam.

— Mam przecucie, że to on jest kluczem - powiedział Will. - Zamknął teczkę Swishera, odłożył ją na bok. - Pierwsza ofiara w serii zawsze ma wielkie znaczenie dla mordercy.

115

Jest w niej coś symbolicznego. Wspomniałaś coś o tym, że spotykamy się dziś z jego żoną? Nancy skinęła głową.

- No, najwyższy czas.

Sprawa numer dwa: Elisabeth Marie Kohler, trzydziesto-siedmioletnia kierowniczka drogerii Duane Reade w Queens. Zastrzelona, najwyraźniej podczas próby rabunku, znaleziona przy tylnym wejściu do sklepu przez pracowników, kiedy o wpół do dziewiątej przyszli do pracy. Policja sądziła początkowo, że zabójca czekał na nią, zamierzając ukraść narkotyki. Coś poszło nie tak, strzelił, ona upadła, on uciekł. Kula kalibru .38, jeden strzał w skroń, z bliskiej odległości. Sklep nie miał systemu

obserwacji wideo, na miejscu zbrodni nie odkryto użytecznych śladów. Dopiero po kilku dniach policja znalazła kartkę i powiązała to zabójstwo z innymi.

Will podniósł wzrok znad jej akt.

— No i tak... jaki jest związek między bankierem z Wall Street i kierowniczką sklepu?

— Nie wiem - przyznała Nancy. - Byli mniej więcej w tym samym wieku, ale ich drogi nie krzyżowały się w żadnych oczywistych punktach. On nawet nie robił u niej zakupów. Nie mamy nic.

— Co mamy na jej byłego męża, przyjaciół, współpracowników?

— Większość zidentyfikowaliśmy i sprawdziliśmy. Jest jeden chłopak ze szkoły średniej, którego nie możemy znaleźć, rodzina opuściła stan wiele lat temu. A cała reszta byłych... jeśli nie mają alibi na jej zabójstwo, to mają na któreś z pozostałych. Rozwiedziona od pięciu lat. W chwili zabójstwa jej eks siedział za kierownicą autobusu komunikacji miejskiej. To była całkiem zwyczajna kobieta. Prowadziła proste życie. Nie miała wrogów.

116

— Czyli, gdyby nie pocztówka, mielibyśmy zamkniętą sprawę rabunku z bronią w ręku, który coś źle poszedł.

— Bo na to wyglądało. Na pozór.

— W porządku. Oto co robimy: sprawdź, czy miała jakieś szkolne roczniki, z liceum i studiów, i wprowadź wszystkie nazwiska do bazy danych. A także skontaktuj się z administratorem domu i zdobądź listę jej obecnych i byłych sąsiadów, do pięciu lat wstecz. Też trzeba je przepuścić przez komputer.

- Załatwione. Chcesz jeszcze kawy?

Will chciał jeszcze kawy. Bardzo.

Sprawa numer trzy: Consuela Pilar Lopez, trzydzieści dwa lata, nielegalna imigrantka z Republiki Dominikańskiej, mieszkająca na Staten Island, pracująca jako sprzątaczką biurową na Manhattanie. Jej ciało tuż po trzeciej nad ranem znalazła grupa nastolatków. Leżało wśród drzew na brzegu rzeki, na terenie Arthur Von Briesen Park, około kilometra od domu ofiary na Fingerboard Road. Została zgwałcona i kilkakrotnie uderzona nożem w pierś, głowę i szyję. W noc śmierci wsiadła na prom odpływający z Manhattanu o dziesiątej, co potwierdziło nagranie z kamer bezpieczeństwa. Postępując zgodnie ze zwyczajem, powinna wsiąść w autobus jadący na południe, do Fort Wadsworth, ale nikt nie potrafił potwierdzić jej obecności ani na przystanku przy St. George Feny Terminal, ani w autobusie numer pięćdziesiąt jeden, jadącym Bay Street do Fingerboard.

Przyjęta hipoteza robocza zakładała, że ktoś przechwycił ją w terminalu, zaproponował podwiezienie do domu i zabrał w ciemny kąt wyspy, gdzie dziewczyna dożyła kresu swych dni w cieniu dominującej niebo sylwetki Verrazano-Narrows Bridge. Ani na, ani w jej ciele nie znaleziono śladów spermy, co oznaczało, że morderca najprawdopodobniej użył kondoma. Na sukience znaleziono szare włókna pochodzące zapewne

117

z takiego materiału, z jakiego robi się dresy. Podczas sekcji zmierzono rany klute. Ostrze miało dziesięć centymetrów długości, odpowiadało więc wymiarem broni, którą zabito Davida Swishera.

Lopez mieszkała w dwurodzinnym domu wraz ze sporą grupą krewnych i powinowatych, niektórych przebywających w Stanach legalnie, innych nie. Była kobietą religijną, praktykowała w kościele Świętego Sylwestra; jej msza żałobna odbyła się przy udziale osłupiałych parafian wypełniających go po brzegi. Rodzina i przyjaciele zgodnie potwierdzili, że nie miała chłopaka, z kolei autopsja wykazała, że trzydzieści parę lat przeżyła jako dziewica. Wszelkie wysiłki powiązania jej z innymi ofiarami spełzły na niczym.

Will poświęcił nieproporcjonalnie wiele czasu temu morderstwu. Przeprowadził terminal promowy i dworzec autobusowy, obejrzał dokładnie miejsce zbrodni, odwiedził dom ofiary i kościół. Morderstwa na tle seksualnym były jego mocną stroną. Nie zamierzał zbudować na nich kariery, nikt przy zdrowych zmysłach nie pisze w podaniu o przyjęcie do Quan-tico: "Mam nadzieję, że pewnego dnia stanę się specjalistą od morderstw na tle seksualnym", ale jego pierwsze poważne sprawy miały właśnie taki podtekst, a w Biurze w ten sposób segreguje się ludzi. A on nie posługiwał się tylko węchem. Rozpierała go ambicja, studiował więc problem, aż wreszcie stał się ekspertem. Pracowicie przegryzł się przez annały kryminalistyki, aż wreszcie stał się chodzącą encyklopedią amerykańskich seryjnych perwersji. Podobnych morderców spotykał już na swej drodze, stworzenie portretu psychologicznego sprawcy przyszło mu więc bez większego trudu. Jest metodyczny, tropi ofiary i planuje zbrodnie. Samotnik. Ostrożny, pilnuje, by nie pozostawić po sobie śladów DNA. Zna teren, a więc prawdopodobnie mieszka

118

lub mieszkał kiedyś na Staten Island. Park nad rzeką poznał jak własną kieszeń, potrafił dokładnie określić, gdzie może załatwić swoje sprawy najbezpieczniej, zminimalizować możliwość zaskoczenia. Istniała także bardzo duża szansa, że był Latynosem, ponieważ Lopez czuła się w jego towarzystwie wystarczająco swobodnie, by wsiąść z nim do samochodu, bo, według zgodnych zeznań, słabo znała angielski, i nieco mniejsza szansa na to, że znała zabójcę, choćby tylko przelotnie.

- Poczekaj chwilę - powiedział nagle. - Chyba coś mam. Zabójca Marii prawie na pewno ma samochód. Powinniśmy zacząć poszukiwania niebieskiej osobówki, takiej, jaka przejechała Mylesa Drake'a. - Zanotował szybko "niebieski samochód". - Przypomnij mi, jak się nazywa ten jej ksiądz?

Nancy pamiętała smutną twarz księdza, nie musiała zaglądać do notatnika.

— Ojciec Rochas.

— Powinniśmy przygotować ulotkę z różnymi modelami



ciemnoniebieskich samochodów osobowych, niech ten ojciec Rochas rozda ją parafianom, może któryś z nich zna kogoś jeżdżącego czymś takim. A także przepuścić listę parafian przez wydział komunikacji, niech dadzą wydruki zarejestrowanych pojazdów. Zwróć szczególną uwagę na Latynosów płci męskiej.

Skinęła głową, zrobiła kilka notatek. Will przeciągnął dłońmi po włosach i ziewnął.

- Muszę do łazienki - powiedział. - Potem trzeba za dzwonić do tego faceta.

To lekarz sądowy z centrali skierował ich do Geralda Sofera, najlepszego w kraju specjalisty od naprawę dziwnych spraw.

119

Fakt, że postanowili zwrócić się do niego, był miarą tego, do jakiego stopnia sfrustrowała ich śmierć Clive'a Robertsona.

Will i Nancy prowadzili reanimację bezwładnego ciała Clive'a przez sześć minut, aż do przyjazdu karetki. Następnego ranka zaglądali patologowi przez ramię, podczas gdy koroner prowadził sekcję w poszukiwaniu przyczyny śmierci. Poza zmiążdżonymi kośćmi nosa na ciele nie było żadnych obrażeń. Mózg, który tak niedawno tworzył piękną muzykę, został pokrojony jak bochenek chleba. Nie znaleziono żadnego śladu udaru ani krwotoku. Narządy wewnętrzne wykazywały tylko zmiany spowodowane wiekiem. Serce było lekko powiększone, zastawki w normie, naczynia wieńcowe wykazywały niewielki do umiarkowanego poziom arteriosklerozy, zwłaszcza aorta zstępująca, która zablokowana była w siedemdziesięciu procentach. "Moje są pewnie w gorszym stanie niż tego faceta" - sapnął lekarz sądowy - weteran. Nic nie wskazywało na atak serca, choć Willowi powiedziano, że w tym wypadku decydujące będą badania mikroskopowe.

- Nie mam dla was diagnozy - powiedział lekarz sądowy, ściągając rękawiczki. - Przynajmniej na razie.

Will czekał niecierpliwie na badania krwi i tkanek. Miał nadzieję na znalezienie

śladów trucizny lub toksyn, a także na test HIV, bo przecież robił Clive'owi sztuczne oddychanie, a jego twarz była zakrwawiona. Wyniki przyszły po paru dniach. Dobra wiadomość: negatywny wynik HIV i żółtaczki. Zła wiadomość: wszystkie wyniki były negatywne. Facet umarł bez powodu.

- Tak - powiedział doktor Sofer - miałem okazję przejrzeć raport z sekcji pana Robertsona. - Jest to typowe dla syndromu.

Will pochylił się w stronę mikrofonu telefonu głośnomówiącego.

120

— Jak to? - zdziwił się.

— Cóż, tak naprawdę jego serce było w niezłym stanie.

Naczynia wieńcowe drożne, bez krytycznych zatorów, nie ma mowy o zakrzepicy, żadnych histopatologicznych dowodów niedoczynności mięśnia sercowego. W całości odpowiada to stanowi pacjentów z wywołanym stresem schorzeniem mięśnia sercowego. Czasami nazywa się to "sercowym syndromem zaskoczenia".

Nagły emocjonalny stres, strach, gniew, rozpacz, szok mogą, według doktora Sofera, spowodować gwałtowny atak serca. Jego ofiarami padają ludzie o niezłym zdrowiu, poddani nagłemu zastrzykowi emocji z powodu śmierci bliskiego albo gwałtownego strachu.

— Doktorze, mówi agentka specjalna Lipinski - zabrała głos Nancy. - Przeczytałam pańską rozprawę w "New England Journal of Medicine". Żaden z pacjentów z pańskim syndromem nie zginął. Co uczyniło pana Robertsona wyjątkowym?

— Doskonale pytanie - pochwalił ją Sofer. - W moim przekonaniu serce człowieka może wstrzymać pracę pod wpływem nagłego uwolnienia katecholamin, hormonów stresu takich jak choćby adrenalina, wytwarzanych przez nadnercza w od

powiedzi na stres lub szok. Jest to wytworzony w procesie ewolucji mechanizm przetrwania, przygotowujący organizm do walki lub ucieczki w obliczu zagrożenia życia. Jednakże niekiedy wydzielanie tych neurohormonów jest tak duże, że uniemożliwia efektywną działalność serca. Akcja serca znacząco słabnie, spada ciśnienie krwi. Nieszczęściem pana Robertsona było to, że zakłócenie akcji serca w połączeniu z umiarkowanym, ale istotnym zablokowaniem lewej tętnicy wieńcowej doprowadziło najprawdopodobniej do osłabienia perfuzji lewej komory, powodującej fatalną w skutkach arytmie, zapewne migotanie komór, i nagłą śmierć. Śmierć z powodu ogłuszenia

121

mięśnia sercowego to zjawisko rzadkie, lecz niewykluczone. Jak rozumiem, pan Robertson narażony był przed śmiercią na ostry stres?

— Otrzymał pocztówkę od Mordercy Dnia Sądu.

— No cóż, w takim razie, używając języka zrozumiałego dla laików, możemy powiedzieć, że pan Robertson został wystraszony na śmierć.

— Nie wyglądał na przestraszonego - zauważył Will.

— Wygląd bywa mylący - pouczył go Sofer.

Na tym skończyli rozmowę. Will przerwał połączenie i dopił do końca swój piąty kubek kawy.

- No to mamy jasność jak w pieprzonej dupie Murzyna - burknął. - Morderca zakłada, że określonego dnia wystraszy ofiarę na śmierć? Wolne żarty! - Wyrzucił ramiona w powietrze w geście rozpaczy. - No dobrze, do roboty. Dwudziestego drugiego maja zabija trzy osoby, potem robi sobie przerwę na weekend i dwudziestego piątego znów znajduje sobie zajęcie. Sprawa numer cztery: Myles Drake, dwudziestoczteroletni kurier rowerowy z

Queens, pracujący w dzielnicy finansowej od siódmej rano. Pracownica biurowa, jedyny naoczny świadek, wyglądała akurat przez okno. Widziała go, jak na John Street poprawia plecak i wsiada na rower. Dokładnie w tej samej chwili na chodnik wjechał niebieski samochód osobowy, uderzył go i pojechał dalej. Kobieta była za wysoko, by dostrzec numery rejestracyjne lub choćby zidentyfikować markę i model. Drake zginął na miejscu, miał zmiądzoną wątrobę i śledzionę. Samochodu, z niewątpliwie uszkodzonym przodem, nie odnaleziono mimo sprawdzenia warsztatów na terenie trzech stanów. Myler mieszkał z bratem i według zgodnych zeznań był najprzystojniejszym z facetów. Nienotowany, etyka pracy bez zarzutu i tak dalej. Żadnych znanych związków z innymi ofiarami, ani bezpośrednich, ani pośrednich, chociaż nikt nie

122

mógł zagwarantować, że nie odwiedził kiedyś Duane Reade pani Kohler na Queens Boulevard.

— Nie miał kontaktu z narkotykami? - spytał Will.

— Nie miał, ale pamiętam taką sprawę jeszcze z czasów szkoły prawniczej. Kurier rowerowy dorabiał sobie na boku, sprzedając kokainę maklerom giełdowym.

— Niezły pomysł, narkotyki. - Will zapisał sobie w notatniku: "Zbadać plecak na pozostałości narkotyków".

Sprawa numer pięć: Milos Ivan Covic, osiemdziesiąt dwa lata, mężczyzna, Park Slope, Brooklyn. Po południu tego dnia wyskoczył z okna mieszkania na dziewiątym piętrze, robiąc z siebie obrzydliwą miazgę na Prospect Park West koło Grand Army Plaża. Okno sypialni szeroko otwarte, mieszkanie zamknięte, żadnych śladów włamania bądź rabunku, ale kilka oprawionych czarno-białych zdjęć młodego Covica w towarzystwie najprawdopodobniej rodziny leży na podłodze pod oknem. Brak listu samobójczego. Ofiara, chorwacki imigrant, przez pięćdziesiąt lat pracował jako szewc, nie ma żyjących krewnych, a życie prowadził do tego stopnia samotne, że nie znaleziono nikogo, kto mógłby zaświadczyć o stanie jego umysłu. W mieszkaniu

znaleziono tylko jego odciski palców.

Will przejrzał stos starych fotografii.

— I nie znamy tożsamości nikogo z tych ludzi? - upewnił się.

— Nikogo - potwierdziła Nancy. - Rozmawialiśmy z sąsiadami, pytaliśmy we wspólnocie chorwacko-amerykańskiej, ale nikt go nie znał. Nie wiem, co jeszcze można zrobić. Masz jakieś pomysły?

Will wskazał palcami niebo.

- Jeśli o ten przypadek chodzi, żadnego - powiedział.

Sprawa numer sześć: Marco Antonio Napolitano, osiemnastolatek, właśnie ukończył liceum. Mieszkał z rodzicami i siostrą

123

w Małej Italii. Matka znalazła pocztówkę w jego pokoju, na widok wyrysowanej na niej trumny dostała ataku hysterii. Rodzina pilnowała go przez cały dzień. Bez skutku. Policja znalazła jego zwłoki wieczorem, w kotłowni ich czynszówki, z igłą wbitą w ramię, narzędziami stosowanymi do przygotowanie heroiny i opaską uciskową.

Autopsja wykazała przedawkowania, ale rodzina i najbliżsi przyjaciele zaprzeczali, jakoby Marco używał narkotyków, co potwierdzał brak śladów ukłuc na ciele.

Chłopak zatrzymywany był kilkakrotnie za kradzieże w sklepie i tego rodzaju rzeczy, nie był jednak całkiem zły. Na strzykawce znaleziono ślady dwóch odrębnych DNA, jego i niezidentyfikowanego mężczyzny, co sugerowało, że narkotyk przyjmował z nim jeszcze ktoś, używając tego samego sprzętu. Zarówno ze strzykawki, jak i z łyżeczki zdjęto dwa komplety odcisków palców, jego i kogoś innego. Przepuszczono je przez IAFIS, system automatycznej identyfikacji odcisków palców FBI. Bez rezultatu, co wykluczało jakieś pięćdziesiąt milionów mężczyzn zarejestrowanych w bazie danych.

- W porządku - powiedział Will. - Tu mamy możliwe związki.

Nancy także to dostrzegła, ożywiła się wyraźnie.

- Jasne. Na przykład: morderca jest nałogowcem. Zabija Elizabeth, próbując włamać się do jej Duane Reade po narkotyki. Ma coś przeciw chłopakowi, więc nabija mu strzykawkę. Załatwia sprawy z Mylesem będącym jego dostawcą. Will potrząsnął głową, uśmiechnął się rozpaczliwie.

- Strasznie to nieokreślone. - Niemniej zapisał "Czyżby narkoman???". - No to wychodzimy na ostatnią prostą. Nasz człowiek robi sobie dwa tygodnie przerwy i wraca do pracy jedenastego czerwca. Skąd ta przerwa? Zmęczył się? Ma inne cele w życiu? Coś innego do roboty? Wyjechał z miasta? Wrócił do Vegas?

124

Retoryczne pytania. Nancy obserwowała twarz partnera, głęboko zamyślonego. Sprawdziliśmy wszystkie mandaty na prowadzących na wschód głównych drogach między Vegas a Nowym Jorkiem pomiędzy datami wysłania kartek a datami morderstw i nie znaleźliśmy nic interesującego, racja?

— Racja - przytaknęła.

— Mamy także listy pasażerów lotniczych połączeń bez pośrednich i z przesiadką na odpowiednie daty, racja?

— Racja.

— I czego się dzięki temu dowiedzieliśmy?

— Na razie niczego. Mamy kilka tysięcy nazwisk, które przepuszczamy co kilka dni przez bazę danych nazwisk związanych z ofiarami. Do tej pory nie znaleźliśmy niczego.

— Sprawdziliśmy wszystkich pasażerów w stanowych i federalnych rejestrach przestępstw?

- Will, pytałeś mnie o to kilkanaście razy!

Will nie miał zamiaru jej za to przepraszać.

- Bo to jest ważne! Przy okazji, daj mi wydruk wszystkich pasażerów o latynoskich nazwiskach. - Wskazał stos papierów na podłodze koło okna. - Daj mi je, dobrze? Bo tuja wkraczam do akcji.

Sprawa numer 7: Ida Gabriela Santiago, lat siedemdziesiąt osiem, zabita przez intruza we własnej sypialni, pocisk kaliberu .22, strzał w ucho. Tak jak Will od początku podejrzewał, nie została zgwałcona. Odciski palców pochodziły tylko od niej i jej najbliższej rodziny. Torebka ofiary rzeczywiście została skradziona i do tej pory nie udało się jej odnaleźć. Odcisk stopy na ziemi pod oknem kuchennym odpowiadał numerowi dwunastemu, charakterystyczny krzyżowy wzór podeszwy pozwalał zidentyfikować popularny model buta do koszykówki Reebok DMX 10. Biorąc pod uwagę głębokość śladu i wil-

125

gotność ziemi, technicy z laboratorium oszacowali ciężar człowieka, który zostawił ślad, na jakieś siedemdziesiąt siedem kilogramów lub trochę więcej, co odpowiadało z grubsza wadze podejrzanego z Park Avenue. Szukali związków, głównie ze sprawą Lopez, ale nie znaleźli żadnych wyraźnych punktów zbieżnych w życiu tych dwóch latynoskich kobiet.

Pozostała jeszcze sprawa numer osiem: Lucius Jefferson Robertson, człowiek, który został dosłownie przestraszony na śmierć. Niewiele więcej można było o nim powiedzieć, prawda?

- To tyle, jestem wykończony - oznajmił Will. - Podsumuj, co mamy, dobrze, partnerko?

Nancy ochoczo przejrzała świeżo zrobione notatki, po czym zerknęła na jego "najważniejsze obserwacje".

— Można chyba powiedzieć, że nasz podejrzany ma blisko metr osiemdziesiąt wzrostu, waży pomiędzy siedemdziesiąt pięć a osiemdziesiąt kilogramów, jest mężczyzną pochodzenia latynoskiego. Narkoman. Przestępca seksualny. Jeździ samo

chodem osobowym koloru niebieskiego. Uzbrojony w nóż, broń kalibru dwadzieścia dwa i trzydzieści osiem. Podróżuje z i do Las Vegas samochodem lub samolotem, zabija chętniej w dni powszednie, odpoczywa w weekendy.

— Wzorowy portret psychologiczny. - Willowi udało się wreszcie uśmiechnąć. - No to teraz najważniejsze. Jak wybiera ofiary i o co chodzi z tymi pieprzonymi pocztówkami.

— Nie klnij - zaprotestowała Nancy i żartobliwie machnęła notesem w jego kierunku. - Ofiary mogą być ze sobą po wiązane lub nie. Każda zbrodnia jest inna, prawie tak jakby popełniane były losowo. Być może ofiary też wybierane są losowo. Wysyła pocztówki, by dać nam do zrozumienia, że przestępstwa są ze sobą powiązane i że to on decyduje, kto i kiedy ma umrzeć. Czyta o Mordercy Dnia Sądu w gazetach, ogląda programy o nim w kablówkach całego kraju, ma władzę,  
126

a właśnie o władzę mu chodzi. Jest bardzo sprytny i wyjątkowo pokrecony. Oto nasz człowiek.

Oczekiwała aprobaty, ale Will natychmiast przekłuł balonik.

- Doprawdy, jest pani niesamowita, agentko specjalna Lipinski. - Wstał, zdumiewając się tym, jak cudownie czuje się człowiek potrafiący jasno myśleć i mający żołądek zdolny przyjąć pożywienie. - Pani synteza ma tylko jedną wadę: nie wierzę w ani jedno jej słowo. Jedyne znany mi arcybandzior, zdolny do popełnienia tak wyrafinowanych zbrodni, to Lex Luther, a kiedy ostatni raz sprawdzałem, ciągle był postacią z komiksu. Zrób sobie przerwę na lunch, a potem zabierz mnie na tę konferencję prasową.

Wygonił Nancy z pokoju, ale na pożegnanie puścił do niej oko. Odprowadził ją wzrokiem. Pomyślał, że rzeczywiście, wygląda o wiele lepiej.

Sprawa Mordercy Dnia Sądu ciągnęła się i ciągnęła, przyszło lato i spotkania z prasą



zaczęto organizować co tydzień. Wcześniej były to codzienne briefingi, ale tego poziomu zainteresowania mediów nie dało się długo utrzymać. Mimo to historia miała solidne podstawy, zachowała część swej wartości i ciągle cieszyła się większą oglądalnością niż O.J., Jon Be-net i Anna Nicole razem wzięci. Każdego wieczoru w niemal każdej kablówce przeprowadzały jej sekcję i analizowały ją aż do poziomu molekularnego gadające głowy oraz legion byłych agentów FBI i funkcjonariuszy przestrzegania prawa, prawników i innych mędrców, jednym tchem wygłaszających swoje teorie. Ostatnio powoli znajdowali jednak wspólny język: FBI nie dokonuje postępów, a więc FBI jest nieudolne.

Konferencja odbywała się w sali balowej nowojorskiego Hiltona. Kiedy Will i Nancy zajęli przeznaczone im miejsca

127

blisko wejścia służbowego, sala była już w trzech czwartych wypełniona przez dziennikarzy i fotografów, a grube ryby sadowiły się właśnie na podium. Na sygnał zapaliły się lampy telewizji i rozpoczęła się transmisja na żywo.

Burmistrz, mężczyzna szykowny i spokojny jak głaz, pierwszy zabrał głos.

- Jesteśmy w szóstym tygodniu śledztwa - rozpoczął. -

Dobra wiadomość to ta, że w ciągu dziesięciu ostatnich dni nikt nie zginął. Nie dokonano także aresztowania, ale zawodowcy ze służb egzekwowania prawa z miasta Nowy Jork, stanu Nowy Jork i agencji federalnych pracują równie ciężko jak, mam wrażenie, owocnie, badając jednocześnie różne tropy i teorie. Jednakże nie można zaprzeczyć, że w naszym mieście zdarzyło się osiem powiązanych ze sobą morderstw. Obywatele nie pozbędą się obaw, póki ich sprawca nie zostanie aresztowany i osądzony. Benjamin Wright, asystent odpowiedzialny za nowojorskie biuro FBI, odpowie na państwa pytania.

Wright był wysokim, szczupłym Afroamerykaninem po pięćdziesiątce. Miał cienkie wąsiki, krótko ostrzyżone włosy i nosił okulary w drucianej oprawie nadające mu

wygląd profesjonalisty. Wstał, wygładził zmarszczki dwurzędowej marynarki. Przed kamerami czuł się pewnie, a kiedy przemówił do rzędów mikrofonów, mówił krótko i do rzeczy.

- Jak powiedział pan burmistrz, FBI pracuje nad tą sprawą, ściśle współdziałając z miejskimi i stanowymi instytucjami przestrzegania prawa. W historii Biura nie było równie szeroko zakrojonego śledztwa w sprawie seryjnych zabójstw. Choć nie zatrzymaliśmy jeszcze podejrzanego, pracujemy niezłomnie. Jedną rzecz chcę powiedzieć jasno: znajdziemy mordcę. Dysponujemy wszelkimi niezbędnymi środkami, w tej sprawie nie ma żadnych ograniczeń. To tylko kwestia czasu. Teraz odpowiem na państwa pytania.

128

Reporterzy wyroili się niczym zaniepokojone pszczoły, wiedzieli już, że nie doczekają się nowości. Dziennikarze sieci i kablówek okazali uprzejmość, pozwalając ciskać kamieniami swym uboższym, umazanym tuszem kolegom z gazet.

P: Czy są jakieś nowe informacje o wynikach testów toksykologicznych Luciusa Robertsona?

O: Nie. Na wyniki niektórych testów tkanek trzeba poczekać jeszcze kilka tygodni.

P: Czy przeprowadzono testy na rycynę i węglik?

O: Tak. W obu wypadkach wyniki były negatywne.

P: Jeśli wszystkie wyniki były negatywne, to co zabiło Luciusa Robertsona?

O: Jeszcze nie wiemy.

P: Czy wasza niewiedza nie niepokoi obywateli?

O: Jeśli poznamy przyczynę śmierci, natychmiast podamy ją do wiadomości publicznej.

P: Czy policja z Las Vegas jest skłonna do współpracy?

O: Tak.

P: Czy zidentyfikowano wszystkie odciski palców na pocztówkach?

O: Prawie wszystkie. Nadal szukamy niektórych pracowników sortowni poczty.

P: Czy są jakieś tropy prowadzące do zakapturzonego mężczyzny ze sprawy Swishera?

O: Nie.

P: Czy kule, od których zginęły dwie ofiary, odpowiadają zidentyfikowanym w jakiejś innej sprawie?

O: Nie.

P: Skąd wiemy, że nie jest to dzieło Al-Kaidy?

O: Nic nie wskazuje na działalność terrorystyczną.

129

P: Jasnowidzka z Los Angeles poskarżyła się, że FBI nie chce z nią rozmawiać, chociaż informowała o związkach ze sprawą długowłosego mężczyzny o nazwisku Jackson.

O: FBI bada wszystkie prawdopodobne tropy.

P: Czy jesteście świadomi, do jakiego stopnia ludzie są sfrustrowani brakiem postępów?

O: Podzielamy ich odczucia, ale nie wątpimy w ostateczny sukces prowadzonego przez nas śledztwa.

P: Czy sądzicie, że będzie więcej morderstw?

O: Mamy nadzieję, że nie, ale tego nigdy nie wiadomo.

P: Czy FBI dysponuje portretem psychologicznym Mordercy Dnia Sądu?

O: Jeszcze nie. Pracujemy nad tym. ,

P: Dlaczego trwa to tak długo?

O: Ze względu na stopień komplikacji tej sprawy.

Will pochylił się i szepnął Nancy do ucha: "Co za cholerna strata czasu!".

P: Czy sprawę prowadzą wasi najlepsi ludzie?

O: Tak.

P: Czy środki przekazu mogą porozmawiać z agentem specjalnym nadzorującym dochodzenie?

O: Ja mogę odpowiedzieć na wszystkie państwa pytania.

Will dodał: "O, teraz robi się interesująco".

P: Dlaczego nie możemy spotkać się z agentem? O: Postaramy się przedstawić go państwu na następnej konferencji.

130

P: Czy jest obecny w tej sali? O: ...

Wright spojrział na siedzącą w pierwszym rzędzie Sue Sanchez, błagając spojrzeniem, by kontrolowała swojego człowieka. Sue rozejrzała się, dostrzegła stojącego z boku Willa, ale niewiele mogła, chociaż gdyby wzrok zabijał, już by nie żył.

Myśli, że jestem nieprzewidywalny - doszedł do wniosku Will. No, najwyższy czas, żeby coś zaczęło się dziać. Ja jestem agentem specjalnym prowadzącym śledztwo.

Skoro chcą, niech mają.

- Tutaj! - powiedział głośno, podnosząc rękę. Wielorotnie w trakcie swojej kariery stawał przed dziennikarzami, była to dla niego rutyna. Kamery go nie przerażały.

Nancy dostrzegła przerażenie na twarzy Sanchez i omal odruchowo nie złapała go za rękaw. Omal. Bo Will ruszył ku podium niezwykle energicznie. Kamery dopiero odwracały się w lewo, w stronę podium

Benjamin Wright mógł zrobić tylko jedno.

- W porządku - powiedział, zrezygnowany. - Agent specjalny Will Piper odpowie na kilka pytań. Oddaję ci głos, Will. - A kiedy się mijali, szepnął: - Niech to trwa krótko.

I uważaj.

Will przygładził włosy i wszedł na podium. Jego organizm pozbył się już alkoholu wraz z produktami ubocznymi i Will czuł się świetnie, wręcz przebojowo.

Zamieszajmy trochę - pomyślał. Był bardzo fotogeniczny, wielki jasnowłosy mężczyzna, szerokie ramiona, dołeczek w brodzie, wspaniałe niebieskie oczy. Gdzieś tam, w reżyserce, telewizyjny realizator transmisji powiedział: "Dajcie zbliżenie faceta".

Pierwsze padło pytanie: "Skądś znamy pańskie nazwisko"?

131

- Z baśni. Topię szczury\*.

Dziennikarze poruszyli się w krzesłach; czyżby wreszcie postawili przed nimi kogoś żywego? Kilku starszych poszeptało między sobą: "Przecież ja znam tego faceta. Był sławny".

— Jak długo pracuje pan w FBI?

— Osiemnaście lat, dwa miesiące, trzy dni.

— Czemu tak szczegółowo.

— Zawsze zwracałem uwagę na szczegóły.

— Jakie ma pan doświadczenie z seryjnymi zabójstwami?

— Przez wszystkie spędzone w FBI lata ścigałem seryjnych zabójców. Nadzorowałem osiem śledztw: gwałciciela z Asheville, mordercę z White River w Indianapolis, sześć innych. Za każdym razem winny trafił za kratki. Ten też trafi.

— Dlaczego nie ma pan jeszcze profilu psychologicznego mordercy?

— Próbuje, wierzcie mi, ale temu sprawcy nie sposób sporządzić portretu w ogólnie przyjętym sensie tego słowa. Każde jego morderstwo jest inne. Nie ma wzoru. Gdyby nie wysyłane jako ostrzeżenie pocztówki, nie wiedzielibyście państwo nawet, że te sprawy są jakoś powiązane.

— Jaka jest pańska teoria?

— Sądzę, że mamy do czynienia z bardzo inteligentnym

i bardzo skrzywionym psychicznie człowiekiem. Co go motywuje, nie wiem. Wiem natomiast z całą pewnością, że pożąda popularności... i dzięki państwu ją dostaje.

— Więc sądzi pan, że nie powinniśmy zajmować się tą sprawą?

—

\* Piper (dudziarz) - postać z baśni braci Grimm. Szczurołap, który w wersji anglojęzycznej melodią graną na dudach wyprowadził szczury, a potem dzieci z wioski Hameln. W innych wersjach językowych grał na zaczarowanym flecie.

132

— Nie macie państwo wyboru. Ja po prostu stwierdzam fakt.

— Jak zamierza pan go złapać?

— Nie jest doskonały. Zostawia tropy. Nie będę wchodził w szczegóły ze zrozumiałych powodów. Dostaniemy go.

— Jak pan sądzi, popełni kolejne morderstwo?

— Proszę pozwolić mi odpowiedzieć na mój własny sposób.

Otóż sądzę, że sprawca ogląda w tej chwili telewizję. Zwracam się do niego. - Will spojrzał wprost w obiektywy kamer.

Ach, te niebieskie oczy. - Złapię cię i pójdiesz siedzieć. To tylko kwestia czasu.

Wright, stojący przez cały czas za jego plecami, po tym pytaniu praktycznie odepchnął go od mikrofonów.

- W porządku, panie i panowie, na dziś to wszystko.

O miejscu i czasie następnej konferencji zostaną państwo poinformowani w odpowiednim czasie.

Przedstawiciele prasy wstali. Z ogólnego hałasu wybił się wysoki kobiecy głos korespondentki "Post".

- Obiecuj nam, że przyrowadzisz Szczurołapa!

Numer 941 na Park Avenue był solidnym sześcianem, trzy-nastopiętrową

przedwojenną kamienicą, z pierwszą i drugą kondygnacją wyłożoną eleganckim białym granitem. Wejście na klatkę schodową wykończono było gustownie marmurem i obiciem z perkalu. Will był tu już wcześniej, odtwarzając ostatnie kroki Davida Swishera od holu budynku do tego miejsca na Osiemdziesiątej Drugiej Ulicy, gdzie zginął. Przeszedł tę drogę o tej samej godzinie, przed świtem. Przysiadł na miejscu morderstwa, nadal przebarwionym, choć przecież miejskie służby sanitarne porządnie je oczyściły, i próbował sobie wyobrazić, co ofiara widziała w ostatniej chwili życia, tuż przedtem, nim mózg przestał pracować. Kawalek cętkowanego

133

chodnika? Czarną żelazną kratę w oknach? Cienki dąb wyrastający z kwadratu udeptanej ziemi?

Miał nadzieję, że jednak drzewo.

Jak można się było spodziewać Helen Swisher podrażniła Willa i to zupełnie nie tak, jak trzeba. Skazywała go na przemawianie do automatycznej sekretarki i wysłuchiwanie automatycznej sekretarki, nie mogła się umówić z mnóstwem różnych powodów, wyjeżdżała z miasta. Złość, rzecz jasna, wylał na Nancy.

- Na litość boską, przecież to żona ofiary, a nie jakaś cholerna podejrzana! Mogłaby okazać jakąś gotowość do wspólnej pracy.

No i wreszcie, w środku opieprzu, jaki uznała za stosowne dać mu Sue Sanchez za koncert w stylu Ala Haiga na konferencji prasowej, ten pod tytułem "Ja prowadzę to śledztwo", zadzwonił jego telefon komórkowy i słodka zoneczka poinformowała go ni mniej, ni więcej, że musi przyjechać punktualnie, bo "ma bardzo mało czasu". No i wreszcie szczyt wszystkiego, przywitała ich na progu mieszkania 9B tym cholernym protekcyjnym, nieobecny spojrzeniem, jakby byli czyścicielami, którzy przyszli zwinąć jeden z jej perskich dywanów.

— Doprawdy nie wiem, co mogę powiedzieć panu takiego,

czego wcześniej nie powiedziałam policji - rzekła Helen Swisher, prowadząc ich pod palladiańskim łukiem do pokoju dziennego, godnego podziwu, ogromnego, z oknami wychodzącymi na Park Avenue. Will spojrzął na umeblowanie i elementy wystroju, i zeszywniał. Szyk, elegancja, pensja całego jego czynnego życia zawodowego wtłoczona do jednego pokoju, "rodzinne" meble pomysłu rozszalałych dekoratorów, kandelabry, dywany, a wszystko to łatwo wymienialne po kursie luksusowa bryka za sztukę.

— Ładnie tu - powiedział Will, unosząc brwi.

—

134

- Dziękuję - odparła chłodno pani Swisher. - David lubił czytać tu niedzielną gazetę. Właśnie wystawiłam mieszkanie na sprzedaż.

Usiedli i gospodyni natychmiast zaczęła bawić się paskiem zegarka; wyraźnie czytelny sygnał wysłany do gości: powinni się pospieszyć. Will ocenił ją szybko, taki miniportret psychologiczny. Była atrakcyjna na nieco koński sposób, co podkreślały jeszcze nienagannie uczesane włosy i kostium wprost od projektanta. Swisher był Żydem, ona nie. Prawdopodobnie elita finansowa z długim rodowodem; bankier i prawniczka, spotkali się nie na gruncie towarzyskim, raczej zawarli układ. Ta kobieta nie była zimna, była lodowata. Brak oznak żalu nie musiał oznaczać obojętności - zapewne pani Swisher była związana z mężem - leżał po prostu w naturze kogoś, kto w żyłach ma nie krew, lecz lód. Gdyby chciał kiedyś zaciągnąć do sądu kogoś, kogo naprawdę by nienawidził, Will nie zdołałaby wyobrazić sobie lepszego adwokata. Helen utrzymywała kontakt wzrokowy wyłącznie z nim, Nancy nie widziała. Podwładni, tak jak aplikanci jej firmy z wyższych sfer, stanowili część wyposażenia biura, istnieli wyłącznie w tle. Dostrzegła ją dopiero wtedy, gdy Nancy otworzyła notatnik, i przyznała się, że ją widzi, krzywiąc się niechętnie.



Will uznał, że bez sensu byłoby zaczynać od sztucznych wyrazów współczucia. Ani on ich nie sprzeda, ani ona nie kupi. Zaczął więc prosto z mostu:

— Czy zna pani jakiegoś mężczyznę latynoskiego pochodzenia jeżdżącego niebieskim samochodem?

— O mój Boże! - usłyszał w odpowiedzi. - Czyżbyście aż tak zawężili pole poszukiwań?

Zignorował tę uwagę.

- Zna pani czy nie?

135

I

— Jedyne znany mi latynoski dżentelmen to Ricardo, który wyprowadzał naszego psa. Nie mam pojęcia, czy jeździ samochodem, a jeśli tak, to jakim.

— Dlaczego mówi pani w czasie przeszłym?

— Oddałam psa Davida. Zabawne, jeden z sanitariuszy pogotowia ratunkowego z Lenox Hill Hospital, który przyjechał tu tamtego ranka, zakochał się w nim od pierwszego wejrzenia.

— Poproszę o dane kontaktowe Ricarda - powiedziała Nancy.

— Oczywiście - prychnęła.

— Jeśli mieliście państwo kogoś do wyprowadzania psa, to dlaczego pani mąż wyszedł z nim w dniu śmierci? - spytał Will.

— Ricardo przychodził wyłącznie po południu, kiedy byliśmy w pracy. Kiedy David był w domu, on chodził z psem na spacer.

— Każdego rana o tej samej porze?

— Tak. Około piątej.

— Kto o tym wiedział?

— Przypuszczam, że nocny portier.

— Czy pani mąż miał jakichś wrogów? Którzy mogli życzyć mu śmierci?

— Z całą pewnością nie. To znaczy, każdy bankier ma przeciwników, to normalne, ale David prowadził standardowe, można powiedzieć, że nawet przyjazne transakcje. Był łagodnym człowiekiem. - Mówiła to tak, jakby łagodność nie stanowiła bynajmniej cnoty.

— Czy dostała pani e-mail z uzupełnioną listą ofiar?

— Tak. Nawet do niego zajrzałam.

- 1?

Skrzywiła się.

136

- Ależ to oczywiste, że ani David, ani ja nie znamy żadnego z tych ludzi.

To wszystko tłumaczyło, wyjaśniało brak współpracy. Oprócz kłopotów wynikających z utraty godnego zaufania małżonka, tej kobiecie dokuczało też samo powiązanie ze sprawą Dnia Sądu. Była dobrze znana, owszem, ale też tandetna. Większość ofiar stanowili ludzie anonimowi, niższa klasa. Morderstwo Davida szkodziło jej statusowi, jej karierze; szacowni partnerzy pewnie już szeptali o niej, załatwiając się w toalecie lub grając w golfa. W głębi duszy pani Swisher pewnie nawet wściekała się na męża za to, że pozwolił poderżnąć sobie gardło.

— Las Vegas - powiedział nagle Will.

— Co Las Vegas? - powtórzyła podejrzliwie gospodyni.

— Kogo znał David w Las Vegas?

— Zadał sobie to samo pytanie tego dnia wieczorem, kiedy

zobaczył pocztówkę. Nie potrafił wymienić nikogo tak po prostu, z pamięci. Ja też nie potrafię.

— Prosiliśmy bank o listę jego klientów. Do tej pory jej nie otrzymaliśmy - wtrąciła Nancy.

— Z kim rozmawiacie? - pani Swisher zwróciła się z pytaniem do Willa.

— Z biurem doradcy prawnego.

— Bardzo dobrze znam Steve'a Gartnera. Jeśli pan chce, mogę z nim zamienić słówko.

— To by nam bardzo pomogło.

W tej chwili telefon Willa odegrał swą bardzo nie na miejscu melodyjkę. Will przyjął rozmowę bez słowa usprawiedliwienia, przez kilka chwil słuchał, potem wstał i w poszukiwaniu odrobiny prywatności odszedł w kierunku grupy sof i krzeseł stojących pod przeciwległą ścianą pokoju. Kobiety zostały same. Nie czuły się z tym zrećźnie. Nancy, zakłopotana, przewracała kartki notatnika i udawała zajęta, ale widać było,

137

że czuje się jak brzydkie kaczątko przy łabędziu. Helen po prostu gapiała się na zegarek, jakby to wystarczyło, by dokonać cudu i pozbyć się intruzów.

Will zakończył rozmowę. Wrócił do nich, chowając po drodze telefon.

- Dziękuję pani - powiedział. - Musimy już iść.

I tak skończyło się spotkanie. Szybkie pożegnanie, chłodne spojrzenia, całkowity brak sympatii.

— Jest taka słodka - powiedział Will już w windzie.

— Straszna suka - przytaknęła Nancy.

— Jedziemy na City Island.

— Po co?

— Ofiara numer dziewięć.

Nancy omal nie zerwała sobie mięśni, podrywając głowę, by spojrzeć mu w oczy. Zjechali na dół. Drzwi windy się otworzyły.

— Reguły gry się zmieniły, partnerko. Nie wygląda na to, żebyśmy mieli ofiarę numer dziesięć. Policja zatrzymała podejrzanego. Luis Camacho, lat trzydzieści dwa, mężczyzna pochodzenia latynoskiego, metr siedemdziesiąt dwa, siedemdziesiąt trzy kilogramy.

— Naprawdę!?

— Wygląda na to, że jest stewardem. Nie zgadniesz, na jakiej trasie lata.

— Do Las Vegas?

— Do Las Vegas.

—

6 lipca 777 Vectis, Brytania

Zgromadzenie.

To słowo dźwięczało mu w głowie, a kiedy był sam, spływało mu na wargi, a wówczas drżał na całym ciele.

Myślał tylko o zgromadzeniu, jak jego bracia, był jednak przekonany, że dotyka go bardziej niż innych; czysty wymysł, biorąc pod uwagę, że o takich sprawach nie rozmawia się otwarcie.

Oczywiście, wszyscy od dawna mieli świadomość tego, że nadejdzie ten siódmy dzień, lecz poczucie, że oto wypełnia się znak, stało się znacznie silniejsze, gdy w maju pojawiła się kometa. Jeszcze teraz, dwa miesiące później, jej płonący warkocz rozjarzał nocne niebo.

Przeor Josephus obudził się, nim zadzwoniono na laudę. Odrzucił szorstkie przykrycie, wstał, wypróżnił się do nocnika, po czym ochlapał twarz zimną wodą z miednicy. Krzesło, stół, siennik, prycza stojąca na ubitej ziemi, cela bez okna; biały habit oraz skórzane sandały stanowiły cały jego ziemski majątek.

Był szczęśliwy.

W czterdziestym czwartym roku życia łysiał i tył, co zawdzięczał upodobaniu do mocnego piwa tryskającego z beczek browaru opactwa. Łysina ułatwiała utrzymanie tonsury; Ig-natius, brat balwierz, nie musiał się z nim męczyć co miesiąc, robił swoje szybko i sprawnie, po czym odsyłał go z balwierni klepnięciem w łysą czaszkę i wesołym mrugnięciem.

Josephus wstąpił do zakonu w wieku piętnastu lat. Jako oblat miał dostęp tylko do zewnętrznych pomieszczeń opactwa, dopiero potem, kiedy otrzymał święcenia, stał się pełnoprawnym członkiem zgromadzenia. Wiedział, że całe życie spędzi w tym jednym miejscu i tu też umrze. Miłość, którą żywił do Boga i braterskie związki ze współbraćmi, z jego famulus Christi, były tak silne, że często płakał z radości, ograniczanej tylko poczuciem winy wywołanym świadomością, jak wiele ma szczęścia w porównaniu z mieszkającymi na wyspie nieszczęsnymi duszyczkami. Ukłąkł przy pryczy i kontynuując tradycję samego świętego Benedykta, rozpoczął duchowy dzień Modlitwą Pańską, by, jak pisał mistrz, "ciernie sporów pragnące powstać" nie rozbijały jedności wspólnoty.

Pater noster, qui est in caelis: sanctificetur Nomen Tuum; adveniat Regnum Tuum; fiat voluntas Tua...

Skończył, przeżegnał się i w tym momencie uderzył dzwon opactwa. Zawieszony na wieży, na grubym sznurze, zrobiony został przed niemal dwudziestu laty przez Matthiasa, kowala opactwa, drogiego przyjaciela Josephusa, dawno zmarłego na ospę. Melodyjny głos serca dzwonu pomiędzy wyklepanymi

140

żelaznymi płytami zawsze przypominał Josephusowi głęboki śmiech rumianego kowala. Zapragnął poświęcić chwilę pamięci przyjacielowi, lecz w jego myślach znów pojawiło się słowo "zgromadzenie".

Miał obowiązki do wypełnienia przed laudą. Jako przeor nadzorował pracę nowicjuszy i młodych zakonników. Wyszedł z dormitorium na przyjemnie świeże powietrze. Było ciemno. Głęboko odetchnął wilgotnym zapachem morza. Wymiona

krów w obórcie były pełne mleka; z radością stwierdził, że młodzi ludzie już się zatroszczyli o zwierzęta, nie czekając na niego.

- Pokój z tobą, bracie. - Tymi cichymi słowami pozdrawiał ich, przechodząc obok i kładąc im dłonie na ramionach. Nagle zamarł, uświadomił sobie, że jest siedem krów i siedmiu dojących je chłopców.

Siedem.

Tajemnicza boska cyfra.

Sama Księga Rodzaju pełna była siódemek: siedem nieb, siedem tronów, siedem pieczęci, siedem kościołów. Mury Jerycha rozpadły się w siódmym dniu oblężenia.

W Księdze Objawienia św. Jana Bóg wysyła na ziemię siedmiu swych aniołów.

Dokładnie siedem pokoleń dzieliło Dawida od Jezusa Chrystusa, naszego Pana.

A dziś zaczynał się siódmy dzień siódmego miesiąca roku Pańskiego 777 -jego nadejście zapowiedziała kometa, którą Paulinus, astronom opactwa, nazwał, nieufnie, Cometes Luctus, Kometą Rozpaczy.

I jest jeszcze sprawa Santesy, żony kamieniarza Ubertusa, której czas dobiegał burzliwego końca.

Jak oni wszyscy mogą być tacy spokojni?

W imię Pana, co przyniesie jutro?

141

Kościół opactwa Vectis był wspaniałym dziełem w budowie i źródłem wielkiej dumy. Oryginalny, drewniany, kryty strzechą, postawiony przed blisko stu laty, okazał się niezwykle wytrzymały. Skutecznie opierał się wichrom i okrutnym sztormom. Jego historia wraz z historią klasztoru były doskonale znane, niektórzy najstarsi zakonnicy żyli tu wspólnie z ojcami założycielami. Jeden z nich, stareńki Alric, tak chory, że nie opuszczał już swej celi nawet na msze święte, znał samego czcigodnego biskupa Dorchester, Birinusa.

Birinus, Frank, przybył do Wessex w 634 roku. Sakrę biskupią otrzymał od papieża Honoriusza, a wraz z nią misję nawrócenia pogańskich zachodnich Sasów. Wkrótce po przybyciu na miejsce stał się rozjemcą toczącej się na tym krańcu świata wojny

domowej i wziął na siebie ciężar pogodzenia nieokrzesanego zachodniosaskiego króla, Cynegilsa, z Oswaldem, królem Nor-thumbrii, znacznie bardziej cywilizowanym i - co więcej - chrześcijaninem. Oswald nie zamierzał jednak zawierać układów z poganinem. Birinus, bezbłędnie wykorzystując wspaniałą okazję, przekonał Cynegilsa do nawrócenia, a potem osobiście, w imię Chrystusa, wylał mu wodę chrztu świętego na brudne, skudłone włosy.

Królowie zawarli rozejm, który przerodził się w długotrwały pokój. W dowód wdzięczności Cynegils przekazał Dorchester Birinusowi pod jego biskupią stolicę i osobiście stał się jej dobroczyńcą. Ze swej strony Birinus rozpoczął realizację ambitnego celu: fundowania klasztorów reguły św. Benedykta na południowych ziemiach. Wraz z postawieniem opactwa Vectis w roku 686, pamiętnym z powodu zarazy, ostatnia z wysp Brytanii znalazła się na łonie chrześcijaństwa. Cyneglis zapisał Kościołowi sześćdziesiąt łanów dobrej ziemi wraz z płynącą wodą na wyspie, odosobnionej, lecz łatwo dostępnej z wybrzeży Wessex.

142

Aetia, obecny biskup Dorchester, miał teraz za zadanie pilnować, by złoto płynęło z książęcych kufrów w interesie Kościoła. Wpoił w króla Mercii, Offę, przekonanie o duchowych korzyściach podwojenia wspaniałości opactwa Vectis poprzez jego przemienienie z drewnianego w murowany, ku chwale Boga i Jemu w podzięce.

- Bo przecież - powiedział pewnego dnia, pochylając się do ucha władcy - powagę mierzy się nie dębem, lecz kamieniem.

W pobliskim kamieniołomie włoscy kamieniarze już od dwóch lat pracowicie cięli i gładzili bloki piaskowca, transportowane następnie na miejsce zaprzęgami wołów. Mularze powoli, mozolnie wznosili z nich ściany kościoła, używając drewna jako szkieletu konstrukcji. Powietrze dnia dźwięczało metalicznym odgłosem dłut, przesuwanych po kamieniu, cichnącym wyłącznie podczas nabożeństw, kiedy to zakonnicy wypełniali sanktuarium, by pograć się w cichej modlitwie i kontemplacji.

Po drodze na laudę Josephus jeszcze raz przeszedł przez dormitorium. Cicho

otworzył drzwi celi Alrica. Pragnął upewnić się, że stary mnich przeżył noc. Donośne chrapanie podniosło go na duchu; odmówił modlitwę nad skulonym ciałem, opuścił celę i wszedł do kościoła nocnymi schodami.

Sanktuarium oświetlało zaledwie kilka świec, światła starczało jednak, by zapobiec niefortunnym wypadkom. Wysoko, w ciemności, nietoperze latały pomiędzy krokwiemi. Bracia stali po obu stronach ołtarza, w dwóch rzędach, naprzeciw siebie, cierpliwie czekając na przybycie opata. Josephus cicho zajął miejsce obok drobnego, nerwowego Paulinusa i gdyby nie usłyszeli zgrzytu otwierających się ciężkich drzwi, zapewne nawet przywitaliby się krótko. Ale zbliżał się opat, nie ośmielili się więc mówić.

143

Opat Oswyn był imponującym mężczyzną o długich rękach i nogach oraz potężnych ramionach. Przez większą część życia przewyższał braci zakonnych o głowę, ale w ostatnich latach chyba się kurczył, albowiem garbiło go bolesne skrzywienie kręgosłupa. W rezultacie choroby spuszczonej oczami ciągle wpatrywał się w ziemię, jako że niemal niemożliwe już było dla niego zwrócenie wzroku ku niebiosom. W tym czasie jego usposobienie zmieniło się na gorsze, co oczywiście okryło zgromadzenie całunem smutku, rzucając na braterstwo mnichów głęboki cień. Zgromadzeni w kościele słyszeli szuranie jego sandałów po nagich deskach kościelnej podłogi. Jak zwykle opat głowę miał spuszczoną; światło świec odbijało się od jego nagiej czaszki i śnieżnobiałej lamówki habitu.

Krzywiąc twarz z wysiłku, opat wspiął się po kilku schodkach do ołtarza. Zajął swe zwyczajne miejsce pod baldachimem, wspartym na drążkach z polerowanego orzechowego drewna. Położył dłonie płasko na chłodnym drewnie tabuli. Wysokim, nosowym głosem zaintonował: *Aperi, Domine, os meum ad benedicendum nomen sanctum tuum.*

Stojący w stallach w dwóch rzędach, twarzą do siebie, mnisi modlili się i śpiewali; ich dźwięczne głosy wypełniały sanktuarium. Ileż tysięcy razy Josephus odmawiał te właśnie modlitwy? A jednak dziś odczuwał specjalną potrzebę błagania Chrystusa o



zmiłowanie i wybaczenie. Ze łzami w oczach wypowiedział donośnym głosem ostatni wers Psalmu 148: Alleluja, laudate Dominum de caelis, alleluja, alleluja. Dzień był ciepły, suchy i w opactwie wrzała praca. Josephus maszerował przez świeżo skoszony trawnik zarastający czworokątny wewnętrzny dziedziniec. Robił coś w rodzaju obchodu,

144

oceniał działanie wspólnoty w jej najważniejszych aspektach. Kiedy sprawdzał to po raz ostatni, liczyła ona osiemdziesiąt trzy dusze, bez tych, które pracowały za dnia, a wieczorem wracały do domów. Każdy jej członek powinien spotkać się z przeorem przynajmniej raz dziennie. Nie przeprowadzał zaskakujących inspekcji, miał swoją rutynę i jej się trzymał.

Zaczął od mularzy, chciał zobaczyć, jak szybko posuwa się budowa. Zauważył niepokojący fakt: Ubertus nie stawił się do pracy. Odszukał jego najstarszego syna, Julianusa, postawnego chłopca o brązowej, lśniącej od potu skórze. Dowiedział się od niego, że, jak się spodziewał, Santesa zaczęła rodzić. Ubertus miał wrócić, gdy tylko będzie mógł.

- Lepiej dziś niż jutro, prawda? W każdym razie tak mówią ludzie - powiedział Julianus, a przeor z powagą skinął głową i polecił, by go natychmiast poinformowano o przyjściu dziecka na świat.

Następnie udał się do cellarium, ocenić zapasy mięsa i warzyw, potem do spichlerza, obejrzeć ziarno i upewnić się, że nie zaatakowały go myszy. W browarze do jego obowiązków należało spróbować piwa z każdej beczki, a jeśli nie mógł ocenić smaku za pierwszym razem, próbował powtórnie. Następna w kolejce była przylegająca do refektarza kuchnia, tu siostry i ich młode nowicjuszki promieniały wręcz dobrym humorem. Po niej przyszedł czas na lavatorium i ocenę czystości wody, spływającej nieprzerwanym strumieniem do koryta, w którym robiono pranie, a po lavatorium na toalety. Josephus zatkał nos i z obowiązku zajrzał do wykopanych w ziemi rowów. Ogrody. Czy udaje się utrzymać króliki z dala od delikatnych, młodych roślinek? I wreszcie, brzegiem łąki, na której pasły się kozy, Josephus doszedł do swojego

ulubionego budynku, scriptorium. Paulinus rządził niepodzielnie nim i sześcioma  
145

zakonnikami, skulonymi przy stołach, pięknie kopiującymi Regułę św. Benedykta i Biblię.

Kochał scriptorium ponad wszystko ze względu na panującą w nim ciszę i szlachetność wypełnianego tu powołania, a także dlatego, że Paulinus był człowiekiem pobożnym i aż do przesady uczonym. Gdy tylko trzeba było wyjaśnić kwestie niebieskie, a także ziemskie, dotyczące pór roku czy w ogóle zjawisk naturalnych, tłumaczył je spokojnie, cierpliwie i właściwie. Na zwykłe rozmowy opat patrzył niechętnie, ale z Paulinusem prowadziło się prawdziwie pożyteczne dyskusje, które Josephus bardzo sobie cenił.

Wszedł do scriptorium tak cicho, jak to tylko możliwe, by nie zakłócać koncentracji kopistów. Jedynym dźwiękiem był przyjemny szelest piór przesuwających się po cienkiej, doskonale wyprawionej cielejącej skórze. Skinął głową Paulinusowi, który odpowiedział mu ledwie widocznym uśmiechem. Wyraźniej sze dowody przyjaźni uważano za nieprzystojne, w sposób demonstracyjny manifestowano wyłącznie miłość do Pana.

Paulinus przywołał go, kiwając palcem. Wyszli na zewnątrz.

— Pozdrawiam cię, bracie - powiedział Josephus, mrużąc oczy w jasnym blasku słońca.

— I ja cię pozdrawiam. - Paulinus sprawiał wrażenie przestraszonego. - A więc dzień sądu już jutro - szepnął.

— Tak, oczywiście. Nadszedł wreszcie.

— W nocy długo przyglądałem się komecie...

— I?

— Z nadejściem północy stała się jasna i czerwona.

Barwy krwi.

— Co to oznacza?

— Zły znak, zły znak.

— Słyszałem, że u kobiety rozpoczął się poród - powiedział Josephus z nadzieją.

146

Paulinus ciasno splótł ramiona, wyduł wargi lekceważąco.

— I uważasz, że skoro przedtem rodziła dziewięć razy, dziecko przyjdzie na świat szóstego dnia raczej niż siódmego?

— Przynajmniej można mieć taką nadzieję.

- Miała barwę krwi - powtórzył mnich z uporem.

Słońce stało już wysoko. Josephus szybko skończył obchód, musiał zdążyć, nim zakonnicy wrócą do kościoła na sekstę. Szybkim krokiem minął dormitorium sióstr i wszedł do kapitularza. Rzędy sosnowych ławek były jeszcze puste, oczekiwały zakonników i wyznaczonej godziny, o której opat będzie czytał fragmenty Reguły św. Benedykta. Jaskółka wpadła do środka, rozpaczliwie latała dookoła, zostawił więc otwarte drzwi z nadzieją, że odnajdzie drogę do wolności. Przeszedł przez kapitularz, zastukał do drzwi prywatnej izby opata.

Oswyn siedział przy stole z głową pochyloną nad Biblią. Złote promienie słońca padały przez oszklone okno wprost na stół pod takim kątem, że święta księga jakby świeciło własnym pomarańczowym blaskiem. Zdołał wyprostować się na tyle, by spojrzeć swemu przeorowi w oczy.

— Ach, Josephus - powiedział. - Co słyszeć dziś w naszym opactwie?

— Wszystko w jak najlepszym porządku, ojcze.

— A jak budowa kościoła, Josephusie? Co z drugim łukiem wschodniej ściany?

— Został już prawie ukończony. Jednakże kamieniarz Uber-tus nie stawiał się dziś do pracy.

— Czyżby zachorował?

— Nie. Przyszedł czas jego żony.

— Ach tak, tak, teraz sobie przypominam. - Oswyn za

milkł. Oczekiwał, że przeor powie coś, ale on milczał. - Czy narodziny dziecka cię martwią?

— Być może to zwiastun nieszczęścia.

147

— Bóg nas ochroni, przeorze Josephusie. Tego możesz być pewien.

— Oczywiście, ojcze. Mimo wszystko zastanawiałem się jednak, czy nie powinienem udać się do wioski.

— A to po co? - spytał Oswyn ostro, nieprzyjemnym głosem.

— Na wypadek gdyby potrzebny był kapłan - odparł pokornie Josephus.

— Wiesz, co sądzę o opuszczaniu klasztoru. Jesteśmy sługami Chrystusa, Josephusie, a nie sługami ludzi.

— Tak, ojcze.

— Czy wieśniacy szukają naszej pomocy?

— Nie.

— Zamierzam więc odmówić twej prośbie. - Opat wstał, prostując lekko przygięte do ziemi ciało. - A teraz, Josephusie, udamy się na sekstę i tam wraz z braćmi i siostrami będziemy głosić chwałę Pana.

Nieszpory, nabożeństwo wieczorne odprawiane o zachodzie słońca, były Josephusowi najdroższe, ponieważ opat pozwalał wówczas siostrze Magdalenie akompaniować ich modlitwom na psalterium. Jej długie palce trącały dziesięć strun lutni, a doskonałość tonu i precyzja kadencji były, o czym nie wątpił, świadectwem wspaniałości Chrystusa Wszechmocnego.

Po zakończeniu nabożeństwa bracia i siostry opuścili kościół i udali się do swych dormitoriów, omijając pozostawione przez Włochów bloki kamienia i jego odłamki oraz rusztowania. Wróciwszy do swej celi, Josephus próbował oczyścić umysł na

czas kontemplacji, lecz przeszkadzały mu nawet zwykłe, codzienne, napływające z daleka odgłosy. Czy ktoś zbliżał się do murów opactwa? Czy przynosił wieść o narodzinach dziec-

148

ka? Oczekiwał, że lada chwila odezwie się dzwon oznajmiający przybycie gości. Czas komputy nadszedł szybciej, niż się spodziewał. Zakonnicy znów zebrali się w kościele na ostatnie nabożeństwo dnia. Ponieważ jego umysł był zajęty, a kontemplacja nieudana, modlił się do Boga o przebaczenie. Gdy przebrzmiała ostatnia nuta chorału, pozostał nieruchomy, obserwując odstępującego od ołtarza opata. Widząc jego ostrożne, powolne kroki, pomyślał, że Oswyn nigdy jeszcze nie wydał mu się tak stary i kruchy.

Josephus spał niespokojnie, gnębiony przez sny o kometach barwy krwi i płonących czerwienią dziecięcych oczach. W jego koszarach ludzie gromadzili się na łące pośrodku wioski, wezwani tam przez dzwonnika o jednym silnym, a drugim uschniętym ramieniu. Był zrozpaczony, płakał... i nagle zdumiony Josephus drgnął. Budził się ze świadomością, że dzwonnikiem tym jest Oswyn.

Ktoś walił w drzwi jego celi.

— Tak?

— Przeorze Josephusie - powiedział młody głos - tak mi przykro, że cię budzę.

— Wejdz.

Do celi wszedł Theodore, nowicjusz, który tej nocy pełnił służbę odźwiernego.

— Przybył Julianus, syn kamieniarza Ubertusa - oznajmił. - Błaga, byś poszedł z nim do chaty ojca. Poród jest trudny i matka może go nie przeżyć.

— Dziecko jeszcze się nie urodziło?

— Nie, ojczu.

Josephus usiadł. Przetarł zaspane oczy.

— Która godzina, synu? - spytał.

— Jedenasta.

— A więc wkrótce nadejdzie siódmy dzień.

149

Prowadząca do wioski ścieżka poryta była koleinami ciągniętych przez woły wozów; w ciemności nocy Josephus omal nie skręcił nogi. Starał się iść tak wielkimi krokami i tak pewnie jak chłopak, którego potężna sylwetka wskazywała mu drogę, i jak on trzymać się ścieżki. Lekki, chłodny wiatr niósł cykanie świerszczy i krzyk mew. W normalnej sytuacji radowałaby go ta muzyka nocy, ale dziś niemal jej nie słyszał. Zbliżali się do pierwszej chaty wioski kamieniarzy, gdy rozległ się dzwon opactwa, wzywający na nocne nabożeństwo.

Północ.

Oswyn z pewnością dowie się o tej wyprawie i chyba nie będzie nią zachwycony. Jak na środek nocy w wiosce panował niezwykle ruch. Josephus z dala dostrzegł blask lamp oliwnych, świecących przez otwarte drzwi małych, krytych strzechą chat i poruszające się tu i tam światełka łuczyw, oznakę niepokoju ludzi. Kiedy podeszli bliżej, zorientował się, że centrum tej aktywności jest chata Ubertusa. To wokół niej kręcili się mieszkańcy - upiorne, wydłużone cienie. W drzwiach stali trzej mężczyźni. Zaglądali do środka, a ich szerokie ramiona tworzyły blokującą wejście barierę nie do pokonania. Josephus słyszał fragmenty gorączkowych, prowadzonych po włosku rozmów i łacińskich modlitw, które wieśniacy usłyszeli w kościele i skradli jak sroki. - Zróbcie drogę dla przeora Vectis - powiedział Julia-nus. Mężczyźni cofnęli się posłusznie, żegnając się i kłaniając nisko.

Z wnętrza chaty dobiegł krzyk, straszliwy, mrozący krew w żyłach, przesywający krzyk cierpiącej kobiety. Pod Josephusem ugięły się nogi. Szepnął: "Boże Wszchemogący", po czym zmusił się do przekroczenia progu.

150

W środku tłoczyła się rodzina i wieśniacy, tak ciasno, że aby zrobić miejsce dla niego, dwie osoby musiały wyjść. Przy palenisku siedział Ubertus, człowiek twardy

jak piaskowiec, który obrabiał, by zarobić na życie, zgarbiony, z twarzą schowaną w dłoniach. Na widok zakonnika krzyknął cieniem, rwącym się głosem, świadczącym o wielkim zmęczeniu: "Przeor Josephus! Dzięki Bogu! Błagam, módl się za Santesę! Módl się za nas wszystkich!".

Otoczona przez wieśniaczki Santesa leżała na łóżku na boku, z kolanami podciągniętymi do wielkiego brzucha i zadartą koszulą, odsłaniającą poplamione uda. Jej skrzywiona, niemal pozbawiona ludzkich cech twarz była czerwona niczym burak. Jest w niej coś zwierzęcego - pomyślał Josephus. Czyżby szatan już wziął ją w posiadanie?

Tęga kobieta, w której rozpoznał żonę Marcusa, nadzorcy cementarni, chyba opiekowała się rodzącą. Klęczała u stóp łóżka, zaglądając pod koszulę Santesy, a w przerwach mówiła coś szybko po włosku i wydawała jej polecenia. Włosy miała splecione i spięte z tyłu głowy, tak by nie wpadały do oczu. Ręce i bluzę plamiła jej różowa, galaretowata wydzielina. Josephus dostrzegł, że brzuch rodzącej lśni od czerwonej maści, a na łóżku leży krwawa noga żurawia. Czary. Na to nie wolno mu było pozwolić.

Położona odwróciła się i zamiast pozdrowić duchownego powiedziała: "Dziecko leży odwrotnie".

Josephus podszedł bliżej. Koszula Santesy powędrowała w górę, choćby nie chciał, musiał zobaczyć małą, siną nóżkę wiszącą z ciała kobiety.

- Chłopiec czy dziewczynka?
- Chłopiec. - Żona Marcusa opuściła koszulę.

Zakonnik przełknął konwulsyjnie, padł na kolana, przeżegnał się.

151

- In nomine patre, et filii, et spiritus Santi... Modlił się, a jednocześnie ze wszystkich sił marzył, by dziecko urodziło się martwe.

W listopadową noc, dziewięć miesięcy wcześniej, silny wiatr trząsał chatą kamieniarza. Ubertus po raz ostatni poprawił ogień na palenisku, a potem przeszedł

od pryczy do pryczy upewnić się, co z dziećmi śpiącymi po dwoje i troje na jednej, z wyjątkiem Julianusa, który dorósł już do własnego siennika. Upewniwszy się, że wszystko w porządku, położył się przy boku żony, zasypiającej już, zmęczonej po długim dniu ciężkiej pracy.

Ubertus naciągnął wełnianą kapę pod szyję. Przywiózł ją ze sobą aż z Umbrii, w skrzyni z cedrowego drewna; dobrze mu służyła w tej dalekiej, chłodnej krainie. Czuł przy sobie ciepłe ciało żony, położył dłoń na jej powoli wznoszącej się i opadającej piersi. Czuł potrzebę i potrzeba ta powinna zostać zaspokojona. Na Boga, należała mu się odrobina przyjemności na tym trudnym świecie. Przesunął dłonią w dół, rozchylił uda żony.

Santesa nie była już piękna. Trzydzieści cztery lata i dziewięć dzieci odcisnęły się piętnem na jej urodzie. Ciało miała opuchnięte, oczy podkrążone, twarz zmęczoną i stale skrzywioną z bólu, jaki przysparzały jej gnijące zęby trzonowe. Pozostała jednak posłuszną żoną, gdy więc zdała sobie sprawę z zamiarów męża, westchnęła tylko i szepnęła: "W tym dniu miesiąca mogą być konsekwencje".

Ubertus doskonale wiedział, o czym mówi. Jego matka urodziła trzynaścioro dzieci, ośmiu chłopców i pięć dziewczynek, z których dorosłości doczekało dziewięć. On był siódmym synem i jeśli będzie miał siódmego syna, ten chłopiec, według legendy, stanie się czarodziejem, magiem, a niektórzy twierdzili nawet, że zdoła sobie podporządkować ciemne moce.

152

Wszyscy mieszkańcy jego małej, przylepionej do zbocza wzgórza wioski znali prawo siódmego syna siódmego syna, ale prawdę mówiąc, do tej pory tylko ze słyszenia.

W swej młodości Ubertus w pełni korzystał z uroku dziewcząt, wabiąc je tajemniczą mocą zaklętą w jego lędźwiach. Być może użył jej także po to, by zdobyć Santesę, najładniejszą z nich. W każdym razie przez wiele lat z upodobaniem żartowali na ten temat. Żarty skończyły się po urodzeniu ich szóstego syna, Luciusa, a ich małżeńskie współżycie otoczyła atmosfera powagi. Każdy z kolejnych trzech porodów oboje przyjmowali z obawą, Santesa próbowała nawet wcześniej określić płeć dziecka,



kłując się w palec cierniem i wpuszczając kroplę krwi do misy ze źródlaną wodą; tonąca kropla oznaczała chłopca. Czasami kropla tonęła, czasami pływała, ale na szczęście za każdym razem rodziła się dziewczynka.

Ubertus wdarł się w swą żonę. Westchnęła i szepnęła: "Modłę się, żeby to też była dziewczynka".

Tej nocy, mimo żarliwych modlitw Josephusa, sytuacja przy łóżku rodzącej stawała się coraz poważniejsza. Santesa nie miała już siły krzyczeć, a jej oddech stawał się coraz płytszy. Wystająca z jej ciała nóżka ciemniała na kolor głębokiego granatu, tak lubiany przez garncarzy opactwa. Wreszcie położona orzekła, że trzeba coś zrobić lub wszystko będzie stracone. Odbyła się krótka, gorąca dyskusja, po której zdecydowano: dziecko należy wydobyć siłą. Położna ma wcisnąć w matkę obie ręce, schwycić nóżki i pociągnąć je tak mocno, jak będzie to konieczne. Dziecko zginie, lecz być może, przeżyje matka. W innym wypadku oboje skazani są na śmierć. Obróciła się do Josephusa, oczekując błogosławieństwa. Josephus skinął głową. Innego wyjścia nie było.

153

Ubertus stał przy łóżku, kontemplując swe nieszczęście. Jego potężne, muskularne ramiona zwisały bezwładnie.

- Panie, błagam cię...! - krzyknął. Nikt nie wiedział z pewnością, czy modli się za żonę, czy syna.

Położna zabrała się do roboty, napięcie na jej twarzy świadczyło o tym, jak ciężko pracuje. Cofnęła ręce, wytarła je do sucha o fartuch, odetchnęła głęboko, ponowiła uchwyt, pociągnęła znowu. Santesa wymruczała coś niezrozumiałego, nie była już w stanie odczuwać bólu.

Tym razem wyczuła ruch. Dziecko powoli wychodziło na świat. Pojawiły się kolana i uda, penis, pośladki. Uwolniło się nagle, gwałtownie. Ostatnia pojawiła się duża główka i oto spoczywało już na rękach położnej.

Chłopiec był duży, proporcjonalnie zbudowany, lecz siny, niezdradzający oznak życia. Na oczach zdumionych, pogrążonych w ciszy mieszkańców wioski łożysko ze

stukiem upadło na twardą ziemię. W tej samej chwili, niespodziewanie wziął głęboki oddech, raz, a potem drugi. Już po chwili, różowutki, piszczał jak prosiaczek. Ale kiedy on zyskiwał życie, jego matka umierała. Po raz ostatni odetchnęła i znieruchomiała.

Ubertus zawył ze strasznego żalu, wyrwał dziecko z rąk położnej.

- To nie mój syn! - krzyknął. - To syn diabła.

Poruszał się szybko, łożysko wlokło się za nim po klepisku.

Barkami rozepchnął tłum, wyszedł za drzwi. Josephus był tak zdumiony, że niezdolny do jakiegokolwiek reakcji. Próbował coś powiedzieć, lecz tylko bełkotał.

Ubertus stał na środku ulicy, trzymając dziecko w rękach twardych jak kamień. Wył jak zwierzę. I nagle na oczach trzymających pochodnie wieśniaków chwycił pępowinę i zakręcił małym nad głową niczym procą.

A potem z całej siły uderzył drobnym ciałkiem o ziemię.

154

- Raz!

Podniósł je nad głowę.

- Dwa!

Rzucił zakrwawione zwłoki na drogę i wrócił do chaty.

- Już po wszystkim. Zabiłem je - powiedział. Nie miał pojęcia, dlaczego nikt nie zwraca na niego uwagi. Nie przyciągnął niczyjego spojrzenia, oczy wszystkich zwrócone były na położną, skuloną przy martwej Santesie, sięgającą jej po między nogi.

Dostrzegł szopę rudych włosów. Czoło, a potem nos.

Josephus patrzył, nie wierząc świadectwu swych oczu. Martwe łono wydawało oto z siebie kolejne dziecko.

- Mirabile dictu - szepnął.

Położna skrzywiła się. Uwolniła brodę dziecka, potem ramiona i chude ciałko.

Narodził się drugi chłopczyk. Od razu zaczął oddychać, sam, mocno i głęboko.

Ubertus zrobił jeszcze jeden, chwiejny krok.

- To mój ósmy syn! - krzyknął. - Och, Santeso, urodziłaś bliźniaki!

Dotknął jego policzka, delikatnie, ostrożnie, jak dotyka się rozgrzanego garnka.

Chłopiec bezgłośnie wił się w ramionach położnej.

Dziewięć miesięcy temu, kiedy Ubertus wszedł w Santesę, jego nasienie zapłodniło nie jedno jajeczko, lecz dwa.

Drugie z nich rozwinęło się w chłopca, który leżał teraz, martwy, na wydeptanej przez woły dróżce. Pierwsze stało się siódmym synem, rudowłosym dzieckiem, które w jednej chwili oczarowało wszystkich zebranych w chacie.

19 marca 2009 Las Vegas

Jako jedyne dziecko dorastające w Lexington, w Massachu-setts, w rodzinie należącej do klasy średniej, Mark Shackleton rzadko bywał sfrustrowany. Miał kochających rodziców, zaspokajających wszystkie jego kaprysy, zaledwie znał znaczenie słowa nie. Dusza Marka też nie знаła frustracji, ponieważ jego bystry, analityczny umysł rozwiązywał problemy z łatwością, czyniąc proces nauki bezbolesny.

Dennis Shackleton, inżynier lotniczy z Rayethon, był dumny z tego, że przekazał synowi zdolności do matematyki. Na zabawie z okazji piątych urodzin Marka, czysto rodzinnej, odbywającej się w schludnym piętrowym domku, wyciągnął arkusz kalki technicznej, obwieszczając głośno: "Twierdzenie Pitagorasa". Chudy chłopak chwycił grubą kredkę i czując na sobie ciężkie spojrzenia swych dziadków, cioć i wujków, podszedł do stołu, narysował wielki trójkąt i podpisał go: " $a^2 + b^2 = c^2$ ".

- Doskonale! - wykrzyknął tata. - A co to jest? - spytał, stukając palcem w długi bok trójkąta?

Dziadkowie zachichotali, kiedy mały Mark skrzywił buzię

156

w wyrazie głębokiego namysłu, po czym krzyknął radośnie: "Hipopotam!".

Poznał frustrację jako nastolatek, gdy zdał sobie sprawę z tego, że jego ciało nie rozwinęło się tak zdrowo jak umysł. Czuł się lepszy... nie, był lepszy... od mięśniaków i innych głupków, których jego liceum było pełne, ale dziewczyny widziały tylko chude nogi i wąłą pierś, zamiast wnętrza Marka, wspaniałego intelektualisty, błyskotliwego rozmówcy i przyszłego wielkiego pisarza, konstruującego, na razie, skomplikowane opowiadania science fiction, w których obcy z kosmosu podbijali swych przeciwników raczej dzięki przewadze intelektualnej niż brutalnej sile. Gdyby tylko te takie ładne, o dużych biustach, chciały z nim rozmawiać, zamiast chichotać, widząc, jak niezgrabnie chodzi po korytarzu albo entuzjastycznie wyrzuca rękę w powietrze z pierwszej ławki. Kiedy dziewczyna po raz pierwszy powiedziała mu "nie", przysiągł sobie, że pierwszy raz będzie zarazem ostatnim. Kiedy na drugim roku studiów, przywoławszy na pomoc całą swą odwagę, ośmielił się zaprosić Nancy Kislik do kina, a ona tylko spojrzała na niego dziwnie i chłodno powiedziała "nie", z tą ludzką częścią samego siebie pożegnał się na zawsze. Za to rzucił się zdobywać wszechświat równoległy: Klub Matematyczny i Klub Komputerowy, i tam szybko stał się najfajniejszym z najfajnych, pierwszym wśród równych. Liczby nigdy nie powiedziały mu "nie". Linijki komputerowego kodu też. Dopiero dobrze zadowolony na studiach podyplomowych na MIT, od niedawna pracujący w firmie zajmującej się zabezpieczaniem danych, dumny z opcji zakupu akcji i nowego kabrioletu, zaczął chodzić z nieatrakcyjną analityczką systemową i wreszcie przestał być prawiczkim. A teraz chodził tam i z powrotem po kuchni swego domu, w ten kinetyczny sposób przekształcając się w swe alter ego,

157

przyjmując nom de plume: Peter Benedict, mężczyzna czujący się w mieście jak ryba w wodzie, fenomenalny gracz, hollywoodzki scenarzysta. Ktoś zupełnie inny niż Mark Shackleton, pracownik rządowy i komputerowy świr. Kilka razy odetchnął głęboko, dopił resztę letniej kawy. "To właśnie dziś, to właśnie dziś, to właśnie dziś...". Wmawiał sobie co najlepsze, niemal się modlił, ale jego marzenia

zakończyło jak zwykle zniechęcone odbicie w szklanych drzwiach tarasu. Mark, Peter, co za różnica? Obaj byli chudzi, łysiejący i mieli wydatne nosy. Bronił się przed tą myślą, ale do głowy przychodziło mu tylko jedno słowo - "żałosny". Zaraz po spotkaniu w ATI Mark zabrał się do nowego scenariusza zatytułowanego "Gracze". Na samą myśl o Bernie Schwartzu i jego afrykańskich maskach robiło mu się mdło, ale, na litość boską, gość praktycznie zamówił u niego scenariusz o oszustach karcianych! A co przeżył w agencji, to przeżył. Kochał swój odrzucony scenariusz tym rodzajem miłości, którym jakże często darzy się pierworodnego, ale zdążył już opracować nowy plan: sprzeda drugi scenariusz, a zyski i sława posłużą mu do wskrzeszenia pierwszego. Przysiągł sobie, że nie pozwoli, by jego dziecko zginęło w zapomnieniu.

Cały poświęcił się swojemu nowemu projektowi. Każdego wieczoru po powrocie do domu i we wszystkie weekendy szlifował sceny akcji i dialogi. Skończył po trzech miesiącach. Był przekonany, że jego dzieło jest więcej niż dobre, wręcz znakomite. Tak jak to sobie wyobrażał, miało ono być przede wszystkim polem popisu dla wielkich gwiazd. A gwiazdy, także w jego wyobraźni, miały podchodzić do niego na planie, może nawet

158

w Constellation, i dziękować mu za wspaniałe, napisane jakby specjalnie dla każdej z nich kwestie. Fabuła zawierała w sobie wszystko: intrygę, dramat, seks, umieszczone w scenerii luksusu, gry o wielkie stawki, oszustw przy grze. ATI dostanie miliony, a on przehandluje swe życie w podziemnym laboratorium na pustyni i oszczędności wynoszące raptem ze sto trzydzieści tysięcy za luksusy wziętego człowieka filmu: piękny dom wysoko na zboczu Hollywood Hills, telefony do reżyserów, zaproszenia na premiery, światło filmowych lamp na horyzoncie. W końcu nie dobił jeszcze pięćdziesiątki. Ma przed sobą przyszłość.

Ale najpierw Bernie Schwartz musi powiedzieć "tak". A tymczasem nawet coś tak prostego jak telefon do agencji w praktyce okazało się bardzo kłopotliwe. Mark wyjeżdżał do pracy za wcześnie, a wracał za późno, by złapać go w biurze z domu.

W pracy nie mógł wyjść na miasto, a kiedy pracuje się głęboko pod ziemią, nie da się wyskoczyć na chwilę, żeby skorzystać z komórki, nawet gdyby wolno mu było przynieść komórkę, czego akurat zabraniały przepisy. Oznaczało to, że musiał brać wolne na cały dzień, żeby z domu w Las Vegas zadzwonić do Los Angeles. Jeszcze parę takich zwolnień z powodów zdrowotnych i jego zwierzchnicy zaczną zadawać pytania, a potem skierują go do firmowej przychodni na obowiązkowe badania lekarskie.

Wybrał numer, czekał chwilę i usłyszał znajomy śpiew: "ATI. Z kim mam połączyć?"

— Z Bernardem Schwartzem proszę.

— Chwileczkę.

Przez ostatnie parę tygodni czekaniu na połączenie towarzyszyła klawesynowa muzyka Bacha, uspokajająca na swój matematyczny sposób. Gdy tylko zamknął oczy, Mark widział jej wzór i to pomagało mu pokonać stres wywołany perspektywą

rozmowy z tym odrażający lecz jakże ważnym małym człowieczkiem.

Bach w słuchawce umilkł w pół tonu.

— Mówi Roz.

— Cześć, Roz, tu Peter Benedict. Zostałem pana Schwartzą?

Po długiej, znaczącej chwili padła bardzo chłodna odpowiedź:

— Nie, nie ma go przy biurku.

Znów ta frustracja.

— Dzwoniłem siedem razy, Roz!

— Zdaję sobie z tego sprawę, Peter. Rozmawiałam z tobą siedem razy.

— Nie wiesz, czy przeczytał mój scenariusz?

— Nie jestem pewna, czy zdołał się do niego zabrać.

— Kiedy dzwoniłem w zeszłym tygodniu, obiecałaś, że

sprawdzisz!

— W zeszłym tygodniu nie zdołał.

- A w tym tygodniu? Jak sądzisz? - spytał błagalnie.

Kolejna długa cisza. Marc miał wrażenie, że słyszy szybkie "pstryk, pstryk, pstryk" długopisu. A potem Roz powiedziała:

- Słuchaj, Peter, jesteś sympatycznym facetem. Nie powinienam ci tego mówić, ale dostaliśmy opinię o "Graczach" od jednego z naszych recenzentów. Nie jest pochlebna. Dzwoniąc tutaj, tylko tracisz czas. Pan Schwartz jest bardzo zajęтым człowiekiem i nie ma zamiaru reprezentować cię w tej sprawie.

Mark przełknął ślinę. Ścisnął słuchawkę tak mocno, że aż zabolą go dłoń.

- Peter?

Zaciśnięte gardło płonęło mu żywym ogniem.

- Dziękuję ci, Roz. Przykro mi, że cię niepokoiłem.

Przerwał połączenie. Kolana się pod nim ugięły, opadł na najbliższe krzesło. Zaczęło się od jednej łzy, z lewego oka, potem z prawego.

160

Wytarł je grzbietem dłoni, czując ucisk w przeponie, wędrujący w górę, sięgający piersi, by wreszcie dotrzeć do gardła i wyrwać się na wolność w postaci niskiego, chrapliwego szlochu. Po pierwszym był następny i kolejny, ramiona zaczęły drżeć, aż wreszcie Mark rozplakał się przejmująco, jak dziecko. Jak małe dziecko. Nie. Nie! Niebo przybrało już kolor królewskiej purpury, kiedy Mark, otepiał, wszedł do Constellation. Prawą rękę trzymał w kieszeni spodni, zaciśniętą na zwitku banknotów. Przedzierał się przez tłum, mając za przewodnika widzenie tunelowe, zamazujące to, co na obrzeżach, a wskazujące prostą drogę do kasyna Grand Astro. Przeszedł przez próg, nie słysząc donośnego szumu głosów, brzęczącego dźwięku fałszywej muzyczki z jednoręki bandytów i wideopokera, a jedynie pulsowanie napływającej do głowy krwi, ciężkie i rytmiczne niczym wielka fala. Dziwne, ale nie zwrócił żadnej uwagi na punkciki światła na kopule, na Byka, Perseusza i Woźnicę,

wiszące mu wprost nad głową. Skręcił w lewo, w uliczkę pomiędzy automatami, przeszedł pod Pasem Oriona i Bliźniętami. Kierował się na Ursa Maior, Wielką Niedźwiedzicę, gdzie przyciągały go stoły do gry w blackjacka o wysokie stawki. Mógł wybierać z kilku stołów za pięć tysięcy; wybrał ten, przy którym pracował jeden z jego ulubionych krupierów, Marty. Marty przeniósł się tu z New Jersey; wijące się brązowe włosy wiązał w schludny, krótki kucyk. Oczy rozbłyły mu na widok nowego gościa.

- Pan Benedict! - ucieszył się. - Mam dla pana świetne miejsce!

Mark usiadł i cicho przywitał graczy, samych mężczyzn, bardzo poważnych.

Wyciągnął z kieszeni pieniądze, zmienił

161

je na osiem tysięcy pięćset w żetonach. Marty jeszcze nigdy nie widział, by, wykladał tak dużą sumę.

- W porządku - powiedział głośno. - Mam nadzieję, że to będzie dla pana miły wieczór.

Mark machinalnie ułożył żetony w stosy. Przyglądał się im bezmyślnie, mózg miał jak z gumy. Postawił minimalną stawkę, pięćset dolarów. Przez kilka minut grał machinalnie, wychodząc na zero. Marty przetasował talię, rozpoczęło się nowe rozdanie. Wówczas oprzytomniał, jakby ktoś dał mu sole trzeźwiące do powąchania. Słyszał w głowie cyfry niczym popiskiwanie sygnału wskazującego kurs we mgle. Plus trzy, minus dwa, plus jeden, plus cztery...

Liczenie kusiło go, wzywało; niczym zahipnotyzowany ten jeden jedyny raz pozwolił sobie na stawianie według obliczeń. Wkrótce miał przed sobą trzynaście, potem trzydzieści jeden tysięcy w żetonach. Grał jak w transie, nawet nie zauważył, że Marty'ego zastąpiła Sandra z kwaśną miną i poplamionymi nikotyną palcami. Pół godziny później nie zauważył, że Sandra częściej tasuje karty i że on ma przed sobą sześćdziesiąt tysięcy. Nie zauważył też, że nikt nie przyniósł mu butelki piwa, ani tego, że za nim pojawił się szef sali z dwoma ochroniarzami.

- Panie Benedict - powiedział szef sali - czy mógłby



pan pójść z nami?

Gil Flores chodził tam i z powrotem drobnymi krokami, niczym tygrys syberyjski ze starego przedstawienia Siegfrieda i Roya. Siedzący przed nim potulny, upokorzony mężczyzna mógłby przysiąc, że czuje jego gorący oddech na łysej czaszce.

- O czym ty, kurwa, myślałeś, Peter?! - krzyknął. - Że nie zauważymy?

Mark milczał.

162

- Nie odpowiadasz? To nie żaden pieprzony sąd! Nie ma tak, że jesteś niewinny, póki nie udowodni ci się winy! Jesteś winny, przyjacielu. Praktycznie mnie wydymałeś, a ja tego nie lubię.

Odpowiedzią było wyłącznie tępe spojrzenie.

- Sądzę, że powinienes mi coś powiedzieć. Uwierz mi, tak będzie lepiej dla ciebie!

Mark przełknął ślinę. Gardło miał suche, sprawiło mu to kłopot, wydał przy tym śmieszny dźwięk.

- Przepraszam - wykrztusił. - Nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

Gil przesunął dłonią po gęstych czarnych włosach, wicherząc je ze złości.

- Jak inteligentny człowiek może powiedzieć: "Nie wiem, dlaczego to zrobiłem"? Dla mnie nie ma w tym za grosz sensu.

Oczywiście, że wiesz. Więc dlaczego?

Mark wreszcie na niego popatrzył. I rozplakał się.

— Tylko mi nie płacz - ostrzegł go Flores. - Nie jestem twoją pieprzoną matką. - Mówiąc to, rzucił mu na kolana paczkę chusteczek. Mark wytarł oczy jedną z nich. I spróbował się wytłumaczyć.

— Przeżyłem dziś straszne rozczarowanie. To mnie rozgniewało. Czulem gniew i w ten sposób zareagowałem. Za

chowałem się jak idiota. Przepraszam. Możesz zatrzymać pieniądze.

Flores jakby zrozumiał jego usprawiedliwienia. Uspokajał się, ale ostatnie zdanie spowodowało kolejny atak furii.

- Mogę zatrzymać pieniądze? Te, które mi ukradłeś? Uważasz, że to załatwia sprawę? Łaskawie pozwalasz mi zatrzymać coś, co i tak należy do mnie?

Mark skrzywił się żałośnie i sięgnął po kolejną, bardzo mu w tej chwili potrzebną chusteczkę.

163

Zadzwoił telefon na biurku. Gospodarz podniósł słuchawkę. Chwilę słuchał w milczeniu, a potem powiedział: "To pewne?", a zaraz po tym: "Tak, oczywiście. Absolutnie".

Odłożył słuchawkę. Podeszedł do Marka. Stanął tuż przed nim, zmuszając go do zadarcia głowy.

— Więc słuchaj, Peter, jak załatwimy tę sprawę.

— Tylko proszę, błagam, nie wzywaj policji. Stracę pracę!

— Bądź uprzejmy zamknąć gębę i wysłuchać, co mam ci do powiedzenia. Nie rozmawiamy teraz uprzejmie, tylko ja mówię, ty słuchasz. Po tym, co zrobiłeś, przestaliśmy być stronami. Nie jesteśmy równi. Sam chciałeś.

— W porządku - szepnął Mark.

— Po pierwsze, tracisz prawo wstępu do kasyna. Na zawsze.

Jeśli ośmielisz się przekroczyć jego próg, zostaniesz zatrzymany przez policję pod zarzutem nielegalnego wkroczenia na teren prywatny. Po drugie, wychodzisz z ośmiu i pół tysiącami, z którymi wszedłeś. Ani centem więcej, ani centem mniej. Po trzecie, nadużyłeś zaufania i przyjaźni, więc spierdalaj koleś

z mojego biura i mojego kasyna.

Mark tylko zamrugał.

— I co ty tu jeszcze robisz?

— Nie zawiadomisz policji?

— Człowieku, czy ty w ogóle mnie nie słuchałeś?

- I nie pozbawisz mnie prawa wstępu do innych kasyn?

Flores potrząsnął głową, zdumiony.

- Podsuwasz mi dobre pomysły? Uwierz mi, mam własne, wśród nich także i ten, by dać zajęcie chirurgowi-ortopedzie.

Znikaj, Peterze Benedict. - Ostatnimi słowami splunął jak jadowitą śliną. - Jesteś persona non grata.

164

W swym penthousie Victor Kemp obserwował zgarbionego człowieczka wstającego z krzesła i idącego do drzwi powoli, powłócząc nogami. Kolejne ekrany pokazywały, jak idzie z ochroniarzem przez kasyno, po raz ostatni podnosi wzrok na kopułę w żalostnej nadziei zobaczenia Warkocza Bereniki, przechodzi przez hol do wyjścia, idzie parkingiem pod autentycznym nocnym niebem.

Nalał sobie kolejnego drinka.

- Victorze - przemówił donośnym, głębokim tenorem do wielkiego, pustego pokoju dziennego. - Ufając ludziom, nie zarobiłbyś nawet dolara.

Mark jechał swoją corvetta po Stripie powoli, w rzędzie samochodów poruszających się od świateł do świateł. Trzy godziny przed północą miasto budziło się do życia, a na chętnych czekały wieczorne rozrywki. W lusterku wstecznym widział Constellation; kierował się na południe, ale dokąd? Nie miał pojęcia. Próbował zapomnieć o tym, co się właśnie zdarzyło, o tym, że został wygnany, skazany na banicję. Constellation było jego drugim domem, a teraz właśnie został go pozbawiony. Jak sobie z tym poradzi?

Nie chciał siedzieć sam, marzył o barze w kasynie, gdzie wydarzenia zmieniają się w oszalamiającym tempie, a automaty dzwonią, nie pozwalając człowiekowi rozmyślać

o problemach. Co za szczęście, że Flores nie puścił informacji i nie przekazał jego fotografii wszystkim kasynom stanu. Szczęście w nieszczęściu. Tak więc pytanie, które sobie zadawał, co jakiś czas, machinalnie naciskając hamulec, brzmiało: co teraz? Napić się może praktycznie wszędzie. Zagrać w blackjacka może praktycznie wszędzie. Ale potrzebuje miejsca ze szczególną atmosferą, odpowiadającą jego temperamentowi. Takiego jak

165

Constellation, w którym było coś intelektualnego, choćby pozornie.

Minął Caesars, potem Venetians, oba zbyt pretensjonalne, fałszywe Disneylandy.

Bellagio było zbyt nachalne, New York New York zbyt sztuczne, kolejny tematyczny park. Strip powoli się kończył. MGM Grand - ujdzie od biedy; nie kochał go, ale też i nie nienawidził. Na rogu Tropicany omal nie skręcił w lewo na parking MGM, ale potem zobaczył to coś i wiedział, że znalazł swoje nowe miejsce.

To coś widział, rzecz jasna, tysiące razy, w końcu było niemal symbolem Las Vegas. Trzydzieści pięter czarnego szkła, piramida Luksoru wznosząca się w niebo pustyni na prawie sto dziesięć metrów, Sfinks z Gizy jako ozdoba wnętrza, ale prawdziwym znakiem rozpoznawczym tego budynku był jego wierzchołek, promień bijący pionowo w górę, przebijający ciemność, najsilniejsze źródło światła na planecie, o szalonej mocy czterdziestu jeden gigakandeli, więcej niż wystarczającej do oślepienia zaskoczonego pilota, szykującego się do lądowania na McCarran. Zbliżając się do szklanego gmaszyska, Mark rozkoszował się matematyczną doskonałością trójkątnych powierzchni. Jego umysł wypełniły geometryczne wzory trójkątów i piramid, aż wreszcie cicho i z czułością szepnął do siebie: "Pitagoras".

Nim usadowił się wygodnie w barze steakhouse'u, znajdującego się na tym samym poziomie co kasyno, spenetrował wnętrze budynku, jakby zamierzał go kupić.

Constellation to on nie był, ale miał swoje zalety i to wcale niemałe. Podobał mu się wyraźny wzór hieroglifów na złotych, czerwonych i lazurkowych dywanach, kopie posągów świątynnych z Luksoru dekorujące okazały wysoki hol, i grób

Tutenchamona - ma-

kieta klasy muzealnej. Jasne, był to kicz, ale do diabła, znajdowali się przecież w Vegas, a nie w Luwrze.

Przy drugim heinekenie zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Znalazł już sale, w których grało się o wysokie stawki, ukryte za ścianą z matowego szkła, mieszczące się z tyłu kasyna. Był przy forsie i wiedział, że nawet bez korzystania ze zdolności liczenia na parę godzin może zapomnieć o bożym świecie i nieźle się bawić. Jutro piątek, normalny dzień pracy, budzik zadzwoni o wpół do szóstej, ale dziś...

przyjemnie podniecał go sam fakt, że jest w nowym kasynie; było to trochę jak pierwsza randka. Mark był zawstydzony i ożywiony zarazem.

Bar wypełniał się powoli. Tu i tam ludzie czekali na wolny stolik, pary i grupki rozmawiały z ożywieniem, słychać było wybuchy gardłowego śmiechu. Zajął wolne krzesło w rzędzie trzech i w miarę jak coraz wyraźniej odczuwał skutki alkoholu, poważnie zastanawiał się, dlaczego miejsca po jego obu stronach pozostają wolne. Czyżby był radioaktywny? Skażony? Czy ci ludzie wiedzą, że zawiódł jako pisarz? Może słyszeli, że oszukiwał w kartach? Nawet barman traktował go chłodno, nie starając się nawet na tyle, by zasłużyć na przyzwoity napiwek. Znów popadł w ponury nastrój. Błyskawicznie dopił piwo. Zastukał w bar. Najwyższy czas na następne.

Alkohol dotarł do mózgu i nagle przyszło mu do głowy paranoiczne podejrzenie: a co jeśli znają też jego prawdziwy sekret? Odrzucił je z pogardą, przecież to niemożliwe, nie mają o niczym pojęcia. Nie mają o niczym pieprzonego pojęcia - powtórzył sobie z gniewem. Wiem o czymś, o czym oni nie dowiedzą się aż do końca swego parszywego życia.

Po jego prawej biuściasta kobieta po czterdziestce pochyliła się nagle i oparła o bar, śmiejąc się jak dziewczynka; to stojący za nią tłusty gość dotknął jej karku kostką lodu. Mark obrócił

się, przyjrzał przedstawieniu, a kiedy stracił zainteresowanie, okazało się, że miejsce po jego lewej stronie jest już zajęte.

— Gdyby ktoś mi to zrobił, rozwalilibym mu pysk.

Mark, zaskoczony, dokładniej przyjrzał się mężczyźnie.

— Mówi pan do mnie? - spytał.

- Powiedziałem tylko, że gdyby ktoś obcy zrobił mi coś takiego, rozwalilibym mu pysk.

Gruby facet i biuściasta zaczęli się obmacywać i w ogóle doskonale się bawili.

— Nie sądzę, żeby byli sobie obcy - zauważył Mark.

— Może nie są? Ja tylko mówię, co bym zrobił.

Obok niego siedział szczupły, lecz niezwykle muskularny mężczyzna. Porządnie ogolony, miał czarne włosy, miękkie pełne usta i tłustą skórę koloru laskowych orzechów. Bez wątplenia Portorykańczyk, mówił z silnym akcentem z wyspy.

Ubrany był na sportowo, w czarne spodnie i tropikalną koszulę, rozpiętą aż po mostek. Na wypielegnowanych, wymanikiuro-wanych dłoniach nosił złote sygnety. Nie miał więcej niż trzydzieści pięć lat. Wyciągnął rękę, Mark uściskał ją, bo tak wypadało. Pierścień wydawał się ważyć tyle co przydatki.

- Luis Camacho - przedstawił się. - Co u ciebie?

- Peter Benedict. Wszystko w porządku, dziękuję.

Luis wskazał podłogę zamaszystym gestem.

- Kiedy jestem w mieście, zawsze tu przychodzę. To moje ulubione miejsce.

Mark wypił łyk piwa. Towarzyskie rozmówki o niczym w ogóle mu nie odpowiadały, a już szczególnie dzisiaj. Mikser zaterkotał głośno. Portorykańczyka to nie zniechęciło.

- Podoba mi się, że pokoje mają pochyłe ściany, no wiesz, przez tę piramidę. Moim zdaniem to fajny pomysł. - Przerwał, czekając na odpowiedź. Mark zdawał sobie sprawę, że musi odpowiedzieć. Nie chce przecież, żeby ktoś rozwalił mu pysk.

— Ja tu nie mieszkam - powiedział.

— Nie tu? To gdzie? W którym hotelu?

— Nie mieszkam w hotelu. Jestem stąd.

— Hej, ale fajnie. Nie żartujesz? Jesteś miejscowy? Strasznie mi się to podoba. Jestem w Vegas dwa razy w tygodniu i niemal nigdy nie spotykam miejscowych. Poza tymi, którzy tu pracują, rozumiesz?

Barman przelał coś gęstego z miksera do szklaneczki.

— To mrożona margarita - pochwalił się Luis. - Napijiesz się?

— Nie, dziękuję. Wolę piwo.

— Heineken, co? Dobry jest.

— Owszem, niezły - powiedział Mark sztywno. - Na nieszczęście butelka była prawie pełna, więc nie mógł się taktownie wycofać.

- No więc... powiedz mi, czym się zajmujesz, Peter.

Mark zerknął spod oka na Luisa. No więc... kim będzie dziś wieczorem? Pisarzem? Graczem? Analitykiem komputerowym? Jak w jednorękim bandycie obrazki wyskakiwały i znikaly, wyskakiwały i znikaly, aż wreszcie bęben znieruchomiał.

— Jestem pisarzem - powiedział.

— Żartujesz? To znaczy, że piszesz, no... powieści?

— Raczej filmy. Scenariusze.

— Rany! Może widziałem któryś z twoich filmów?

Mark poruszył się niespokojnie na stołku.

— Na razie nic mi nie wyprodukowali, ale jeszcze w tym roku mam podpisać umowę ze studiem.

— Świetna sprawa. A robisz co? Thrillery? Czy może takie

śmieszne komedie?

— Raczej thrillery. Wysokobudżetowe.

Luis wziął wielki łyk drinka.

— Skąd bierzesz pomysły?

169

— Skąd się da. - Odpowiedzi tej towarzyszył zamaszysty gest. - Przecież to Vegas. Jeśli tu nie znajdziesz pomysłu, to nigdzie go nie znajdziesz.

— No tak, doskonale cię rozumiem. Mógłbym przeczytać coś twojego? To dopiero byłoby niesamowite.

Markowi pozostało jedno: musiał sam zacząć zadawać pytania.

— A ty czym się zajmujesz, Luis?

— Należę do obsługi pokładowej, człowieku. Latam US Air. Trasa Nowy Jork-Las Vegas. Tu i tam, tu i tam. - Wahadłowy gest ręki potwierdził jego słowa.

— Lubisz tę pracę? - padło następne, zadane machinalnie pytanie.

— Jasne... no wiesz, jest w porządku. To sześć godzin lotu, raz czy dwa razy w tygodniu muszę nocować w Vegas, więc ogólnie jest całkiem nieźle. Mogliby płacić więcej, ale świadczenia są bardzo dobre, no i, do diabła, przeważnie traktuje się nas z szacunkiem.

Louis dopił margaritę i natychmiast pokazał barmanowi, że ma ochotę na kolejną.

— Jesteś pewien, że nie chcesz spróbować, Peter? A może jeszcze piwka?

— Bardzo dziękuję, ale niedługo wychodzę...

— Grasz?

— Tak, czasami. W blackjacka.



— Mnie tam nie bardzo się podoba. Nie to, co automaty.

Ale robotę mam taką, jaką mam, więc muszę uważać. Ograniczam się do pięćdziesięciu dolców. Jak je przegram, wypadam z gry. - Luis umilkł, widać było po nim napięcie. - A ty?

Grasz o wysokie stawki?

— Czasami.

Pojawiła się kolejna margarita. Luis był bardzo zdener-  
170

wowany. Oblizwał suche wargi. Wyjął portfel, zapłacił za drinki Visą. Jego portfel był wprawdzie cienki, lecz forsy w nim nie brakowało. Razem z kartą kredytową wypadło z niego prawo jazdy. Nie zwrócił na to uwagi, złożył portfel i położył go na dokumencie. Wypił wielki łyk drinka.

- To co, Peter? - spytał. - Może dzisiaj postawisz na mnie?

Mark nie zrozumiał pytania. Poczul się zdezorientowany.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedział.

Portorykańczyk przesunął dłonią po polerowanym drewnie baru, aż mały palec bardzo delikatnie dotknął jego dłoni.

- Mówiłeś, że nie wiesz, jak wyglądają tu pokoje. Mogą ci pokazać, jak wygląda mój...

Mark poczul się słabo. Istniała całkiem realna szansa, że straci przytomność, spadnie z barowego stołka niczym pijak ze slapstickowej komedii. Serce biło mu przerażająco mocno, oddychał szybko, płytko. Miał wrażenie, że jego pierś obandażowano nieznośnie mocno. Wyprostował się, szarpnął ręką.

— Myślisz, że ja...!

— Hej, człowieku, przepraszam. Przez chwilę myślałem, że lubisz facetów. Nie ma sprawy. - Luis dodał jeszcze bardzo cicho: - W każdym razie mój przyjaciel, John, cieszyłby się, że mi się udało.

Nie ma sprawy? - pomyślał Mark histerycznie. Pieprzyć nie ma sprawy! Ty dupku, właśnie, że jest sprawa, wielka sprawa, cholerny pierdolony zbrojeńcu. Nie chcę nic wiedzieć o twoim pierdolonym przyjacielu. Zostaw mnie w spokoju. Organiczne doznania odczuł tak, jakby w głowie huknęła mu salwa burtowa: oszołomienie, niezdolne mdłości, oznaki autentycznej, pełnoobjawowej paniki. Nie wierzył, by udało mu się wstać i wyjść, był pewien, że upadnie. Dobiegające z restauracji i kasyna dźwięki ucichły, słyszał tylko łomot w piersi.

171

Luisa wyraźnie zaniepokoiło jego dzikie spojrzenie.

- Hej, człowieku, spokojnie. Fajny z ciebie facet, wcale nie chcę cię stresować. Idę do kibelka, a potem spokojnie sobie pogadamy. Zapomnij o zaproszeniu. W porządku?

Mark nie odpowiedział. Siedział nieruchomo, próbując podporządkować sobie własne ciało. Luis chwycił swój portfel.

- Zaraz wracam - obiecał. - Pilnuj mojego drinka, dobrze? - Delikatnie poklepał go po plecach. - Spokojnie, człowieku - powtórzył. Miało to brzmieć uspokajająco.

Mark odprowadził go wzrokiem, szczupłego mężczyznę o wąskich biodrach opiętych czarnymi spodniami. Ten widok wydestylował wszystkie jego uczucia w jedno - wściekłość.

Rozgrzał się do czerwoności, jego głowa stanęła w płomieniach.

Próbował się schłodzić, jednym łykiem dopijając zimne piwo.

Minęła dłuższa chwila, nim uznał, że uda mu się jednak wstać.

Nieufnie wypróbował działanie nóg. Na razie nieźle, kolana trzymają. Chciał zniknąć szybko i bez śladu, rzucił więc na bar dwudziestkę, a potem, dla pewności, jeszcze dziesiątkę. Ta dziesiątka upadła na wizytówkę. Rozejrzył się, podniósł ją ukradkiem.

Luis Camacho

189 Minnieford Avenue, City Island, New York, 10464

Urodzony 1-12-77

Cisnął ją na bar i uciekł niemal biegiem. Nie musiał nic zapisywać, jej treść miał utrwaloną w pamięci.

Po ucieczce z Luksoru pojechał do swego domku, jednego z sześciu stojących przy spokojnej, ślepej uliczce. Był przyjemny: białe stiuki, czerwony dach z dachówki, patio. Zbudowano

172

go na małej działce, trawniki od frontu i z tyłu dorównywały wielkością przeciętnemu dywanowi. Kuchenne wyjście prowadziło na taras ogrodzony tak, że można się było na nim opalać. Wnętrze urządzone było z kawalerską beztroską. Kiedy jeszcze pracował w prywatnej firmie, zarabiając pieniądze godne komputerowego czarodzieja w Menlo Park, kupił drogie nowoczesne meble, przeznaczone do współczesnego mieszkania, minimalistyczne, o ostrych kątach, malowane w plamy kolorów podstawowych; w domu w stylu hiszpańskiego rancza sprawiały one raczej odpychające wrażenie, niczym zgniłe jedzenie. W gruncie rzeczy był to dom bez duszy, niemal całkowicie pozbawiony elementów artystycznych, ozdobnych lub choćby osobistych.

Mark nie mógł sobie znaleźć miejsca. Miał wrażenie, że obdarto go ze skóry, jakby jego emocje zanurzono w kwasie. Włączył telewizor i po kilku minutach wyłączył go z niesmakiem. Wziął magazyn, po czym rzucił go na niski stolik tak gwałtownie, że pismo strąciło na podłogę małą fotografię w ramce. Podniósł ją. Przedstawiała kolegów z jednego pokoju akademika na pierwszym roku studiów. Spotkanie po dwudziestu pięciu latach. Żona Zeckendorfa przysłała mu ją na pamiątkę.

Nie potrafił powiedzieć, po co trzymał zdjęcie w pokoju. Ci ludzie nic już dla niego nie znaczyli. Prawdę mówiąc, szczerze nimi pogardzał. Zwłaszcza Dinnersteinem, swym katem, człowiekiem, który zmienił zwykle przecieź, jakkolwiek bolesne, doświadczenie towarzysko nieprzystosowanego chłopaka w zupełnie nowej sytuacji w wyrafinowaną torturę nieustannego wyśmiewania i upokarzania. Zeckendorf nie

był wiele lepszy. Will bardzo się od nich różnił, co w jakiś sposób sprawiło, że spotkanie go po latach okazało się jeszcze bardziej rozczarowujące.

173

Na zdjęciu Mark stał sztywno wyprostowany, uśmiechając się sztucznie, a Will obejmował go za ramię swym potężnym łapskiem. Will Piper, złoty chłopak. Przez cały pierwszy rok Mark z zazdrością obserwował, jak to, co dobre, wydaje się stać do niego w kolejce: dziewczyny, przyjaciele, okazja do zabawy. I zawsze zachowywał się z wdziękiem dżentelmena, nawet wobec niego. Kiedy Dinnerstein i Zeckendorf jednoczyli się, by go znów napaść, potrafił rozładować napięcie żartem albo odpędzał ich machnięciem swej niedźwiedziej łapy. Całymi miesiącami Mark fantazjował, jak to będzie, kiedy Will zaprosi go do siebie już na drugim roku; wówczas dopiero lśniłby jego odbitym światłem! A potem, tuż przed wiosenną sesją, coś się stało. Pewnego wieczoru leżał już w łóżku i próbował zasnąć, a jego trzech współlokatorzy siedzieli we wspólnym pokoju, pijąc piwo i słuchając głośnej muzyki. Wściekły Mark krzyknął donośnie przez zamknięte drzwi:

— Hej, skurwiele, mam jutro egzamin!

— Czy ten dupek nazwał nas skurwielami? - spytał Dinnerstein.

— Mnie też tak się wydawało - potwierdził Zeckendorf.

— No, to chyba trzeba coś z tym zrobić? - powiedział z zastanowieniem Dinnerstein.

Will ściszył muzykę.

- Zostawcie go w spokoju - zarządził.

Godzinę później wszyscy trzej byli zalani w trupa, nie panowali nad własnymi ciałami i objali się o ściany. W takim stanie najgorszy pomysł wydaje się najlepszy. Dinnerstein wszedł do pokoju; w ręku trzymał rolkę taśmy izolacyjnej. Mark zawsze sypiał mocno, obaj z Zeckendorffem nie mieli więc problemu z przyklepieniem go do górnego łóżka. Owinęli go tą taśmą tak mocno i dokładnie jak mumię. Kom-

174

piętnie ogłupiały Will przyglądał się temu od progu z kretyńskim uśmiechem na twarzy. Nie zrobił nic, by im przeszkodzić.

Zadowoleni ze swego rękodzieła panowie wrócili do dużego pokoju. Pili, śmiali się i doskonale bawili, a w końcu zasnęli na podłodze.

Następnego ranka, gdy Will otworzył drzwi sypialni, zobaczył Marka w otoczce szarej taśmy, nieruchomego, ze łzami spływającymi po zaczerwienionych policzkach, wpatzonego w niego wzrokiem, w którym było głębokie poczucie, że został zdradzony, i nienawiść.

- Nie poszedłem na egzamin - powiedział, a po chwili dodał: - I jeszcze się zsikałem.

Will otworzył scyzoryk. Przeciął taśmę, bełkocząc jakieś przeprosiny prawie niezrozumiale, jak to na ciężkim kacu. Od tego dnia nie zamienili ze sobą ani jednego słowa.

No i złoty chłopiec zdobył sławę i szacunek, dokonując wspaniałych czynów, a on pracował ciężko i nikt nic o nim nie wiedział. Teraz przypominał sobie, co tego dnia w Cambridge powiedział o nim Dinnerstein: Will to cieszący się największym powodzeniem tropiciel seryjnych morderców w historii FBI. Wielki człowiek.

Niepokonany. A o nim co ludzie mogą powiedzieć?

Mocno zacisnął powieki, w ciemności zaczęły się rodzić pomysły, a biorąc pod uwagę sprawność, z jaką pracował jego mózg, rodziły się szybko. I tak szybko, jak się krystalizowały, inna część mózgu Marka próbowała je uśmiercić, zapomnieć o nich, jakby ich nigdy nie było. Potrząsnął głową tak gwałtownie, że aż zaboląło; tępy, pulsujący ból. Był to prymitywny odruch, coś, co mogłoby zrobić małe dziecko, by wyrzucić z głowy brzydkie myśli. "Nie waż się o tym myśleć!".

- Przestań!

175

Poderwał się na równe nogi wstrząśnięty. Przecież przed chwilą wykrzyczał to słowo na cały głos.

Wyszedł na taras. Spojrzenie w nocne niebo zawsze go uspokajało, dziś jednak było wyjątkowo zimno, a cienka warstwa chmur zasłaniała gwiazdozbiory. Wrócił do kuchni i wypił kolejne piwo, siedząc niewygodnie na krześle z wysokim oparciem w małej wnęce pełniącej funkcję jadalni. Im bardziej pragnął zduścić nawiedzające go myśli, tym stawały się silniejsze; fale gniewu i obrzydzenia wznosiły się coraz wyżej, zalewały go niczym słonawe wody powodzi.

Piekielny dzień - pomyślał. Prawdziwie piekielny dzień.

Minęła północ. Mark wpadł nagle na pewien pomysł, który z pewnością poprawiłby mu samopoczucie. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy. Istniał tylko jeden sposób, by uleczyć się z chorób przenoszonych przez dzień taki jak ten. Odetchnął głęboko i zadzwonił pod jeden z numerów zapisanych w pamięci telefonu.

— Halo? - powiedział kobiecy głos.

— Czy to Lydia?

— A kto pyta? - Głos był bardzo, bardzo słodki.

— Peter Benedict. Z Constellation, o ile pamiętasz. Przyjaciel pana Kempa.

— No przecież! Strefa Pięćdziesiąt Jeden! Cześć, Mark.

— Zapamiętałaś nawet moje imię? - Dobra wróżba.

— Ależ oczywiście! Przecież jesteś moim przyjacielem od UFO. Jeśli mnie szukałeś... przestałam pracować na McCarran.

— Tak właśnie myślałem. Zauważyłem, że już tam nie bywasz.

— Dostałam lepszą pracę na dzień, w klinice tuż obok Stripu. Jestem recepcjonistką. Specjalizują się w odwracaniu podwiązania nasieniowodów. Wspaniała robota!

— To fajnie.

176

— A co u ciebie? Dlaczego dzwonisz?

— No wiesz... zastanawiałem się, czy może masz wolną noc?

— Kochanie, nie miewam wolnych nocy, a jeśli pytasz o to, czy mogłabym spędzić tę noc z tobą, to wiesz, o niczym innym nie marzę. Za chwilę mam spotkanie w Four Seasons, a potem pójdę grzecznie spać jak mała dziewczynka. W klinice muszę być wcześniej. Bardzo mi przykro.

— Mnie także.

— Och, taki jesteś słodziutki! Zadzwonisz już niedługo, prawda? Obiecujesz! Tylko uprzedź mnie odrobinę wcześniej... i z pewnością spotkamy się, kiedy zechcesz.

— Jasne.

- I pozdrów ode mnie naszych małych zielonych przyjaciół.

Mark siedział na kanapie pokonany i zrezygnowany. Niech się dzieje, co chce! Poddał się pokusie planu nabierającego w jego umyśle określonego kształtu. Najpierw musi się czegoś dowiedzieć. Gdzie podziła się ta wizytówka? Nie wyrzucił jej, tego był pewien, ale w takim razie... co się z nią stało? Rozpoczął poszukiwania, sprawdził wszystkie znane mu miejsca i wreszcie znalazł ją w szafie, pod stosem czystych skarpetek.

NELSON G. ELDER, PREZES I CZŁONEK ZARZĄDU, DESERT LIFE  
INSURANCE COMPANY

Jego laptop stał w pokoju dziennym. Natychmiast odszukał faceta w Google i zaczął nasiąkać informacjami jak gąbka. Jego firma, Desert Life, była notowana i pomału tonęła; akcje osiągnęły poziom najniższy od pięciu lat. Fora dyskusyjne na Yahoo ociekały wręcz lanym przez inwestorów jadem. Wielu akcjonariuszy sugerowało w mocnych słowach, gdzie może sobie wsadzić osiem milionów sześćset tysięcy odprawy. Mark odwiedził stronę firmy i przejrzał jej zabezpieczenie finansowe.

177

Przechodził od dokumentu do dokumentu, interesowały go kwestie prawne i finansowe. Był doświadczonym drobnym inwestorem, potrafił czytać ze zrozumieniem i między wierszami. Niewiele czasu zabrało mu ogarnięcie całości

modelu biznesowego Desert Life i jego kondycji finansowej.

Zamknął laptopa. W jednej chwili plan objawił mu się cały i kompletny, w każdym swym klarownym szczególe. Mark szybko zamrugał, olśniony jego perfekcją.

A więc jednak to zrobię - pomyślał z goryczą. Jednak, do kurwy nędzy, zrobię to!

Lata frustracji i rozczarowań wykopiały wreszcie niczym gorąca, bulgocząca magma.

Pieprzyć całe spaprane życie nieudacznika! Pieprzyć zazdrość, pieprzyć tęsknoty. I wreszcie pieprzyć wszystkie te lata, przeżyte pod ciężarem Biblioteki. Wezuwiusz wybuchał. Mark jeszcze raz spojrział na zdjęcie ze spotkania, na męską, przystojną twarz Willa. Ciebie też pieprzyć - powiedział do siebie.

Każda podróż musi się od czegoś zacząć. Podróż Marka zaczęła się od gorączkowego grzebania w jednej z kuchennych szafek, tej, która służyła za miejsce ostatniego spoczynku starych części komputerowych. Nim padł na łóżko, znalazł dokładnie to, czego szukał.

Następnego dnia, o siódmej trzydzieści rano, Mark pochrapywał sobie spokojnie na wysokości przeszło czterech i pół tysiąca metrów. Rzadko sypiał podczas krótkich podróży do miejsca pracy, Strefy 51, ale tym razem odpracowywał zarwaną noc. Pod skrzydłami maszyny przepływała ziemia, żółta, poryta głębokimi bruzdami. Z tej wysokości grzbiet długiego, niskiego pasma wzgórz przypominał kręgosłup zasuszonego węża. Boeing leciał północno-zachodnim kursem zaledwie czternaście minut i już rozpoczął podejście do lądowania. Na tle za-

178

mglonego błękitnego nieba wyglądał jak batonik, biały, z wesołym czerwonym pasem wymalowanym na kadłubie od nosa do ogona; barwy nieistniejących od dawna Western Airlines, przejętych przez firmę mającą kontrakt z wojskiem, EG&G, i stosowanych do transportu pasażerskiego w Las Vegas. Maszyna zarejestrowana była na marynarke Stanów Zjednoczonych.

Schodząc na lotnisko wojskowe, pilot nadal przez radio:



- PSLTP cztery prosi o pozwolenie na lądowanie w Groom

Lakę, pas czternaście lewy.

PSLTP. Kodowa nazwa radiowa połączonej sieci lotniczego transportu pracowników.

Pasażerowi mieli na to swoją nazwę: "Pieprzone Strucle, Latające Trumny Pracowników".

W momencie, gdy koła boeinga dotknęły ziemi, Mark drgnął i obudził się. Maszyna hamowała ostro, instynktownie zaparł się więc stopami, by ograniczyć napięcie pasa bezpieczeństwa. Podniósł zasłone okienną, zmrużył oczy na widok wypieczonej słonecznymi promieniami, jałowej, porośniętej rzadkimi krzaczkami ziemi.

Zdrętwiał, miał kurcze; zastanawiał się, czy wygląda tak dziwnie, jak się czuje.

- Myślałem, że będę cię musiał szturchać.

Obrócił się, spojrział na faceta w środkowym fotelu. Pracował w Archiwach Rosyjskich, miał strasznie tłusty tyłek. Nazywał się Jacobs.

— Nie było potrzeby - powiedział. - Jestem żywy i zdrowy.

— Nigdy przedtem nie spałeś w samolocie.

Czy Jacobs naprawdę pracował w Archiwach? - pomyślał Mark i natychmiast odrzucił tę myśl. Nie powinien popadać w paranoję. Pewnie, że jest archiwistą.

Żaden ze strażników nie miał tłustej dupy. Strażnicy należeli do tych sprawnych.

Nim pozwolono im zejść głęboko w chłód podziemi, sześć-

179

ciuset trzydziestu pięciu pracowników zatrudnionych w gmachu Groom Lakę 34, potocznie zwanym gmachem Trumana, musiało przejść dwa zniechędzone rytuały, R&S, czyli "Rozbieranie i Sprawdzanie". Wyszli z autobusów przed budynkiem przypominającym hangar, mężczyźni weszli do niego jednym wejściem, kobiety drugim. W środku obie płcie znalazły się wśród długich rzędów szafek, niczym w podmiejskim liceum. Mark energicznym krokiem podszedł do swojej, znajdującej się mniej więcej w połowie. Wielu jego współpracowników guzdrało się z prawdziwą radością i szło na sprawdzanie jak najpóźniej, ale jemu śpieszyło się dziś pod ziemię.

Przekręcił zamek cyfrowy, rozebrał się do gaci, powiesił ubrania na kołku. Na półce czekał już na niego czyściutki, porządnie złożony oliwkowy kombinezon z jego nazwiskiem, Shackleton, wyszytym na kieszonce na piersiach. Włożył go; dawno minęły czasy, kiedy pracownikom pozwalano wchodzić tu w ich własnych ubraniach. Najdrobniejszy nawet przyniesiony ze sobą przedmiot należało zostawić w szafce, w tej chwili do każdej z ich długiego rzędu trafiały więc książki, pisma, długopisy, telefony komórkowe i portfele. Mark załatwił to szybko i zajął miejsce na początku kolejki czekających na "Sprawdzenie".

Przy magnetometrze stali dwaj strażnicy, kompletnie pozbawieni poczucia humoru młodzi ludzie, przystrzyżeni na bardzo krótkiego jeża. Każdego delikwenta przepuszczali przez urządzenie, zachęcając do podejścia krótkim, mechanicznym, niewątpliwie wojskowym gestem. Od skanera dzieliła Marka zaledwie jedna osoba. Zauważył Malcolma Frazier, szefa bezpieczeństwa operacyjnego, a więc głównego strażnika, stojącego niedaleko i bezpośrednio nadzorującego procedurę. Był to przerażający kawał chłopca z groteskowo wręcz muskularnym ciałem i kwadratową głowę komiksowego złoczyńcy.

180

Przez wszystkie te lata Mark zamienił z nim zaledwie kilka słów, mimo że strażnicy mieli wgląd do części jego protokołów. Krył się za plecami dyrektorki swej grupy, na nią zwalając problem ingerencji Frazier i jego ludzi. Ten były żołnierz operacji specjalnych ze swoją napompowaną testosteronem gębą i postacią przerażał go do szaleństwa. Zwyczajowo unikał nawet kontaktu wzrokowego, a dziś szczególnie, kiedy więc poczuł na sobie jego przenikliwe spojrzenie, natychmiast pochylił głowę. Sprawdzenie miało jeden jedyny cel: nie dopuścić, by na terenie obiektu znalazło się jakieś urządzenie fotograficzne bądź rejestrujące. Rankiem pracownicy przechodzili przez nie ubrani. Po pracy nadzy jak ich Pan Bóg stworzył, ponieważ skanery nie wykrywały papieru. Podziemie miało być sterylne. Nic nie wchodzi, nic nie wychodzi.

Trzydziestka Czwórka była najbardziej sterylnym budynkiem w Stanach

Zjednoczonych. Pracowali tam ludzie wybrani przez kadrę rekrutacyjną Departamentu Obrony, niemającą zielonego pojęcia o tym, do jakiej pracy werbuje; znała ona wyłącznie umiejętności, które powinien mieć kandydat. Podczas drugiej lub trzeciej rundy rozmów wolno im było ujawnić, że praca dotyczy Strefy 51, a i to wyłącznie za zezwoleniem przełożonych. W tym momencie kandydat zadawał oczywiste pytanie: "Czy to tam rząd trzyma UFO i obcych z innej planety?". Obowiązkowa odpowiedź brzmiała: "To ściśle tajny obiekt wojskowy, w którym prowadzone są prace o znaczeniu decydującym dla bezpieczeństwa narodowego. To wszystko, co mogę powiedzieć w tej chwili. Jednakże kandydat, który otrzyma pracę, znajdzie się wśród elitarnej grupy pracowników rządowych, mających pełną wiedzę o badaniach prowadzonych w Strefie Pięćdziesiąt Jeden". Sama gadka wyglądała mniej więcej tak: "Będziesz człon-

181

kiem elitarnego zespołu naukowców i badaczy, znajdziesz się wśród najlepszych mózgów kraju. Będziesz miał dostęp do najnowocześniejszych urządzeń i najlepszego światowego soft-ware'u. Otrzymasz dostęp do materiałów oznaczonych najwyższą klauzulą tajności, o tym, że w ogóle istnieją, wie zaledwie garstka najwyższych rangą urzędników państwowych. Jako częściową rekompensatę za rezygnację z wysokopłatnej pracy w sektorze prywatnym lub stałego kontraktu akademickiego wraz z awansem w środowisku otrzymasz darmowe lokum w Las Vegas, zwolnienie z podatku federalnego i subsydium na naukę dzieci".

Jeśli chodzi o gadki werbowników, tę można by uznać za arcydzieło. Większość kandydatów była wystarczająco zainteresowana, by zgłosić gotowość do walki i rozpocząć fazę sprawdzania i portretowania psychologicznego. Był to trwający od pół roku do roku proces, otwierający człowieka jak puszkę fasoli przed agentami specjalnymi FBI i profilerami Departamentu Obrony. Przesiewano ludzi przez gęste sito, na każdych pięciu wlanych do lejka wylewał się jeden, obdarzony SCI, czyli dopuszczeniem do materiałów tajnych wyłącznie w zakresie swej specjalności, w ramach wydziału specjalnego wywiadu.

Rekrutów obdarzonych SCI zapraszano na ostatnią rozmowę, tym razem do Pentagonu. Ich rozmówcą był zastępca dyrektora wydziału prawnego biura marynarki wojennej. Od chwili jej stworzenia przez Jamesa Forrestala, NTS 51 była programem marynarki, a w wojsku tradycja umiera ostatnia. Prawnik, niemający zielonego pojęcia o tym, co rzeczywiście dzieje się w Strefie 51, przedstawiał kontrakt i wyjaśniał kandydatowi tajniki wszystkich jego paragrafów, jednego po drugim, nie oszczędzając mu dokładnych tłumaczeń, co znaczą obietnice kary za złamanie któregoś z nich, ze szczególnym uwzględ-

182

nieniem tych dotyczących zachowania tajemnicy. A jakby dwadzieścia lat w Leavenworth nie wyglądało wystarczająco strasznie, do nowych pracowników docierały niewątpliwie specjalnie rozsiewane plotki o długich jezorach zmieniających się w martwe jezory i sprawności tajnych agentów rządowych.

— Czy teraz już mogę dowiedzieć się, na czym ma polegać moja praca? - To było najczęściej zadawane w tym momencie pytanie.

— Nigdy w życiu - odpowiadał prawnik.

A to dlatego, że po przedstawieniu, wyjaśnieniu i ustnej akceptacji kontraktu konieczne było wspięcie się na kolejny szczebel wtajemniczenia, czyli ukończenie SAP, specjalnego programu dostępu, zakończonego zdobyciem jeszcze trudniejszego niż SCI certyfikatu SAP-NTS 51. Dopiero wówczas, po pokonaniu wszelkich przeszkód, z SAP w rękę, podpisał umowę, nowy leciał do bazy Groom Lake, gdzie zdumiewającą prawdę objawiał mu szef działu personalnego, śmiertelnie poważny kontradmirał, siedzący za biurkiem pośrodku pustyni jak wyjęta z wody ryba i życzący sobie bardziej niż czegokolwiek innego stowy za każdym razem, gdy słyszy: "O do diabła, w życiu się tego nie spodziewałem".

Mark przeszedł sprawdzenie i odetchnął z ulgą, bo skaner nie podniósł alarmu i strażnicy na czele z Malcolmem Frazierem niczego się nie dowiedzieli. Winda numer jeden czekała na nich na powierzchni. Wsiadło do niej pierwszych dwunastu

mężczyzn, drzwi zamknęły się za nimi i zaczęły spadać sześć pięter poprzez wzmocniony beton i stal, by zwolnić i wreszcie zatrzymać się na poziomie laboratorium badań podstawowych. Krypta znajdowała się kolejne osiemnaście metrów niżej. Jej temperaturę i wilgotność kontrolowano jak najstaranniej. Pod koniec lat osiemdziesiątych, kosztem miliardów dolarów, zainstalowano także gigantyczne amortyzatory wstrząsów sejs-

183

micznych i spowodowanych wybuchem jądrowym. Technologię kupiono w Japonii, tam ludzie znają się na trzęsieniach ziemi.

Niewielu pracowników ma powód, by odwiedzać Kryptę, tradycja Strefy 51 wymaga jednak, by w pierwszym dniu pracy zastępca dyrektora wiozł każdego zastrzeżoną windą na dół. Na poziom Krypty. Do Biblioteki.

Przy stalowych drzwiach stoją uzbrojeni strażnicy starający się wyglądać tak groźnie, jak to tylko możliwe. Po wprowadzeniu kodów drzwi otwierają się cicho. Nowy wprowadzony zostaje do wielkiej, oświetlonej łagodnym światłem sali, tak cichej jak wewnątrz katedry. I staje nieruchomo, pełen podziwu, zdumiony rozpościerającym się przed jego oczami widokiem.

Dzisiaj jechał z Markiem windą tylko jeden pracownik jego grupy algorytmów bezpieczeństwa, matematyk w średnim wieku o zdumiewającym imieniu i nazwisku - Elvis Brando. Niespokrewniony z żadnym z nich.

— Co tam u ciebie? - spytał.

— Wszystko w porządku - powiedział Mark i w tym momencie chwyciły go straszne mdłości.

W podziemiu królowało ostre światło jarzeniówek. Najmniejszy dźwięk odbijał się echem od nagich podłóg i niebieskich jak w szpitalu dla wariatów ścian. Pokój Marka był jednym z wielu rozmieszczonych na obwodzie centralnej sali konferencyjnej, będącej także miejscem pracy niższej rangi techników. Był mały, zagracony i nieporządkny, krótko mówiąc, w porównaniu z jego orlim gniazdem z poprzedniej pracy w prywatnej kalifornijskiej firmie i wspaniałym widokiem na idealnie

utrzymane trawniki i odbijające błękit nieba sadzawki, po prostu schówek sprzątaczk. Pod ziemią miejsce liczyło się jednak inaczej niż na powierzchni, miał szczęście, że nikogo mu nie dokwaterowali. Z taniego, szpetnego biurka i niskiego stolika

184

obląził fornir, za to krzesło miał drogie, ergonomiczne; jedyna wygoda, na którą nie szczędzono funduszy. W Strefie 51 długo się przesiadywało.

Mark włączył komputer. Załogował się do sieci hasłem oraz podwójnym skanem: odcisków palców i siatkówki. Na ekranie rozbłysło wesołe logo Departamentu Marynarki. Rozejrzał się po sali. W pokoju na skos od jego samotni Elvis już siedział zgarbiony nad swoją stacją roboczą. Poza nim nikt z grupy nie przeszedł jeszcze sprawdzenia, a co najważniejsze, jej kierowniczką Rebecca Rosenberg była właśnie na wakacjach.

A w ogóle nie musiał się zamartwiać tym, że przyciąga uwagę. I na powierzchni, i pod ziemią był samotnikiem. Współpracownicy w zasadzie zostawiali go samemu sobie. Nie powtarzał plotek, nie angażował się w kłótnie. W przerwie na lunch gubił się w jakimś zakątku ogromnej kantyny, jadł i czytał wzięty ze stelaża magazyn. Dwanaście lat temu, gdy dopiero zaczynał pracę w bazie, owszem, podjął niezdarną próbę dołączenia do społeczności. Ktoś zapytał go, czy ma coś wspólnego z tym Shackletonem z Antarktydy, powiedział więc "tak" i żeby zrobić dobre wrażenie na oczekaniu wymyślił zabawną rodzinną historyjkę o wujecznym pradziadku z Anglii. Specjaliście od baz danych niewiele czasu zabrało przelecenie się po genealogii i zdemaskowanie jego kłamstw.

Od dwunastu lat dzień w dzień przychodził do pracy i odwalał swoją robotę, a była to dobra robota. Na studium podyplomowym na uniwersytecie, a potem w kilku kolejnych firmach komputerowych Doliny Krzemowej, wyrobił sobie reputację jednego z najlepszych ekspertów od zabezpieczania danych w kraju, prawdziwego autorytetu w dziedzinie ochrony serwerów przed próbami nieautoryzowanego dostępu. Z tego właśnie powodu tak bardzo chciano go mieć w Groom Lake.

Początkowo wahał się, ale w końcu się zgodził, skuszony

185

czarowną perspektywą zrobienia czegoś śmiertelnie ważnego i tajnego, tak innego niż wszystko, czym zajmował się w swym nudnym, nic nieznaczącym życiu. Już w Strefie 51 napisał przełomowy kod zabezpieczający system przed robakami i innymi próbami wtargnięcia; algorytmy, na które przeszedłby prywatny biznes i rząd, które stałyby się nowym standardem... gdyby tylko mógł je opublikować. W jego grupie pojęciami kluczowymi były "publiczne i prywatne kluczowe systemy bezpieczeństwa", "warstwowe zabezpieczenie wejście-wyjście", "klucze systemu Kerberos", "systemy wykrywania włamań do hosta". To jego zadaniem było ciągle monitorowanie serwerów, wychwytywanie prób nieautoryzowanego dostępu zarówno spoza systemu, dokonywanych przez hakerów z zewnątrz, jak i wewnątrz. Dodatkowo strażnicy dostarczyli jego grupie listy zastrzeżone, po jednej na pracownika. Figurowały na niej nazwiska członków rodziny, przyjaciół, sąsiadów, kolegów z pracy małżonki lub małżonka i tak dalej, czyli osób, z którymi kontakt był zakazany. Jeden z algorytmów-lepów Marka wykrywał pracowników próbujących skontaktować się z kimś ze swej zakazanej listy; jak niosła wieść gminna, wykrycie groziło bardzo nieprzyjemnymi konsekwencjami. Instytucjonalna pamięć przechowywała wspomnienie analityka z końca lat siedemdziesiątych, próbującego skontaktować się z narzeczoną. Biedak podobno nadal gnił w federalnym pierdłu. Mark poczuł nagły, gwałtowny skurcz żołądka. Zacisnął zęby, wyskoczył z pokoju i niemal pobiegł korytarzem do najbliższej toalety. Wyszedł z niej, czując znaczną ulgę. Lewą rękę zaciskał w pięść. Wrócił za biurko i kiedy zyskał pewność, że nikt się nim nie interesuje, otworzył górną szufladę. Wrzucił do niej mniej więcej pięciocentymetrowy kawałek szarego plastiku w kształcie kuli.

186

Następnie poszedł do sali ogólnej. Niczym niewidzialny człowiek swobodnie poruszał się pomiędzy wypełniającymi ją teraz ludźmi, rozmawiającymi prawie wyłącznie o planach na zbliżający się weekend. W ogólnodostępnym magazynku znalazł zestaw lutowniczy. Pewnym krokiem wrócił do siebie. Cicho zamknął za sobą drzwi.

Pod nieobecność Rosenberg szansę, że ktoś go zaskoczy, były bliskie zera, nic go więc nie powstrzymywało. W dolnej szufladzie biurka trzymał spięte gumką przewody. Wybrał kabel USB. Małymi szczypczykami wyłamał jedną z metalowych złączek. Przyszła kolej na plastikową kulę.

Minutę później było po wszystkim. Udało mu się wlutować złączkę w plastik, co dało mu w pełni funkcjonalną cztero-gigową kartę flash. Pamięć pojemności trzech milionów stron danych, broń znacznie groźniejszą dla zabezpieczeń Strefy 51, niż gdyby udało mu się przesznuć do środka pistolet maszynowy.

Mark wrzucił pamięć do szuflady. Resztę poranka poświęcił pisaniu programu.

Opracował go w pamięci, jadąc na lotnisko, i teraz jego palce tańczyły po klawiaturze, rozgrzewając ją niemal do czerwoności. Był to program kamuflujący, mający ukryć fakt, że oto on sam ma zamiar pokonać własny niepokonany system wykrywania włamań do hosta. Skończył przed lunchem.

W porze lunchu sąsiednie pokoje i sala ogólna opustoszały. Wówczas wykonał swój ruch. Nowy program działał bezbłędnie, zresztą nie spodziewał się po nim niczego innego, był całkowicie nie do wykrycia. Upewniwszy się, że tak jest w istocie, załogował się do głównej bazy danych Stanów Zjednoczonych.

Wprowadził: Camacho, Luis, ur. 1/12/1977 i wstrzymał oddech. Po chwili monitor rozblęsnął danymi. Nie był to jakiś

187

szczególny powód do radości, bo Mark miał kilka innych pomysłów. Uznał, że pora na "przyjaciela" Luisa, Johna. Zgodnie z przypuszczeniami jego znalezienie okazało się trywialnie proste. Pod osłoną swego programu otworzył portal prowadzący z NTS



51 wprost do dedykowanej bazy danych, zbierającej rachunki wystawiane przez wszystkie amerykańskie firmy świadczące usługi telekomunikacyjne.

Teraz wystarczyło tylko skorelować pierwsze imię, John, z adresem: 189 Minnieford Avenue, City Island, New York i oto na ekranie wykwitło pełne nazwisko: John William Pepperdine, wraz z numerem ubezpieczenia. Kilka kolejnych uderzeń w klawisze ujawniło także datę urodzenia. Nic łatwiejszego - pomyślał. Uzbrojony w zestaw informacji wrócił do bazy danych, wcisnął ikonę "szukaj".

I aż westchnął, nie od razu zdolny uwierzyć swemu szczęściu. Rezultat okazał się znakomity. Nie, więcej, doskonały!

Miał na czym budować.

W porządku, Mark, do roboty - pomyślał. Masz, co chcesz, a teraz w nogi.

Członkowie jego grupy mieli zaraz wracać z lunchu, najwyższy czas skończyć z tym chodzeniem po linie. Ostrożnie włożył przygotowaną przez siebie pamięć do gniazda USB w swoim komputerze.

Załadowanie do niej otwartej bazy danych Stanów Zjednoczonych zabrało zaledwie kilka sekund. Następnie Mark zamaskował ślady swej działalności, najpierw wymazując swój program kamuflujący, a następnie restartując system wykrywania wtargnięć do hosta. Zakończył, wrywając złączkę z plastikowej kuli i przyspawając ją z powrotem do kabla USB. Kiedy już umieścił w odpowiednich szufladach wszystkie części, z których korzystał, opuścił pokój i tak swobodnie, jak tylko potrafił, podszedł do magazynku odłożyć lutownicę.

Odwrócił się i zobaczył, że drogę blokuje mu potężnie

188

zbudowany mężczyzna o władczych manierach, Elvis Brando. Stał tak blisko, że w jego oddechu czuć było chili.

— Darowałaś sobie lunch? - spytał wyzywająco.

— Obawiam się, że coś zaszkodziło mi na żołądek.

— To może powinieneś zgłosić się do medycznego. Pocisz się jak świnia.

Mark dotknął swego wilgotnego czoła i jednocześnie zorientował się, że jego kombinezon jest kompletnie przemoczony pod pachami.

- Nic mi nie jest - powiedział.

Pół godziny przed końcem pracy po raz drugi odwiedził toaletę. Wszedł do kabiny. Z kieszeni kombinezonu wyjął dwa przedmioty: kartę w kształcie pocisku i zgnieciony kondom. Włożył do niego pamięć, zdjął kombinezon i zaciskając zęby, największą tajemnicę naszej planety wsadził sobie w tyłek.

Tej nocy siedział na sofie, straciwszy poczucie czasu, a laptop parzył mu krocze i szczypał w oczy. Penetrował skopiowaną bazę danych, żonglując rekordami jak talią kart, weryfikując dane i weryfikując je raz jeszcze, według innych kryteriów, spisując odręcznie kolejne listy, sprawdzając wszystko wielokrotnie, póki nie zyskał całkowitej pewności.

Ani przez chwilę nie był zagrożony, choć gdyby nawet pracował online, nic by to nie zmieniło; jego komputer zabezpieczony był w sposób nie do przejścia dla hakera.

Poruszały się wyłącznie jego palce i dłonie, ale kiedy skończył, dyszał ciężko ze zmęczenia. Podniecała go własna śmiałość i żałował tylko, że nie może opowiedzieć nikomu, jaki to potrafi być sprytny, sprawny i bezczelny.

Kiedy Mark był mały i zdarzyło mu się dostać dobry stopień w szkole albo rozwiązać jakiś problem matematyczny, biegł

189

zawiadomić rodziców. Ale matka zmarła na raka, a ojciec ożenił się powtórnie z nieprzyjemną kobietą. Był gorzko zawiedziony tym, że jego syn rzucił taką dobrą firmę i poszedł pracować dla rządu. Rzadko ze sobą rozmawiali. A w ogóle to dokonał czegoś, o czym nie powinien rozmawiać z nikim. Absolutnie z nikim. Nagle wpadł na pewien pomysł i aż zachichotał głośno.

Dlaczego nie?

Kto miałby się o tym, do cholery, dowiedzieć?

Zamknął bazę danych, zabezpieczył ją hasłem, a następnie otworzył swój scenariusz, swą odę do losu a la Thornton Wilder, wrzuconą w gówno przez hollywoodzką

ropuchę. Przejrzał go i zaczął zmieniać, wciskając "znajdź" i "zastąp" pokrzykiwał i piszczał radośnie jak niegrzeczny chłopczyk cieszący się swym brzydkim sekretem.

23 czerwca, 2009 City Island, Nowy Jork

Kiedy Will był mały, ojciec zabierał go na ryby, bo to przecież ojcowski obowiązek. Budził syna przed świtem szturchnięciem w łopatkę, rzucał ubranie, wsadzał do pick-upu. Jechali z prowincjonalnego Quincy do Panama City. Tam, na przystani dla klasy pracującej, ojciec wypożyczał na godziny dwudziestosześciorozową łódkę. Pykając pracowicie silniczką, łódka pozwalała poprowadzić się jakieś dziesięć mil od brzegu, w Golfsztrom. Ta wielka podróż, z ciemnej sypialni na błyszczące w promieniach słońca łowiska, odbywała się praktycznie bez słowa. Syn obserwował ojca za sterem, potężną sylwetkę zabarwioną na pomarańczowo promieniami wschodzącego słońca, zastanawiając się, dlaczego naturalne piękno ciepłego poranka i łodzi, prującej spokojną rozświetloną toń, nie przywołują uśmiechu na jego twarz. W końcu ojciec gasił papierosa i mówił coś w rodzaju: "W porządku, załóżmy przynęty", po czym popadał w posępne milczenie na całe godziny, póki nie złapał się im jakiś lucjan czy makrela i trzeba było zacząć wywarkiwać rozkazy.

191

Teraz, kiedy przejeżdżał City Island Bridge, ze zdziwieniem stwierdził, że stary przyszedł mu do głowy, gdy tylko spojrział w stronę Eastchester Bay, gdy pojawiła się pierwsza marina: aluminiowy las, kiwający się na coraz mocniejszej, popołudniowej bryzie.

City Island była małą, przedziwną oazą, z punktu widzenia formalnego podziału miasta częścią Bronksu, ale geokulturowo najbardziej pasowała do Fantastycznej Wyspy, tej kropki na wodzie, skłaniającej gości do fantazjowania na temat innych miejsc i innych czasów. Zupełnie nie pasowała do miasta po drugiej stronie grobli i prowadzącej groblą drogi.

Dla Indian Siwanoy wyspa przez stulecia była żyznym łowiskiem, obfitym w ryby i ostrygi, dla europejskich kolonistów stała się centrum skutniczym i portowym, dla

dzisiejszych mieszkańców - enklawą klasy średniej i jej skromnych domków, wśród których tu i ówdzie stały piękne wiktoriańskie rezydencje dawnych żeglarzy. Na wybrzeżu powstały kluby jachtowe dla bogatych ludzi spoza wyspy. Ze swymi uliczkami niczym labirynt króliczej nory, z których prawie wszystkie wcześniej czy później doprowadzały do oceanu, z nieustannym krzykiem mew, z przesycającym powietrze słonym zapachem, kojarzyła się raczej z wakacjami i dziecięcymi kryjówkami niż Nowym Jorkiem.

Uwagi Nancy nie uszło to, że opadła mu szczęka.

— Nigdy tu nie byłeś? - spytała.

— Nie, a ty?

— Robiliśmy tu sobie pikniki, kiedy byłam mała. - Spojrzała na mapę. - Z Beach Street musisz zjechać w lewo.

Minnieford Avenue nie kojarzyła się z aleją, raczej z wydeptaną ścieżką. Było to kolejne kiepskie miejsce do prowadzenia śledztwa w sprawie poważnego przestępstwa. Policja wraz

192

z karetkami pogotowia i wyposażonymi w wielkie anteny satelitarne wozami mediów zablokowała dróżkę dokumentnie, jak zator tętnicę. Will stanął w ciągnącej się gęsiego kolejce. Poskarżył się Nancy, że będą musieli iść taki kawał. Blokował podjazd, spodziewał się więc, że stojący na schodkach i gapiący na nich właściciel domu, facet o grubych rękach i nogach, ubrany w niechlujny podkoszulek, zrobi mu kosztowną awanturę, ale gość spytał tylko:

- Służbowo?

Skinął głową.

- Policja miasta Nowy Jork. Jestem na emeryturze. Nie bój się, przypilnuję ci explorera. Nigdzie się nie wybieram.

Tam-tamy były donośnie i szybko. Wszyscy pozostający w służbie prawa i porządku oraz wszyscy ich krewni i znajomi wiedzieli, że City Island stała się punktem zero sprawy Mordercy Dnia Sądu. Media dostały cynk wcześniej, co tylko wzmogło

atmosferę hysterii. Przed małym żółtawo-zielonym domkiem tłoczyła się banda dziennikarzy, otaczał go kordon gliniarzy z czterdziestego piątego posterunku. Dziennikarze telewizyjni walczyli o takie pozycje na zatłoczonych chodnikach, by kamerzyści mogli ich uchwycić na tle domu. Ściskali w garściach mikrofony, a ich koszule (lub bluzki) powiewały na mocnym zachodnim wietrze niczym flagi sygnałowe.

Kiedy Will zobaczył dom, natychmiast wyobraził sobie fotografię, która obiegałaby świat, gdyby okazało się, że to tu zatrzymują mordercę. Dom Dnia Sądu. Skromne mieszkanko z lat czterdziestych, wypaczone gonty, poszczerbione okiennice i zapadający się ganek, na którym stoją dwa rowery, plastikowe krzesła i grill. Ogródka przed domem właściwie nie było; gdyby ktoś o przyzwoitych płucach splunął z okna, trafiłby w sąsiednie domy po obu stronach i z tyłu. Na chodnikowych

193

płytach stały dwa samochody: beżowa honda civic z trudem mieściła się między domem a siatką oddzielającą go od domu sąsiada. Starszawe bmw serii 3 stało między gankiem a chodnikiem, tam gdzie od biedy mógłby się znaleźć małeńki trawnik.

Powoli, zmęczonym ruchem, Will uniósł rękę. Spojrzał na zegarek. Dzień już trwał wystarczająco długo, a nie zanosilo się na to, żeby miał się wkrótce skończyć. Od najbliższego drinka dzieliło go parę godzin, a to już bardzo mu się nie podobało. Z drugiej strony jak to by było wspaniale skończyć sprawę tu i teraz i pożeglować na emeryturę z łagodnym wiatrem. Siadać w ulubionym barze na ulubionym stołku, każdego dnia dokładnie o wpół do szóstej. Na tę myśl przyspieszył kroku, zmuszając Nancy do truchtu.

- Gotowa na dobrą zabawę? - spytał podniesionym głosem.

Nim zdążyła odpowiedzieć, rzucająca urodą na kolana reporterka Kanału Czwartego rozpoznała go z konferencji prasowej.

- Szczurołap! - krzyknęła do kamerzysty. - Po prawej.

Kamera wideo obróciła się w jego stronę.

- Agencie Piper, czy może pan potwierdzić, że Morderca Dnia Sądu został ujęty?

Wszyscy obecni operatorzy kamer natychmiast się nimi zainteresowali. Willa i Nancy otoczyła wyjąca horda.

- Nie zwalniam - syknął Will. Nancy skuliła się za jego plecami, zostawiając mu do załatwienia problem przepchania się przez tłum.

Miejsce, w którym popełniono morderstwo, dosłownie rzuciło się im w oczy, gdy tylko przestąpili próg. Pokój frontowy przypominał jatkę. Ogrodzono go taśmą, pozostał więc nienaruszony; musieli najpierw przyjrzeć mu się przez otwarte

194  
drzwi, jakby był to eksponat w muzeum. Ofiara, chudy mężczyzna z otwartymi oczami, leżała częściowo na żółtej kozetce, a częściowo na podłodze. Głowa spoczywała na poręczy, najdosłowniej w świecie w nią wbita: brązowe włosy rozdzielone, czaszka pod nimi rozłupana; półksiężyc opony twardej lśnił w ostatnich złotych promieniach słońca. Twarz, a raczej to, co z niej pozostało, wyglądała jak spuchnięta miękka masa, przez którą przeświecały żółtawe kości i chrząstki.

Will czytał pokój jak książkę: czerwień rozpryskana na ścianach, zęby rozrzucone po podłodze niczym popcorn po szczególnie niechlujnej zabawie. Konkluzja była dla niego oczywista: mężczyzna umarł na kozetce, ale nie tam został zaatakowany.

Pierwszy cios padł przy drzwiach wejściowych. Zadany z dołu do góry, trafił w czaszkę, otarł się o nią i krew trysnęła na sufit. Potem ofiarę uderzono jeszcze kilkakrotnie, gdy cofała się w głąb pokoju, zataczała i obracała, bezskutecznie próbując się bronić przed ciosami tępego narzędzia. Ten człowiek nie umarł łatwą śmiercią. Próbował odczytać wyraz jego oczu; tego rodzaju widok nie był dla niego niczym nowym. Co czuł, umierając? Strach? Gniew? Rezygnację?

Uwagę Nancy zwrócił inny szczegół.

- Widzisz? - spytała? - Na biurku? To chyba pocztówka.

Oficerem prowadzącym śledztwo był elegancki i czyściutki kapitan Brian Murphy. Przedstawił się, dumnie prężąc at-letyczną pierś, obciągniętą nienagannie wyprasowaną niebieską koszulą. Aresztowanie pchnęłoby go jeszcze wyżej na drabinie kariery; ofiara, niejaki John William Pepperdine, z pewnością zirykowałaby się, gdyby wiedziała, jak wielką energią jej śmiertelne zejście nappełniło tego szczególnego gliniarza.

195

Jadąc na miejsce, Will i Nancy martwili się, że ludzie z czterdziestego piątego posterunku zadepczą im kolejne miejsce zbrodni, ale o to akurat nie musieli się martwić, ponieważ kapitan Murphy zajął się nim osobiście, a grubego, niedbałego detektywa Chapmana nie było w zasięgu wzroku. Will skomplementował Murphy'ego za staranne zabezpieczenie terenu, osiągając efekt podobny do tego, jaki daje głaskanie kundla w rytm pieszczotliwego "dobry piesek". Zyskał przyjaciela na śmierć i życie. Zachwycony glina opowiedział im, jak to jego funkcjonariusze, reagując na telefon alarmowy informujący o krzykach, znaleźli zakrwawionego sprawcę, Luisa Camacho, ukrytego w piwnicy za zbiornikiem oleju. Gość chciał się przyznać, a on wykazał się rozsądkiem, nagrywając odczytanie mu jego praw i cały monolog wygłoszony spokojnym, monotonnym głosem. Pogardliwie nazwał to "kolejnym pedalskim morderstwem".

Will słuchał spokojnie, niecierpliwiła się Nancy.

— Przyznał się? Przyznał się do innych morderstw?

— Szczerze mówiąc, tak daleko nie zaszedłem - wyznał Murphy. - Zostawiłem to dla was. Chcecie go zbaczyć?

— Kiedy tylko będzie to możliwe - powiedział Will.

— Chodźcie ze mną.

Will się uśmiechnął.

— Jeszcze tu jest? - powiedział z wdzięcznością.

— Woląłem nie utrudniać wam życia. Nie chcecie chyba pętać się po Bronksie z kąta w kąt?

— Kapitanie Murphy, genialny z pana sukinkot.

— Proszę podzielić się tą opinią z komisarzem - pod powiedział Murphy.

Pierwsze, co zauważył u Luisa Camacho, było jego fizyczne podobieństwo do poszukiwanego przez nich przestępcy: ciem-

196

noskóry, średniego wzrostu, kruchy, waga siedemdziesiąt dwa- siedemdziesiąt trzy kilogramy. Dostrzegł, jak Nancy lekko zaciska wargi, ona też to zauważyła. Siedział przy kuchennym stole z rękami skutymi na plecach. Drżał. Dżinsy i podkoszulek cioty z napisem "Just Do It" zeszywniały od zaschłej krwi jak wykrochmalone. O tak, on to zrobił - pomyślał Will. Tylko popatrzcie na faceta, nosi krew ofiary na ubraniu jak malowidło z jakiegoś plemiennego rytuału.

Kuchnia była czyściutka i śliczniutka: kolekcja fantazyjnych słoików na słodycze, różnej grubości makarony owinięte przezroczystym plastikiem, podkładki pod nakrycia z balonikami na gorące powietrze, ozdobny stelaż zastawiony porcelaną w motywy kwiatowe. Bardzo urocze, bardzo przytulne, bardzo pedalskie - pomyślał Will. Stał, górując nad zatrzymanym i czekając, aż ten powoli, niechętnie, ale jednak spojrzy mu w oczy.

— Panie Camacho, jestem agent specjalny Piper, a to agent specjalny Lipinski. Musimy zadać panu kilka pytań.

— Już powiedziałem gliniarzom, co zrobiłem - szepnął zaledwie słyszalnie Camacho.

Will był niezrównany w przesłuchaniach. Czapki z głów. Najpierw przerażał samym swym ogromem, potem łagodził sytuację grzecznym słowem wypowiedzianym z miękkim południowym akcentem. Klient nigdy do końca nie wiedział, kogo ma za przeciwnika. Jego niepewność stawała się potężną bronią.



— Doceniamy to, oczywiście. Z całą pewnością tak jest lepiej dla pana. Po prostu chcemy rozszerzyć nieco zasięg śledztwa.

— Chodzi wam o pocztówkę, którą dostał John? To ją nazywa pan "rozszerzeniem zasięgu"?

— Słusznie. Interesuje nas ta pocztówka.

197

Luis żałośnie potrząsnął głową i z jego oczu popłynęły strumieniem łzy.

- Co ze mną zrobicie? - spytał bezradnie.

Will poprosił jednego z pilnujących go z obu stron policjantów, by wytarł mu twarz papierową chusteczką.

- Ostateczna decyzja należy do ławy przysięgłych - wyjaśnił - ale jeśli będzie pan współpracował przy śledztwie, niewątpliwie będzie to miało pozytywny wpływ na sprawę.

Wiem, że rozmawiał pan już z tymi funkcjonariuszami, byłbym jednak wdzięczny, gdyby najpierw opowiedział pan nam o pańskim związku z panem Pepperdine'em, a potem o tym, co zaszło tu dziś.

Pozwolił Camacho mówić, od czasu do czasu naprowadzając go tylko na właściwą drogę, podczas gdy Nancy, jak zwykle, robiła notatki. Panowie spotkali się w 2005 roku, w barze. Nie gejowskim wprawdzie, ale odszukali się bez większych problemów i zaczęli ze sobą chodzić: pełen temperamentu Portorykańczyk, steward linii lotniczych z Queens, i emocjonalnie zablokowany właściciel episkopalnej księgarni z City Island. W wygodnym zielonym domku, który John Pepperdine odziedziczył po rodzicach, przez lata mieszkało z nim wielu przyjaciół, ale teraz, gdy przez ramię zajrzała mu czterdziestka, zaczął opowiadać przyjaciołom, że Luis jest jego ostatnią wielką miłością... i oczywiście miał rację.

Ich związek okazał się burzliwy, a przyczyną burz była niewierność. John domagał się monogamii, Luis nie był do niej zdolny. John regularnie oskarżał partnera o skoki

w bok, praca Luisa, z częstymi podróżami do Vegas, dawała mu swego rodzaju carte blanche. Poprzedniego wieczoru Luis wrócił do domu, ale zamiast zameldować się na City Island, pojechał na Manhattan ze spotkanym w samolocie biznesmanem, który zafundował mu drogą kolację, a potem zabrał do siebie na

198

Sutton Place. Do łóżka przyjaciela wpełzł o czwartej nad ranem, obudził się dopiero tego feralnego dnia o pierwszej po południu. Skacowany, trzęsący się, zszedł po schodach, żeby zaparzyć sobie kawy. Spodziewał się, że będzie w domu sam. Ale nie. John nie poszedł do pracy. Siedział w pokoju dziennym, emocjonalny wrak. Mówił niespójnie, płakał ze zdenerwowania i strachu, był rozczochrany i blady jak śmierć. Gdzie się podziewałeś? Z kim? Dlaczego nie wysłałeś SMS-a z telefonu, który zawsze powinieneś mieć przy sobie? Dlaczego porzuciłeś mnie akurat wczoraj? Luis zareagował na tę tyradę wzruszeniem ramion. Odpowiedział, że przecież nic się nie stało. Czy normalny facet nie może po pracy napić się z przyjaciółmi? Żałosne. Więcej niż żałosne. "Uważasz więc, że jestem żalosny? - wrzasnął John. No to popatrz, sukinsynu. Pobiegł do kuchni i wrócił, ściskając w palcach pocztówkę. To pocztówka Dnia Sądu, dupku, adresowana do mnie, z dzisiejszą datą!". Jego kochanek zerknął na pocztówkę i powiedział, że to prawdopodobnie chory żart. Może wywalony ostatnio z pracy jakiś urzędnik - idiota - w ten sposób wyrównuje rachunki? A w ogóle czy zadzwoniłeś na policję? Nie zadzwonił. Był zbyt przerażony.

Przekomarzali się tak jakiś czas, aż odezwał się leżący na stoliku w holu telefon Luisa z ostentacyjnie kiczowatym nagraniem Oops I Did it Again. John dopadł go pierwszy. "Co to za cholerny Phil?! - krzyknął. - Powiedz prawdę". Facet z Sutton Place miał na imię Phil. Luis zełgał, ale niezbyt przekonująco.

Nateżenie emocji Johna przekroczyło czerwoną linię. Według relacji Luisa ten normalnie łagodny, spokojny człowiek zupełnie stracił panowanie nad sobą. John złapał aluminiowy kij do softbollu, stojący w zapomnieniu w kącie przy drzwiach fron-

towych od dziesięciu lat, czyli od czasu, gdy zerwał ścięgno Achillesa na meczu ligi seniorów w Pelham. Trzymał go jak lancę, szturchał nim partnera w ramiona, krzyczał, kłął, gadał jakieś świństwa. Luis też zaczął wrzeszczeć, żeby odłożyć kij, ale dalej obrywał, no i wreszcie wkurzył się tak, że nie kontrolował już, co się dzieje, kij jakoś znalazł się w jego ręku, w pokoju zaczęła dominować czerwień...

Will słuchał tej spowiedzi z rosnącym niepokojem, bo brzmiała bardzo prawdziwie. No, ale przy tym stole nie był papieżem. Robiono go w konia nieraz i jeśli Pan Bóg dopomoże, to ten człowieczek wpisze się na listę. Nie czekał, aż Luis przestanie płakać, tylko nagle i agresywnie spytał:

- Zabiłeś Davida Swishera?

Luis spojrzał na niego zaskoczony. W pierwszym odruchu chciał wyrzucić ręce w powietrze. Otarł sobie skórę na przegubach skutych dłoni.

— Nie!

— Zabiłeś Elizabeth Kohler?

— Nie!

— Zabiłeś Marco Napolitano?

— Przestań! - Luis poszukał wzrokiem spojrzenia Nancy. - O czym mówi ten facet?

Nancy kontynuowała ostrzał.

- Zabiłeś Milesa Drake'a?

Luis przestał płakać. Prychnął, przeczyszczając nos i tylko się na nią gapił.

— Zabiłeś Milosa Covica?

— Consuełę Lopez? - przejął pałeczkę Will.

— Idę Santiago?

— Luciusa Robertsona?

Kapitan Murphy się uśmiechnął. Zaimponował mu ten mecz werbalnego tenisa. Luis gwałtownie potrząsnął głową.

— Nie, nie, nie! Oszaaleliście czy co? Przyznałem się do zabicia Johna, to była taka obrona własna, ale nie tknąłem tych innych. Macie mnie za pieprzonego Mordercę Dnia Sądu? Tak to sobie wykombinowaliście? Dajcie spokój! Opa miętajcie się!

— W porządku, Luis, rozumiem cię. Spokojnie. Chcesz wody? - spytał Will. - Od jak dawna latasz na trasie Nowy Jork-Las Vegas?

— Niemal cztery lata.

— Masz może gdzieś pod ręką dziennik, coś w rodzaju książki lotów?

- Jasne, że mam. Jest na górze, w szafce.

Nancy bez słowa znikła za drzwiami.

— Wysyłałeś kiedyś pocztówki z Las Vegas? - zaatakował Will.

— Nie!

— Słyszałem, jak mówisz jasno i dobitnie, że nie zabiłeś tych ludzi. Teraz powiedz mi, czy kogoś spośród nich znałeś?

— Oczywiście, że nie! Człowieku...!

— A więc nie znałeś także Consueli Lopez i Idy Santiago?

— Co? Pytasz o nie, bo były Latynoskami, więc powinienem je znać, tak? Odbiło ci, człowieku? Wiesz, ilu Latynosów mieszka w Nowym Jorku?

Will uparcie parł przed siebie.

— Czy kiedykolwiek mieszkałeś na Staten Island?

— Nie.

— Pracowałeś tam?

— Nie.

— Miałeś tam jakichś przyjaciół?

- Nie.
- Byłeś tam kiedyś?
- Może raz. Żeby przepłynąć się promem.

201

- Kiedy?
- Jako dziecko.
- Jakim samochodem jeździsz?
- Hondą civic.
- To ta jasna przed domem?
- Tak.
- Któryś z twoich krewnych lub przyjaciół jeździ niebieskim samochodem?
- Nie, człowieku. Nie sędzę.
- Masz parę reeboków DMX dziesięć?
- Facet, czy ja ci wyglądam na cholernego szczyla z poczuciem wyższości?
- Czy ktoś kiedykolwiek prosił cię o wysłanie pocztówki z Las Vegas?
- Nie.
- Przyznałeś się do zabójstwa Johna Pepperidne'a.
- W samoobronie.
- Czy kiedykolwiek zabiłeś jeszcze kogoś?
- Nie!

Will nagle przerwał przesłuchanie i poszedł poszukać Nancy. Znalazł ją na prowadzących na piętro schodach. Miał kiepskie przeczucia, a jej skrzywione wargi tylko je potwierdziły. Nałożyła rękawiczki chirurgiczne i właśnie przeglądała kalendarz na 2008 rok.

- Problemy? - spytał.
- Jeśli wpisy odpowiadają rzeczywistości, mamy wielkie

problemy. Był w Las Vegas lub w drodze w czasie wszystkich morderstw oprócz dzisiejszego. Nie wierzę własnym oczom, Will. Nie wiem, co powiedzieć.

— Powiedz "o kurwa!". Właśnie to powinnaś powiedzieć. -

Will, zmęczony, oparł się o ścianę. - To cholernie popieprzona sprawa.

202

— Może podrobił dziennik?

— Sprawdzimy zapisy z jego pracodawcą, ale przecież oboje wiemy, że on nie jest Mordercą Dnia Sądu.

— Cóż, zabił ofiarę numer dziewięć. Co do tego nie ma przecież wątpliwości.

Skinął głową.

- W porządku, partnerko, oto co teraz zrobimy.

Nancy natychmiast odłożyła dziennik Luisa i otworzyła swój notes w oczekiwaniu instrukcji.

— Nie pijesz, prawda?

— Niewiele.

- Dobrze, w takim razie zostajesz wyznaczona do zadania specjalnego. Za jakieś pięć minut kończymy dzień pracy.

Zdajemy służbę. Zadanie specjalne polega na tym, że zawieszysz mnie do baru, porozmawiasz ze mną, kiedy będę się upijał, a potem odwieziesz pijanego do domu. Zrobisz to dla mnie?

Spojrzała na niego z dezaprobatą.

- Jeśli tego właśnie sobie życzysz?

Pił szybko, kelnerka wciąż kursowała między ich lożą a barem. Nancy patrzyła, jak Will uwalnia się z oków trzeźwości, a sama przez zgietą słomkę popijała ponuro dietetyczne piwo imbirowe. W Harbor Restaurant znaleźli miejsce przy oknie z widokiem na zatokę, płaszczynę spokojnej wody ciemniejącą w miarę, jak

zachodziło słońce. Wypatrzył ją nim wyjechali z wyspy.

- Miejsce takie jak to musi mieć bar - burknął pod nosem.

Nie był jednak aż tak pijany, by nie zauważyć, że Nancy czuje się niezręcznie, pijąc po pracy z szefem... i to szefem mającym reputację biurowego łajdaka i pijaka. Tak niezręcznie, że aż się wiała.

203

Siedziała w milczeniu, zabawił się więc, robiąc jej pijacki profil osobowości. Pewnie sądziła, że to przez nią zalewa się tak szybko, jak to tylko możliwe.

No i prawdopodobnie coraz bardziej ją interesował. Widział to w jej oczach, zwłaszcza rano, przy pierwszym spotkaniu w pracy. Większość kobiet wpadała prędzej czy później. Nie chwalił się, o nie, takie były fakty. W tej chwili prawdopodobnie nienawidziła go za to, kim jest, a jednocześnie go pożądała. Tak działał na kobiety.

W słabym świetle lampki naftowej jego ciało wydawało się mięknać, wątleć jak u wyjętej z formy figurki z niewypalanej gliny, pozostawionej na słońcu w gorący dzień. Policzki mu obwisły, ramiona się zaokrągliły. Zgarbił się, jakby zapadł w ławę.

— Podobno miałaś ze mną rozmawiać - powiedział bełkotliwie. - A ty tylko siedzisz i gapisz się na mnie.

— Chcesz porozmawiać o sprawie? - spytała Nancy.

— Pieprzyć sprawę. O wszystkim, byle nie o niej.

— Więc o czym?

— Może o baseballu? - podpowiedział jej. - Kibicujesz

Metsom czy Jankesom?

— Szczerze mówiąc, nie interesuję się sportem.

— Ach tak...

— Bardzo mi przykro.

Przyglądała się przez okno światłom jachtu motorowego, przepływającego obok nich z prędkością portową, odwróciła głowę dopiero wtedy, kiedy znikły. Will siedział,

wpatrując się w obrus; bawił się kostkami lodu w drinku, wytwarzał palcem wir, a kiedy szklaneczka była już pusta, machał nią niezdarnie na młodą kelnerkę. Spróbował lepiej zobaczyć twarz Nancy, marszcząc czoło.

- Nie podoba ci się tu, prawda?

204

- Nieszczególnie.

Aż się skuliła, kiedy walnął nasadą dłoni w stół, za mocno i za głośno jak na to otoczenie.

— Podoba mi się twoja szczerłość - powiedział. Wziął w garść kilka orzeszków, pogryzł je, strzepał sól z zatłuszczonych palców. - Większości kobiet nie stać na szczerłość, a potem jest już za późno. - Prychnął, jakby powiedział właśnie coś szalenie zabawnego. - W porządku, partnerko, powiedz mi, co byś robiła, gdybyś nie musiała się mną opiekować?

— Nie wiem... pomagała przy kolacji, czytała, słuchała muzyki. Nie jestem kimś szczególnie interesującym.

— Co czytujesz?

- Lubię biografie. Powieści.

Spróbował udąć zainteresowanie.

- Kiedyś dużo czytałem. Teraz przeważnie oglądam telewizję i pik- Wiesz, kim przez to jestem?

Nie wiedziała.

- Człowiekiem! - krzyknął Will. Zarechotał. - Choler nym homo sapiens dwudziestego pierwszego wieku.

Wrzucił do ust kolejną garść orzechów, wyzywająco skrzyżował ramiona na piersiach skrzywił wargi w głupawym uśmiešku. Kamienna twarz Nancy nie budziła wątpliwości: posuwał się za daleko, ale w tym momencie nic go to nie obchodziło. Upijał się, było mu z tym dobrze i tym gorzej dla niej, jeśli jej się to nie podoba.



Kelnerka nosiła na szyi mały złoty krzyżyk, kołyszący się nisko między interesującymi piersiami. Łypnął na nią pożądlawie.

— Hej, chcesz pojechać do mnie na telewizję i drinka?

Nancy miała dość.

— Przepraszam i poprosimy o rachunek - powiedziała do

205

umykającej w panice kelnerki. - Will, wychodzimy - poleciła. - Powinieneś wrócić do domu.

- Czyżbym nie to właśnie sugerował? -| spytał groźnym głosem.

W kieszeni zagrała mu Oda do radości. Niezdarnie macał marynarkę, aż wreszcie udało mu się wyciągnąć telefon. Zmrużył oczy. Odczytał na wyświetlaczu, kto dzwoni.

- Cholera. Chyba nie powinienem rozmawiać z nią w tej chwili. - Wręczył telefon Nancy. - To Helen Swisher - szepnął, jakby rozmówczyni już mogła go słyszeć.

Nancy przyjęła rozmowę.

- Halo, tu numer Willa Pipera.

Will zsunął się z ławy i zataczając się, poszedł do toalety. Nim wrócił, Nancy zdążyła zapłacić rachunek. Czekala na niego przy stoliku. Uznała, że nie jest zbyt pijany, by usłyszeć wiadomość.

— Helen Swisher właśnie dostała z banku listę klientów Davida. A jednak miał związki z Las Vegas.

— Tak?

— W dwa tysiące trzecim roku prowadził finanse firmy z Nevady. Desert Life Insurance. Jego klientem był prezes zarządu firmy, Nelson Elder.

Will wyglądał jak człowiek próbujący utrzymać równowagę na pokładzie łodzi miotanej przez sztormowe fale. Zachwiał się niepewnie i głośno oznajmił:

— W porządku, więc wynoszę się stąd, pogadam z panem Elderem i złapię tego cholernego mordercę. Jak ci się podoba ten plan?

— Daj mi kluczyki!

Gniew Nancy przedarł się przez opary alkoholu.

- Nie złość się na mnie - poprosił. - Jestem twoim partnerem.

206

Zaraz po wyjściu ich zmysły zaatakowały ciepłe powiewy wiatru niosącego zapach soli i cierpki zapach odpływu. W normalnej sytuacji te dwie wonie szybko wprawiłyby Nancy w nastrój marzycielskiej bez troski, ale dziś miała wrażenie, jakby znalazła się w bardzo nieprzyjemnym miejscu. Will przesuwiał się obok niej krok za chwiejnym krokiem, niczym potwór Frankensteina, bełkocząc pod nosem: "Przed nami Las Vegas, kochanie, przed nami Las Vegas".

17 września 782 Vectis, Brytania

Nadeszły żniwa, zapewne ulubiona pora roku Josephusa: dni przyjemnie ciepłe, noce chłodne i rześkie, powietrze wypełnione zapachem świeżo skoszonych sierpami pszenicy i jęczmienia. Dziękował Bogu za obfite plony zebrane z pól otaczających opactwo. Dzięki nim bracia będą mogli wypełnić straszące pustką spichlerze i nalać świeżego piwa w czekające już na nie dębowe beczki. Nienawidzący grzechu obżarstwa Josephus nie znosił racjonowania piwa, którego zawsze zaczynało brakować w środku lata.

Przebudowa kościoła z drewnianego na kamienny zakończyła się przed trzema laty. Kwadratowa, zwężająca się ku górze wieża wznosiła się tak wysoko, że zbliżające się do wyspy łodzie i statki używały jej jako wygodnego punktu nawigacyjnego. Wybite w ścianie prostokątnego chóru okienka przepięknie oświetlały wnętrze podczas kolejno odprawianych w ciągu dnia nabożeństw. Długa nawa więcej niż wystarczała żyjącym dziś w opactwie zakonnikom, a mogła spokojnie pomieścić także pokolenia

szukał wybaczenia i odprawiał pokutę za grzech dumy rozpierający go na myśl, jak wielką rolę odegrał podczas budowy. Wprawdzie o świecie wiedział niewiele, lecz mimo to głęboko wierzył, że kościół opactwa Vectis dorównuje wielkim katedrom chrześcijaństwa.

W tej chwili mularze pracowali ciężko przy ukończeniu kapitularza. W porozumieniu z Oswynem postanowili, że następne rozpoczną się prace przy scriptorium i że zostanie ono znacznie rozbudowane. Powstające w jego murach Biblie, zbiory reguł i Listy św. Piotra, pisane złotym atramentem, były szczególnie cenione i podobno docierały nawet do Eire, Italii i kraju Franków.

Był ranek, zbliżała się trzecia godzina. Josephus szedł właśnie od lawatarium do refektarza na kawałek ciemnego chleba z baraniną i solą oraz dzban piwa. Czuł, że burczy mu w spragnionym pożywienia żołądku, tym bardziej spragnionym, że Oswyn wprowadził zwyczaj jedzenia tylko raz dziennie. Post miał wzmocnić ducha kongregacji przez osłabienie pożądania ciała. Po długim okresie medytacji i postu, na który stary, kruchy opat zaledwie mógł sobie pozwolić, oznajmił on swe postanowienia wszystkim braciom, którzy posłusznie zgromadzili się w kapitularzu na jego wezwanie.

- Będziemy zadowalali nasze ciała rzadziej i gorzej -  
powiedział.

I tak wszyscy stracili na wadze.

Nagle Josephus usłyszał swe imię. Guthlac, potężnie zbudowany, szorstki mężczyzna, który był żołnierzem, nim został zakonnikiem, biegł ku niemu, a jego sandały stukwały na ubitej ziemi dróżki.

— Ojciec przeorze, kamieniarz Ubertus czeka przy bramie -  
oznajmił. - Chce z tobą rozmawiać, natychmiast.

— Idę posilić się do refektarza - zaprotestował Josephus. -  
Czy nie sądzisz, że może poczekać?

— Powiedział, że to pilne. - Z tymi słowami Guthlac wyprzedził go na ścieżce. Najwyraźniej on też się spieszył.

— A ty dokąd?! - zawołał za nim Josephus.

- Do refektarza, ojcie przeorze. Jestem głodny.

Ubertus wszedł na teren klasztoru. Stał przy wejściu do hospicjum, domu dla gości i wędrowców, niskiego drewnianego budynku wyposażonego w rzędy prostych prycz, nieruchomy, jak wrośnięty w ziemię. Z dalszej odległości wydawało się, że jest sam, ale kiedy Josephus podszedł bliżej, zobaczył, że za jego plecami kryje się dziecko; między potężnymi nogami kamieniarza widać było dwie chude, krótkie nóżki.

— W czym mogę ci pomóc, Ubertusie?

— Przeprowadziłem go.

Josephus zrobił zdziwioną minę. Ubertus wywłócił zza pleców syna, bosego chłopca, drobnego, chudego jak szkielet, z szopą ognistorudych włosów. Przez brudną, podartą koszulinę widać było chudą pierś i każde żebro. Dzieciak ubrany był w za długie, darowane portki, do których jeszcze nie dorósł. Delikatną skórę miał białą jak pergamin, oczy zielone niczym drogie kamienie, a twarz nieruchomą jak głązy, które obrabiał jego ojciec. Poblądłe jasnoróżowe wargi zaciskał tak mocno, że jego broda wydawała się nienaturalnie stercząca i pomarszczona.

Josephus wiele słyszał o chłopcu, ale nie widział go od dnia urodzin i teraz, gdy patrzył na niego, poczuł się wytracony z równowagi. Zaniepokojony. Z całej sylwetki dziecka biło chłodne szaleństwo, przecucie, że to drobne, nieukształtowane jeszcze życie nie zostało pobłogosławione ciepłem i miłością Boga. W noc narodzin Ubertus nadał mu imię Octavus, ósmy; jego życie miało być pobłogosławione przeciętnością, inaczej niż bliźniaczego brata, ohydy, którego należało zgładzić, czyż nie tak? Bo przecież ósmy syn siódmego syna jest zwykłym,

normalnym kolejnym synem, nawet jeśli urodził się siódmego dnia siódmego miesiąca 777 roku od narodzin Pana. Ubertus modlił się o to, by dorósł silny i pracowity, kamieniarz jak jego ojciec i bracia.

— Dlaczego przyprowadziłeś go do opactwa? - spytał Josephus.

— Chcę, żebyś go wziął.

— Dlaczego miałbym wziąć twojego syna?

— Bo ja nie mogę go zatrzymać.

— Przecież masz córki, żeby się nim opiekowały. Masz co postawić na stole.

— On potrzebuje Chrystusa. Chrystus jest tutaj.

— Chrystus jest wszędzie, bracie.

- Ale nigdzie bardziej niż tu, ojczyźnie.

Chłopiec opadł na kolana, kościstym palcem dotknął ziemi.

Poruszył nim, zaczął rysować małe kółka, tworzyć wzór, ale ojciec chwycił go za włosy i szarpnięciem poderwał na nogi. Mały drgnął wówczas, lecz nie wydał dźwięku, mimo że szarpnięcie było bardzo gwałtowne.

- On potrzebuje Chrystusa - powtórzył kamieniarz z naciskiem. - Chcę, by poświęcił życie Panu.

Josephus słyszał plotki. Octavus miał być dziwny, niemy, na pozór cały pogrążony we własnym świecie, nieinteresujący się zupełnie braćmi, siostrami i innymi dziećmi. Karmiono go piersią, lecz ssał źle i nawet teraz, choć miał już pięć lat, jadł niewiele i bez apetytu. W głębi serca wcale nie dziwiło go, że dziecko okazało się właśnie takie. W końcu był przy jego niezwykłych narodzinach.

Opactwo regularnie przyjmowało dzieci, choć nie zachęcało do ich oddawania, jako że wyczerpywało to środki i odciągało siostry od ich religijnych obowiązków.

Wieśniacy szczególnie chętnie zostawiali pod bramami nieszczęsne istoty chore fizycz-

nie lub umyślowo. Gdyby zależało to od siostry Magdaleny, żadne z nich nie zostałyby przyjęte, ale Josephus miał pokłady współczucia dla tych najbardziej nieszczęśliwych z ziemskich stworzeń. Ale to... to było zdecydowanie niepokojące.

- Chłopcze, potrafisz mówić?

Octavus zignorował go; wpatrywał się w ziemię i wzór, który na niej nakreślił.

— On nie potrafi mówić - odpowiedział za niego ojciec.

Josephus wyciągnął rękę i delikatnie unióśł głowę chłopca.

— Jesteś głodny?

Ciemne oczy odwróciły się od niego obojętnie.

- Słyszałeś o Chrystusie, twym Zbawicielu?

Josephus nie odbierał żadnej, choćby najbardziej nieuchwytniej oznaki zrozumienia.

Błada twarz kamieniarczyka była tabula rasa, czysta tablica bez śladu pisma.

- Czy przyjmiecie go, ojczyźnie? - spytał Ubertus  
błagalnie.

Zakonnik cofnął dłoń. Chłopiec natychmiast upadł na kolana i powrócił do kreślenia na ziemi znaków brudnym palcem. Po pięknej, rzeźbionej twarzy Ubertusa płynęły łzy.

- Czy go przyjmiecie? Proszę... błagam...

Siostra Magdalena była kobietą twardą, jeszcze nikomu nie udało się zobaczyć na jej ustach uśmiechu, nawet kiedy grała swą niebiańską muzykę na psalterium.

Wkroczyła w piątą dekadę życia, z którego połowę przeżyła w habicie za murem klasztornym. Pod woalem, grubym, siwym, oplecionym wokół głowy warkoczem oraz habitem kryła dziewicze ciało tak twarde i odporne jak skorupa orzecha.

Ambicja nie była uczuciem całkiem jej nieznanym, wiedziała też doskonale, że reguła św.

Benedykta pozwala kobiecie osiągnąć stanowisko przełożonej opactwa, ksieni, jeśli taka jest wola biskupa, a ona, jako przełożona sióstr w Vectis, nie była pozbawiona szans. Niestety, Aetia, biskup Dorchester, gdy odwiedzał opactwo na Boże Narodzenie i Wielkanoc, zaledwie ją dostrzegł. Była przy tym pewna, że jej najzupełniej prywatne rozważania o tym, jak można poprowadzić opactwo lepiej i sprawniej nie są manifestacją próżności, a tylko chęci, by było ono sprawniej zarządzane i duchowo czystsze. Często informowała Oswyna o swoich podejrzeniach dotyczących marnotrawstwa, rozrzutności, braku umiarkowania, nawet rozwiązłości, a on słuchał jej cierpliwie, wzdychał cicho i przedstawiał sprawę Josephu-sowi. Był człowiekiem obłożnie chorym, kalekim, kręgosłup dręczył go nieznośnym bólem. Skargi siostry Magdaleny pewnej, że piwo znika zbyt szybko, a jej dziewicze podopieczne obrzucane są lubieżnymi spojrzeniami, tylko zwiększały jego cierpienie. Tego rodzaju światowe sprawy zostawiał przeorowi, a sam koncentrował się na służbie Bogu i marzeniu, by uczcić Go przebudową opactwa tak, by zakończyła się ona jeszcze za jego życia.

Siostra znana była ze swej niechęci do dzieci. Obrzydliwe szczegóły ich poczęcia kłopotowały ją, a proces ten uważała za nieprzyjemną konieczność. Gardziła Josephusem za to, że oferuje im schronienie w opactwie, zwłaszcza tym bardzo młodym i kalekim. W tej chwili opiekowała się dziewięciorgiem w wieku poniżej dziesięciu lat, i po raz kolejny stwierdziła, że większość z nich nie zarabia na swoje utrzymanie. Na jej polecenie dzieci traktowane były surowo: nosiły wodę i drewno na opał, myły naczynia kuchenne, wypychały materace świeżą słomą, co zapobiegało rozmnożeniu się wszy. Religijne studia czekały je w przyszłości, teraz, takie małe, wymagały, jej zdaniem, kształtowania umysłów codzienną prostą, ciężką pracą.

213

Octavus, ostatnia pomyłka Josephusa, doprowadził ją do furii. Nie potrafił wykonać najprostszych poleceń. Nie wylewał nocnika, nie podrzucał drewna pod kuchenne palenisko. Wieczorem trzeba było siłą kłaść go do łóżka, rano nie wstawał z innymi, jeśli nie zwleczono go z pryczy. Dzieci kpiły z niego i obrzucały wyzwiskami.

Początkowo siostra Magdalena miała chłopca za złośliwego, a jego przewinienia za rozmyślne i stosowała chłostę, ale zmęczyła się szybko, bo kary cielesne okazały się nieskuteczne, nie wyrwały nawet z jego ust satysfakcjonującego jęku lub krzyku. Kiedy kończyła, Octavus nieodmiennie brał jej różgę ze stosu i zaczynał rysować wzory na klepisku kuchni.

Teraz, kiedy jesień powoli ustępowała miejsca zimie, siostra Magdalena całkowicie go ignorowała. Po prostu pozostawiała samemu sobie. Na szczęście jadł jak ptaszek, nie uszczuplał więc przesadnie zawsze skąpych zapasów.

Był zimny grudniowy poranek, gdy Josephus wychodził ze scriporium na mszę świętą. Pierwsza zimowa burza przeszła tej nocy nad wyspą, pozostawiając po sobie warstwę leżącego na ziemi śniegu, w promieniach słońca tak jaskrawobiałą, że aż raniła oczy. Energicznie zatarł marznące dłonie, przestąpił szybko z nogi na nogę, bo powoli tracił czucie w palcach nóg.

Octavus kucnął przy ścieżce, w lekkim ubraniu i bosy. Josephus często spotykał chłopca na terenie opactwa. Na ogół zatrzymywał się wówczas, kładł mu rękę na ramieniu, odmawiał krótką modlitwę, prosząc Boga, by uzdrowił go z jego choroby, czymkolwiek była, po czym odchodził zajęty swoimi sprawami. Dziś jednak przystanął, przestraszył się, że dzieciak w tym stroju może zamarznąć. Rozejrzał się dooko-

214

ła, szukając wzrokiem sióstr. Żadnej z nich nie było akurat w pobliżu.

- Octavusie! - powiedział głośno. - Skryj się gdzieś.

Nie powinieneś chodzić na bosaka. Spadł śnieg.

Chłopiec trzymał w dłoni patyk i jak zwykle rysował nim wzory, lecz tym razem na jego twarzy widać było cień podniecenia. Miał do dyspozycji wielką, idealnie białą płaszczyznę; mnóstwo miejsca na rysunki.

Przeor stał nad nim i już miał go podnieść, gdy znieruchomiał nagle i aż westchnął ze zdumienia.

Przecież to niemożliwe.



Oślonił oczy od blasku, spojrzął i zyskał potwierdzenie swych pierwotnych podejrzeń.

Odwrócił się i pobiegł z powrotem do scriptorium. Chwilę później pojawił się znowu, ale tym razem nie sam. Włókł za sobą Paulinusa. Chudy zakonnik protestował gwałtownie i próbował wyrwać mu rękaw.

— O co ci chodzi?! - krzyczał. - Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, o co ci chodzi!

— Popatrz - powiedział Josephus. - I powiedz mi, co widzisz.

Octavus niezmordowanie kreślił wzory. Obaj pochylili się nad nim, przyjrzeni uważnie jego dziełu.

— Przecież to niemożliwe - syknął Paulinus.

— A jednak się stało - odparł Josephus.

Na śniegu widniały litery. Bez wątpienia litery.

g./-C-B-L-R-T O-F T-/-S

— Sigbert of Tis?

— Jeszcze nie skończył - zauważył podniecony Josephus. - Popatrz: Sigbert of Tisbury.

215

— Jakim cudem chłopiec pisze? - Paulinus był biały jak zaścielający ziemię śnieg i zbyt przerażony, by drzeć.

— Nie wiem - przyznał Josephus. - Nikt z wioski nie umie ani czytać, ani pisać, a wiem na pewno, że siostry też go nie uczyły. Uważają chłopca za upośledzonego.

Octavus kreślił dalej.

78 72 782

— Mój Boże! - Paulinus przeżegnał się szybko. - On umie też pisać liczby! Osiemnasty dzień dwunastego miesiąca siedemset osiemdziesiątego drugiego roku. To przecież dzisiaj!

— Natus - szepnął przeor. - Narodzony.

Paulinus zdeptał napisy na śniegu, zamazał litery i cyfry.

- Bierz go i chodźmy - polecił.

Poczekali, aż mnisi wyszli, udając się do kościoła, a potem posadzili chłopca na jednym ze stołów. Dali mu kartę pergaminu i pióro. Natychmiast zaczął drapać nim po karcie obojętny, jakby nic go nie obchodziło, że nie zostawia znaków.

- Nie! -zaprotestował skryba. - Czekaj. Przyjrzyj się! -

Odebrał Octavusowi pióro, zamoczył je w ceramicznym dzbanku inkaustu i oddał. Dzieciak wrócił do pracy, ale tym razem jego wysiłki były widoczne. Zauważył pojawiające się obok siebie litery i z głębi jego gardła wydobyło się niewyraźne chrząknięcie. Po raz pierwszy wydał jakiś dźwięk.

ofi

78 72 728

— I znowu data - szepnął Paulinus. - Dzisiejsza. Ale tym razem napisał Mors. Umarł.

— Przecież to czarodziejstwo -jęknął rozpaczliwie przeor.

Cofał się, aż nie oparł się o sąsiedni stół.

216

Inkaust wysechł. Paulinus poprowadził dłoń chłopca, pomógł mu znów zamoczyć pióro. Niewzruszony Octavus pisał dalej, ale teraz to, co pisał, wydawało się nie mieć sensu.

72 782

Obaj zakonnicy niemal jednocześnie potrząsnęli głowami.

- To nie są normalne litery, ale znów mamy datę - zauważył Paulinus.

Josephus oprzytomniał nagle. Uświadomił sobie, że spóźni się na mszę, a był to grzech niewyobrażalny.

- Schowaj inkaust i papier, zostaw chłopca gdzieś w kącie i chodź... musimy pospieszać do świątyni. W modłach zanieśmy prośbę do Boga, by pomógł nam zrozumieć, co widzieliśmy, i błaganie, by oczyścił nas ze zła.

Tej nocy Josephus i Paulinus spotkali się w zimnym browarze. Światła dostarczała im gruba świeca. Josephus odczuwał głęboką potrzebę skorzystania z zapasów piwa, mającego cudowną właściwość kojenia nerwów i uspokajania żołądka, a Paulinus nie miał nic przeciwko temu, by jego stary przyjaciel mógł zaspokoić ją bez przeszkód. Siedzieli na stołkach tak blisko siebie, że ich kolana niemal się stykały.

Josephus uważał się za człowieka prostego, zdolnego pojąć tylko, czym jest miłość boża i nauczyć się reguł świętego Benedykta z Nursji, według których powinni żyć wszyscy boży ludzie. Lecz rozumiał przy tym, że Paulinus potrafi myśleć szybko i celnie, że posiadał wielką wiedzę i zna wiele tekstów dotyczących nieba i ziemi. Jeśli ktoś umiał wyjaśnić to, czego byli świadkami, to tylko on.

A jednak nie potrafił udzielić wyjaśnień, za to przedstawił plan pewnej misji i obaj dyskutowali teraz, jak najlepiej ją przeprowadzić. Zgodzili się zatrzymać sekret chłopca dla siebie,

217

bo jaki jest sens niepokoić społeczność, póki nie objawi się prawda o wydarzeniach. Josephus dopił piwo, Paulinus sięgnął po świecę. Nim ją zgasił, powiedział wreszcie głośno coś, co gnębiło go od dawna.

- Wiesz, w przypadku bliźniąt nie sposób powiedzieć, czy siódmy urodzony przez kobietę syn jest bez wątpienia siódmym synem stworzonym przez Boga.

Ubertus jechał przez wiejską okolicę Wessex w misji, którą nałożył na niego przeor Josephus. Nie uważał się za człowieka powołanego do jej wypełnienia, ale był dłużnikiem przeora i nie mógł mu odmówić.

Ciepło ciężkiego, spoconego ciała zwierzęcia, którego boki obejmował mocarnymi

nogami, chroniło go do pewnego stopnia przed chłodem, a była już połowa grudnia. Ubertus nie był wprawnym jeźdźcem, kamieniarze przyzwyczajeni byli raczej do powolnych wołów ciągnących ciężkie wozy. Kurczowo ścisnął wodze, wbijał kolana w boki wierzchowca i ze wszystkich sił starał się utrzymać na jego grzbiecie. Koń był zdrowy, dzielny; opactwo utrzymywało na stałym łądzie stajnię na taką właśnie okazję, jaka nadarzyła się teraz.

Prom przewiózł Ubertusa z kamienistej plaży Vectis na wybrzeże Wessex, pamiętał otrzymane od przeora instrukcje: ma się spieszyć, powrócić w ciągu dwóch dni, a to oznaczało galop.

Nadchodził wieczór, niebo przybrało stalowoszarą barwę, podobne w tym do skał nabrzeżnych niskich klifów. Ubertus pędził przez mroźną krainę leżących odłogiem pól, niskich kamiennych murków i małych wiosek podobnych do tej, w której sam mieszkał. Od czasu do czasu mijał apatycznych

218

wieśniaków, wlokących się pieszo lub, niewiele szybciej, na letargicznych mułach. Miał strzec się złodziei, lecz co mogli mu ukraść oprócz konia, na którym jechał, i kilku drobnych monet otrzymanych od Josephusa na koszty podróży?

Do Tisbury dotarł tuż przed zachodem słońca. Było to dobrze prosperujące miasto, w którym stało kilka dużych domów zrobionych z drewnianych bali i mnóstwo domków stojących po obu stronach szerokiej ulicy. Pośrodku, na wysepce zielonej trawy, pasły się stłoczone owce. Ubertus minął mały drewniany kościółek, samotną budowlę, umieszczoną na granicy maleńkiego pastwiska. Za nim znajdował się niewielki cmentarz ze śladami niedawno odbytego pogrzebu. Przeżegnał się szybko. Powietrze wypełniał dym z palenisk; zapach przypiekanego na węglach mięsa i płonącego tłuszczu natychmiast odwrócił jego myśli od świeżego grobu.

Kończył się dzień targowy. Na rynku nadal stały kramy i wozy sprzedawców, którzy w tej chwili siedzieli w tawernie, pijąc i grając w kości. Ubertus zsiadł z konia przy prowadzącym do niej wejściu; natychmiast podbiegł do niego chłopak z propozycją zaopiekowania się zwierzęciem. Jedna z monet przeora Josephusa zapewniła koniowi

nawet wiadro owsa i wodę z koryta.

Po wejściu do tawerny zmysły kamieniarza zaatakował hałas pijanych głosów oraz smród zwiertzałego piwa, spoconych ciał i uryny. Przystanął na chwilę przy palenisku, na którym płonął torf, rozgrzał zdrętwiałe ręce i donośnym głosem, z bardzo wyraźnym włoskim akcentem, zawołał o dzban wina. Mieszkańcy targowego Tisbury byli przyzwyczajeni do obcych, przyjęli więc go z przyjacielskim zainteresowaniem. Grupa mężczyzn zaprosiła go do swego stołu. Rozpoczęła się chaotyczna rozmowa o tym, skąd przybywa i jaki los przygnał do właśnie tutaj.

219

W niespełna trzy godziny Uberus zdołał wlać w siebie trzy dzbany wina i dowiedzieć się wszystkiego, czego chciał.

Siostra Magdalena przemierzała na ogół tereny opactwa odmierzoną, dostojnym krokiem, nie za wolno, by nikt nie mógł jej podejrzewać o marnowanie czasu, ale i nie za szybko, by nie tworzyć niebezpiecznego przekonania, że coś na tym świecie może być ważniejsze od kontemplacji Boga. Dziś jednak biegła, ściskając coś w zaciśniętej pięści. Kilka dni cieplejszej pogody sprawiło, że śniegu pozostały tylko skrawki, a ścieżki, wydeptane wieloma stopami, nie były już niebezpiecznie śliskie. Jospheus i Paulinus siedzieli w scriptorium i milczeli. Oddalili kopistów, by móc spotkać się prywatnie z Ubertusem, który wrócił ze zleczonej mu wyprawy zmarznięty i wyczerpany. Ale w tej chwili już go w scriptorium nie było. Odesłali go do wioski z poważnymi, wręcz ponurymi podziękowaniami i błogosławieństwem.

Przywiózł wiadomość równie prostą jak zastanawiającą.

Osiemnastego dnia miesiąca grudnia, trzy dni wcześniej, w mieście Tisbury garbarzowi Wuffie i jego żonie Eanfild urodziło się dziecko.

Dziecko to otrzymało imię Sigbert.

Choć nigdy by się do tego nie przyznali, informacja ta nimi nie wstrząsnęła. Na pół spodziewali się usłyszeć właśnie to, nic innego, jako że trudno doprawdy o coś bardziej fantastycznego niż okoliczności narodzin syna martwej matki, który, choć nieuczony, potrafi pisać imiona i daty.

Gdy tylko Ubertus wyszedł, Paulinus zwrócił się do Jose-phusa:

220

— Chłopiec jest siódmym synem, co do tego nie może być żadnych wątpliwości. Ma potężną moc.

— Czy obróci się ona na dobre, czy też na złe? - spytał Josephus.

Uczony mnich spojrział na przyjaciela, wydymając wargi. Nie odpowiedział.

Siostra Magdalena wpadła do scriptorium bez ostrzeżenia. Z trzaskiem zamknęła drzwi.

- Brat Otton powiedział mi, że tu jesteście - wysapała.

Zakonnicy wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— Rzeczywiście, jesteśmy, siostró - powiedział łagodnie

Josephus. - Czyżby coś cię zaniepokoiło?

— Owszem! - siostra Magdalena wyciągnęła dłoń. Ścisnęła w niej zwitek pergaminu. - Jedna z moich sióstr znalazła to w dziecięcym dormitorium, pod siennikiem Octavusa. Okradł scriptorium, bez wątpienia. Możecie to potwierdzić?

Josephus rozwinął zwój. Obaj z Paulinusem przyjrzeni mu się uważnie.

D(atba XaUa 21 12 782 JYatut

^jLuiiUi. <L JYafioti 21 12 782 JYatut

CHMeOH 21 12 782 <=Afatui

21 12 782 J\Aox±

<L ylAadilct 21 12 782

Przeor podniósł wzrok znad pierwszej strony, zapisanej wąskim pismem Octavusa.

— To po hebrajsku - szepnął skryba, pokazując palcem odpowiedni zapis. - Ale tego linijkę wyżej nie poznaję.

— I co? - niecierpliwiła się Magdalena. - Możecie po twierdzić, że chłopiec to ukradł?

— Usiądź, siostró. - Josephus ciężko westchnął.

— Nie mam ochoty siadać, bracie przeorze. Chcę tylko poznać prawdę, a potem surowo ukarać winnego.

— Proszę, żebyś usiadła.

Zakonnica niechętnie przysiadła na jednej z ławek.

— Karty zostały bez żadnych wątpliwości skradzione - zaczął wyjaśnienia Josephus.

— Niegodziwy, podły chłopiec! Ale ten tekst? Taka dziwna lista.

— Zawiera imiona - przyznał przeor.

— W więcej niż jednym języku - dorzucił Paulinus.

— Ale dlaczego? I dlaczego jest tam Oswyn?

— Oswyn? - zdziwił się Josephus.

— Na drugiej stronie. Drugiej stronie! - powiedziała z naciskiem zakonnica.

Josephus spojrział na kolejną kartę.

(Di

","

2) 12 7S2 J\{o%i

Podniósł głowę. Był straszliwie blady.

- Mój Boże - westchnął.

Paulinus wstał i odwrócił się, próbując ukryć niepokój.

— Który z braci to pisał? - spytała Magdalena ostrym tonem.

— Żaden z braci - przyznał Josephus.

— A więc kto?

— Chłopiec. Octavus.

Josephus próbował liczyć, ile razy siostra przeżegnała się podczas wyjaśnień, których udzielał jej wraz z Paulinusem, ale szybko stracił rachunek. Opowiedzieli, co było im wiadome o Octavusie i jego cudownym talencie. Wreszcie, kiedy skończyli i nie zostało nic więcej do dodania, wymienili pełne niepokoju spojrzenia.

222

— Z pewnością to dzieło szatana - orzekła siostra Magdalena, przerywając ciszę.

— Istnieje inne wytłumaczenie - zauważył Paulinus.

— Jakie, jeśli wolno wiedzieć?

— Że jest to dzieło Boga. - Uczony mnich bardzo ostrożnie dobierał słowa. - Z pewnością możemy powiedzieć, że to Pan wybiera czas, kiedy dziecko ma się pojawić na tym świecie, i czas, kiedy przyzywa je na swoje łono. On wie wszystko. Wie, kiedy prosty człowiek przywołuje go w modlitwie i kiedy wróbel spada z nieba. Ten chłopiec, tak niepodobny do wszystkich innych chłopców przez sposób narodzenia i sam swój wygląd... skąd mamy wiedzieć, że nie jest narzędziem Pana spisującym, kiedy przychodzą... i kiedy odchodzą jego sługi?

— Przecież może być siódmym synem siódmego syna - syknęła Magdalena.

— Owszem, znamy przesady związane z tą istotą, lecz czy ktoś z nas spotkał kiedyś kogoś takiego? I kto z nas spotkał kiedyś kogoś urodzonego siódmego dnia siódmego miesiąca roku siedemset siedemdziesiątego siódmego? Nie wolno nam zakładać, że moce kogoś takiego mają służyć złym celom?

— Przynajmniej ja nie widzę żadnych złych konsekwencji



mocy tego chłopca - powiedział Josephus, a w jego głosie brzmiała nadzieja.

Zachowanie siostry Magdaleny zmieniło się gwałtownie; jeszcze przed chwilą bała się, teraz była już tylko zagniewana.

- Jeśli to, co mówicie, jest prawdą, wiemy, że nasz ukochany opat umrze dzisiaj. Modłę się do Pana, by do tego nie doszło. Jak możecie twierdzić, że nie jest to złe? - Wstała, chwyciła karty. - Nie dopuszczę do utrzymywania sekretów przed opatem. Musi się o tym dowiedzieć. On i tylko on zdecyduje o dalszych losach chłopca.

223

Była zdeterminowana, i ani Josephus, ani Paulinus nie mieli ochoty odwozić jej od zrobienia tego, co sobie postanowiła.

We trójkę udali się do opata po nonie, nabożeństwie popołudniowym, i wraz z nim przeszli do jego pokoi w kapitularku. Tam, w błędnym świetle zimowego wieczoru, przy przygasających w palenisku węglach, opowiedzieli mu swą historię, wpatrując się w jego napiętą, wynędzniałą twarz, którą wada kręgosłupa ściągała w dół, w stronę stołu.

Opat wysłuchał ich uważnie. Przystudiował zapisane karty, nieco dłużej zatrzymał się przy swoim imieniu. Zadawał pytania, rozważał odpowiedzi. Po czym uderzył pięścią w stół, wyraźnie tym zaznaczając, że czas rozmów właśnie się skończył.

- Nie widzę - oznajmił - co dobrego mogłoby z tego wynikać. - W najgorszym wypadku miesza się tu ręka szatana. W najlepszym mamy do czynienia z poważnym zakłóceniem religijnego życia wspólnoty. Zgromadziliśmy się po to, by chwalić Boga całym sercem, ze wszystkich sił. Chłopiec

odwraca naszą uwagę od pełnionej tu misji. Musicie go oddalić.

Siostrze Magdalenie nie do końca udało się ukryć satysfakcję. Josephus odchrząknął.

Gardło miał suche.

— Ojciec nie przyjmie go z powrotem - powiedział. -

On nie ma dokąd iść.

— To już nie nasz problem - stwierdził opat. - Odeślijcie

go-

— Jest zimno - nalegał Josephus. - Chłopiec nie przeżyje

nocy.

— Bóg się o niego zatroszczy i zdecyduje o jego losie.

A teraz odejdźcie i pozwólcie mi kontemplować mój własny.

224

To Josephus musiał oddalić chłopca. Zawsze posłuszny, po kolacji wziął go za rękę i odprowadził do frontowej bramy opactwa. Miła młoda siostra dała małemu ciepłe skarpety, drugą koszulę i mały płaszcz. Ostry wiatr znad morza dodatkowo obniżał temperaturę. Był mróz.

Josephus otworzył bramę, mroźny wiatr uderzył w nich z wielką siłą. Delikatnie pchnął chłopca.

- Musisz nas opuścić, Octavusie, lecz nie obawiaj się. Bóg będzie czuwał nad tobą.

Octavus nie odwrócił się, nie spojrzął za siebie. Patrzył w czarną pustkę nocy nieruchomym spojrzeniem bez wyrazu. Serce przeora łamało to, że musiał potraktować stworzenie boże surowo, tak surowo, że zapewne skazywał je na śmierć z zimna. Zwłaszcza że nie była to przecież istota zwykła, lecz obdarzona niezwykłym darem, który, jeśli Paulinus miał rację, mógł pochodzić nie z piekielnych czeluści, lecz z królestwa niebios. Był jednak posłusznym sługą, przede wszystkim Boga, którego opinia w tej sprawie nie wydawała mu się jasna, a po drugie opata, którego opinia była jasna jak słońce.

Zadrżał i zamknął bramę.

Zabrzmiał dzwon na nieszpory. Kongregacja zgromadziła się w świątyni. Siostra

Magdalena tuliła lutnię do piersi i radowała się swym zwycięstwem nad Josephusem, którym pogardzała za jego miękkie serce.

Paulinus rozważał teologiczne aspekty daru Octavusa, próbując ocenić, czy jest on darem, czy przekleństwem. Myśli wirowały mu w głowie.

Oczy paliły Josephusa od słonych łez na wspomnienie małego dziecka, samotnego na mrozie, w ciemności, gdy jemu jest wygodnie i ciepło. Czuł się winny z tego powodu. Nie wątpił

225

jednak, że Oswym w jednym miał rację: chłopiec przeszkadzał mu w służbie i modlitwie.

Czekali na powolne, nierówne kroki opata, lecz nie mogli się ich doczekać. Josephus widział, jak bracia i siostry wymieniają spojrzenia i wiercą się zaniepokojeni.

Wszyscy znali jego niezwykłą punktualność.

Po kilku minutach zaniepokoił się także Josephus.

- Musimy sprawdzić, co z Oswynem - szepnął do Paulinusa.

Wstali, ruszyli w stronę wyjścia; wszystkie głowy obróciły się w ich kierunku. Po chwili świątynię wypełniły szepty; siostra Magdalena szybko się z nimi rozprawiła, podnosząc palec do ust i sycząc głośno.

Komnata Oswyna była zimna i ciemna, ogień, którego nikt nie podsyczał, już prawie wygasł. Opata znaleźli skulonego na łóżku, ubranego w liturgiczne szaty; jego ciało było tak zimne jak powietrze w pokoju. W prawej ręce ścisnął kartę, na której wypisane było jego imię.

- Litościwy Boże - krzyknął Josephus.

- Proroctwo... - wyszeptał Paulinus, opadając na kolana.

Obaj zakonnicy szybko odmówili modlitwę za duszę zmarłego i wstali z klęczek.

- Trzeba koniecznie poinformować biskupa - powiedział Paulinus.

Josephus skinał głową.

— Jutro z samego rana wyślę posłańca do Dorchester.

— A póki biskup nie zdecyduje inaczej, my dwaj rządząmy tym opactwem, przyjacielu.

Josephus uczynił znak krzyża, mocno uderzył się w piersi.

- Idź i powiedz o wszystkim siostrze Magdalenie. Poproś, by zaczęła nieszpory. Ja zaraz wrócę na nabożeństwo, ale najpierw muszę coś zrobić.

226

W ciemności podbiegł do bramy opactwa; nieprzyzwyczajony do wysiłku ciężko oddychał. Otworzył ją, zawiasy zgrzytnęły.

Nie dostrzegł chłopca. Ruszył przed siebie, głośno wykrzykując jego imię.

Wkrótce dostrzegł małą sylwetkę.

Octavus nie odszedł daleko. Siedział spokojnie na brzegu pola, niewrażliwy na zimno. Josephus podniósł go delikatnie, wziął na ręce i poszedł z powrotem.

- Możesz z nami zostać, chłopcze - powiedział. - Bóg chce, żebyś z nami został.

25 czerwca 2009 Las Vegas

Will zaczął flirtować na poziomie morza i w dobrej formie dotrwał do dziesięciu tysięcy. Stewardesa była w jego typie: wysoka, zgrabna dziewczyna o pełnych wargach i ciemnoblonde włosach, których pasemko opadało na oko, więc regularnie odrzucała je, machinalnie, wcale o tym nie myśląc. Nie trzeba mu było wiele czasu, by zaczął sobie wyobrażać, że to ona leży przy nim na łóżku naga i to on je odrzuca z jej twarzy. Poczul się odrobinę winny, kiedy Nancy wtargnęła w jego myśli, jak zwykle sztywna i poprawna. Kto jej pozwolił kłać jego niewinne marzenia? Postarał się zignorować ją i wrócił do stewardesy.

Na pokład wniósł broń, wypełniając wszystkie wymagania Agencji Bezpieczeństwa Lotniczego. Przywieziono go autobusem, wprowadzono pierwszego na pokład samolotu US Airways, posadzono na fotelu przy przejściu, na wysokości skrzydła.

Darła, stewardesa, z miejsca polubiła potężnie zbudowanego faceta w sportowej marynarce i spodniach khaki. Przyjęła wdzięczną pozę na fotelu naprzeciwko.

228

— Cześć, FBI - zaczęła. Tyle wiedziała dzięki procedurom bezpieczeństwa, przez które przechodziła.

— Cześć - powiedział Will.

— Napijesz się czegoś przed inwazją?

— Czyżbym czuł zapach kawy?

— Niech będzie kawa. Mamy dziś agenta bezpieczeństwa lotnictwa na miejscu siedem C, ale ty jesteś znacznie wyżej od niego.

— Chcesz mu powiedzieć, że z wami lecę?

— Już wie.

Później, kiedy podawano napoje, miał wrażenie, że ilekroć przechodziła obok, delikatnie ocierała się o jego plecy czy ramię. Być może tylko to sobie wyobrażam - pomyślał, zasypiając ukołysany niskim pomrukiem silników. A może nie?

Obudził się nagle, mile zdezorientowany. Aż po horyzont rozpościerały się zielone pola, co znaczyło, że lecą gdzieś nad środkową częścią kraju. Jakieś gniewne głosy dobiegały do niego z tyłu maszyny, tam gdzie znajdowały się toalety. Rozpiął pas, odwrócił się i zidentyfikował problem: trzech Brytyjczyków siedzących w jednym rzędzie, kumpli od kielicha, którym lager wyciekał już uszami. Dobrze się zaprawili, czekając na zabawę w Vegas. Czerwoni na twarzy wymachiwali rękami jak trzygłowy potwór nad głową kruchego stewarda, który odciął im dopływ piwa. Na oczach zaniepokojonych, odwracających głowy pasażerów, siedzący przy przejściu Angol, jeden wielki zwój napiętych mięśni i ścięgien, wstał, wyprostował się na pełną wysokość i patrząc wprost w oczy stewarda, krzyknął:

- Nie słyszałeś mojego kumpla? Chce kolejny pieprzony browar!

Darła natychmiast ruszyła przejściem na pomoc koledze; po drodze nie zapomniała

jednak nawiązać z Willem kontaktu wzrokowego. Agent z 7C siedział nieruchomo wpatrzony

229

w drzwi kabiny pilotów; standardowa procedura operacyjna opracowana na wypadek, gdyby była to próba dywersji. Był to młody chłopak, ze zdenerwowania blady jak upiór; całym sobą chłonał sytuację. Will pochylił się w stronę korytarza, przyjrzał mu się dokładniej. Pewnie jeszcze nigdy nie musiał interweniować - pomyślał.

I nagle rozległ się tępy, groźny stuk czaszki uderzającej w czaszkę; pocałunek z Glasgow.

- Chciałeś to masz, pieprzony sukinsynu! - krzyknął umięśniony Angol. - Chcesz jeszcze raz?

Will nie dostrzegł samego uderzenia, za to mógł obejrzeć jego skutki. Cios zadany czołem skaleczył stewarda i powalił na kolana, mężczyzna krzyknął z bólu. Na widok lejącej się krwi Darła wrzasnęła rozdzierająco.

Agent i Will wstali jednocześnie i - poruszając się jak jeden mąż - rozpoczęli działania niczym członkowie drużyny od dawna ćwiczący akcje zespołowe. Chłopak stanął w przejściu, wyciągnął dłoń i krzyknął:

- Agenci federalni! Usiądź i połóż ręce na fotelu przed sobą.

Will wyjął z kieszeni legitymację. Szedł powoli ku tyłowi samolotu, trzymając ją nad głową.

- Co jest, kurwa!?! - krzyknął na jego widok Angol. -

Mamy wolne! Chcemy się tylko zabawić, koleś.

Darła pomogła zakrwawionemu koledze wstać. Poprowadziła go do przodu samolotu, przeciskając się obok Willa, który wykorzystał okazję, by mrugnięciem dodać jej odwagi. Zatrzymał się pięć rzędów przed wesołymi Anglikami.

- Proszę zająć miejsce. Natychmiast - powiedział powoli, spokojnie. - Ręce na głowę. Jesteś aresztowany. Wolne właśnie

ci się skończyło. - I ostro, dla podkreślenia, zakończył:

"Koleś".

230

Przyjaciele próbowali go uspokoić i usadzić, ale wojowniczy Angol nie chciał się poddać, zapędzony w róg płakał z wściekłości i strachu, a na jego szyi wystąpiły fioletowe żyły.

- Nie usiądę! - wrzeszczał. - Za nic!

Will schował legitymację i wyciągnął z kabury pistolet, przy okazji upewniając się, że jest zabezpieczony. Przeraził pasażerów; gruba baba i dziecko zaczęli płakać, jedno basem, drugie cienko, i to zapoczątkowało w kabinie reakcję łańcuchową. Spróbował zetrzeć z twarzy wspomnienie o drzemce i tak dobrze udawał skurwysyna, jak to tylko w tych okolicznościach możliwe.

— No i co? - prychnął Angol przez zapchany nos. -

Strzelisz do mnie i wybijesz dziurkę w tym pieprzonym samolocie?

— Używamy specjalnej amunicji - powiedział Will, łącząc z kamienną twarzą. - Kula będzie ci się obijać po głowie od środka, aż przerobi mózg na sieczkę. - Doskonały strzelec, który dzieciństwo w tej swojej wiosce spędził, strzelając do wiewiórek, na tę odległość mógł trafić we wszystko, z dokładnością do kilku milimetrów. Ale kula zostawiłaby w celu ranę wylotową.

Angol gapił się na niego z rozdziawioną gębą.

- Masz pięć sekund - oznajmił Will, podnosząc lufę; celował już nie w pierś, lecz w głowę. - W tej chwili obojętne mi już, czy będę musiał strzelić, czy nie. Już załatwiłeś mi tydzień papierkowej roboty.

Jeden z kumpli winnego nie wytrzymał.

— Kurwa mać, Sean, siadaj! - krzyknął i pociągnął go

za koszulkę polo. Sean wahał się jeszcze przez kilka długich sekund, a potem siadł ciężko w fotelu lotniczym i pokornie założył ręce na głowę.

— Dobra decyzja - pochwalił go Will.

231

Pojawiła się Darła, ściskając w garści kilka sztuk plastikowych kajdanków; z pomocą pasażerów całą trójkę skuto bez większego problemu. Will opuścił broń.

- Z tyłu czysto! - krzyknął do agenta, po czym przy akompaniamencie ogłuszającego aplauzu pasażerów opadł na fotel, dysząc ciężko. Ciekawe, czy uda mi się znów zasnąć - pomyślał.

Taksówka ruszyło od krawężnika. Był wieczór, ale upał pustyni nadal oszałamiał i Will z radością skrył się w jej chłodnym wnętrzu.

— Dokąd? - spytał taksówkarz.

— Jak myślisz, które z nas ma lepszy pokój? - zwrócił się do Darli Will.

Dziewczyna żartobliwie szturchnęła go w żebra.

- Łóżko lotnicze przeciw rządowemu? Prawdopodobnie nie ma żadnej różnicy. - Pochyliła się i szepnęła mu do ucha. - Ale, skarbie, obiecuję, że nawet tego nie zauważymy.

Przejechali kawałek wokół McCarran i skierowali się na Strip. Po drodze Will zauważył stojące przy oddalonym od reszty hangarze trzy 737, nieoznaczone, jeśli nie liczyć czerwonego pasa na kadłubie.

— Co to za linia? - zainteresował się.

— Nie linia, tylko transport do Strefy Pięćdziesiąt Jeden.

Samoloty wojskowe.

— Żartujesz.



Taksówkarz nie mógł przepuścić takiej okazji.

- Pani nie żartuje. To najgorzej przestrzegana tajemnica w Las Vegas. Dzień w dzień latają tam dosłownie setki naukowców z miasta. Mają statki kosmiczne obcych i koniecznie chcą je uruchomić, przynajmniej tak słyszałem.

232

Will zachichotał.

- Cokolwiek robią, z pewnością marnują pieniądze podatników. Możecie mi wierzyć albo nie, ale pracuje tam chyba ktoś, kogo znam.

Nelson Elder olbrzymią wagę przykładął do sprawności fizycznej. Co rano pracowicie ćwiczył i wymagał od prezesów, członków ścisłego kierownictwa, żeby też to robili. "Ludzie nie chcą oglądać grubych agentów ubezpieczeniowych" - mówił. Ludzie jak ludzie, ale on z pewnością. Żywił uprzedzenie do niesprawnych tak wielkie, że graniczyło z obrzydzeniem; dziedzictwo po dorastaniu w biednej rodzinie w Bakersfield w Kalifornii, gdzie nędza i tusza szły w parze, przynajmniej tam, gdzie mieszkał: w osiedlu przyczep stojących na jałowej spieczonej ziemi. Nie zatrudniał grubasów, a jeśli już ich ubezpieczał, pilnował, by płacili słone stawki. Od ryzyka.

Jego brązowa skóra nadal mrowiła po pięciokilometrowej przebieżce i prysznicu gorącym jak parówka, i kiedy tak siedział w swym narożnym gabinecie, z widokiem na czekoladowo-brązowe wzgórza i niebieskawozieloną toń jeziora Mead, fizycznie czuł się tak dobrze, jak tylko może czuć się sześć-dziesięcioletni mężczyzna.

Garnitur na miarę podkreślał szczupłą, muskularną sylwetkę, serce atlety biło powoli. Z samopoczuciem psychicznym było gorzej; denerwował się i nawet herbata ziołowa mu nie pomagała.

Bertram Myers, główny księgowy firmy, stanął na progu, dysząc i pocąc się niczym koń wyścigowy. Był dwadzieścia lat młodszy od szefa, włosy miał sztywne, czarne, ale sprawnością do pięć mu nie dorastał.

— Dobrze się biegało? - spytał go Elder.

— Świetnie, dziękuję - odparł Myers. - Ty już po?

233

— No pewnie.

— Dlaczego przyjechałeś do firmy tak wcześnie?

— Pieprzone FB i jeszcze I na dodatek. Pamiętasz?

— Jezu Chryste, na śmierć zapomniałem. Zaraz wskakuję pod prysznic. Chcesz, żebym był przy rozmowie?

— Nie, sam sobie poradzę - powiedział Elder.

— Martwisz się? Bo wyglądasz na zmartwionego?

— Nie martwię się. Sądzę, że właśnie o to chodzi.

Myers skinął głową.

— No właśnie. O to chodzi.

Niewielki dystans, dzielący go od siedziby Desert Life w Henderson, osiedla sypialni leżącego na południe od Vegas, nad jeziorem Mead, Will pokonał taksówką. Na pierwszy rzut oka Elder wydał mu się odlany z formy, typowy srebrnowłosy prezes, naturalnie traktujący zarówno swój majątek, jak i pozycję społeczną. Na jego widok pan prezes odchylił się w fotelu i zrobił sporo, by zawieść jego pierwsze wrażenie.

— Jak powiedziałem przez telefon, agencie specjalny Piper, nie jestem pewien, czy zdołam panu pomóc. Być może pańska długa podróż szybko się skończy.

— Proszę się tym nie przejmować - powiedział Will. -

I tak musiałem tu przylecieć.

— W telewizji mówili, że dokonał pan aresztowania w Nowym Jorku...

— Nie wolno mi wypowiadać się w sprawie toczącego się jeszcze śledztwa, ale gdybym miał sprawę za rozwiązaną, prawdopodobnie bym się tu nie fatygował. Czy mogę mieć nadzieję, że opowie mi pan coś o swoich stosunkach z Davidem Swisherem?

Według Eldera nie bardzo było o czym mówić. Spotkali się przed sześciu laty, podczas jednej z jego częstych wizyt w Nowym Jorku i spotkań z inwestorami. W owym czasie HSBC, jak kilka innych banków, próbował zdobyć sobie w Desert Life klienta. Swisher, jeden z dyrektorów, okazał się prawdziwym czarodziejem. Elder udał się do siedziby HSBC, wysłuchać jego propozycji.

Przez kolejny rok wydzwaniał i słał e-maile. Jego wytrwałość opłaciła mu się, bo kiedy w 2003 roku Desert Life zdecydowała się na emisję obligacji mającą sfinansować przejęcie, Elder postanowił, że to HSBC będzie przewodzić konsorcjum gwarantów.

Will spytał, czy w trakcie negocjacji Swisher przyjeżdżał do Las Vegas. Elder był pewien, że nie przyjeżdżał. Doskonale wiedział, że służbowe wizyty załatwiali młodsi stopniem od niego. Spotkali się dopiero na kolacji z okazji podpisania umowy.

A może komunikowali się jakoś przez te lata.

Od czasu do czasu, rzadko. Telefonicznie. Kiedy odbyła się ostatnia taka rozmowa?

Dobry rok temu. Stara sprawa. Ostatnio nic. Wzajemnie wpisaliśmy się na korporacyjne listy korespondencyjne, ale trudno to nazwać "powiązaniem", prawda?

Elder powiedział jeszcze, że kiedy dowiedział się o zamordowaniu Swishera, był wstrząśnięty.

Przesłuchanie zostało w tym momencie przerwane przez Beethovena dobywającego się z komórki Willa. Przeprosił i wyłączył telefon, ale przedtem sprawdził, kto dzwoni. Laura? Czegóż mogła chcieć, do cholery.

Podchwycił przerwany wątek, zaczął strzelać pytaniami. Czy Swisher mówił coś o jakichś związkach z Las Vegas? Może miał tu przyjaciół? Prowadził jakieś interesy? Czy wspominał coś o grach? Miał dług? Czy kiedykolwiek mówił coś o życiu osobistym? Czy Elder wie coś o jego wrogach?

Podchwycił przerwany wątek, zaczął strzelać pytaniami. Czy Swisher mówił coś o jakichś związkach z Las Vegas? Może miał tu przyjaciół? Prowadził jakieś interesy? Czy wspominał coś o grach? Miał dług? Czy kiedykolwiek mówił coś o życiu osobistym? Czy Elder wie coś o jego wrogach?

Podchwycił przerwany wątek, zaczął strzelać pytaniami. Czy Swisher mówił coś o jakichś związkach z Las Vegas? Może miał tu przyjaciół? Prowadził jakieś interesy? Czy wspominał coś o grach? Miał dług? Czy kiedykolwiek mówił coś o życiu osobistym? Czy Elder wie coś o jego wrogach?

Odpowiedź na wszystkie te pytania brzmiała: "nie". Elder bardzo pragnął przekonać Willa, że ich znajomość była przelotna, powierzchowna i czysto biznesowa. Chciałby pomóc, nawet bardzo, ale, niestety, jest to najwyraźniej niemożliwe.

Will czuł rozczarowanie dławiące go jak żółć. Rozmowa nie prowadziła do niczego, kolejny fałszywy trop w sprawie Dnia Sądu. A jednak w zachowaniu Eldera było coś nienaturalnego, drobnego, lecz dręczącego. Czyżby w jego głosie była odrobina napięcia? Czyżby mówił za dużo, zbyt płynnie? Will nie wiedział, skąd wzięło się jego kolejne pytanie, być może podsunęła mu je niezgłębiona intuicja.

- Panie Elder, czy może mi pan powiedzieć, jak idą pańskie interesy?

Elder wahał się przez całkiem uchwytną chwilę, wystarczająco długą, by Will wiedział, że sprawa, którą poruszył, jest ważna.

— Całkiem nieźle. Dlaczego pan pyta?

— Bez powodu. Po prostu byłem ciekawy. Bo wie pan, większość firm ubezpieczeniowych ma siedziby w Hartford, w Nowym Jorku... w dużych miastach? Dlaczego Las Vegas?

Dlaczego Henderson?

— Nasze korzenie są tutaj - wyjaśnił Elder. - Sam zbudowałem tę firmę, cegła po cegle. Zaraz po szkole. Pracowałem jako agent w małej firmie brokerskiej w Henderson, niespełna dwa kilometry stąd. Mieliśmy sześciu pracowników. Odkupiłem ją od właściciela, kiedy poszedł na emeryturę, i zmieniłem nazwę na Desert Life. Teraz mamy osiem tysięcy pracowników, od oceanu do oceanu.

— Imponujące. Musi pan być bardzo dumny.

— Dziękuję. Rzeczywiście, jestem.

- I ubezpieczenia, mówi pan, to dobry interes?

I znów to wahanie.

- No... wszyscy potrzebują ubezpieczenia. Rzecz jasna, panuje silna konkurencja i regulacje prawne też nie zawsze pomagają, ale firma trzyma się nieźle.

Dopiero teraz, słuchając go, Will dostrzegł stojący na biurku pojemnik na długopisy, pełen niebieskich i czerwonych penteli. Nie potrafił się powstrzymać.

- Mogę wziąć jeden z nich? - spytał. - Czarny?

- Oczywiście - zgodził się Elder, zaskoczony.

Supercienki. Coraz lepiej.

Sięgnął do teczki. Wyjął z niej kartkę papieru w przezroczystej plastikowej okładce; ksero obu stron wysłanej do Swishera pocztówki.

— Zechciałby pan przyjrzeć się temu? - poprosił.

Elder wziął kartkę, założył okulary do czytania.

— Przygnębiające - powiedział.

— Zwrócił pan uwagę na stempel pocztowy?

— Osiemnasty maja.

— Czy był pan w Vegas osiemnastego maja?

To pytanie widocznie zirytowało prezesa.

— Nie mam pojęcia, ale z przyjemnością poproszę sekretarkę, żeby sprawdziła.

— Świetnie. Ile razy był pan w Nowym Jorku w czasie ostatnich sześciu tygodni?

— Ani razu - odparł Elder krotko, marszcząc brwi.

- Rozumiem. - Will wyciągnął rękę. - Mogę prosić?

Elder oddał mu kartkę, a Will pomyślał: No, przyjacielu, może to nic niewarte, ale przynajmniej mam twoje odciski palców.

Miejsce agenta FBI zajął Bertram Myers. Usiadł na ciągle jeszcze ciepłym krześle.

— Jak poszło? - spytał szefa.

— Wzorowo. Interesowało go wyłącznie morderstwo Davida Swishera. Chciał wiedzieć, gdzie byłem tego dnia, kiedy wysłano kartkę.

— Żartujesz!

— Wcale nie żartuję.

- Nie miałem pojęcia, że jesteś seryjnym zabójcą, Nelsonie. Elder rozluźnił węzeł krawata od Hermesa. Odprężył się powoli.

- Uważaj, Bert, możesz być następny - ostrzegł.

— Tylko o to chodziło? Nie zadał żadnego kłopotliwego pytania?

— Ani jednego. Nie wiem, dlaczego tak się martwiłem.

— A mówiłeś, że się nie martwisz.

— Kłamałem.

Wprost z Henderson Will pojechał do północnego Los Angeles, do terenowego biura FBI, w którym miał czekać na nocny lot do Los Angeles. Miejscowi agenci pracowali nad niezidentyfikowanymi odciskami palców z kartek Dnia Sądu. Kilka ukrytych udało się im nawet zidentyfikować dzięki porównaniom z odciskami zdjętymi od pracowników Głównego Urzędu Poczтового. Kazał im porównać to, co mają, z odciskami Eldera, po czym poszedł do sali konferencyjnej i czekając na rezultaty badań, pogрузzył się w lekturze gazety. Zaburczało mu w żołądku, wyszedł więc na Lakę Mead Bou-levard, poszukać baru z kanapkami.

Upał był straszny. Zdjęcie marynarki i podwiniecie rękawów koszuli niewiele pomogło, wskoczył więc w pierwsze odpowiednie drzwi. Jak się okazało prowadziły do cichego, chłodnego Quiznos pełnego ospałych pracowników. Czekając

na swą kanapkę z bagietki, połączył się z pocztą głosową i zaczął odsłuchiwać pozostawione na niej wiadomości. Ostatnia postawiła go w stan gotowości. Zaklął głośno, ściągając na siebie nieprzyjemne spojrzenie kierownika sali. Zarozumiały głos poinformował go, że właśnie traci kablówkę. Zalega z rachunkami od trzech miesięcy i jeśli nie zapłaci dziś, będzie mógł pooglądać program kontrolny. Will spróbował przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni płacił jakikolwiek rachunek domowy... i nie mógł. Oczami wyobraźni zobaczył stos nie-otwartej poczty na kontuarze wnęki kuchennej. Akurat teraz potrzebował tego mniej więcej tak jak wszy. Musi zadzwonić do Nancy. I tak powinien.

- Pozdrowienia z Miasta Grzechu - powiedział do słuchawki.

Powitała go chłodno.

— Jak tam Camacho? - spytał.

— Mamy potwierdzenie jego dziennika. Nie mógł popełnić innych morderstw.

— Można chyba powiedzieć, że to żadna niespodzianka.

— Fakt. Jak ci poszła rozmowa z Nelsonem Elderem?

— Pytasz o to, czy jest naszym mordercą? Nie. Ale jeśli chodzi ci o to, że coś jest nie tak, to owszem. Jest. Z całą pewnością.

— Nie tak?

— Mam wrażenie, że facet coś ukrywa.

— Coś poważnego?

— Miał na biurku supercienkie pentele.

— No to możesz wystąpić o nakaz aresztowania - rzuciła sucho.

— W każdym razie go sprawdzę. - Potem, nieco zmieszany, wstydliwie poprosił o pomoc w drobnym domowym problemie. W biurze ma zapasowe klucze do mieszkania. Czy wracając do domu, mogłaby wpaść po niezapłacone rachunki za kab-

łówkę, a potem zadzwonić do niego, żeby mógł załatwić sprawę kartą kredytową?

Nancy powiedziała, że to nie problem.

- Dzięki. I jeszcze jedna sprawa. - Will czuł, że musi to powiedzieć. - Przepraszam za tamten wieczór. Trochę za dużo wypilem.

Usłyszał, jak dziewczyna bierze głęboki oddech.

- W porządku.

Wiedział, że to nie w porządku, ale co innego mógł powiedzieć. Przerwał rozmowę i spojrzał na zegarek. Miał do zabicia ładnych parę godzin przed nocnym lotem do Nowego Jorku. Nie był graczem, do kasyna go więc nie ciągnęło. Darła stała się już tylko wspomnieniem. Mógł się upić, ale upić można się wszędzie. Nagle przyszło mu do głowy coś, co przywołało uśmiech na jego wargi. Wyjął telefon i załatwił kolejną rozmowę.

Nancy otworzyła drzwi mieszkania Willa i zamarła. Usłyszała muzykę.

W pokoju dziennym stała otwarta torba podróżna.

- Dzień dobry - powiedziała głośno.

Słyszała też szum wody w łazience. Ktoś brał prysznic.

— Dzień dobry - powtórzyła głośniej.

Szum wody ucichł.

— Tak? - powiedział głos.

Z łazienki powoli, niepewnie wyszła kobieta otulona ręcznikiem kąpielowym.

Dwadzieścia parę lat, blondynka, smukła, ujmująca w swej naturalności. Wokół jej małych, doskonałych stóp gromadziły się kałuże wody. Jest strasznie młoda, pomyślała Nancy z goryczą. Oglupiła ją początkowa reakcja na widok tej dziewczyny - zazdrość.



— A, cześć. Jestem Laura.

— Ja mam na imię Nancy.

Zapadła długa, kłopotliwa cisza.

— Willa nie ma - przerwała ją Laura.

— Wiem. Prosił, żebym wzięła coś z jego mieszkania.

- Proszę bardzo. Ja zaraz przyjdę. - Laura wycofała się do łazienki.

Nancy próbowała znaleźć rachunki i wycofać się dyskretnie, ale była zbyt powolna, a Laura za szybka. Wyszła ubrana w dżinsy i podkoszulek, z ręcznikiem owiniętym na głowie jak turban. Wnęka kuchenna była za mała dla ich obu. Sytuacja znów zrobiła się niezręczna.

— Rachunki za kablówkę - powiedziała Nancy cicho, niepewnie.

— Fakt. Jest kiepski w CS. - Laura dostrzegła jej zdziwienie i dodała szybko: - Codzienne sprawy.

— Jest bardzo zajęty. - Nancy wzięła go w obronę.

— A ty znasz go... skąd? - padło podejrzliwe pytanie.

— Pracujemy razem. - Teraz kolej na typowe wyjaśnienie:

"Nie, nie jestem jego sekretarką".

Ale pytanie nie było typowe.

— Jesteś agentką?

— Tak. A ty znasz go... skąd?

— To mój ojciec.

Godzinę później nadal gadały w najlepsze. Laura piła wino, Nancy wodę z kranu z lodem; dwie kobiety połączone szaleństwem, któremu na imię Will Piper.

Gdy tylko wyjaśniły się ich wzajemne stosunki, natychmiast się polubiły. Nancy poczuła ulgę na wieść o tym, że ta nastolatka nie jest dziewczyną Willa, Laura poczuła ulgę na wieść o tym, że jej ojciec ma partnerkę, tak po prostu. Przyjechała

pociągiem z Waszyngtonu na spotkanie zorganizowane w pośpiechu na

241

Manhattanie, a kiedy nie zdołała dodzwonić się do ojca, uznała, że gdzieś wyjechał, i weszła do jego mieszkania, otwierając sobie własnym kluczem.

Początkowo była nieśmiała, ale drugi kieliszek wina uwolnił jej sympatyczne gadulstwo. Było między nimi zaledwie sześć lat różnicy, szybko więc znalazły wspólne tematy... poza Willem. Nancy miała wrażenie, że w odróżnieniu od ojca dziewczyna jest prawdziwym psem na kulturę, zdolnym rywalizować z nią w wiedzy o muzyce i sztuce. Miały wspólne ulubione muzeum, Metropolitan, wspólną ulubioną operę, Cyganerię, i wspólnego ulubionego malarza, Moneta.

Zgodziły się, że to niesamowite, ale fajne.

Laura skończyła college dwa lata temu. Zarabiała na życie, pracując w biurze, na godziny. Mieszkała w Georgetown z chłopakiem studiującym podyplomowo dziennikarstwo na American University. W młodym, trudnym wieku miała przekroczyć próg i ten krok wydawał się jej wyjątkowo ważny. Mały, ale prestiżowy wydawca rozważał publikację jej pierwszej powieści. Choć pisała, od kiedy zaczęła dojrzewać, nauczyciel angielskiego w liceum powtarzał stanowczo, że nie wolno jej nazwać się "pisarką", póki nie zacznie wydawać.

A ona strasznie chciała móc nazwać się pisarką.

Była nieśmiała i niepewna siebie, ale przyjaciele i nauczyciele dodawali jej odwagi. Powtarzali, że książka nadaje się do publikacji, toteż naiwnie wysłała rękopis, niezamówiony i nie-polecony przez agenta, do tuzina wydawnictw, po czym zaczęła pisać scenariusz, bo w materiale widziała też film. Wkrótce zaczęła przyzwyczajając się do ciężkich paczek na progu: wydruk plus odmowny liścik. Zdarzyło się to dziewięć, dziesięć, jedenaście razy... lecz nie powtórzyło się po raz dwunasty. Zamiast przesyłki doczekała się telefonu od nowojorskiego Elevation Press, wyrażającego zainteresowanie i sugerującego, by jeśli

242

sprawa jest nadal aktualna, dokonała poprawek i ponownie przysłała książkę. Zgodziła się, poprawiła co trzeba zgodnie z pisemnymi sugestiami i wczoraj dostała e-mail od redaktora. Zaproszono ją do biura wydawnictwa, rzecz denerwująca wprawdzie, lecz jednocześnie rokująca nadzieję.

Laura wydawała się Nancy wręcz fascynująca, była jak okno otwierające się nagle na zupełnie inny świat. Lipińscy nie byli pisarzami czy artystami, tylko sklepikarzami, księgowymi, dentystami i agentami FBI. Ciekawe też, jak DNA Willa zdołało wyprodukować tak wdzięczne, niewinne stworzenie. Cała zasługa spoczywała widocznie po stronie matki.

I rzeczywiście, Melanie, matka Laury i pierwsza żona Willa, pisała wiersze i uczyła technik pisarskich w szkole przygotowawczej na Florydzie. Małżeństwo, według relacji Laury, trwało akurat tyle, ile trzeba było dla jej poczęcia, narodzin i drugich urodzin, nim Will rozbił je na drobne kawałki. Kiedy dorastała, słowa "twój ojciec" wymawiano z pogardą.

Will Piper był dla niej duchem. Dowiadywała się o nim z drugiej ręki, podsłuchując, co wyrwało się matce i ciotkom. Jak wygląda, wiedziała ze ślubnych zdjęć: niebieskooki, potężny, uśmiechnięty, niezmienny w czasie. Odszedł z biura szeryfa. Wstąpił do FBI. Ożenił się po raz drugi. Rozwiódł się po raz drugi. Pił. Rwał co popadnie. Sukinsyn; można o nim powiedzieć tyle dobrego, że płaci alimenty. I przez ten cały czas tata ani nie zadzwonił, ani nawet nie przysłał pocztówki.

Pewnego dnia piętnastoletnia Laura zobaczyła go w telewizji. Udzielał wywiadu w sprawie jakichś strasznych seryjnych zbrodni. Zobaczyła jego nazwisko na ekranie, rozpoznała te niebieskie oczy, tę kwadratową szczękę... i popłakała się jak bóbr. A potem zaczęła pisać opowiadania o nim, a przynajmniej takim "nim", jakiego sobie wyobrażała. W szkole przygotowaw-

243

czej, uwolniona od wpływów matki, zabawiła się w detektywa i znalazła go. W Nowym Jorku. Od tej pory utrzymywali stosunki, rzadko i zaledwie na półrocznie.

W każdym razie bohater jej powieści był wzorowany na nim.

— Jaki ma tytuł? - spytała Nancy.

— Kula burząca - odparła Laura.

Nancy musiała się roześmiać.

— Pasuje, nie? - powiedziała.

- Bo on jest jak kula burząca. Nie tylko on, alkohol też.

I geny, i przeznaczenie. To znaczy, oboje rodzice ojca byli alkoholikami. Może po prostu nie miał szans. - Laura naląła sobie kolejny kieliszek wina, machnęła nim w toaście. Mówiła już trochę niewyraźnie. - I może ja też nie mam szans.

Kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy, Nelson Elder wjeżdżał właśnie na podjazd domu, siedmiopokojowej rezydencji na Wzgórzach, w Summerlin. Na wyświetlaczu pojawiła się wiadomość: "rozmowa prywatna". Przyjął ją, podjeżdżając mercedesem pod jeden z garaży.

— Pan Elder?

— Tak, kto mówi?

Głos, piskliwy z napięcia, niemal skrzek, powiedział:

— Spotkaliśmy się parę miesięcy temu w Constellation.

Nazywam się Peter Benedict.

— Przepraszam, ale nie przypominam sobie...

— To ja złapałem parę liczącą przy blackjacku.

— Ach tak, oczywiście! Facet od komputerów. - Dziwne - pomyślał Elder i spytał: - Dałem panu numer komórki?

— Oczywiście - skłamał Mark. Na świecie nie było numeru telefonu, którego nie potrafiłby zdobyć. - Nie przeszkadzam?

— Skąd. Co mogę dla pana zrobić?

—

— No... właściwie to ja mogę coś zrobić dla pana.

— Jak to?

— Pana firma ma kłopoty, panie Elder. Ale ja potrafię im zaradzić.

Mark oddychał szybko i drżał na całym ciele, co nietrudno było zauważyć. Komórka leżała na kuchennym stole, nadal ciepła od jego policzka. Każdy kolejny krok w realizacji planu sporo go kosztował, ale ten był pierwszym wymagającym kontaktu z żywym człowiekiem i bardzo trudno mu było się uspokoić. Miał spotkanie z Nelsonem Elderem. Jeszcze jeden ruch i ta partia szachów jest jego.

Dźwięk dzwonka automatycznie podniósł jego zdenerwowanie o poziom wyżej. Nie miewał niezapowiedzianych gości i ze strachu omal nie uciekł do sypialni, jakoś zdołał się jednak uspokoić. Podeszedł do drzwi powoli, z wahaniem. Uchylił je odrobinę.

- Will? - powiedział, zdumiony. - Co ty tutaj robisz?

Will Piper stał na progu jego domu, uśmiechając się tym swoim sympatycznym, szerokim uśmiechem.

- Nie spodziewałeś się mnie, prawda?

Widział, że Mark jest roztrzęsiony niczym domek z kart próbujący utrzymać równowagę.

- Rzeczywiście, nie spodziewałem.

— Bo wiesz, przyjechałem w interesach i pomyślałem sobie, że przecież mogę cię znaleźć. Przyszedłem nie w porę?

— Nie, skąd wszystko w porządku - powiedział Mark mechanicznie. - Po prostu nikogo się nie spodziewałem.

Wejdiesz?

— Jasne. W każdym razie na parę minut. Mam trochę czasu przed wyjazdem na lotnisko.

Will poszedł za nim do pokoju dziennego. W sztywnym kroku i piskliwym głosie starego kumpla z pokoju wyczuwał napięcie, jakby jego obecność go żenowała. Nie mógł się powstrzymać, by nie wypracować na poczekaniu profilu Marka. Nie była to bynajmniej tania sztuczka, zawsze miał coś w rodzaju talentu, łatwość definiowania ludzkich uczuć, konfliktów, motywacji i umiał dokonać tego z błyskawiczną szybkością. Jako dziecko używał tych zdolności, by bronić swego miejsca w trzecim wierzchołku trójkąta, pomiędzy dwojgiem alkoholicz-nych rodziców, mówiąc i robiąc tylko to, co właściwe, dzięki czemu zaspokajał potrzeby obojga oraz osiągnął i utrzymywał zadowalającą równowagę w domu.

To, co umiał robić, wykorzystywał też w dobrze pojętym interesie własnym. W życiu osobistym, choćby w Dale, z łatwością zdobywał przyjaciół i wpływał na ludzi. Kobiety twierdziły, że mistrzowsko nimi manipuluje. Jeśli zaś chodzi o sprawy zawodowe, jego umiejętności dawały mu wyraźną przewagę nad zaludniającymi świat przestępcami.

W tej chwili zastanawiał się, co też mogło do tego stopnia wyprowadzić Marka z równowagi, czy tylko fobie i mizantropia, czy też coś bliżej związanego z jego wizytą?

Usiadł na twardej kanapie i postanowił przede wszystkim uspokoić gospodarza.

- Wiesz, po naszym ostatnim spotkaniu kiepsko się czułem. Nawet nie próbowałem odnaleźć cię przez te wszystkie lata, a powinienem.

Mark siedział naprzeciw niego w milczeniu, z nogą sztywno założoną na nogę.

- No i wiesz, właściwie nie odwiedzam Vegas, nawet dziś to była tylko jedna noc, a kiedy wczoraj jechałem do hotelu, ktoś wskazał mi samoloty latające do Strefy Pięćdziesiąt Jeden i zaraz pomyślałem o tobie.

246

— Naprawdę? - spytał Mark ochryplym głosem. Odchrząk

nał. - Jak to?

— Nie powiedziałeś wyraźnie, ale dałeś no... do zrozumienia, że tam pracujesz.

— Czyżby? Nie przypominam sobie, żebym coś na ten temat mówił.

Will doskonale pamiętał jego dziwne zachowanie, gdy w rozmowie wspomniano Strefę 51. Jakby sugerował, że to temat zakazany, przynajmniej dla niego. Szczerze mówiąc, nie obchodziło go to pod żadnym względem. Mark miał najwyraźniej dostęp do informacji tajnych i traktował sprawę poważnie. Plus dla niego.

- Nie ma sprawy. Nieważne. Nie obchodzi mnie, gdzie pracujesz, po prostu skojarzyły mi się z tobą, no i postanowiłem, że wpadnę. Tylko tyle.

Mark nadal przyglądał mu się sceptycznie.

— Jak mnie znalazłeś? - spytał. - Nie ma mnie w książce telefonicznej.

— Jakbym nie wiedział. Powiem szczerze, że kiedy w informacji nie wiedzieli, sprawdziłem bazę danych FBI w naszym miejscowym biurze. Latasz poniżej poziomu radaru, przyjacielu, musisz mieć cholernie interesującą pracę. Zadzwoń do Zeckendorfa, żeby dał mi twój numer telefonu. Nie miał go, ale zostawiłeś adres, żeby jego żona mogła ci przysłać zdjęcie. - Machnął ręką w stronę fotografii. - Ja też postawiłem moją na stoliku do kawy. Chyba obaj jesteśmy po prostu sentymentalnymi facetami. Słuchaj... masz może coś do picia?

Will dostrzegł, że Mark oddycha swobodniej, widocznie udało mu się przełamać lody. Pewnie ma problemy w nawiązywaniu kontaktów, potrzebuje czasu, żeby się rozgrzać.

— Czego się napijesz?

— Masz szkocką?

— Niestety tylko piwo.

— Kiedy wejdiesz między wrony...

Mark poszedł do kuchni, a on wstał i rozejrzał się dookoła, powodowany zwykłą ciekawością. Pokój był umeblowany oszczędnie, charakterystycznymi nowoczesnymi rzeczami, które równie dobrze mogły stać w każdym publicznym pomieszczeniu.

Wszystko tu było porządne i porządnie poukładane, ani śladu kobiecej ręki; ten styl znał doskonale. Na lśniących chromem półkach stały poważne akademickie książki, poświęcone komputerom i programom komputerowym, dobrane wysokością, tak by ich wierzchy tworzyły możliwie najrów-niejszą linię.

Na biurku pokrytym białą laką obok zamkniętego laptopa, leżały dwa cienkie pliki wydruków komputerowych, spiętych mosiężnymi sztyftami. Zerknął na pierwszą stronę tego na górze. "Gracze. Scenariusz. Peter Benedict. WGA\* #4235567". Kim jest ten Peter Benedict? Czy to pseudonim Marka, czy facet rzeczywiście istnieje?

Obok scenariusza leżały dwa czarne pisaki. Omal nie roześmiał się: pentele supercienkie, oczywiście. Wszędzie ich pełno.

Kiedy Mark wrócił z piwem, siedział na sofie, jakby się z niej nie ruszał.

— Tam, w Cambridge, nie wspominałeś czasem, że pi szesz? - spytał.

— Owszem.

— I to twoje scenariusze?

Mark przełknął z trudem. Skinął głową.

- Moja córka też jest kimś w rodzaju pisarki. O czym to jest?

\* Writers Guild of America - Organizacja zawodowa pisarzy amerykańskich.



Mark zaczął powoli, z wahaniem, jednak w miarę jak opowiadał treść swego najnowszego dzieła, odprężał się coraz wyraźniej. Nim Will zdążył dopić pierwsze piwo, dowiedział się wszystkiego o kasynach, liczeniu kart, Hollywood i hollywoodzkich agentach. Jak na tak małomównego faceta był to prawdziwy słowotok. Pijąc drugie, poznał losy Marka sprzed Vegas, jałowy krajobraz niewielu znajomości i ciągłej pracy przy komputerze. Przy trzecim odwzajemnił mu się, opowiadając o swej przeszłości: nieudanych małżeństwach, utraconych przyjaźniach, a Mark słuchał go zafascynowany, z rosnącym zdumieniem, bo życie złotego chłopca, które miał za doskonałe, wcale doskonałe nie było.

Tymczasem Willa zaczęło gnębić poczucie winy. Poszedł do toalety, a kiedy wrócił, oznajmił, że musi lecieć, tylko przedtem chciałby zrzucić ciężar z piersi.

— Muszę cię przeprosić - powiedział.

— Za co? - zdziwił się Mark.

— Dopiero teraz, kiedy spojrzałem na tamte lata z dystansu, zrozumiałem, jakim byłem dupkiem. Powinienem ci pomóc, zmusić Aleksa, żeby dał ci święty spokój. Zachowywałem się jak kretyn i bardzo mi z tego powodu przykro.

Nie wspomniał o incydencie z taśmą. Nie musiał. Mark nieświadomie otarł oczy. Sprawiał wrażenie bardzo zawstydzonego.

.1 Li. . .

- Nie musisz nic mówić. Nie chciałem wprawić cię w za kłopotanie.

Pociągnął nosem.

— Nie, nic... słuchaj, doceniam, co powiedziałaś. Tak na prawdę nigdy się dobrze nie poznaliśmy.

— To prawda. - Will wsadził rękę do kieszeni, wyciągnął kluczyki samochodowe. - No, dzięki za piwo. I za rozmowę. Pora ruszać w drogę.

249

Odetchnął głęboko i wreszcie powiedział, co najważniejsze.

— Chyba wiem, dlaczego jesteś w mieście. Widziałem cię w telewizji.

— Jasne. Sprawa Dnia Sądu. Związki z Vegas. Pewnie.

— Od lat oglądałem cię w telewizji. I czytałem o tobie w gazetach.

— Jasne. Był czas, kiedy media bardzo się mną interesowały.

— To musi być ekscytujące.

— Wierz mi, wcale nie jest.

— I jak ci idzie? Mam na myśli śledztwo.

— Muszę ci powiedzieć, że to jak czyrak na dupie. Ostatnie, czego chciałem, to dać się w to wmieszać. A czekała mnie prosta droga do emerytury...

— Robicie jakieś postępy?

— No... jesteś facetem potrafiącym dotrzymać tajemnicy, więc powiem ci jedno: nie zrobiliśmy nawet pieprzonego kroku naprzód.

— Wiesz - powiedział Mark. Wyglądał na zmęczonego - nie sądzę, żebyście złapali faceta.

Will spojrzał na niego dziwnie.

— A dlaczego nie sądzisz?

— Trudno powiedzieć, ale z tego, co o nim czytałem, wynika, że jest cwany.

— Nie, nie, nie. Złapię go. Zawsze ich łapię.

—

28 czerwca 2009 Las Vegas

Telefon od Petera Benedicta wstrząsnął Elderem. Propozycja pomocy Desert Life, złożona przez człowieka raz poznanego w kasynie, wydawała się więcej niż niepokojąca. Poza tym był niemal pewien, że nie dał mu numeru swego telefonu komórkowego. Dodać to do nagłego zainteresowania FBI firmą w ogóle i jego osobą w szczególności, i wychodziło, że szykuje mu się bardzo niepokojący weekend. W chwilach kłopotów wołał przebywać w swej centrali, otoczony pracownikami; generał wśród żołnierzy. Nie przeszkadzało mu, że podczas kryzysu ściąga zespół swego ścisłego kierownictwa do siebie nawet w soboty i niedziele, z tą sprawą musiał jednak poradzić sobie sam. Nawet Bret Myers, jego powiernik i consigliere, miał nie dowiedzieć się niczego, póki szef nie zorientuje się, z czym ma właściwie do czynienia.

Tylko oni dwaj wiedzieli, w jak poważne kłopoty popadła Desert Life, bo to oni dwaj opracowali program wyciągnięcia firmy z finansowego dołka. Program, który najlepiej dawało się określić przymiotnikiem "oszukańczy", choć sam Elder 251

wołał nazywać go "agresywnym". W tej chwili dopiero raczkował i na razie nie przynosił jeszcze, niestety, rezultatów. Gorzej, zaczynał przynosić odwrotne skutki i dołek robił się coraz głębszy. Zdesperowani, postanowili naruszyć rezerwę, przenieść z niej trochę pieniędzy, by wygenerować zysk za ostatni kwartał i w ten sposób zabezpieczyć cenę akcji.

Wkraczali na chwiejny grunt, na drogę do piekła, a przynajmniej do więzienia. I doskonale o tym wiedzieli, ale jak się powiedziało "a", trzeba powiedzieć i "b". A jeśli Bóg pozwoli - myślał Elder - trend odwróci się w kolejnym kwartale. Musi się odwrócić. Przecież zbudował swoją firmę tymi rękami. Była dziełem życia, jego jedyną prawdziwą miłością. Znaczyła dla niego więcej niż sucha jak ten jałowy kraj żona i rozwiązała latorośl. Musiał ją ocalić, a jeśli ten Peter Benedict ma sensowny

pomysł, powinien go wysłuchać.

Kręgosłup Desert Life stanowiły ubezpieczenia na życie. Pod tym względem była największą firmą na zachód od Missisipi. Elderowi zębki wyrzynały się w biznesie właśnie na nich. Od początku fascynowała go stała, aktuarialna przewidywalność współczynnika zgonów. Jeśli spróbujesz przewidzieć, kiedy umrze jakiś człowiek i postawisz na to pieniądze, będziesz mylił się tak często, że nie zdołasz wygenerować sensownego zysku. Ubezpieczyciele omijali ten problem, opierając się na prawie wielkich liczb. Zatrudniali armię analityków i statystyków, badających zdarzenia przeszłe, by na ich podstawie przewidzieć przyszłość. Wprawdzie nikt nie potrafił ocenić, jaką składkę ma płacić jeden ubezpieczony, by dało się na tym zarobić, można jednak dokładnie przewidzieć rentowność ubezpieczenia, powiedzmy trzydziestopięciolatka, niepalącego, niemającego oczywistej styczności z narkotykami, w którego rodzinie występowały choroby serca.

Mimo wszystko margines zysku był niewielki. Każdy wpła-

252

cony w składce dolar kosztował trzydzieści centów w wydatkach, większość szła na pokrycie strat, a reszta - w sumie nieduża - stanowiła właśnie zysk. W biznesie ubezpieczeniowym pochodził on z dwóch źródeł: samych ubezpieczeń i inwestycji. Firmy ubezpieczeniowe są wielkimi inwestorami, codziennie puszczającymi w obieg miliardy dolarów. Na dochodach z inwestycji opiera się ich biznes. Niektóre firmy posuwają się nawet do ubezpieczania ze stratą, biorą dolara w składce, spodziewając się, że koszty i straty będą większe, lecz jednocześnie wierząc, że inwestycje im to zwrócą. Elder gardził takimi praktykami, co nie znaczy, że nie miał zamiaru inwestować, ile tylko się da.

Problemy Desert Life wynikały z jej wzrostu. Przez lata, powiększając biznes i rozszerzając swe imperium przez kolejne przejęcia, Elder zdywersyfikował się aż do niezależności od samych ubezpieczeń na życie. Ubezpieczał domy i samochody klientów prywatnych, sprzedawał ubezpieczenia od zdarzeń losowych i odpowiedzialności firmy.

Przez lata biznes kwitł, a potem wszystko się zmieniło.

- Huragany, cholerne huragany - warczał głośno, nawet kiedy był sam. Jeden po drugim uderzały we Florydę i wybrzeże Zatoki Meksykańskiej, przy okazji zżerając wszystkie jego zyski. Rezerwy finansowe, dostępne fundusze przeznaczone na wypłatę przyszłych odszkodowań, spadły poniżej czerwonej kreski. Stanowe i federalne instytucje regulujące działalność firm ubezpieczeniowych dostrzegły oznaki niebezpieczeństwa. Wall Street nie pozostała w tyle. Akcje leciały na łeb, na szyję, a to zmieniało jego życie w coś w rodzaju dantejskiego piekła.

Na ratunek przyszedł mu Bert Myers, geniusz finansowy.

Myers nie pochodził z ubezpieczeń, doświadczenia nabierał jako bankier inwestycyjny. Elder ściągnął go do siebie przed

253

kilku laty, do pomocy w opracowaniu strategii przejść. W skali, w której ocenia się typy korporacyjne, był bardzo ostrym nożem w bardzo wielkiej szufladzie, jednym z najwłaśniejszych facetów na Wall Street.

Na grozę spadających zysków odpowiedział śmiałym planem. Nie mógł kontrolować Matki Natury i wszystkich tych pieprzonych wypłat za zniszczenia, mógł jednak podnieść stopę zysku przez, jak to określił, "przekroczenie granicy". Przepisy rządowe, by nie wspomnieć już o statucie firmy, drastycznie ograniczały Desert Life, jeśli chodzi o rodzaj podejmowanych inwestycji, dopuszczając w zasadzie tylko wypadki na teren operacji niskiego ryzyka i niskiego zwrotu, przede wszystkim obligacje, a także konserwatywne inwestycje na rynku pożyczek hipotecznych, kredytów konsumpcyjnych i nieruchomości.

Nie mogli zmniejszyć swych cennych rezerw i usiąść do ruletki, ale Myers miał na oku pewien fundusz inwestycyjny, kierowany przez matematycznych geniuszy z Connecticut, przynoszący kolosalne zyski dzięki trafnemu przewidywaniu fluktuacji kursów walut. International Advisory Partners byli niedostępni dla Desert Life

właśnie z powodu ryzyka, oficjalna inwestycja tego typu w ogóle nie wchodziła w grę, ale gdy tylko Elder zaakceptował projekt, Myers stworzył lewą spółkę handlu nieruchomościami, spełniającą - pozornie - wszystkie wymagania statutowe, i przekazał ponad miliard dolarów z rezerw IAP z nadzieją, że wysoki zysk poprawi ich raport.

Okazało się, że nie był to najlepszy czas na tego rodzaju przedsięwzięcia. IAP użyła miliarda Desert Life na transakcję opartą na założeniu spadku jena w stosunku do dolara... czy japoński minister finansów naprawdę musiał się wpięprzyć w sprawę swym oświadczeniu o odwrotnych założeniach polityki finansowej swego kraju? Pierwszy kwartał... i czternastoprocentowy spadek dochodów

254

z inwestycji. Chłopaki z IAP twierdzili stanowczo, że to tylko anomalia i ich strategia jest pewna. Wystarczy trochę poczekać, perspektywy są więcej niż różowe. No i tak w pełnym świetle pustynnego słońca trzymali się planu najmocniej, jak mogli, choć dłonie strasznie się im pociły.

Elder postanowił spotkać się z Peterem Benedictem w niedzielny ranek, bez fajerwerków i jak najdalej od biura. Kiepskiej jakości knajpka z goframi w północnym Los Angeles nie była lokalem, który odwiedzaliby o choczko jego przyjaciele lub współpracownicy, o umówionej godzinie więc, niemal dusząc się od zapachu syropu klonowego, siedział w łoży ubrany w białe popelinowe spodnie golfowe i cienki pomarańczowy kaszmirowy sweter. Nie bardzo pamiętał, jak wygląda ten Benedict, więc przyglądał się każdemu wchodzącemu klientowi. Mark pojawił się kilka minut spóźniony: bezpretensjonalny facet w dzinsach i tej swojej wszechobecnej czapeczce Laker-sów. W ręku trzymał szarą kopertę. Spostrzegł Eldera, nim Elder spostrzegł jego, zebrał się w sobie i ruszył w kierunku

łoży.

Prezes wstał na jego widok.

- Witaj, Peter - powiedział. - Miło cię znowu widzieć.

Mark był nieśmiały i nieswój. Obyczaje wymagały, by porozmawiać co najmniej chwilę na obojętne tematy, a to było dla niego bolesne doświadczenie. Łączył ich tylko blackjack, toteż Elder najpierw bawił go rozmową o kartach, a potem nalegał, by zjedli śniadanie. Marka rozpraszał lekki ból w piersiach, który, co go niepokoiło, mógł zmienić się w coś patologicznego. Popijał wodę z lodem i próbował się jakoś uspokoić, ale serce biło mu jak oszalałe. Może powinien wstać i wyjść?

Na to było już za późno.

255

Obowiązkowa rozmowa dobiegła końca i Elder przeszedł do rzeczy. Nie musiał już udawać uprzejmości, ostrym głosem spytał więc:

- A teraz powiedz mi, Peter, dlaczego sądzisz, że moja firma ma kłopoty?

Mark nie miał formalnego wykształcenia w biznesie, ale w Dolinie Krzemowej nauczył się, jak czytać sprawozdania finansowe. Zaczął od analizy sprawozdań, które jego własna firma ochrony danych przygotowała dla Komisji Nadzoru Giełdowego, a potem, gdy szukał dobrych inwestycji, zaczął sprawdzać inne firmy technologiczne. Kiedy trafiał na jakiś finansowy pomysł, którego nie rozumiał, czytał o nim i czytał, aż wreszcie zgromadził wiedzę, której mógłby mu pozazdrościć biegły księgowy.

Umysłowych koni mechanicznych miał tyle, że logika i matematyka, na której opierała się księgowość, były dla niego trywialne.

Teraz, przez ściśnięte gardło, zgrzytliwym mechanicznym głosem zaczął wymieniać wszystkie subtelne anomalie występujące w 10-Q, kwartalnym rozliczeniu finansowym, przedstawianym rządowi. Znalazł trop oszustwa, które przegapiono na Wall Street! Uczynił nawet trafne przypuszczenie, że firma, w poszukiwaniu szybkich zysków, zdecyduje się łowić ryby w mętnej wodzie.

Elder słuchał go i choć żołądek mu się skręcał, był także zafascynowany, a kiedy

Mark skończył, odciął kawałek gofra i zaczął go spokojnie żuć. Przełknął i powiedział:

- Nie oceniam, czy twoje przypuszczenia są bliskie prawdy czy nie. Zakładam, że po prostu powiesz mi, co twoim zdaniem możesz zrobić dla mojej firmy.

Peter wręczył mu przez stolik kopertę, którą do tej pory trzymał na kolanach. Nie powiedział nic, ale nie musiał; było jasne, że oczekuje jej otwarcia. W środku znajdował się plik wycinków prasowych.

256

I wszystkie dotyczyły Mordercy Dnia Sądu.

— Co to takiego, do diabła - zdziwił się Elder.

— Coś, co uratuje pańską firmę - wyszeptał Mark. To była ta chwila, wielka chwila, aż w głowie mu się kręciło. Nie umiał jej wykorzystać.

Elder zareagował instynktownie. Wstał.

— Kim ty, do cholery, jesteś? Zwariowałeś? Jeśli chcesz wiedzieć, znałem jedną z ofiar.

— Kogo? - wychrypiał Mark.

— Davida Swishera. - Elder sięgnął do kieszeni po portfel.

Mark zebrał całą pozostałą mu odwagę.

— Powinien pan usiąść. On nie był ofiarą.

Elder usiadł.

— Muszę powiedzieć, że nie podoba mi się kierunek, w jakim zmierza nasza rozmowa. Masz minutę na wyjaśnienie, o co tu w ogóle chodzi. Po minucie odchodzę. Zrozumiałeś?

— No... chyba można powiedzieć, że był ofiarą. Ale nie był ofiarą Mordercy Dnia Sądu.



— Skąd możesz to wiedzieć?

— Ponieważ Morderca Dnia Sądu nie istnieje.

—

6 czerwca 795 Vectis, Brytania

Opat Josephus przejrzał się w jednym z wysokich okien kapitulacza. Na zewnątrz było ciemno, ale w środku świeciły jeszcze świece, szyba miała więc własności lustra. Zobaczył pokaźny brzuch i obwisłe policzki jedyne dorosłego mężczyzny w opactwie, u którego nikt nie dostrzegłby tonsury, ponieważ był całkowicie łysy. Młody mnich, Iberyjczyk o ciemnych włosach i brodzie gęstej jak niedźwiedzie futro, zapukał i wszedł, niosąc gasidło do świec. Pochylił się nisko i zabrał do pracy.

— Dobry wieczór, ojciec - powiedział z akcentem tak silnym, że niemal niezrozumiale.

— Dobry wieczór, Jose.

Opat lubił go najbardziej ze wszystkich młodszych braci, za jego intelekt, talent miniaturzysty i nieustanny dobry humor. Jose nie bywał ponury, a kiedy coś go rozbawiło, jego śmiech przypominał mu ten sprzed lat, dobywający się z ust jego przyjaciela, kowala Matthiasa, który odlał dzwon opactwa.

W kapitulaczu zapadła ciemność. Jose zostawił dwie świece

258

w celi opata, jedną na stole, drugą przy pryczy, po czym wyszedł, życząc przełożonemu dobrej nocy. Samotny Josephus klęknął przy łóżku. Odmówił modlitwę, tę samą, którą jako opat odmawiał codziennie:

- Boże, pobłogosław swego pokornego sługę, usiłującego czcić cię każdego dnia. Daj mi siłę, bym był dobrym pasterzem tego opactwa i zawsze służył Twym celom. Pobłogosław też swe naczynie, Octavusa trudzącego się, by wypełnić Twą boską misję, albowiem Ty kierujesz jego ręką, tak jak kierujesz naszymi sercami i umysłami. Amen.

Zdmuchnął świecę i położył się na pryczy.

Kiedy biskup Dorchester spytał nowego opata, kogo chce mieć za przeora, Josephus

bez wahania wskazał siostrę Magdalenę. Z pewnością nie było lepszego od niej kandydata do pełnienia tej funkcji. Jej talenty organizacyjne i obowiązkowość nie miały sobie równych wśród duchownych mogących aspirować do tej pozycji. Ale Josephusem kierował jeszcze inny motyw, mocno go niepokojący. Potrzebował jej pomocy, by chronić misję, którą, w co głęboko wierzył, miał do wypełnienia Octavus.

Siostra była pierwszą przeoryszą Vectis. Modliła się gorąco o wybaczenie dumy przepelniającej ją każdego dnia. Josephus pozwolił jej zajmować się wszystkimi praktycznymi szczegółami, całą administracją opactwa, czyli obowiązkami, które sam wykonywał za rządów Oswyna. Cierpliwie wysłuchiwał jej codziennych raportów, skarg na niegospodarność i nieoby-czajność, z którymi walczyła z takim zapałem. Musiał przyznać, że Vectis jest dziś znacznie bardziej zdyscyplinowane i lepiej wyposażone niż za jego rządów jako przeora. Owszem, częściej wszczynano kłótnie o drobiazgi, ale interweniował niechętnie

259

i tylko wówczas, gdy działania siostry wydały mu się przesadne lub okrutne. Całą swą uwagę skupił na modlitwie, dokończeniu budowy opactwa, no i, oczywiście, Octavusie.

Dwa ostatnie zajęcia sprowadzały go, oczywiście, do scrip-torium. Po śmierci Oswyna Josephus raz jeszcze przestudiował plany i zdecydował, że nowe musi być jeszcze wspanialsze. Zawsze całym sercem wierzył, że święte księgi i teksty produkowane na Vectis mają wielkie znaczenie dla dzieła naprawy ludzkości. Oczami wyobraźni widział przyszłość, w której jeszcze większa liczba mnichów produkuje jeszcze więcej manuskryptów, a ich wysiłki uszlachetniają opactwo i całe chrześcijaństwo.

Co więcej, pragnął stworzenia prywatnej komnaty, miejsca świętego umieszczonego wewnątrz budynku, gdzie Octavus mógłby pracować bez przeszkód. Miało być specjalnie chronione; to tam przelewałby na papier gotujące się wewnątrz niego imiona, jak piwo leje się z odszypuntowanej beczki.

Piwnica scriptorium była ciemna i chłodna, doskonała do przechowywania wielkich arkuszy welinu oraz dzbanów inkaustu, a także całkowicie wystarczająca dla chłopca niepragnącego ani zabaw w słońcu, ani spacerów po otwartych łąkach. Koniec piwnicy odgradzono ścianą; tam, za zamkniętymi drzwiami, Octavus żył w świecie nieustannego mroku, rozpraszanego tylko światłem świec. Całe jego życie toczyło się na stołku, przy stole, koncentrowało na maczaniu pióra w inkaucie i zapisywaniu kolejnych kart, póki nie tracił przytomności ze zmęczenia. Wówczas odnoszono go do łóżka.

Ze względu na zapał, z jakim poświęcał się swemu powołaniu, Octavus rzadko sypiał więcej niż kilka godzin na dobę i zawsze budził się sam, świeży i wypoczęty. Ilekroć Paulinus wkraczał rankiem do scriptorium, chłopiec już pracował. Młode

260

siostry lub nowicjuszek przynosiły mu posiłki, posłusznie unikając jakiegokolwiek kontaktu z owocami jego pracy, opróżniały nocne naczynie, stawiały nowe świece łożowe. Paulinus zbierał cenne zapisane karty i gdy zgromadził ich odpowiednią liczbę, oprawiał je w grubą skórę, nadając im formę książki.

Dorastając i zmieniając się z małego chłopca w młodzieńca, Octavus rósł, a raczej jego ciało wyciągało się, jakby piekarz rozciągał ciepłe ciasto. Członki miał cienkie i miękkie, niemal jak z gumy, cerę bladą jak chlebowe ciasto, bez śladu barwy. Nawet jego usta były bezbarwne, zaledwie z najdrobniejszym śladem różu. Gdyby Paulinus nie widywał szkarłatnych kropel pojawiających się na skórze jego palców w miejscu, w którym ranił ją pergamin, mógłby przysiąc, że w żyłach chłopca brak krwi.

W przeciwieństwie do większości mężczyzn, których twarze zmieniają się z czasem, szczęka Octavusa nie stała się kwadratowa i nos mu się nie poszerzył. To, że utrzymywał chłopięcy wygląd, domagało się wyjaśnienia, lecz przecież w jego życiu wszystko domagało się wyjaśnienia. Płomiennorude włosy pozostały płomiennorude. Mniej więcej co miesiąc Paulinus wzywał do niego fryzjera, by przystrzygł je w czasie, gdy chłopiec pracował, lub lepiej - we śnie, a potem podłogę celi zalegały loki koloru marchewki tak długo, aż zamiotła je któraś z opiekujących się nim dziewcząt.

Te, którym pod przysięgą zachowania tajemnicy pozwolono karmić go i usuwać nieczystości, pełne były nabożnej czci i zachwytu dla jego kamiennej, milczącej, jakby martwej urody i całkowitej koncentracji na wypełnianym dziele, choć najśmielsza z nowicjuszek, psotna piętnastoletnia Maria, od czasu do czasu próbowała przyciągnąć jego spojrzenie, zrzucając na ziemię kielich lub stukając łyżką o talerz. Bezskutecznie, albowiem nic nie mogło oderwać Octavusa od pracy.

Imiona

261

splywały z jego pióra na pergamin setkami, tysiącami, dziesiątkami tysięcy. Paulinus i Josephus często stali nad nim niczym pogrążeni we śnie na jawie, obserwując gwałtowne ruchy pióra. W wielu wpisach chłopiec posługiwał się alfabetem łacińskim, ale w wielu nie. Paulinus rozpoznawał arabski, aramejski i hebrajski, ale innych nie potrafił zidentyfikować. Octavus pisał szybko, w ogromnym kontraście do całkowitego braku napięcia bijącego z całej jego postaci. Kiedy pióro się tępiło, Paulinus podawał mu inne, zawsze więc kreślił litery drobne, stojące bardzo blisko siebie. Tak blisko, że ukończone strony wydawały się bardziej czarne niż białe. Kiedy zapisał jedną stronę karty, odwracał ją i pisał na drugiej stronie. Czerpał z jakiś wewnętrznych źródeł skąpstwa czy też może był tylko oszczędny, w każdym razie dopiero po zapisaniu obu stron karty brał następną. Stary uczonego skryba, cierpiący na artretyzm i nieustanne skurcze żołądka, uważnie przyglądał się każdej, nerwowo szukając na niej imienia, które mogło go szczególnie zainteresować. Na przykład Paulinus z Vectis.

Czasami rozmawiał z Josephusem o tym, jak cudownie byłoby móc spytać małego, co sądzi o dziele swego życia, i otrzymać na to pytanie zrozumiałą odpowiedź. Ale równie dobrze mogli życzyć sobie, by krowa wyjaśniła im sekret swego istnienia. Octavus nigdy nie spojrzał im w oczy, nigdy nie odpowiedział na żadne pytanie, nigdy nie okazał emocji, nigdy nie przemówił. Przez lata dwaj starzejący się mnisi dyskutowali nad celem jego pracy w kontekście biblijnym. Bóg, wieczny i wszechwiedzący, wie wszystko o przeszłości i teraźniejszości, ale także o

przyszłości. Co do tego obaj byli zgodni. Wszystkie sprawy tego świata z pewnością determinuje wizja Boga i Stwórcy najwyraźniej wybrał cudem narodzone dziecko jako żywe pióro zapisujące to, co ma się zdarzyć.

262

Paulinus miał kopie trzynastu ksiąg świętego Augustyna, jego Wyznań. Mnisi z Vectis bardzo je szanowali, jako że uważali Augustyna za swego przewodnika duchowego, ustępującego tylko świętemu Benedyktowi. Obaj wielokrotnie pochylali się nad tymi woluminami i niemal słyszeli czcigodnego świętego przemawiającego do nich poprzez czas tymi słowami: "Bóg decyduje o wiecznym przeznaczeniu każdego człowieka. Los ludzi biegnie według bożego wyboru".

Czy Octavus nie był widowym dowodem tego twierdzenia?

Początkowo Josephus trzymał oprawione w skórę księgi na regale opartym o ścianę w celi Octavusa. W wieku lat ośmiu chłopiec napisał już dziesięć grubych ksiąg i trzeba było dostawić drugi regał. W miarę dorastania pisał coraz szybciej i obecnie tworzył dziesięć ksiąg rocznie. Istniejące już siedemdziesiąt ksiąg z trudem mieściło się w niewielkim pomieszczeniu i opat zdecydował, że powinny one mieć swe własne miejsce. Odciągnął robotników od prac w innych częściach opactwa i kazał im zrobić wykop po przeciwnej stronie piwnicy scriptorium, naprzeciw celi Octavusa. Kopiści pracujący w głównej sali narzekali na stłumione wprawdzie, ale wyraźne hałasy; stuk kilofów i zgrzyt łopat, Octavusowi nic jednak nie mogło przeszkodzić. Parł przed siebie jak burza. W krótkim czasie powstała biblioteka dzieł Octavusa, chłodna, sucha, kamienna krypta. Ubertus osobiście nadzorował pracujących przy jej konstrukcji kamieniarzy świadomy, że za zamkniętymi drzwiami jest jego syn, ale nie myślał nawet o tym, by go zobaczyć, choćby przez chwilę. Jego dziecko należało teraz nie do niego, lecz do Boga.

Josephus utrzymywał pracę Octavusa w ścisłej tajemnicy. Tylko Paulinus oraz siostra Magdalena wiedzieli, czym zajmuje się chłopiec, a poza nimi tylko kilka dziewcząt miało z Octavusem bezpośredni kontakt. Oczywiście w niewielkiej spo-

263

łeczności opactwa natychmiast zaczęto szeptem przekazywać sobie fantastyczne plotki o tajemniczych tekstach i sekretnych rytuałach z udziałem młodego człowieka, którego plotkujący nie widzieli od czasu, gdy był mały, jednakże Josephus był tak szanowany i lubiany, że nikt nie ośmielił się kwestionować ani jego pobożności, ani prawości czynów. Na świecie wiele było rzeczy, których mieszkańcy Vectis nie rozumieli. Oto pojawiła się jeszcze jedna, nic więcej, a oni ufali Bogu i Josephusowi, i wierzyli, że zapewni im bezpieczeństwo, a także wskaże drogę prowadzącą do zbawienia.

Siódmego lipca Octavus obchodził swoje osiemnaste urodziny. Zaczął dzień od ulżenia sobie w kącie, po czym podszedł do stołu, umoczył pióro w inkauscie i podjął pracę dokładnie w tym miejscu, w którym przerwał ją poprzedniego dnia. Kilka wielkich świec, umieszczonych w ciężkich kutych lichtarzach, płonących nawet wówczas, gdy spał, oświetlało stół ruchomym żółtym blaskiem. Mrugnął, przynosząc ulgę wyschniętym oczom.

Kolejne imię. "Mors". I kolejne. "Natus".

I tak dalej.

Wczesnym rankiem Maria, nowicjuszka, zapukała do drzwi i weszła, nie czekając na odpowiedź. Była to miejscowa dziewczyna, pochodząca z obróconej w stronę Normandii, południowej części wyspy. Jej ojciec był chłopem mającym za wiele gąb do wykarmienia. Oczekiwał, że jego obiecującej córce lepiej będzie w służbie bożej niż z pustym żołądkiem przy młóceniu pszenicy. Było to jej czwarte lato w opactwie. Siostra Magdalena miała ją za bystre dziecko, szybko uczące się modlitw, choć nieco zbyt żywe jak na jej gust. Zawsze radosna Maria chętnie bawiła się kosztem innych nowicjuszek,

264

ukrywając im sandały lub wkładając żołądź do łóżka. Przeorysza uznała, że jeśli nie nabierze manier, nie powinna zostać przyjęta do zakonu.

Tego dnia przyniosła na tacy lekkie śniadanie: razowy chleb i plaster bekonu. W

odróżnieniu od innych dziewcząt, przestraszonych, nieodzywających się do Octavusa, zalewała go potokiem słów, jakby był normalnym młodym człowiekiem. Stała przed jego stołem, próbowała sprawić, by podniósł na nią wzrok. Kasztanowate włosy nadal długie, wijące się, spływały spod welonu. Gdyby została siostrą, obcięłoby je krótko; życzyła sobie tego, a jednocześnie się bała. Była wysoka, mocno zbudowana, ale patykowata, jak to w jej wieku. I ładna z tymi zawsze zaczerwienionymi policzkami.

- Wiesz, Octavusie - powiedziała - mamy piękny letni poranek, jeśli w ogóle cię to obchodzi.

Postawiła tacę na stole. Zdarzało się, że Octavus nie tykał jedzenia, ale wiedziała, że lubi bekon. Teraz też odłożył pióro i zaczął jeść.

- Wiesz, dlaczego dostałeś dziś bekon? - spytała. Chłopiec jadł łapczywie, gapiąc się w talerz. - Dlatego że dziś są twoje urodziny! - wykrzyknęła. - Masz osiemnaście lat.

Gdybyś chciał dziś odpocząć, odłożyć pióro, pospacerować w słońcu, powiedziałabym im i z pewnością by ci pozwolili.

Octavus skończył jeść i natychmiast powrócił do pisania, rozmazując tłuszcz z palców po pergaminie. Maria troszczyła się o niego przez dwa lata i przez ten czas podopieczny interesował ją coraz bardziej. Wyobrażała sobie, że kiedyś przemówi do niej, zdradzi jej swoje sekrety. W dodatku wmówiła sobie, że jego osiemnaste urodziny są szczególnie ważne, jakby przejście w dorosłość miało odczynić urok, pozwolić temu dziwnie pięknemu młodzieńcowi wejść w krąg mężczyzn.

265

- Nawet nie wiesz, że to twoje urodziny - powiedziała sfrustrowana. I zaczęła się z nim drażnić. - Siódmy lipca.

Wszyscy wiedzą, kiedy się urodziłeś, bo jesteś niezwykły, nie?

Sięgnęła pod lnianą bluzkę, wyciągnęła ukryte pod nią małe zawiniątko rozmiaru jabłka, owinięte płótnem i związane skórzanym rzemykiem.

- Mam dla ciebie prezent, Octavusie - powiedziała śpiew

nym, kuszącym głosem. Stała za jego krzesłem. Sięgnęła obok niego, położyła zawiniątko na karcie, na której pisał. Octavus musiał zaprzestać pracy; siedział nieruchomo, patrząc przed siebie spojrzeniem bez wyrazu, takim, jakim patrzył na wszystko.

— Rozpakuj - zachęciła go dziewczyna.

Chłopiec się nie poruszył.

— Dobrze, w takim razie ja rozpakuję.

Maria pochyliła się jeszcze głębiej, otoczyła jego smukłą talię silnymi ramionami. W prezencie przyniosła mu okrągłe, złote ciasteczko, płamiące płótno słodką mazią.

- Popatrz, no popatrz! To ciasteczko miodowe! Sama je upiekłam, specjalnie dla ciebie!

Mocno przytuliła się do jego pleców. Być może przez cienką koszulę czuł dotyk jej twardych piersi. Być może czuł na policzkach ciepłą skórę jej przedramion. Być może czuł kobiecy zapach ciała dziewczyny lub ciepłe muśnięcie jej oddechu. W każdym razie puścił pióro, ręka opadła mu na kolana. Oddychał ciężko, wydawało się, że coś bardzo mu dokucza.

Przestraszona Maria cofnęła się o kilka kroków. Nie widziała, co robi, ale wydawało się, że chwyta własne ciało, jakby ukąsiła go pszczoła. Za to słyszała, jak syczy i pojękuje przez zaciśnięte zęby. Te odgłosy wydały się jej zwierzęce.

Nagle Octavus wstał i odwrócił się. Dziewczyna westchnęła cicho. Nogi się pod nią ugięły.

266

Octavus rozpiął spodnie. W ręku trzymał wielki, sztywny członek, tak ciemnoróżowy jak żadna część jego ciała. Skoczył w jej kierunku. Potknął się o opadające spodnie, chwycił piersi Marii długimi palcami, jak mackami wyposażonymi w przyssawki. Oboje upadli na klepisko.



Maria była od niego silniejsza, lecz szok sprawił, że osłabła i jak kocię nie potrafiła się bronić. Instynktownie podciągnęła długą koszulę, obnażając kremowe uda.

Octavus wszedł pomiędzy jej nogi, napał na ciało. Głową, sięgającą poza ramię dziewczyny, dotykał klepiska. Wydawał z siebie szybkie, świszczące odgłosy.

Dziewczyna знаła świat, wiedziała, co się dzieje.

- Chryste, mój Panie, miej nade mną litość! - krzyczała raz za razem.

Kiedy Jose, Iberyjczyk, zaalarmowany jej krzykiem, zbiegł po schodach ze scriptorium do celi w piwnicy, zobaczył Marię siedzącą, opartą o ścianę i płaczącą cicho. Jej koszula poplamiona była krwią. Octavus siedział przy stole. Spodnie miał opuszczone do kostek. Pióro śmigalo po karcie pergaminu.

15 lipca 2009 Nowy Jork

Było duszno i parno. W taki wieczór bijące od trotuaru ciepło wydaje się wręcz okrutne, a nowojorczycki deptak chodnikowe płyty rozmiękającymi podeszwami butów, stawiając ciężkie, powolne kroki, zmęczeni walką z powietrzem gęstym jak kisiel. Willowi, dźwigającemu kilka ciężkich plastikowych toreb z zaopatrzeniem na party, koszulka polo przy-kleila się do piersi.

Otworzył piwo. Zapalił gaz i czekając, aż rozgrzeje się garnek, pokroił cebulę. Jej syk i słodki dym, wypełniający wnękę kuchenną, sprawił mu wielką przyjemność. Od dawna nie czuł zapachów domowej kuchni, nie pamiętał nawet, kiedy po raz ostatni użył piecyka. Prawdopodobnie w epoce Jennifer, ale ten związek powoli zacierał mu się w pamięci.

Mielona wołowina przyrumieniała się apetycznie, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Nancy przyniosła szarlotkę i pudło topiącego się mrożonego jogurtu. W dzinsach bio-drówkach i krótkiej bluzce bez rękawów sprawiała wrażenie spokojnej i zrelaksowanej.

268

Natychmiast zauważyła, że Will także się rozluźnił. Jego twarz nie była tak wyrazista jak zazwyczaj, nie zaciskał zębów i nie garbił się. Przywitał ją uśmiechem.

- Wyglądasz, jakbyś był szczęśliwy - powiedziała, nie kryjąc zdziwienia.

Will wziął od niej torbę, po czym... pochylił się i cmoknął ją w policzek. Zaskoczył tym ich oboje. Natychmiast cofnął się o krok, a Nancy zarumieniła się; równowagę odzyskała dopiero, wdychając zapach kminku i przesyconego ostrą papryką dymu, i żartując na temat nowo odkrytych talentów kulinarnych partnera. Potem on mieszał w garnku, ona zaś nakrywała stół.

- Masz coś dla niej? - spytała.

Will się zawahał. Pytanie wydało mu się dziwne.

— Nie - przyznał. - A powinienem?

— Oczywiście.

— Co?

— To już zależy od ciebie. Jesteś jej ojcem.

Ucichł. Nastrój zmienił mu się diametralnie.

— Mogę pobiec po kwiaty - zaproponowała Nancy.

- Dzięki. - Zastanawiał się chwilę, po czym skinął głową, jakby zgadzał się z własną opinią. - Lubi kwiaty.

Strzelał; pamiętał małą dziewczynkę ściskającą w tłuściutkiej rączce bukiet stokrotek.

Tak - powtórzył. - Jestem pewien, że lubi kwiaty.

Poprzednie kilka tygodni było prawdziwą mordęgą. Marzenie o większej sprawie przeciw Luisowi wyparowało, pozostało zaledwie skromne morderstwo. Choć próbowali, nie mogli przykleić mu choćby jednego morderstwa Dnia Sądu; nawet się do tego nie zbliżyli. Pracowicie gromadzili informacje,

269

zrekonstruowali każdy dzień jego życia z ostatnich trzech miesięcy. Okazał się pracownikiem solidnym i godnym zaufania. Latał do i z Las Vegas dwa do trzech razy w tygodniu. W zasadzie większość nocy spędzał w Nowym Jorku, w domu

swojego kochanka, ale że nie opuścił go instynkt kota dachowca, bywał w klubach i barach dla gejów, i kiedy jego partner był zmęczony lub czymś zajęty, z zapalem szukał nowych związków. John Pepperdine należał do typów monogamicznych, o niewielkiej energii seksualnej, w Luisie Camacho płonęła ona gorącym ogniem. Nie było żadnych wątpliwości, że gwałtowny temperament Luisa doprowadził do zamordowania Johna, ale tylko jego.

A w ogóle morderstwa się skończyły; dobra wiadomość dla tych, którzy nadal oddychają, zła dla śledztwa, które z konieczności kręciło się w kółko. Aż pewnego dnia Will doznał swego rodzaju olśnienia. A jeśli John Pepperdine był jednak zamierzoną dziewiątą ofiarą Mordercy Dnia Sądu, lecz Luis Camacho uderzył pierwszy, popełniając zbrodnię w afekcie?

Może powiązanie Luisa z Las Vegas było tylko klasyczną zmyłką? Co, jeśli prawdziwy Morderca Dnia Sądu był tego dnia na City Island, zdumiony tym, że ktoś zabił ofiarę za niego? I co, jeśli potem, by utrudnić życie władzom, przywarował, pozwalając im gotować się we własnym sosie? Zasiał chaos i frustrację?

Will dostał nakazy sądowe pozwalające mu przejąć materiały mediów, które były obecne tego ciepłego krwawego wieczoru na Minnieford Avenue. Wspólnie z Nancy przez ładne kilka dni przeglądali godziny nagrań i setki cyfrowych obrazów, szukając na miejscu zbrodni jakiegoś innego ciemnoskórego mężczyzny średniej wagi i budowy. Nie znaleźli go, ale Will nadal uważał, że jego hipoteza ma sens.

270

Dzisiejsza uroczystość była dla wszystkich wymarzoną chwilą wytchnienia. Will wrzucił pudełko Uncle Bena do gotującej się wody i otworzył drugie piwo. Znów zadzwonił dzwonek; miał nadzieję, że to Nancy z kwiatami, i okazało się, że rzeczywiście, tylko tuż za nią stała Laura. Gadały jedna przez drugą i w ogóle zachowywały się jak najlepsze przyjaciółki. Towarzyszył im młody mężczyzna, wysoki, chudy jak szczapa, z inteligentnymi, rozbieganymi oczami i mnóstwem kręconych brązowych włosów.

Will wyrwał niemal bukiet Nancy i natychmiast wręczył go córce.

— Gratulacje, mała - powiedział zmieszany.

— Ależ tato, nie musiałeś kupować mi kwiatów - zażartowała Laura.

— I nie kupilem.

— Tato, to jest Greg.

Mężczyźni nieco za długo potrząsali dłońmi.

— Miło mi pana poznać.

— Nawzajem. Nie spodziewałem się ciebie, ale miło cię wreszcie poznać, Greg.

— Uznał, że potrzebuję moralnego wsparcia - zażartowała Laura. - On już taki jest.

Weszła, mijając ojca, cmoknęła go w policzek, rzuciła torbę na sofę, odpięła boczną kieszeń. Triumfalnie pomachała umową z Elevation Press.

- Podpisane i przyjęte! - krzyknęła.

- Mogę już nazywać cię pisarką? - spytał Will.

Skinęła głową. W jej oczach zabłyśły łzy.

Will odwrócił się szybko i uciekł do kuchenki.

— Lepiej jeść niż płakać - powiedział.

— On nie znosi okazywania uczuć - szepnęła Laura do Nancy.

271

- Zauważyłam bez twojej pomocy - odparła cicho Nancy.

Siedzieli nad dymiącymi miskami chili. Will po raz nie wiadomo który wzniosł toast; chyba cieszyło go, że wszyscy piją szampana.

Wyciągnął drugą butelkę i od razu zrobił z niej użytek. Nancy niby to protestowała, ale pozwoliła mu napełnić swój kieliszek, aż piana przelała się i zmoczyła jej palce.

— Prawie nie piję, ale to bardzo smaczne - przyznała.

— Tutaj wszyscy piją - stwierdził Will. - A ty, Greg?

— Z umiarem.

— A ja piję dużo z umiarem - zażartował Will; dostrzegł, jak córka rzuca mu w tym momencie ostrzegawcze spojrzenie. - Myślałem, że dziennikarze piją jak smoki.

— Niektórzy tak, inni nie.

— Będziesz tym niektórym, co łązi za mną po konferencjach prasowych?

- Chcę pisać. Dziennikarstwo śledcze.

W tym momencie wtrąciła się Laura.

— Greg wierzy, że dziennikarstwo śledcze to najlepszy sposób podejścia do problemów społecznych i politycznych.

— Doprawdy? - spytał ostro Will. Jeżył się na każdy, choćby najmniejszy objaw świętoszkowatości.

— Doprawdy - odparł Greg równie ostro.

— W porządku, a teraz oznajmiam, że zwycięzcą został... - wtrąciła Laura, żeby rozładować atmosferę. Ale jej ojciec nie ustępował.

— Jak wyglądają perspektywy pracy dla dziennikarza śledczego?

— Nie najlepiej. Jestem na praktyce w "Washington Post" i oczywiście bardzo chciałbym się tam załapać, więc jeśli będzie pan coś dla mnie miał, oto wizytówka. - Był to żart, lecz nie do końca.

Will schował wizytówkę do kieszeni koszuli.

272

- Przyjaźniłem się kiedyś z dziewczyną z "Posta". -

Prychnął. - Dlatego, jeśli starasz się tam o pracę, nie używaj mojego nazwiska.

Laura bardzo pragnęła zmienić temat.

- Nikt nie chce wiedzieć, jak przebiegało spotkanie? - spytała.

- Wszyscy chcemy. Opowiadaj.

Laura wypła łyżeczek szampana.

— Było wspaniale - powiedziała miękko. - Moja redaktorka, Jennifer Ryan, jest naprawdę słodka. Przez dobre pół godziny opowiadała mi, że bardzo podobają się jej moje poprawki i że książka wymaga tylko drobnej kosmetyki i tak dalej, i tak dalej. A potem powiedziała, że pojedziemy na czwarte piętro spotkać się z panem Matthew Bryce'em Williamsem, wydawcą. Samo wydawnictwo mieści się w starym domu, bardzo pięknym, a biuro Matthew to wielki pokój, ciemny, wypełniony książkami, jak jakiś brytyjski klub, rozumiecie, on sam to starszy pan, w wieku taty, ale o wiele bardziej godny...

— Hej! - nie wytrzymał Will.

— Kiedy właśnie taki jest - nie dała sobie przerwać dziewczyna. - Wygląda jak karykatura brytyjskiego dżentelmenar, ale ma mnóstwo wdzięku, ogładę, i... nie uwierzycie... poczęstował mnie sherry! Rozlewał ją z kryształowej karafki do kryształowych kieliszków! Wszystko było takie... doskonale. Potem mówił, jak bardzo podoba mu się to, co piszę, a mój styl nazwał "oszczędnym, lecz silnym, muskularnym, świeżym głosem młodości". - Powiedziała te słowa z przesadnym brytyjskim akcentem. - Potraficie uwierzyć, że tak mnie ocenił?

— A ocenił też, ile możesz zarobić? - zainteresował się Will.

— Nie! Nie zamierzałam rujnować tej wspaniałej chwili prostą dyskusją o pieniądzach.

— Cóż, nie dotrwasz do emerytury na zaliczce, prawda, Greg? Chyba że tak dobrze płacą za dziennikarstwo śledcze.

Młody człowiek nie miał zamiaru dać się sprowokować.

— Przecież to mały wydawca, tato. Produkuje może dziesięć książek rocznie.

— Będziesz ją promować serią spotkań z czytelnikami? - zainteresowała się Nancy.

— Jeszcze nie wiem, ale to przecież nie będzie nic wielkiego.

Napisałam powieść, nie bestseller.

Nancy chciała jeszcze wiedzieć, kiedy będzie mogła ją przeczytać.

- Korekta powinna być gotowa za kilka miesięcy. Wyślę ci kopię. Tobie też mam wysłać, tato?

Ojciec spojrzał jej w oczy.

— Nie wiem. Jak sądzisz?

— Sądzę, że przeżyjesz.

— Nie codziennie nazywają cię "kulą burzącą" - powie dział Will ze smutkiem. - A bardzo rzadko nazywa cię tak córka.

— Przecież to powieść. Nie ty jesteś jej bohaterem. Co najwyżej, jego pierwowzorem.

Will podniósł kieliszek.

— No to wypijmy za pierwowzory.

Wypili.

— A ty czytałeś tę książkę, Greg?

— Czytałem. Jest wspaniała.

— To wiesz więcej o mnie niż ja o tobie. - Will za chowywał się coraz swobodniej, mówił coraz głośniej. - Może

następna będzie właśnie o tobie?

— Wiesz, naprawdę powinieneś ją przeczytać - rzuciła

274

zgryźliwie Laura. - Napisałam według niej scenariusz, to się nazywa nadzieja.

Zostawię ci egzemplarz. Czyta się szybciej, no i dowiesz się, o co chodzi.

Laura i Greg wyszli zaraz po kolacji; musieli złapać pociąg do Waszyngtonu. Nancy została pomóc w sprzątaniu. Wieczór był zbyt miły, żeby go skracać, a Will otrząsnął się z tej swojej irytacji i znów sprawiał wrażenie łagodnego, zrelaksowanego; był kimś innymi niż spięty, gotowy w każdej chwili wybuchnąć mężczyzna, którego codziennie spotykała w pracy.

Na dworze światło bladło, ruch uliczny cichł, tylko od czasu do czasu słychać było wycie karetki z Bellevue. Pracowali ramie przy ramieniu w malutkiej kuchni, zmywali i wycierali naczynia, oboje lekko oszołomieni sporą ilością szampana. Will popijał szkocką. Oboje byli szczęśliwi, bo oderwali się od codziennej rutyny, a prostota prac domowych uspokajała i koila.

Kiedy Will później się nad tym zastanawiał, musiał przyznać, że niczego nie planował. Po prostu zamiast sięgnąć po kolejny talerz położył rękę na pośladku Nancy i zaczął go powoli masować.

Myślał też, że tego należało się spodziewać. Bo Nancy miała już kości policzkowe, sylwetkę klepsydry, a gdyby ktoś go, do diabła, pytał, powiedziałby, że wygląd wiele dla niego znaczy. Jednak, co ważniejsze, pod jego przewodnictwem ukształtowała się osobowość dziewczyny. Była spokojniejsza, mniej napalona, mniej narwana, a on, ku własnemu rozbawieniu, pozbył się przynajmniej części swego cynizmu. Od czasu do czasu, umiejętnie, nawet sympatycznie, posługiwała się sarkazmem. Nieznośna harcerka znikła gdzieś, a na jej miejscu

275

pojawiła się kobieta, która jeśli grała mu na nerwach, to zupełnie inaczej niż przedtem.



A teraz trzymała ręce w pianie. Nie wyjęła ich, tylko na chwilę przymknęła oczy.

Stała nieruchomo.

Obrócił ją i musiała coś zrobić z rękami. Położyła, mokre, na jego ramionach.

— Myślisz, że to dobry pomysł? - spytała.

— Nie, a ty?

— Ja też nie.

Pocałował ją. Podobało mu się, że ma takie miękkie usta, taką łagodną linię szczęki.

Pod palcami czuł napięty na jej pośladkach dżins. W jego nieco zaćmionej alkoholem głowie zapłonęło pożądanie.

— Dziś była sprzątaczką - szepnął. - Pościel jest czysta.

— Wiesz, jak oczarować dziewczynę.

Wiedział, że Nancy tego chce.

Ujął mokrą, śliską rękę i poprowadził dziewczynę do sypialni, padł na łóżko, pociągnął ją na siebie. Całował gorącą szyję, kiedy powiedziała:

- Będziemy tego żałować. Przepisy...

Przerwał jej pocałunkiem, ale zaraz cofnął głowę.

- Słuchaj, jeśli naprawdę tego nie chcesz, cofniemy zegarek o kilka minut i skończymy zmywanie.

Pocałowała go, teraz ona przejęła inicjatywę.

- Nienawidzę zmywania naczyń - odparła.

Kiedy wyszli z sypialni, było już ciemno. Pokój dzienny wydawał się niesamowicie wręcz cichy, tylko klimatyzacja szumiała, a z daleka dobiegały odgłosy ruchu na trasie FDR. Will dał Nancy czystą białą koszulę, tak jak wcześniej innym kobietom. Chyba lubiły dotyk krochmalonego materiału na

276

nagiej skórze i całą symbolikę tego archetypicznego obrazu, przynajmniej pod tym względem Nancy okazała się typowa. Koszula wchłonęła ją w siebie, okryła nader pruderyjnie. Usiadła na kanapie, podciągając kolana pod brodę. Jej ciało tam, gdzie było widoczne, wydawało się chłodne, żyłkowane jak alabaster.

— Napijesz się? - zaproponował Will.

— Myślę, że dziś wypiliśmy wystarczająco wiele.

— Żałujesz?

— Powinnam, ale nie żałuję. - Twarz Nancy pozostała zaróżowiona. Will pomyślał, że wygląda piękniej niż kiedykolwiek, a także wydaje się starsza. Bardziej kobieca. - Spodziewałam się, że to się może zdarzyć.

— Od jak dawna?

— Od początku.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Przez reputację, twoją i moją.

— Nie wiedziałem, że ty też masz reputację.

— Mam, tylko zupełnie inną. - Nancy westchnęła. - Jestem ta dobra dziewczynka, tylko bezpieczne wybory, nie kołyszę łodzią. Chyba w głębi duszy zawsze marzyłam o tym, żeby przewrócić łódź. Sprawdzić, jak to jest.

Will się uśmiechnął.

— Od kuli burzącej do katastrofy okrętowej. Dostrzegasz podobieństwa?

— Jesteś złym chłopcem, Willu Piperze. A dobre dziewczynki w głębi serca marzą o złych chłopcach. Nie wiedziałeś?

Willowi rozjaśniło się w głowie. Był niemal trzeźwy.

— Będziemy musieli to ukryć, wiesz?

— Wiem.

— Chodzi o twoją karierę... i moją emeryturę.

— Przecież wiem! Powinnam już iść.

— Nie musisz.

277

— Dziękuję, ale nie sądzę, żebyś naprawdę chciał gościć

mnie całą noc. - Nim Will zdążył zaprotestować, Nancy położyła dłoń na leżącym na niskim stoliku scenariuszu Laury. - Masz zamiar go przeczytać? - spytała.

— Nie wiem. Może...? Prawdopodobnie tak.

— Chyba chciałaby, żebyś przeczytał.

Sam w mieszkaniu Will nalał sobie whisky i zapalił stojącą na stoliku lampę.

Jaskrawe światło boleśnie raziło go w oczy. Patrzył na scenariusz córki; wydawało się, że powidok płonącej żarówki spala okładkę. Ustępował powoli, przybierając postać wpatrzony w niego, złowrogo uśmiechniętej twarzy. Twarz rzucała mu wyzwanie: weź scenariusz. Podjął je, mrużąc pod nosem: "Pieprzona kula burząca". Nigdy nie czytał scenariusza, ale lśniące mosiężne sztyfty już widział, ostatnio przed miesiącem, w domu Marka Shac-kletona. Odwrócił stronę tytułową i zaczął czytać. Przeszkadzała mu strasznie terminologia: te "wnętrza", "plany" i reszta bełkotu. Po kilku pierwszych stronach musiał wrócić do początku, ale szybko załapał, o co chodzi. Najwyraźniej bohater, którego był inspiracją, miał na imię Jack. W każdym razie jego oszczędny opis pasował do niego jak ulał: mocno zbudowany mężczyzna po czterdziestce, jasnowłosy produkt Południa, swobodny w zachowaniu, ale kiedy uznał za stosowne, twardy jak skała.

Nie zdziwiło go, że Jack jest doskonale funkcjonującym alkoholikiem i kobieciarzem. Żyje z nową kobietą, Marie, rzeźbiarką, która doskonale wie, że lepiej byłoby dla niej trzymać się od takich mężczyzn z daleka, lecz nie potrafi mu się oprzeć. Zdaje się, że droga za nim usłana jest trupami kobiet i że, co dla Willa było szczególnie bolesne, jedną z nich

278

jest jego córka, dziewczyna o imieniu Vicki. Prześladowają go wspomnienia o emocjonalnie słabej Amelii, którą, ujmując to metaforycznie, pobił na miazgę i która uciekła do wolności za pomocą wódki i tlenku węgla. Amelia - słabo skrywany hołd dla Melanie, pierwszej żony Willa i matki Laury - okazuje się kobietą, dla której fale życia stają się zbyt burzliwe, by po nich żeglować. Według scenariusza od czasu do

czasu pojawia się Jackowi, jaskrawoczerwona od trującego gazu, karcąc go za okrucieństwo wobec Marie.

W połowie scenariusza Will uznał, że jest zbyt trzeźwy, by kontynuować lekturę, toteż nalał sobie szkockiej na trzy palce. Począł, aż alkohol go znieczuli, i czytał dalej do gorzkiego końca: samobójstwa, przy którym Marie kibicuje szlochająca Amelia, i Vicki zrywającej trujący związek, wybierającej życie przy boku łagodniejszego, mniej porywczego mężczyzny. A Jack? Jack sprowadza się do Sarah, spotkanej na pogrzebie kuzynki Marie. Kula burząca nie przestaje się kołysać.

Will odłożył scenariusz, zastanawiając się, dlaczego nie płacze. A więc takiego widzi go córka. Czy rzeczywiście jest postacią aż tak groteskową?

Pomyślał o swoich byłych żonach, o zastępie przyjaciółek i długiej liście znajomości na jedną noc. A teraz jeszcze Nancy. Większość z nich to były naprawdę sympatyczne dziewczyny. I córka, świeże jajeczko przesiąknięte siarkowodorowym smrodem zgniłego jaja, ojca. Pomyślał też o...

Nagle przestał myśleć. Chwycił scenariusz, otworzył go na przypadkowej stronie.

- O cholera!

Courier 12, ten sam krój czcionki co na pocztówkach Dnia Sądu.

Zdażył już zapomnieć o tym, że dawno temu właśnie czcionka go zastanowiła, pamiątka po starych dobrych czasach maszyn

279

do pisania, w epoce komputerów i drukarek prawie niespotykana. Times New Roman, Garamond, Arial, Helvetica, to były nowe standardy epoki rozwijalnych menu.

Wszedł do Internetu i niemal natychmiast uzyskał odpowiedź. Courier 12 był obowiązkową czcionką scenariuszy, wymaganą bez żadnych wyjątków. Jeśli dasz producentowi scenariusz w innym formacie, kpiący śmiech wygna cię z miasta. I kolejny smakowity kąsek: programiści używają go najczęściej do pisania kodu źródłowego.

W ciąg jego myśli wdarł się obraz, kilka scenariuszy podpisanych "Peter Benedict",

kilka czarnych penteli, białe biurko, regał z książkami o komputerach i programowaniu. Obraz ten uzupełnił głos Marka Shackletona: "Nie sądzę, żebyś złapał faceta".

Przez chwilę rozważał implikacje, przedziwne implikacje, po czym odrzucił jako absurdalną możliwość związku między Dniem Sądu a swym dawnym kolegą z akademika. Shackleton, dorosły komputerowy maniak, ma ganiać po Nowym Jorku, strzelając, dźgając i w ogóle robiąc piekło na ziemi. Ludzie, ratunku!

Mimo wszystko: czcionka na pocztówce to sprawa nietknięta w śledztwie, a wygląda na to, że bardzo ważna. Wiedział, że lekkomyślnością jest ignorowanie własnych przeczuć, zwłaszcza kiedy oprócz nich nic już nie zostało.

Chwycił komórkę, wysłał do Nancy SMS-a: "Poczytamy sobie scenariusze. Nasz Dzionek może być scenarzystą".

28 lipca, 2009 Las Vegas

Przesunęła palcami po gładkich, chłodnych czternastokara-towych ogniwach łańcuszka, ostrych krawędziach diamentów i wąskiej, prostokątnej tarczy zegarka.

— Podoba mi się - szepnęła.

— Doskonały wybór, madame - pochwalił ją jubiler. -

Ten harry winston jest dość popularny. Nazywa się "Dama z alei".

Ta nazwa rozśmieszyła kobietę.

— Słyszałeś, jak się nazywa? - spytała swego towarzysza.

— Jasne.

— Przecież to wspaniałe!

— Ile? - spytał mężczyzna.

Jubiler spojrział mu w oczy. Gdyby miał do czynienia z Japończykiem,

Koreańczykiem albo Arabem miałby pewność, że transakcja już została zawarta. Z Amerykanami w khaki i baseballowych czapeczkach sprawa była nieco trudniejsza.

- Dziś mogę go panu sprzedać za dwadzieścia cztery tysiące

dolarów - powiedział.

281

Oczy kobiety rozszerzyły się nagle. To był najdroższy zegarek w sklepie. No, ale strasznie się jej podobał i dała mu to do zrozumienia, nerwowo dotykając jego ramienia.

— Weźmiemy go - powiedział mężczyzna bez wahania.

— Doskonale. Jak życzy pan sobie zapłacić?

— Proszę zapisać na pokój. Mieszkamy w Piazza Suite.

Normalnie jubiler znikłby w tylnym pokoju i potwierdził sprzedaż, ale w tej chwili czuł się bezpiecznie. Apartament należał do ich najlepszych, sto trzydzieści metrów kwadratowych marmuru i wpuszczona w podłogę salonu wanna z hydromasażem.

Miała na ręku zegarek, wychodząc ze sklepu. Niebo nad placem Świętego Marka było doskonale bladobłękitne, ozdobione doskonale wyważonymi puszystymi cumulusami. Minęła ich gondola z parą sztywnych, poważnych Szwajcarów. Gondolier zaczął śpiewać, by obudzić w klientach jakiś cień uczucia, jego piękny, bogaty głos odbił się echem od kopuły. Tu wszystko jest takie doskonale - pomyślał mężczyzna. Temperaturze daleko do śródziemnomorskiej, powietrze nie przesyci słonawy odór kanałów, no i nie ma tu gołębi. Nienawidził obrzydliwych ptaszysk od czasu, kiedy rodzice zabrali go na prawdziwy plac Świętego Marka; nieśmiałego, wrażliwego chłopca, któremu jakiś turysta cisnął pod nogi garść pokarmu dla ptaków. Gołębie rzuciły się na niego stadem, istny koszmar, i nawet teraz, zupełnie dorosły, nadal kulił się, słysząc trzepot skrzydeł.

Miała na ręku zegarek, kiedy przytuleni przechodzili holem hotelu Venetian.

Miała na ręku zegarek, kiedy jechali windą, nawet nadstawiła dłoń, tak by widziały go trzy jadące z nimi damy.

Miała na ręku zegarek... i nic innego... kiedy w apartamencie podziękowała mu najwspanialszym do tej chwili seksem.

Pozwolił jej mówić do siebie Mark, ona zaś pozwoliła, by

zamiast "Lydia" używał jej prawdziwego imienia, Kerry. Kerry Hightower.

Kerry Hightower pochodziła z Nitro w Wirginii Zachodniej, leżącego nad rzeką miasta, założonego na przełomie wieków przy fabryce prochu. Było to miejsce surowe i prymitywne, znane tylko z tego, że przez pewien czas pracował tu Clark Gable, kiedy jeszcze naprawiał telefony. Dorastała w ubogiej rodzinie, oglądając stare filmy z Gable'em i marząc o karierze gwiazdy filmowej.

W gimnazjum odkryła, że los poskąpił jej talentów aktorskich, niemniej zgłaszała się do każdego występu szkolnego i amatorskiego. Dostawała małe rólki tylko dlatego, że była taka spragniona gry i taka ładna. W liceum odkryła, że jednak ma talent: kocha seks, jest w nim bardzo dobra, a w dodatku całkowicie pozbawiona zahamowań. Przyjęła to jak objawienie i zdecydowała się na karierę mieszaną - postanowiła zostać gwiazdą filmów porno.

Jej przyjaciółka cheerleaderka, dwa lata starsza, przenieśli się do Las Vegas i dostała pracę krupierki. Dla Kerry Vegas leżało w trzech czwartych drogi do Kalifornii, gdzie z tego, co słyszała, kwitnie przemysł filmów dla dorosłych. Tydzień po otrzymaniu matury kupiła bilet w jedną stronę do Nevady. Wprowadziła się do przyjaciółki. Życie jej nie pieściło, ale pogodny temperament pomógł przetrwać trudne czasy. Przyjmowała jedną kiepsko płatną pracę po drugiej, aż wreszcie stanęła na równe nogi, czy też raczej dogodnie położyła się na wznak, w każdym razie trafiła do agencji towarzyskiej.

Kiedy w Constellation spotkała Marka, pracowała trzeci rok w czwartej agencji i wreszcie zaczęła odkładać pieniądze. Pracowała wyłącznie dla elity, szczególnie ceniącej jej niepo-przebijane niczym i niewytatuowane ciało dziewczyny z sąsiedztwa. Większość mężczyzn, z którymi miała okazję się

zetrząść, była w porządku, na palcach jednej ręki mogła policzyć sytuacje, w których krzywdzono ją lub jej grożono. Nigdy nie zakochała się w kliencie, w końcu każdy z

nich to frajer, ale z Markiem sprawa wyglądała zupełnie inaczej.

Od razu spodobało się jej, że jest taki słodki, gamoniowaty i nie udaje stuprocentowego mężczyzny. Był także cholernie bystry, a to, że pracował w Strefie 51 doprowadzało ją wręcz do szaleństwa. Bardzo ją to interesowało, ponieważ żyła w przekonaniu, że jako dziesięcioletnie dziecko pewnej letniej nocy widziała latający talerz, przemykający wysoko nad rzeką Kanawha, lśniący niczym słoik zbieranych na brzegu robaczków świętojańskich.

W dodatku od paru tygodni Mark dał sobie spokój z pseudonimami, zaczął kupować cały jej czas i jeszcze obsypywać ją prezentami. Czuła się już bardziej jego dziewczyną niż dziewczyną z agencji. Z dnia na dzień stawał się też coraz pewniejszy siebie, i choć nie był z niego żaden Clark Gable, bardzo urósł w jej oczach.

Nie wiedziała nic o pięciu milionach, pewnych i bezpiecznych w zagranicznym banku, dzięki którym Mark Shackleton zaczynał wierzyć w sukces Marka Shackletona. Peter Benedict znikł z horyzontu. Nie był już potrzebny.

W tym apartamencie nawet łazienki były wyposażone w pła-skoekranowe telewizory. Mark wyszedł spod prysznica i zaczął się wycierać. Telewizor włączony był na kanał kablowy. Nie zwracał na niego uwagi, póki o uszy nie obłyły mu się słowa "Dzień Sądu". Podniósł wzrok. Trwała właśnie cotygodniowa konferencja prasowa, Will Piper stał na podium, przemawiając do lasu mikrofonów. Na widok Willa w telewizji serce zawsze zaczynało mu bić jak oszalałe i teraz też mył zęby, nie odrywając oczu od ekranu.

284

Kiedy po raz ostatni widział go w telewizji, jego kolega z dawnych lat sprawiał wrażenie zniechęconego i przybitego. Pocztówki przestały przychodzić, nikt nikogo z ich powodu nie zabijał, wydarzenie przestało być medialne i nikomu nie zależało na jego nagłośnieniu. Dziś jednak najwyraźniej odzyskał energię, wróciło mu też dawne zaangażowanie.

— Mogę poinformować państwa - mówił właśnie - że



badamy w tej chwili nowe ślady i jestem przekonany, że uda się nam ująć sprawcę.

— Bzdura! - powiedział głośno zirytowany Mark. - Daj sobie spokój, człowieku.

I wyłączył telewizor.

Kerry drzemała w łóżku, naga, przykryta cienkim prześcieradłem. Mark przewiązał szlafrok paskiem, zszedł po kilku stopniach do salonu i wyjął z torby laptopa.

Podłączył się do Internetu. W skrzynce czekał na niego e-mail od Eldera, dłuższy niż zazwyczaj. Interesy szły bardzo dobrze. Załatwienie spraw i odpowiedź przez zabezpieczony portal zajęły mu prawie pół godziny.

Wrócił do sypialni. Kerry poruszyła się w łóżku. Pomachała pięknie udekorowanym nadgarstkiem, powiedziała coś o tym, jak przyjemnie byłoby mieć pasujący do zegarka naszyjnik, a potem odrzuciła nakrycie i pokiwała na niego paluszkami.

Dokładnie w tej chwili Nancy z Willem uprawiali przeciwieństwo seksu. Siedzieli w biurze Willa, przebijając się przez niewiarygodną górę kiepskich scenariuszy, a w dodatku nie mieli zielonego pojęcia, czemu posłużyć może to, co robią.

- Skąd ci się wzięła taka pewność siebie na konferencji?

285

— A co, przesadziłem? - Will odpowiedział na pytanie pytaniem, cicho, sennym głosem.

— O tak, nawet bardzo. Bo przecież... co my właściwie tu mamy.

Na to pytanie jedyną odpowiedzią było wzruszenie ramionami.

— Szukanie wiatru w polu jest o niebo lepsze niż załamywanie rąk.

— Powinieneś powiedzieć to prasie. No bo co jej powiesz w przyszłym tygodniu?

— Przyszły tydzień jest w przyszłym tygodniu.

Nawet szukanie wiatru w polu omal nie okazało się niemożliwością. Pierwsza

rozmowa Willa z Writers Guild of America zakończyła się klęską na całej linii. Oświecono go co do Ustawy Patriotycznej i obiecano walczyć do ostatniej kropli krwi przeciw rządowi, próbującemu swymi brudnymi łapskami sprofanować świętość, jaką są bez wątpienia przechowywane w archiwum scenariusze.

- Przecież nie szukamy terrorystów - protestował słabo -  
tylko obłąkanego seryjnego mordercy.

Ale WG A nie zamierzała się poddawać, musiał więc pójść wyżej z prośbą o nakaz sądowy.

Dowiedział się przy okazji, że scenarzyści są jak wiewiórki. Poza tym najwyraźniej żyli w paranoicznym strachu przed producentami, studiami, a przede wszystkim innymi scenarzystami, marzącymi tylko o tym, żeby ich oskubać. WGA gwarantowała im absolutne minimum spokoju i ochrony w ten sposób, że rejestrowała scenariusze i archiwizowała je albo elektronicznie, albo w ich papierowej postaci, na wypadek gdyby zaszła kiedyś konieczność udowodnienia praw autorskich. Wystarczyło tylko wysłać opłatę i egzemplarz scenariusza. Nie musiałeś być nawet jego członkiem, mógł to zrobić każdy

286

amator. Miała ona dwa oddziały, Zachodniego Wybrzeża i Wschodniego Wybrzeża, a sam zachód rejestrował rocznie pięćdziesiąt tysięcy scenariuszy. Niezły grosz. Departament Sprawiedliwości miał pewne drobne problemy z określeniem powodu wystawienia nakazu, Willowi wyjaśniono, że to "delikatna materia", niemniej postanowiono spróbować. FBI odniosło wreszcie sukces w dziewiątym okręgowym sądzie apelacyjnym, ponieważ rząd zgodził się ograniczyć wymagania tak, żeby poszukiwania nie przypominały szukania wszystkiego wszędzie. Mieli dostać scenariusze z Las Vegas z trzech ostatnich lat i mnóstwo kodów pocztowych Nevady. Nazwiska i adresy pisarzy utajniono. Jeśli po przebadaniu tego wszystkiego pojawią się jakieś "tropy", zdecydował sąd, po nazwisko autora rząd będzie musiał wrócić przed jego oblicze i przedstawić nową "prawdopodobną przyczynę".

No i scenariusze zaczęły spływać, większość w formie elektronicznej, ale część także

na papierze, w pudłach. Urzędnicy nowojorskiej centrali FBI weszli w tryb drukowania i w końcu biuro Willa przypominało karykaturę siedziby hollywoodzkiego agenta: wszędzie stosy papieru. Kiedy fala cofnęła się, pozostali z tysiącem sześciuset dwudziestu jeden scenariuszami rodem z Nevady, zawałającymi dwudzieste trzecie piętro Federal Buidling.

Bez konkretnych wskazówek Will i Nancy nie mogli przeglądać ich pospiesznie, szybko jednak znaleźli właściwy rytm i potrafili poświęcić jednemu scenariuszowi tylko piętnaście minut, czytając uważnie kilka pierwszych stron, dzięki czemu łapali ogólny pomysł, i przerzucając resztę. Zebrali się w sobie, przygotowali na pracę ciężką i powolną, mając nadzieję, że uporają się z nią w miesiąc. Ich strategia polegała na szukaniu tego, co oczywiste: fabuły o seryjnym mordercy, wzmianek o kartkach pocztowych, musieli jednak zachować przytomność

287

umysłu i wylapywać to, co mniej oczywiste: postaci i sytuacje, które po prostu z czymś się im skojarzyły.

Takiego tempa nie dało się utrzymać długo. Natychmiast rozboleły ich głowy. Zrobili się nerwowi, warczeli na siebie w pracy, po czym wracali do domu, do mieszkania Willa, i kochali się gorączkowo. Potrzebowali długich spacerów, to by im oczyściło głowy. A do szaleństwa doprowadzało ich przede wszystkim to, że ogromna większość tych scenariuszy była całkowitym gównem, niepojętym, śmiesznym lub tak nudnym, że aż chciało się popełnić samobójstwo. Trzeciego, może czwartego dnia tego piekła Will ożywił się nagle. W rękę trzymał scenariusz zatytułowany Gracze.

— Nie uwierzysz - powiedział podniecony - ale znam faceta, który to napisał.

— Skąd?

— Na pierwszym roku mieszkaliśmy w jednym pokoju.

W akademiku.

— Interesujące - powiedziała Nancy najwyraźniej niezain-

teresowana.

Will przejrzał Graczy dokładniej niż wszystkie poprzednie scenariusze, a kiedy odkładał wydruk powiedział do siebie: "Na twoim miejscu nie rzucałbym normalnej pracy, przyjacielu".

O trzeciej po południu Will wpisał do bazy danych kupę gówna o obcych z kosmosu, którzy przylecieli na ziemię rozbijać banki w kasynach, i kontynuował przeglądanie. Trącił Nancy w kolano czubkiem mokasy.

— Hej... - powiedział.

— Hej.

— Masz ochotę popełnić samobójstwo?

— Ja już nie żyję. - Spojrzała na niego, oczy miała suche, zaczerwienione. - O coś ci chodzi?

288

Następne dzieło Willa nosiło tytuł 7.44 do Chicago. Zajrzał do niego i jęknął.

— Chryste! Widziałem to kilka dni temu. Terrorysty w po ciągu. Co do diabła?

— Sprawdź datę rejestracji - poradziła Nancy. - Miałam już kilka podobnych przypadków. Autor zmienia coś w scenariuszu, wydaje kolejne dwie dychy i rejestruje go od nowa.

Will sprawdził w bazie danych.

— Kiedy masz rację, to masz - przyznał. - To późniejsza wersja. Pierwotna miała u mnie zero na dziesięć ze znaczenia dla sprawy. Nie dam rady znów tego czytać.

— Rób, jak uważasz.

Zamykał wydruk, kiedy niespodziewanie coś przyciągnęło jego wzrok, nazwisko bohatera. Przerzucił kilka kartek do początku, wyprostował się, kartkował scenariusz coraz szybciej. Nancy zauważyła, że coś się stało.

— Co? - spytała.

— Sekundka, jeszcze sekundka...

Widziała, jak szybko coś notuje, a kiedy powtarzała pytanie, dostawała zawsze jedną odpowiedź: "Mogłabyś poczekać jeszcze sekundkę?".

- To nie w porządku - zaprotestowała wreszcie.

Will odłożył scenariusz.

- Muszę znaleźć wcześniejszą wersję - rzucił wyraźnie podekscytowany. - Jak mogłem tego nie zauważyć? Szybko. Szukaj Siódma czterdzieści cztery do Chicago. Sprawdź ten stos z poniedziałku. Ja wezmę wtorek.

Nancy przysiadła na podłodze pod oknem i kilka minut później, prawie na samym dole, znalazła to, czego szukali.

- Nie wiem, dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, o co chodzi - poskarżyła się.

289

Wyrwał jej wydruk z dłoni. Zajrzał do środka i po sekundzie aż drżał z podniecenia.

- Dobry Boże - szepnął. - W porównaniu z wcześniejszą wersją zmienił nazwiska. To historia obcych sobie ludzi, pasażerów wysadzonego przez terrorystów pociągu z Los Angeles do Chicago. Sprawdź ich nazwiska.

Nancy wzięła scenariusz. Zaczęła czytać. Nazwiska wyskakiwały ku niej z zadrukowanych kartek: Drake, Napolitano, Swisher, Covic, Pepperdine, Santiago, Kohler, Lopez, Robertson.

Ofiary Mordercy Dnia Sądu. Wszyscy, bez wyjątku.

Gapiała się na nie oniemiała.

- Druga wersja, zarejestrowana pierwszego kwietnia dwa tysiące dziewiątego, siedem tygodni przed pierwszym morderstwem. - Wall mocno splótł dłonie. - Prima aprilis, cha, cha, pieprzone cha. Facet zaplanował to z góry, zapisał w pieprzonym scenariuszu! Potrzebne nam jego nazwisko, na wczoraj.

Pragnął pochwycić ją w ramiona, podnieść, obrócić kilka razy w powietrzu, ale porzesał na przybiciu piątki.

- Mamy cię, dupku - powiedział. - A twój scenariusz i tak cuchnie.

Następne dwadzieścia cztery godziny Will pamiętał tak, jak pamięta się tornado: rosnący niepokój, oczekiwanie, kurz w powietrzu, ogłuszające uderzenie, pas zniszczenia, a potem przedziwny spokój i beznadziejne liczenie strat.

Dziewiąty okręgowy sąd apelacyjny wydał nakaz, WGA musiało ujawnić dane autora. Siedział przy komputerze, kiedy usłyszał brzęknięcie, informujące o nadejściu e-maila od zastępcy prokuratora federalnego, pilnującego wykonania nakazu. Był to forward od WGA. W linii tematu widniało: "Odpowiedź w sprawie Rząd Stanów Zjednoczonych przeciw WGA Zachodnie dot. scenariusza zarejestrowanego pod numerem 4277304". Do końca życia miał pamiętać, jak się czuł, czytając treść.

290

W pełnej i całkowicie zgodnej z prawem odpowiedzi na wyżej wymienione wezwanie informujemy, że zarejestrowanym autorem scenariusza WGA #4277304 jest Peter Benedict, skrytka pocztowa 385, Spring Valley, Nevada.

Nancy weszła do pokoju i zobaczyła, że siedzi wpatrzony w monitor nieruchomo, jakby skamieniał. Podeszła bliżej, aż poczuł na karku jej gorący oddech.

— Coś się stało?

— Ja go znam.

— Jak to "znam"?

— Na studiach mieszkałem z nim w jednym pokoju. -

Will miał przed oczami obraz scenariuszy na białym, schludnie uporządkowanym biurku Shackletona, znów usłyszał pełne nacisku: "Nie sądzę, żebyś złapał tego faceta". Pamiętał, jak skrępowany był Mark jego nieoczekiwaną wizytą i...

— Pieprzone pentele!

— Co przepraszam?

Will potrząsał głową z rozpaczą.

— Trzymał na biurku czarne pentele. Supercienkie. Miałem wszystko jak na talerzu.

— Morderca? Twój współlokator? Człowieku, przecież to nie ma sensu.

— Jezu - jęknął Will. - Morderstwa Dnia Sądu są wy mierzone we mnie.

Palce Willa tańczyły na klawiaturze. Gorączkowo przeskakiwał z jednej bazy danych do drugiej. Sprawdzał federalne i stanowe. Polował na Marka, powtarzając w myśli: "Kim jesteś, człowieku? Kim naprawdę jesteś?".

291

Na monitorze pojawiały się kolejne informacje: data urodzin, numer ubezpieczenia, jakieś stare mandaty za złe parkowanie z Kalifornii, w życiorysie Shackletona jednak ziały doprowadzające do obłądu dziury. Zdjęcie na prawie jazdy z Nevady było zamazane, brakowało jakiegokolwiek informacji kredytowej, umowy kredytu hipotecznego, danych dotyczących wykształcenia i zatrudnienia. Brakowało danych o postępowaniach prawnych cywilnych lub kryminalnych. O podatku od nieruchomości. Facet nie figurował nawet w rejestrach urzędu skarbowego!

— To wszystko jest kompletnie popaprane - powiedział do Nancy. - Gatunek chroniony. Raz czy dwa zetknąłem się z czymś podobnym, ale to cholerna rzadkość.

— I co robimy?

— Wsiadamy do samolotu. Dziś po południu. - Nigdy nie słyszała go tak podnieconego. - Sami dokonamy aresztowania. Zaczniście z Sue papierkową robotę, natychmiast. Będzie nam potrzebny federalny nakaz aresztowania, wydany przez pro kuratora Nevady.

Nancy odgarnęła włosy z policzka.

- Zaraz wszystko załatwię.

Parę godzin później czekał już na nich samochód, którym mieli pojechać na lotnisko. Will kończył pakować teczkę; spojrzał na zegarek zdziwiony, że Nancy się spóźnia. Ciekawe dlaczego. Nawet pod nadzorem takiego wywrotowca jak on pozostała jej cnota punktualności.

Nagle usłyszał stuk obcasów, odgłos zwiastujący zbliżanie się Sue Sanchez.

Nadchodziła szybko, a jemu żołądek ścisnął się w odruchu Pawiowa.

Podniósł wzrok. Była skrzywiona i miała nieprzytomne spojrzenie. Chciała coś powiedzieć, ale zbyt wolno się do tego zabierała.

292

— Suzan? Co się stało? Muszę złapać samolot.

— Nie, nie musisz.

— Co?

— Benjamin właśnie dostał telefon z Waszyngtonu. Zostałeś zdjęty ze sprawy. Lipinski też.

— Co!?

— Definitywnie. Definitywnie zdjęty. - Suzan oddychała szybko, niemal hiperwentylowała.

— A to, do cholery, czemu, jeśli można wiedzieć?

— Nie mam pojęcia.

Will wiedział, że mówiła prawdę, potrafił to poznać. Była na granicy hysterii, ledwie zachowując profesjonalizm.

— Co z aresztowaniem?

— Nie mam pojęcia, a Ronald zabronił mi zadawać pytania.

Jak dla mnie za wysokie progi. Dzieje się coś wielkiego.

— Gówna prawda. Mamy mordercę.

— Nie wiem, co powiedzieć.

— Co z Nancy?

— Posłałam ją do domu. Nie chcą, żebyście byli partnerami.

Nigdy więcej.



— A to dlaczego?

— Nie mam pojęcia, Will. Rozkazy.

— To niby co mam teraz robić?

Sue patrzyła na niego ze smutkiem i przepraszająco; oficjalny wyraz twarzy tych, którzy nie pojmują, co się dzieje.

- Nic. Chcą, żebyś stał z boku i nic nie robił. Jeśli o ciebie chodzi, to koniec.

.

12 października 799 Vectis, Brytania

Kiedy urodziło się dziecko, Maria nie chciała dać mu imienia. Nie czuła, by było jej. Octavus brutalnie je w niej umieścił, a jej przyszło żyć dalej, podczas gdy ciało robiło się coraz cięższe, w miarę jak zbliżał się jej czas. Musiała znieść ból narodzin tak, jak zniosła akt poczęcia.

Karmiła je piersią, ponieważ piersi miała pełne i tego od niej wymagano, ale nie patrzyła na obojętne jej usta i nie gładziła włosów dziecka, tak jak robi to większość karmiących matek.

Po tym, jak została zgwałcona, przeniesiono ją z dormitorium sióstr do hospicjum. Tam, z dala od wścibskich oczu i plotkujących języków nowicjuszek i zakonnicek, miała szansę donosić dziecko we względnej, lecz jednak anonimowości domu gościnnego, którego mieszkańcy, odwiedzający opactwo obcy, nic o jej hańbie nie wiedzieli. Karmiono ją dobrze, pozwalano jej także na pracę w ogrodzie warzywnym, póki bliski dzień rozwiązania nie sprawił, że jej krok stał się ciężki, a oddech krótki. A jednak wszyscy, którzy ją znali, ze smutkiem przyjęli

294

zmianę jej charakteru, utratę energii i zawsze dobrego humoru, zastąpionych przez ciągłą apatię. Nawet przeorysza Madgalena w sekrecie opłakiwała tę odmianę charakteru i bladość niegdyś rumianych policzków. Dziewczyna nie miała już

żadnych szans na przyjęcie do zakonu, nie mogła także powrócić do swej wioski po przeciwnej stronie wyspy, bliscy nie chcieliby mieć nic wspólnego z kobietą upadłą. Miała żyć w próżni niczym nieochrzczone dziecko, ani potępione, ani zbawione. Kiedy chłopiec się urodził i wszyscy mogli zobaczyć jego jaskraworude włosy, mleczną skórę oraz nieruchomą twarz bez wyrazu, opat i Paulinus po namyśle uznali, że dziewczyna była naczyniem, być może boskim, wymagającym opieki i ochrony, tak jak dziecko wymaga opieki i ochrony. Nie urodziło się z dziewicy, ale jego matka miała na imię Maria, a ono było wyjątkowe.

Tydzień po narodzinach dziecka Magdalena odwiedziła Marię. Maria leżała na łóżku, wpatrując się w sufit pozbawionym wyrazu spojrzeniem. Dziecko spało cicho w stojącej obok łóżka kołysce.

— Czy nadałaś mu imię? - spytała.

— Nie, siostrze.

— Masz zamiar nazwać swoje dziecko?

— Nie wiem - odparła Maria obojętnie.

— Każde dziecko musi mieć imię - oświadczyła przeorysza stanowczo. - Jeśli nie ty, ja mu je nadam. Od dziś będzie się nazywał Primus, pierwsze dziecko Octavusa.

Teraz Primus miał już cztery lata. Zagubiony we własnym świecie spacerował po hospicjum i okolicach blady jak upiór, nigdzie się nie oddalał, nie interesowały go ani przedmioty, ani ludzie. Jak Octavus był niemową, a jego małe zielone oczy nigdy niczego nie wyrażały.

Co jakiś czas pojawiał się Paulinus, brał go za rękę i pro-

295

wadził do scriptorium, a potem, po schodach, do celi ojca. Stary mnich obserwował ich niczym ciała niebieskie, oczekiwał znaków, lecz oni pozostawali na sobie obojętni. Octavus niezmiennie zapisywał karty, nie zwalniając tempa, jego syn przemierzał celę niczym we śnie, na nic nie wpadając, ale i niczego nie dostrzegając. Nie interesowały go pióra, inkaust ani pergamin, nie interesowały go nawet słowa

rodzące się pod ręką ojca.

Potem Paulinus spotykał się z Josephusem. "Chłopiec nie wykazuje skłonności" - mówił, obaj zakonnicy wzruszali ramionami i powolnym krokiem udawali się na modlitwę.

Było rześkie jesienne popołudnie, choć w powietrzu czuło się już nadchodzące chłody. Zachodzące słońce miało kolor płatków nagietka. Josephus spacerował po opactwie, stąpając powoli, ostrożnie, pogrążony w medytacjach, w duszy modląc się o miłość Boga i zbawienie.

Ostatnio wiele myślał o zbawieniu. W ciągu ostatnich tygodni jego uryna stała się najpierw ciemnobrazowa, a potem jask-rawoczerwona. Znikł gdzieś dobry apetyt, którym się zawsze cieszył. Skóra obwisła i przybrała żółtą barwę, białka oczu stały się brudnoszare. Gdy po modlitwie wstawał z klęczek, miał uczucie, że unosi się na burzliwej fali i musiał chwytać się czegoś, by zachować równowagę. Nie musiał się konsultować ani z balwierzem, ani z Paulinusem. Doskonale wiedział, że umiera. Oswyn nie doczekał zakończenia przebudowy opactwa i nie miał już nadziei, by jemu było to dane, ale przynajmniej kościół, scriptorium i kapitularz zostały ukończone, a przy dormitoriach prace szły szybko. Najczęściej myślał jednak o bibliotece

296

Octavusa. Nigdy nie pojął jej znaczenia, już dawno przestał próbować cokolwiek zrozumieć, lecz po prostu wiedział, że:

Istniała.

Była dziełem bożym.

Pewnego dnia Chrystus ujawni swe zamiary.

Musi być chroniona.

Musi rosnać.

A teraz, patrząc, jak życie uchodzi z niego za każdym razem, gdy oddawał wody, coraz bardziej niepokoił się o losy swej misji. Kto będzie jej strzegł i bronił, gdy jego zabraknie?

Z dala dostrzegł Primusa siedzącego na ziemi w warzywniku domu gościnnego, jałowym po zbiorach. Był sam, nic niezwykłego, bo przecież matka nie chciała się nim zajmować. Nie spotykał go od jakiegoś czasu, chłopiec obudził więc jego zainteresowanie w wystarczającym stopniu, by podejść i przyjrzeć mu się uważnie. Był teraz niemal dokładnie w tym wieku co jego ojciec, gdy został po raz pierwszy przygarnięty przez opactwo. Ich podobieństwo wydawało się niezwykle: te same czerwonawe włosy, to samo blade, jakby pozbawione krwi ciało, te same wydłużone członki.

Trzydzieści kroków od chłopca Josephus stanął nieruchomo; serce biło mu jak oszalałe, poczuł zawrót głowy. Gdyby nie to, że ostatnio zaczął używać laski, byłby upadł, gdyż chłopiec trzymał w ręku patyk i na oczach opata zaczął nim drapać ziemię, wykonując szerokie, koliste ruchy.

Pisał. Josephus był tego więcej niż pewny.

Josephus z trudem przetrwał nonę, a po modłach, gdy kongregacja się rozeszła, postukał po ramieniu trzy osoby i odprowadził je w kąt nawy. Skupili się w ciasną grupę: on,

297

Paulinus, Magdalena i Jose, którego włączono do grona wtajemniczonych, ponieważ to on odkrył gwałt na Marii. Opat nigdy nie żałował decyzji wtajemniczenia Iberyjczyka, albowiem okazał się on człowiekiem spokojny, mądrym i dyskretnym aż do przesady. Poza tym wszyscy troje: opat, przeorysza i astronom, zaawansowani w latach, potrafili docenić jego siłę i energię.

- Chłopiec zaczął pisać - szepnął Josephus; w wielkiej kamiennej nawie nawet szept odbijał się echem. Przeżegnali się. - Jose, przyprowadź go do celi Octavusa.

Posadzili Primusa na podłodze, obok ojca. Octavus nie zwrócił uwagi ani na niego, ani na innych, którzy kalali swoją obecnością jego sanktuarium. Magdalena unikała go od czasu, gdy popełnił ten straszny czyn, i nawet teraz, po latach kulila się na jego widok. Nie pozwalała już swym dziewczynom zajmować się nim, te obowiązki

przejęli nowicjusze, chłopcy i mężczyźni. Trzymała się tak daleko od niego i jego pergaminów, jak to tylko było możliwe, mimo wszystko przerażona, że i ją może zgwałcić.

Jose położył przed Primusem dużą welinową kartę, otoczył go półkolem świec.

- Umoczcie pióro w inkauscie i dajcie mu - wychrypiał

Paulinus.

Josephus pomachał piórem przed nosem małego, tak jak drażni się kota piórkiem, czarna kropla upadła na czystą kartę. Primus wyciągnął rękę, chwycił je, zacisnął małą piąstkę. Przyłożył czubek do karty. Wykonał dłonią okrężny ruch. Rozległ się charakterystyczny skrzyp.

Kolejne litery były niekształtne, ale wystarczająco duże, by można było je odczytać.

f-a-a-e-c-o

298

- Vaasco - powtórzył Paulinus, gdy pojawiła się ostatnia litera.

- Vaasco Suariz! - krzyknął Jose. - Portugalski nombrel Dziecięca rączka zaczęła też wypisywać cyfry.

8 6 800

— Ósmy dzień czerwca, rok osiemsetny - powiedział

Paulinus.

— Jose - powiedział Josephus - proszę, sprawdź, co pisze Octavus. Który rok rejestruje?

Iberyjczyk stanął za plecami Octavusa, przyjrzał się karcie.

— Ostatni wpis: siódmy dzień czerwca, rok osiemsetny - przeczytał.

— Jezu Przenajświętszy! - krzyknął Josephus. - Ci dwaj są jednością.

W migotliwym blasku świec czwórka duchownych próbowała odczytać nawzajem wyraz swych twarzy.

— Wiem, o czym myślisz - powiedziała Magdalena -

i nie mam zamiaru się z tym zgodzić.

— Skąd możesz to wiedzieć, przeoryszo, skoro ja sam nie wiem?

— Zjrzyj w głąb swego serca. - W głosie Magdaleny brzmiało powątpiewanie. - Jestem pewna, że je znasz. Paulinus uniósł ręce w geście rozpaczy.

- Mówicie zagadkami. Czy stary człowiek może dowiedzieć się, o co wam chodzi?

Josephus wyprostował się powoli, żeby uniknąć zawrotu głowy.

299

- Chodźmy. Primusa możemy zostawić na chwilę z ojcem, nic mu się nie stanie.

Chciałbym porozmawiać z trójką przyjaciół na górze, gdzie będziemy mogli nie tylko podyskutować, lecz także się pomodlić.

Było tu cieplej i wygodniej niż w wilgotnej piwnicy. Usiedli przy stołach kopistów, Josephus naprzeciw Magdaleny, a Paulinus naprzeciw Josego.

Josephus opowiedział im o nocy narodzin Octavusa i wszystkich najważniejszych chwilach z jego przeszłości. Oczywiście wszystkie je już znali, ale Josephus nigdy im

o tym nie mówił, byli więc pewni, że nie robi tego akurat

w tej chwili bez powodu. Dodał też do relacji znacznie

krótszą opowieść o Primusie wraz z wydarzeniami, które właśnie się rozgrywały.

- Czy ktoś z nas wątpi - spytał - że mamy święty obowiązek chronić i podtrzymywać

to boskie dzieło? Z powodów, których możemy nigdy nie poznać, Bóg uczynił z nas, swych sług z opactwa Vectis, powierników tych cudownych tekstów. Obdarzył

młodzieńca o imieniu Octavus, narodzonego w niezwykłych, cudownych

okolicznościach, potęgą... nie, nakazem... rejestrowania dni narodzin i śmierci

wszystkich ludzkich stworzeń przychodzących na tę ziemię

1 z niej odchodzących. W ten sposób objawione zostaje

przeznaczenie człowieka. Teksty te to świadectwo potęgi

oraz wszechwiedzy Stworzyciela, zawstydzającego nas swą miłością, swą troską. - Po twarzy opata popłynęła łza. - Octavus jest tylko jedną niezwykłą, lecz z pewnością śmiertelną istotą. Zastanawiałem się, z pewnością podobnie jak wy, jak ten wielki cel będzie kontynuowany. Teraz znamy odpowiedź.

300

Przerwał. Widział, jak uroczyście skinęli głowami.

— Umieram - powiedział po prostu.

— Nie! - zaprotestował Jose z uczuciem, które syn żywi dla ojca.

— Tak. To prawda. I jestem pewien, że żadne z was nie jest szczególnie zaskoczone. Wystarczy na mnie popatrzeć, by zorientować się, że jestem poważnie chory.

Paulinus delikatnie dotknął dłoni opata. Magdalena załamała ręce.

— Paulinusie, przyznaj, że widziałeś imię Josephusa z Vectis wpisane do jednej z ksiąg.

— Widziałem - powiedział Paulinus, z trudem poruszając spierzchniętymi wargami.

— Iz pewnością znasz miesiąc i dzień?

— Znam?

— Mam niewiele czasu?

— Tak, niewiele.

— Ale nie odejdę jutro? - zażartował Josephus.

— Nie. Jutro nie.

— No to doskonale. - Josephus złożył ręce jak do modlitwy. - Jest więc moim obowiązkiem położyć fundamenty pod przyszłość nie tylko opactwa, lecz także Octavusa i biblioteki. Tutaj, teraz, oznajmiam więc, że poślę do biskupa pokorną

prośbę, by po mojej śmierci podniósł siostrę Magdalенę do pozycji opata Vectis, a brata Josego do pozycji przeora. Bracie Paulinusiе, drogi przyjacielu, będziesz służył im, tak jak wiernie służyłeś mnie.

Magdalena głęboko pochyliła głowę, ukrywając uśmiech satysfakcji, którego nie umiała powstrzymać. Paulinus i Jose milczeli pogrążeni w smutku.

- Chcę wam oznajmić jeszcze jedno - ciągnął Jose  
phus. - Dziś formujemy nowy zakon działający wewnątrz

301

opactwa, sekretne, święte bractwo, którego celem jest ochrona i zachowanie biblioteki. Wszyscy czworo jesteśmy jego założycielami. Nazywać się będzie Zakon Imion. Módlmy się.

Poprowadził żarliwą modlitwę zebranych, a kiedy skończyli, jednocześnie wstali z klęczek. Opat dotknął kościstego ramienia siostry.

- Po niesporach zrobimy to, co musi być zrobione -  
oznajmił. - Czy dokonasz tego ochotnie, z własnego serca?

Stara kobieta się zawahała. Odmówiła krótką modlitwę do Matki Świętej.

- Zrobię.

Tak więc po niesporach Josephus udał się do swej celi na medytację. Wiedział, co się wydarzy, nie chciał jednak oglądać tego na własne oczy. Choć zdeterminowany i pewny własnej racji, w głębi duszy pozostał dobrym, łagodnym człowiekiem, nienadającym się do tego rodzaju spraw.

Wiedział, że teraz, kiedy pochyła głowę, Magdalena i Jose prowadzą Marię mroczną ścieżką z hospicjum do scriptorium. Wiedział, że Maria płacze cicho. Wiedział, że cichy płacz zmieni się w głośny szloch, gdy poprowadzą ją za rękę w dół, schodami do piwnicy. I wiedział, że głośny szloch zmieni się w krzyk, kiedy Paulinus otworzy drzwi do celi Octavusa, a Jose wepchnie ją do środka, zatrzaśnie je i zarygluje.

30 stycznia 1947 Wyspa Wight, Anglia



Reggie Saunders figlował na sianie - to jego własne określenie - z cycatą żoną podpułkownika lotnictwa Juliana Barnes, pośrodku pułkownikowskiego łóża z baldachimem. I bardzo, ale to bardzo mu się to podobało. Łóże mieściło się w wielkiej sypialni wielkiego wiejskiego domu z przyjemnie rozgrzewającym ogniem na kominku. Pani Barnes, pełna uznania dla jego talentów, przyzwyczaiła troszczyć się sama o siebie podczas wojny, która zdecydowanie rozluźniła jej kontakty z mężem.

Reggie był czerwonym na twarzy, potężnie zbudowanym facetem z męskim brzuszkim piwosza. Dziecięcemu uśmiechowi i nieprawdopodobnie szerokim barom kobiety nie mogły się oprzeć. Łącznie z tą. Pozory dziecięcej radości życia i sympatycznej bezpośredniości kryły jego moralność, której kompas wskazywał tylko jeden kierunek - Reggiego Saun-dersa. Reggie od zawsze był pewien, że świat jest mu coś winien tylko dlatego, że on na nim żyje, a fakt, że szczęśliwie przebrnął przez drugą wojnę światową w dalszym ciągu mając

303

w pełni sprawne oczy, członki i genitalia, znaczył dla niego tylko to, że wdzięczny naród ma obowiązek wciąż dbać o jego potrzeby, zarówno te finansowe, jak i zmysłowe. Prawa korony i obyczaje społeczne były czymś w rodzaju znaków drogowych ułatwiających poruszanie się w świecie; najpierw człowiek im się przyglądał, potem o nich zapominał.

Jego wojenna kariera w armii zaczęła się bardzo nieprzyjemnie i równie niedogodnie, od stopnia sierżanta sztabowego w 8. Armii Montgomery'ego, próbującego pogonić Rommla z Tobruku. Siedział na pustyni o wiele za długo, ale w 1944 zdołał wyżebrać przydział i z Afryki Północnej przeniósł się do wyzwolonej Francji, do oddziału, którego zadaniem było odszukiwanie i katalogowanie zrabowanych przez nazistów dzieł sztuki.

W oddziale jego szefem był najsympatyczniejszy dżentelmen, jakiego zdarzyło mu się poznać, starszy wykładowca z Cambridge, który wydawanie rozkazów rozumiał jako wyrażenie prośby, by ktoś uprzejmie zgodził się pomóc mu w tym czy tamtym.

Wydaje się to nieprawdopodobne, ale armia doskonale poradziła sobie z majorem Geoffreyem Atwoodem i znalazła pracę doskonale odpowiadającą profesorowi wydziału archeologii i starożytności, a przecież mogli postawić go gdzieś w terenie, uzbrojonego w mapę, lornetkę i działa, i nie przejmować się, że stanowi zagrożenie dla otoczenia.

Robota Saundersa polegała w zasadzie na komenderowaniu dzieciakami, których zadaniem było wyciągać z piwnicy ciężkie drewniane skrzynie i przenosić je do innej piwnicy. Nie podzielał oburzenia na złodziejstwo Niemców. To, że kradli, uważał za zrozumiałe... biorąc pod uwagę okoliczności. Szczerze mówiąc, na jego zmianie ten i ów drobiazg przeszedł z rąk do rąk, podobnie jak pieniądze. Bo i czemu nie?

304

Po wojnie pracował tu i tam, ot, takie roboty budowlane, od czasu do czasu zrywając kolejny romantyczny związek. Kiedy zadzwonił do niego Atwood z pytaniem, czy nie ma ochoty przeżyć małej przygody na wyspie Wight, był akurat pomiędzy takimi związkami, powiedział więc: "Niech to diabli, szefie, z panem wszędzie".

W tej chwili pracował z prawdziwą przyjemnością, zanurzony w oceanie różowego ciała pachnącego talkiem i lawendą. Pani domu wydawała z siebie ciche gruchanie, które przeniosło go pamięcią do ptaszarni Kew Gardens, do której zabrano go jako dziecko, na lekcję przyrody. Trwało to tylko chwilę, po czym sam przywołał się do porządku. Zbliżała się ostatnia, najważniejsza chwila, a jak mawiał jego dziadunio, robota warta zrobienia warta jest też, żeby zrobić ją dobrze.

Nagle usłyszał mechaniczny dźwięk, cichy warkot. Lata spędzone na patrolach, na pustyni Libii i Maroka, wyczuliły jego słuch. Wyostrzony instynkt przetrwania przysłużył mu się po raz kolejny.

— Nie przerywaj, Reggie - jęknęła pani Barnes.

— Tylko na chwilę, kochanie. Słyszałaś coś?

— Nic nie słyszałam.

— Silnik. Samochodowy. - I nie był to samochód kogoś

ze służby, nie ten. Słuch mówił mu, że ma do czynienia z koniem

czystej krwi. - Jesteś pewna, że to nie mąż?

— Przecież ci mówiłam, że jest w Londynie. - Pani Barnes

chwyciła Reggiego za pośladki, próbowała skłonić go, by zaczął się poruszać.

— Ktoś przyjechał, kochanie... i to nie jest raczej cholerny listonosz.

Wyskoczył z łóżka, goły. Rozsunął zasłonę najbliższego okna. Ciemność przeszyły dwa równoległe snopy światła.

305

- Kto z twoich znajomych jeździ czerwoną invictą? - spytał. Równie dobrze mógł powiedzieć: "Skarbie, szatan puka do drzwi frontowych".

Pani Barnes wyskoczyła z łóżka jak oparzona, chwyciła bieliznę. Piszcziała przeraźliwie z przerażenia.

- A więc to wóz pana pułkownika. - Reggie wzruszył potężnymi ramionami z rezygnacją. - To ja będę już leciał, kochanie. Pa, pa.

Wskoczył w spodnie, zgarnął resztę przyodziewku i tylnymi schodami zbiegł do kuchni. Prysnał przez wejście dla służby dokładnie w chwili, gdy pułkownik wchodził do domu przez drzwi frontowe, krzycząc gromko i radośnie: "Hej, ho! Zgadnij, kto wcześniej wrócił do domu?".

Ubrał się szybko w ogrodzie, ale i tak trząśł się jak osika. Poprzedni tydzień był nietypowo upalny, w tym masy chłodnego powietrza z północy drastycznie obniżyły temperaturę. Spotkał się ze swoją panią przed pubem i przyjechał z nią do domu samochodem. Dzięki temu znajdował się w tej chwili dobre dziesięć kilometrów od obozu, skazany wyłącznie na siebie, a to oznaczało, że czeka go długi spacer.

Okrażył dom na paluszkach. Invicta z 1930 roku promieniowała miłym ciepłem. Jej kabina była głęboka jak wanna, fotele wygodne, pokryte prążkowaną czerwoną skórą, kluczyk tkwił w stacyjce. Analiza sytuacji w wykonaniu Reggiego była

najprostsza z możliwych: na dworze jest zimno, w samochodzie jest ciepło, więc go sobie pożyczę, przejadę kawalek. Wskoczył do środka, obrócił kluczyk.

Stuczterdziestokonny silnik Lagonda obudził się do życia, a hałasował głośniejsze, niż można się było spodziewać. Gdzie tu jest ta pieprzona dźwignia biegów!? Machał rękami, próbując się jej domacać. Frotowe drzwi domu otwarły się gwałtownie.

W końcu przypomniał sobie, że wóz ma przecież auto-

306

matyczną skrzynię biegów, pierwszą w Wielkiej Brytanii! Kopnął gaz, wszystko zadziało, invicta ruszyła gładko, błyskawicznie nabierając prędkości i sypiąc żwirem spod kół. W lusterku zobaczył wściekłego faceta w średnim wieku, grożącego niebu zaciśniętymi pięściami. Silnik zagłuszał wszystko, co tamten mógł mieć do powiedzenia.

- I nawzajem, stary! - krzyknął. - Dzięki za samochód i dzięki za twoją panią!

Zostawił imdctę pod pubem w Fishbourne. Ostatnie półtora kilometra przeszedł szybkim krokiem, gwizdząc w ciemności i zacierając zmarznięte ręce. W obozie płonęło ognisko z grubych bali, z dodatkiem oleju parafinowego, co mu pomogło znaleźć właściwą drogę. Warstwa chmur rozpraszała promienie księżycowego światła, nocne niebo miało nieokreśloną barwę szarej flaneli. Dym z ogniska wznosił się skrecony, gruby i czarny niczym grupa zdeprawowanych harpii; Reggie odprowadził go wzrokiem, póki nie rozproszył się i nie znikł na tle potężnej wieży katedry opactwa Vectis.

Kiedy Reggie podchodził do ogniska, marząc tylko o odrobinie ciepła, otwarły się drzwi jednej ze zrujnowanych przyczep. Chudy chłopak krzyknął:

— O Boże, popatrzcie tylko, kogo wiatr przywiał. Naszego

Rega wyniesiono na kopach!

— Sam wyszedłem, do jasnej cholery - prychnął Reggie. -

Jest coś do żarcia?

— Fasola w puszce, jak sądzę.

- To daj jedną. Zgłodniałem przez ten numer.

Młody człowiek ryknął śmiechem, ale to jedno, ostatnie słowo musiało mieć magiczne właściwości, ponieważ otworzyły się drzwi wszystkich czterech przyczep. Wskoczyli z nich mieszkańcy pragnący dowiedzieć się czegoś więcej. Pojawił się nawet Geoffrey Atwood; jego przyczepa była w najlepszym

307

stanie. Miał na sobie gruby sweter z golfem i oczywiście filozoficznie pykał z fajki.

— Ktoś coś mówił o numerkach? - spytał.

— Spodziewacie się, że tak po prostu opowiem wam o sprawach... damsko-męskich?

— Ależ oczywiście - przyznał chudy młodzieniec Dennis Spencer. Zabrzmiało to bardzo lubieżnie. Dennis był przyszłym studentem pierwszego roku w Cambridge, tak młodym, że w czasie wojny nie podlegał poborowi.

Oprócz niego w ich grupie były jeszcze cztery osoby, trzech mężczyzn i kobieta, wszyscy z wydziału Atwooda. Martin Bancroft i Timothy Brown, tak jak Spencer, byli studentami pierwszych lat, co prawda raczej dojrzałymi. Z tych, co po zakończeniu wojny zdobywali opłacone już dyplomy. Martin nie wyjechał z Anglii, stacjonował w Londynie jako oficer wywiadu, Timothy był radarzystą na fregacie operującej głównie na Bałtyku. Powrót do Cambridge obu przyprawiał o zawrót głowy ze szczęścia, perspektywa pracy w terenie też ich uszczęśliwiała.

Ernest Murray był od nich starszy, po trzydziestce. Pisał doktorat ze starożytności, przerwany atakiem Niemiec na Polskę. Uczestniczył w ciężkich bojach w Indochinach, przez które stracił wiarę w siebie i świat. Archeologia anglosaska nie wydawała mu się już tak ważna jak niegdyś, nie miał też pojęcia, co chce zrobić z resztą życia.

Jedyną kobietą w zespole była Beatrice Slade, wykładowca historii średniowiecza i akademicka powierniczka Atwooda, która przez cały czas trwania wojny praktycznie

rządziła wydziałem za niego, baba twarda jak skała, złośliwa, słynna z jawnego manifestowania swej lesbij skiej orientacji seksualnej. Ona i Reggie okazali się niekompatybilni. Gdy tylko odwróciła się do niego plecami, on wykpiwał ją wulgarnie, a gdy on odwrócił się plecami do niej, ona robiła to samo.

308

— Ach, a więc jesteśmy tu wszyscy i wszyscy przytomni. - Atwood zamrugał, blask ogniska raził go w oczy. - To może napijemy się kawy, podczas gdy Reggie snuć będzie swoją opowieść?

— Zaparzę dzbanek, profesorze - zaproponował Timothy.

— No i co, Reg? - spytał Martin. - Spodziewałem się, że dzisiejszą noc spędzisz na gęsim puchu, a nie z nami w tych ruinach przyczep?

Reggie skręcił sobie papierosa, polizał bibułkę.

— Miałem pewien drobny problem - przyznał. - Ale nic, z czym nie mógłbym sobie poradzić.

— Nic, z czym nie mógłbyś sobie poradzić? - powtórzyła Beatrice kpiąco. - Spłynąłeś, bo chciała jeszcze raz? - Zakręciła biodrami niczym królowa z burleski. Rozległ się zbiorowy ryk śmiechu, śmiał się nawet Atwood.

— Bardzo, bardzo śmieszne. Mąż wrócił do domu ciut za wcześnie, wolałem więc zejść ze sceny dyskretnie, nie dopuszczając do tak przykrego spotkania.

— Panie Saunders, jeśli wolno... - Denis udał, że zwraca się do starszego od siebie mężczyzny z uprzedzającą grzecznością - ...czy jest pan pewien, że nie schodził pan ze sceny z gołym tyłkiem?

I znów wszyscy się roześmiali. Atwood parę razy pyknął z fajki.

- Cóż za nieprzyjemny musiał to być widok - rzekł

z zastanowieniem.

Poranek był chłodny. Wiatr niósł płatki śniegu, przez co ziemia wyglądała tak, jakby ktoś posypał ją cienką warstwą soli. Ernest, wspaniały i troskliwy opiekun, jakimś cudem zdołał przygotować kompletne, gorące śniadanie dla siedmiu osób

309

na dwóch gazowych fajerkach. Usiedli naokoło ogniska na skrzynkach po mleku, otuleni kilkoma warstwami wełny, umacniając ducha i ciało kubkami gorącej słodkiej herbaty. Pogryzający przypieczoną na ogniu grzanekę umoczoną w żółtku Atwood przestał na chwilę jeść, przyjrzał się zamarzniętym polom, ciągnącym się aż po pokryte kawałkami lodu morze.

- Kto wymyślił, że mamy bawić się w wykopaliska w styczniu? - spytał.

Rzeczywiście, lepszy byłby ciepły wiosenny albo rześki jesienny poranek, ale dla nich wszystkich spełnieniem marzeń był sam fakt, że są tu i do diabła z porą roku, wiatrem i temperaturą. Mogło się wydawać, że zaledwie wczoraj tkwili w okowach wojny, marząc o nieosiągalnym raj: uprawianiu archeologii na spokojnej wyspie. Gdy więc tylko Atwood dostał od British Museum trzysta funtów grantu na wznowienie przedwojennych prac w Vectis, natychmiast zebrał ekipę i do diabła zimą.

Reggie nadzorował pracę fizyczną: kopanie. Spojrzał na zegarek, wstał i swym najlepszym, najbardziej sierżanckim głosem ryknął:

- W porządku, dziecińcy, pora ruszyć tyłki. Mamy dziś kupę ziemi do przerzucenia!

Timothy teatralnym gestem wskazał Beatrice i samym ruchem warg przekazał pytanie: "dzieciny?".

— Masz rację - przyznał Reggie. - Przepraszam. Jest dla mnie o wiele za stara, żeby nazywał ją "dzieciną".

— Pieprz się, żaloszny onanisto - odwdzięczyła mu się Beatrice.

Zespół Atwooda prowadził prace wykopaliskowe na samym krańcu terenów opactwa, z dala od głównego skupiska budyn-

310

ków. Lord opat, Dom William Scott Lawlor, bardzo spokojny duchowny o cichym głosie i zamiłowaniu do historii, w swej wielkiej uprzejmości pozwolił ekipie z Cambridge zamieszkać na klasztornej ziemi. W zamian za tę grzeczność Atwood prosił, by ich często odwiedzał i zapoznawał się osobiście z postępami robót. Opat przyjął zaproszenie i nie dalej jak zeszłej niedzieli zjawił się w dżinsach i ciepłej kurtce, po czym spędził godzinę, drapiąc łopatką metr kwadratowy ziemi.

Kopacze opuścili obozowisko i maszerowali właśnie przez pole, kiedy kościelny dzwon wydzwonił dziewiątą rano; wzywał na tercję. Nad ich głowami polatywały lamentujące mewy, w dali kotłowały się stalowoniebieskie fale Solent. Na wschodzie bijąca w jasne niebo wieża katedry wyglądała doprawdy wspaniale. Widziane z daleka małe figurki mnichów w ciemnych habitach wlokły się rzędem z dormitoriów do kościoła. Atwood obserwował ich, mrużąc oczy przed słońcem, zdumiewając się ponadczasowością widoku. Gdyby tysiąc lat temu stał tu, gdzie stoi teraz, czy oglądałby to samo?

Miejsce, w którym prowadzono prace, ogrodzone było wbitymi w ziemię kołkami i rozciągniętym między nimi cienkim sznurkiem. Miało wymiary czterdzieści na trzydzieści metrów i było w tej chwili plamą nagiej, brązowej ziemi, z której zdjęto wierzchnią warstwę darni. Z pewnej odległości łatwo było zobaczyć, że znajduje się tam metrowe zagłębienie. Właśnie to zwróciło uwagę profesora, gdy odwiedził wyspę przed wojną, by przyjrzeć się terenom opactwa. Bez wątplenia kiedyś, w przeszłości, coś się tu działo... ale dlaczego tak daleko od głównego zespołu architektonicznego?

Dwukrotnie, w 1938 i ponownie w 1939 roku, przez krótki czas miał okazję prowadzić prace w interesującym go miejscu. Przeprowadził wówczas próbne wykopy, znalazł ślady kamiennych fundamentów oraz okruchy dwunastowiecznej ceramiki



i jeszcze więcej trzynastowiecznej. W ogniu wojny jego myśli często powracały do Vectis. Dlaczego w XIII wieku ktoś postanowił zbudować coś właśnie tu, w dużej odległości od serca opactwa? Czy budynek pełnił funkcję sakralną, czy też świecką? W przechowywanych w bibliotece archiwach nie było najmniejszej wzmianki o takiej konstrukcji. Z trudem godził się z myślą, że dopiero po pokonaniu Hitlera będzie mógł zmierzyć się z tym szczególnym wyzwaniem.

W tej chwili kopał główny rów po stronie południowej, od morza. Miał trzydzieści metrów długości, cztery szerokości i trzy głębokości. Reggie, doskonale radzący sobie z ciężkimi maszynami, rozpoczął pracę koparką, a teraz cały zespół tkwił na dnie wykopu, uzbrojony w łopaty i wiadra. Kopano wzdłuż resztek południowej ściany w dół, do fundamentów, z nadzieją, że znajdą poziom mieszkalny.

Sam Atwood wraz z Ernestem Murrayem tkwili w najbardziej wysuniętym na południe krańcu rowu, czyszcząc ścianę łopatkami. Wtedy mieli zrobić zdjęcia.

- Zwróć uwagę na to - powiedział profesor, wskazując nieregularne pasmo czarnej ziemi przecinające tę sekcję. - Widzisz, jak biegnie? Wzdłuż szczytu ściany? To ślad po pożarze.

- Przypadkowym czy spowodowanym umyślnie?  
Atwood pyknął z fajki.

- Na to pytanie zazwyczaj nie sposób odpowiedzieć. Być może wzniecono go umyślnie. Jako część rytuału.

Ernest zmarszczył brwi.

— W jakim celu? Przecież nie było to pogańskie miejsce święte. Wybudowano tu coś równoległe z samym opactwem i na jego terenie!

— Celna uwaga, Erneście. Jesteś pewien, że nie chcesz poświęcić się karierze archeologa?

Jego rozmówca wzruszył ramionami.

— Nie wiem - przyznał.

— Cóż, rozważania nad swym losem możesz kontynuować, robiąc zdjęcia. Potem pokopiemy jeszcze jakieś pół metra.

Z pewnością niewiele nas dzieli od poziomu podłogi.

Atwood przydzielił trzem najmłodszym studentom pracę w południowo-zachodnim rogu wykopu; mieli go pogłębić. Beatrice siedziała przy składanym stoliku na powierzchni, ale blisko jego krawędzi, katalogując ceramikę, a Ernest i Reggie dostali za zadanie rozpocząć wykop próbny w północno--zachodnim narożniku, dzięki któremu, przy pewnej dozie szczęścia, mogli znaleźć drugi koniec ławy fundamentowej. W miarę upływu czasu robiło się coraz cieplej i pracujący fizycznie mężczyźni zaczęli zrzucać wierzchnie ubrania, aż wreszcie pozostali w samych koszulach.

W porze lunchu Atwood podszedł do głównego wykopu. Zauważył coś interesującego.

— A to co? - spytał. - Czyżbyśmy mieli tu kolejną ścianę?

— Tak podejrzewam - przytaknął Dennis skwapliwie. -

Właśnie mieliśmy panu powiedzieć, profesorze.

Odsłonili szczyt cieńszej ściany, biegnącej równolegle do fundamentu, w odległości jakiś dwóch metrów od niego.

— Proszę popatrzeć, jest przerwa - zauważył Timothy. -

Być może kiedyś były tu drzwi.

— Być może, być może. To nawet całkiem prawdopodobne. - Atwood schodził po drabinie. - Chciałbym was spytać, czy nie moglibyście trochę pogłębić wykopu, o tu. - Wskazał palcem właściwe miejsce. - Jeśli ściana wewnętrzna dochodzi do zewnętrznej pod kątem prostym można by zaryzykować twierdzenie, że mamy do czynienia z małym pokojem. Czyż nie byłoby to miłe?

Trzej młodzi ludzie natychmiast przyklęknęli i zaczęli zgar-

313

niać ziemię łopatkami. Dennis pracował przy zewnętrznej ścianie, Martin przy wewnętrznej, a Timothy pośrodku. W ciągu kilku minut rozległy się kolejne brzęknięcia. Każdy z nich trafił na ścianę.

— Miał pan rację, profesorze! - oznajmił Martin.

— Przepracowało się w tym fachu ładne kilka lat. Z czasem człowiek nabiera wycucia. - Atwood był z siebie bardzo zadowolony i sam siebie uczył, zapalając fajkę. - Po lunchu dokopujemy się do poziomu podłogi i dowiemy, po co komu był ten pokój.

Studenci skrócili przerwę, oni też byli ciekawi. Pochłonęli kanapki z serem, wypili napój cytrynowy i wskoczyli z powrotem do wykopu.

— Nikomu nie zaimponujecie, cholerne lizusy! - zawołał za nimi Reggie, usiadł na stercie ziemi i zapalił papierosa.

— Zamknij gębę, Reg - zgasła go Beatrice. - Daj im święty spokój i skreć po jednym dla nas.

Godzinę później rozległ się krzyk. Studenci wzywali do siebie innych członków grupy. Stali wokół granic małego pokoju, bardzo dumni z siebie.

- Słuchajcie wszyscy! Dokopaliśmy się do podłogi.

Rzeczywiście, spod ziemi wyłoniła się warstwa gładkich ciemnych kamieni, mistrzowsko ociosanych, tak że przylegały do siebie niemal idealnie, ale Atwooda zainteresowało coś innego.

- A to co? - zdziwił się i zszedł na dół, by przyjrzeć się dokładniej.

W południowo-zachodnim kącie nowo odkrytego pokoju spoczywał większy kamień, sprawiający wrażenie niedopasowanego do reszty. Podłoga zrobiona była z błękitnoszarego piaskowca, to zaś był duży blok wapienia rozmiarów mniej więcej dwa metry na półtora, dość gruby. Wystawał jakies

trzydzieści centymetrów ponad poziom podłogi, miał nieregularne krawędzie.

- Jeśli ktoś ma jakiś pomysł, chętnie posłucham - powiedział Atwood, przesuwając po krawędziach łopatką.

- Nie bardzo tu pasuje - zauważyła Beatrice.

Ernest zrobił kilka zdjęć.

— Ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby to tu przytargać - zdziwił się.

— Chyba warto spróbować podnieść ten kamyk - zdecydował Atwood. - Kto z nas tu zgromadzonych ma najsilniejszy grzbiet?

- Wiadomo, że Beatrice - odpowiedział mu Reggie.

Beatrice zareagowała błyskawicznie, jak zwykle.

- Pieprz się i pokaż nam te swoje słynne mięśnie w działaniu.

Nie zostawiła mu wyboru, wziął więc łom i spróbował wcisnąć go pod głaz, lecz nawet z pomocą kamienia, którego użył jako punktu podparcia, nic nie zwojował, tylko się spocił.

- Do diabła - powiedział w końcu - idę po koparkę.

Godzinę zajęło mu przygotowanie niżej rampy, po której mogła zjechać wystarczająco nisko, by bezpiecznie sięgnąć kamiennego bloku. Kiedy wreszcie znalazł się na pozycji, wystarczająco blisko głazu, by sięgnąć po niego łyżką, a wystarczająco daleko od krawędzi wykopu, by nie groziło jego zawalenie, krzyknął z kabiny, że jest gotowy. Przez warkot hałaśliwego diesla przedzierał się dźwięk dzwonów wygrywających nonę. Reggie ostrożnie wsunął zębatą krawędź łyżki pod kamienny blok, udało mu się to za pierwszym razem. Lekko podciągnął ją, krawędź głazu uniosła się lekko.

- Czekaaj! - krzyknął Atwood. Ramię koparki zamarło. -

Dajcie tutaj łom.

Martin podskoczył natychmiast i wsunął łom między blok piaskowca i kamienną podłogę. Całym ciężarem ciała oparł się na jego trzonku, ale blok ani drgnął.

- Za ciężki! - krzyknął.

Mimo to cały czas podtrzymywał ciężar. Reggie przesunął łyżkę, wapienny blok przesunął się kilkanaście centymetrów... i jeszcze kilkanaście. Martin prowadził go łomem, czekał, aż upewnił się, że jest stabilny, i zaczął machać rękami jak szalony.

- Stój! - krzyknął. - Stój... a wy chodźcie tu wszyscy.

Reggie wyłączył silnik koparki. Cały zespół zszedł do wykopu. Pierwszy znalazł się tam Dennis.

— O cholera! - powiedział zduszonym szeptem.

— No popatrz, popatrz. - Timothy potrząsnął głową.

Inni tylko się gapili. Reggie wyciągnął z kieszeni niedopałek, przypalił go, zaciągnął się głęboko.

- O ja pieprzę - westchnął. - Profesorze, to miało tu być?

Atwood pogładził się po swych rzadkich włosach. Zdumiony

i zachwycony potrafił powiedzieć tylko: "Będziemy potrzebowali światła".

Patrzyli w głęboki, mroczny otwór w podłodze. W ukośnych promieniach popołudniowego słońca wydawało się, że widzą początek biegnących w dół schodów.

Dennis pobiegł do obozu po wszystkie latarki, jakimi dysponowali. Wrócił zaczerwieniony i zadyszany. Rozdał je między członków zespołu.

Reggi czuł się w obowiązku chronić szefa, z którym wiele przeszedł, nalegał więc, żeby iść przodem. W dniach swej chwały zdarzyło mu się oczyszczać podziemne bunkry z żołnierzy Rommla, wiedział więc, jak poruszać się w ciasnych

miejskach. Reszta ruszyła za nim gęsiego. Beatrice, zapomniawszy o swej zwykłej

brawurze, zajęła skromnie ostatnie miejsce.

Zeszli po spiralnych schodach na nieprawdopodobną głębokość, którą Atwood ocenił na trzysta do piętnastu metrów, i znaleźli się w pomieszczeniu nie większym niż dwie zestawione ze sobą londyńskie taksówki. Powietrze było ciężkie, nieruchome; Martin, mający skłonność do klaustrofobii, wyszeptał rozpaczliwie: "Trochę tu ciasno". Wszyscy świecili wokół siebie latarkami, promienie światła przecinały się jak szperacze podczas wojny.

To Reggie pierwszy zobaczył drzwi.

- Hej, a wy co tu robicie? - spytał zdziwiony.

Dokładnie obejrzał stoczone przez robaki drewno. Z wielkiego otworu zamka sterczał równie wielki żelazny klucz. Atwood oświetlił go swoją latarką.

- Jak się powiedziało "a", trzeba powiedzieć i "b" - rzekł. - To co, panie i panowie, wchodzimy?

Za jego plecami znalazł się młody Dennis.

- Ależ oczywiście - zgodził się z entuzjazmem.

- No to w porządku. Reggie, zaszczyt przypada tobie.

Ze swego miejsca Beatrice nic oczywiście nie widziała.

— Hej, co wy robicie? - spytała. W jej głosie brzmiało napięcie.

— Otwieramy cholernie wielkie drzwi - wyjaśnił jej Timothy.

— No to się pospieszcie - poprosił Mark. - Albo ja wracam na górę. Duszę się.

Reggie obrócił klucz. Usłyszał trzask zamka. Pchnął ciężkie drewniane skrzydło, ale nie chciało się poruszyć i ustąpiło dopiero wtedy, gdy podparł je swym potężnym ramieniem.

Zaskrzypiały i otworzyły się powoli.

317

Weszli do środka gęsiego, trzymając się blisko siebie jak grupa więźniów skuta

łańcuchem i gdy tylko znaleźli się w kolejnym pomieszczeniu, natychmiast oświetlili je latarkami.

Pomieszczenie to było większe od poprzedniego, znacznie większe. Bez problemu złożyli całość z fragmentów, ujawnianych w stroboskopowym świetle latarek, ale zobaczyć nie znaczy uwierzyć, a przynajmniej nie od razu.

Nikt z nich nie ośmielił się przerwać panującej tu ciszy.

Znajdowali się w wysokiej komnacie wielkości sali konferencyjnej, a nawet niewielkiej sali widowiskowej. Powietrze było chłodne, suche, stęchłe. Posadzkę i ściany wykonano z wielkich kamiennych płyt. Atwood zanotował sobie w pamięci te szczegóły konstrukcyjne, ale wstrząsnęło nim co innego: obraz długiego drewnianego stołu i ławy. Przesunął po nich światłem latarki; według jego oceny stół miał przynajmniej sześć metrów długości. Podszedł tak blisko, że udami oparł się o jego blat. Przyjrzał się jego powierzchni, zobaczył pierwszy gliniany dzban wielkości filiżanki do herbaty, z czarnym osadem w środku. Dalej stał drugi podobny, i trzeci... Czy to możliwe?

Uznał, że musi coś sprawdzić. Poświecił wyżej. Zobaczył drugi stół, trzeci, czwarty. W głowie mu się zakręciło.

— Zdaje się, że wiem, gdzie jesteśmy - powiedział.

— Zamieniam się w słuch, profesorze - odparł Reggie. -

Co to takiego, do jasnej cholery!?

— Scriptorium. Podziemne scriptorium. Zdumiewające.

— Gdybym wiedział, co to znaczy, tobym wiedział, o co chodzi - powiedział Reggie wyraźnie zirytowany.

— Miejsce, w których mnisi kopiowali manuskrypty - wyjaśniła Beatrice z nabożną czcią. - Jeśli mnie pamięć nie myli, pod ziemią nie znaleziono dotąd ani jednego. Jesteśmy pierwsi.

318

- Pamięć cię nie myli - przytaknął Atwood.

Dennis wyciągnął rękę. Chciał wziąć dzban na inkaust. Profesor powstrzymał go w ostatniej chwili.

— Nie ruszaj! Musimy sfotografować wszystko, w takim stanie, jaki zastaliśmy.

— Przepraszam. - Student cofnął się szybko. - Znajdziemy tu jakieś manuskrypty?

— Byłoby cudownie. - Atwood przerwał, a potem dodał: - Ale nie liczyłbym na to.

Postanowili podzielić się na dwie grupy, by w ten sposób szybciej zbadać całe wnętrze. Ernest zabrał trzech studentów i poszli w prawo, Atwood poprowadził Reggiego i Beatrice w prawo.

- Tylko ostrożnie - przestrzegł.

Liczył mijane rzędy stołów. Doliczył do piętnastu i spostrzegł, że Reggie oświetla latarką kolejne wielkie drzwi, znajdujące się w tylnej ścianie pomieszczenia.

— To co, idziemy? - spytał.

— Czemu nie? - odparł profesor. - Ale nic nie pobije tego, co tu mamy.

— Pewnie to cholerny kibel - zażartowała nerwowo Beatrice.

Reggie podniósł ciężką zasuwę, a pozostała dwójka praktycznie wchodziła mu na plecy. Pchnął drzwi.

Wszyscy troje jednocześnie zaświecili latarkami do środka.

Atwood westchnął głośno. Poczul się słabo i musiał usiąść na podłodze. Z oczu popłynęły mu łzy. Reggie i Beatrice podtrzymywali się nawzajem; przeciwnieństwa wreszcie się przyciągnęły.

Z przeciwnego rogu pomieszczenia członkowie drugiej grupy krzyczeli:

- Profesorze! Niech pan przyjdzie, znaleźliśmy katakumby!

319

— Tu są setki szkieletów, może tysiące!



— Nie widać końca!

Profesor Atwood nie był w stanie odpowiedzieć. Reggie cofnął się, by sprawdzić, czy z szefem wszystko w porządku. Pochylił się, pomógł mu wstać, po czym ryknął swym najlepszym wojskowym basem:

- Pieprzyć szkielety! Lepiej chodźcie tu wszyscy, bo nie uwierzycie, w coście się, kurwa, wpakowali

Najpierw Atwood uznał, że nie żyje, że odetchnął jakimiś trującymi oparami i umarł. Nie był człowiekiem religijnym, ale to doświadczenie nie mogło pochodzić z tego świata.

A jednak nie, miał do czynienia z rzeczywistością. Jeśli pierwsza sala miała rozmiar widowiskowej, to dla tej lepszym określeniem było "hangar lotniczy". Po lewej, w odległości zaledwie trzech metrów od drzwi, stał ogromny drewniany regał wypełniony wielkimi, oprawionymi w skórę księgami. Po prawej widział podobny, a pomiędzy nimi znajdował się korytarz szerokości wystarczającej, by mógł przejść człowiek. Po chwili odzyskał przytomność umysłu. Przesunął światłem latarki wzdłuż jednego ze stosów, pragnąc zyskać jakieś pojęcie o jego wymiarach. Miał mniej więcej piętnaście metrów długości i dziesięć wysokości, składał się z dwudziestu półek. Policzył książki na jednej z nich; było ich około stu pięćdziesięciu. Drżąc na całym ciele, szedł korytarzem, mając po obu stronach regały identyczne z tymi pierwszymi. Ich rzędy nikły w ciemności.

- Cholerna kupa książek - powiedział Reggie.

Z jakichś przyczyn Atwood spodziewał się, że jedno z niewielu aż tak wielkich odkryć archeologicznych sprowokuje

320

nico głębszy komentarz. Czy Carter, stanąwszy u progu grobu Tutenchamona, usłyszał: "Cholerna kupa dziwnych rzeczy, facet?". Ale sama uwaga była niewątpliwie celna.

- Nie sposób się nie zgodzić - przyznał.

Po czym złamał własną, żelazną zasadę: "nie ruszać". Delikatnie dotknął palcem

grzbietu jednej z ksiąg, stojącej na poziomie oczu w końcu trzeciego regału. Skóra okazała się twarda, doskonale zachowana.

Ostrożnie wysunął ją z rzędu.

Księga była ciężka; ocenił, że waży mniej więcej dwa i pół kilograma. Miała około czterdziestu pięciu centymetrów wysokości, trzydzieści długości i prawie trzynaście grubości. Skóra oprawy była chłodna, lśniąca, pozbawiona ozdób i oznaczeń, tylko na grzbiecie wytłoczono w niej głęboko cyfry 833. Pergaminowe karty przycięto niedbale, niezbyt równo. Było ich co najmniej dwa tysiące.

Po obu stronach profesora stali Reggie i Beatrice, światła latarek skierowali na księgę, którą tulił do piersi. Otworzył ją ostrożnie na przypadkowej stronie.

Zobaczył listę. Listę nazwisk, sądząc po wpisach w trzech kolumnach. Jakieś sześćdziesiąt nazwisk na kolumnę. Przed każdym data, identyczna, 23 I 833. Po nazwisku jedno słowo: "Mors" lub "Natus".

— To jakiś rejestr - szepnął. Odwrócił stronę, następna wyglądała identycznie. Wydawało się, że lista nie ma końca. -

Jakieś pomysły, Bea?

— Wygląda na zapis urodzin i śmierci. Prowadziły je chyba wszystkie średniowieczne kościoły parafialne.

— Ten wydaje się dość wyczerpujący, nie uważasz? -

Atwood poświecił latarką wzdłuż długiego, wąskiego korytarza.

Pozostali członkowie grupy zebrali się przy wejściu do

321

biblioteki i stali, szepcząc coś do siebie. Atwood krzyknął do nich, żeby nie ruszali się choć przez chwilę. Nie zauważył, że Reggie bez pytania przeszedł w głąb sali.

— Twoim zdaniem jak stary jest ten... skarbiec? - spytał Beatrice.

— No cóż... sądząc po sposobie obróbki kamienia oraz konstrukcji drzwi i zamka, powiedziałabym, że jedenasty, może

dwunasty wiek. Zaryzykuję twierdzenie, że jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy dotarli tu po ośmiuset latach.

Z odległości dobrych trzydziestu metrów dobiegł ich budzący echa bas Reggiego.

- Jeśli nasza pani starsza jest rzeczywiście taka sprytna, to pewnie wytłumaczy mi, jakim cudem stoję sobie tu, gdzie stoję, z książkę opatrzoną datą szósty maja tysiąc czterysta sześćdziesiątego siódmego?

Potrzebowali generatora. Mimo szaleńczego podniecenia, które ich opanowało, Atwood uznał, że dalsze poszukiwania w ciemnościach mogą być niebezpieczne. Wrócili drogą, którą przyszl, i kiedy znaleźli się na powierzchni, w promieniach popołudniowego słońca, pośpiesznie przykryli wejście na schody deskami i brezentową płachtą, na którą nasypali parę centymetrów ziemi. Ktoś, kto trafiłby tu przypadkiem, na przykład opat Lawlor, niczego by nie zauważył. Zresztą Atwood nie pozostawił wątpliwości.

- Nie wolno wam rozmawiać o tym odkryciu z nikim. Rozumiecie? Z nikim - pouczył ich stanowczo.

Wrócili do obozu. Reggie zabrał ze sobą studencików i razem ruszyli na poszukiwanie generatora, który gdzieś na tej wyspie musiał przecież być. Atwood schował się w przyczepie i we wściekłym tempie zaczerniał kolejne kartki notesu.

Pozostali

322

rozmawiali ze sobą szeptem, czekając, aż dogotuje się gulasz z jagnięcia.

Ich furgonetka wróciła po zmroku z generatorem znalezionym u przedsiębiorcy budowlanego z Newport, który zgodził się im go wynająć. Przywieźli także kilkadziesiąt metrów kabla i pudło żarówek.

Reggie otworzył tylne drzwiczki i z dumą przedstawił swą zdobycz profesorowi.

- Reginald obiecuje, Reginald dotrzymuje słowa - powiedział z dumą.

Atwood poklepał go po potężnym ramieniu.

— Na to wygląda - przyznał. - Na to wygląda.

— To duża sprawa, prawda, szefie?

Atwood był wyraźnie przygaszony, długi wpis do dziennika wyczerpał go nerwowo.

— Zawsze marzy się o tym, by dokonać wielkiego odkrycia - powiedział. - Żeby znaleźć coś, co zmieni krajobraz świata. Cóż, mój stary, obawiam się, że to odkrycie jest zbyt wielkie.

— Nie rozumiem.

— Ja też nie, Reg. Ale jedno ci powiem, mam złe przeczucia.

Następnego dnia cały ranek spędzili, próbując uruchomić generator, a potem kładąc kable i podłączając żarówki. Atwood zdecydował, że najważniejsze są zdjęcia, wysłał więc Timo-thy'ego i Martina do scriptorium, a Ernesta i Dennisa do katakumb, a sam wraz z Beatrice zajął się biblioteką. Pękały kolejne żarówki w lampach błyskowych, zapach ozonu przesycił stęchłe powietrze. Reggie pełnił funkcję wędrownego elektryka: poprawiał kable, przywoływał do porządku kapryśne

323

żarówki i dopieszczał generator powarkujący na otwartym powietrzu.

Wczesnym popołudniem odkryli, że odsłonięta wczoraj ogromna biblioteka jest jedną z dwóch. Do pierwszej sali dobudowano drugą, prawdopodobnie później, w momencie gdy w pierwszej zabrakło miejsca. Była ona równie wielka, miała czterdzieści pięć na czterdzieści pięć metrów przy wysokości co najmniej dziesięciu metrów. W każdej sali znajdowało się trzydzieści par wysokich, długich regałów. Każda para rozdzielona była wąskim korytarzem. Półki zastawione były ciasno wielkimi tomami, z wyjątkiem kilku z tyłu drugiej sali, które pozostały puste. Po pobieżnym zbadaniu całości biblioteki Atwood dokonał kilku prostych obliczeń, zapisał wyniki w notesie i pokazał je Beatrice. Reakcja była natychmiastowa.

— O cholera! Nie pomyliłeś się?

— Żaden ze mnie matematyk, ale chyba nie. Nie sędzę.

Blisko siedemset tysięcy woluminów!

— Czyli nasza biblioteka należy do dziesięciu największych w Wielkiej Brytanii.

— Powiedziałbym także, że najbardziej interesujących. -  
Atwood się uśmiechnął. - Może spróbujemy teraz zgadnąć, dlaczego średniowieczni mnisi, jeśli to rzeczywiście o nich chodzi, raczej obsesyjnie zapisywali imiona i daty z przyszłości. - Zatrzasnął notes, echo trzasku niesło się przez kilka uderzeń serca.

— Nie śpię, tylko o tym myślę - przyznała Beatrice.

— Ja też nie śpię. Chodź ze mną.

Poprowadził ją do drugiej sali. Kable kończyły się tuż za wejściem, dalej szli więc blisko siebie, oświetlając drogę słabym żółtym światłem latarki. Zabrnęli daleko, nim Atwood przystanął i postukał palcem w grzbiet jednej z ksiąg, na którym wytłoczono 1806. Przeszedł do następnego rzędu.

324

- Ach, jesteśmy bliżej celu. Tysiąc osiemset siedemdziesiąty - powiedział.

Szli dalej. Atwood przyglądał się grzbietom kolejnych ksiąg. Sprawdzał daty.

— No, jesteśmy na miejscu - powiedział w końcu. -

Tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty piąty. Bardzo dobry rok.

— A to dlaczego? - zdziwiła się Beatrice.

— Bo ja się w tym roku urodziłem. No to zobaczymy.

Poświeć mi z bliska, bardzo proszę. Nie, muszę się trochę cofnąć, ta zaczyna się we wrześnie.

Odłożył księgę na miejsce, sprawdził kilka sąsiednich i wreszcie trafił na tą właściwą.

— Aha! - ucieszył się. - Styczeń tysiąc osiemset dziewięć

dziesiąty piąty. - Dwa tygodnie temu miałem urodziny, wiesz?  
O, mamy. Czternasty stycznia, mnóstwo nazwisk. Kurczę,  
mamy tu chyba wszystkie języki świata. Chiński, arabski,  
angielski... no, to oczywiście, hiszpański... czy to fiński? O,  
i jest suahili, jeśli się nie mylę. - Przesuwał palcem wzdłuż  
kolumny nazwisk. - Na Boga, Beatrice, tylko popatrz! -  
krzyknął. - Geoffrey Philip Atwood, czternasty stycznia tysiąc  
osiemset dziewięćdziesiąty piąty Natus. To ja, na Hades, do  
ja! Skąd ci ludzie mogli wiedzieć, że czternastego stycznia  
tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego piątego roku urodzi się  
jakiś Geoffrey Philip Atwood!

— To nie ma racjonalnego wyjaśnienia - powiedziała  
Beatrice chłodno.

— Cholernie cwane dranie. Zaryzykuję twierdzenie, że to  
ci z katakumb. Cwane dranie zasługiwały widoczne na specjalne  
traktowanie. Cwanych drani nie chowa się na zwykłym cmen  
tarzu. No to chodźmy poszukać czegoś bardziej współczesnego,  
dobrze?

Przez chwilę rozglądali się po drugiej sali. Atwood zatrzymał  
325

się nagle tak gwałtownie, że idąca za nim Beatrice wpadła na niego, nim zdążyła się  
zatrzymać. Gwizdnął cicho.

- Tylko popatrz - powiedział.

Oświetlił latarką stertę ubrań leżącą na ziemi przy końcu rzędu, mieszaninę materiału  
w kolorze czarnym i brązowym wyglądającą tak, jakby przyszykowano ją do  
odniesienia do pralni. Podeszli bliżej ostrożnie, aż wreszcie przystanęli zszokowani  
nad w pełni odzianym szkieletem leżącym na wznak. Na dużej czaszce koloru słomy  
pozostały ślady zmumifikowanego ciała i kępki włosów tam, gdzie była kiedyś skóra.  
Obok leżała czarna czapka. Potylicą była głęboko wgnieciona, kamienie pod nią

poplamione dawno zakrzepłą, starą krwią. Rodzaj stroju wskazywał na mężczyznę: czarny, kaftan z wysokim kołnierzem, brązowe pumpy, czarne rajtuzy, luźne na długich kościach, skórzane buty. Ciało leżało na obszernym czarnym płaszczu, z kołnierzem wykończonym wyliniałym futrem.

- Ten nasz przyjaciel z pewnością nie wywodzi się ze średniowiecza - powiedział cicho Atwood.

Beatrice już klęczała przy ciele, przyglądając mu się uważnie.

— Powiedziałabym, że raczej z epoki elżbietańskiej - orzekła.

— Jesteś pewna?

U pasa trupa wisiała fioletowa jedwabna sakiewka z wyszytymi literami J.C. Beatrice szturchnęła ją palcem, a następnie delikatnie rozwiązała wyschły sznurek. Wysypała na dłoń srebrne monety, szylingi i trzypensówki. Atwood zbliżył do nich latarkę. Na awersie widniał charakterystyczny, męski profil Elżbiety I. Beatrice podrzuciła jedną monet, a potem spojrzała na rewers. Nad herbem widniała wytłoczona data: 1581.

— Tak, jestem pewna - szepnęła. - Geoffrey, co on tutaj robi? Według ciebie?

— Według mnie dzisiejszy dzień przyniesie nam więcej

326

pytań niż odpowiedzi - odparł cicho głęboko zamyślony. Przebiegł wzrokiem po księgach, stojących na regale nad szkieletem. - No, proszę! Najbliższa książeczka ma datę tysiąc pięćset osiemdziesiąty pierwszy. To z pewnością nie jest przypadek. Wrócimy do naszego przyjaciela później, z aparatem i całym sprzętem, a na razie dokończmy misję.

Ostrożnie ominęli szkielet, przeszli obok szeregu regałów, aż Atwood znalazł to, czego szukał. Na szczęście woluminy z 1947 roku stały na wyciągnięcie ręki, bo przecież nie mieli drabiny. Oświetlił je blaskiem latarki.

- Znalazłem - oznajmił z radością. Tu się zaczyna nasz rok! - Zdjął z półki kilka ksiąg. - Jest! Trzydziesty pierwszy stycznia!

Usiedli obok siebie na zimnej podłodze, ściśnięci w wąskiej przestrzeni między regałami. Rozłożyli wielką księgę, tak że połowa spoczywała na jego kolanach, a połowa na jej. Wspólnie przeglądali kolejne, gęsto zapisane karty. Natus. Mors. Natus. Mors.

Atwood szybko stracił rachubę odwróconych kart. Ile ich było? Sześćdziesiąt? Siedemdziesiąt?

Ten wpis zobaczył pierwszy, na sekundę przedtem, nim dotarła do niego Beatrice. Reginald William Saunders. Mors.

Ulubionym pubem archeologów był Spryciarz w Fishbourne. Znajdował się wystarczająco blisko obozu, by mogli pójść na piwo piechotą, był nieprzesadnie drogi, a właściciel pozwalał im kąpać się w łazience gościnnego skrzydła za pensa od osoby. Szyld: kucający nad strumieniem, pożądliwie wpatrzony w wodę facet, próbujący złapać pstrąga rękami, zawsze przywoływał uśmiech na ich usta... zawsze, ale nie dziś. Siedzieli

327

w zadymionej sali barowej, sami przy długim stole, ponurzy i unikający kontaktu z miejscowymi klientami.

Reggie spojrzął na zegarek, mimo że uważał za stosowne lekceważyć sytuację.

- Stawiam kolejkę... jeśli ktoś wykaże się odwagą i pożyczy mi kilka funtów. Zwracam jutro, Beatrice.

Beatrice wyjęła z torebki i rzuciła na stół kilka banknotów.

- Masz, gorylu - powiedziała. - Jutro mi zwracasz, pamiętaj.

Reggie zgarnął pieniądze.

— A pan co o tym sądzi, profesorze? - spytał. - Już po mnie nieszczęśliwym?

— Prawdę powiedziawszy, to mi się w głowie nie mieści. -

Atwood jednym łykiem wypił pozostałe mu ćwierć kufła.

Trzeciego. Nie pijał tyle, w głowie już mu się kręciło. Wszyscy



narzucili ostre tempo i już zaczęli trochę bełkotać.

— No cóż - zaczął z uśmiechem Reggie - jeśli mam odejść tej nocy, odejdę z brzuchem pełnym najlepszego bittera.

Dla wszystkich to samo?

Zebrał kufle ze stołu i zaniósł do baru. Kiedy znalazł się wystarczająco daleko, Denis pochylił się nad stołem.

- Przecież nikt z was nie wierzy w tę bzdurę - powiedział szeptem. - Prawda?

Martin potrząsnął głową.

— Jeśli to bzdura, to jakim cudem w jednej z ksiąg znalazła się data urodzin profesora?

— No właśnie, jakim cudem? - zawtórował mu Timothy.

— Musi być jakieś naukowe wyjaśnienie tej sprawy - powiedziała Beatrice stanowczo.

— Musi? - zdziwił się Atwood. - Niby dlaczego wszystko musi posłusznie dawać się naukowo wyjaśniać?

— Geoffreyu! - zdumiała się jego uniwersytecka koleżan-

328

ka. - I ty to mówisz? Pan doktor Empiryzm? Kiedy po raz ostatni byłeś w kościele?

- Nie pamiętam. Ale parę tych co starszych odkopałem. -

Atwood patrzył przed siebie tępym wzrokiem pijaka bardzo świeżej daty.-Gdzie moje piwo?-zaniepokoił się nagle. Skupił wzrok, dostrzegł Reggiego przy barze. - Aha, tam jest. Dobry człowiek. Przeżył Rommla. Miejmy nadzieję, że przeżyje Vectis.

Ernest siedział zamyślony. Nie był tak pijany jak inni.

— Musimy dokładnie wszystko sprawdzić - włączył się teraz do dyskusji. - Poszukajmy ludzi, których znamy, może też postaci historycznych. Sprawdźmy odpowiednie daty.

— Oto właściwe podejście! - Atwood uderzył pięścią

w podstawkę pod kufel. - Nie ma to jak stosować metody naukowe do udowodnienia, że cała ta nauka jest gównem warta!

— A jeśli daty będą odpowiednie za każdym razem? - spytał Dennis. - Co wtedy?

— Wtedy prześlemy sprawę małym straszonym ludzikom robiącym małe straszne rzeczy w małych strasznych pokojach w Whitehall.

— Ministerstwo Obrony... - powiedział cicho Ernest.

— Dlaczego właśnie im? - spytała Beatrice.

— A komu innemu? - odpowiedział pytaniem Atwood. -

Prasie? Papieżowi? - Znów spojrzął na Reggiego czekającego, by barman napełnił kufle. - Hej, umieramy z pragnienia! - krzyknął.

— Już leczę, szefie!

Julian Barnes wtargnął do pubu w obszernym, rozwianym płaszczu mundurowym.

Nikt nie był tym bardziej zaskoczony niż lokalni goście, którzy oczywiście wiedzieli, kim jest, ale jeszcze nigdy nie widzieli go w pubie, przede wszystkim w tym

329

pubie. Zachowywał się w sposób nieprzyjemny, nadęty, manifestował wyższość częściowo zapewne mu należną, ale przede wszystkim był żałośnie napuszony. W tej chwili włosy miał porządnie zaczesane do tyłu, wąsy idealnie przycięte. Był mały, przypominał łasicę.

Jeden z miejscowych, związkowiec, głęboko gardzący takimi jak on, powiedział kpiąco:

- Pan pułkownik pomylił nasz pub z siedzibą Partii Konserwatywnej. Kawalek dalej ulicą i po lewej.

Barnes całkowicie go zignorował.

- Chcę wiedzieć, gdzie znajdę Reginalda Saundersa - rzekł dźwięcznym głosem mówcy.

Archeologowie spojrzeli na niego uważnie. Reggie nadal stał przy barze, trzymając napełnione już kufle. Stał w odległości rzutu strzałką od małego, żalostnego człowieczka.

— Kto pyta? - powiedział, prostując się na całą swą imponującą wysokość.

— Ty jesteś Reginald Saunders? - zwrócił się do niego niezrażony Barnes.

— A ty kim jesteś, do cholery, koleś?

— Powtarzam pytanie: ty jesteś Saunders?

— Owszem, jestem Saunders. Masz do mnie jakiś interes?

Mały człowieczek przełknął z wysiłkiem

— Mam wrażenie, że znasz moją żonę?

- I twój samochód też. Zgadnij, co mi się bardziej podoba?

Na te słowa pułkownik wyjął z kieszeni srebrzyście błyszczący pistolet i, nim ktokolwiek zdążył zareagować, strzelił Reggie'emu w środek czoła.

Po spotkaniu z Winstonem Churchillem Geoffrey Atwood został odwieziony z powrotem do Hampshire krytą wojskową

330

furgonetką transportową. Obok niego, na drewnianej ławce, siedział niewzruszony młody kapitan, odzywający się tylko wówczas, gdy ktoś go zagadnął. Zmierzali do bazy z czasów wojny, w której armia utrzymywała do tej pory koszary i poligon.

Tam właśnie przetrzymywano jego oraz resztę grupy. Nim ruszyli, Atwood zapytał kapitana:

— Dlaczego nie możecie zwolnić mnie w Londynie?

— Otrzymałem rozkaz odtransportowania pana do Alder-shot.

— Dlaczego, jeśli wolno spytać?

— Taki otrzymałem rozkaz.

Profesor służył w armii wystarczająco długo, by na pierwszy rzut oka rozpoznać niewzruszoną postawę, i wiedział, że nie warto strzepić języka. Założył, że prawnicy formułują właśnie umowę o zachowaniu tajemnicy i że wszystko będzie w porządku. Furgonetka podskakiwała i kiwała się na wybojach, skrzypiąc zużytym zawieszaniem, a on próbował myśleć o rzeczach przyjemnych. Myślał żonie i dzieciach, które oszaleją z radości na jego widok. Myślał o dobrej kolacji, gorącej kąpeli, podjęciu urzekająco zwykłych obowiązków akademickich. Vectis z konieczności zniknie z otchłani niepamięci, skonfiskują mu notatki i zdjęcia, w praktyce, można powiedzieć, wyczyszczą mu pamięć; choć pewnie - wyobrażał sobie - od czasu do czasu będzie mógł wymienić kilka ukradkowych słów z Beatrice, w zaciszu jego muzealnego gabinetu, przy kieliszku sherry. Bezwzględne, brutalne uwięzienie osiągnęło cel, który postawili przed nim ci, co ich uwięzili, i Atwood się bał. Tak przerażony nie był nigdy, nawet podczas wojny.

Kiedy powrócił do zamkniętych koszar, była noc. Koledzy otoczyli go jak fotografowie gwiazdę filmową. Błazi, przygnębieni, wszyscy stracili na wadze, wszyscy byli poirytowani,

331

mieli dość i skręcali się ze strachu. Beatrice mieszkała osobno, ale pozwolono im spędzać dni wspólnie, w pokoju, do którego opiekunowie przynosili im mdłe wojskowe żarcie. Martin, Timothy i Dennis, nieodmiennie ponurzy, całe dni grali w re-mika, Beatrice wściekała się i przeklinała strażników, a Ernest siedział w kącie, zacierając ręce, niespokojny, w stanie głębokiej depresji.

I oni wszyscy pokładali nadzieję w londyńskiej wyprawie Atwooda, a teraz, kiedy wrócił, chcieli poznać wszystkie szczegóły. W napięciu słuchali relacji z rozmowy z generałem majorem Stuartem, bili brawo i płakali, kiedy powiedział im, że wkrótce zostaną zwolnieni, że czekają tylko na prawników przygotowujących umowy o zachowaniu tajemnicy, które będą musieli podpisać. Nawet Ernest ożywił się, przysunął do nich z krzesłem, przestał tak mocno zaciskać szczęki.

— Wiecie, co zrobię, kiedy wreszcie znajdę się w Cam

bridge? - spytał Dennis.

— Nie jesteśmy zainteresowani - zgasił go Martin.

— Wezmę kąpiel, przebiorę się w czyste ciuchy, pójdę do klubu jazzowego i znajdę sobie łatwą kobietę.

— Przecież ci powiedział, że nie jesteśmy zainteresowani - warknął Timothy.

Następny ranek spędzili, czekając niecierpliwie na informacje o uwolnieniu. W porze lunchu w ich pokoju pojawił się szeregowiec z tacą. Ustawił ją na wspólnym stole.

Chłopak był tępawy, całkowicie wyprany z poczucia humoru; Beatrice uwielbiała się nad nim znęcać.

— Hej, przy grupie - powiedziała teraz - zamiast walić kapucyna, przyniósłbyś nam parę butelek wina. Dzisiaj wracamy do domu.

— Muszę to sprawdzić, proszę pani.

332

- Święte słowa, chłopcze. A przy okazji sprawdź, czy mózg ci nie wyciekł uszami.

Zadzwoił telefon. W swym biurze w Aldershot generał major Stuart podniósł słuchawkę. Mięśnie jego twarzy, skrzywionej w wyrazie pogardy, ani drgnęły.

Rozmowa była krótka, rzeczowa, obyło się bez przemówień i wyjaśnień. Zakończył ją krótkim "Tak jest", odsunął się z krzesłem od biurka, wstał i poszedł wykonać rozkazy.

Lunch wyglądał jak zwykle odpychająco, ale oni byli głodni i entuzjastycznie nastawieni do życia. Z apetytem zajadali czerstwe bułeczki i kleisty makaron.

Atwood, umiejący opowiadać, opisywał im ze wszystkimi zapamiętanymi szczegółami słynny podziemny bunkier Churchilla. W połowie posiłku pojawił się szeregowy z dwiema zakorkowanymi butelkami wina.

- No, niech ja dłużej nie oddycham - krzyknęła Beatrice. - Szeregowy Wanker coś nam jednak załatwił.

Chłopak zostawił butelki na schodach i wyszedł bez słowa. Profesor wziął na siebie

rolę gospodarza. Rozlał wino do kieliszków.

- Chciałbym wznieść toast - powiedział, poważniejąc. -

Niestety, już nigdy nie wolno nam będzie rozmawiać o tym, co znaleźliśmy w Vectis, ale wspólne doświadczenia stworzyły między nami więź, której nic nie rozerwie. Za naszego drogiego przyjaciela, Reggiego Saundersa... i za tą cholerną wolność!

Trącili się kieliszkami, wypili wino. Beatrice skrzywiła się przeraźliwie.

333

- Nie powiem, żeby pochodziło z piwnicy oficerskiej - prychnęła.

Dennis dostał ataku pierwszy, być może dlatego, że był z nich wszystkich najdrobniejszy i najłżejszy. Po nim przysła kolej na Beatrice i Atwooda, a po zaledwie kilku sekundach wszyscy tarzali się po podłodze z przygryzionymi, zakrwawionymi językami, wywróconymi oczami, kurczowo zaciśniętymi pięściami. Generał major Stuart wszedł, gdy było już po wszystkim. Ogarnął żaloszny obraz zmęczonym spojrzeniem. Oglądanie śmierci już dawno go zmęczyło, ale był też najbardziej zdyscyplinowanym żołnierzem Jego Królewskiej Mości.

Westchnął. Czekał ich długi dzień i ciężki ładunek do przewiezienia.

Poprowadził mały oddział najbardziej zaufanych ludzi na wyspę Wight. Teren, na którym prowadziła pracę grupa Atwooda, został już odgradzony, a wykopalisko przykryte płachtą dużego polowego namiotu, chroniącego je przed wzrokiem ciekawskich. Opata Lawlora poinformowano, że archeolodzy odkryli w wykopie niewybuchy i dla bezpieczeństwa zostali przetransportowani na stały ląd. W ciągu kolejnych dwunastu dni barki marynarki wojennej regularnie transportowały na wyspę ciężkie wojskowe ciężarówki, które podjeżdżały pod namiot. Zmieniające się grupy żołnierzy, niemających pojęcia, co właściwie robią i dlaczego, dwadzieścia cztery godziny na dobę trudyły się ładowaniem na samochody wynoszonych z podziemi drewnianych skrzyń.

Generał odwiedził podziemną bibliotekę; stuk jego wojskowych butów po kamiennej

podłódze wracał do niego ostrym echem. Na półkach nie było już ksiąg, pozostały tylko ciągnące się jakby w nieskończoność rzędy wysokich, pustych regałów.

Przeszedł nad szkieletem w ełzbietzańskim stroju, nie zwracając

334

na niego najmniejszej uwagi. Ktoś inny zapewne próbowałby wyobrazić sobie, co tu się stało, zrozumieć, jak do tego doszło, uporać się z ogromem filozoficznych konsekwencji tego, co widzi. Ale nie on... i prawdopodobnie dlatego był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Marzył tylko, by wcześniej wrócić do Londynu i zdażyć do klubu na szklaneczkę szkockiej i krwisty befszytk.

Po spacerze spotka się z opatem. Złoży na jego ręce wyrazy szczerego ubolewania z powodu niewybaczalnego błędu armii: byli pewni, że oczyścili teren z niewybuchów, pozwolili grupie Atwooda powrócić, lecz niestety, przegapili niemiecką bombę.

Zapewne zgodzą się, że w ich intencji należałoby odprawić mszę.

Kiedy teren został już oczyszczony, Stuart wpuścił do podziemi saperów. Podłożone przez nich ładunki wybuchły w określonej kolejności, powodując wstrząs sejsmiczny. Tony obrobionego w średniowieczu kamienia zawaliły się pod własnym ciężarem, grzebiąc ciała Geoffreya Atwooda, Beatrice Slade, Ernesta Murraya, Dennisa Spencera, Martina Bancrofta i Ti-mothy'ego Browna. Na wieczność spoczęli oni obok pokoleń rudowłosych skrybów, których dzieła oliwkowe wojskowe ciężarówki wywiozły do bazy sił powietrznych Lakenheath w Suffolk, skąd miały być natychmiast przetransportowane do Waszyngtonu.

29 lipca 2009 Nowy Jork

Tym razem kac był tak łagodny, że właściwie nie zasługiwał na swą nazwę, przypominał raczej niezbyt dokuczliwy atak grypy, który da się zneutralizować w godzinę kilkoma pastylkami tylenolu.

Poprzedniej nocy Will założył, że pójdzie na całość, skoczy na głęboką wodę, będzie pływał przy dnie i wynurzy się dopiero, gdy zacznie się autentycznie dusić. Ale po kilku drinkach z planowanych wielu wściekł się i z tej wściekłości przestał uzalać się

nad sobą, co spowodowało, że pił w zgodzie z metabolizmem: absorbował tyle, ile zdolny był wydalić. A to z kolei spowodowało, że przez większą część nocy myślał całkiem racjonalnie, a nie bezsensownymi zrywami udającymi logikę... póki mogły cokolwiek udawać. Funkcjonując całkiem przyzwoicie, zadzwonił nawet do Nancy i umówił się z nią wcześniej rano.

Kiedy przyjechała, siedział w jednym ze Starbucksów przy Grand Central, popijając venti. Dziewczyna wyglądała gorzej od niego.

336

— Dobrze ci się jechało? - spytał żartobliwie. A potem pomyślał, że wygląda, jakby lada chwila miała się popłakać i może powinien ją przytulić. Zrezygnował, bo jeszcze nigdy nie okazali sobie sympatii publicznie. Byłby to pierwszy raz.

— Mam dla ciebie odtłuszczoną latte - powiedział tylko, przysuwając jej kubek. - Jeszcze gorące. - Ten objaw troski był jak kropla przepelniająca czarę. Popłynęły łzy.

— Przecież to tylko kubek kawy! - zaprotestował słabo.

— Wiem. Dzięki. - Nancy wypila łyk i zadała to jedyne, najważniejsze pytanie. - Co się stało?

Pochyliła się ku niemu przez mały stolik, chciała mieć pewność, że usłyszy odpowiedź. W Starbucksie pełno było rozgadanych ludzi, strzelał automat do gotowania mleka na parze. Sprawiała wrażenie bardzo młodej, bardzo wrażliwej, łatwej do zranienia; Will niemal instynktownie położył dłoń na jej dłoni. Źle odczytała ten gest.

— Myślisz, że się o nas dowiedzieli?

— Nie, skąd! To nie ma z nami nic wspólnego.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Bo gdyby miało, zaraz wezwaliby cię do kadr i niczego nie ukrywali. Uwierz mi, ja wiem.



— No to o co chodzi?

— Nie o nas, tylko o sprawę. - Will też napił się kawy.

Przyglądał się twarzy każdego wchodzącego.

Nancy jakby czytała w jego myślach.

— Więc nie chcą, żebyśmy aresztowali Shackletona?

— Na to wygląda.

— Dlaczego mieliby utrudniać schwytanie seryjnego zabójcy?

— Doskonałe pytanie. - Will potarł dłonią czoło i zmęczone oczy. - Dlatego mianowicie, że to przesyłka specjalna.

Spojrzała na niego pytająco. A on zniżył głos.

337

- Kiedy usuwa się kogoś z pola widzenia? Kiedy jest świadkiem koronnym? Tajnym agentem? Działa pod przykrywką? Cokolwiek by robił, przestaje istnieć. On powiedział, że pracuje dla rządu, tak? Strefa Pięćdziesiąt Jeden, czymkolwiek jest to gówno... albo podobne. Rozniósł się taki smród, jakby jedna część rządu, czyli my, nadziała się na inną część rządu, no i przegraliśmy.

Nie mieściło się jej to w głowie.

— Chcesz mi wmówić, że wysocy urzędnicy jakiejś agencji federalnej pozwalają, by morderca chodził sobie spokojnie po świecie?

— Niczego nie chcę ci wmówić. Ale tak, to niewykluczone. Wszystko zależy od tego, jaki jest ważny. Istnieje także inna możliwość: jeśli już wymierzają sprawiedliwość, robią to po cichu.

— Więc my się nie dowiemy?

— Nie. My się nie dowiemy.

Nancy dopiła kawę, pogrzebała w kosmetyczce, wyjęła puderniczkę, zabrała się do poprawiania makijażu.

- A więc nas załatwili? To już koniec?

Will przyglądał się, jak znikają ślady łez.

— Dla ciebie, tak. Dla mnie, nie. - Jego kwadratowa szczeka ustawiła się w charakterystycznej, zaczepnej pozycji, ale twarz promieniała też pogodnym spokojem tego niepokojącego rodzaju, jaki widuje się u ludzi stojących na dachach wieżowców na krótką chwilę przed skokiem. - Ty wracasz do biura. Znajdą ci nową sprawę. Słyszałem, że Mueller wraca, może znowu cię do niego przydzielą. Będiesz pracować i awansować. Czeka cię wielka kariera, bo jesteś cholernie dobrą agentką.

— Will... - wykrztusiła wstrząśnięta dziewczyna.

— Nie. Wysłuchaj mnie do końca. To sprawa osobista. Nie

338

wiem, jak i dlaczego Shackleton zabił tych ludzi, ale wiem, że zrobił to, żeby mnie upokorzyć, żeby mnie wpakować w kupę gówna, bo to gówniana sprawa. To nim kierowało, przynajmniej w większej części. Ze mną będzie tak, jak miało być. Nie jestem już człowiekiem firmy. Od lat nim nie byłem. To był od początku poroniony pomysł, żebym siedział na dupie, udawał zadowolonego i czekał na emeryturę. - Will wściekał się powoli, ale wokół pełno było ludzi, jeszcze więc nie wrzeszczał. - Pieprzyć wysługę, pieprzyć emeryturę. Zawsze znajdę sobie jakąś pracę. Wiele mi nie trzeba.

Nancy odłożyła puderniczkę. Wyglądało na to, że zaraz znów będzie musiała poprawiać makijaż.

— Nie, nie płacz - poprosił cicho. - Nie chodzi o nas.

Z nami jest wspaniale. Jeśli chcesz znać prawdę, to od bardzo dawna nie było mi tak dobrze z kobietą, może nawet nigdy?

Jesteś mądra i seksowna, poza tym nigdy nie byłem z kobietą, która tak doskonale dawałaby sobie radę sama.

— Czy to komplement?

— W moich ustach największy możliwy. Niczego nie wymagasz, a moje poprzednie panie wszystkie miały wymagania. Żyjesz swoim normalnym życiem, dzięki czemu i ja mogę żyć, jak chcę. To się nie powtórzy.

— Więc czemu wszystko niszczyć?

— Nie takie były moje intencje, oczywiście. Muszę dorwać Shackletona.

— Przecież odebrali ci sprawę!

— To ja ją odbieram im. Tak czy inaczej, wylatuję. Doskonale wiem, jak myśłą, i wiem też, że nie zniosą niesubordynacji. Słuchaj, kiedy już zostanę ochroniarzem centrum handlowego w Pensacoli, może załatwisz sobie przeniesienie? Nie wiem, jak tam jest z muzeami, ale z pewnością znajdziemy ci jakiś dostęp do kultury.

339

Nancy przetarła załzawione oczy.

— Masz przynajmniej jakiś plan?

— Mam. Niezbyt skomplikowany. Już jestem na chorobowym. Sue podziękuje losowi za to, że nie musi się mną zajmować. Mam rezerwację na lot do Vegas jeszcze na dziś rano. Znajdę faceta i zmuszę go, żeby zaczął gadać.

— A ja mam wracać do pracy jak gdyby nigdy nic?

— Tak i nie. - Will wyjął z teczki dwa telefony komórkowe. - Zaczną na mnie polować, gdy tylko zorientują się, że zniknąłem. Całkiem możliwe, że założą ci podsłuch. Weź jeden z nich. Oba są na kartę, jeśli nie zna się numeru, nie sposób

ich namierzyć. Potrzebuję oczu i uszu, ale jeśli choćby przez sekundę będzie ci się zdawało, że jesteś zagrożona, wyciągasz wtyczkę. Aha, zadzwoń do Laury. Uspokój ją jakoś, dobrze?

Nancy wzięła jeden z telefonów. Był wilgotny, choć Will tak krótko trzymał go w dłoni.

- Dobrze - powiedziała.

Mark śnił linie komputerowego kodu. Formowały się szybciej, nim zdołał je zapisywać, tak szybko, jak myślał. Każda była zwięzła, doskonała na swój minimalistyczny sposób, bez jednego zbędnego znaku. Unosząca się w marzeniach tablica wypełniała się czymś po prostu cudownym. Bo był to cudowny sen i poczuł się okropnie, kiedy przerwał go sygnał telefonu. W dodatku wściekło go, że na komórkę dzwoni szefowa, Rebecca Rosenberg. Oto leżał w łóżku luksusowego apartamentu hotelu Venetian z bardzo piękną kobietą, a do ucha gadała mu smoczyca o akcencie z Jersey. Aż się bebechy skręcały.

— Co u ciebie? - spytała.

— Wszystko w porządku. Co się stało? - Mark pamiętał,

340

oczywiście, że nigdy przedtem nie kontaktowano się z nim w ten sposób.

- Przykro mi, że ci zakłócam urlop. Gdzie jesteś.

Mogli go namierzyć przez sygnał komórki, dlatego powie dział prawdę.

— W Vegas.

— To dobrze. Teraz naprawdę ci przeszkodzę, ale kod sprawia nam kłopoty, z którymi nikt nie potrafi sobie poradzić.

Wskaźnik lambda algorytmu HITS spada, strażnicy zaczynają się bać.

— Próbowaliście resetować? - spytał beznadziejnie.

— Z milion razy. Wszystko wskazuje na uszkodzenie kodu.

— Jakim cudem?

— Tego nikt nie wie. Ty jesteś jego ojcem. Oddałbyś mi wielką przysługę, gdybyś wpadł tu jutro.

— Mam wakacje!

— Przecież wiem i bardzo mi przykro, że dzwonię, ale jeśli to dla nas zrobisz, załatwię ci trzy dodatkowe dni tych wakacji. Poza tym uporaj się z robotą w pół dnia, a dostaniesz learjeta i na McCarran wrócisz przed lunchem. Co ty na to? Załatwione?

Mark potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Dobra, niech będzie - powiedział.

Zakończył rozmowę i rzucił telefon na łóżko. Kerry spała twardo. Coś mu nie grało. Zatarł ślady z takim artyzmem, że nie miał wątpliwości: biznes z Desert Life był nie do wykrycia. Teraz musi już tylko czekać, miesiąc, może dwa, a potem zacząć procedurę odejścia na własną prośbę. Powie im, że spotkał dziewczynę, że mają zamiar się pobrać i przeprowadzić na Wschodnie Wybrzeże. Będą zgrzytać zębami, wygłaszać kazania o wzajemnych zobowiązaniach, o tym, jak wiele czasu zabrało wyszukanie go i przystosowanie, i o tym, jak trudno

341

znaleźć zastępstwo. Odwołają się do jego patriotyzmu, ale on będzie twardy. W końcu czasy niewolnictwa dawno minęły. Muszą go puścić. Jasne, nim przejdzie przez próg, zrobią mu niezłe przeszukanie, ale oczywiście nic nie znajdą. Będą go obserwować przez lata, może nawet do końca życia, jak wszystkich byłych pracowników. Niech będzie. Mogą go obserwować, ile się im podoba.

Rosenberg odłożyła słuchawkę, strażnicy wyjęli z uszu głośniczki. Kiwali głowami z aprobatą. Był z nimi ich szef, Malcolm Frazier, z nieruchomą twarzą, sztywnym karkiem i ciałem zapaśnika.

— Było dobrze - powiedział.

— Jeśli podejrzewacie, że zagraża bezpieczeństwu, dlaczego nie zgarniecie go już dziś?

— My nie podejrzewamy, że zagraża bezpieczeństwu, my to wiemy - powiedział szorstko Frazier. - Wolimy zrobić to w kontrolowanych warunkach. Potwierdzimy, że jest w Nevada. Postawimy ludzi przed jego domem. Będziemy namierzać sygnał jego komórki. Jeśli uznamy, że jutro się nie stawi, zrobimy swoje.

— Jestem pewna, że znacie się na swojej robocie. - Powietrze pokoju przesyczone był zapachem wielkich, atletycznych męskich ciał.

— Tak, doktor Rosenberg. Na niej się znamy.

Jechał taksówką na lotnisko w deszczu; wycieraczki stukwały monotonnie jak metronom wyznaczający tempo adagio. Na tylnym siedzeniu niemal natychmiast zapadł w drzemkę z głową opartą o ramię. Obudził się na wewnętrznej drodze dojazdowej

342

lotniska LaGuardia z bólem karku. Kierowcy kazał podjechać pod terminal US Airways.

Jego jasnobrązowy garnitur pokrywały krople wody. Odczytał imię dziewczyny wypisującej bilety, Vicky, pokazał jej legitymację, federalne pozwolenie na broń i bawił ją rozmową, podczas gdy załatwiała formalności. Przyglądał się, jak stuka w klawiaturę komputera; niewysoka, krępa, sympatyczna, z długimi brązowymi włosami związanymi w koński ogon, nie bardzo nadawała się na nemezis.

Rozproszone szare światło oświetlało wnętrze terminalu, który był czystutki, wręcz sterylne i niezatłoczony, jak to późnym rankiem. Łatwe do ogarnięcia wzrokiem, wyizolowania osób, którymi warto się zainteresować. Will był czujny, napięty.

Oprócz Nancy nikt nie wiedział, że właśnie przechodzi na drugą stronę, ale czuł się wystawiony jak na strzelnicy, jakby powiesił sobie na szyi tabliczkę z odpowiednim napisem. Pasażerowie czekający na swój lot i kręcący się po sali wyglądali niegroźnie, a w kacie, przy bankomacie, stali dwaj pogrążeni w rozmowie gliniarze.

Do odlotu miał jeszcze godzinę. Kupił sobie coś do jedzenia i do czytania. Kiedy już wystartują, będzie mógł odprężyć się na parę godzin, chyba że dziś leci Darła; w takim wypadku będzie się zmagał z dylematem, czy zdradzić Nancy, czy jej nie zdradzić, choć jak znał siebie, ulegnie w końcu mądrości sloganu: "Co się dzieje w Vegas, pozostaje w Vegas". Przez dłuższy czas nie myślał o tej dużej blondynce, ale teraz miał kłopoty z wyrzuceniem jej z pamięci. Jak na panienkę tak obfitych kształtów, nosiła wyjątkowo delikatną, niemal nieważ-ką bieliznę...

I nagle uświadomił sobie, że Vicky zaczęła grać na zwłokę. Przewracała papiery, wpatrując się w monitor komputera wielkimi, przerażonymi oczami.

343

— Wszystko w porządku? - spytał.

— Tak. System się zawiesił. To minie.

Gliniarze przy bankomacie patrzyli na niego, przemawiając do krótkofalówek.

Will zgarnął legitymację z lady.

— Vicky, dokończymy później, dobrze? Muszę skorzystać z toalety.

— Ale...

Will pobiegł. Gliniarzom brakowało do niego jakichś sześćdziesięciu metrów, a posadzka była śliska. Od drzwi dzieliło go kilka kroków, wyprysnął na zewnątrz w trzy sekundy. Nie oglądał się za siebie. Miał szansę pod warunkiem, że będzie poruszał się i myślał szybciej niż ci, co go ścigają. Z czarnego town cara wysiadali właśnie jacyś ludzie. Wrzucił torbę na tyle siedzenie i wskoczył za nią, kiedy limuzyna już ruszała.

— Hej, nie wolno mi nikogo stąd zabierać - zaprotestował sześćdziesięcioletni taksjarski z rosyjskim akcentem.

— Wszystko w porządku - uspokoił go Will, machając legitymacją. - Jestem agentem federalnym. Niech pan jedzie, proszę.

Kierowca wyburczał coś po rosyjsku, ale ruszył gładko. Will udawał, że szuka czegoś

w torbie; dobry pretekst do opuszczenia głowy. Usłyszał dalekie krzyki. Zobaczyli go? Mają numer rejestracyjny? Serce waliło mu w piersiach.

— Mogę wylecieć z roboty!

— Bardzo mi przykro. Prowadzę sprawę.

— FBI? - zainteresował się Rosjanin.

— Tak, proszę pana.

- Mam syna w Afganistanie. Dokąd jedziemy?

Zastanawiał się przez ułamek sekundy, rozważając możliwe scenariusze.

- Terminal Marinę Air - zdecydował.

344

— To tuż po drugiej stronie!

— Już bardzo mi pan pomógł. Nic więcej nie potrzebuję.

Wyłączył telefon, wrzucił go do torby i wyciągnął z niej drugi, większy, na kartę.

Kierowca nie wziął od niego pieniędzy. Will wysiadł, rozejrzał się dookoła. Oto chwila prawdy. Ale wszystko wydawało się takie normalne, żadnych migających niebieskich świateł, żadnej pogoni. Natychmiast dołączył do krótkiej kolejki na postoju i wskoczył do miejskiej taksówki. Podczas jazdy połączył się z Nancy.

Poinformował ją o przebiegu wypadków, wspólnie opracowali pewien plan.

Uznał, że ścigającym nie zabraknie ani motywacji, ani wsparcia, musiał więc włożyć w ucieczkę sporo wysiłku, zmieniać środki transportu. Pierwszą taksówką podjechał na Queen's Boulevard. Wpadł do Chase Bank, podjął z konta parę tysięcy. Zatrzymał drugą taksówkę. Wysiadł z niej przy Sto Dwudziestej Piątej na Manhattanie. Stamtąd Metro North dowiozło go do White Plains.

Przyszło wczesne popołudnie, zrobił się głodny. Deszcz przestał padać, pozostawiając po sobie świeże powietrze, którym przyjemnie było oddychać. Niebo pojaśniało, torba przestała mu ciążyć i Will ruszył przed siebie piechotą w poszukiwaniu lokalu, w którym mógłby coś zjeść. Na Mamaroneck Avenue znalazł



małą włoską restauracyjkę, skrył się w niej przy stoliku z dala od okna. Zamówił luksusowy trzydaniowy obiad; trudno o miłszy sposób zabijania czasu. Powstrzymał się przed zamówieniem trzeciego piwa i do lasagne wypił wodę mineralną. Skończył, zapłacił gotówką, popuścił pasa, po czym wyszedł w blask słonecznych promieni. Niedaleko znajdowała się biblioteka publiczna, wielki miejski gmach w stylu, który architekt uważał za neoklasycyzm. Przy stanowisku recepcyjnym oddał torbę, ponieważ jednak wejścia

345

nie bronił detektor metalu, nie powiedział, że ma broń w kaburze podramiennej. Następnie znalazł sobie miejsce przy długim stole w dalekim kącie klimatyzowanej czytelni publicznej.

I nagle doszedł do wniosku, że przesadnie rzuca się w oczy. Wśród ze dwóch tuzinów obecnych tu ludzi tylko on ubrany był w garnitur i tylko on siedział przy stole, na którym nie leżała ani jedna książka. W wielkiej sali panowała charakterystyczna biblioteczna cisza, przerywana od czasu do czasu kasznięciem i zgrzytem nóg krzesła po podłodze. Zdjął krawat, wsadził go do kieszeni marynarki, a następnie wyruszył na poszukiwanie książki, która pomogłaby mu zabić czas.

Will nie należał do namiętnych czytelników. Nie pamiętał, kiedy to po raz ostatni podszedł do bibliotecznego regału; prawdopodobnie na uczelni, i to raczej z powodu dziewczyny niż lektury. Chociaż do tej chwili dzień obfitował w dramatyczne wydarzenia, miał ochotę na poobiednią drzemkę i z trudem przestawiał ciężkie nogi. Szedł zygzakiem wąskimi, klaustro-fobicznymi korytarzami pomiędzy wysokimi, szkieletowymi konstrukcjami z metalu, oddychając stęchłym, pachnącym kartonem powietrzem. Tysiące tytułów zamazywały mu się przed oczami, zlewały w jeden, powoli tracił zdolność myślenia. Poczul przemożną ochotę zwinąć się w kłębek gdzieś w ciemnym kącie, uciąć sobie drzemkę, lecz nim jego mózg zdążył się wyłączyć, coś przywołało go do porządku.

Był obserwowany.

Najpierw poczul to, dopiero potem usłyszał kroki po lewej, w równoległym rzędzie.

Obrócił się i zdażył jeszcze zobaczyć znikającą przy końcu regału stopę. Dotknął broni przez marynarkę, podszedł szybko do końca swojego rzędu, skręcił w prawo i jeszcze raz w prawo. Nikogo. Nasłuchiwał. Odniósł wrażenie, że usłyszał coś gdzieś dalej, poszedł cicho w tamtym kierunku;

346

jeszcze dwa rzędy w stronę środka sali. Wyjrzał zza rogu. Jakiś mężczyzna oddalał się od niego żwawym krokiem.

- Hej! - zawołał.

Mężczyzna zatrzymał się i odwrócił. Był gruby, miał czarną poplamioną brodę i strój kojarzący się raczej z zimą: mocne buty, przeżarty przez mole gruby sweter i ciepłą kurtkę z kapturem. Jego widoczne nad brodą policzki nosiły ślady po ospie, bulwiasty nos pokryty był jakby skórką zdjętą z pomarańczy. Okrągłe, druciane okulary mogły być tylko darem organizacji charytatywnej. Miał z pięćdziesiąt lat, ale sprawiał wrażenie nadąsanego dzieciaka, którego przyłapano na psocie.

Will zbliżył się do niego ostrożnie.

— Śledziłeś mnie? - spytał.

— Nie.

— A ja sądzę, że tak.

— Śledziłem cię - przyznał.

Will się odpreżył. Ten człowiek nie sprawiał wrażenia niebezpiecznego.

Zakwalifikował go jako schizofrenika, bez skłonności do gwałtu, kontrolowalnego.

— Dlaczego mnie śledziłeś?

— Chciałem pomóc ci znaleźć książkę. - W głosie nie było śladu modulacji, każde słowo wypowiedane było z taką samą intonacją jak poprzednie, solennie, ze śmiertelną powagą.

— Dzięki, przyjacielu. Przyda mi się pomoc. Biblioteki to nie moja specjalność.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, pokazując dwa rzędy zepsutych zębów.

— Kocham bibliotekę.

— W porządku, pomożesz mi znaleźć książkę. Mam na imię Will.

— Ja jestem Donny.

— Cześć, Donny. Idziesz pierwszy, ja za tobą.

347

Donny radośnie ruszył truchcikiem jak szczur, który doskonale czuł się w labiryncie. Doprowadził Willa do rogu sali, potem dwoma ciągami schodów na dół, do piwnicy. Wkopał się tam w kolejne rzędy regałów, jakby przyświecał mu wielki cel. Po drodze minęli bibliotekarkę, starszą kobietę pchającą wypełniony książkami wózek.

Uśmiechnęła się i natychmiast ukryła uśmiech zadowolona, że Donny znalazł partnera do zabawy.

— Musisz mieć dla mnie naprawdę dobrą książkę, Donny! - krzyknął do niego Will.

— Mam dla ciebie naprawdę dobrą książkę.

Eskapada wydała mu się zabawna, poza tym miał mnóstwo czasu. Facet, za którym próbował nadażyć, zdradzał wszystkie oznaki schizofrenii z dodatkiem, być może, łagodnego upośledzenia umysłowego, no i na oko był na prochach. Ukryty głęboko w trzewiach biblioteki Will grał w grę Don-ny'ego na podwórku Donny'ego. Wcale mu to nie przeszkadzało.

Tymczasem Donny przystanął wreszcie, sięgnął do półki nad głową i wyciągnął potężne tomisko o zniszczonej okładce. Potrzebował obu spoconych rąk, żeby jakoś sobie z nim poradzić. Podał ją Willowi.

Biblia.

- Biblia? - to go naprawdę zaskoczyło. - Muszę ci powiedzieć, że nie jestem bardzo mocny w Biblii. A ty?

Donny potrząsnął głową. Wpatrywał się w czubki własnych butów.

— Nie czytam Biblii.

— Ale uważasz, że ja powinienem?

— Powinieneś czytać Biblię.

— Jest jeszcze jakaś książka, którą powinienem czytać?

— Tak. Jest jeszcze jakaś.

348

Odbiegł truchcikiem. Will podążył za nim, dźwigając cztero-kilową Biblię. Wsadził ją pod pachę i przycisnął, aż zaczął go uwierać pistolet. Jego matka, pokorna baptystka, znosząca sukinsyna męża przez trzydzieści siedem lat, czytała ją bez przerwy i w tej właśnie chwili ujrzał ją, jak siedzi przy kuchennym stole, czyta, jakby życie od tego zależało, z bezustannie drżącą dolną wargą, podczas gdy jego pijaniuteńki staruszek wrzeszczy na nią z dużego pokoju ile sił w płucach. Lektura Biblii była też dla niej formą osobistego zadośćuczynienia za grzechy, kiedy sama zaczęła pić, szukając ukojenia w butelce. Nie sądził, by on sam szukał pocieszenia w Biblii, w każdym razie nieprędko.

- Czy druga książka będzie równie poważna jak pierwsza? - spytał.

- Tak. Będzie dobra dla ciebie do czytania.

Nie mógł się doczekać.

Kolejne schody zaprowadziły ich na najniższy poziom; nie wyglądało na to, by był on często odwiedzany. Donny nagle się zatrzymał. Opadł na kolana przy półce jeszcze starszych, oprawnych w skórę ksiąg. Wyciągnął jedną z nich z triumfem.

- Ta będzie dobra dla ciebie do czytania.

Will nie mógł się doczekać, kiedy ją zobaczy. Jak ten biedny człowiek widzi świat, co według niego może być równe Biblii? Przygotował się na chwilę olśnienia.

Prawo stanowe stanu Nowy Jork, 1951.

Odłożył Biblię, otworzył kodeks. Zgodnie z obietnicą zawartą w tytule stronę po stronie wypełniały drukowane ciasno paragrafy, dotyczące przede wszystkim prawa wykorzystania gruntów. Minęło pewnie z pięćdziesiąt lat, gdy ktoś czytał je po raz ostatni.

— To rzeczywiście poważna książka, Donny.

— Tak. Dobra dla ciebie do czytania.

— Wybrałeś te dwie książki na chybił trafił, prawda?

Donny energicznie pokiwał głową.

— One są chybił trafił, Will.

O wpół do szóstej Will spał smacznie przy bibliotecznym stole, z głową złożoną na Biblii i kodeksie prawa stanowego. Obudziło go pociągnięcie za rękaw. Podniósł głowę, zobaczył górującą nad nim Nancy.

— Cześć.

Zainteresowało ją, co czyta.

— Tylko bez komentarzy - powiedział błagalnie.

Rozmawiali w jej samochodzie; uznał, że gdyby mieli go zgarnąć, to już by zgarnęli. Wyglądało na to, że nikomu nie udało się połączyć linią wszystkich kropek.

Od Nancy dowiedział się, że w biurze rozpętało się piekło. Jej się na razie upiekło, ale wieści rozchodziły się po firmie. Jego nazwisko wpisano na listę Stowarzyszenia Bezpieczeństwa Transportu; próba kupienia biletu na LaGuardii wywołała zbiorowe pandemonium we wszystkich zainteresowanych agencjach. Susan Sanchez trzęsła się jak osika. Cały dzień spędziła z szarżami za zamkniętymi drzwiami; jeśli się pojawiała to tylko po to, żeby wywarkować rozkazy i być wrzodem na dupie. Samą Nancy wypytywano kilkakrotnie, co wie o planach i zamiarach Willa, ale informacja, że nie ma o niczym pojęcia, chyba wszystkich satysfakcjonowała. Sue niemal przeproszała za to, że zmusiła ją do pracy przy Dniu Sądu z tym człowiekiem, kilkakrotnie posunęła się nawet do zapewnień, że nie będzie to miało żadnego negatywnego wpływu na jej karierę.

Will westchnął głęboko.

- No, to jestem uziemiony - stwierdził. - Nigdzie nie polecę, nie wypożyczę samochodu, nie wolno mi użyć karty

kredytowej. Jeśli spróbuję wsiąść do pociągu czy autobusu, to mnie zdejmą albo na Penn Station, albo zajmie się tym zarząd portu. - Zagapił się przez okno od strony pasażera, a potem żartobliwie poklepał ją po udzie. - Chyba będę musiał ukraść samochód. Nancy natychmiast się z nim zgodziła.

- Masz absolutną rację. Musisz ukraść samochód.

Włączyła silnik. Wyjechali z parkingu na ulicę. I kłócili się przez całą drogę do jej domu. Nie chciał wplątywać w nic rodziców dziewczyny, ale nalegała, powtarzając:

- Chcę, żebyś ich poznał.

Will spytał dlaczego.

— Wiedzą o tobie wszystko. Widzieli cię w telewizji. -

Przerwała na chwilę, a potem dokończyła: - I wiedzą wszystko o nas.

— Chyba nie powiedziałaś im, że masz romans z partnerem i w dodatku prawie dwukrotnie od ciebie starszym!

— Jesteśmy zżytą rodziną. A ty nie jesteś prawie dwukrotnie starszy ode mnie.

Siedzibą rodu Lipinski był mały ceglany domek z lat trzydziestych zeszłego wieku ze stromym, łupkowym dachem, stojący przy krótkiej ślepej uliczce niemal dokładnie naprzeciw szkoły średniej, którą kończyła Nancy. Każdy wolny kawałek ziemi zajmowały kaskady pomarańczowych i czerwonych róż, dzięki którym wyglądał, jakby płonął żywym ogniem.

Joego Lipinski znaleźli na podwórku od tyłu, ubranego wyłącznie w workowate szorty. Porastały go siwe włosy - rzadkie na opalonej czaszce, gęste na piersiach. Okrągłe, łobuzerskie policzki były jedyną mięsistą częścią jego ciała.

351

Kłęczał na trawie, przycinając krzak róż, ale na ich widok poderwał się z ziemniczym młodzieniec, krzycząc:

— No proszę, kogo my widzimy. Szczurołap we własnej

osobie. Witamy w Casa Lipinski!

— Ma pan tu wspaniały ogród - powiedział Will, nieco nieśmiało.

— Żaden "pan", jestem Joe, ale i tak dziękuję za komplement. Lubisz róże?

— Jasne!

Joe obciął jeden z pączków i podał mu, mówiąc:

- To do butonierki. Nancy, włóż mu ją do butonierki.

Nancy zarumieniła się, ale spełniła jego polecenie.

— Świetnie! - ucieszył się Lipinski. - Teraz, moje drogie dzieci, możecie iść nawet na bal maturalny. O dobrze, zejdźmy ze słońca. Obiad mamuśki jest już prawie gotowy.

— Nie chciałbym sprawiać kłopotu...

Joe spojrzeniem powiedział mu: "Daj spokój, człowieku..." i puścił oko do córki.

W domu było ciepło, Lipinski najwyraźniej nie wierzyli w klimatyzację. W ogóle ich dom był jak skansen, nietknięty od dnia, kiedy wprowadzili się do niego w 1974 roku. Kuchnię i łazienki unowocześniono w latach sześćdziesiątych, poza tym nie tknięto niczego. W małych pokojach królowały łzawe dywany i ciężkie meble; pierwsze pokolenie dobiło do wymarzonego portu: na przedmieścia.

Mary Lipinski królowała w kuchni, otoczona woniami wydobywającymi się z bulgocących garnków. Okazała się interesującą kobietą, niezamierzającą sobie folgować, choć Will zauważył, że biodra miała z tych szerszych. Hołdował nieprzyjemnemu zwyczajowi wyobrażania sobie, jak jego dziewczyna może wyglądać za dwadzieścia lat, jakby któryś z jego związków trwał dłużej niż dwadzieścia miesięcy. Tak czy

352

inaczej pozostała jej gładka, młodzieńcza twarz, piękne brązowe, sięgające ramion włosy, kształtny biust i dobre łydki. Nieźle jak na późną pięćdziesiątkę, może nawet wczesną sześćdziesiątkę.

Joe był dyplomowanym księgowym, Mary po prostu księgową. Spotkali się w General Foods: on, dziesięć lat od niej starszy, pracował w zawodzie, ona zaczynała jako sekretarka w księgowości, w dziale podatków. On dojeżdżał z Queens, ona była miejscową dziewczyną z White Plains. Po ślubie kupili mały domek na Anthony Road, niespełna dwa kilometry od miejsca pracy. Wiele lat później firmę wykupił Kraft. Kiedy oddział w White Plains zamknięto, Joe postanowił wziąć odprawę i założyć własną firmę. Mary przyjęła pracę w salonie Forda, któremu prowadziła księgowość. Mieli tylko jedno dziecko i teraz zachwyceni byli, że wróciło do swego starego pokoju.

— No i tak to wygląda, współcześni Józef i Maryja -  
zazartował Joe, kończąc krótki wykład z historii rodziny i przekazując Willowi talerz fasoli szparagowej. Z radia sączyła się opera Verdiego. Kombinacja domowego jedzenia, muzyki i zwykłej, normalnej rozmowy wprawiała Willa w narastającą błądź. Tak wygląda całe to rodzinne cholerstwo, którego nie potrafiłem dać córce - pomyślał rzewnie. Kieliszek wina lub szklanka piwa przysłużyłyby się obiadowi, ale w tym domu chyba nie podawano alkoholu. Ocknął się z zamyślenia, bo Joe był o krok od puenty. - Jesteśmy wierną kopią oryginału, ale ta tu panna nie jest owocem niepokalanego poczęcia.

— Tato! - zaprotestowała Nancy.

— Jeszcze kurczaka? - zaproponowała Mary.

— Dziękuję, bardzo chętnie.

— Nancy wspomniała, że spędziłeś popołudnie w naszej wspaniałej bibliotece - zmienił temat Joe.

353

— Owszem. I spotkałem tam przedziwną postać.

— Donny'ego Goldenę, co? - skrzywiła się Mary.

— Znacie go?



— Wszyscy znają Donny'ego - odparła Nancy.

— Powiedz naszemu gościowi, jak dobrze go znasz, Mary - zakpił Joe.

— Możesz wierzyć albo nie, Will, ale w ogólniaku byliśmy w jednej klasie.

— Chodzili ze sobą - uzupełnił radośnie Joe.

— Umówiliśmy się raz! Taka to przykra sprawa. Donny był bardzo przystojnym chłopcem. Pochodził z dobrej żydowskiej rodziny. Poszedł na studia normalny, zdrowy, no i na pierwszym roku zachorował. Niektórzy mówią, że to przez narkotyki, inni, że po prostu wtedy pojawiły się u niego pierwsze problemy psychiczne. Spędził wiele lat w różnych szpitalach. Teraz mieszka w centrum, w specjalnym domu, pod nadzorem i całe dnie spędza w bibliotece. Jest nieszkodliwy, ale przykro na niego patrzeć. W ogóle tam nie chodzę.

— Jego życie wcale nie musi być takie najgorsze - zauważył Joe. - Nie odczuwa presji, nie wie, jaki zły może być świat...

— Ja też uważam, że to bardzo smutne. - Nancy grzebała widelcem w talerzu. - Widziałam jego zdjęcia w szkolnym albumie. Był naprawdę fajny.

Mary westchnęła.

- Kto mógł wiedzieć, co mu szykuje los? Kto w ogóle wie, co mu los szykuje?

Joe nagle spowaźniał.

— A teraz, Will, powiedz nam, co cię czeka. Słyszałem, że dzieją się dziwne rzeczy. Martwię się o ciebie, oczywiście, ale jako ojciec przede wszystkim martwię się o córkę.

— Nie wolno mu mówić o toczącym się śledztwie - zaprotestowała Nancy.

— Zaraz, chwileczkę. Doskonale cię rozumiem, Joe. Rze czywiście, jest coś, co muszę zrobić, i nie chcę, żeby twoja córka została w to wplątana. Czeka ją wspaniała kariera.

— Wolałbym, żeby miała bezpieczniejsze zajęcie niż w FBI - wtrąciła Mary. Zdaje się, że ten refren wyśpiewywała przy każdej okazji.

Nancy skrzywiła się, a Joe tylko machnął ręką, lekceważąc obawy żony.

— Jak rozumiem, szykowałeś się do dokonania aresztowania, kiedy wam obojgu odebrano sprawę. Jak to możliwe? W Ameryce? Kiedy moi rodzice mieszkali w Polsce, takie rzeczy ciągle się zdarzały, ale tutaj?

— Tego właśnie chcę się dowiedzieć. Wspólnie z Nancy włożyliśmy wiele wysiłku w tę sprawę, no i są jeszcze ofiary, które nie przemówię.

— Cóż, zrobisz, co musisz. Wydajesz się sympatycznym człowiekiem. Nancy bardzo cię lubi, co oznacza, że będę pamiętał o tobie w moich modlitwach.

Opera skończyła się, zaczęły wiadomości. Żadne z nich nie zwróciłyby na nie uwagi, gdyby nie pojawiło się w nich nazwisko Willa.

"Dalszy ciąg wiadomości. Nowojorski oddział Federalnego Biura Śledczego uzyskał nakaz aresztowania jednego ze swoich ludzi. Agent specjalny Will Piper jest poszukiwany w celu przesłuchania go w sprawie nieprawidłowości i możliwych kryminalnych wykroczeń w związku ze śledztwem znanym pod nazwą Morderstw Dnia Sądu. Piper, weteran z niemal dwudziestoletnim stażem, znany jest przede wszystkim z konferencji prasowych, informujących o postępach w nadal nierozwiązanej sprawie seryjnego zabójcy. Miejsce jego pobytu pozostaje nieznane. Piper uważany jest za uzbrojonego i potencjalnie niebezpiecznego. Ktokolwiek miałby jakieś informacje

na jego temat, proszony jest o zgłoszenie się na najbliższy posterunek policji lub skontaktowanie z FBI".

Will wstał, bardzo poważny. Włożył marynarkę, dotknął róży w butonierce.

- Joe, Mary, dziękuję wam za obiad i okazaną mi gościnność. Muszę już iść.

O tej porze dnia ruch w kierunku miasta nie był przesadnie uciążliwy. Najpierw zatrzymali się przy małym sklepie spożywczym na Rosedale Avenue; Nancy wyskoczyła zrobić zakupy, a Will niecierpliwie czekał na nią w samochodzie. Przyniosła dwie wielkie torby, położyła je na tylnym siedzeniu i zapowiedziała stanowczo, że nie, nie ma zamiaru kupować mu alkoholu.

W tej chwili niespiesznie jechali Hutch w stronę mostu Whitestone. Will przypomniał Nancy, że ma zadzwonić do jego córki, a potem zamilkł i tylko obserwował zachodzące słońce, barwiące cieśninę Long Island na kolor przypalonej pomarańczy.

Dziadkowie Nancy mieszkali w maleńkim domku, stojącym przy ulicy maleńkich domków w Forrest Hills. Cierpiący na chorobę Alzheimera dziadek przebywał w tej chwili w prywatnej klinice. Babcia pojechała do mieszkającej na Florydzie siostrzenicy, zażywając tam zasłużonego odpoczynku. Samochód dziadka, stary ford taurus stał w oddzielnym garażu na jeden samochód, znajdującym się z tyłu domu.

"Na wypadek, gdyby znaleźli lekarstwo" - zażartowała ponuro Nancy. Pojawili się tam o zmierzchu, zaparkowali od frontu. Klucze od garażu czekały pod cegłą, kluczyki do samochodu w garażu, pod puszką lakieru. Reszta należała do niego.

Will pochylił się i pocałował dziewczynę. Tulili się do siebie, jakby przyjechali do kina dla zmotoryzowanych.

- Może powinniśmy wejść do środka? - westchnął.

356

Rozbawiona Nancy poklepała go po głowie kostkami palców.

— Nie będę wślizgiwać się do domu babci, żeby się z tobą

kochać - powiedziała.

— Uważasz, że to kiepski pomysł?

— Bardzo kiepski. Poza tym zrobisz się śpiący.

— To by mi nie posłużyło.

— Z pewnością. Dzwon za każdym razem, kiedy się czegoś dowiesz, dobrze?

— W porządku.

— Nic ci się nie stanie?

— Nic mi się nie stanie.

— Obiecujesz?

— Obiecują.

— Wiesz, w pracy zdarzyło się coś, o czym ci jeszcze nie powiedziałam. - Nancy pocałowała go po raz ostatni. - John Mueller wrócił. Na kilka godzin. Sue przydzieliła mnie do niego, dostaliśmy napady na banki w Brooklynie. Rozmawiałam z nim i wiesz co?

— Co?

— Moim zdaniem to głupek.

Will roześmiał się, pokazał jej uniesiony kciuk, otworzył drzwiczki.

- A więc moja robota tu skończona - powiedział.

Marka zżerały wątpliwości. Właściwie dlaczego zgodził się przerwać urlop?

Nie był na tyle szybki, by poruszać się swobodnie, i na tyle silny, by sam o siebie dbać. Dla rodziców, nauczycieli, szefów był zawsze niczym grzeczny piesek, zbyt chętny, by zadowolić, zbyt przestraszony, by zawieść. A teraz bardzo nie chciał opuścić hotelu, przekłuć cudownej bańki, którą nadmuchał dla siebie i Kerry.

357

Kerry siedziała w łazience, przygotowując się do wyjścia. Zaplanowali sobie wspaniały wieczór: kolacja w Rubochon's w MGM Mansion, odrobina blackjacka, kilka drinków już w Venetian, w Tao Beach Club. Będzie musiał wstać wcześniej i

pojechać wprost na lotnisko. O świcie raczej nie będzie się czuł dobrze, ale co może zrobić? Jeśli się teraz nie zjawi, zadziałają wszelkie możliwe alarmy.

Był gotowy, ale niespokojny, więc podłączył się do Internetu, wykorzystując hotelowe szybkie łącze. I potrząsnął głową. Kolejny e-mail od Eldera. Facet wykorzystywał go wręcz bezczelnie, ale umowa to umowa. Może to on popełnił błąd, wyceniając się na pięć milionów dolarów? Za nisko? Może za parę miesięcy powinien zażądać kolejnych pięciu? Bo co gość mu wówczas powie. Nie?

Gdy Mark pracował nad listą Eldera, grupa Malcolma Fra-ziera została postawiona w stan alarmu Alfa, co oznaczało spanie na łóżkach polowych i wyłącznie zimne jedzenie. Tych ludzi, w ogóle niezbyt pogodnych, informacja o tym, że spędzą noc z dala od żon i kochanek, wprawiła we wręcz fatalny humor. Frazier zmusił nawet Rebeccę Rosenberg, by pierwsza zgłosiła pozostanie nocą w kompleksie. Powstała sytuacja wyprowadziła ją z równowagi, wpędziła w stan bliski hysterii.

Zirytowany Frazier wymierzył palec w monitor.

- Popatrz tylko, znów ten kodowany portal. Jakim cholernym cudem nie potrafisz złamać zabezpieczeń! Nie, inaczej: kiedy je wreszcie złamiesz? Nie wiemy nawet, z kim się porozumiewa!

Gdyby wzrok zabijał, już leżałby martwy. Rosenberg miała na swym monitorze ten sam obraz co on na swoim.

- To jeden z najlepszych specjalistów od zabezpieczeń komputerów w tym kraju! - zaprotestowała.

358

- A ty jesteś jego szefową, więc złam ten pieprzony kod, dobrze? Jak to będzie wyglądać, kiedy oddamy cały ten chłam Agencji Bezpieczeństwa Narodowego? Nie zapominaj, że jesteś najlepsza. Podobno.

Wściekła Rebecca Rosenberg wrzasnęła tak przeraźliwie, że obecni aż podskoczyli z zaskoczenia.

- Mark Shackleton jest najlepszy! Ja podpisuję jego karty

pracy! A ty zamknij się wreszcie i daj mi pracować.

Mark kończył pisać e-mail, kiedy drzwi łazienki uchylły się lekko i stłumiony, ale melodyjny głos powiedział:

- Jestem już prawie gotowa.

Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć telewizor.

— Żałuję, że jutro muszę wracać.

— Ja też.

Wyłączył dźwięk, dziewczyna lubiła rozmawiać z łazienki.

— Może zarezerwujemy sobie ten sam apartament na przyszły weekend?

— Byłoby wspaniale. - Z kranu przez chwilę lała się woda. - Wiesz, co także byłoby wspaniale?

Wylogował się, zamknął komputer i wsunął go do torby.

— Co także byłoby wspaniale?

— Polecieć na weekend do Los Angeles. My i tylko my.

Bo wiesz, przecież oboje chcemy tam mieszkać, prawda? Teraz, kiedy doszedłeś do prawdziwych pieniędzy, możesz przecież rzucić tę głupią pracę przy UFO, zająć się wyłącznie pisaniem dla filmu, a ja mogłabym rzucić głupią pracę w agencji towarzyskiej, przestać się zajmować głupimi wasektomiami i zostać aktorką, może nawet prawdziwą aktorką.

Plazmowy ekran zajmowała twarz Willa Pipera. Chryste, pomyślał Mark, drugi raz w ciągu dwóch dni. Włączył dźwięk.

359

— Słyszałeś, do ciebie mówiłam? Nie byłoby fajnie?

— Jedną chwileczkę, Kerry. Zaraz się tobą zajmę.

Obejrzał ten fragment wiadomości, czując narastający, paniczny strach. Miał wrażenie, że boa dusiciel oplatał mu pierś i teraz zaciska swoje potężne zwoje.

Wczoraj widział faceta chwającego się odkryciem nowych tropów, a dziś ten sam

facet wieje przed sprawiedliwością? Dwieście punktów ilorazu inteligencji ciągnęło zgodnie w tym samym kierunku.

— Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa...!

— Mówiłeś coś, kochanie?

— Jedną chwileczkę, dobrze?

Drżącymi jak w ataku malarii rękami sięgnął po laptopa.

Nie zamierzał tego robić, choć kusiło to wielu ludzi ze Strefy i dlatego byli strażnicy... nawet on sam. Zawsze był facetem myślącym realnie, "to, co jest, jest". W tej chwili musiał wiedzieć. Wprowadził hasło, załogował się do spiraconej bazy danych wgranej na twardy dysk. Musiał pracować szybko, gdyby dał sobie wystarczająco wiele czasu, by pomyśleć, co robi, nie zrobiłby tego za żadne skarby świata.

Zaczął wprowadzać nazwiska.

Kerry wyszła z łazienki odstawiona jak nie wiadomo co, w zmysłowej czerwonej sukni, z nowym zegarkiem błyszczącym na przegubie ręki.

- Mark, co się stało? - krzyknęła.

Mark siedział z zamkniętym komputerem na kolanach, płacząc jak dziecko, szlochając i zalewając się łzami. Uklękła obok niego, objęła go, przytuliła.

— Nic ci nie jest, kochanie?

Potrząsnął głową.

— W takim razie... o co chodzi?

360

Musiał myśleć szybko.

— Dostałem e-maila. Moja ciocia nie żyje.

— Och, biedaku, tak mi przykro.

Mark wstał, chwiejnie... nie, nie chwiejnie, omal nie stracił przytomności. Wstała razem z nim, trzymając go w objęciach; gdyby nie tuliła go tak mocno, pewnie by upadł.

- Nie spodziewałeś się, prawda?

Skinął głową, przesunął ręką po twarzy, jakby chciał ją wytrzeć. Podała mu chusteczkę, przypadła do jego boku, pomagała mu osuszyć oczy jak matka pocieszająca bezradne dziecko.

- Słuchaj, mam pomysł - powiedział martwym głosem robota. - Jedźmy do Los Angeles teraz, zaraz. Samochodem. Mój się przegrzewa, więc weźmiemy twój. Jutro kupimy dom, dobrze? Na Hollywood Hills. Mieszka tam mnóstwo pisarzy i aktorów. W porządku? Możesz zacząć się pakować?

Dziewczyna przyglądała mu się zakłopotana i przestraszona.

- Jesteś pewien, że właśnie tego chcesz, Mark? Jesteś w szoku. Może powinniśmy poczekać do jutra?

Tupnął nogą i zaczął krzyczeć. Zachowywał się jak rozzłoszczone dziecko.

— Nie! Nie chcę czekać! Chcę pojechać do Los Angeles!

Cofnęła się o krok. Zaczęła się go bać.

— Skąd ten pośpiech, kochanie?

Omam znów nie zaczął płakać, ale tym razem zdołał się powstrzymać. Pociągając nosem, spakował komputer. Wyłączył telefon komórkowy.

- Stąd, że życie jest za krótkie. Pieprzone życie jest za krótkie, Kerry.

30 lipca 2009 Los Angeles

Okna ich pokoju wychodziły na Rodeo Drive. Mark stał przy jednym z nich w hotelowym szlafroku i przez uchyloną firanę ponurym wzrokiem śledził luksusowe samochody skręcające w Rodeo z Wiltshire. Słońce nie wspięło się jeszcze wystarczająco wysoko, by wypalić poranną mgiełkę, lecz dzień zapowiadał się wspaniale. Apartament na czternastym piętrze hotelu Beverly Wiltshire kosztował dwa i pół tysiąca dolarów za dobę, zapłacone gotówką, by choć trochę utrudnić życie strażnikom. Tylko... kogo próbował oszukać? Zajrzał do torebki Kerry. Wyłączył jej komórkę, kiedy prowadziła. Nadal była wyłączona. Z pewnością ją namierzali, ale on w tej chwili grał na czas. Bardzo cenny czas.



Przyjechali późno, po długiej jeździe przez pustynię, podczas której prawie ze sobą nie rozmawiali. Czasu na planowanie brakowało, ale chciał, by wszystko zostało dopracowane do perfekcji. Myślami wrócił do wspomnień z dzieciństwa. Miał siedem lat, obudził się wcześniej od rodziców i zrobił im

362

śniadanie, po raz pierwszy w życiu! Nasypał płatki do talerzy, pociął banana, zastawił tacę naczyniami, sztućcami i małymi szklankami soku pomarańczowego i ostrożnie nią balansując, zaniósł im do łóżka. Chciał, żeby tego dnia wszystko było doskonałe; udało mu się, czym zarobił sobie na ich pochwały przez wiele dni. Jeśli zachowa przytomność umysłu, może dziś odnieść równie wielki sukces?

Po przyjeździe zjedli steki, które popili szampanem. Teraz też czekał na nich szampan do późnego śniadania, truskawek i crepes, a za godzinę w hotelowym holu, miał na nich czekać pośrednik handlu nieruchomościami. Po południu ruszali na poszukiwanie domu. Chciał, żeby dziewczyna była szczęśliwa.

- Kerry?

Poruszyła się leniwie w pościeli. Powtórzył jej imię, głośniejszym głosem.

— Cześć - powiedziała do poduszki.

— Za chwilę śniadanie. I szampan z sokiem pomarańczowym.

— Przecież dopiero co jedliśmy.

— Wieki temu. Nie wstaniesz?

— Już wstaję. Powiedziałeś im, że nie idziesz do pracy?

— Wiedzą.

— Mark?

— Tak?

— Zachowywałeś się dziwnie, wiesz?

— Wiem.

— To dziś będziesz się zachowywał normalnie?

— Będę.

— Naprawdę masz zamiar kupić dziś dom?

— Jeśli zobaczysz jakiś, który ci się spodoba.

Kerry usiadła, ukazując twarz opromienioną jasnym uśmiechem.

363

- Wiesz, dzięki tobie mój dzień zaczyna się bardzo miło. A teraz chodź, to dzięki mnie twój zacznie się równie miło.

Will prowadził całą noc i w tej chwili jechał płaskim jak stół Ohio, stawiając wszystko na jedną kartę, pędząc w świt z nadzieją, że dotrze na miejsce cały i zdrowy, uniknie radarów i nieoznakowanych wozów policji stanowych. Wiedział, że nie uda mu się przejechać całej trasy jednym ciągiem. Gdzieś będzie musiał się przespać, trzeba tylko ostrożnie wybrać właściwe miejsce. Coś w rodzaju sieci tanich moteli, choćby Motel 6, lokowanych blisko autostrady, gdzie będzie mógł przespać się raz cztery godziny, raz może nawet sześć. Ale nie więcej. Chciał dojechać do Vegas w piątek wieczorem, zrujnować skurwysynowi weekend.

Nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni pracował dobę bez przerwy i to jeszcze bez wspomagania. Nie czuł się najlepiej. Marzył o tym, żeby się wreszcie napić, żeby się wreszcie przespać, żeby wreszcie znaleźć coś, co uspokoi gniew i gotujące się w nim święte oburzenie. Ręce zdrętwiały mu od zbyt mocnego ściskania kierownicy, prawa kostka bolała, bo stary taurus nie miał ręcznego gazu. Bolały go też suche, zaczerwienione oczy i pęcherz, odczuwający ciężar ostatniej dużej kawy. Pocięchę czerpał wyłącznie z paczka czerwonej róży, daru Joego Lipinski, świeżej, pachnącej, królującej w plastikowej butelce wody wstawionej w uchwyt przy siedzeniu kierowcy.

W samym środku nocy Malcolm Frazier opuścił swe centrum operacyjne. Wybrał się na spacer rozjaśniający w głowie. Ta ostatnia wiadomość jest wręcz niewiarygodna, myślał. Pieprzyć

364

niewiarygodność, ale dlaczego walnęło akurat na jego zmianie? Jeśli to przetrzyma...

jeśli to przetrzymają... to w setne urodziny ciągle będzie zeznawał przed jakąś tajną komisją Pentagonu!

Tryb kryzysowy uruchomili, gdy tylko Shackleton wyłączył komórkę i stracili namiar. Zespół zebrał się w Venetian, ale w hotelu już go nie było, choć corvette'a stała grzecznie na miejscu, na które odprowadził ją parkujący, a rachunek nie został uregulowany.

Minęła godzina, prawdziwie czarna, nim nadeszły lepsze wieści. Shackletonowi towarzyszyła kobieta, atrakcyjna brunetka, w której konsjerż rozpoznał dziewczynę z agencji towarzyskiej, nie całkiem nieznaną w hotelu. Sprawdzili billingi faceta, znaleźli w nich kilkanaście rozmów z Kerry Hightower, pasującą do opisu. Jej telefon meldował się w kolejnych stacjach bazowych wzdłuż 1-15 i przesuwiał na zachód. Ucichł dwadzieścia kilometrów na zachód od Barstow. Najprawdopodobniej jechali na zachód. Podali opis jej samochodu i numer rejestracyjny kalifornijskiej drogówce i lokalnym biurom szeryfów, nie wiedząc jeszcze, wyszło to dopiero w trakcie późniejszego badania sprawy, że toyota Hightower stała sobie spokojnie w warsztacie, a ona jeździła wypożyczonym wozem.

Rebecca Rosenberg pożerała trzeci po północy batonik, kiedy jej program przełamał wreszcie zabezpieczenia Shackletona, a to, co zobaczyła, sprawiło, że kawałek przeżutego karmelu omal nie stanął jej w gardle. Wyleciała ze swojego laboratorium jak na dopalaczach, przebiegła niezgrabnie korytarzem i wpadła do centrum operacyjnego, roztrącając na boki zgromadzonych w nim strażników. Jej włosy, imitacja afro z lat sześćdziesiątych jakby stworzona dla białej kobiety, podskakiwały śmiesznie.

- Przekazuje DeEsy firmie! - wychrypiała.

Frazier siedział przy swoim terminalu. Odwrócił się ku niej w kręconym krześle.

Wyglądał, jakby zaraz miał się wyrzygać.

365

— Pieprzenie! Jesteś pewna?

— Na sto procent.

— Jakiej firmie?

Okazało się, że może być jeszcze gorzej.

- Ubezpieczenia na życie!

Korytarze głównego laboratorium badawczego były puste. Próbując się odprężyć Malcolm Frazier zakaszał, budząc w pustce donośne echo. Krzyki czy jodłowanie uznał za niewłaściwe, mimo że nikt nie mógł ich usłyszeć. Podczas dnia, jako szef ochrony operacyjnej NTS-51 włóczył się po podziemiu, łąził krokiem pewnym, nawet aroganckim, zastraszając maluczkich. Lubił, kiedy się go bano, nie przeszkadzało mu, że jego ludzie są powszechnie znienawidzeni. Oznaczało to tylko, że wykonywali dobrą robotę, bo jak można utrzymać porządek, nie wzbudzając strachu? Komputerowe głupki po prostu nie umiały oprzeć się pokusie. Pogardał nim i oglądając ich podczas przeszukania zawsze odczuwał satysfakcję, tacy byli grubi i zdyszani albo chudzi i słabi, nigdy sprawni i muskularni jak jego ludzie. Pamiętał, że Shackleton należał do tych drugich. Łatwo byłoby go złamać jak deskę z balsy.

Wezwał windę swym kluczem dostępu. Zjeżdżała tak gładko, że prawie niezauważalnie. Wysiadł w Krypcie; oprócz niego nie było tu nikogo. Jego pojawienie się w tym miejscu włączy kamery, sterowane czujnikami ruchu, jeden z jego ludzi będzie go obserwował na monitorze, ale wolno mu było tu przebywać, znał kody wejściowe, był jednym z niewielu mających uprawnienia do przejścia przez ciężkie stalowe drzwi.

Potęę Krypty odczuwało się wręcz fizycznie. Frazier nie od razu sobie uświadomił, że prostuje się, jakby wlano mu

366

w kręgosłup tężejący ołów. Mięśnie piersi naprężyły się, zmysły wyostrzyły, orientacja przestrzenna nawet w słabym niebieskim świetle wzrosła tak, że widział niemal trójwymiarowo. Niektórzy ludzie czuli się maleńcy w porównaniu z ogromem Krypty, ale nie on, jego czyniła wielkim, potężnym. Dziś, w sytuacji najgorszego w całej historii Strefy 51 naruszenia bezpieczeństwa, po prostu musiał tu przyjść.

Wszedł do wnętrza, w którym utrzymywano suchą, chłodną atmosferę. Dwa metry, pięć, dziesięć, dwadzieścia. Nie zamierzał przejść całej długości pomieszczenia, na to nie miał czasu, wszedł w głąb tylko na tyle, by w pełni docenić ogrom kopuły przykrywającej obiekt wielkości stadionu. Opuszkami palców prawej dłoni musnął jeden z grzbietów. Bezpośredni kontakt był wprawdzie surowo zakazany, ale przecież nie zdejmował woluminu z półki, po prostu potwierdzał jego istnienie. Oprawy, barwy plamistej koźlej skóry, były gładkie i chłodne w dotyku. Na skórze wytłoczono datę: 1863. Całe rzędy 1863 roku. Wojna secesyjna... i diabli wiedzą ile jeszcze wydarzeń z całego świata. Żaden z niego historyk.

Na jednej ze ścian Krypty znajdowały się wąskie schody prowadzące na galerię, z której widziało się całe wnętrze. Wszedł tam, na samą górę. Miał stąd widok na rozciągające się jak okiem sięgnąć tysiące regałów ze specjalnej, szczególnie odpornej odmiany brązu. Siedemset tysięcy grubych oprawnych w górę ksiąg, przeszło dwieście czterdzieści miliardów zapisanych w nich imion. Głęboko wierzył, że jedynym sposobem, by ogarnąć umysłem te liczby, było przyjść tu i popatrzeć na te tomy. Wszystkie informacje dawno już wprowadzono do komputerów i jeśli należałeś do grona tych komputerowych głupków, imponowały ci terabajty danych czy jak tam nazywa się to gównno, ale nic nie mogło się równać wizycie w Bibliotece.

367

Mocno chwycił poręcz, oparł się na niej, wychylił i zaczął oddychać głęboko i powoli.

Nelson Elder uznał ten ranek za całkiem udany. Siedział przy swoim stoliku w kafeterii firmy, zajęty omletem z białek i poranną gazetą. Udany jogging, dobry gorący prysznic i wiara w przyszłość ożywiły go jak nic innego. Ze wszystkich rzeczy tego świata, mających wpływ na jego nastrój, najważniejszą były notowania giełdowe Desert Life. W ciągu ostatniego miesiąca ich wartość wrosła o siedem i dwie dziesiąte procent, a tylko wczoraj, według danych jego analityka, pełne półtora procent. Za wcześnie jeszcze, by całe to szaleństwo z Peterem Benedictem zostało wykazane w bilansie, jednak mógł z matematyczną dokładnością przewidzieć, że

odmawianie ubezpieczenia ludziom mającym wkrótce umrzeć i przeliczanie składki z uwzględnieniem stopnia ryzyka dla tych, których śmierć należała do nieodległej przyszłości, zmieniły jego firmę w maszynkę do produkcji pieniędzy.

Żeby było jeszcze lepiej, pomysł Berta Myera i jego związek z elitarnym funduszem inwestycyjnym z Connecticut zaczął wreszcie przynosić zyski, w lipcu dwucyfrowe. Elder przełożył całe to gówno na nowy, agresywny ton w rozmowach z inwestorami i analitykami rynku, co Wall Street wychwyciła niemal natychmiast. Uczucia, którymi darzono firmę, zmieniały się powoli, lecz wyraźnie. Nie obchodziło go, jakim cudem ten dziwak Benedict zdobył dostęp do tak niesamowitej bazy danych, nie zastanawiał się nad tym, czy coś takiego w ogóle może istnieć. Nie był filozofem, nie był moralistą. Obchodziła go tylko Desert Life, a teraz zyskał przewagę, której żaden z konkurentów nie miał szansy zneutralizować. Benedictowi zapłacił pięć milionów z własnej kieszeni, żeby audyt nie wykazał tej firmowej transakcji, co musiałoby spowodować

368

lawinę niewygodnych pytań. Przygoda z funduszem inwestycyjnym wystarczająco napsuła mu krwi.

A jednak były to dobrze wydane pieniądze. Wartość jego prywatnego portfela wzrosła o dziesięć milionów, całkiem niezły zarobek na inwestycji... w ciągu jednego miesiąca! Jeśli zaś o to chodzi, to sprawę Benedicta będzie trzymał jak karty, przy orderach. O niej nie wiedział nikt, nawet Bert. Była zbyt dziwaczna, zbyt niebezpieczna. I tak miał kłopoty z wyjaśnieniem prezesowi, dlaczego chce codziennie dostawać listę nowych klientów.

Bert zobaczył go i podszedł do stolika, grożąc mu palcem.

— Znam twój sekret, Nelsonie!

Elder drgnął zaskoczony.

— Co masz na myśli? - spytał surowo.

— Pozbywasz się nas po południu, żeby pograć w golfa.

Odetchnął i uśmiechnął się.

— Skąd wiesz?

— Ja wiem wszystko - pochwalił się główny księgowy.

— Nie wszystko. Trzymam parę asów w rękawie.

— Moją premię też?

— Załatwiał nam dalej takie zyski, a za parę lat kupisz sobie wyspę. Zjesz ze mną śniadanie?

— Nie mogę. Konferencja budżetowa. Z kim grasz?

— To na jakiś cel dobroczynny, w Wynn. Nie mam pojęcia, z kim będę grał.

— W każdym razie baw się dobrze. Zasłużyłeś na to.

Elder puścił do niego oko.

— Masz rację. Zasłużyłem.

Nancy nie mogła skupić się na aktach napadu na bank. Odwróciła stronę i nagle uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia,

369

o co chodzi. Musi zaczynać od nowa. A przecież już niedługo ma się spotkać z Johnem Muellerem, który spodziewa się po niej jakiegoś wprowadzenia w sprawę. Niczym nałogowiec co kilka minut odwracała się do komputera, wywoływała przeglądarkę i szukała w sieci nowych artykułów o Willu. Niestety, cały świat powtarzał tylko wiadomość przekazaną przez AP. Wreszcie nie mogła czekać dłużej. Sue Sanchez dostrzegła ją i zatrzymała już z daleka. Była ostatnią osobą, z którą Nancy chciała się spotkać, ale nie było żadnej szansy, by udawać, że jej nie widzi i nie słyszy.

Napięcie na twarzy Sue było wręcz boleśnie widoczne. Powieka jej lewego oka drżała, głos także.

- Nancy - zaczęła, podchodząc tak blisko, że stało się to wręcz żenujące - próbował się z tobą kontaktować?

Nancy sprawdziła dyskretnie, czyjej torba jest dobrze zamknięta.

— Pytałaś mnie o to wczoraj wieczorem. Odpowiedź nadal brzmi "nie".

— Muszę pytać. Byliście partnerami. Partnerzy są ze sobą blisko. - Te słowa podziały Nancy na nerwy; Sue zauważyła to i spróbowała się wycofać. - Przepraszam, nie to miałam na myśli. Wiesz, chodzi o związek, o więź, przyjaźń...

— Nie zadzwonił i nie e-mailował. A poza tym - wyrzuciła z siebie - gdyby próbował się ze mną skontaktować i tak byś o tym wiedziała.

— Nie autoryzowałam podsłuchu ani u ciebie, ani u niego - zaprotestowała Sue. - Gdyby ktoś wam go założył, wiedziałabym! Jestem jego przełożoną!

— Wiesz o wiele więcej ode mnie o tym, o co tu chodzi, ale powiedz, czy nie wstrząsnęło tobą, że inna agencja zaczęła rozdawać karty?

Sue, najwyraźniej zraniona, zachowała się defensywnie.

370

— Nie wiem, o czym mówisz. - Nancy wzruszyła ramionami, a ona szybko odzyskała panowanie nad sobą. - Dokąd idziesz?

— Do apteki. Potrzebujesz czegoś? - Nancy ruszyła w kierunku windy.

- Nie. Nic mi nie jest.

Zabrzmiało to bardzo nieprzekonująco.

Nancy przeszła pięć przecznic i dopiero wtedy wyjęła komórkę z kieszeni. Rozejrzała się jeszcze raz, nie dostrzegła ogona, wybrała więc numer.

Odebrał po drugim sygnale.

— Tacos "U Joego" - usłyszała w słuchawce.



— Brzmi apetycznie - powiedziała.

— Cieszę się, że zadzwoniłaś. - Sądząc po głosie, Will musiał być śmiertelnie zmęczony. - Zaczynałem czuć się samotny.

— Gdzie jesteś?

— W miejscu płaskim jak stół bilardowy.

— Mógłbyś być odrobinę dokładniejszy?

— Jeśli wierzyć znakom drogowym, to się nazywa Indiana.

— Mam nadzieję, że nie prowadziłeś całą noc bez przerwy?

— Zdaje się, że prowadziłem.

— Musisz się przespać!

— Mhm.

— Więc kiedy?

— Właśnie w tej chwili rozglądam się za odpowiednim miejscem. Rozmawiałaś z Laurą?

— Najpierw chciałam sprawdzić, co z tobą.

— Powiedz jej, że u mnie wszystko w porządku. I żeby się nie martwiła.

371

— Będzie się martwiła. Ja już się martwię.

— Co słyszeć w biurze?

— Sue wygląda strasznie. Ludzie pozamykali się jak ostrygi.

— Przez całą noc słuchałem o samym sobie w radiu. Grają na pełen gwizdek.

— Jeśli zarzucili się na ciebie, to co zarzucili na Shackletona?

— Spodziewam się, że mam raczej małą szansę znaleźć go siedzącego na ganku domu w bujanym fotelu.

— I co?

— Mam zamiar wykorzystać lata praktyki, umiejętności

zawodowe i pomysłowość.

— Co to właściwie znaczy?

— To znaczy, że mam zamiar improwizować. - Will umilkł na chwilę, a potem dodał: - Wiesz, miałem czas pomyśleć.

— O czym?

— O tobie.

— I co ze mną?

W słuchawce znów zapadła cisza, przzerwana tylko szumem mijającej samochód wielkiej ciężarówki.

- Chyba się w tobie zakochałem.

Nancy zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, nadal była na Dolnym Manhattanie.

— Daj spokój, człowieku, po co mówić takie rzeczy. Brak snu aż tak ci dokuczył?

— Nie. Powiedziałem, w co wierzę.

— Znajdź motel i prześpij się. Proszę.

— To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

— Nie. Całkiem możliwe, że ja też się w tobie zakochałam.

Greg Davis czekał, aż zagotuje się woda w czajniku. Laure Piper znał zaledwie pół roku, ale doczekali się wreszcie pierw-

372

szego poważnego kryzysu jako para. Bardzo chciał wyjść na boisko i zagrać dobrego faceta, współczującego, gotowego nieść pomoc przyjacielu, a w jego rodzinie sposobem na kryzys było zaparzenie herbaty.

Ich mieszkanko było małe, z minimum światła i bez żadnego widoku, ale woleli poddasze w Georgetown od znacznie obszerniejszego domu na jakimś bezdusznym przedmieściu. Laura poddała się wreszcie i zasnęła o drugiej nad ranem, ale gdy tylko się obudziła, natychmiast włączyła telewizor, odczytała z paska na ekranie, że jej ojciec nadal pozostaje na wolności, i znów zaczęła płakać.

- Herbata normalna czy ziołowa?! - zawołał.

Usłyszał szloch i niewyraźne: "ziołowa".

Przyniósł jej kubek i usiadł obok niej na kanapie.

— Próbowałam się do niego dodzwonić - powiedziała cicho dziewczyna.

— Do domu i na komórkę?

— Poczta głosowa. - Zauważyła, że Greg ma na sobie wyłącznie szorty. - Spóźnisz się - dodała.

— Biorę wolne.

— Dlaczego?

— Żeby zostać z tobą. Nie zostawię cię samej.

Objęła go mocno, przytuliła się; niemal natychmiast poczuł wilgoć na ramieniu.

— Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry!

— A co to za pytanie...

W tym momencie jego komórka zaczęła wibrować i zsuwać się ze stolika. Złapał ją w ostatniej chwili. Na wyświetlaczu świecił napis "Zastrzeżony".

Kobięcy głos wymówił jego imię.

— Tak, tu Greg - potwierdził.

— Mówi Nancy Lipinski. Spotkaliśmy się u Willa.

373

— Jezu! Nancy! Cześć! - Odwrócił się do Laury. Wy szeptał: "Partnerka twojego ojca". Dziewczyna wyprostowała się gwałtownie. - Skąd masz mój numer - powiedział do telefonu.

— Jestem z FBI, przyjacielu.

— No tak, rozumiem. Wiesz coś o Willu?

— Tak. Jest tam gdzieś Laura?

— Oczywiście. Dlaczego dzwonisz do mnie?

— Jej telefony mogą być na podsłuchu.

— Chryste, co ten Will narozrabiał!?

— Mówię z przyjacielem jego córki czy z dziennikarzem? -  
spytała Nancy.

Greg zawahał się, ale dostrzegł błagalne spojrzenie dziewczyny.

— Z jej przyjacielem - powiedział.

— Ma straszne kłopoty, ale niczemu nie jest winny. Dotarliśmy za blisko czegoś ważnego, a on nie chce się wycofać. Muszę cię prosić, żebyś zatrzymał tę informację dla siebie.

— Jasne! - upewnił ją. - To rozmowa nieoficjalna.

— Daj Laure. Will chce, by wiedziała, że nic mu się nie stało.

Pośredniczka handlu nieruchomościami była platynową blondynką, wkraczającą w wiek chirurgii odmładzającej. Gadała jak najęta i natychmiast zaprzyjaźniła się z Kerry, a teraz obie siedziały z przodu i usta im się nie zamykały, podczas gdy Mark sztywno tkwił na tylnym siedzeniu wielkiego mercedesa, oszołomiony jak po narkozie, z teczką między nogami.

W jakiś sposób był świadom tego, co się dzieje: słyszał dobiegający z przodu szczebiot, wiedział, że mijają samochody, ludzi i sklepy, że to Santa Monica Boulevard, że w aucie jest

374

chłodno, a na zewnątrz gorąco, że atmosferę przesycają wyziewy niedopasowanych do siebie perfum, że w ustach czuje metaliczny posmak i że boli go głowa, ale każdy jego zmysł jakby miał własny świat. Mark był niczym innym jak pewną liczbą niepowiązanych ze sobą sensorów. Jego umysł nie przetwarzał informacji i nie kojarzył ich. Zapewne istniał gdzieś, ale nie tu. Przez zasłone mgły przedarł się piskliwy krzyk Kerry.

— Mark! Giną zadała ci pytanie!

— Przepraszam, mówiłaś coś?

— Pytałam, czy zależy wam na czasie - wyjaśniła pośredniczka.

— Zależy - powiedział Mark cicho. - Bardzo zależy.

— Wspaniale! To może być argument przemawiający na naszą korzyść! Naprawdę chcecie zapłacić gotówką?

— Zgadza się.

— Kochani, wam naprawdę zależy! - zachwyciła się po średniczka. - Ciągle mam przyjezdnych, którzy chcą tylko pooglądać Beverly Hills, Bel Air czy Brentwood - trzy "B" - ale wy, kochani, jesteście mądrzy i zdecydowani. Zdajecie sobie sprawę, że Hollywood Hills leży dokładnie w określonym przez was zakresie cenowym, i z waszym agresywnym podejściem jest to najlepszy towar luksusowy w Los Angeles?

Czeka nas wspaniałe popołudnie!

Mark nie odpowiedział. Zostawiły go w spokoju i wróciły do rozmowy. Mercedes zaczął wspinać się w góry, aż wcisnęło go w oparcie siedzenia. Zamknął oczy. Znów znalazł się na tylnym siedzeniu samochodu ojca. Jechali do wynajętego domku w Górach Białych. Tata i mama zajmowali się czymś tam, z przodu, zostawiając go sam na sam z cyframi wirującymi mu w głowie. Próbował ułożyć je tak, żeby dowodziły twierdzenia, a kiedy mu się udawało i w głowie zaczynały pulsować

375

litery QED\*, przepelniała go wielka radość; nie marzył o niczym innym, tylko o tym, by móc ją przywołać i teraz.

Pięli się coraz wyżej wąskimi, krętymi drogami, mijając domy ukryte za bramami i żywopłotami, by wreszcie zatrzymać się za jedną z wszechobecnych tu ciężarówek firmy zajmującej się architekturą krajobrazu. Mark otworzył drzwiczki, upał i ryk maszyny wsysającej liście uderzyły go z niemal fizyczną siłą. Kerry podbiegła do furtki, tuląc do piersi kartkę z opisem posiadłości. Wyglądała jak dziecko skaczące na niewidzialnej skakance.

Agentka zwróciła się do Marka.

- Jest taka śliczna - zaćwierkała z zachwytem. - Lepiej zwolnijcie, kochani, bo mam długą listę umówionych spotkań.

Frazier jechał wyłącznie na kawie i adrenalinie, ale gdyby udało mu się skłonić kogoś z medycznego, żeby dał mu amfetaminę, też by nią nie pogardził. Obiekt funkcjonował jak zwykle w ciągu dnia, wypełniony po brzegi pracownikami wykonującymi swoją normalną robotę dupków. Z drugiej strony barykady był on, któremu przypadło wykonanie zadania nietypowego, bez precedensu: kierował jednocześnie śledztwem wewnętrznym i trzema operacjami terenowymi, a w dodatku musiał co pięć minut spowiadać się swym panom i władcom w Waszyngtonie. Jeden z zespołów pracował w Waszyngtonie, badając sprawę Willa Pipera, drugi siedział w Los Angeles i czekał na zmaterializowanie się Shackletona w Kalifornii, trzeci w Las Vegas rozpracowywał Nelsona Eldera. Wszyscy jego ludzie służyli w armii. Niektórzy pracowali na Bliskim Wschodzie jako agenci

\* Quod erat demonstrandum (łac.) - co było do udowodnienia. 376

CIA. Każdy był skutecznym sukinsynem działającym chłodno i efektywnie, mimo paniki, która ogarnęła Pentagon.

Frazier zaczynał też doceniać Rebeckę Rosenberg, choć jej zwyczajowa dieta ciągle wywoływała u niego mdłości, a w dodatku była dowodem braku wewnętrznej dyscypliny. Obserwował, jak pożerała nugat i karmel przez całą noc, i miał wrażenie, że tyje na jego oczach. Jej kosz na śmiecie wypełniały papierki po batonikach, była obrzydliwa bez dwóch zdań, ale teraz już musiał przyznać z niechętnym podziwem, że była nie tylko szefową komputerowych głupków, ale i całkiem dobrym komputerowym głupkiem. Demontowała wzniesione przez Shackletona mury kamień po kamieniu, aż to, co kryły, stawało się widoczne gołym okiem.

— Popatrz tylko - powiedziała, zauważając, że obraca się w jej stronę. - Oto kolejne skarby Petera Benedicta. Pod tym nazwiskiem miał otwarty kredyt w kasynie Constellation. A to jego Visa.

— Jakież interesujące obciążenia?

— Prawie jej nie używał, ale jest kilka transakcji. Z WGA.

Rejestracja scenariusza czy coś takiego.

— Pieprzony pisarz. O Jezu! Możesz je zdobyć?

— Chodzi ci o to, czy mogę ściągnąć je z ich serwera?

Tak. Prawdopodobnie. Jest coś jeszcze.

— Miesiąc temu otworzył konto na Kajmanach. Aktywacja: pięć milionów dolarów. Przelew od Nelsona G. Eldera.

— O kurwa! - Musi natychmiast skontaktować się z De-Corso, dowódcą zespołu z Las Vegas.

— To chyba najlepszy programista, jakiego miało laboratorium - rzekła Rosenberg głosem, w którym brzmiało zarówno zdumienie, jak i zachwyt. - Wilk na straży owieczek.

— Jak wyprowadził stąd dane?

— Jeszcze nie wiemy.

377

— Każdy pracownik zostanie powtórnie sprawdzony. Do kładnie - oznajmił Frazier.

— Wiem.

— To dotyczy i ciebie.

Rosenberg najpierw obrzuciła go kwaśnym spojrzeniem, a potem wręczyła mu dolara.

— Bądź kochany i kup mi batonik - powiedziała.

— Po rozmowie z pieprzonym sekretarzem.

Harris Lester, sekretarz marynarki, miał swoje biuro w Pentagonie, w Pierścieniu C, mniej więcej tak odległe od słońca i świeżego powietrza jak wszystkie wewnętrzne pomieszczenia kompleksu. Wysokie stanowisko polityczne osiągnął w sposób raczej typowy: służba w marynarce podczas wojny w Wietnamie, długie lata w legislaturze stanu Maryland, kongresman przez trzy kadencje, starszy wiceprezes Northrop Grumman w dziale systemów rakietowych i wreszcie, półtora roku temu, mianowanie na sekretarza marynarki, odebrane z rąk prezydenta elekta.

Był to facet dokładny, typ biurokraty nieznoszącego ryzyka, gardzący

niespodziankami i w życiu prywatnym, i służbowym. Nic dziwnego, że przekazane mu przez szefa, sekretarza obrony, informacje o Strefie 51, przyjął z mieszaniną szoku i irytacji.

— Panie sekretarzu, czy to coś w rodzaju wtajemniczenia?

Zostałem przyjęty do jakiegoś bractwa?

— A czy ja wyglądam na gówniarza bawiącego się w bractwa? - odpowiedział pytaniem zirytowany sekretarz obrony. -

To coś jest całkiem prawdziwe, istnieje rzeczywiście i tradycyjnie należy do marynarki, czyli do ciebie. Niech ci Bóg dopomóż, jeśli do przecieku dojdzie za twój urzędowania.

Koszula Lestera była wykrochmalona tak sztywno, że aż

378

zaszeleściła, kiedy siadał za biurkiem. Najpierw wygładził czarny krawat w srebrne paski, potem przesunął dłońmi po tym, co pozostało mu z włosów, sprawdzając, czy wszystkie kosmyki skierowane są w tę samą stronę, wreszcie sięgnął po okulary. Nim zdążył złamać pieczęcie na pierwszej teczce, w interkomie zabrzmiał głos jego asystenta.

- Mam na linii Malcolma Frazier z Groom Lake, panie sekretarzu. Odbierze pan rozmowę?

Niemal czuł, jak kwas zalewa mu żołądek. Te rozmowy skracają mu życie, ale tej sprawy nie mógł przecież nikomu przekazać. Należała do niego i to on podejmował decyzje. Zerknął na zegarek. Tam, u nich, był akurat środek nocy. Najlepsza pora na koszmary.

Późnym popołudniem mercedes wjechał na półkolisty podjazd przed domem w stylu śródziemnomorskim. Na tym kończyła się lista posiadłości, które mieli dziś odwiedzić.

- Sądzę, że to będzie właśnie to! - Pani pośrednik nie straciła nic ze swej energii. - Najlepsze zachowałam na koniec.

Kerry była oszołomiona, lecz szczęśliwa. Otworzyła puder-niczkę, przejrzała się w



lusterku, poprawił włosy.

- Wszystkie mi się podobały - powiedziała rozmarzona.

Mark włókł się za nimi powoli. Sztywny agent, mający pod opieką ten dom, czekał już i na ich widok znacząco postukał palcem w zegarek. To Markowi przypomniało, że powinien sprawdzić godzinę na swoim zegarku. Nelson Elder uderzył i piłeczka poszybowała wysoko. Grał w towarzystwie wiceprezesa do spraw marketingu z Wynn, komendanta straży pożarnej i prezesa zarządu lokalnej firmy

379

produkującej sprzęt medycznego. Był dobrym golfistą, handicap czternaście, ta partia wyszła mu jednak wspaniale, wprowadzając go w stan bliski euforii. Wyszedł do przodu przy czterdziestym pierwszym, najlepsze dziewięć uderzeń w życiu. Zielone bieżnie toru, obsadzone trawą Bermuda, miały barwę wilgotnych szmaragdów, rzuconych na tło brązowej pustyni. Po krótko przystrzyżonych greenach piłka toczyła się prosto, nie podskakując; nie mógł popełnić błędu. Chociaż na trasie nie brakowało przeszkód wodnych, dla niego nie stanowiły przeszkody i jego piłka pozostała sucha. Promienie słońca odbijały się od szklanych powierzchni hotelu Wynn górującego nad klubem country, i kiedy siedział rozwalony w wózku, popijając mrożoną herbatę z butelki, słuchając szmeru i bulgotu sztucznego strumyka, czuł się usatysfakcjonowany i spokojniejszy niż kiedykolwiek od bardzo długiego czasu. Śródziemnomorska willa na Hollyridge Drive doprowadziła Kerry do szaleństwa. Biegała z jednego wspaniałego pokoju do drugiego: specjalnie urządzone i wyposażona kuchnia, wgłębiony salon, jadalnia, biblioteka, pokój medialny, piwniczka na wino, ogromna część prywatna z trzema sypialniami. Wykrzykiwała: "O mój Boże!". "O mój Boże!", a pani pośrednik deptała jej po piętach, gruchając: "A nie mówiłam? Świeżo po remoncie. Proszę zwrócić uwagę na detale!". Markowi skończyła się wytrzymałość. Odprowadzony podejrzliwym wzrokiem agenta wyszedł na patio i usiadł przy basenie z wirującą w nim wodą. Patio otaczały piękne wrzośce, nad ich delikatnymi błękitnofioletowymi kwiatami latały kolibry.

Poniżej rozciągał się ogromny kanion; siatka ulic pozostawała niewidoczna w popołudniowym świetle.

Za jego plecami, powyżej linii dachu, daleko na grani widać

380

było czubki liter napisu HOLLYWOOD. Tego chciałem, pomyślałem żałośnie, o tym marzyłem. Miałem pisać przy basenie, w górach, pod tym znakiem. Tylko że marzyłem jeszcze, że potrwa to dłużej niż pięć minut.

Kerry wybiegła przez frontowe drzwi. Piękny widok omal nie doprowadził jej do łez.

— Mark, ja się w tym domu zakochałam. Kocham go, kocham, kocham!

— Ona go kocha - powiedziała depcząca jej po piętach agentka.

— Ile? - spytał Mark drewnianym głosem.

— Żądają trzy czterysta i moim zdaniem to dobra cena.

Milion pięćset wydali na samą renowację...

— Bierzemy - powiedział głosem bez wyrazu.

— Mark! - krzyknęła dziewczyna, rzuciła mu się na szyję i zaczęła całować go raz za razem.

— Ach, dzięki panu dwie kobiety są takie szczęśliwe. -

W głosie agentki zabrzmiała wyraźnie słyszalna chciwość. -

Kerry powiedziała mi, że jest pan pisarzem. Jestem pewna, że stworzy pan wiele wspaniałych scenariuszy, siedząc właśnie tu, przy tym pięknym basenie. Przedstawię pańską ofertę i zadzwonię do pana jutro wieczorem, do hotelu.

Kerry robiła zdjęcia aparatem telefonu komórkowego. Mark nie od razu pojął konsekwencje tego, co robi, ale kiedy zrozumiał, skoczył jak oparzony i wyrwał go jej z dłoni.

— Wcześniej coś fotografowałaś? - krzyknął.

— Nie. Dlaczego pytasz?

— Dopiero teraz włączyłaś telefon?

- Tak. W czym problem?

Wyłączył go i oddał jej, mówiąc:

- Kończy ci się bateria, a moja już się skończyła. Warto zachować tę resztkę na wypadek, gdybyśmy musieli zadzwonić.

381

- Oczywiście. Głupio z mojej strony. - Spojrzała na niego z wyrzutem, jakby chciała powiedzieć: "Tylko nie zacznij znów zachowywać się tak dziwnie". - Chodź. Chcę obejrzeć wszystko z tobą, jeszcze raz.

Frazier drzemał przy swoim biurku. Jeden z jego ludzi poklepał go po ramieniu.

Obudził się z głośnym prychnięciem.

— Mieliliśmy sygnał z telefonu Hightower. Krótki, włączył się i zaraz wyłączył.

— Gdzie są w tej chwili?

— East Hollywood Hills.

Podrapał się po nieogolonym policzku.

- Dobra, może mamy przełom. Przydałby się drugi. Co z DeCorso?

— Jest na pozycji, czeka na potwierdzenie.

Przymknął oczy.

— Obudź mnie, kiedy zadzwoni Pentagon.

Elder przygotowywał się do uderzenia przy osiemnastym dołku. Tłem greenu był przeszło dziesięciometrowy wodospad; wspaniały sposób zakończenia rundy.

— Jak myślisz? - spytał szyćkę z Wynn. - Driver?

— Jasne. Wszystko albo nic. Do tej pory ci wychodziło.

— Wiesz, jeśli zagram na par, to będzie najlepsza runda w całej mojej karierze.

Tę wymianę zdań usłyszeli prezes zarządu i dowódca straży. Podeszli bliżej, by ocenić optymalny lot piłki.

- Na litość boską, tylko nie zapesz! - krzyknął facet z Wynn.

Elder uderzył powoli, z rozmysłem, bezbłędnie. Piłka zawisła

382

w najwyższym punkcie trajektorii. Na ułamek sekundy przedtem, nim kula roztrzaskała mu czaszkę, obryzgując całą czwórkę krwią i mózgiem, Elder pomyślał, że życie jest takie piękne.

DeCorso potwierdził trafienie, patrząc przez celownik teleskopowy karabinu wyborowego, po czym z wielką wprawą rozłożył broń, wrzucił ją do turystycznej torby i opuścił jedenaste piętro hotelu z tak pięknym widokiem na pole golfowe.

Kiedy wrócili do hotelu, Kerry chciała się kochać, Mark jednak nie potrafił się na to zdobyć. Wymówił się pod pozorem, że zaszkodziło mu słońce, i schronił się pod prysznicem. Trajkotała przez drzwi tak podniecona, że niezdolna przestać, podczas gdy on rozkręcił krany, pozwalając, by szum wody zagłuszył jego płacz.

Pośredniczka poinformowała Kerry, że restauracja Cut w ich hotelu warta była, by za nią umrzeć. Poprosiła, by zjedli tam kolację, a on, jak zwykle, zrobił to, czego pragnęła, choć marzył wyłącznie o tym, by ukryć się w pokoju.

Kerry wyglądała wspaniale w czerwonej sukni. Kiedy weszli, głowy odwróciły się w ich kierunku, ludzie byli pewni, że mają do czynienia z jakąś sławą. Mark miał ze sobą teczkę, ci więc, którzy lubią się zakładać, zapewne obstawiliby, że oto aktorka załatwia interesy z agentem i prawnikiem. Towarzyszący jej chudy, pospolity facecik nie mógł przecież być jej przyjacielem, chyba że dysponował nieprzyzwoicie wielkim majątkiem.

Chciała rozmawiać wyłącznie o domu. Było to dla niej spełnione marzenie, nie, więcej, nie mogła przecież marzyć o czymś, z czego istnienia nie zdawała sobie sprawy. W jej

383

hierarchii sytuował się tak wysoko, że czuła się jak kosmonauta w rakiemie albo

pasażer UFO, które widziała jako dziewczynka. Zadawała rozbijającą dziecięce pytania: kiedy rzuci pracę, kiedy się wprowadzą, jakie kupią meble, kiedy zaczną lekcje aktorstwa, kiedy on znów zacznie pisać, a on wzruszał ramionami, odpowiadał monosylabami, gapił się przez okno i nie przerywał jej paplaniny. Nagle przestała mówić i to przywołało go do rzeczywistości.

— Dlaczego jesteś taki smutny? - spytała.

— Nie jestem.

— Owszem, jesteś.

— Nie, nie jestem.

Nie wyglądała na przekonaną, ale nie naciskała więcej, tylko powiedziała:

- A ja jestem szczęśliwa. To mój najszczęśliwszy dzień w życiu. Gdybym cię nie spotkała, byłabym teraz... no, nie byłoby mnie tutaj. Dziękuję ci, Marku Shackletonie.

Przesłała mu zalotny pocałunek, który przebił się przez jego ponury nastrój, skłonił go nawet do uśmiechu.

- Tak lepiej - zamruczała zmysłowo.

I nagle z jej torebki dobiegł go sygnał telefonu.

— Twoja komórka... dlaczego jest włączona? - spytał

Mark, a w jego oczach błysnęła panika.

— Gina chciała mieć mój numer, żeby zadzwonić, kiedy zgodzą się na naszą ofertę. To pewnie ona.

— Jak długo był włączony - jęknął Mark.

— Nie wiem. Parę godzin. Nie martw się, bateria jest w porządku. Halo? - powiedziała. Słuchała przez chwilę, zdziwiona i rozczarowana, po czym podała mu telefon. - To do ciebie.

Mark wstrzymał oddech. Powoli podniósł go do ucha. Usłyszał męski głos, rozkazujący... i okrutny.

- Posłuchaj mnie, Shackleton. Mówi Malcolm Frazier. Masz wstać, wyjść z restauracji, pójść do swojego pokoju i czekać, aż przyjdą po ciebie strażnicy. Jestem pewien, że sprawdziłeś bazę danych. To nie jest twój dzień, tylko Nelsona Eldera, którego już nie ma. I Kerry Hightower. Ale nie twój. Co nie oznacza, że nie możemy zrobić ci krzywdy i to takiej, że marzyłbyś tylko o tym, żeby się z nimi zamienić. Musimy się dowiedzieć, jak to zrobiłeś. To nie musi być takie znów przykre.

Mark odwrócił się tyłem do dziewczyny.

— Ona nic nie wie - powiedział błagalnym szeptem.

— Twoje słowa nie mają żadnego znaczenia. To jej dzień.

Wstań i wyjdź, ale już. Czy ty mnie rozumiesz, Mark?

Nie odpowiadał. Serce biło mu szybko.

- Mark?

Zamknął telefon. Odsunął krzesło.

— Co się stało? - spytała Kerry.

— Nic.

Oddychał ciężko, twarz miał skrzywioną.

— Chodzi o twoją ciocię?

— Tak. Muszę iść do toalety. Zaraz wracam.

Jakoś się trzymał, z trudem. Nie mógł spojrzeć na Kerry.

- Mój ty biedaku - powiedziała pieszczotliwie. - Mar  
twię się o ciebie. Chciałabym, żebyś był szczęśliwy jak ja.

Wrócisz szybko to swojej małej Kerry, prawda?

Mark wziął teczkę i odszedł, jakby wchodził na szubienicę, małymi krokami, powłócząc nogami, z pochyloną głową. W hotelowym holu usłyszał trzask pękającego szkła, potem, na dwie straszne sekundy zapadła cisza, a jeszcze później rozległy się przeraźliwe kobiece wrzaski i grzmiące krzyki mężczyzn.

Restaurację i hol wypełnili tłoczący się, biegający ludzie,

zderzający się ze sobą i potykający o własne nogi. Mark szedł przed siebie niczym zombie, wprost do wyjścia. Przy parkingu stał samochód z włączonym silnikiem, czekający na parkingowego. Chłopaka zainteresowało to, co działo się w holu; właśnie wbiegał do hotelu przez obrotowe drzwi.

Całkowicie bezmyślnie i bez zastanowienia Mark Shackleton usiadł za kierownicą. Odjechał w ciepły wieczór Beverly Hills, niewiele widząc przez lzy.

31 lipca 2009 Los Angeles

Mieszkali tu Marilyn Monroe, Liz Taylor, Fred Astaire, Jack Nicholson, Nicole Kidman, Brad Pitt, Johnny Depp i inni, których nazwisk zapomniał. Boy szybko zrozumiał, że gość chce być sam, i tylko odprowadził go wzrokiem, gdy szybko odchodził. Widział, że jest równie zaniedbany jak zagubiony. Za bagaż miał wyłącznie teczkę, ale w jego hotelu regularnie pojawiali się bogaci narkomani i ekscentrycy, no i ten bełkoczący do siebie gość dał sto dolarów napiwku, wyciągając banknot z grubego zwitka setek, należało więc uznać, że wszystko mniej więcej w porządku.

Mark spał głęboko i obudził się zdezorientowany, lecz mimo że w głowie strzelała mu salwami ciężka artyleria, szybko sobie przypomniał, gdzie jest i dlaczego.

Zamknął oczy zrozpaczony. Słyszał ciche dźwięki: szmer klimatyzacji, ćwierkot ptaków za oknem, szelest włosów przesuwających się po bawełnianej pościeli. Czuł powiew od obracającego się pod sufitem wentylatora. Usta miał tak wysuszone, że brakowało w nich choćby kropli śliny do zwilżenia języka.

Dostał apartament, w którym do dyspozycji gości przeznaczono butelki najlepszych gatunkowo alkoholi. Na biurku stała na pół opróżniona butelka wódki, mocnego, lecz skutecznego lekarstwa na jego problemy z pamięcią; pił kieliszek po kieliszku, aż przestał pamiętać. Odruchy jednak najwyraźniej mu pozostały, bo przed pójściem do

łóżka rozebrał się i zgasił światła.

Przefiltrowane przez firanki światło, wpadające przez otwarte drzwi z pokoju dziennego, ożywiło pastelowe barwy wystroju wnętrza: brzoskwińową, bladofioletową, szarozieloną. Kerry pokochałaby to miejsce, pomyślał, odwracając się na brzuch i wciskając twarz w poduszkę.

Prowadził ukradziony samochód przez zaledwie kilka przecznic. Uznał, że jest zbyt zmęczony, by teraz uciekać. Zaparkował w spokojnej dzielnicy rezydencji na North Crescent, wysiadł i ruszył przed siebie, nie wiedząc, dokąd idzie i po co, tak otepiały, że nie uświadamiał sobie prostego faktu: w Beverly Hills pieszy bardziej rzuca się w oczy niż kierowca skradzionego bmw. Minęło trochę czasu, nie wiedział ile. Ocknął się naprzeciw żółtozielonego neonu z migającymi trójwymiarowymi białymi literami. Hotel Beverly Hills.

Spojrzał na budynek różowy jak z lukru, stojący w gęstej zieleni ogrodu, a potem, ku własnemu zdumieniu, ruszył podjazdem do recepcji. Spytał, co mają wolnego, i wziął najdroższy apartament, duży bungalow z własną historią, za który zapłacił gotówką. Teraz stoczył się z łóżka. Był zbyt odwodniony, by choćby się wysikać. Wypił duszkiem butelkę wody mineralnej, usiadł i zaczął się zastanawiać. W jego przegrzanym komputerowym mózgu myśli poruszały się jak muchy w smole. Do tego nie był przyzwyczajony, zawsze z łatwością rozwiązywał problemy

388

intelektualne. Prosta analiza wariantowa: każda akcja wywołuje ciąg reakcji, każda reakcja jest skutkiem ciągu pojedynczych akcji.

Czyżby rzeczywiście było to takie trudne? Skoncentruj się człowieku.

Wachlarz możliwości: uciekać, ukryć się i żyć z resztek gotówki, jak długo się da, poddać się Frazierowi już, w tej chwili. Dziś to nie był jego dzień, jutro też nie będzie. Potrafił zajrzeć za horyzont zdarzeń, nie miał więc wątpliwości, że ani go nie zamordują, ani nie pograją subtelniej i samobójstwo też mu nie grozi. Nie oznaczało to jednak, że Frazier żartował. Był w stanie zrobić mu poważną krzywdę, zresztą w najlepszym razie czekało go życie w pustej czarnej dziurze, aż do śmierci.



Mark znów zaczął płakać. Żałował Kerry czy tego, że tak żałośnie spieprzył sobie życie? Dlaczego nie zadowalało go takie, jakie prowadził? Czubkami palców dotknął pulsujących bólem skroni, kiwał się w przód i w tył. Przecież nie miał się na co skarżyć. Po co mu były marzenia o forsie i sławie? Właśnie w tej chwili był w świątyni pieniędzy i sławy, najlepszym bungalowie hotelu Beverly Hills i, kurwa, co? Parę pokoi, trochę mebli, kilka gadżetów. Nie było tu nic, czego by i tak nie miał. Mark Shackleton nie był takim złym facetem. Znał proporcje. Wszystko przez tego ambitnego, tego nienasyconego pieprzonego Benedicta! To on wpędził go w kłopoty. To on powinien ponieść karę, nie ja, pomyślał Mark, czyniąc pierwszy krok w stronę szaleństwa.

Poczuł przymus włączenia telewizora. W ciągu pięciu minut podano trzy dotyczące go informacje.

Właściciel firmy ubezpieczeniowej zginął na polu golfowym, zastrzelony przez snajpera.

Will Piper, agent FBI prowadzący śledztwo w sprawie  
389

Mordercy Dnia Sądu, nadal ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości.

Wiadomości lokalne: klientka restauracji Wolfganga Pucka została zabita strzałem w głowę. Morderca, który strzelił do niej przez otwarte okno, nadal pozostawał na wolności.

Mark zapłakał na widok ciała Kerry, bez trudu mieszczącego się w worku lekarza sądowego.

Wiedział, że nie może dać się ująć Frazierowi, ten posagowy facet o martwych oczach przerażał go do szaleństwa. Zawsze bał się strażników, nawet wtedy, kiedy sobie jeszcze nie uświadamiał, że są zimnokrwistymi mordercami.

Uznał, że pomoc może mu tylko jeden człowiek.

Potrzebował budki telefonicznej.

Zadanie znalezienia jej omal go nie przerosło, ponieważ w Beverly Hills XXI wieku budka telefoniczna to towar niszowy, a w dodatku musiał poruszać się pieszo. W

hotelu był pewnie jakiś automat, ale on potrzebował takiego, który nie doprowadziłby pogoni wprost pod jego drzwi.

Maszerował dobrą godzinę, pocąc się obficie, nim wreszcie znalazł odpowiedni aparat w barze kanapkowym na North Beverly. Pora śniadania już się skończyła, pora lunchu jeszcze nie nadeszła i w barze nie było tłoku. Był pewien, że kilku klientów przygląda mu się z napięciem, ale tylko mu się wydawało. Wtopił się w mrok ciemnego korytarzyka przy toaletach i tylnym wyjściu. Dwudziestkę rozmienił już w hotelu, miał więc pod dostatkiem amunicji w postaci dwudziestopięciocentówek. Zadzwoił pod pierwszy numer. Poczta głosowa. Przerwał połączenie, nie pozostawiając informacji.

Drugi telefon - to samo.

Pozostał mu trzeci... i ostatni. Wstrzymał oddech.

Po drugim sygnale odezwał się kobiecy głos.

390

- Halo?

Mark zawahał się, nim zadał najważniejsze pytanie.

— Czy rozmawiam z Laurą Piper?

— Tak. Kim pan jest? - Bała się, jej lęk był niemal namacalny.

— Nazywam się Mark Shackleton. To mnie szuka pani ojciec.

— O mój Boże, morderca!

— Nie! Proszę mi uwierzyć, nie jestem mordercą. Niech mu pani to powie, że nikogo nie zabiłem.

Nancy wiozła Johna Muellera do Brooklynu, gdzie mieli przesłuchać jednego z dyrektorów banku obrabowanego w ostatniej serii napadów w tej dzielnicy. Kamery telewizji przemysłowej i zeznania naocznych świadków nie pozostawały wątpliwości, że we wszystkich pięciu przypadkach sprawcami byli dwaj mężczyźni o bliskowschodniej powierzchowności. Oddział antyterrorystyczny deptał po piętach

wydziałowi ciężkich przestępstw, ponieważ istniała możliwość, że za przestępstwami stoją terroryści.

Nancy nie przepadała za zgadywankami, ale jej partner nie miał nic przeciwko nim.

— Takich spraw nie wolno lekceważyć - mówił właśnie. -

Powinnaś nauczyć się tego już u progu kariery. Prowadzimy globalną wojnę z terroryzmem i, moim zdaniem, należy traktować sprawców jako terrorystów, póki nie przekonamy się, że jest inaczej.

— Przecież to zwykli rabusie bankowi, przypadkiem wyglądający na muzułmanów. Nie znaleźliśmy niczego, co by wskazywało, że kierują nimi motywy polityczne - protestowała dziewczyna.

391

— Wystarczy, że raz się pomylisz i będziesz miała na rękach krew milionów Amerykanów. Gdybym pozostał przy sprawie Dnia Sądu, tam też szukałbym powiązań z terroryzmem.

— Nie znaleźliśmy żadnych związków z terroryzmem, John.

— Nie możecie mieć pewności. Sprawa nie została jeszcze zamknięta, o ile wiem. Czy może czegoś nie wiem?

Nancy zacisnęła zęby, aż zazgrzytały.

- Nie, John. Nie została jeszcze zamknięta.

Dopiero teraz Mueller poruszył temat, do którego zmierzał.

— A tak w ogóle, to co, do cholery, robi Will?

— Mam wrażenie, że robi to, co uważa za swoją robotę.

— Zawsze jest jeden właściwy sposób wykonania pracy i mnóstwo niewłaściwych. Will konsekwentnie wybiera te niewłaściwe - rzekł uroczyście agent i dodał: - Dobrze, że wróciłem. Mogę znów nadzorować twoje szkolenie, pilnować, by było konsekwentne i prawidłowe.

Nancy upewniła się, że na nią nie patrzy, a potem przewróciła oczami. Już była wzburzona, a on jeszcze pogarszał sprawę. Dzień zaczął się od niepokojącej wiadomości o śmierci Eldera, zastrzelonego przez snajpera; zbieg okoliczności, z pewnością, ale nie mogła tego zbadać, ponieważ odebrano jej sprawę.

Will mógł się o tym dowiedzieć z samochodowego radia albo telewizji w motelu. Tak czy owak nie chciała telefonować, ryzykować, że właśnie odpoczywa, a ona go obudzi. Poczeka, aż on się z nią skontaktuje.

Jej komórka na kartę zadzwoniła dokładnie w chwili, gdy wjeżdżała na parking banku we Flatbush. Szybko odpięła pas, wyskoczyła z SUV-a i odeszła kilka kroków, żeby Mueller nie mógł słyszeć, z kim i o czym rozmawia.

— Will!

— Mówi Laura. - W głosie córki Willa brzmiała panika.

392

— Lauro, co się stało?

— Przed chwilą zadzwonił do mnie Mark Shackleton. Chce się spotkać z tatą.

Droga prowadziła pod górę, co mu się podobało, bo stanowiło jakąś odmianę. Zmordowała go jazda po hipnotycznie płaskim terenie; 1-40 wznosząca się w góry Sandia natychmiast poprawiła mu humor. Jeszcze w Plainfield, w Indianie, przespał się osiem godzin w Days Inn, ale to było osiemnaście godzin temu. Jeśli wkrótce nie zatrzyma się znowu, przyśnie i rozbije się.

Przy okazji postoju miał zamiar zadzwonić do Nancy. Słyszał w radiu o zabójstwie Eldera, chciał się dowiedzieć, czy wie coś na ten temat. Niewiedza doprowadzała go do szaleństwa, ale nie tylko ona, denerwowała go na przykład wymuszona abstynencja. Był roztrzęsiony, uspokajał się, przemawiając do siebie głupiutkim głosem.

— Może jednak masz problem z alkoholem, Willy.

— Pieprz się! Jedyne problem, jaki mam z alkoholem to całkowity brak alkoholu!

— Nie mam nic do dodania.

- To weź to nic i wsadź sobie w dupę.

Denerwowało go także to, co powiedział Nancy poprzedniego dnia, ta cała sprawa z miłością. Czyżby mówił serio? Czy też może przemawiało przez niego zmęczenie? I samotność? I... czy ona mówiła serio? Otworzył puszkę Pandory i teraz będzie musiał sobie z tym poradzić.

I to raczej wcześniej niż później, bo właśnie zadzwonił telefon.

— Cześć, cieszę się, że cię słyszę!

— Gdzie jesteś?

393

— We wspaniałym stanie Nowy Meksyk. - Usłyszał w słuchawce szum ulicy. - Prowadzisz? - spytał.

— Jestem na Broadwayu. Ten piątkowy ruch... Muszę ci coś powiedzieć, Will.

— Chodzi o Nelsona Eldera, tak? Słyszałem w wiadomościach. Doprowadza mnie to do szału.

— Zadzwonił do Laury.

— Kto? - spytał zdziwiony.

— Mark Shackleton.

Will milczał.

— Słuchaj...

— Ten sukinsyn zadzwonił do mojej córki!?

— Powiedział, że próbował innych numerów. Złapał tylko ją. Chce się spotkać.

— Może dać się ująć gdziekolwiek.

— Boi się. Twierdzi, że tylko tobie może zaufać.

— Jestem tylko nieco więcej niż dziewięćset kilometrów od

Vegas. Jasne, może mi zaufać, że oberwie za niepokojenie córki.

— On jest w Los Angeles, nie w Las Vegas.

— Chryste Panie, kolejne pięćset kilometrów. Czego jeszcze się dowiedziałas?

— Twierdzi, że nikogo nie zabił.

— Nie do wiary. Jeszcze coś?

— Że mu przykro.

— Gdzie mam się z nim spotkać?

— Chce, żebyś jutro rano, o dziesiątej, czekał na niego w kawiarni na Beverly Hills. Mam adres.

— Zamierza tam przyjść?

— Tak twierdził.

— W porządku. Jeśli uda mi się utrzymać tę oszałamiającą prędkość, to nawet jeśli prześpię się osiem godzin, na kawę ze starym kumpłem zdążę bez problemu.

394

— Martwię się o ciebie.

— Odpoczne, nie obawiaj się. Tyłek mnie boli, ale poza tym wszystko w porządku. Samochodu twojej babci nie zbudowano do bicia rekordów komfortu jazdy. Ani rekordów prędkości.

Ucieszyło go, że zdołał ją rozbawić.

— Słuchaj, Nancy, a jeśli chodzi o to, co powiedziałem wczoraj...

— Zaczekajmy, aż to wszystko się skończy, dobrze? - zaproponowała Nancy. - Porozmawiamy, kiedy się spotkamy.

— Oczywiście - zgodził się natychmiast Will. - Pilnuj, żeby telefon był naładowany. Jesteś moją liną ratunkową. Daj

mi ten adres.

Frazier nie wrócił do domu od początku kryzysu i nie pozwolił swym ludziom na opuszczenie centrum operacyjnego. Nie widać było końca sprawy, Waszyngton potężnie na nich naciskał i wszyscy byli wściekli jak cholera. Mieliście Shackletona w garści - opieprzał swych ludzi - a ten cholerny niewykształcony dupek jakimś cudem zdołał się wam wyślizgnąć! Wam, najlepszym w tym kraju funkcjonariuszom taktyczno--operacyjnym! Podstawili Waszyngtonowi do kopania tyłek swego dowódcy, co oczywiście wcale mu się nie spodobało.

— Powinniśmy tu mieć urządzenia do ćwiczeń - zagderał któryś z jego ludzi.

— To nie jest ośrodek wypoczynkowy.

— Chociaż worek bokserski. Moglibyśmy powiesić go w kącie - dodał inny, pochylony nad terminalem.

— Chcesz w coś walnąć to chodź tu i wypróbuj mnie - warknął Frazier.

395

— Chcę tylko znaleźć dupka i wrócić do domu. - Ten pierwszy miał więcej do powiedzenia.

— Dwóch dupków - poprawił go szef. - Naszego faceta i tego gnojka z FBI. Potrzebujemy ich obu.

Odezwał się telefon linii łączącej ich z Pentagonem. Facet od worka bokserskiego podniósł słuchawkę, zaczął notować. Język ciała nie pozostawiał wątpliwości, coś się stało.

— Malcolm, ludzie z Agencji Wywiadu Obronnego przechwycili telefon do córki agenta Pipera.

— Od kogo?

— Od Shackletona.

— No, niech mnie...!

— Zaraz prześlę rozmowę, powinniśmy ją mieć za parę

minut. Shackleton chce się spotkać z Piperem w kawiarni w Beverly Hills. Jutro rano.

Frazier zatarł ręce triumfalnie.

— Dwóch jednym strzałem! - krzyknął. - Dzięki ci, Panie. - Radość nie przeszkadzała mu w myśleniu. - A rozmowy wychodzące? Jak przekazuje informacje?

— Żadnego sygnału z jej telefonu domowego i komórki.

— W porządku. Mieszka w Georgetown, tak? Załóżcie podsłuch na wszystkie automaty w promieniu trzech kilometrów od jej mieszkania i sprawdźcie połączenia z nich do innych automatów i na komórki na kartę. Sprawdźcie, czy z kimś mieszka, może z chłopakiem, weźcie billingi jego telefonu. Chcę widzieć głowę Pipera w celowniku!

W Los Angeles zapadał wieczór. Robiło się coraz chłodniej. Mark przez cały dzień nie wychodził z bungalowu, a na klamce zawiesił plakietkę NIE PRZESZKADZAĆ. Przysiągł sobie, że odpokutuje za śmierć Kerry, poszcząc, ale po południu zakręciło 396

mu się w głowie, pożywił się więc słonymi przekąskami i ciasteczkami z barku.

Powiedział sobie, że po prostu dziewczynie taki los był pisany, tak naprawdę więc on nie jest niczemu winny, od razu poczuł się lepiej i otworzył piwo. Potem wypił jeszcze dwa, jedno po drugim, i przerzucił się na wódkę.

Jego bungalow miał własny dziedziniec, ukryty za murem w łososiowym kolorze, ozdobionym fałszywymi "renesansowymi" łukami. Usiadł w wygodnym leżaku, a potem odchylił oparcie tak, że prawie leżał. W ręku trzymał butelkę. Powietrze przesycił egzotyczny zapach tropikalnego ogrodu. Mark zasnął i kiedy się obudził, niebo było czarne, a on marzył. I drżał. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak samotny. Tego wczesnego sobotniego ranka temperatura na pustyni Mojave dochodziła do czterdziestu pięciu stopni. Will, który wysiadł załatwić się przy drodze, na pół oczekiwał, że lada chwila spłonie w tym upale i pozostanie po nim tylko kupka



popiołu. Zaniósł modły do nieba o to, by stary taurus zapalił i modły te zostały wysłuchane. Zdaży do Beverly Hills przed czasem.

W centrum operacyjnym Strefy 51 Frazier obserwował elektroniczną sygnaturę Willa w postaci żółtej plamki rzuconej na tło obrazu z satelity. Ostatni sygnał jego komórki transmitowała wieża Verizonu, stojąca osiem kilometrów na zachód od Needles, przy 1-40. Lubił ograniczać zmienne operacyjne, eliminować niespodzianki i elektroniczny obraz z lotu ptaka działał na niego uspokajająco.

Do bezpiecznej komórki Willa doprowadziło go klasyczne

397

policyjne śledztwo, czyli zdzieranie zelówek. Zespół Agencji Wywiadu Obronnego ustalił, że Laura Piper mieszka z niejakim Gregiem Davisem. Piątkowego wieczoru z komórki Davida komunikowano się wyłącznie z inną komórką na kartę operatora T-Mobile działającą w obrębie White Plains. Z tej z kolei komunikowano się z jeszcze inną, także należącą do T-Mobile, której właściciel piątkowego wieczoru podróżował przez Arizoneę na zachód.

Wręcz trywialne było powiązanie pierwszej z mieszkającą w White Plains partnerką Pipera, Nancy Lipinski. Nasłuchowcy Agencji Wywiadu Obronnego założyli podsłuch na jej komórkę i na tę w Arizonie, no i od tej pory Frazie dostawał wszystko pięknie przewiązane ozdobną wstążką, jak bożonarodzeniowy prezent. Jego ludzie mieli być w kawiarni Sala i Tony'ego na miłym niedzielnym śniadanku, a na razie będzie obserwował żółtą kropkę mknącą na zachód sto trzydzieści kilometrów na godzinę i odliczał czas do chwili, kiedy skończy się wreszcie całe to nieszczęście. Will dotarł do Beverly Hills tuż przed siódmą rano i od razu przejechał wolno obok kawiarni. North Beverly Drive była pusta; w ogóle o tej porze dnia miasto sprawiało wrażenie sennej prowincjonalnej wiochy. Zaparkował na równoległej ulicy, Cannon, ustawił alarm swej komórki na dziewięć trzydzieści i natychmiast zasnął.

Obudził się w tętniącym życiem mieście, w nieprzyjemnie rozgrzanym taurusie.

Najważniejsze wydało mu się teraz znalezienie odpowiedniego miejsca i dokonanie porannych ablucji. Przecnicę dalej znajdowała się stacja benzynowa. Chwycił

podręczną torbę, wysiadł z samochodu, wyprostował się i w tym

398

momencie usłyszał trzask, to komórka wypadła mu na chodnik. Zaklął, podniósł ją i schował do kieszeni.

W tym momencie żółta kropka na monitorze komputera stojącego w centrum operacyjnym Strefy 51 zgasła. Powiadomiony o tym fakcie Frazier wygłosił zgryźliwą przemowę, ale szybko się uspokoił i zakończył:

- Wszystko będzie dobrze. Wpadł w pułapkę. Jeszcze pół godziny i będzie po wszystkim.

Kawiarnia Sala i Tony'ego należała do popularnych. Przy stolikach i w łóżach tłoczyli się ludzie, miejscowi i turyści. Pachniało naleśnikami, kawą i smażonymi ziemniakami, a kiedy Will wszedł do środka na kilka minut przed uzgodnioną godziną spotkania, hałas rozmów niemal go ogłuszył.

Kelnerka przy wejściu powitała go ochrypłym głosem pa-laczki.

— Co u ciebie, słodziutki? Jesteś sam?

— Mam się z kimś spotkać. - Will rozejrzał się dookoła. -

Chyba jeszcze go nie ma.

Mark miał czekać na niego o dziesiątej obok automatu, przy tylnym wejściu.

— Nie będziesz długo czekał. Za chwilę coś się zwolni.

— Chcę skorzystać z waszego telefonu.

— Znajdę cię, słodziutki.

Stojąc z tyłu sali, praktycznie niewidoczny, Will dokładnie przyjrzał się gościom, przeskakując wzrokiem od stolika do stolika, oceniając każdego z nich. Starszy mężczyzna z laską i jego żona - miejscowi. Czterej eleganccy młodzi ludzie - sprzedawcy. Cztery blade, wiotkie babki z daszkami z napisem Rodeo Drive na głowach - turystryki. Sześć Koreanek - turystryki. Ojciec z sześciolatkiem synem - rozwiedziony ojciec

399

korzysta z prawa odwiedzin. Para około dwudziestki na głodzie, w podartych dzinsach - miejscowi. Dwaj mężczyźni w średnim wieku i kobieta, wszyscy w koszulkach Verizonu - robotnicy.

I wreszcie: stół dla czterech osób w samym środku sali; to przez niego spocły mu się dłonie. Przez siedzących przy nim czterech mężczyzn jak spod sztancy. Ostre rysy, krótkie, schludnie przycięte włosy, fizycznie sprawni, sama linia ramion wskazywała, że podnoszą ciężary. Cała czwórka zbyt usilnie starała się wyglądać swobodnie w luźnych koszulkach i spodniach khaki, prowadziła zbyt wysiloną swobodną rozmowę typu "podaj mi smażone ziemniaki, proszę". Jeden z nich położył przed sobą odpiętą od pasa torebkę.

Żaden z nich nawet na Willa nie spojrzał, a Will udawał, że nawet nie spojrzał na nich. Czekał przy telefonie, prze-stępował z nogi na nogę i tylko popatrywał na nich kątem oka. Wiedział, że to chłopcy agencji, nie wiedział tylko której. Zarówno instynkt, jak i doświadczenie mówiły mu, że powinien przerwać zadanie i wycofać się, wyjść przez tylne drzwi i iść przed siebie byle dalej stąd, tylko... co potem? Musiał znaleźć Shackletona, to był jedyny sposób. Będzie musiał poradzić sobie z ciężarówkami. Przy każdym oddechu czuł na żebrach ciężar służbowej broni.

Widząc na monitorze Willa Pipera, Frazier poczuł, jak jego ciało napina się, jakby przeszył je prąd elektryczny. Jeden z jego ludzi manewrował odpiętą od paska, leżącą na blacie stołu torebką i teraz przesunął ją tak, że dokładnie widział Willa opartego o ścianę przy automacie telefonicznym.

- W porządku, Corso, tak jest dobrze - powiedział do małego mikrofonu zestawu słuchawkowego. - Mam go.

Zacisnął zęby. Marzył o tym, by monitor wypełniła mu

400

sylwetka drugiego celu. Marzył o wydaniu rozkazu rozpoczęcia akcji, chciał zobaczyć, jak jego ludzie załatwiają tych dwóch i dostarczają mu ich ekspresem. Will rozważał jawiące się przed nim możliwości. Tak przekonująco, jak to tylko możliwe, wszedł do toalety sprawdzić, co może mu ona oferować. Ale toaleta nie

miała okien, tylko więc ochlapał twarz zimną wodą i wytarł do sucha. Do dziesiątej ciągle brakowało kilku minut. Opuścił toaletę i wyszedł przez tylne drzwi. Chciał zobaczyć, czy któryś z mężczyzn pójdzie za nim i, co ważniejsze, także sprawdzić, jak wygląda otoczenie.

Między Beverly i Canon biegła aleja; z miejsca, w którym stał, widział tylne wejścia do księgarni, drugstore'u, salonu piękności, sklepu z butami i banku, wszystkie w odległości rzutu kamieniem. Po lewej stronie uliczki znajdował się parking jednego z biurowców na Canon. Piechotą mógł się stąd oddalić na wschód, zachód, północ i południe. Will poczuł się nie tak całkiem schwytyany w pułapkę.

Wrócił do kawiarni.

- Tu jesteś! - krzyknęła radośnie ochrypla kelnerka. - Mam dla ciebie stolik!

Stolik dla dwóch osób znajdował się blisko okna, ale automat telefoniczny też było widać bez problemu. Minęła dziesiąta. Mężczyźni przy środkowym stoliku zamówili więcej kawy.

DeCorso, dowódca zespołu, przystrzyżony na krótkiego języka, miał gęste czarne brwi i potężne włochate ramiona. Frazier skarżył mu się do ucha: "Najwyższy czas. Gdzie jest ten pieprzony Shackleton". Jednocześnie obserwował na monitorze, jak Willy nalewa sobie kawy z dzbanka, wlewa śmietankę, miesza łyżeczką w kubku. Minęło pięć minut.

401

Will był głodny, więc zamówił śniadanie. Dziesięć minut.

Pożarł jajka na boczku. Mężczyźni przy środkowym stoliku czekali.

O dziesiątej piętnaście Will zaczął nabierać pewności, że Shackleton z nim pograł. Trzy kubki kawy odniosły wiadomy skutek, musiał skorzystać z toalety. Oprócz niego korzystał z niej także starszy pan z laską, poruszający się w tempie ślimaka. Will załatwił się i wyszedł. Dopiero teraz zauważył umieszczoną przy automacie tablicę. Wisiało na niej mnóstwo karteczek: wizytówki, ogłoszenia o mieszkaniach do wynajęcia

i zaginionych kotach. Zauważył ją już wcześniej, ale nie zwrócił na nią uwagi.

A teraz zastanawiał się, jak mógł tego nie dostrzec.

Kartka wielkości pocztówki.

Wrysowana ręcznie trumna, znak Mordercy Dnia Sądu.

1      słowa: "hotel Bev. Hills, bung 7".

Will przełknął ślinę. Pozwolił działać instynktowi.

Zerwał kartkę i wybiegł przez tylne drzwi, na uliczkę dojazdową. Frazier zareagował szybciej niż jego ludzie siedzący w kawiarni.

- Wieje! - krzyknął do mikrofonu. - Niech to cholera, ucieknie wam!

Poderwał ich do pościgu, ale pościg ten od razu uległ spowolnieniu, bo wpadli na staruszkę z laską, wychodzącą właśnie z toalety. Obraz przesyłany z kawiarni stał się nieczytelny, kamera w torbie podskakiwała dziko, lecz Frazier mimo to na kilku klatkach dostrzegł przeszkodę i wrzasnął: "Nie zwalnijcie! Ucieknie!".

DeCorso chwycił staruszkę w objęcia i wstawił go z powrotem do toalety. Reszta grupy wybiegła z kawiarni, ale na uliczce było pusto. Na rozkaz szefa rozdzielili się, dwóch

402

pobiegło w prawo, dwóch w lewo. Rozpoczęli gorączkowe poszukiwania, przebiegali przez sklepy i domy na Beverly i Canon, zaglądali pod samochody. Frazier gorączkował się tak, że DeCorso musiał go uspokajać.

- Malcolm, nie krzycz - błagał. - Te twoje wrzaski przeszkadzają mi działać.

Will schował się w toalecie salonu fryzjerskiego Via Vene-to, sąsiadującego bezpośrednio z kawiarnią. Zamknął się w kabinie na dobre dziesięć minut, klęczał na toalecie z bronią w ręku. Ktoś wszedł do środka wkrótce po nim, ale nie załatwiał potrzeb naturalnych i wkrótce wyszedł. Will odetchnął, ale nie zmienił niewygodnej pozycji. Nie mógł jednak pozostać w ukryciu cały dzień, prędzej czy później musiał pojawić się ktoś naprawdę potrzebujący toalety, w końcu więc wyszedł i wślizgnął się do salonu. Kilka ładnych dziewczyn obsługiwało klientki, rozmawiając przy tym

wesoło. Było to chyba miejsce tylko dla pań, zupełnie tu więc nie pasował.

— Hej! - powitała go jedna z dziewczyn zaskoczona.

Miała bardzo krótkie blond włosy, ubrana była w mikromini i truskawkowe rajstopy. - Nie widziałam cię.

— Obsługujecie bez rezerwacji? - spytał Will.

— Zazwyczaj nie - powiedziała fryzjerka, ale ten potencjalny klient spodobał się jej i nawet zastanawiała się, czy nie jest przypadkiem sławny. - Znam cię? - spytała.

— Jeszcze nie, ale poznasz, jeśli mnie ostrzyżesz - zażartował. - Obsługujecie mężczyzn?

Oczarował ją, bez dwóch zdań.

- Sama to zrobię - obiecała, rozplływając się z zachwytu. - Jedna klientka odwołała wizytę.

403

— Nie chcę siedzieć przy oknie i nigdzie mi się nie spieszy.

Chętnie poczekam.

— Masz duże wymagania. - Dziewczyna się roześmiała. - Nie martw się, dobrze się tobą zajmę, panie prawdziwy mężczyzno. Siadaj tu i wypij filiżankę kawy albo herbaty.

W ciągu godziny Will zyskał cztery rzeczy: doskonałą fryzurę, manikiur, telefon fryzjerki i wolność. Poprosił o sprowadzenie taksówki, a kiedy podjechała na Canon dał dziewczynie wielki napiwek, wskoczył na tylne siedzenie i skulił się na nim z opuszczoną głową. Wóz ruszył. Uznał, że udało mu się zwiać. Podarł kartkę z numerem telefonu, wyrzucił jej strzępy przez okno. Opowie Nancy o tej przygodzie, niech wie, czego jest skłonny się dla niej wyrzec.

Bungalow numer siedem miał brzoskwiniowe drzwi. Will zadzwonił. Na klamce wisiała plakietka "NIE PRZESZKADZAĆ" i niedzielna gazeta. Wsunął glocka za

pasek spodni, by móc go szybko wyciągnąć, pogłaskał karbowaną kolbę.

Wizjer pociemniał, poruszyła się klamka i po chwili dwaj mężczyźni stanęli twarzą w twarz.

- Cześć, Will. A więc odebrałeś moją wiadomość.

Widok Marka mógł przyprawić o szok, tak staro wyglądał i taki był wymizerowany, zmieniony niemal nie do poznania. Cofnął się o krok, wpuścił gościa do środka. Drzwi zamknęły się same, pozostawiając ich w półmroku pokoju ze szczelnie zasuniętym zasłonami.

- Cześć, Mark.

Przez rozchylone poły marynarki Shackleton dostrzegł kolbę pistoletu.

404

— Tego nie potrzebujesz - powiedział.

— Doprawdy?

Mark padł na fotel przy kominku, był zbyt słaby, by utrzymać się na nogach. Will usiadł na kanapie. Też był zmęczony.

— W kawiarni zastawiono pułapkę - oznajmił.

Shackleton spojrział na niego przerażony.

— Nie śledzili cię, prawda?

— Chyba mamy spokój. Na razie.

— Musieli przechwycić mój telefon do twojej córki. Wie działem, że się wściekniesz. Przepraszam. Innego sposobu nie było.

— Kim oni są?

— To ludzie, dla których pracuję.

— Powiedz mi jedno: co by było, gdybym nie zauważył tej twojej kartki?

Mark wzruszył ramionami.

— W moim biznesie człowiek uczy się czekać na wyroki

losu.

— Co to za biznes, człowieku? Powiedz mi, co robisz?

— Pracuję w bibliotece.

—

Frazier był niepokonany. Operacja okazała się kompletnym fiaskiem, a on mógł tylko wycić jak upiór. Kiedy gardło odmówiło mu posłuszeństwa, ochryłym szeptem nakazał swym ludziom pozostać na pozycjach i kontynuować beznadziejne poszukiwania aż do otrzymania nowych rozkazów.

Gdybym ja tam był, toby się nie zdarzyło - medytowałem. A myślałem, że mam do czynienia z profesjonalistami. DeCorso okazał się dobrym agentem operacyjnym, ale żadnym dowódcą w terenie, a kto będzie wszystkiemu winien? Ze słuchawkami na uszach przeszedł korytarzami Strefy 51, mrucząc do siebie:

405

"Porażka nie wchodzi w rachubę", wsiadł do windy i wyjechał na powierzchnię. Musiał poczuć promienie słońca na skórze.

Części wyjaśnień Mark udzielał ściszym głosem spowiadającego się penitenta, bywał na zmianę to smutny, to ożywiony, to wręcz arogancki, od czasu do czasu irytował się, uznając część pytań za naiwne albo takie, na które udzielił już odpowiedzi. Will mówił spokojnym, pewnym głosem profesjonalisty, choć miewał kłopoty z zachowaniem spokoju wobec tego, czego się dowiadywał.

Zaczął rozmowę najprostszym z pytań.

— Ty wysyłałeś pocztówki Dnia Sądu?

— Tak.

— Ale nie zabijałeś adresatów?

— W ogóle nie wyjeżdżałem z Nevady. Nie jestem mordercą. Wiem, dlaczego myślisz, że w ogóle był jakiś morderca.

Bo chciałem, żebyś w niego wierzył. Ty i w ogóle wszyscy.



— Więc jak zginęli ci ludzie?

— Różnie. Morderstwa, wypadki, samobójstwa, przyczyny naturalne... w taki sposób umierają członkowie każdej przypadkowej grupy.

— Twierdzisz, że nie było jednego mordercy?

— Właśnie. To prawda.

— Nie nająłeś nikogo ani w inny sposób nie skłoniłeś do popełnienia morderstw?

— Skąd! Były morderstwa, owszem, ale jestem pewien, że w głębi serca wiesz, że nie wszyscy oni zginęli zamordowani. Mam rację?

— Niektórzy rzeczywiście mieli swoje problemy - przyznał Will, myśląc o Milosu Covicu wyskakującym przez okno, Marcu Napolitano z igłą w ramieniu, Clivie Robertsonie,  
406

padającym ciężko na podłogę swego mieszkania. Zmrużył oczy. - Jeśli mówisz prawdę, to skąd, do diabła, z góry wiedziałeś, że ci ludzie stracą życie?

Zirytował go chytry uśmieszek Marka. Przesłuchiwał wielu chorych psychicznie i ten grymas, kpiące wiem-coś-czego--nie-wiesz było dla niego rozpoznawalne jako coś wprost z opisów schizofrenii. Ale wiedział, że Mark nie jest szalony.

— Strefa Pięćdziesiąt Jeden.

— I co z tego? Nie widzę związku.

— Ja tam pracuję.

Will zaczął się irytować.

- W porządku, to już mniej więcej zrozumiałem. No, gadaj.

Powiedziałeś, że pracujesz w bibliotece.

- Bo w Strefie Pięćdziesiąt Jeden jest Biblioteka.

Wyglądało na to, że od tej pory trzeba będzie wyciągać z Marka informacje, pytanie za pytaniem.

- Opowiedz mi o tej bibliotece.

— Zbudował ją pod koniec lat czterdziestych zeszłego wieku Harry Truman. Po drugiej wojnie światowej Brytyjczycy znaleźli podziemny kompleks pomieszczeń. Na terenie założenia klasztornego na wyspie Wight. Opactwa Vectis. Pomieszczenia te wypełnione były po brzegi księgami.

— Jakimi księgami?

— Pierwsze pochodzą jeszcze ze średniowiecza. Zawierają imiona, Will, miliardy imion. I nazwisk. Przeszło dwieście miliardów.

— Czyich imion?

- Wszystkich ludzi kiedykolwiek żyjących na ziemi. Will potrząsnął głową. Miał wrażenie, że spaceruje po linie... i lada chwila może z niej spaść.

— Wybacz, ale chyba cię nie rozumiem.

— Od początku naszej rasy ziemię zamieszkiwało nieco  
407

poniżej stu miliardów ludzi. Te księgi rejestrowały każde narodzenie i każdą śmierć od ósmego wieku. To kronika dwunastu wieków ludzkiego życia... i śmierci.

— Jakim cudem? - spytał Will gwałtownie. Czyżby Shackleton jednak zwariował?

— Gniew jest typową reakcją. Większość ludzi reaguje gniewem na wieść o istnieniu Biblioteki, ponieważ rzuca ona wyzwanie wszystkiemu, co sądzimy, że wiemy. Ale tak na prawdę, przyjacielu, pytania „jak” i „dlaczego” pozostają bez odpowiedzi. Sześćdziesiąt dwa lata ciągłych dyskusji i nadal nikt niczego nie wie. To była robota dla setek mnichów naraz, jeśli księgi zapisywali mnisi, na pięćset lat, samo zapisanie nazwisk, raz dla urodzin, raz dla śmierci. Uporządkowane są

datami, najpierw według kalendarza juliańskiego, a potem, po reformie, gregoriańskiego. Każde imię zapisane jest w języku człowieka, który je nosi, do tego prosta łacińska adnotacja: urodził się czy umarł. To wszystko. Nie ma żadnego komentarza, żadnego wyjaśnienia. Jakim cudem tego dokonali? Ludzie religijni twierdzą, że z pomocą boską. Może byli jasnovidzami, widzieli przyszłość? A może przybyli z kosmosu? Wierz mi,

O tym nikt nic nie wie. Za to wiemy, że było to wielkie dzieło. Pomyśl tylko, w ciągu wieków liczby stawały się coraz większe i tylko dziś, pierwszego sierpnia dwa tysiące dziewiątego roku urodzi się trzysta pięćdziesiąt tysięcy ludzi, umrze sto pięćdziesiąt. Każde nazwisko pisać piórem, maczanym w atramencie? Dziś, jutro, pojutrze, przez tysiąc dwieście lat! Ci ludzie pracowali jak maszyny.

— Wiesz, nie mogę w to uwierzyć - powiedział cicho Will.

— Daj mi dzień, a dostaniesz dowód. Mogę ściągnąć listę wszystkich ludzi, którzy umrą jutro w Los Angeles. Albo w Nowym Jorku. Albo w Miami. Gdziekolwiek.

— Nie mam całego dnia. - Will wstał. Zaczął chodzić po

408

pokoju szybko, energicznie. - Nie mogę uwierzyć, że poświęcam ci kawałek dnia. - Zaklął szpetnie. - Dobrze. Wejdz w sieć i sprawdź Panama City, Florydę, "News Herald". Sprawdź dzisiejsze nekrologi, czy masz tych ludzi na swojej pieprzonej liście.

— Na drzwiach wisi dzisiejsza gazeta. Nie byłoby łatwiej?

— Miałeś czas do niej zajrzeć.

— Uważasz, że chcę cię wkopać w tak wyrafinowany sposób?

— Może.

Mark spojrział na niego zakłopotany.

— Nie mogę wejść w sieć.

— Więc to wszystko gówno! - wrzasnął Will. - Wie działem!

— Jeśli się załoguję, namierzą mnie w pięć minut. Nie zrobię tego.

Sfrustrowany Will rozejrzał się po pokoju i w szafce z telewizorem zobaczył klawiaturę komputerową.

- A to co? - spytał.

Mark się uśmiechnął.

— Hotelowy dostęp do Internetu. Nawet tego nie zauważyłem.

— A więc możesz to zrobić?

— Jestem fachowcem od komputerów. Nie zapominaj o tym.

— Przecież mówiłeś, że bibliotekarzem.

Zignorował go. Po minucie miał już na ekranie telewizora stronę gazety.

— Miejskowa gazeta, tak? - spytał.

— Przecież wiesz.

Mark wyjął i włączył laptop. Logował się, kiedy Will dostrzegł nagle sprzeczność w jego wyjaśnieniach i natychmiast to wykorzystał.

409

— Zaraz, chwileczkę. Powiedziałeś, że w tych książkach są tylko nazwiska i daty. A teraz twierdzisz, że potrafisz je przyporządkować miastom. Jak to możliwe?

— Wynik ogromu pracy, wykonywanej przez nas w Strefie

Pięćdziesiąt Jeden. Właściwie na tym polega nasza robota. Same dane, bez korelacji geograficznej, są praktycznie nieużyteczne. Mamy dostęp praktycznie do wszystkich cyfrowych i analogowych baz danych na całym świecie, aktów urodzenia, zapisów firm telekomunikacyjnych, banków, urzędów stanu cywilnego, zatrudnienia, skarbowych, sądów, hipotek, ubezpieczeń, co tylko chcesz. Na świecie żyje sześć miliardów sześćset milionów ludzi. Mamy algorytmy identyfikacji adresów, choćby przez kraj i stan, dla dziewięćdziesięciu czterech procent z nich. Prawie sto procent dla Ameryki Północnej i Europy. - Mark spojrzał Willowi w oczy. - Mam to zaszyfrowane. Potrzeba, no wiesz, hasła, którego ci nie dam. Muszę mieć jakąś pewność, że będziesz mnie chronił.

— Przed kim?

— Przed tymi ludźmi, którzy i ciebie ścigają. Nazywamy ich strażnikami. Ochrona Strefy Pięćdziesiąt Jeden. W porządku, wszedłem. Bierz klawiaturę.

— Idź do sypialni - rozkazał mu Will. - Nie chcę, żebyś widział daty.

— Nie ufasz mi?

— Masz rację. Nie ufam.

Will spędził ładnych kilka minut, wybierając nazwiska niedawno zmarłych w Panama City. Wymieszał je z wziętym z archiwum nazwiskami zmarłych wczoraj. Ku jego zdumieniu Mark za każdym razem wykrzykiwał z drugiego pokoju prawidłowe daty. Przywołał go w końcu i poskarżył się:

- Słuchaj, to tania sztuczka, nie? A ty jesteś jak jeden z tych scenicznych cudotwórców z Vegas? Czytasz w myślach? Jak ty to robisz?

410

- Powiedziałem ci prawdę. Jeśli nadal sądzisz, że wykre

cam ci numer, musisz poczekać do jutra. Dam ci dziesięcioro ludzi z Los Angeles, którzy dzisiaj umrą. Sprawdzisz nekrologi jutro.

Mark podyktował dziesięć nazwisk, dat i adresów. Will zapisał je na kartce z hotelowego notesu i zamyślony wsunął ją do kieszeni... ale niemal natychmiast wyjął.

- Nie będę czekał do jutra! - powiedział buntowniczo.

Wyjął z kieszeni komórkę. Była wyłączona, bateria obluźowała się od uderzenia w chodnik. Poprawił ją i telefon ożył. Mark z uśmiechem obserwował, jak dzwoni do informacji po właściwe numery telefonów.

Will klął za każdym razem, kiedy zgłaszała się poczta głosowa albo nikt nie przyjmował połączenia. Do skutku doszła dopiero siódma rozmowa.

- Hal? Tu Lany Jackson. Ora LeCeille Dunn próbowała się ze mną skontaktować. - Słuchał, chodząc po pokoju szybkim krokiem. - Tak, dzwoniła do mnie w zeszłym tygodniu. Mamy wspólnego znajomego. - Zamilkł. Usiadł ciężko na kanapie. - Bardzo mi przykro. Kiedy to się stało? Dziś rano? Nagle? Doprawdy, przykro mi to słyszeć. Moje kondolencje.

Mark rozłożył ręce.

- I co, teraz mi wierzysz?

Słuchawki na głowie Frazier'a ożyły. - Malcolm, telefon Pipera zadziałał. Mamy namiar. Jest na Sunset, gdzieś przy numerze dziewięć tysięcy sześćset. Frazier pobiegł do centrum operacyjnego.

411

Will wstał, podszedł do baru, przyjrzał się butelkom, wyciągnął Johnnie Walkera z czarną nalepką. Otworzył ją, nalał sporą porcję do szklanki.

— Napijesz się? - spytał Marka.

— Trochę na to za wcześnie.

— Doprawdy? - Will wypił whisky jednym haustem,

Niemal natychmiast poczuł jej kojące działanie. - Ilu ludzi o tym wie? - spytał.

— Dokładnie nie wiem. W Nevadzie i Waszyngtonie może jakiś tysiąc?

— Kto tym rządzi? Kto jest szefem?

— Marynarka. Jestem prawie pewien, że prezydent i nie którzy członkowie gabinetu wiedzą, podobnie ludzie z Pentagonu i Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Najwyższą rangą osoba, jakiej jestem pewien, to sekretarz marynarki.

Widziałem jego podpisy na rozkazach.

— Dlaczego marynarka? - spytał zdumiony Will.

— Nie wiem. Tak to ustawiono od samego początku.

— I przez sześćdziesiąt lat nikt się o niczym nie dowiedział?

Daj spokój, rząd nie jest aż taki dobry.

— Przecieki są likwidowane - powiedział Mark z goryczą.

— Po co to wszystko? Co oni z tym robią?

— Zbieranie materiałów. Planowanie. Gospodarka środkami.

CIA i wojsko używa nas jako narzędzia od początku lat pięćdziesiątych. Skoro już jesteśmy, uważają, że powinni nas użyć. Możemy przewidywać pewne zdarzenia, choć nie jesteśmy w stanie im zapobiegać, przynajmniej tym tragicznym.

Jeśli potrafisz przewidywać ważne wydarzenia, możesz coś zaplanować, przygotować się, choćby finansowo, opracować sposób postępowania, może nawet złagodzić skutki. Strefa

Pięćdziesiąt Jeden przewidziała wojnę w Korei, chińskie czystki za czasów Mao, wojnę wietnamską, Poi Pota w Kambodży,

412

wojnę w Zatoce, głód w Afryce. Zazwyczaj udaje się nam nie przegapić wielkich

katastrof lotniczych czy klęsk żywiołowych jak powodzie albo tsunami. Jedenasty września też nam nie umknął.

Will gapił się na niego oszołomiony.

— I nic nie mogliście z tym zrobić?

— Mówiłem już, że rezultatów nie sposób zmienić. Nie wiedzieliśmy przecież, jak będą przeprowadzone ataki i kto będzie za nie odpowiedzialny, chociaż mieliśmy swoje pomysły, słuszne lub nie. Moim zdaniem dlatego potrafiliśmy przejść do ataku na Irak. Wszystko było z góry przygotowane.

— Jezu!

— Superkomputery analizują dane dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wyszukują wzory na całym świecie. - Mark pochylił się, ściszył głos. - Mogę ci powiedzieć z całą pewnością, że dziewiątego lutego dwa tysiące trzynastego w Chinach umrze dwieście tysięcy ludzi, ale nie mogę ci powiedzieć dlaczego. Nasi ludzie ciągle nad tym pracują.

A w dwa tysiące dwudziestym piątym, dokładnie dwudziestego piątego marca, w Indiach i Pakistanie umrze przeszło milion.

Oznacza to zmianę paradygmatu, ale to zbyt odległa przyszłość, by się na niej skupiać.

— Dlaczego Nevada?

— Biblioteka została tam przewieziona po tym, jak lotnictwo przetransportowało ją z Anglii do Waszyngtonu. Pod powierzchnią pustyni zbudowano schron przeciwatomowy. Przetworzenie danych po tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku na postać cyfrową zajęło dwadzieścia lat. Przed komputeryzacją książki były bezcenne, teraz mają znaczenie wyłącznie ceremonialne. Zdumiewający widok, ale Biblioteka nie służy już żadnemu celowi. Dlaczego Nevada? Bo leży na uboczu i jest łatwa do obrony. Truman postawił zasłonę dymną,



rozpuścił historię o UFO z Roswell i pozwolił ludziom wierzyć, że Strefę Pięćdziesiąt Jeden zbudowano na potrzeby badania Obcych. Istnienia ośrodka badawczego nie dało się ukryć, za dużo tu pracuje ludzi, ale ukryto jego cel. Mnóstwo durniów nadal wierzy w to kosmiczne gówno.

Will miał ogromną ochotę na kolejną szklaneczkę, ale uświadomił sobie, że whisky podziałała na niego bardziej, niżby chciał, a zalanie się, przynajmniej w tej chwili, nie wydało mu się czymś najwłaściwszym.

— A ty właściwie co tam robisz? - spytał.

— Ochraniam dane. Mamy najlepiej zabezpieczone serwery na świecie, zarówno przed włamaniem, jak i wyciekiem, nie dało się przejść przez zapory ani w jedną, ani w drugą stronę.

Do niedawna.

— Złamałeś własne zabezpieczenia!

— Tylko ja mogłem tego dokonać. - Mark był wyraźnie dumny z siebie.

— Jak?

— Najprościej w świecie. Wsadziłem sobie kartę pamięci w tyłek. Pobiłem tych skurwieli, strażników. Nie wolno dopuścić, żeby ludzie dowiedzieli się o Bibliotecę. Wyobrażasz sobie, jakby to zmieniło nasz świat? Poznanie daty śmierci sparałizowałoby ludzi. Nie tylko własnej śmierci, rodziców, dzieci czy przyjaciół też. Nasi analitycy twierdzą, że przestałoby istnieć społeczeństwo jakie znamy. Całe grupy społeczne mogłyby po prostu powiedzieć: "Pieprzyć! Po co to wszystko?". Kryminaliści popełnialiby pewnie więcej przestępstw, gdyby wiedzieli, że nie zginą. Można sobie wyobrazić sporo nieprzyjemnych scenariuszy. Bo zabawne, że znamy tylko daty urodzin i śmierci. Nie wiemy nic o tym, jak ludzie przeżyli

swe życie, nie mamy żadnych danych o jego jakości. To tylko kwestia przypuszczeń. Ekstrapolacja.

414

- Więc dlaczego zrobiłeś to, co zrobiłeś? - podniósł głos Will. - Dlaczego pocztówki?

Mark wiedział, że prędzej czy później będzie musiał odpowiedzieć na to pytanie, było to po nim widać. Dolna warga zadrżała mu jak u dziecka na chwilę przed poniesieniem zasłużonej kary.

— Chciałem... - powiedział i załamał się. Zaczął szlochać.

Był doprawdy żaloszny i Will znowu poczuł gwałtowny przyływ gniewu.

— Mów. Słucham cię.

Mark wydmuchał nos w papierową chusteczkę.

- Nie chciałem do końca życia siedzieć w laboratorium i mechanicznie odwalać stale tę samą robotę. Widuję bogatych w kasynach i pytam sam siebie: dlaczego oni? Jestem od nich milion razy mądrzejszy, czemu więc nie ja? Omijały mnie okazje, żadna z firm, dla których pracowałem po ukończeniu MIT, nie dokonała żadnego przełomu. Nie dla mnie Microsoft, nie dla mnie Google. Zarobiłem parę dolców na opcjach, ale rewolucja sieciowa mnie ominęła. A potem dodatkowo spieprzyłem sprawę, biorąc robotę dla rządu. Strefa Pięćdziesiąt Jeden jest seksy, ale kiedy kończy się fascynacja, pozostaje tylko kiepsko płatna praca w podziemnym bunkrze. Próbowiałem sprzedać scenariusze, mówiłem ci przecież, że jestem pisarzem, ale je odrzucono. Postanowiłem więc zmienić życie w ten sposób, że ujawnię trochę danych.

- Więc chodziło ci o pieniądze, tak?

Mark skinął głową, ale natychmiast dodał:

— Ale nie pieniądze dla pieniędzy, tylko dla zmian, jakie przynoszą.

— Jak zamierzałeś zarobić na Dniu Sądu?

Przed chwilą skrzywiona twarz jego dawnego kolegi rozbłysła triumfalnym uśmiechem.

415

— Ja nie zamierzałem, ja już zarobiłem! I to niemało.

— Oświeć mnie, proszę. Nie jestem taki mądry jak ty.

Mark nie rozpoznał kpiny w jego słowach. Wziął je za komplement i zaczął tłumaczyć, najpierw powoli, z wahaniem, potem coraz bardziej niecierpliwie.

- No więc tak zamierzałem to przeprowadzić i muszę powiedzieć, że w pełni mi się udało. Musiałem udowodnić, co potrafię. Udowodnić swoją wiarygodność. Tak żeby ludzie, na których mi zależało, zwrócili na mnie uwagę. Najlepszy sposób, żeby to osiągnąć, to wzbudzić zainteresowanie mediów, nie uważasz? A czym najlepiej wzbudzić ich zainteresowanie? Wszystkie warunki spełniał oczywiście Dzień Sądu. A tak przy okazji, moim zdaniem to idealna nazwa. Chciałem, żeby świat uwierzył w seryjnego zabójcę ostrzegającego swoje ofiary. Więc stworzyłem przypadkową grupę dziewięciu osób z Nowego Jorku, wybranych z bazy danych. Jasne, jasne, widzę, jak na mnie patrzysz, może i masz rację, może było to jakieś tam przestępstwo, ale jest więcej niż oczywiste, że nikogo nie zabiłem. A kiedy sprawa rozniosła się dzięki mediom, udało mi się zwrócić na siebie uwagę człowieka, do którego chciałem dotrzeć, Nelsona Eldera. - Zobaczył wyraz twarzy Willa i aż się zachłysnął. - A co, ty go znasz?

Will potrzasał głową ze zdumienia.

— Tak, znam. Słyszałem, że nie żyje.

— Zabili go - szepnął Mark i równie cicho dodał: -

Kerry też.

— Przepraszam, kogo?

— Zabili moją dziewczynę! - krzyknął i natychmiast zniżył głos. - Ona nic nie wiedziała. Nie musieli tego robić. A prze cież, rozumiesz... mogłem sprawdzić oboje. Nim o tym pomyś lałem...

416

W głowie Willa zapłonęło nagle jaskrawe światło; opóźniona reakcja.

- Jezu! Nelson Elder... ubezpieczenia na życie!

Mark skinął głową.

— Poznałem go w kasynie. Fajny facet. Potem dogrzebałem się danych jego firmy. Miał kłopoty. Jak można najskuteczniej pomóc firmie ubezpieczeń na życie? Informując ją, kiedy umrze ubezpieczony, prawda? To był mój wielki pomysł. Od razu to zrozumiałem.

— Ile?

— Ile dostałem?

— Tak. Ile dostałeś.

— Pięć milionów dolarów.

— Sprzedałeś im za nędzne pięć milionów kure znoszącą złote jajka?

— Nie! Załatwialiśmy to bardzo dyskretnie. On podawał nazwiska, ja doбираłem do nich daty. Nic więcej. Dobry układ dla wszystkich zainteresowanych. Zachowałem bazę danych. Nie ma jej nikt oprócz mnie.

— Całą?

— Tylko Stany Zjednoczone. Desert Life nie działa za granicą, a cała baza jest za wielka, żeby można ją było ukraść.

Willowi kręciło się w głowie, zarówno od nadmiaru informacji, jak i szalejących w nim emocji.

- Jest jeszcze coś, prawda? Jeszcze taki drobny, nieważny szczegółik.

Mark nie odpowiedział, tylko wyłamywał sobie palce.

- Chciałeś się do mnie dobrać, prawda? - mówił dalej

Will. - Wybrałeś Nowy Jork, bo wiedziałeś, że to mój teren.

Zależało ci na tym, żebym to ja wpadł w to gówno. Prawda?

Mark zwiesił głowę jak złapane na gorącym uczynku dziecko.

- Byłem zazdrosny - wyszeptał. - Kiedy mieszkaliśmy

417

razem, zawsze byłem o ciebie zazdrosny. Bo wiesz, nie znałem nikogo takiego jak ty.

Wszystko ci się zawsze udawało. A mnie... - Umilkł, a po chwili dodał jeszcze: -

Kiedy cię znowu zobaczyłem... to otworzyło stare ramy.

- Byliśmy wtedy na pierwszym roku, Mark. Spędziliśmy

razem dziewięć miesięcy. Jako gówniarze.

Shackleton przyznał mu rację w jakiś żalosny sposób, nadal walcząc z emocjami.

- Miałem nadzieję, że po tym pierwszym roku będziesz

chciał mieszkać ze mną. A ty im pomogłeś. Pomogłeś im

przykleić mnie taśmą do łóżka!

Will dostał gęziej skórki. Co za żalosny dupek! W tym, co robił i co zamierzał jeszcze zrobić, nie było odrobiny godności. Na zmianę to nienawidził sam siebie, to uważał się nad sobą, dziecinne reakcje, niedbale zamaskowane wysokim ilorazem inteligencji. W porządku, dla szczyła to mogło być traumatyczne przeżycie, w porządku, on sam czuł się winny z powodu tego, co zrobił, ale na litość boską, w gruncie rzeczy był to tylko niewinny studencki żart! Facet, który zaszył się w tym hotelowym apartamencie, był równie obrzydliwy jak groźny. Musiał walczyć z

niemal nieodpartym pragnieniem zdzielenia go w tę wystającą, kruchą szczękę. Za jednym zamachem ta pożałowania godna namiastka człowieka i jemu odmieniła życie. Przecież nie chciał mieć z tym nic wspólnego, tylko w spokoju doczekać emerytury! Oczywiście było jednak, że kiedy człowiek dowie się już o Bibliotece, nic nie jest takie jak poprzednio. Teraz musiał sobie wszystko przemyśleć, ale żeby wszystko przemyśleć, trzeba przeżyć.

Chwycił byka za rogi.

- Powiedz mi Mark, czy mnie sprawdziłeś? Czy dziś mnie sprzątną?

418

Czekając na odpowiedź myślał: Jeśli powie, że tak, gównu mnie to obchodzi? Po cholere mam w ogóle żyć? Tylko spieprzę życie Nancy, tak jak spieprzyłem życie wszystkim innym. No już, gadaj.

— Nie. I mnie też nie. Obaj jesteśmy PHZ.

— A to co znaczy?

— Poza horyzontem zdarzeń. Księgi kończą się na dwa tysiące dwudziestym siódmym roku. Spodziewany czas życia Strefy Pięćdziesiąt Jeden to osiemdziesiąt lat.

— Dlaczego się kończą?

— Nie wiemy. Są dowody na to, że w opactwie wybuchł pożar.

Kłeska naturalna? Jakies wydarzenia polityczne czy religijne? Nie ma sposobu, żeby się tego dowiedzieć. Zostaje sam fakt.

— Więc będę żył dłużej niż do dwa tysiące dwudziestego siódmego roku - rzekł Will z namysłem.

— Ja też - przypomniał mu Mark. - Czy mogę teraz o coś spytać ciebie?

— Jasne.

— Wykombinowałeś, że to ja? Czy dlatego teraz i na ciebie polują?

— Wykombinowałem. Przygwoździłem cię, przyjacielu.

— Jak? - Will dopiero teraz zorientował się, jakie to dla Shackletona ważne. - Jestem pewien, że nie zostawiłem żadnych śladów.

— Znalazłem twój scenariusz w bazie danych WGA. Pierwszy szkic: bohaterowie noszą zwykłe, nieinteresujące nazwiska. Drugi szkic i nagle ich nazwiska robią się interesujące. Musiałeś komuś powiedzieć, nie? Nawet jeśli był to tylko taki prywatny żart?

— Jak wpadłeś na ten pomysł? - spytał Mark zdumiony.

— Font na pocztówkach. Mało używany... chyba że się pisze scenariusze.

419

— Nie miałem pojęcia!

— O czym?

— Że jesteś taki cwany.

Frazier siedział przy swym terminalu, zmuszając się do optymizmu. Znów mieli na ekranach sygnał telefonu Willa, jego ludzie byli w pobliżu, no i przypomniał sobie, że żaden z nich dziś nie umrze. Shackleton i Piper też nie. A to mogło oznaczać jedno: operacja zostanie przeprowadzona gładko i obu będzie można spokojnie przesłuchać. Co ich czeka potem, to już nie jego sprawa. Byli PHZ, można więc było założyć, że zostaną jakoś zneutralizowani. Zresztą wcale go to nie obchodziło. Jego optymizmem wstrząsnął DeCorso.

— Malcolm, więc sprawa wygląda tak - rozległ się w słuchawkach jego głos - że to hotel Beverly Hills. Kilkaset pokoi na prawie pięciu hektarach. Sygnał, który mamy, lokalizuje go z tolerancją ponad trzystu metrów. Za mało nas, żeby odizolować go i przeszukać teren.

— No nie, kurwa - powiedział do mikrofonu. - Nie

można jakoś wzmocnić sygnału?

Odpowiedział mu jeden z techników centrum operacyjnego, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Zadzwoń do niego. Jeśli odbierze, zlokalizujemy go z dokładnością do piętnastu metrów. Triangulacja.

Frazier skrzywił wargi w uśmiechu kota z Cheshire.

- Cholerna gwiazda. Masz u mnie skrzynkę piwa.

Sięgnął po telefon, wybrał numer zewnętrznej linii.

Odezwała się komórka Willa. Przede wszystkim pomyślał o Nancy, bardzo pragnął usłyszeć jej głos, nawet więc nie

420

spojrzał na wyświetlacz podający informację "ROZMOWA ZAMIEJSCOWA".

— Halo? - Nikt się nie odezwał. - Nancy? - Nadal nic.

Przerwał połączenie.

— Kto dzwonił? - spytał Mark.

— To mi się nie podoba. - Spojrzał na telefon, skrzywił się i wyłączył go. - Moim zdaniem powinniśmy się stąd wynieść. Pakuj rzeczy.

— Ale dokąd? - Mark wyglądał na przestraszonego.

— Jeszcze nie wiem, ale z pewnością gdzieś poza Los Angeles. Wiedzą, że tu jestem, więc również wiedzą, że ty tu jesteś. Pojedziemy taksówką po mój samochód i ruszemy w drogę. Jest nas dwóch sprytnych facetów, z pewnością coś wymyślimy.

Mark pochylił się, zaczął pakować laptopa. Will stanął nad nim.

— Co...?

— Biorę twoją teczkę.

— Dlaczego?



Obrzucił go spojrzeniem mającym dowodzić przewagi siły nad inteligencją.

— Bo ja tak chcę. I nie mam zamiaru prosić dwa razy.

Podaj hasło.

— Nie. Zostawisz mnie.

— Tego nie zrobię.

— Skąd mam wiedzieć?

Blady, chudy Shackleton wyglądał tak żałośnie, bezradny i przerażony, że Will po raz pierwszy się nad nim zlitował.

— Bo dam ci słowo. Słuchaj, jeśli podasz mi hasło, będę mógł przynajmniej spróbować tego jako argumentu, żeby cię wyciągnąć, gdyby nas rozdzielili. To właściwy ruch.

— Pitagoras.

421

— Powtórz, dobrze?

— Grecki matematyk. Pitagoras.

— Czy to ma jakieś znaczenie?

Nim Mark zdobył się na odpowiedź Will usłyszał szuranie na patiu. Chwycił pistolet. Drzwi frontowe i tylne, od strony patia, wyleciały z zawiasów jednocześnie i nagle bungalow Marka był pełen ludzi.

Dla tych, którzy w niej uczestniczyli, walka z bezpośredniej odległości wydawała się trwać wiecznie, ale obserwator z zewnątrz, taki jak Frazier, który słyszał jej odgłosy, wiedział, że wszystko razem trwało zaledwie dziesięć sekund.

DeCorso zobaczył, że przeciwnik jest uzbrojony i zaczął strzelać. Pierwsza kula świsnęła Willowi koło ucha. Will rzucił się na pomarańczowy dywan i odpowiedział ogniem. Mierzył w piersi i brzuchy, tam gdzie cel jest największy. Ściągał spust jak najszybciej. Do tej pory służbowo, w chwili zagrożenia, użył broni tylko raz, na Florydzie, podczas próby zatrzymania samochodu, w drugim roku pracy jako zastępca szeryfa. Były dwie ofiary. Łatwiej trafić człowieka niż czarną wiewiórkę. DeCorso padł pierwszy, co momentalnie wywołało dezorientację wśród jego ludzi.

Broń strażników miała nakręcone na lufy tłumiki, nie hałasowały, tylko kule stukały, głucho uderzając w drewno, meble i ludzkie ciało. W przeciwieństwie do nich pistolet Willa wydawał głośny huk za każdym ściągnięciem spustu, a za każdym kolejnym strzałem Frazier krzywił się przeraźliwie. Było ich osiemnaście, po czym zapadła cisza.

Bungalow wypełnił żrący niebieskawy dym i ostry zapach prochu. Will słyszał słaby, piskliwy wrzask dobywający się ze słuchawek leżących na podłodze w pewnej odległości od ciała jego właściciela.

422

Dosłownie wszędzie pastelowe kolory, jakimi dekorator przyozdobił bungalow, zmieszały się z czerwienią krwi. Czterej intruzi leżeli na podłodze; dwóch jęczało, dwóch już nie. Will przyklęknął, zachwiał się i stanął na miękkich nogach. Nie czuł nic, żadnego bólu, ale słyszał, że szok potrafi zamaskować skutki nawet poważnej rany. Sprawdził, ale nie zobaczył na sobie ani kropli krwi. Potem dostrzegł stopy Marka wystające zza kanapy. Podeszedł chwiejnie, żeby mu pomóc.

Chryste - jęknął w duchu na widok jego twarzy. W czole Shackletona ziała dziura wielkości korka do wina, z dziury wyciekała krew i mózg, a z ust sączyła się wydzielina.

Rzeczywiście, znajdował się PHZ.

Will pomyślał, że ten biedny sukinsyn mógł żyć jak dotąd jeszcze co najmniej przez osiemnaście lat, zadrzał, chwycił jego teczkę i znikł za drzwiami.

1 sierpnia 2009 Los Angeles

Will próbował być niewidzialny. Ludzie mijali go, biegnąc w stronę bungalowu.

Dwaj hotelowi ochroniarze w niebieskich sportowych marynarkach, pędząc na miejsce, praktycznie zepchnęli go ze ścieżki. Szedł w przeciwnym kierunku powoli, równym krokiem przez hotelowy ogród; mężczyzna z teczką, w garniturze, trzęsący się jak galareta.

W momencie, gdy zamykały się za nim drzwi głównego wejścia do hotelu w

bungalowie rozległy się stłumione odległością krzyki. Lada chwila miało rozpętać się piekło. Słyszał już wycie syren; pomyślał, że policja potrafi reagować szybko, kiedy dostaje wezwanie do tak eleganckiego miejsca. Musiał podjąć decyzję, i to szybko. Mógł albo próbować dotrzeć do samochodu, albo nie robić nic, ukryć się na widoku. Ta taktyka przysłużyła mu się w salonie piękności, postanowił więc znów jej spróbować, a poza tym był zbyt wstrząśnięty, by robić coś innego. Przy recepcji panowało nieopisane zamieszanie. Goście informowali o strzałach, wprowadzono procedury bezpieczeń-

424

stwa. Bez problemu ominął szarpanych na wszystkie strony pracowników, skręcił do wind, wskoczył do jednej, której drzwi właśnie się zamykały, i wcisnął guzik trzeciego piętra.

Korytarz na trzecim piętrze był pusty, tylko przy drzwiach pokoju, znajdującego się mniej więcej w jego połowie, stał wózek sprzątaczkowy. Zajrzał przez półotwarte drzwi numeru 315. Sprzątaczkowa czyściła podłogę odkurzaczem.

- Dzień dobry - powiedział tak bez troski, jak tylko potrafił.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego.

- Dzień dobry panu. Zaraz kończę.

Na podłodze stała torba, przez uchylone drzwi szaty widać było męskie ubrania.

— Wróciłem wcześniej ze spotkania - wyjaśnił Will. -

Muszę zadzwonić.

— Nic nie szkodzi, proszę pana. Proszę mnie wezwać, kiedy będzie to panu odpowiadało.

Został sam. Przez wychodzące na ogród okno widział policję i sanitariuszy. Opadł na jedno z krzeseł stojących przy stole, przyklnął oczy. Nie wiedział, ile ma czasu... musiał myśleć!

Był na łodzi rybackiej, z ojcem, Philipem Westonem Piperem, właśnie zarzucającym wędkę. Zawsze uważał, że to wspaniałe imię nie pasuje do faceta o szorstkich rękach

i spalonej przez słońce twarzy, zarabiającego na życie aresztowaniem pijaków i wypisywaniem mandatów za przekroczenie dozwolonej prędkości. W gimnazjum w Pensacoli dziadek prowadził lekcje nauki o społeczeństwie, pokładał wielkie nadzieje w nowo narodzonym synu i sądził, że wyszukane imię da mu przewagę w rzeczywistym świecie. Okazało się, że żegnajcie, marzenia. Ojciec wyrósł na stuprocentowego hulakę, pijaka przebijającego się przez życie z butelką w dłoni i żalosego małżeńskiego tyrana, znęcającego się nad matką bez przerwy i z upodobaniem.

425

Ojcem był jednak mniej więcej w porządku i choć przeważnie milczał jak zakłęty, Will wyczuwał, że bardzo się stara być kimś dla syna. Być może lepiej by się między nimi układało, gdyby z góry wiedział, że stary umrze, kiedy on będzie kończył studia. Być może wówczas uczyniłby pierwszy krok, zachęcił go do wyznań, dowiedział się, co sądzi o życiu, rodzinie, synu. Niestety, rozmowa ta pogrzebana została wraz z Philipem Westonem Piperem. Musiał jakoś sobie radzić bez niej.

Will nigdy nie był dobrego zdania o religii czy filozofii. Można powiedzieć, że w ostatecznym rozrachunku jego biznesem była śmierć, do morderstw i prowadzonych śledztw podchodził w sposób rzeczowy. Niektórzy ludzie żyli, a inni umierali, bo znaleźli się w złym miejscu w złej chwili. Wszystkim rządził straszny przypadek. Matka była religijna. Kiedy ją odwiedzał, posłusznie towarzyszył jej do Pierwszego Kościoła Baptystów w Panama City. Gdy zabrał ją rak, kongregacja pograżyła się w szczerzej żałobie. Sporo dowiedział się od niej o woli bożej i boskich planach. W szkole czytał o kalwinizmie i teorii predestynacji. Uważał to za bełkot. Światem rządziły chaos i przypadek. Nie było żadnego Ostatecznego Planu.

Najwyraźniej się mylił.

Otworzył oczy, spojrzął przez ramię. W ogrodzie zgromadziły się chyba wszystkie siły policyjne Beverly Hills. Przybywało karettek i sanitariuszy. Will otworzył laptopa i zobaczył, że jest w stanie wstrzymania. Obudził go, pojawiło się okno bazy danych Shackletona, wyświetlając żądanie hasła. Dopiero za trzecim razem wpisał poprawnie

imię Pitagorasa. To tyle, jeśli chodzi o wysoki poziom kształcenia na Harvardzie. Pojawiło się okno wyszukiwania: podaj imię, podaj DU, podaj DS, podaj miasto, podaj kod pocztowy, podaj adres. Wszystko bardzo przyjazne dla użytkownika.

Wpisał swoje

426

nazwisko i datę urodzenia, komputer wyświetlił PHZ. No i fajnie, pomyślał, wszystko się zgadza. Mam nadzieję, że nie jestem PHZ na sposób Marka. Przede mną jeszcze co najmniej osiemnaście lat, czyli reszta życia.

Sprawdzanie kolejnych ludzi nie miało już być aż takie łatwe. Zawahał się, rozważał nawet możliwość wyłączenia komputera bez sprawdzania, ale w ogrodzie odezwały się kolejne syreny i kolejne okrzyki. Odetchnął głęboko. Wpisał Laura Jean Piper, 07.08.1984. Wcisnął enter.

PHZ

Wypuścił powietrze z płuc. "Dzięki Bogu" - powiedział w myślach.

I znów wziął głęboki oddech. Nancy Lipinski, White Plains, NJ. Enter.

PHZ

Jeszcze raz. Plan już mu się prawie wyklarował. Jim Zeckendorf, Weston, Massachusetts.

PHZ

To wszystko, co chcę wiedzieć, co muszę wiedzieć - pomyślał. Drżał na całym ciele.

Kiedy tak siedział i myślał, doszedł do wniosku, że logika nakazuje mu jedno: jeśli on, jego córka i Nancy mają przeżyć, mimo że strażnikom rozkazano zabijać w obronie tajemnicy Strefy 51, musi zrobić wszystko, by ocalić ich od śmierci.

Szaleństwo! - pomyślał. Wolną wolę można równie dobrze wyrzucić za okno, losem nas wszystkich kieruje wszechmocne

427

przeznaczenie, a ja nie jestem panem swego losu, kapitanem własnej duszy.

Płakał. Po raz pierwszy od dnia śmierci ojca.

Podczas gdy rannych transportowano do karet, Will siedział przy biurku w pokoju 315, wykorzystując hotelową papeterię do napisania listu. Skończył i jeszcze raz przeczytał go uważnie. Przed wysłaniem będzie musiał jeszcze coś dopisać.

Piękno sobotniego popołudnia w Beverly Hills szpecił hałas i smród ropy z dziesiątek samochodów służb ratowniczych i mediów, skutecznie zadymiających Sunset Boulevard. Przeszedł między nimi z opuszczoną głową, zatrzymał taksówkę.

— Co to za piekło się tam rozpętało? - spytał taksjarsz.

— Niech mnie diabli, jeśli wiem - odparł Will.

— Dokąd jedziemy?

— Najpierw do byle jakiego sklepu komputerowego, potem do biblioteki miejskiej, a potem na pocztę. W tej kolejności.

A to ekstra. - Will rzucił kierowcy na kolana studolarowy banknot.

— Co tylko pan sobie życzy!

W Radio Shack Will kupił kartę pamięci. W taksówce szybko skopiował na nią bazę danych Shackletona, po czym schował ją w kieszeni na piersi.

Kazał taksówkarzowi czekać pod gmachem biblioteki, białym pałacem w stylu art deco, stojącym niedaleko Pershing Square, w centrum Los Angeles. Po krótkim przystanku przy stanowisku informacji wszedł głęboko pomiędzy regały. Tu, w surowym

428

świetle jarzeniówek, w piwnicy, do której nie zaglądał niemal nikt, z wdzięcznością pomyślał o zwariowanym Donnym i złożył mu ciche podziękowanie za wskazanie idealnej kryjówki.

Cały regał poświęcony był grubym, pachnącym stęchlizną, liczącym dziesięciolecia spisom praw okręgu Los Angeles. Upewniwszy się, że w pobliżu nie ma nikogo, Will wspął się na palce i z najwyższej półki zjął tom z 1947 roku, masywną księgę, poważnie ciężącą mu w dłoni.

1947. Odrobina ironii rozjaśniająca smutny skądinąd dzień. Tom pachniał starością,

zapewne rzadko z niego korzystano i bez wątpienia bardzo długo nikt po niego nie sięgnie. Rozchylił okładki. Grzbiet wygiął się, tworząc coś w rodzaju kieszeni mającej ze dwa centymetry głębokości. Wsunął do niej kartę pamięci. Zamknął księgę, grzbiet napiął się, zatrzeszczał, ale okładki przylgnęły do kartek i nic nie zdradzało, że coś tu zostało ukryte.

Kolejny przystanek był krótki: najbliższa poczta, kupić znaczek, dokończyć list, wrzucić go do skrzynki na przesyłki priorytetowe. List do Jima Zeckendorfa wysłany został na adres jego bostońskiej firmy prawniczej. W kopercie była też druga koperta, sam list był następującej treści:

im

że

chce w coś

6/'eru/sza>

się z tobą. osobiście a  
m es apa, niezależnie od prosze-, otwórz

tfe

Już w taksówce Will powiedział do kierowcy: - No, to już ostatni przystanek.

Wysadź mnie przed Grau-man's Chinese Theater.

429

— Nie wydajesz się typem turysty, człowieku - zdziwił

się taksówkarz.

— Lubię tłok.

Na hollywoodzkim chodniku pełno było turystów... i oszustów. Will stał na kwadracie cementu z napisem: "SIDOWI SZCZĘŚCIA NA SZLAKACH ŻYCZA ROY RODGERS ITRIGGER" i odciskami rąk, stóp i podkowy. Wyjął z kieszeni telefon, włączył go.

Nancy odezwała się natychmiast, jakby ścisnęła komórkę w rękę i tylko czekała, aż się odezwie.

— Jezu, Will, nic ci się nie stało?

— Miałem straszny dzień. Co u ciebie?

— Jestem chora ze zdenerwowania. Znalazłeś go?

— Znalazłem, ale nie mogę rozmawiać. Monitorują nas.

— Jesteś bezpieczny?

— Jestem kryty. Nic mi nie będzie.

— Co mogę dla ciebie zrobić?

— Czekaj na mnie i powiedz mi jeszcze raz, że mnie kochasz.

— Kocham cię.

Na tym skończyli rozmowę. Will dostał kolejny numer z informacji. Cierpliwie, wytrwale i bezczelnie dobił się bardzo wysoko, zaledwie o krok od celu. Nie pozwolił rozmówcy zmanifestować powagi jego urzędu, przerwał mu w pół słowa.

- Tak, właśnie słyszy pan agenta specjalnego Pipera z FBI.

Niech pan powie sekretarzowi marynarki, z kim pan w tej chwili rozmawia. I niech pan mu powie, że sporą część dzisiejszego dnia spędziłem w towarzystwie Marka Shackletona. Może być pewien, że wiem wszystko o Strefie Pięćdziesiąt Jeden.

Ma minutę na przyjęcie tej rozmowy.

8 stycznia 1297 Wyspa Wight, Brytania

Baldwin, opat Vectis, klęczał przed najświętszym z grobów opactwa, pogrążony w



niespokojnej modlitwie. Pomiedzy kolumnami oddzielajacymi nawę glówną od bocznej w podłogę wmurowano płytę z wyrytą na niej inskrypcją. Gładkie białe kamienne bloki były nieznośnie zimne i Baldwin powoli tracił czucie w kolanach, choć okrywał je gruby habit. Mimo to nie wstawał z klęczek, skupiony na żalosej, błagalnej modlitwie nad ciałem świętego Josephusa, patrona opactwa Vectis. Grób Josephusa był ulubionym miejscem modlitw i medytacji we wnętrzu katedry Vectis, wspaniałej budowli o strzelistych wieżach, stojącej na miejscu starego kościoła opactwa. Przykrywał go blok błękitnego piaskowca z wyrytym prostym epitafium: "Święty Jospheus, Anno Domini 800".

W ciągu pięciuset lat, jakie minęły od śmierci świętego, opactwo przeszło głębokie zmiany. Zajmowany przez nie teren powiększył się znacznie, w jego obszar włączono okoliczne pola i łąki. Otaczał go kamienny mur ze strzegącą wstępu broną, stanowiący ochronę przed francuskimi piratami, oka-

431

zjonalnie pustoszącymi wyspę i wybrzeże Wessex. Katedra, jedna z najpiękniejszych w Brytanii, wznosiła się strzeliście aż ku niebu. Oprócz niej w obrębie murów znajdowało się przeszło trzydzieści dużych kamiennych budynków, połączonych ze sobą krytymi łącznikami i wewnętrznymi korytarzami: dormitoria, kapitułarz, kuchnie, refektarze, piwnice, spiżarnie, infirmeria, hospicjum, scriptorium, sale, w której ogrzewano się w chłodne dni, browar, dom opata, stajnie. Krużganki, dziedzińce i ogrody warzywne były duże i doskonałe w proporcjach. W obrębie murów ulokowano także obszerny cmentarz. Odległy kraniec klasztornych gruntów zajmowało gospodarstwo z młynem oraz chlewem. Na rzecz opactwa pracowało niemal sześćset osób i pod każdym względem było to drugie co do wielkości miasto wyspy, stanowiące świetlany przykład prosperującego chrześcijaństwa i skutecznie rywalizujące z West-minsterem, Canterbury i Salisbury.

Rosła także populacja wyspy oraz jej zamożność. Po podboju Brytanii przez Williama księcia Normandii i bitwie pod Hastings w 1066 roku dostała się ona pod kontrolę Normanów, zrywając więzy łączące ją z pogańskimi Skandynawami.

Archaiczna rzymska nazwa, Vectis, uległa zapomnieniu, zastąpiła ją nowa, normańska - wyspa Wight. William podarował ją swemu przyjacielowi, Williamowi fitzOsbernowi, który tym samym stał się pierwszym lordem wyspy Wight. Pod protektoratem Williama Zdobywcy i następujących po nim władców Brytanii wyspa stała się bogatym, doskonale ufortyfikowanym bastionem, chroniącym przed najazdami Francuzów. Panujący w stojącym pośrodku niej zamku Carisbrooke lordowie wyspy Wight nie tylko sprawowali feudalne rządy, lecz także stworzyli duchowy sojusz z mnichami opactwa Vectis, swymi naturalnymi sojusznikami. Ostatni władca wyspy Wight był nie jej panem, lecz panią.

432

Księżniczka Isabella de Fortibus przejęła rządy w 1262 roku, po śmierci brata. Będąc jej własnością posiadłości ziemskie oraz należne podatki morskie uczyniły tę zgorzkniałą, brzydką kobietę najbogatszą w Brytanii. Samotność, bogactwo i religijność sprawiły, że Edgar, poprzedni opat, a teraz także Baldwin, udawali obłudnie, że ją adorują, upewniali, że polecają swą panią w modlitwach, i obdarowywali iluminowanymi manuskryptami. W zamian Isabella przekazywała opactwu hojne dary, stała się wręcz jego pierwszą patronką.

W 1293 roku Baldwin wezwany został do jej śmiertelnego łoża w Carisbrooke. Tam, w swej przewiewanej przeciągami sypialni, umierająca poinformowała go słabym głosem, że sprzedała wyspę królowi Edwardowi za sześć tysięcy marek, w ten sposób przekazując władzę nad nią Koronie. Dodała też lekceważąco, że protekcji musi zacząć szukać gdzie indziej. Po czym wyzionęła ducha, żegnana jego niechętnym błogosławieństwem.

Cztery lata, które minęły od dnia jej śmierci, były dla Baldwina prawdziwym wyzwaniem. Dziesięciolecie zależności od Isabelli de Fortibus i jej hojności sprawiły, że opactwo nie było gotowe do podjęcia wyzwań, które przyniesie przyszłość. Populacja Vectis wzrosła w stopniu, który uczynił samowystarczalność fikcją, potrzebny był stały dopływ funduszy z zewnątrz. Zmuszało to Baldwina do częstych wypraw na stały ląd, czyniło z niego żebraka na dworach hrabiów i

bogaty panów, biskupów i kardynałów. A nie był on typem polityka jak jego poprzednik Edgar, człowiek przyciągający do siebie innych ludzi, lubiany przez duchownych, dzieci, a nawet psy. Baldwin był przy nim niczym zimna śliska ryba: doskonały administrator z zamiłowaniem do ksiąg rachunkowych równie wielkim, jak miłość do Boga, a odwrotnie proporcjonalnym do miłości bliźniego. Jego pomysłem na szczęście było spokojne

433

popołudnie spędzane samotnie we własnym pokoju nad którąś z wielu ksiąg. Jednakże ostatnio szczęście i spokój stały się pojęciami czysto abstrakcyjnymi. Zbliżały się kłopoty.

Kłopoty zrodzone głęboko pod ziemią.

Baldwin odmówił ostatnią, specjalną modlitwę do świętego Josephusa, wstał i udał się na poszukiwanie przeora. Musiał z nim koniecznie porozmawiać.

Lukę, syn Archibalda, szewca z Londynu, był najmłodszym mnichem w Vectis. Ten rosły dwudziestjednolatek posturą przypominał żołnierza raczej niż sługę bożego. Jego ojciec ze zdumieniem i żalem przyjął do wiadomości fakt, że woli religię od ceglanego pieca, nie zdołał jednak powstrzymać stanowczego chłopca, tak jak nikt nie powstrzyma chleba przed wyrośnięciem. Młody Lukę już jako dziecko dostał się pod wpływ łagodnego proboszcza ich parafii i od tej pory chciał tylko życie poświęcić Chrystusowi.

Ze szczególną siłą przemawiało do niego całkowite oddanie Panu w życiu zakonnym. Od dziecka słuchał księży opowiadających o wspaniałości i pięknie odciętego od świata opactwa Vectis. Gdy miał siedemnaście lat, ruszył na południe, ku wyspie Wight. Ostatnimi miedziami zapłacił za prom. Stojąc na pokładzie, chłonał wzrokiem wyniosłe, wgłębione zbocza nadmorskich klifów, wpadł w zdumienie i zachwyty na widok wyniosłej, smukłej wznoszącej się na horyzoncie katedralnej wieży, będącej dla niego palcem wskazującym niebo. Modlił się ze wszystkich sił, by była to, przynajmniej dla niego, podróż bez powrotu.

Po długim marszu przez dostatni kraj stanął wreszcie przed spuszczoną broną i z

pokorą poprosił o pozwolenie na wejście

434

do środka. Przeor Felix, krzepki Bretończyk, tak ciemny jak Lukę był jasny, rozpoznał jego szczerłość i kazał podnieść bronę.

Po czterech latach ciężkiej pracy jako oblat, a potem świecki braciszek Lukę został wreszcie poświęcony i od tej chwili każdego dnia radowało się jego serce.

Nieschodzący z jego ust szeroki uśmiech zarażał radością braci i siostry, a niektórzy nawet na jego widok zbaczali z drogi, by przejść blisko niego i choć na chwilę spojrzeć w tę słodką twarz.

Po zaledwie kilku dniach pobytu w opactwie Lukę już usłyszał od dłuższej służących nowicjuszy plotki o tajemniczych kryptach. Plotki te głosiły, że pod opactwem istniało drugie, podziemne opactwo, że zamieszkiwały je dziwne istoty, zajęte dziwnymi dziełami, odprawiające perwersyjne rytuały. Że w Vectis istnieje tajemnicze stowarzyszenie, Zakon Imion. Uznał to za bzdury, wziął za inicjację, podczas której straszy się "nowego" niesamowitymi historiami. Nie zamierzał się tym przejmować, tylko skoncentrować na obowiązkach i wykształceniu, i nie dać się wciągnąć w krąg takich bzdur.

Nie dało się jednak ukryć, że kompleks zabudowań był niedostępny dla niego i jego kolegów. W dalekim kącie opactwa, za cmentarzem zakonnym, znajdował się prosty, pozbawiony ozdób drewniany budynek wielkości małej kaplicy. Przylegał do dłuższego, niskiego, nazywanego przez niektórych zewnętrzną kuchnią.

Powodowany ciekawością Lukę od czasu do czasu podchodził wystarczająco blisko, by popatrzeć, co się tam właściwie dzieje. Widział dostawy ziarna, warzyw, mięsa i mleka. Widział grupki braci, zawsze tych samych, swobodnie wchodzących do budynku przypominającego kaplicę i z niego wychodzących; i więcej niż raz wprowadzano do środka młode kobiety.

Lukę był młody, niedoświadczony, w pełni pogodzony z faktem, że są na świecie rzeczy, których nie musi, a nawet nie

435

powinien rozumieć. Nie miał zamiaru dopuścić, by coś odwróciło jego uwagę od Boga, którego bliskość czuł coraz wyraźniej z każdym dniem spędzonym za murami opactwa.

Idealnie harmonijne, doskonale zrównoważone życie Luke'a dobiegło końca pewnego dnia pod koniec października. Ranek tego dnia był niezwykle ciepły i słoneczny, lecz wkrótce nad wyspę dotarła burza, zrobiło się chłodno i zaczął padać deszcz. Luke wybrał się na spacer i szedł pogrążony w myślach, z których wytrącił go gwałtowny podmuch wiatru. Schronił się pod murem i znalazł się przy tylnej ścianie dormitorium sióstr w chwili, gdy wybiegły zdjąć suszące się pranie.

Kolejny, silniejszy podmuch zerwał dziecięcą koszulkę z konopnego sznurka, bawił się nią przez chwilę, a potem pozwolił jej opaść na ziemię blisko niego. Zaczął biec i jednocześnie dostrzegł, że od grupy sióstr odrywa się dziewczyna, że też biegnie po koszulkę, a spod welonu spływają jej włosy koloru miodu.

Nie jest siostrą, pomyślał, siostry są krótko ostrzyżone. Dziewczyna była smukła, poruszała się z wdziękiem sarny i, jak sarna płochliwa, zatrzymała się gwałtownie, widząc, że może dojść między nimi do kontaktu. Pozwoliła, by to on podniósł koszulkę. Pomachał nią w deszczu, uśmiechnięty szeroko jak zawsze.

- Mam ją! - krzyknął wesoło.

Nigdy nie widział tak pięknej twarzy: doskonały podbródek, wysokie kości policzkowe, zielononiebieskie oczy, wilgotne usta, skóra lśniąca jak perła, którą widział kiedyś na dłoni bogatej damy w Londynie.

Elisabeth miała nie więcej niż szesnaście lat, była ideałem młodości i czystości.

Pochodziła z Newport. Kiedy miała

436

dziewięć lat, ojciec oddał ją na służbę w domu hrabiny Isabelli z Carisbrooke.

Isabella z kolei dwa lata później przekazała ją opactwu Vectis jako dar. Siostra Sabeline osobiście wybrała ją spośród grupki przestawionych jej dziewcząt. Ujęła ją pod brodę i uznała, że właśnie ona będzie odpowiadała klasztorowi.

— Dziękuję - powiedziała do podchodzącego Luke'a, a jej głos wydał mu się dźwiękiem dzwonka, lekkim, wysokim.

— Przykro mi, że się zamoczyła.

Lukę podał jej koszulkę i choć ich dłonie się nie zetknęły, poczuł, jak przeskakuje między nimi iskra. Upewnił się, że nikt na nich nie patrzył i spytał: "Jak ci na imię?".

— Elisabeth - powiedziała cicho.

— Ja jestem brat Lukę.

— Wiem. Widziałam cię.

— Naprawdę?

Dziewczyna opuściła głowę.

— Muszę wracać - oznajmiła i odbiegła.

Odprowadził wzrokiem jej wdzięczną postać i od tej pory dziewczyna zaczęła konkurować w jego myślach z Jezusem Chrystusem, Panem i Zbawcą. Ilekroć wybrał się na spacer dla zdrowia, szedł w stronę dormitorium siostr, a ona pojawiała się zawsze, jakby przypadkiem, choćby tylko po to, by przeprać coś na kamieniu lub opróżnić wiadro. Kiedy ją widział, uśmiechał się szerzej, a Elisabeth kiwała głową i byłby przysiągł, że na jej ustach też pojawiał się prawie niewidoczny uśmiech. Nigdy nie rozmawiali, ale ich spotkania nie stawały się przez to mniej przyjemne i natychmiast po skończeniu jednego zaczynał myśleć o następnym.

Często chodziło mu po głowie, że zachowuje się niewłaściwie i ma nieczyste myśli, ale nigdy jeszcze nie czuł czegoś podobnego. Nie potrafił zapomnieć o Elisabeth.

Powtarzał akt skruchy raz za razem, lecz ciągle miał ochotę przesunąć palcami po

437

jej aksamitnej skórze, nasilającą się nocą, gdy leżał na pryczy, walcząc z rosnącym bólem podbrzusza.

Lukę zaczynał sam się nienawidzić i ta nienawiść starła uśmiech z jego twarzy. Jego dusza cierpiała, stał się kolejnym posepnym mnichem snującym się po klasztorze.

Wiedział, na co zasługuje. Na karę, jeśli nie na tym świecie, to na tamtym.

Opat Baldwin kończył właśnie modlitwy w kaplicy Jose-phusa, gdy Lukę szedł obok dormitorium sióstr, marząc

o tym, by zobaczyć Elisabeth, popatrzeć na nią choć przez chwilę. Był krystalicznie czysty, bardzo zimny ranek i wiatr, chłozzący skórę, dobrze pasował do pragnienia Lukę'a pokarania samego siebie. Dziedziniec za dormitorium był pusty, Lukę mógł tylko mieć nadzieję, że ktoś mu się przygląda przez jedno z małych okienek pod kalenicą stromeego dachu.

Nie rozczarował się. Gdy tylko podszedł bliżej, otworzyły się drzwi i wyszła z nich ona, otulona burym płaszczem. Wstrzymał oddech. Na jej widok wypuścił powietrze z płuc; zawirowało

i przez chwilę otaczało chmurką jego głowę. Pomyślał, że wygląda cudownie, że zwolni kroku, przedłuży tę chwilę, a może nawet zbliży się do niej jak jeszcze nigdy, zobaczy jej długie rzęsy...

I nagle zdarzyło się coś niezwykłego.

Elisabeth podeszła do niego i musiał się zatrzymać. Znajdowała się na odległość wyciągniętego ramienia. Przez chwilę był pewien, że śni, ale zobaczył, że płacze, szlocha, poczuł na szyi ciepło jej przyspieszonego oddechu i już wiedział, że nie, że to wszystko dzieje się rzeczywiście. Był zbyt wstrząśnięty, by sprawdzić, czy nikt go nie śledził.

438

— Elisabeth! Co się dzieje!

— Siostra... siostra Sabeline mówi, że mam... być następną. - Dziewczyna dławiała się szlochem.

— Następna? Następna do czego?

— Do krypt... mają mnie zabrać do krypt! Proszę, Lukę, pomóż...

Marzył o tym, by wyciągnąć rękę, dotknąć jej, pocieszyć, ale wiedział, że byłoby to niewybaczalne.

— Nie rozumiem, o czym mówisz. Co ma się zdarzyć w kryptach?

— Nie wiesz? - spytała dziewczyna z niedowierzaniem.

— Nie. Powiedz mi.

— Nie tu. Nie teraz. - Zakrztusiła się łzami. - Możemy się spotkać wieczorem? Po nieszpórach?

— Gdzie?

— Nie wiem! - krzyknęła. - Nie tu. Myśl, szybko! Siostra Sabeline mnie znajdzie i...

Lukę spróbował opanować wirujące mu w głowie, paniczne myśli.

— Dobrze. Stajnie. Po nieszpórach. Spotkaj się tam ze mną, jeśli zdołasz.

— Spotkam. Muszę biec. Niech cię Bóg błogosławi, Lukę.

Baldwin krążył niespokojnie wokół przeora Felixa, siedzącego na krześle, na poduszce wypchanej końskim włosiem. W normalnych warunkach było to bardzo komfortowe miejsce: prywatny sekretariat opata, rozgrzewający ogień i kielich wina, miękkie siedzisko, ale Felix z pewnością nie czuł się komfortowo. Baldwin miotał się po pokoju jak mucha w upał, a jego nerwowość była zaraźliwa. Był mężczyzną wyglądającym normalnie, najzupełniej przeciętnie, niezdradzającym swej

439

|||||||

wysokiej godności w żaden widoczny sposób, ani manifestacyjną pogodą ducha, ani



mądrą wstrzemięźliwością mowy. Gdyby nie futro gronostajowe zdobiące jego habit i ozdobny krucyfiks opata, można by go łatwo wziąć za prostego kupca.

— Modliłem się o przewodnictwo, lecz nie otrzymałem odpowiedzi na pytania - powiedział, wyrażając rozczarowanie wydęciem warg. - Czy nie możesz rzucić nieco światła na tę ciemną sprawę?

— Nie mogę, ojczy - powiedział Felix swym ciężkim akcentem Bretończyka.

— A więc musimy zwołać zebranie rady.

Rada Zakonu Imion nie zbierała się od wielu lat. Felix z wysiłkiem przywołał z pamięci ostatnie takie spotkanie, sprzed, jak się mu wydawało, blisko dwudziestu lat, kiedy to trzeba było podjąć decyzje dotyczące ostatniej wielkiej rozbudowy Biblioteki. Był wówczas młodym mężczyzną, uczonym, zręcznym w oprawianiu ksiąg, którego do Vectis przyciągnęło słynne scriptorium. Ze względu na swoją inteligencję, umiejętności i rzetelność Baldwin, będący wówczas prałatem, wprowadził go do zakonu.

Baldwin poprowadził nonę w katedrze wypełnionej harmonijnym śpiewem kongregacji. Modlił się w przypisanym porządku, który znał na pamięć, pozwalając myślom błądzić wokół krypt. Nonę rozpoczynało Deus in adjutorium, po którym następowały psalmy 125, 126 i 127, wersy, Kyrie, Pater, Oratorio i kończące nabożeństwo siedemnaście modlitw świętego Benedykta. Kiedy dobiegło ono końca, pierwszy wyszedł ze świątyni. Szedł, nie odwracając się, słysząc za plecami kroki członków Zakonu Imion jak on zmierzających do kapitułarza, wielokątnego budynku z wysokim, spiczastym dachem.

440

Przy stole zasiedli Felix, brat Bartholomew, siwy stary mnich, zwierzchnik scriptorium, brat Gabriel, astronom o wyjątkowo ostrym języku, brat Edward, lekarz zarządzający infirmerią, brat Thomas, gruby, zawsze senny nadzorca cellarium i spizarni, oraz siostra Sabeline, matka przełożona wszystkich zakonnicek, dumna

kobieta w średnim wieku, w której żyłach płynęła arystokratyczna krew.

- Kto może mi powiedzieć, jak w tej chwili wygląda sytuacja w Bibliotece? - spytał gniewnie Baldwin, mając na myśli mnichów, którzy tam pracowali.

Oni wszyscy odwiedzili ją ostatnio, kierowani ciekawością, ale też niepewnością, nikt jednak nie znał jej lepiej niż Bartholomew, który większość życia spędził pod ziemią i nawet nabrał fizycznych cech kreta. Miał spiczastą twarz, nie znosił światła, a kiedy mówił, wykonywał krótkie, gwałtowne ruchy chudymi rękami.

— Coś ich niepokoi - rozpoczął. - Obserwowałem ich przez wiele lat. - Westchnął. - Bardzo wiele, za wiele lat i aż do dziś nie zetknąłem się z czymś tak podobnym do emocji.

— Zgadzam się z naszym bratem - zabrał głos Gabriel. - To nie jest żaden typowy przejaw uczuć, takich jakie znamy: radości, gniewu, zmęczenia, głodu, ale niepokojące wrażenie, że coś jest nie w porządku.

— Na czym dokładnie polega różnica w ich zachowaniu? - spytał z namysłem Baldwin.

Feliks pochylił się w krzesło.

— Powiedziałbym, że tracą poczucie celowości swego działania.

— Oczywiście - przytaknął Bartholomew.

— Przez lata nie mogliśmy nadziwić się ich niezawodnej pilności - ciągnął Felix. - Poświęcają pracy niewyobrażalny

441

wysiłek. Pracują do utraty przytomności, a kiedy budzą się po krótkim odpoczynku, są jak odmłodzeni i zaczynają od nowa. Robią przerwy tylko na jedzenie, picie,

potrzeby naturalne... ale teraz...

— Teraz zrobili się leniwi jak ja - prychnął śmiechem brat Thomas.

— Nie leniwi, nie - pośpieszył z wyjaśnieniem lekarz, brat Edward. Miał długą rzadką bródkę, którą bezustannie głaskał. - Powiedziałbym raczej, że z jakiegoś powodu stali się apatyczni. Tempo pracy zmalowało, stało się umiarkowane, ich ręce poruszają się wolniej. Śpią dłużej. Więcej czasu spędzają przy jedzeniu.

— Właśnie, apatia - zgodził się Bartholomew. - Są tacy, jacy zawsze byli, ale masz rację, widać u nich pewną apatię.

- Coś jeszcze? - spytał Baldwin.

Siostra Sabeline bawiła się swym welonem.

— W zeszłym tygodniu jeden z nich... nie dorósł do okazji - oznajmiła niespodziewanie.

— Zdumiewające! - wykrzyknął brat Thomas.

— Czy to zdarzenie się powtórzyło? - zainteresował się brat Gabriel.

Siostra potrząsnęła głową.

- Nie - przyznała. - Nie było właściwej... okazji. Jednakże jutro sprowadzą piękną dziewczynę o imieniu Elisabeth. Poinformuję was o tym, co zajdzie.

Bartholomew ostrożnie schodził krętymi schodami prowadzącymi do krypt z małego domu przypominającego kapliczkę. Wzdłuż nich, w równych odległościach, rozmieszczono płonące łuczywa, których blask wystarczał większości ludzi, ale jego

442

oczy zawodziły, zmęczone czytaniem manuskryptów przy świecach. Każdy stopień

wyczuwał najpierw sandałem prawej nogi, a dopiero potem dostawiał lewą.

Schody były skrócone w tak ciasną spiralę, prowadziły tak głęboko, że nim dotarł na sam dół, kręciło mu się w głowie. Ilekroć odwiedzał to miejsce, był pełen podziwu dla tych, co zaprojektowali po mistrzowsku i tak głęboko wryli się w ziemię w XI wieku.

Otworzył ogromne drzwi ciężkim, czarnym żelaznym kluczem, który nosił przy pasie. Ponieważ sam był mały i lekki, musiał przesuwając skrzydło drzwi, opierając się o nie całym ciężarem ciała. Otworzyły się na Salę Pisarzy.

Choć wchodził tu tysiące razy od czasu, gdy został wprowadzony do Zakonu Imion jako młody uczonek opactwa o nienasyconej ciekawości, nigdy nie przestawał chłonać tego obrazu od progu, zarazem zdumiony i zachwycony.

I teraz Bartholomew patrzył na tłum piszących bladych, rudowłosych mężczyzn i chłopców: pióra skrzypiały tak, jakby setki szczyrów dobierały się do beczek ziarna. Niektórzy byli starzy, inni nie stali się jeszcze mężczyznami, lecz mimo różnicy wieku wydawali się niepokojąco identyczni. Mieli nieruchome twarze, wszyscy wpatrywali się zielonymi oczami w białe karty pergaminu.

Pisarze siedzieli twarzą do wejścia do tej podziemnej jaskini, ramię przy ramieniu, przy długich stołach. Pomieszczenie przykryte zostało kopułą, otynkowaną i dodatkowo pobieloną. Architekt z XI wieku, brat Bertram, zaprojektował ją w ten sposób, by blask świec odbijało się od jej powierzchni, dostarczając piszącym więcej światła. Co kilka dziesięcioleci tynk bielono, albowiem pokrywał się sadzą.

Przy każdym z piętnastu stołów, których rząd ciągnął się

443

pod tylną ścianę, siedziało do dziesięciu pisarzy. Przy większości wszystkie miejsca były zajęte, tu i tam widziało się jednak wolne miejsca. Powód był jasny, pod ścianą przy krańcu pomieszczenia stały prycze, na których leżeli śpiący.

Bartholomew przeszedł między stołami, pochylając się i zaglądając przez ramię pisarzom. Wszystko wydawało się w porządku. Otworzyły się główne drzwi, od strony klatki schodowej. Młodzi bracia wnieśli kociołki z jedzeniem.

Otworzył równie masywne drzwi w przeciwległej ścianie. Od świeczki zapalił łuczywo, które było tam zawsze przygotowane, i wszedł do pierwszej z dwóch połączonych ze sobą sal, w tej chwili ciemnych. Każda z nich wielokrotnie przewyższała wymiarami Salę Pisarzy.

Biblioteka była imponującą konstrukcją, suche, zimne krypty w blasku jednego łuczywa wyglądały jakby nie ograniczały ich żadne mury. Ruszył wąskim środkowym korytarzem pierwszej z nich, wdychając intensywny, jakby mineralny zapach cielejącej skóry. Lubił od czasu do czasu osobiście sprawdzić, czy żyjące pod ziemią gryzonie lub owady nie przedarły się przez kamienne mury tej fortecy i teraz też przeprowadziłby swą zwyczajową niespieszną inspekcję całości Biblioteki, gdyby za nim nie wybuchło jakieś zamieszanie.

Jeden z młodszych braci, mnich o imieniu Alfonso, wołał swych towarzyszy. Bartholomew odwrócił się, wbiegł do Sali Pisarzy i zobaczył go, klęczącego przy czwartym stole, licząc od frontu. Byli przy nim dwaj jego towarzysze. Podłoga zalana była gulaszem, omal się w nim nie poślizgnął.

- Co się stało?! - krzyknął, kierując pytanie do Alfonsa.

Żaden z pisarzy nie wydawał się przejęty tym, co działo się wokół nich. W miejscu, w którym klęczał młody zakonnik, rozlewała się kałuża krwi, płynącej z głowy jednego z długo-

444

włosych. Lewe oko miał przebite piórem, którego czubek utkwiał głęboko w mózgu.

— Jezu Chryste, Panie i Zbawco! - zawołał starzec na ten widok. - Kto to uczynił?

— Nikt. - Młody Hiszpan trząsł się jak mokry, zmarznięty pies. - Widziałem. To on sam! Właśnie podawałem mu gulasz.

Sam to sobie zrobił.

Zakon Imion zebrał się następnego dnia. Nikt nigdy nie widział czegoś podobnego i o niczym podobnym nie słyszał, przekazywana ustnie historia nie wspominała o takim zdarzeniu. Oczywiście pisarze rodzili się i umierali, pod tym względem nie różnili się

od zwykłych ludzi; różnica leżała tylko w tym, że nie zapisywali własnych narodzin i śmierci. Ale nigdy nie umierali w ten sposób. Tamten chłopak był przecież młody i chyba cieszył się doskonałym zdrowiem, potwierdził to lekarz, brat Edward.

Bartholomew sprawdził ostatni dokonany przez niego wpis, w którym nie znalazł nic niezwykłego. Po prostu jeszcze jedno imię, wpisane, o ile Bartholomew potrafił powiedzieć, chińskimi znakami.

A więc pisarz popełnił samobójstwo, czyn ohydny. Przez całą noc członkowie zakonu dyskutowali o tym, co powinni zrobić, ale na pytania nie było gotowych odpowiedzi. Gabriel zastanawiał się, czy ciała nie należałoby może wynieść na zewnątrz i spalić, ale inni nie chcieli się na to zgodzić. Nigdy nie potraktowano w ten sposób pisarza, nie chcieli łamać uświęconej przez czas tradycji. Baldwin zdecydował wreszcie, że ciało należy umieścić w jednej z krypt otaczających pod ziemią Salę Pisarzy niczym wielki plaster miodu. Spoczywały w nich pokolenia pisarzy; nieszczęśnika czekał ten sam los.

445

Kiedy Felix powrócił pod ziemię z kilkoma silnymi młodymi braćmi mającymi pomóc w pogrzebie, zauważył, że pisarze byli jeszcze powolniejsi, jeszcze bardziej obojętni, a na pryczach spało ich więcej niż normalnie.

Zupełnie tak, jakby pograżyli się w żałobie.

Gdy Lukę wszedł do stajni, konie zaczęły się niepokoić, tupać i rzeć. Było ciemno, zimno, a jego przerażała własna śmiałość. Nie powinien tu być.

— Hej - zawołał głosem nieco tylko silniejszym od szep tu. - Jest tu ktoś?

— Jestem - odpowiedział cichy głos. - Tutaj, na samym końcu.

Przez otwarte drzwi stajni wpadało światło księżyca, dzięki niemu zdołał ją odnaleźć. Elisabeth skryła się w boksie wielkiej gniadej klaczy; tuliła się do jej boku, szukając ochrony przed chłodem.

— Dziękuję, że przyszedłeś - powiedziała. - Boję się.

Już nie płakała, na to było za zimno.

— Zmarzłaś.

— Naprawdę? - Elisabeth wyciągnęła ręką, zapraszając, by jej dotknął. Zrobił to przerażony, dotknął alabastrowego przegubu jej dłoni, ujął go i już nie miał ochoty puścić.

— Naprawdę. Zmarzłaś.

— Pocałujesz mnie, Luke?

— Nie wolno mi!

— Proszę.

— Dlaczego mnie torturujesz? Przecież wiesz, że tego mi nie wolno. Złożyłem śluby! Poza tym przyszedłem, żeby dowiedzieć się o twojej niedoli. Mówiłaś o kryptach... - Puścił dłoń Elisabeth, odsunął się od niej.

446

— Nie gniewaj się na mnie, proszę. Jutro mają zabrać mnie do krypt.

— Ale... dlaczego?

— Chcą, żebym położyła się z mężczyzną, a ja tego nigdy nie robiłam! - krzyknęła rozpaczliwie. - Przede mną były już takie dziewczyny. Spotykałam je. Rodziły dzieci, odrywano je im od piersi. Niektóre muszą rodzić raz za razem, aż tracą od tego zmysły. Błagam, nie pozwól, żeby ze mną też tak postąpiono.

— To niemożliwe! - zaprotestował Luke. - Nie w Domu Bożym!

— Powiedziałam ci prawdę. Vectis ma swoje sekrety. Nic o nich nie słyszałeś?

— Bardzo wiele słyszałem, ale niczego nie widziałem.

Wierzę w to, co widzę.

— Ale wierzysz też w Boga, a Jego nie widziałaś.

— To co innego - zaprotestował Luke. - Nie muszę Go widzieć, wystarczy, że czuję Jego obecność.

Dziewczynę ogarniała rozpacz, a jednak zdołała się opanować. Chwyła dłoń Luke'a, nim zdążył ją cofnąć.

- Proszę, Luke, połów się ze mną tu, na słomie.

Podniosła jego rękę, położyła ją na swej piersi. Nawet przez gruby płaszcz poczuł jędrne ciało, zaczerwienił się aż po uszy. Bardzo pragnął zacisnąć palce i niemal to zrobił, ale zdołał się jakoś opanować. Odskoczył, wpadając na ścianę boksu. Elisabeth patrzyła na niego bliska paniki.

— Nie odchodź, błagam. Jeśli się ze mną położysz, nie zaprowadzą mnie do krypt.

— A co ze mną? - syknął chłopak. - Wygnają mnie z opactwa. Nie, na to się nie zgadzam. Jestem Sługą Bożym.

Proszę, muszę już iść.

447

Wybiegając ze stajni, słyszał płacz Elisabeth przebijający się przez niespokojne rżenie koni.

Nad wyspą wisały chmury tak ciężkie i niskie, że przejście z nocy w świt odbyło się niemal niezauważalnie. Luke nie zmrużył oka, przewracał się z boku na bok, nie mógł się uspokoić. Podczas laudy nie potrafił skupić się na hymnach i psalmach, a w krótkim czasie dzielącym od powrotu do świątyni na primę niedbale wykonywał obowiązki.

Wreszcie nie mógł już tego znieść. Nieznacznie podszedł do swojego przełożonego, brata Martina i trzymając się za brzuch, poprosił o zwolnienie z primy, gdyż chciał zgłosić się do infirmerii, a kiedy dostał pozwolenie, naciągnął kaptur nisko na twarz i okreśną drogą poszedł do zakazanego budynku. Wypatrzył na pagórku klon, który rósł wystarczająco blisko, by coś z niego widzieć, lecz na tyle daleko by nikt nie



widział jego. Ukryty wśród gałęzi trzymał wartę w szarej, zimnej oślizgłej mgle.

Usłyszał dzwony wzywające na primę.

Z budynku przypominającego kapliczkę nikt nie wyszedł.

Dzwony zasygnalizowały koniec nabożeństwa.

Opactwo było ciche, spokojne. Lukę zastanawiał się, ile czasu minie, nim ktoś zauważy jego nieobecność i jak ukarany zostanie za swe podstępny. Jakakolwiek byłaby kara, przyjmie ją z nadzieją, że Bóg okaże mu swą miłość i miłosierdzie dla jego żalosnych ludzkich słabości.

Pod policzkiem czuł ostrą korę. Śmiertelnie zmęczony zasnął na chwilę, ale obudził się natychmiast, czując ból skaleczonej skóry.

Zobaczył ją, szła ścieżką, prowadzona przez siostrę Sabeline, która jakby ją wiodła na sznurze. Nawet z tej odległości potrafił rozpoznać, że Elisabeth płacze.

448

Przynajmniej ta część jej opowieści była prawdziwa.

Serce zaczęło mu bić mocniej, szybciej. Zacisnął pięści, zaczął bić nimi w pień klonu. Modlił się o wskazówkę, ale nic nie uczynił.

Elisabeth weszła do kaplicy i zaczęła schodzić krętymi schodami, miała wrażenie, że śni. Po latach nie potrafiła sobie przypomnieć, co widziała, jej mózg wymazał obrazy tego, co miała za chwilę zobaczyć. Jako staruszka, grzejąca się samotnie przy ognisku, zastanawiała się nawet czasami, czy to wszystko zdarzyło się rzeczywiście. Sama kaplica okazała się po prostu pustą przestrzenią z podłogą z białego piaskowca. Miała niskie ceglane mury, ale była w istocie drewnianą konstrukcją szkieletową ze stromym, krytym gontem dachem. Jediną dekorację stanowił złożony drewniany krucyfiks wiszący na ścianie nad dębowymi drzwiami znajdującymi w tylnej ścianie. Siostra Sabeline wepchnęła ją przez nie siłą. Elisabeth zaczęła schodzić po kręconych schodach prowadzących, jak się jej zdawało, aż do środka ziemi.

Na progu Sali Pisarzy przystanąła, zmrużyła oczy, spróbowała przebić mrok podziemnej jamy i zrozumieć, co właściwie widzi. Przerażona spojrzała na zakonnicę, ale usłyszała od niej tylko: "Milcz, dziewczyno".

Żaden z pisarzy nie zwrócił na nią uwagi, choć Sabeline prowadziła ją przed każdym z nich, rząd za rządem, aż wreszcie jeden z nich podniósł rudą głowę znad leżącej przed nim karty pergaminu i spojrzał na nią. Miał osiemnaście, może dziewiętnaście lat. Elisabeth zauważyła, że trzy kościste palce prawej ręki poplamił mu inkaust. Wydawało się jej, że słyszy chrząknięcie wydobywające się z chudej piersi.

449

Sabeline odciągnęła od niego przerażoną dziewczynę. Dotarły do końca sali. Pchnięta pod łuk, wkroczyła w mroczną próżnię. Miała wrażenie, że muszą to być wrota piekieł. Przekraczając je, obróciła głowę. Chłopak, który zwrócił na nią uwagę, właśnie wstawał od stołu.

Przerażająca pustka pod łukiem była w istocie wejściem do katakumb. Jeśli pierwsza sala strasznie śmierdziała, to ta wydzielala odór śmierci. Elisabeth rozkaszała się, zaczęła dławić. We wnękach muru, ciśnięte niedbale niczym drewno na opał, leżały poźółkłe szkielety, niektóre ze strzępami ciała zwisającymi z suchych kości. Sabeline niosła zapaloną świecę; gdziekolwiek padło rzucane przez nią ruchliwe światło, dziewczyna widziała groteskowe, przerażające czaszki z opadniętymi szczękami. Modliła się, by Bóg pozwolił jej stracić przytomność, lecz na swe nieszczęście zachowywała pełną władzę zmysłów.

Nie były same, ktoś za nimi stał. Obróciła się, zobaczyła tępą, nieruchomą twarz młodego człowieka, który blokował korytarz prowadzący do wyjścia. Zakonnica cofnęła się, rękaw jej habitu otarł się o golenie szkieletu, kości zabrzcęzały melodyjnie. Podniosła świecę, przyglądała się im z niewielkiej odległości.

Elisabeth dyszała jak zwierzę. Mogła uciec w głąb katakumb, ale za bardzo się bała. Rudego mężczyznę dzieliło od niej zaledwie kilka centymetrów. Stał z opuszczonymi ramionami. Mijały sekundy.

- Przyprowadziłam ci dziewczynę! - krzyknęła Sabeline  
zawiedziona i rozgniewana.

Nic się nie stało. Mijał czas.

- Dotknij jej - rozkazała.

Elisabeth przygotowała się na dotknięcie istoty, tak bardzo przypominającej chodzący szkielet. Zamknęła oczy. Na jej  
450

ramię opadła dłoń, lecz, co dziwne, nie poczuła obrzydzenia, przeciwnie, dotyk ten jakby dodawał jej odwagi. Siostra Sa-beline wrzasnęła przeraźliwie.

- Co ty tu robisz?! Co robisz?!

Otworzyła oczy. Może to były czary, ale zobaczyła przed sobą znajomą twarz. Błady, rudy chłopak niezdarnie wstawał z podłogi. Lukę odepchnął go na bok.

— Bracie Luke'u, zostaw nas! - krzyczała zakonnica. -

Naruszyłeś świętość tego miejsca.

— Nie wyjdę bez tej dziewczyny - odparł zakonnik wyzywająco. - I jak takie miejsce może być święte? Widzę tylko zło.

— Nie rozumiesz! Ty nic nie rozumiesz!

I nagle w sali rozpętało się pandemonium. Usłyszeli donośny huk, łomot, trzaski. Rudy chłopak odwrócił się i odszedł w kierunku, z którego dobiegał hałas.

- Co się dzieje? - spytał Lukę.

Sabeline nie odpowiedziała. Trzymając w górze świecę, pobiegła za chłopcem, pozostawiając ich w całkowitej ciemności.

- Jesteś już bezpieczna? - spytał łagodnie Lukę. Nadal dotykał ramienia Elisabeth; dziewczyna uświadomiła sobie w tej chwili, że nie zdjął dłoni ani na sekundę.

- Przyszedłeś po mnie - powiedziała cicho.

Pomógł jej znaleźć drogę z ciemności w światło.

Drogę do sali, która nie była już Salą Pisarzy, lecz Salą Śmierci. Przy życiu pozostała tylko Sabeline. Jej buty były czerwone od krwi. Bezradnie brodziła w morzu trupów, ciał leżących na stołach i pryzkach, martwych choć niektórymi wciąż jeszcze wstrząsały drgawki. Twarz miała nieruchomą, bladą, chorą, raz za razem powtarzała: "Mój Boże, Boże, Boże..." rytmicznym głosem przechodzącym w zawodzenie.

Podłogę, stoły i krzesła zalewała krew ciekąca strumieniem z przebitych piórem oczu niemal stu pięćdziesięciu rudowłosych chłopców i mężczyzn.

Lukę poprowadził Elisabeth za rękę; wspólnie przeszli przez to pobożowisko.

Zachował tyle przytomności umysłu, że przyglądał się kartom na stołach, niektórym zaplamionym krwią. Czy to ciekawość, czy instynkt samozachowawczy kazał mu chwycić jedną z nich? Miał zastanawiać się nad tym przez wiele lat.

Wbiegli po niebezpiecznych stromych schodach, uciekli z kaplicy w mgłę i deszcz. Zwolnili kroku dopiero przeszło kilometr za murami opactwa, a potem zatrzymali się, dali odpocząć obolałym płucom. Słyszeli dzwony katedry bijące donośnie na alarm.

1 sierpnia 2009 Los Angeles

Marynarka dysponowała jednym gulfstreamem C-37A, luksusowym, szybkim odrzutowcem, ulubionym środkiem transportu sekretarza, gdy musiał odbyć jakąś prywatną podróż. Dwa turboodrzutowe, dwuprzepływowe silniki Rolls-Royce'a dawały takie przyspieszenie na pasie, że aż trzeszczał kark. Samolot wznosił się ostro. W dosłownie kilka sekund niekończący się żar światła Los Angeles znikł, przykryty wiszącymi nisko nad ziemią chmurami.

Po ciężkim dniu, tym cięższym, że sekretarz kilkakrotnie przekraczał strefy czasowe, Harrisa Lestera napędzała wyłącznie kofeina. Wszystko zaczęło się przed świtem w jego domu w Fairfax w Wirginii, po czym nastąpiły przystanki w podróży: Pentagon, baza sił powietrznych Andrews, LAX. Po krótkim postoju w Los Angeles wystartowali na powrót do Waszyngtonu. Twarz miał niezdrowo bladą i obwisłą, a oddech nieświeży. Świeże były wyłącznie jego koszula do garnituru oraz wyprasowany krawat wyglądające tak, jakby przed chwilą odwinęto je z firmowego papieru Brooks Brothers.

Kabinę pasażerską urządzoną w stylu klubowym, z dwoma kompletami drogich

miękkich foteli obitych naturalną skórą, ustawionych naprzeciw siebie po obu stronach gładkich teko-wych stołów, zajmowały zaledwie trzy osoby. Lester i Malcolm Frazier, którego twarz skrzywiona była w niechcącym jakoś ustąpić grymasie, wpatrywali się w mężczyznę, siedzącego naprzeciw Lestera. Mężczyzna zaciskał jedną dłoń na poręczy fotela, w drugiej trzymał kryształową szklaneczkę z porcją whisky.

Will, choć zmordowany, był zapewne najbardziej rozluźnionym i pewnym siebie człowiekiem na pokładzie samolotu. Wyłożył karty na stół i wyglądało na to, że tę partię wygra.

Kilka godzin wcześniej z ulicy w Hollywood zgarnął go zespół Frazier'a i jego ludzi, przetransportowany z Groom Lake odrzutowcem. Wsadzili go do czarnego tahoe i odwieźli do prywatnego terminalu na lotnisku, gdzie trzymali go w sali konferencyjnej bez przesłuchania, póki nie pojawił się Lester. Will odniósł graniczące z pewnością wrażenie, że Frazier wolałby zabić go od razu, a przynajmniej zadać mu ból, i przypuszczał, że gdyby ktoś zabił któregoś z jego ludzi z FBI odczuwałby to samo, ale facet wyglądał mu na dobrego żołnierza, a dobrzy żołnierze wykonują rozkazy.

W tej chwili Frazier otwierał laptopa Shackletona. Wcisnął parę klawiszy i spytał o hasło.

— Pitagoras - powiedział Will.

— Pieprzeni jajogłowi - westchnął. - Pytia...?

— Pita...

Minęło kilka sekund.

— Jest wszystko, jak powiedział, panie sekretarzu.

— Dlaczego mielibyśmy wierzyć, że wykonał pan kopię, agencie Piper? - spytał Lester.

Will wyjął portfel, a z portfela paragon.

— Karta pamięci, kupiona dziś, po... incydencie.

— A więc wiemy, że schowałeś ją w mieście - prychnął Frazier z pogardą.

— To duże miasto. Poza tym... zawsze mogłem wpaść na pocztę. Albo dać coś komuś, kto wiedział albo nie wiedział, co mu daję. Tak czy inaczej gwarantuję, że jeśli nie będę nawiązywał częstego osobistego kontaktu z jedną lub więcej osób, karta pamięci zostanie wysłana do mediów. - Will zmusił się do uśmiechu, krótkiego i niewyraźnego. - A więc, panowie, radzę trzymać się z daleka ode mnie i moich bliskich. Lester masował skronie.

- Rozumiem, co pan powiedział i dlaczego, ale nie chce pan przecież, by ta sprawa stała się znana, prawda?

Will odstawił szklanę. Przez chwilę przyglądał się z zainteresowaniem kółku, które wyrysowało na stole jej wilgotne dno.

— Gdybym tego chciał, osobiście wysłałbym kartę do gazet, ale... nie do mnie należy przecież decyzja, czy ludzie powinni wiedzieć, czy nie powinni, bo kim ja, do cholery, jestem?

Żałuję, że w ogóle się z tym zetknąłem. Nie miałem za wiele czasu, żeby to wszystko sobie dobrze przemyśleć, ale sama informacja o istnieniu tych ksiąg zmienia... wszystko. -

Zachichotał nagle; niepoczytalna reakcja boksera, który dostał oszalamiający cios.

— Co tak pana rozbawiło? - spytał Lester.

— Dla faceta imieniem Will pojęcie wolnej woli nie jest tak całkiem nieważne. - Spowaźniał nagle, wręcz błyskawicznie. - Słuchajcie, w tej chwili nie jestem nawet pewien, czy wolna wola w ogóle istnieje. No bo wszystko wiadomo z góry, nie? Jeśli wychodzi twoje nazwisko, nic nie zdoła tego zmienić.

Mam rację?

— Masz - przyznał Frazier, nie kryjąc goryczy. - Gdyby

—

455

było inaczej, zamiast gadać z nami, ćwiczyłbyś w tej chwili swobodny spadek z dziesięciu tysięcy metrów. Will nie przejął się jadem, którym ociekały te słowa.

— Wiecie wszystko od dawna. Naprawdę nie miało to żadnego wpływu na wasze życie?

— Oczywiście, że miało - warknął Lester. - Musimy dźwigać ten ciężar. Mam syna, agencie Piper. Młodsze, dwudziestodwuletniego, chorego na mukowiscydozę. Wszyscy wiedzieliśmy, że umrze przedwcześnie. Nauczyliśmy się to akceptować, ale jak pan sądzi, cieszy mnie informacja, że data jego śmierci jest wyryta w kamieniu? Sądzi pan, że chcę ją znać albo mu o niej powiedzieć? Oczywiście, że nie.

Frazier przyjął inny punkt widzenia, taki, który przejął Willa zgrozą.

- Jeśli o mnie chodzi, to ułatwia sprawy. Wiedziałem, kiedy mają umrzeć, ta Kerry Hightower... i Elder. Ja tylko ściągnąłem spust. Nie spędza mi to snu z powiek.

Will potrząsnął głową i nadal sobie kolejną whisky.

- I w tym problem, nie sądzisz? - spytał. - Jak, cholera, wyglądałby nasz świat, gdyby wszyscy myśleli jak ty?

Przez długą chwilę ciszę w kabinie mąciło tylko przenikliwe wycie silników. Ale Lester i na to pytanie miał gotową odpowiedź. Odpowiedź polityka.

- I dlatego właśnie stosujemy środki, które stosujemy, by istnienie Biblioteki pozostało tajemnicą. Przez sześćdziesiąt lat, dzięki pełnym poświęcenia ludziom, takim jak pan Frazier, odnosiliśmy sukces. Przetwarzamy dane wyłącznie dla celów geopolitycznych oraz z powodów, które dyktuje bezpieczeństwo

narodowe. Nie bawimy się w śledzenie losów poszczególnych osób, chyba że nie mamy wyjścia. Pilnujemy tej krynicy wiedzy.

Owszem, bywały pomniejsze, użyłbym nawet słowa trywialne, przecieki i niedyskrecje, które potrafilismy wyeliminować

456

z chirurgiczną precyzją. Sprawa Shackletona to pierwsze i jak na razie jedyne katastrofalne złamanie zabezpieczeń Strefy Pięćdziesiąt Jeden. Mam nadzieję, że pan to rozumie?

Will skinął głową. Pochylił się nad stołem tak głęboko, że praktycznie się na nim położył. Przeszył sekretarza przenikliwym spojrzeniem.

- Rozumiem to doskonale - powiedział. - Rozumiem także, co to znaczy coś za coś. Jeśli kiedykolwiek wpadłaby wam w ręce moja kopia bazy danych, wsadzilibyście mnie w najgłębszą dziurę i żeby uniknąć jakiegokolwiek ryzyka upewnilibyście się, że wszyscy moi bliscy też zniknęli z powierzchni ziemi. Ja o tym wiem i wy o tym wiecie. To, co robię, jest zwykłą samoobroną. Nie jestem teologiem ani filozofem. Nie interesują mnie skomplikowane problemy moralne, czy to jasne? Nie prosiłem, żeby mnie w to wplątać, to się po prostu zdarzyło, bo trzydzieści lat temu przypadek przydzielił mi ten sam pokój w akademiku co Shackletonowi. Chcę tylko jednego: przejść na emeryturę i przeżyć moje zwykłe, nieważne życie co najmniej do dwa tysiące dwudziestego siódmego roku. Waszym Wielkim Wrogiem jest stary dobry chłopak ze wsi, niemarzący o niczym innym jak tylko o tym, żeby wreszcie pójść na ryby. - Wyprostował się, odchylił na oparcie fotela, spojrzał na Lestera, na którego obwisłej twarzy zamarł wyraz znudzenia. - To który z was, panowie, należy mi teraz whisky?

Wylądowali w Waszyngtonie. Zgodził się dobrowolnie na dwudniowe przesłuchanie, które prowadził najpierw Frazier, a potem grupa przyjemniaczków z Agencji Wywiadu Obronnego, przy których Frazier wydawał się niemal ludzki. Zmusili go, by wyrzygał z siebie wszystko, co wiedział o sprawie, dosłownie wszystko... z wyjątkiem losów karty pamięci. Kiedy



skończyli, zgodził się podpisać przerażającą umowę o zachowaniu tajemnicy, którą podpisywać musieli wszyscy pracownicy Strefy 51. Podpisał, zwolnili go, po czym, czysty i niewinny jak niemowlę, wpadł w stęsknione ramiona swych braci z FBI. Dyrektor orzekł autorytatywnie, że od agenta Pipera nie wymaga się poddania przesłuchaniu wewnętrznemu ani złożenia raportu z ostatnich dni poświęconych sprawie Dnia Sądu. Sue Sanchez, zagubiona i niemająca zielonego pojęcia, o co tu chodzi, zaoferowała mu zespół świadczeń: płatny administracyjny urlop do dnia emerytury, a potem pełną emeryturę. Zgodził się na to z uśmiechem, wychodząc, żartobliwie klepnął ją w siedzenie, a kiedy odwróciła się wściekła, puścił do niej oko. Will siedział wygodnie przy kolacji i bardzo zadowolony przysłuchiwał się ożywionej rozmowie. Oto uczestniczył w domowym, rodzinnym rytuale, w którym było coś tradycyjnego, wręcz archetypicznego, wewnątrznie kojącego, powodującego, że rytm duszy i ciała nabierał harmonii. Dorastał w domu, w którym wspólne rodzinne kolacje nie były czymś zwykłym, nie potrafił też przypomnieć ich sobie z czasów, gdy dorastała jego córka. Jadł stek niespiesznie, ciesząc się padającymi często ciętymi ripostami. Jego mieszkanie było nader sympatyczną ruiną, wypełnioną kartonowymi pudłami, walizkami, kobiecymi ciuchami, nowymi meblami oraz mnóstwem różnych drobiazgów.

Laura chciała dolać mu wina, ale odmówił, przykrywając dłonią kieliszek.

— Jesteś chory, tato? - zażartowała.

— Zwalniam tempo - odparł bardzo zadowolony z siebie.

— Rzeczywiście, zwolnił - przytaknęła Nancy.

Will wzruszył ramionami.

— Nowy ja - zakpił. - Taki sam jak stary, tylko procent alkoholu we krwi nieco niższy.

— I co, lepiej się z tym czujesz? - spytał Greg.

— Nie do druku?

— Tak, oczywiście, nie do druku.

— O wiele lepiej. I bądź tu mądry. Lauro, co z książką?

— Wszystko w normie. Czekam na korektę, przygotowując się do życia w bogactwie i sławie.

— Jak długo jesteś szczęśliwa, guzik mnie obchodzi, co cię czeka w przyszłości. Co was czeka w przyszłości.

Greg opuścił wzrok zakłopotany taką dawką uprzejmości. Kryjący się w nim dziennikarz wołał wielkim głosem o wyjaśnienie tajemnicy Dnia Sądu. Zadawał pytania Laurze, ćwiczył z nią na wypadek, gdyby zdobył się na odwagę i spróbował przeprowadzić z Willem wywiad, wiedział jednak, że to temat tabu. Bardzo wątpił, czy kiedykolwiek dowie się wszystkiego, choćby nawet został zięciem tego człowieka. Dlaczego zabrano mu sprawę? Dlaczego podano do wiadomości, że ucieka przed wymiarem sprawiedliwości? Dlaczego pozwolono, by morderstwa Dnia Sądu odeszły w niepamięć, choć nigdy nikogo nie aresztowano i nie podano żadnego wyjaśnienia? I wreszcie, dlaczego zrehabilitowano Willa i po prostu odesłano go na zieloną trawkę?

W końcu poruszył inny temat.

— A co z tobą, Will? Będziesz łowił ryby? Odpoczniesz?

Pograżysz się w słodkim lenistwie?

— Nie ma mowy - oburzyła się Nancy. - Teraz, kiedy ja się tu wprowadzam, zaczniesz chodzić do teatru, muzeów, galerii, dobrych restauracji i tak dalej, i tak dalej.

— Myślałam, że nienawidzisz Nowego Jorku, tato?

— Skoro już tu mieszkam, może warto spróbować? My,

459

emeryci, musimy znaleźć sobie zajęcie, kiedy kobiety rozwiązują zagadki napadów na banki.

Dużo później, już przy drzwiach, Will pocałował córkę w policzek, pochylił się do jej

ucha, tak by nie słyszał go Greg, powiedział:

- Wiesz, podoba mi się twój chłopak. Chcę, żebyś o tym wiedziała. Trzymaj się go. Wiedział, że Greg też był PHZ.

Will leżał w łóżku i przyglądał się Nancy przyozdabiającej po kobiecemu sypialnię: zdjęcia, szkatułki z biżuterią, wypchany miś.

— Podoba ci się? - spytała.

— Wygląda nieźle.

— Nie, chodziło o to, czy podoba ci się ta sprawa z nami.

Razem. Uważasz, że to dobry pomysł?

— Tak. - Poklepał materac. - Kiedy skończysz bawić się w dekoratorkę wnętrz, zechcesz może sprawdzić, jak tam twoje nowe łóżko?

— Już w nim spałam - powiedziała Nancy i zachichotała.

— No tak, ale teraz to co innego. Wspólna własność i te rzeczy.

— W takim razie kładę się od strony okna.

— Wiesz, mam wrażenie, że jesteś w moim typie.

— A jaki to typ?

— Mądra, mała, miła... wszystko na "m".

Nancy położyła się obok niego, skuliła, a on objął ją i przytulił. I opowiedział jej o Bibliotece. Musiał komuś o niej, powiedzieć; tajemnica ta połączyła ich na resztę życia.

- Wiesz, w Los Angeles sprawdziłem coś jeszcze w bazie danych Shackletona - powiedział.

460

— Jesteś pewien, że powinnam wiedzieć, co?

— Dwunastego maja dwa tysiące dziesiątego roku urodzi się dziecko. Chłopiec. Philip Weston Piper. Nasz syn Zamrugala, a potem go pocałowała. Oddał jej pocałunek.

- Wiesz - wyznał - spodziewam się po przyszłości samych dobrych rzeczy.

9 stycznia 1297 Wyspa Wight

Dół białego habitu ojca opata przesiąknięty był krwią. I nasiąkał nią coraz bardziej za każdym razem, gdy zatrzymywał się, by dotknąć zimnego czoła i uczynić znak krzyża nad leżącym na wznak ciałem.

Towarzyszył mu prałat Felix, podtrzymywał go za ramię, by jego przełożony nie przewrócił się przypadkiem na śliskich kamieniach. Krążyli wśród trupów, przypominających ofiary rzezi, zatrzymywali się, szukając w każdym z nich jakiś oznak życia, lecz ich nie znaleźli. Serce biło tylko w ich piersiach... i jeszcze jednej, starego Bartholomew, który prowadził własne poszukiwania w przeciwległym kącie sali. Baldwin odesłał siostrę Sabeline; jej histeryczny płacz wyprowadzał go z równowagi, nie pozwalał zebrać myśli.

- Nie żyją - powiedział wreszcie. - Oni wszyscy nie żyją. W imię boże, czemuż to się stało?

Bartholomew przechodził od jednego rzędu stołów do drugiego, spokojnie i metodycznie. Omijał ciała lub przekraczał je, starając się nie stracić równowagi. Jak na starca poruszał

462

się bardzo zwinnie. Zbierał ze stołów karty, układał je w stos na swym przedramieniu.

W końcu podszedł do Baldwina.

- Popatrz - powiedział, wskazując karty pergaminu.

Tylko popatrz.

Odłożył stos. Opat podniósł jedną z nich, zaczął czytać. Wziął następną. I jeszcze następną. Resztę rozrzucił po stole, by przejrzeć jak najwięcej jak najszybciej.

Na każdej widniała data dziewiątego lutego 2027 roku. I identyczny wpis.

- Finis Dierum - powiedział. - Kres dni.

Felix zadrzał.

- A więc to wtedy nadejdzie koniec - wyszeptał.

Bartholomew powitał to objawienie niewyraźnym uśmiechem i słowami:

- Ich praca dobiegła końca.

Baldwin zebrał karty, przytulił je do piersi.

- Nasza nie, bracia. Oni muszą spocząć w spokoju w krypcie. Odprawię mszę za ich dusze. Bibliotekę musimy zamknąć, a kaplicę spalić. Świat nie jest na to gotowy.

Felix i Bartholomew szybko skinęli głowami na znak zgody. Opat odwrócił się do wyjścia, lecz przystanął na chwilę i powiedział zmęczonym głosem:

- Rok dwa tysiące dwudziesty siódmy to daleka przyszłość.

Światu dany jest przynajmniej czas, by mógł przygotować się na Kres Dni.